

**Kelley Armstrong**

# UGRYZIONA

Przełożył Robert P. Lipski

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

## Spis treści

Prolog

1. Człowiek

2. Wezwania

3. Córka marnotrawna

4. Spotkanie

5. Dziedzictwo

6. Polowanie

7. Wina

8. Intruzi

9. Drapieżca

10. Chaos

11. Smutek

12. Trop

13. Synchronizacja

14. Nieufność

15. Tropienie

16. Zasadzka

17. Pewność

18. Jeniec

19. Okrężna droga

20. Wrażenia

21. Zemsta

22. Obietnica

23. Łądowanie

24. Klarowanie

25. Zawirowania

26. Fajerwerki

27. Możliwości

28. Odkrycie

29. Klatka

30. Plany

31. Przebudzenie

32. Regresja

33. Konfrontacja

34. Gotowość

Podziękowania

# Prolog

Muszę .Walczyłam z tym całą noc. I przegram. Moja walka jest równie daremna jak kobiety, która czując pierwsze bóle, stwierdza, że to nie jest odpowiednia chwila na poród. Natura zwycięża. Jak zawsze.

Dochodzi druga w nocy, za późno na tego typu bzdety, muszę się przespać. Przez cztery noce robiłam, co tylko mogłam, by dotrzymać terminu, i to mnie wyczerpało. Nieważne. Fragmenty skóry pod kolanami i przy łokciach najpierw mnie świerzbiły, a teraz zaczynają palić. Serce bije tak szybko, że muszę łykać powietrze wielkimi haustami. Zamykam oczy, usiłując przezwyciężyć te doznania, ale to nic nie daje.

Philip śpi obok mnie. To jeszcze jeden powód, dlaczego nie powinnam wychodzić, wymykać się znowu w środku nocy i wracać z całą masą żalonych wymówek. On pracuje jutro do późna. Gdybym tylko mogła poczekać jeszcze jeden dzień. Moje skronie zaczynają pulsować. Palące świerzbienie skóry rozchodzi się na ramiona i nogi. Wściekłość zbija się w moim żołądku w ciasną zwartą kulę, grożąc, że eksploduje.

Muszę się stąd wydostać — nie zostało już wiele czasu. Philip nawet nie drgnie, gdy wymykam się z łóżka. Moje ubranie leży na komodzie, nie muszę się, więc obawiać, że przy otwieraniu szaf i szuflad rozlegną się niepokojące skrzypienia czy zgrzyty. Zabieram swoje klucze, zaciskając je w dłoni, aby nie zabręczały, delikatnie otwieram drzwi i po cichu wychodzę na korytarz.

Dokoła panuje cisza. Światło wydaje się przyćmione, jakby przeciążone przez pustkę. Kiedy naciskam przycisk przywołujący windę, ta skrzypi, jakby skarżyła się, że ktoś chce z niej skorzystać o tak bezbożnej porze. Parter i hol także są opustoszałe. Ludzie, których stać na wynajem mieszkania tak blisko centrum Toronto, o tej porze śpią sobie smacznie.

Moje nogi teraz nie tylko świerzbią, ale i bołą podkurczam palce, by sprawdzić, czy świerzbienie ustanie. Jednak nie. Spoglądam na kluczyki od samochodu, które trzymam w dłoni. Już za późno, by pojechać w bezpieczne miejsce, świerzbienie zmienia się w przenikliwy ból. Włożywszy kluczyki do kieszeni, wychodzę na ulicę, szukając zacisznego miejsca, gdzie mogłabym przejść Przemianę. Idąc, badam doznania przenikające moje nogi i docierające do ramion, a stamtąd aż do karku. Już niedługo. Niedługo. Kiedy zaczyna mnie świerzbić skóra na czaszce, wiem, że dalej już nie dojdę, i zaczynam rozglądać się za ciemną uliczką. W pierwszej, na jaką natrafiam, zastaję dwóch mężczyzn ściśniętych w kartonie po wielkoekranowym telewizorze. Następna jest pusta. Szybko docieram na sam koniec, rozbieram się pospiesznie za barykadą z koszy na śmieci i chowam ciuchy pod starą gazetą. A potem rozpoczynam Przemianę.

Moja skóra rozciąga się. Wrażenie się pogłębia i próbuję zablokować ból. Cóż za trywialne słowo, lepsze byłoby — agonia. Uczucia obdzierania żywcem ze skóry nie sposób nazwać „bolesnym”. Biorę głęboki wdech i skupiam się na Przemianie, osuwając się na ziemię, zanim zegnę się w pół i upadnę. To nigdy nie jest łatwe — może wciąż jestem nazbyt ludzka. Usiłując zachować klarowność myśli, próbuję przewidzieć każdą kolejną fazę i układam ciało w odpowiedniej pozycji — na czworakach, głowa opuszczona, ręce i nogi wyprostowane, stopy i dłonie rozluźnione, plecy wygięte w łuk. Mięśnie nóg naprężają się jak struny. Wzdycham głośno i rozpaczliwie próbuję się rozluźnić. Pot leje się ze mnie strumieniami, ale mięśnie w końcu wiotczeją i rozluźniają się. I wtedy nadchodzi dziesięć sekund piekła, które sprawiają, że wolałabym raczej zdechnąć, niż ponownie to przechodzić. Klnę w żywy kamień. W końcu jest po wszystkim.

Przemiana dokonana.

Przeciągam się i mrużę oczy. Kiedy rozglądam się wokoło, świat jawi mi się jako kalejdoskop barw nieznanym ludzkiemu oku, czerni, brązów i subtelnych odcieni szarości, które mój mózg wciąż przetwarza na błękity, zielenie i czerwienie. Unoszę nos i wciągam powietrze. Po Przemianie moje i tak już czułe zmysły są jeszcze bardziej wyostrzone. Wychwytyję woń świeżego asfaltu, gnijących pomidorów, kwiatów w doniczkach, stęchłego potu i miliona innych rzeczy mieszających się w odór tak powalający, że zaczynam kasłać i kręcić głową. Kiedy się odwracam, w powgniatanej blaszanej klapie od śmietnika dostrzegam zniekształcone fragmenty swego odbicia. Dostrzegam odbicie swoich oczu.

Rozchyłam wargi i warczę na siebie. Na metalu pojawia się błysk białych kłów.

Jestem wilczycą, pięćdziesięciodziewięciokilogramową waderą o jasnej sierści. Jediną ludzką częścią, jaka pozostała, są moje oczy, błyszczące chłodną inteligencją i nienasyconą drapieżnością, która jest w stu procentach ludzka.

Rozglądam się dokoła, ponownie chłonąc zapachy miasta. Jestem podenerwowana. Jest za ciasno, za mało miejsca, czuć woń ludzkich odchodów. Muszę być ostrożna. Jeśli mnie zobaczą mogą wziąć mnie omyłkowo za psa, dużego mieszańca — pół husky, pół labradora. Ale nawet pies moich rozmiarów musi wzbudzić niepokój, biegając swobodnie po mieście. Wycofuję się w głąb zaułka i zaczynam szukać drogi przez mroczne zakamarki miasta.

Mój mózg jest otepiały, zdezorientowany, nie przez zmianę kształtu, lecz nienaturalność otoczenia. Nie mogę się pozbierać i pierwsza uliczka, w którą wbiegam, jest tą, do której zajrzałam wcześniej w ludzkiej postaci, tą z dwoma mężczyznami w starym kartonie po telewizorze. Jeden z mężczyzn już nie śpi. Naciąga na siebie zeszywniały od brudu koc, by ochronić się przed chłodem październikowej nocy. Unosi wzrok i dostrzega mnie. Jego oczy się rozszerzają kuli się w sobie i nagle nieruchomieje. Mówi coś. Ma melodyjny, nienaturalny głos, jakim ludzie zwykle zwracają się do dzieci i zwierząt. Gdybym się skupiła, wychwyciłabym słowa, ale to bezcelowe. Wiem, co mówi, coś w rodzaju „dobry piesek”, powtarzając to jak inkantację i odpowiednio modulując głos. Ręce wyciągnął przed siebie, jakby chciał mnie odpędzić, język ciała klóci się z głosem. „Nie zbliżaj się — dobry piesek — nie zbliżaj się”. A ludzie się dziwią, czemu zwierzęta ich nie rozumieją.

Czuję bijącą z jego ciała woń brudu i nieczystości. Cuchnie jak słaba istota, jak stary jeleń zepchnięty na obrzeże stada, idealny cel dla drapieżników. Gdybym była głodna, pachniałby jak kolacja. Na szczęście jeszcze nie zgłodniałam, nie muszę, więc borykać się z pokusą, sprzecznymi, odrazą. Parskam, drobne kropelki wylatują z moich nozdrzy, po czym odwracam się i biegnę w stronę wylotu zaułka.

Przed sobą mam wietnamską restaurację. Woń potraw przeniknęła do cna drewniane ściany budynku. Na dokładkę wiatrak wentylacji obraca się powoli, szczękając przy każdym obrocie, gdy jedna z łopatek zahacza o metalową obudowę. Okno poniżej wentylatora jest otwarte. Wyblakła zasłona w słoneczniki faluje pod wpływem podmuchów nocnego wiatru. Słyszę znajdujących się wewnątrz ludzi, jest ich sporo, stękają i poświstują przez sen. Chcę ich zobaczyć. Chcę zajrzeć do środka przez otwarte okno. Wilkołak może mieć niezły ubaw w pokoju pełnym bezbronych ludzi.

Zaczynam się podkradać, gdy wtem trzask i syk sprawiają, że zastygam w bezruchu. Syk cichnie, zagłuszony przez ostry męski głos, słowa są jak odłupujące się sople lodu. Odwracam głowę to w jedną, to w drugą stronę, mój wewnętrzny radar poszukuje źródła tego głosu. Jest w głębi ulicy. Opuuszczam sobie restaurację i idę w tamtą stronę. Jesteśmy z natury ciekawskie. Mężczyzna stoi na parkingu dla trzech aut, na końcu wąskiego przesmyku między budynkami. Przykłada do ucha krótkofalówkę, a jednym łokciem opiera się o ceglana ścianę, nonszalancki, ale nie spokojny. Ramiona ma rozluźnione. Spogląda w przestrzeń. Jest pewny siebie, czuje, że ma

prawo tu być, i nie obawia się niczego ze strony nocy. Wrażenie to potęguje zapewne pistolet, który ma zawieszony u pasa. Przestaje mówić, wciska guzik i wkłada krótkofalówkę do uchwytu przy pasku. Przepatruje wzrokiem parking, lustrując wszystko, ale nie dostrzega nic godnego uwagi. Potem wchodzi nieco dalej w głąb labiryntu uliczek. To może być zabawne. Podążam za nim.

Moje pazury stukają o asfalt, on nie zwraca na to uwagi. Przyspieszam, śmigając wśród worków ze śmieciami i pustych pudeł. W końcu jestem dostatecznie blisko. On słyszy za sobą regularne skrobanie i przystaje. Chowam się za pojemnikiem na śmieci i wychylam się nieznacznie zza rogu. On odwraca się i wpatruje w mrok. Po chwili rusza naprzód. Pozwalam mu przejść kilka kroków, po czym podejmuję pościg. Tym razem, kiedy staje, odczekuję jeszcze chwilę, zanim się schowam. On mamrocze coś pod nosem. Zobaczył coś — lekkie poruszenie, przesuwały się cień... Sięga prawą ręką po broń, muskając metal, po czym mityguje się, jakby odzyskał rezon i pewność siebie. Przez chwilę się waha, rozglądając się w tę i z powrotem wzdłuż uliczki, nie wiedząc, co robić dalej. Dopiero teraz uświadamia sobie, że jest sam. Mamrocze coś i rusza przed siebie nieco szybszym krokiem.

Gdy tak idzie, zerkając ukradkiem na boki, jest nie tyle czujny, co wyraźnie zaniepokojony. Biorę głęboki wdech, wychytując woń jego strachu, na tyle silną, że moje serce zaczyna bić żywszym rytmem, ale nie dość silną, by całkowicie zapanowała nad moim umysłem. Jest idealną ofiarą do gry w podchody. Nie próbuje uciekać. Mogę stłumić większość moich instynktów. Mogę go podchodzić, nie zabijając go. Mogę wytrzymać pierwsze oznaki głodu, nie zabijając go. Mogę patrzeć, jak dobywa broń, nie zabijając go. Jeśli jednak spróbuje uciekać, nie zdołam się pohamować. To pokusa, której nie zwalczę. Jeśli zacznie uciekać, rzucę się za nim w pogoń. A jeśli zacznę go ścigać, to albo on zabije mnie, albo ja jego.

Kiedy skręca w najbliższą boczną uliczkę, rozluźnia się. Za jego plecami panuje cisza. Wymykam się z mojej kryjówki, przenosząc ciężar ciała na poduszki łap, by stłumić odgłos pazurów. Niebawem jestem o kilka metrów za nim. Czuję zapach jego wody po goleniu, nieomal maskujący jego naturalny zapach po całym dniu pracy. Widzę białe skarpetki, to pojawiające się, to znikające pomiędzy krawędzią nogawek a butami. Słyszę jego oddech, nieco przyspieszony, zdradzający, że szedł szybciej niż zwykle. Wysuwam się naprzód, podchodzę tak blisko, że gdybym chciała, mogłabym skoczyć i przewrócić go, zanim zdążyłby sięgnąć po broń. Unosi gwałtownie głowę. Wie, że tam jestem. Wie, że coś tam jest. Ciekawe, czy się odwróci. Czy ośmieli się spojrzeć, stawić czoło czemuś, czego nie jest w stanie dostrzec ani usłyszeć, ale co wyczuwa? Sięga po broń, ale nie odwraca się. Idzie coraz szybciej. Wreszcie dociera do gwarantującej mu bezpieczeństwo ulicy.

Dochodzę za nim do końca zaułka i obserwuję z ciemności. Maszeruje przed siebie, z kluczykami w dłoni, otwiera drzwiczki auta i wskakuje do środka. Wóz z rykiem i piskiem opon rusza od krawężnika. Patrzę na oddalające się tylne światła i wzdycham, koniec gry. Wygrałam. To było miłe, ale nie dało mi dostatecznej satysfakcji. Ciemne zaułki są dla mnie zbyt ciasne. Moje serce dudni niespożytym podnieceniem. Nogi aż bolą od nagromadzonej energii. Muszę biec. Wiatr z zachodu niesie ze sobą ostrą woń jeziora Ontario. Myślę o tym, by udać się na plażę, wyobrażam sobie, jak biegam po piasku, czując lodowatą wodę obmywającą moje łapy, ale to nie jest bezpieczne. Jeżeli chcę biegać, muszę udać się do wąwozu. To daleko, ale nie mam wyboru, chyba, że zamierzam przez resztę nocy szwendać się po cuchnących ludźmi zaułkach. Kieruję się na północny wschód i ruszam w drogę.

Prawie pół godziny później stoję na szczycie pagórka. Mój nos drży, wychytując woń liści palonych nielegalnie na jakimś pobliskim podwórzu. Wiatr smaga moją sierść, chłodny, prawie zimny, orzeźwiający. Nade mną słychać grzmot pojazdów przejeżdżających po wiadukcie. W dole jest idealna oaza w środku miasta. Ruszam naprzód. Nareszcie biegnę.

Natychmiast łapię właściwy rytm. Zamykam na moment oczy i czuję, jak wiatr muska mój pysk. Kiedy moje łapy uderzają o twardą ziemię, w nogach pojawiają się drobne ukłucia bólu, ale dzięki nim czuję, że żyję, jakbym gwałtownie obudziła się po zbyt długim śnie. Mięśnie kurczą się i rozkurczają w idealnej harmonii. Każdemu rozkurczowi towarzyszy ból i fala fizycznej radości. Ciało dziękuje mi za to ćwiczenie, nagradzając dawkami działającej niemal jak narkotyki adrenaliny. Im dłużej biegnę, tym czuję się lżejsza, ból odpływa, jakby moje łapy nie dotykały już ziemi. Nawet, gdy biegnę po dnie wąwozu, czuję, jakbym zbiegała w dół zbocza, zyskując energię, a nie zużywając ją. Chcę biec, aż całe napięcie w moim ciele nie odpłynie zupełnie, pozostawiając jedynie doznania chwili. Nie mogłabym się zatrzymać, nawet gdybym chciała. A nie chcę.

Zeschłe liście trzeszczą pod moimi łapami. Gdzieś w głębi lasu pohukuje cicho sowa. Skończyła polowanie i odpoczywa zadowolona, nie dbając o to, kto jest w pobliżu. Z gąszczu wybiega królik, przecinając mi drogę, a gdy uświadamia sobie, że popełnił błąd, natychmiast zawraca, by zniknąć wśród krzewów. Biegnę dalej. Moje serce dudni. Pomimo narastającej ciepłoty mego ciała powietrze wydaje się lodowate, kłujące, gdy wdziera się do moich nozdrzy i płuc. Biorę głębokie wdechy, rozkoszując się towarzyszącym temu doznaniom. Biegnę za szybko, by cokolwiek poczuć. Strzępki zapachów przepływają przez mój umysł, tworząc złożony obraz poczucia wolności. Nie mogę się oprzeć i w końcu zatrzymuję się, odchylam głowę do tyłu i wyję. Ta melodia wypływa z mojej piersi i jest jawną apoteozą czystej radości. Odbija się echem poprzez cały wąwóz i wzbija się ku bezkłęskowemu niebu, dając wszystkim do zrozumienia, że tu jestem. Ja tu rządzę! Kiedy kończę, opuszczam głowę i dyszę ze zmęczenia. Stoję tam, wpatrując się w leżące na ziemi żółte i czerwone liście klonu, gdy nagle jakiś dźwięk wyrwa mnie z odrętwienia. To warkot, cichy, groźny warkot. Pojawił się pretendent do mego tronu.

Unoszę wzrok, by ujrzeć brązowo-żółtego psa stojącego o kilka metrów dalej. Nie. To nie pies. Mój umysł potrzebuje sekundy, ale w końcu rozpoznaje to zwierzę. Kojot. Identyfikacja trwa chwilę, bo jest zgoła nieoczekiwana. Słyszałam, że w mieście żyją kojoty, ale nigdy żadnego nie widziałam. Kojot jest równie zdezorientowany. Zwierzęta nie wiedzą, co mają o mnie myśleć.

Wyczuwają człowieka, ale widzą wilka i kiedy już mają uznać, że zawiódł je węch, patrzą w moje oczy i dostrzegają w nich człowieka. Kiedy spotykam się z psami, albo atakują albo uciekają z podkulonym ogonem. Kojot nie robi ani tego, ani tego. Unosi pysk i węszy, a potem zjeża sierść i szczyrzy kły, warcząc groźnie. Jest o połowę mniejszy ode mnie, prawie niewart uwagi. Daję mu to do zrozumienia, warcząc leniwe „spadaj” i kręcąc łbem. Kojot nie porusza się. Patrzę na niego. Kojot pierwszy przerywa kontakt wzrokowy.

Parskam, ponownie potrząsam głową i odwracam się powoli. Jestem w połowie odwrócona, gdy nagle brązowa smuga rzuca się w stronę mojego barku. Uskakując w bok, przetaczam się po ziemi i podrywam gwałtownie. Kojot szczyrzy kły. Odpowiadam groźnym warknięciem, psim odpowiednikiem: „Teraz mnie wkurzyłeś”. Kojot nie cofa się. Chce walki. Świetnie.

Sierść mi się jeży, rozpościeram ogon. Opuszczam nisko głowę, kładę uszy po sobie i czuję, jak warkot powoli przepływa przez moje gardło, by rozejść się echem wśród nocy. Kojot nie cofa się. Szykuję się do skoku, gdy nagle coś uderza mnie mocno w bark, wytrącając z równowagi. Potykam się, po czym odwracam w stronę napastnika. Drugi kojot, szaro-brązowy, zwiesza się z mego barku, zatopiwszy w nim kły aż do kości. Z rykiem bólu i wściekłości targam całym ciałem i rzucam się w bok.

Kiedy strząsam z siebie drugiego kojota, pierwszy atakuje mój pysk. Pochylając głowę, chwytam go za gardło, ale moje zęby zamiast na ciele zaciskają się na sierści i udaje mu się wyrwać. Próbuje się wycofać, by zaatakować ponownie, ale ja rzucam się na niego i zmuszam, by

zrejterował aż do drzewa. Staje na tylnych łapach, próbując mi się wymknąć. Rzucam mu się do gardła. Tym razem chwyt jest właściwy. Krew wpływa mi do ust, słona i gęsta. Drugi kojot ląduje na moim grzbiecie. Nogi uginają się pode mną kły wbijają się w luźną skórę za czaszką. Nowa fala bólu przenika mnie na wskroś. Mocno się skupiam i nie puszczam pierwszego kojota, którego trzymam za gardło. Odzyskuję równowagę, po czym puszczam uścisk na ułamek sekundy, ale to wystarczy, bym zdążyła zadać mu zabójczy cios i rozszarpać gardło. Kiedy się cofam, buchająca krew zalewa mi oczy, oślepiając. Mocno kręcę głową rozdzierając kojotowi gardło. Kiedy zwierzę wiotczeje, odrzucam je w bok, po czym rzucam się na ziemię i turlam się po niej. Kojot na moim grzbiecie skamle zaskoczony i rozluźnia uścisk. Podrywam się z ziemi i równocześnie tym samym płynnym ruchem odwracam się, gotowa uśmiercić także to drugie zwierzę, ale ono czmychnęło już w krzaki. Znika w błysku szarego ogona, zjeżonego jak szorstka drucziana szczotka. Patrzę na martwego kojota. Krew tryska mu z gardła, łączywie pochłaniana przez suchą ziemię, na której spoczywa. Czuję przenikający mnie dreszcz jak ostatnią falę zaspokojonej żądz. Zamykam oczy i dygoczę. To nie moja wina. One zaatakowały mnie pierwsze. W wąwozie panuje cisza odpowiadająca spokojowi, jaki mnie przepełnia. Słychać tylko granie świerszczy. Cały świat śpi, spowity ciszą i ciemnością.

Próbuję obejrzeć i oczyścić moje rany, ale nie mogę ich dosięgnąć. Wypreżam się i oszacowuję obrażenia po poziomie bólu. Dwa głębokie ugryzienia, oba krwawiące tylko tyle, by posoka pozlepiła mi sierść.

Przeżyję. Odwracam się i ruszam w stronę wylotu wąwozu.

W zaułku odbywam Przemianę, po czym wkładam ciuchy i wymykam się chyłkiem na ulicę, jak ćpun przyłapany na dawaniu w żyłę w ciemnościach. Przepełnia mnie frustracja. To nie powinno się tak kończyć, w brudzie, ukradkiem, wśród śmieci i odpadków miasta. To powinno się skończyć na leśnej polanie, z ubraniami ukrytymi gdzieś w gąszczu, gdy leżąc nago, mogłabym czuć chłód ziemi pod sobą, a nocny wiatr muskałby piśszczotliwie moją gołą skórę. Powinnam zasnąć na trawie, wyczerpana ponad wszelką miarę i mając umysł wypełniony miazmatem zaspokojenia. Nie powinnam też być sama. Słyszę znajome pochrapywanie, od czasu do czasu także szept i śmiech. Czuję ciepłą skórę dotykającą mojej, gołą stopę zaczepioną o moją łydkę i podrygującą w rytm snu o bieganiu. Czuję ich, woń ich potu, ich oddechy, mieszające się z wonią krwi jelenia zabitego podczas polowania. Obraz rozplywa się, a ja patrzę w okno sklepowe, nie dostrzegając nic prócz własnego odbicia. Moją ściśniętą pierś przepełnia ból samotności tak dojmujący i niepoahamowany, że nie mogę oddychać.

Odwracam się szybko i uderzam w pierwszą rzecz, którą mam pod ręką. Latarnia drży i wibruje pod wpływem ciosu. Ból przeszywa moje ramię. Witamy w realnym świecie — przemiana w ciemnym zaułku i powrót cichaczem do mego mieszkania. Jestem przekłeta i zmuszona, by żyć pomiędzy światami. Po jednej stronie normalność. Po drugiej miejsce, gdzie mogę być, czym jestem, nie obawiając się odwetu, gdzie mogę popełnić

morderstwo, a otaczający mnie nawet nie mrugnęliby okiem i gdzie nawet zachęcaliby mnie do zabijania w imię ochrony tego świata. Ale odeszłam i nie mogę wrócić. Nie chcę wrócić.

Kiedy idę do swego mieszkania, mój gniew pozostawia przy każdym kroku bolesne pęcherze na chodniku. Kobieta skulona pod stertą brudnych koców wygląda, kiedy ją mijam, i instynktownie wycofuje się do swego schronienia. Kiedy skręcam za róg, pojawia się przede mną dwóch mężczyzn; taksują mnie wzrokiem, jakby sprawdzali, czy nadaję się na ofiarę. Pohamowuję w sobie chęć wyszczerzenia się do nich. Ostatkiem sił. Przyspieszam kroku, a oni stwierdzają, że nie jestem warta tego, by mnie gonić. Nie powinnam tu być. Powinnam być teraz w domu, w łóżku, a nie szwendać się o czwartej nad ranem po ulicach Toronto. Normalnej

kobiety nie byłoby tu teraz. To kolejne potwierdzenie, że nie jestem normalna. Nie jestem normalna. Spoglądam w głąb ciemnej ulicy i potrafię odczytać ulotkę na słupie latarni piętnaście metrów dalej. To nie jest normalne. Wychwytyję zapach świeżego chleba z piekarni oddalonej o wiele kilometrów. To nie jest normalne. Przystaję przy witrynie, chwytam za metalową kratę i naprężam bicepsy. Metal zaczyna z jękiem wyginać się w mojej dłoni. To nie jest normalne. Ani trochę. Wyśpiewuję w myślach słowa, bicząc się nimi. Gniew tylko narasta.

Zatrzymuję się przed drzwiami mego domu i biorę głęboki oddech. Nie mogę obudzić Philipa. A jeżeli nawet go obudzę, nie może mnie taką zobaczyć: skóra naprężona, rumieńce, oczy opalizujące gniewem, który od jakiegoś czasu nieodmiennie następuje po Przemianie. To z całą pewnością nie jest normalne.

Kiedy wchodzę w końcu do mieszkania, słyszę dochodzący z sypialni miarowy oddech Philipa. Wciąż śpi. Dochodzę prawie do łazienki, kiedy oddech się łamie.

— Eleno? — Ma zaspany, ochrypli głos.

— Idę tylko do łazienki.

Próbuję przemknąć się obok drzwi, ale on już usiadł na łóżku i spogląda na mnie, mrużąc lekko powieki. Marszczy brwi.

— Tak ubrana? — pyta.

— Wychodziłam.

Chwila ciszy. Przeczesuje dłonią ciemne włosy i wzdycha.

— To nie jest bezpieczne. Do cholery, Eleno. Rozmawialiśmy o tym. Jak chcesz wyjść, obudź mnie, pójdę z tobą.

— Musiałam pobyć sama. Przemyśleć parę spraw.

— To nie jest bezpieczne.

— Wiem. Przepraszam.

Wchodzę do łazienki i spędzam tam więcej czasu, niż to konieczne. Udaję, że korzystam z toalety, myję ręce taką ilością wody, że wystarczyłoby jej do wypełnienia jacuzzi, po czym stwierdzam, że jeden z paznokci wymaga natychmiastowego spiłowania. Kiedy w końcu stwierdzam, że Philip znów zasnął, udaję się do sypialni. Nocna lampka jest zapalona. On na wpół leży, oparty na poduszce, ma na nosie okulary. Przystaję w drzwiach. Nie mogę się zdobyć, by przestąpić próg, podejść i wślizgnąć się do łóżka obok niego. Nienawidzę się za to, ale nie mogę tego zrobić. Wspomnienie nocy nie mija, czuję się tu nie na miejscu.

Kiedy tak stoję w bezruchu, Philip zwiesza nogi poza krawędź łóżka i siada.

— Nie chciałem tak na ciebie naskoczyć — mówi. — Martwiłem się. Wiem, że potrzebujesz swobody i staram się...

Milknie i przesuwa dłonią po ustach. Jego słowa przenikają mnie na wskroś. Wiem, że nie chciał dawać mi reprimendy, ale te słowa upewniają mnie, że zaważyłam sprawę i że mam szczęście, iż znalazłam kogoś tak cierpliwego i wyrozumiałego jak Philip, a ja rozbijam tę ścianę cierpliwości z karkołomną prędkością i jedyne, co mogę zrobić, to zaprzeć się i czekać na moment ostatecznego uderzenia.

— Wiem, że potrzebujesz swobody — powtarza. — Ale musi być jakiś inny sposób. Może mogłabyś wychodzić wczesnym rankiem. Jeżeli wolisz nocne wypadki, moglibyśmy pojechać nad jezioro. Tam mogłabyś sobie spokojnie pochodzić, gdzie chcesz. Ja siedziałbym w aucie i czuwałbym nad tobą. — Uśmiecha się z przymusem. — Choć może i nie. Pewnie zgarnęłyby mnie gliny jako podglądacza w średnim wieku śledzącego piękną, młodą blondynkę. — Przerzywa, po czym wychyla się do przodu. — Teraz twoja kwestia, Eleno. Powinnaś przypomnieć mi, że czterdzieści jeden lat to jeszcze nie wiek średni.

— Coś wymyślimy — mówię.



Oczywiście to niemożliwe. Muszę biegać pod osłoną nocy i w samotności. Nie ma mowy o żadnych kompromisach.

Kiedy siada na skraju łóżka i patrzy na mnie, wiem, że nasz związek nie ma przyszłości. Mam tylko, nadzieję, że uda mi się uczynić go idealnym pod każdym względem na, tyle, że Philip przestanie przejmować się tym jednym, niemożliwym do rozwiązania problemem. Aby to uczynić, powinnam przede wszystkim podejść do niego, wślizgnąć się do łóżka, pocałować go i powiedzieć, że go kocham. Ale nie mogę. Nie tej nocy. Dziś jestem czymś innym, czymś, czego on nie zna i nie mógłby zrozumieć. Nie chcę zbliżać się do niego w takim stanie.

— Nie jestem zmęczona — mówię. — Chyba położę się trochę później. Masz ochotę na śniadanie?

Patrzy na mnie. Na jego twarzy pojawia się rezygnacja i wiem, że znów dałam ciała. Ale on nic nie mówi.

Uśmiecha się do mnie.

— Wyjdźmy stąd. W tym mieście nawet o tej porze musi być coś otwarte. Będziemy jeździć tak długo, aż coś znajdziemy. Wypijemy pięć filiżanek kawy i będziemy podziwiać wschód słońca. Może być?

Kiwam głową, nie ufam sobie, nie odważę się odezwać.

— Chcesz wziąć prysznic pierwsza? — pyta. — Czy rzucamy monetą?

— Idź pierwszy.

Całuje mnie w policzek, kiedy mnie mijają. Czekam, aż usłyszę szum płynącej wody, a potem ruszam w stronę kuchni.

Czasami jestem głodna jak wilk.

## Człowiek.

Stałam przez chwilę przed drzwiami, zanim nacisnęłam na dzwonek. Był Dzień Matki, a ja stałam przed drzwiami z prezentem w dłoni, co mogłoby się wydawać całkiem normalne, gdyby to był prezent dla mojej mamy. Ale ona od dawna już nie żyła, a ja nie utrzymywałam kontaktów z zastępczymi matkami, a tym bardziej nie kupowałam im prezentów. Ten prezent był dla matki Philipa. I znów byłoby to normalne, gdyby Philip mi towarzyszył. Ale go tu nie było. Zadzwoił godzinę temu ze swego biura, by powiadomić, że nie da rady przyjechać. Czy chciałam pojechać sama? A może wolę na niego poczekać? Postanowiłam pojechać, a teraz stałam, zastanawiając się, czy podjęłam właściwą decyzję. Czy dziewczyna odwiedza matkę swego chłopaka w Dzień Matki bez swego chłopaka? Może za bardzo się staram? To nie byłby pierwszy raz.

Ludzkie zasady wprawiają mnie w zakłopotanie. Nie żebym zachowywała się, jakbym dorastała w jaskini. Zanim stałam się wilkołakiem, nauczyłam się niezbędnych podstaw: jak złapać taksówkę, jak przywołać windę, jak założyć konto bankowe, takie tam drobiazgi składające się na ludzkie życie. Problem pojawił się, gdy w grę wchodziły interakcje z ludźmi. Moje dzieciństwo było naprawdę koszmarnie. A kiedy wchodziłam już w wiek dojrzenia, u progu dorosłości zostałam ugryziona i spędziłam kolejnych dziewięć lat mego życia z innymi wilkołakami. Nawet wtedy nie odciąłam się jednak od świata ludzi. Wróciłam na uczelnię, podróżowałam z innymi, podejmowałam także pracę. Ale one zawsze były blisko, oferując mi wsparcie, ochronę i towarzystwo. Nie musiałam się o to martwić. Nie musiałam szukać sobie przyjaciół ani kochanków czy chodzić na lunch z kolegami z pracy. Więc nie robiłam tego. W

zeszłym roku, kiedy zerwałam z innymi i wróciłam do Toronto, sama, sądziłam, że przystosowanie się będzie najmniejszym z moich problemów. Czy to mogło stanowić jakiś kłopot? Wystarczy wziąć podstawy, których nauczyłam się w dzieciństwie, i połączyć je z umiejętnością prowadzenia dojrzałej konwersacji, opanowaną dzięki innym, dorzucić odrobinę ostrożności i — *voilà!* — nim się obejrzę, zacznę zdobywać przyjaciół i zawierać nowe znajomości. Ha!

Czy już za późno, by odejść? Nie chciałam odchodzić. Wzięłam głęboki oddech i nacisnęłam przycisk dzwonka. W chwilę później wewnątrz rozległ się tupot kroków. Zaraz potem odpowiedziała mi okrągłolica kobieta o siwiejących kasztanowych włosach.

— Elena! — powiedziała Dianę, otwierając drzwi na oścież. — Mamo, Elena tu jest. Czy Philip parkuje wóz? Nie do wiary, że przy ulicy nie ma ani jednego wolnego miejsca. Chyba wszyscy zjechali się w odwiedziny.

— Właściwie to... Philipa tu nie ma. Ma sporo pracy, ale niedługo się zjawi.

— Pracuje? W niedzielę? Powinnaś odbyć z nim poważną rozmowę, dziewczyno. — Dianę przytrzymała otwarte drzwi. — Wejdz, wejdz. Wszyscy już są.

Z tyłu, za siostrą Philipa pojawiła się jego matka, Anne. Była drobna, nie sięgała mi nawet do podbródka, stalowosiwe włosy miała obcięte na pazia.

— Wciąż korzystasz z dzwonka, kochanie? — spytała, wyciągając ręce, by mnie uściskać. — Tylko akwizytorzy dzwonią do drzwi. Rodzina wchodzi od razu.

— Philip się spóźni—powiedziała Dianę. — Pracuje.

Anne mruknęła coś pod nosem i wprowadziła mnie do środka. Ojciec Philipa, Larry, był w kuchni, podbierając ciastka prosto z tacy.

— One są na deser, ojciec — rzekła Anne, odganiając go od łakoci.

Larry na powitanie objął mnie jedną ręką w drugiej wciąż trzymał ciastko.

— A gdzie...

— Będzie później — przerwała Dianę. — Pracuje. Wejdz do salonu, Eleno. Mama zaprosiła na lunch sąsiadów, Sally i Juana. — Zniżyła głos do szeptu. — Ich dzieciaki wyjechały na Zachód. — Otworzyła pchnięciem przesuwane drzwi. — Zanim tu dotarłaś, mama pokazywała im parę twoich ostatnich artykułów z „Focus Toronto”.

— Uhm-hm. To dobrze czy źle?

— Bez obawy. To zatwardziali liberałowie. Bardzo im się spodobały twoje teksty. No i już jesteśmy. Sally, Juanie, to Elena Michaels, dziewczyna Philipa.

Dziewczyna Philipa. To zawsze brzmiało dziwnie, nie, dlatego, że mam coś przeciw temu, by nazywać mnie

„dziewczyną” zamiast „partnerką” czy równie idiotycznie, zgodnie z zasadami politycznej poprawności. Zbijało mnie to z tropu, bo od lat nie byłam niczyją dziewczyną. Nie angażowałam się w związki. Dla mnie, jeśli coś trwało przez weekend, było zdecydowanie zbyt poważne. Mój jeden jedyny dłuższy związek był kompletną porażką. Gorzej. Był katastrofą.

Philip był inny.

Poznałam Philipa kilka tygodni po mojej przeprowadzce do Toronto. Mieszkał o parę przecznic ode mnie. Jako że budynki, w których mieszkaliśmy, należały do tego samego właściciela, lokatorzy z jego kompleksu mieli dostęp do fitness klubu, mieszczącego się w moim. Któregoś dnia po północy przyszedł na basen i ujrawszy, jak pokonuję kolejne długości basenu, zapytał, czy może się przyłączyć, jakbym była w stanie mu tego zabronić. Przez następny miesiąc często spotykaliśmy się nocami w fitness klubie. Za każdym razem upewniał się, że nie mam nic przeciw temu, abyśmy poćwiczyli tylko we dwojkę. W końcu wyjaśniłam, że ćwiczę na siłowni, aby nie obawiać się potencjalnych ataków ze strony nieznajomych, i moje plany wzięłyby w łeb,

gdyby deprimowała mnie jego obecność tuż obok. Usłyszawszy to, roześmiał się, a kiedy skończył trening, przyniósł mi sok pomarańczowy z automatu. Kiedy picie soku po treningu stało się dla nas nawykiem, posunął się o krok dalej, proponując kolejno wyjście na kawę, lunch, a następnie kolację. Zanim dotarliśmy do śniadania, od naszego pierwszego spotkania przy basenie upłynęło prawie pół roku. Może między innymi, dlatego się w nim zakochałam; schlebiali mi, że ktoś był gotów poświęcić tyle czasu i wysiłku, aby mnie poznać. Philip zdobył mnie anielską cierpliwością, jak ktoś, kto próbuje zwabić do domu półdzikie zwierzę, i jak wiele przybłąd, także ja zostałam udomowiona, zanim przyszło mi do głowy, że powinnam się temu oprzeć.

Wszystko szło świetnie, dopóki nie zaproponował, byśmy zamieszkali razem. Powinnam była odmówić. Ale nie zrobiłam tego. Jakaś część mnie nie mogła oprzeć się wyzwaniu, by zobaczyć, jak sobie poradzę. Inna część mnie bała się, że gdybym odmówiła, mogłabym go stracić. Pierwszy miesiąc był koszmar. I gdy byłam już pewna, że lada moment wszystko pryśnie jak mydlana bańka, napięcie zelżało. Zmusiłam się, by odwlekać Przemiany najdłużej, jak się da, i biegać dopiero, gdy Philip będzie pracował do późna albo wyjedzie służbowo. Oczywiście nie tylko ja jestem odpowiedzialna za ocalenie tego związku. Przesadziłam, gdybym przypisała sobie choćby połowę zasług. Nawet, kiedy już zamieszkaliśmy razem, Philip był równie cierpliwy jak wówczas, kiedy dopiero zaczęliśmy się spotykać. Kiedy robiłam coś, na co większość ludzi zareagowałaby wytrzeszczeniem oczu, Philip obracał to w żart. Kiedy napięcie spowodowane zbytnią chęcią dopasowania się zaczynało dawać mi się we znaki, zabierał mnie na kolację i dawał do zrozumienia, że zawsze chętnie mnie wysłucha, gdybym chciała się wygadać, i okaże wyrozumiałość, gdybym nie miała na to ochoty. Z początku sądziłam, że to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Każdego dnia, wracając z pracy, przystawałam przed drzwiami mieszkania i przygotowywałam się psychicznie na to, że kiedy wejdę do środka, Philipa tam nie będzie. Ale on nie odszedł. Kilka tygodni temu zaczął wspominać o znalezieniu czegoś większego, kiedy upłynie termin obecnego najmu, może rozsądnie byłoby kupić własne mieszkanie. Mieszkanie własnościowe,

— rany. To brzmiało prawie jak coś stałego, no nie? Od tamtej pory minął tydzień, a ja wciąż byłam w szoku — ale w pozytywnym sensie.

Było późne popołudnie. Sąsiedzi już sobie poszli. Mąż Dianę, Ken, wyszedł wcześniej, aby odwiedzić ich najmłodsze do pracy. Druga siostra Philipa, Judith, mieszkała w Wielkiej Brytanii i na Dzień Matki była zmuszona ograniczyć się do rozmowy telefonicznej, zadzwoniła po lunchu i rozmawiała ze wszystkimi, ze mną również. Jak cała rodzina Philipa traktowała mnie raczej jak szwagierkę niż obecną – dziewczynę – swego – brata - Philipa. Wszyscy byli wobec mnie bardzo życzliwi

— przyjaźni, gotowi mnie zaakceptować, aż trudno mi było uwierzyć, że nie robią tego z czystej uprzejmości. Całkiem możliwe, że naprawdę mnie lubili, ale jako że nie miałam szczęścia do rodzin, trudno mi było w to uwierzyć. Za bardzo tego pragnęłam.

Kiedy zmywaliśmy po obiedzie, zadzwonił telefon. Anne odebrała w salonie. Kilka minut później przyszła i podała mi aparat. To był Philip.

— Przykro mi, kochanie—rzekł, kiedy w końcu odpowiedziałam. — Czy mama się gniewa?

— Nie sądzę.

— To dobrze. Obiecałem, że zrekompensuję jej to, zabierając ją któregoś dnia na kolację.

— Przyjedziesz?

Westchnął.

— Nie dam rady. Dianę odwiezie cię do domu.

— Och, to nie będzie konieczne. Mogę wziąć taksówkę albo...

— Za późno — rzekł. — Rozmawiałem już z mamą by poprosiła Dianę. Teraz już nie wypuszczą cię z domu bez obstawy. — Przerwał. — Naprawdę nie chciałem zostawić cię samej. Dałaś sobie radę?

— Oczywiście. Wszyscy są bardzo mili, jak zawsze.

— Świetnie. Będę w domu przed siódmą. Nic nie szykuj. Kupię coś po drodze. Uczta karaibska?

— Nie cierpisz karaibskich dań.

— Muszę jakoś odpokutować. To do zobaczenia około siódmej. Kocham cię.

Przerwał połączenie, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej.

— Powinnaś była zobaczyć te suknie — mówiła Dianę, odwożąc mnie do domu. — Ohydne. Jak worki z otworami na ręce. Projektanci sądzą chyba, że matce panny młodej jest z założenia obojętne, jak wygląda. Wypatrzyłam jedną naprawdę piękną sukienkę w morskim kolorze, zapewne dla nowej, młodej żony ojca panny młodej, ale była za ciasna w talii. Zastanawiałam się nad przejściem na drakońską dietę, aby jakoś się w nią wcisnąć, ale w końcu odpuściłam. To kwestia zasad. Urodziłam troje dzieci. Zasługuję na ten brzuszek.

— Muszą gdzieś być odpowiednie suknie — powiedziałam. — Zaglądałaś do sklepów, które nie specjalizują się w kreacjach ślubnych?

Miałam taki zamiar. Właściwie chciałam zapytać, czy zechciałabyś pójść tam ze mną. Większość moich przyjaciółek uważa, że worki z otworami na ramiona są świetne. Tuszują mankamenty wieku średniego. A moje córki nie tknęłyby nawet kijem czegoś, co nie odsłaniałoby ich pępków. To jak, zgadzasz się? W ofercie jest jeszcze darmowy lunch. Z trzema martini na dokładkę.

Zaśmiałam się.

— Po trzech martini każda sukienka będzie wyglądać idealnie.

Dianę uśmiechnęła się.

— I o to chodzi. Czyli zgadzasz się?

— Jasne.

— Świetnie. Zadzwoń, to się umówimy na konkretny dzień.

Zatrzymała się przed domem, w którym mieszkałam. Otworzyłam drzwi, po czym przypomniałam sobie o dobrych manierach.

— Wejdiesz na kawę?

Byłam pewna, że uprzejmie odmówi, ale ona zamiast tego rzekła:

— Czemu nie. Kolejna godzina spokoju przed ponownym zejściem do okopów. A poza tym będę miała okazję zmyć mojemu młodszemu bratu głowę, że rzucił cię dziś na żer rekinom.

Zaśmiałam się i wskazałam jej drogę na parking dla gości.

## WEZWANIA

Może trochę przesadziłam, robiąc taką wielką sprawę z mojego pragnienia życia w świecie ludzi, jakby wszystkie wilkołaki odcinały się od społeczeństwa. To nieprawda. Z konieczności większość wilkołaków żyje wśród ludzi. Jeśli nie liczyć utworzenia komuny w Nowym Meksyku, nie mają większego wyboru. Świat ludzi zapewnia im pożywienie, schronienie, seks i wszystko inne, co niezbędne do życia. A jednak mimo iż żyją w tym świecie, nie uważają się za jego część. Kontakty z ludźmi postrzegają jako zło konieczne, a nastawienie wobec nich oscyluje od pogardy po ledwo skrywane rozbawienie. Są aktorami odgrywającymi swoje role, niekiedy bawią się tym, co robią ale zwykle z niekłamaną ulgą schodzą ze sceny. Nie chciałam być taka. Chciałam żyć w świecie ludzi i na tyle, na ile to możliwe być przy tym sobą. Nie wybrałam tego życia sama i nie zamierzałam mu się poddawać, porzucając wszystkie marzenia o przyszłości, zwyczajne, przeciętne marzenia o domu, rodzinie, karierze, a przede wszystkim stabilizacji. Żyjąc jako wilkołak, mogłam o tym wszystkim zapomnieć.

Dorastałam w rodzinach zastępczych. Złych rodzinach zastępczych. Nie mając swojej rodziny, jako dziecko postanowiłam, że uczynię wszystko, aby ją sobie stworzyć. To że stałam się wilkołakiem, dość skutecznie pokrzyżowało moje plany. Mimo to, nawet jeśli mąż i dzieci nie wchodzili w grę, nie oznaczało to, że nie mogłam próbować urzeczywistnić choćby części tych marzeń. Robiłam karierę dziennikarską. Zamieszkałam w Toronto. I próbowałam założyć rodzinę — choć daleką od normalności — z Philipem. Byliśmy razem dostatecznie długo, bym zaczęła wierzyć, że mam przynajmniej cień szansy na odrobinę stabilizacji. Nie mogłam uwierzyć memu szczęściu, że spotkałam kogoś tak normalnego i przyzwoitego jak Philip. Wiedziałam, czym jestem. Byłam trudna, chimeryczna, kłótniwa i wybuchowa, nie w takich kobietach gustował Philip. Oczywiście przy nim zachowywałam się inaczej. Ukrywałam tę część mnie — tę wilkołaczę — w nadziei, że w końcu pozbędę się jej jak wylinki. Przy Philipie miałam szansę, by się zmienić, stać się taką osobą za jaką mnie uważał. I dokładnie taką osobą chciałam być.

Wataha nie rozumiała, dlaczego postanowiłam żyć wśród ludzi. Nie pojmowali tego, bo nie byli tacy jak ja. Po pierwsze, nie urodziłam się wilkołakiem. Większość wilkołaków już się taka rodzi, a przynajmniej przychodzi na świat, mając w swych żyłach wilczą krew, i doświadcza pierwszej Przemiany, gdy osiąga dojrzałość. Drugim sposobem, aby stać się wilkołakiem, to zostać przez jednego z nich ugryzionym. Niewiele osób przeżywa ugryzienie. Wilkołaki nie są głupie ani nie mają inklinacji altruistycznych. Jeżeli już gryzą to żeby zabić. Jeżeli kąsają ale nie uda im się zabić, tropią swoją ofiarę i prędzej czy później kończą, co zaczęły. To po prostu kwestia przetrwania. Jeżeli jesteś wilkołakiem, który udanie zasymilował się z jakimś miastem lub miasteczkiem, ostatnią rzeczą, jakiej pragniesz, to aby nowy, na wpół oszalały wilkołak panoszył się na twoim terytorium, mordując ludzi i zwracając na siebie uwagę. Nawet jeśli jakiś ugryziony zdoła uciec, jego szanse

przeżycia są minimalne. Pierwsze kilka Przemian to istne piekło. Dziedziczne wilkołaki dorastają poznając swoją spuściznę stopniowo, a ich poczynaniami kierują ojcowie. Ugryzione wilkołaki są zdane wyłącznie na siebie. Jeżeli nie zabije ich wysiłek fizyczny, obciążenie psychiczne pchnie ich do samobójstwa albo narobią takiego zamieszania, że jakiś inny zmiennokształtny odnajdzie ich i skróci ich cierpienia, zanim zaczną sprawiać kłopoty.

Kiedy sprawdzałam po raz ostatni, na świecie było około trzydziestu pięciu wilkołaków. I dokładnie trzy niedziedziczne, włącznie ze mną. Ze mną. Jediną samicą wilkołaka, jaka istnieje. Gen wilkołactwa jest przekazywany wyłącznie w linii męskiej, z ojca na syna, toteż dla kobiety jedynym sposobem, aby stać się wilkołakiem, to zostać ukąszoną i przeżyć, co, jak już wspomniałam, należy do rzadkości. Zważywszy na przeciwności, wcale mnie nie dziwi, że jestem jedyna. Ugryziono mnie rozmyślnie, celowo zmieniono w wilkołaka. To doprawdy zdumiewające, że przeżyłam. Bądź co bądź, kiedy na cały gatunek składa się trzy tuziny samców i jedna samica, staje się ona łakomym kąskiem. A wilkołaki nie rozstrzygają waśni przy partyjce szachów. Nie słyną też z szacunku wobec kobiet. W świecie wilkołaków kobiety służą do dwóch rzeczy — do seksu i dojedzenia lub, jeśli okażą się leniwe, po seksie stają się kolacją. Wątpię jednak, by jakkolwiek wilkołak zechciał się mną posilić —jestem nieodpartym obiektem do zaspokajania tej pierwszej potrzeby. Pozostawiona sama sobie nie przeżyłabym. Na szczęście nie opuszczono mnie. Odkąd zostałam ugryziona, byłam pod ochroną Watahy. Każda społeczność ma swoją klasę rządzącą. Wśród wilkołaków była nią Wataha. Z powodów, które nie miały nic wspólnego ze mną za to wszystko ze statusem zmiennokształtnego, który mnie ugryzł, od chwili przeistoczenia stanowiłam część Watahy. Rok temu odeszłam. Odciełam się od nich i nie zamierzałam wrócić. Mając wybór, czy być człowiekiem, czy wilkołakiem, wybrałam to pierwsze.

Następnego dnia Philip miał pracować do późna. Czekałam, aż zadzwoni i powie, że się spóźni, gdy pojawił się w mieszkaniu z kolacją.

— Mam nadzieję, że jesteś głodna — rzekł, stawiając na stole torbę zjedzeniem z hinduskiej restauracji.

Byłam, choć w drodze z pracy do domu pochłonięłam dwie kiełbaski od ulicznego sprzedawcy. Wcześniejszy posiłek złagodził mój głód i w zupełności wystarczyłoby mi teraz zwykła kolacja. Przystosowując się do życia wśród ludzi, nauczyłam się jeszcze wielu przydatnych sztuczek.

Philip opowiadał o pracy, wyjmując pudełka z reklamówki i przygotowując stół do kolacji. Z nieklamana radością odsunęłam papiery na bok, pozwalając, by przyszykował dla mnie miejsce. Czasami bywam naprawdę pomocna. Nawet kiedy miałam już posiłek na talerzu, powstrzymałam się od jedzenia, by dokończyć kuł, nad którym pracowałam. Dopiero wtedy odłożyłam ostatnią kartkę i zasiadłam do stołu.

— Mama zadzwoniła do mnie do pracy—rzekł Philip. — Zapomniała zapytać wczoraj, czy pomożesz jej zaplanować przyjęcie weselne Becky.

— Naprawdę?

Usłyszałam radość w swoim głosie i szczerze się zdziwiłam. Planowanie wesela to w sumie żaden powód do radości. Mimo to nikt wcześniej nie prosił mnie o taką pomoc. Cholera, nikt nawet nigdy nie zaprosił mnie na wesele, jeśli nie liczyć Sary z pracy, ale ona zaprosiła wszystkich swoich współpracowników.

Philip uśmiechnął się.

— Rozumiem, że się zgadzasz. Świetnie. Mama się ucieszy. Uwielbia takie rzeczy, całe to zamieszanie wokół planowania.

— Nie mam doświadczenia w organizowaniu wesel.

— Nic nie szkodzi. Głównym przyjęciem weselnym zajmują się druhny Becky, to będzie skromna uroczystość rodzinna. No, może nie taka skromna. Wydaje mi się, że mama zamierza zaprosić wszystkich krewnych z Ontario. Poznasz wszystkich. Mama na pewno już im o tobie mówiła. Mam nadzieję, że to nie będzie zbyt krepujące.

— Nie — odparłam. — Z przyjemnością pomogę. Już nie mogę się doczekać.

— Teraz tak mówisz. Jeszcze ich nie poznałaś.

Po kolacji Philip zszedł na dół, do fitness klubu, aby trochę poćwiczyć. Kiedy pracował w normalnych godzinach, lubił wcześniej potrenować i wcześniej się położyć, twierdząc nieodmiennie, że jest już za stary, aby sypiać po pięć godzin na dobę. Przez pierwszy miesiąc, kiedy zamieszkaliśmy razem, ćwiczyłam razem z nim. Nie było mi łatwo udawać, że z ledwością wyciskam czterdzieści pięć kilogramów na ławeczce, skoro potrafiłam poradzić sobie z pięć razy większym obciążeniem. Wreszcie któregoś dnia tak bardzo zagadałam się z jednym z naszych sąsiadów, że nie zorientowałam się, że jedną ręką ściągam na maszynie obciążenie rzędu pięćdziesięciu kilogramów i gawędzę przy tym tak swobodnie, jakbym opuszczała żaluzje. Kiedy zauważyłam, że sąsiad bacznie sprawdza wagę obciążenia, zrozumiałam swój błąd i wymyśliłam na poczekaniu jakąś bajeczkę, że najwyraźniej maszyna źle wskazuje ustawienie obciążeń. Od tamtej pory ćwiczyłam wyłącznie między północą a szóstą rano, kiedy na siłowni nie było nikogo. Philipowi wcisnęłam kit, że nocą lepiej mi się trenuje. Kupił to, ale on akceptował bez szemrania rozmaite moje ekstrawagancje. Kiedy pracował do późna, schodziłam do fitness klubu razem z nim i pokonywałam kolejne długości basenu oraz ćwiczyłam na siłowni jak wtedy, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. W innych przypadkach trenowałam sama.

Tego wieczoru, kiedy Philip wyszedł, włączyłam telewizor. Rzadko oglądałam telewizję, ale kiedy już to robiłam, pławiłam się w miazmatach reklam, przerzucając programy edukacyjne i melodramaty, by skupić się na talk-show i krzykliwych nowinkach ze świata gwiazd i gwiazdeczek. Dlaczego? Ponieważ uświadamiały mi one, że na tym świecie są ludzie popieprzeni bardziej ode mnie. Niezależnie jak kiepski miałam dzień, mogłam włączyć telewizor, zobaczyć, jak ja kiś debil mówi swojej żonie i reszcie świata, że sypia z własną córką, i powiedzieć do siebie: „Cóż, jestem od nich lepsza”. Szajsowa telewizja jako terapia dla podbudowania własnej wartości. Nie sposób tego nie polubić.

Dziś w „Inside Scoop” mówiono o jakimś świrze, który prysnął parę miesięcy temu z więzienia w Północnej Karolinie. Szukanie czystej sensacji. Facet włamał się do mieszkania nieznanego mężczyzny, związał go i zastrzelił, bo — cytuję — chciał przekonać się, jakie to uczucie. Autorzy programu wypełnili scenariusz przymiotnikami w rodzaju: „dziki”, „bestialski” czy „zwierzęcy”. Bzdura. Pokażcie mi zwierzę, które zabija tylko po to, by zobaczyć, jak coś umiera. Skąd ten stereotyp zezwierzęcenia zabójców? Ponieważ ludzie to lubią. To zgrabnie tłumaczy rzeczy, których nie rozumieją wynosząc ludzi na szczyt drabiny ewolucyjnej, a zabójców strącając na sam dół, między mitologiczne pół ludzkie, pół zwierzęce monstra w rodzaju wilkołaków.

Prawda jest taka, że jeśli wilkołak zachowuje się jak psychopata, to nie dlatego, że ma w sobie coś ze zwierzęcia, lecz że nadal za bardzo pozostaje człowiekiem. Tylko ludzie zabijają dla sportu.

Program prawie się skończył, kiedy wrócił Philip.

— Przyjemny trening? — spytałam.

— Nigdy nie jest przyjemny — odparł, krzywiąc się. — Wciąż czekam na dzień, kiedy wymyślą pigułkę, która zastąpiłaby ćwiczenia. Co oglądasz? — Nachylił się nade mną. — Już się bili?

— Biją się u Springera. Nie cierpię go. Próbowałam raz obejrzeć jego program. Wytrzymałam dziesięć minut, odsiewając przekleństwa, by zrozumieć, co mówią. W końcu stwierdziłam, że nie było tam nic prócz przekleństw — w przerwach między kolejnymi rundami bijatyki. To jak zawodowe zapasy w telewizyjnym talk- -show. Choć może nie jest to zbyt trafne porównanie. Zawodowe zapasy mają przynajmniej swoją chlubną historię.

Philip zaśmiał się i zmierzwił moje włosy.

— Co powiesz na spacer? Wezmę prysznic, a ty obejrzysz program do końca.

— Może być.

Philip pomaszerował do łazienki. Zakradłam się do lodówki i zgarnęłam kawałek provolone, który ukryłam wśród warzyw. Kiedy zadzwonił telefon, zignorowałam go. Jedzenie było ważniejsze, a skoro Philip już puścił wodę, nie usłyszy telefonu i nie zorientuje się, że nie odebrałam. Tak przynajmniej sądziłam. Kiedy usłyszałam, że zakręcił wodę, wcisnęłam ser za sałatę i pognałam do telefonu. Philip należał do tych, którzy w porze kolacji decydowali się raczej podnieść słuchawkę, niż zaufać automatycznej sekretarce. Próbowałam brać z niego przykład, przynajmniej kiedy był w pobliżu. Pokonałam pół długości mieszkania, kiedy włączyła się automatyczna sekretarka. Mój nagrany głos wyśpiewał mdląco słodkie powitanie i zaprosił dzwoniącego do pozostawienia wiadomości. I dzwoniący się nagrał.

— Eleno? Mówi Jeremy. — Zatrzymałam się w pół kroku. — Zadzwoń do mnie, proszę. To ważne.

Jego głos się urwał. W telefonie rozległ się świszczący oddech. Wiedziałam, że kusilo go, by powiedzieć coś więcej, dorzucić ultimatum w rodzaju „bo-jak-nie”, ale nie mógł tego zrobić. Mieliśmy umowę. Nie mógł tu przyjechać ani przysłać innych. Oparłam się pokusie, by pokazać automatycznej sekretarce język. A figę, nie dostaniesz mnie. Dojrzałość jest przereklamowana.

— To pilne, Eleno — ciągnął Jeremy. — Wiesz, że nie dzwoniłbym, gdyby było inaczej.

Philip sięgnął po telefon, ale Jeremy już się rozłączył. Podniósł słuchawkę i podsunął w moją stronę. Odwróciłam wzrok i podeszłam do kanapy.

— Nie oddzwonisz? — zapytał.

— Nie zostawił numeru.

— Sprawiał wrażenie, jakby spodziewał się, że go znasz. A w ogóle kto to był?

— Eee... daleki kuzyn.

— A więc moja tajemnicza sierotka ma rodzinę? Chciałbym któregoś dnia poznać tego kuzyna.

— Uwierz mi, nie chciałbyś.

Zaśmiał się.

— Uczciwie byłoby odwzajemnić nawet wątpliwą przyjemność. Ja zapoznałem cię z moją toksyczną rodziną. Po przyjęciu weselnym Becky będziesz chciała odplacić mi pięknym za nadobne. Wyszukaj szurniętych kuzynów, którzy spędzili całe lata zamknięci na jakimś ciemnym strychu. Choć jak przypuszczam, szurnięci kuzyni nie byłiby jeszcze tacy źli. W porównaniu z tym, co cię czeka, ma się rozumieć. To lepsze niż stryjeczne babki, które od dzieciństwa opowiadają ci te same historie i zasypiają przy deserze.

Wywróciłam oczami.

— Gotowy na spacer?

— Dokończę tylko prysznic. Może zadzwonisz pod 411?

— I dać się skasować niezależnie od tego, czy podadzą mi numer czy nie?

— To nie wyniesie cię nawet dolara. Stać nas na to. Zadzwoń. Jeżeli nie uda ci się znaleźć jego numeru, to może złapiesz kogoś innego, kto poda ci do niego telefon. Tych kuzynów musi być przecież więcej, prawda?

— Sądzisz, że mają na tych strychach telefony? Mieliby szczęście, mając w ogóle prąd.



— Zadzwoń, Eleno — rzekł udawanie groźnym głosem, znikając za drzwiami łazienki. Kiedy tylko wyszedł, wlepiłam wzrok w aparat. Philip mógł sobie żartować, ale wiedziałam, że naprawdę liczył, iż oddzwonię do Jeremy'ego. W sumie czemu nie? Tak by zrobił każdy normalny człowiek. Philip usłyszał wiadomość i niepokojącą nutę w głosie Jeremy'ego. Odmawiając odpowiedzi na — jak się wydawało — bardzo ważny telefon, musiałabym wydać się nieczuła i zimna. Człowiek by oddzwonił. Chciałam być kobietą która oddzwania po odebraniu takiej wiadomości. Mogłam udać, że zadzwoniłam. To było kuszące, ale nie powstrzymałoby Jeremy'ego przed zadzwonieniem jeszcze raz... drugi... trzeci... bez końca. Nie po raz pierwszy próbował skontaktować się ze mną w ciągu ostatnich paru dni. Wilkołaki dysponują w ograniczonym stopniu zdolnością telepatii. Jeremy wyniósł tę zdolność do rangi sztuki, głównie dlatego, że dawała mu ona jeszcze jedną możliwość, by zaleźć komuś za skórę i nękać go tak długo, aż zrobił, czego od niego żądał. Kiedy próbował się ze mną skontaktować, skutecznie go blokowałam. Dlatego zdecydował się w końcu na telefon. To nie tak efektywne jak bombardowanie czyjegoś mózgu, ale po paru dniach zapełniania taśmy automatycznej sekretarki poddałabym się, choćby tylko po to, by się od niego uwolnić. Stałam przy aparacie, zamknęłam oczy i wzięłam głęboki wdech. Mogłam to zrobić. Mogłam zadzwonić, dowiedzieć się, czego chciał Jeremy, uprzejmie podziękować, że dał mi znać i odmówić wykonania tego, czego ode mnie chciał, bo byłam pewna, że będzie czegoś chciał. Nawet jeśli Jeremy był samcem alfa, a ja zostałam uwarunkowana, by być mu posłuszną, nie musiałam już tego robić. Nie należałam do Watahy. Nie miał nade mną władzy. Podniosłam słuchawkę i wystukałam numer z pamięci. Po czwartym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka. Usłyszałam początek nagrania, nie głos Jeremy'ego, lecz kogoś innego, z silnym południowym akcentem, którego dźwięk sprawił, że miałam chęć natychmiast rzucić słuchawkę. Pot za-perlił się na moim czole. Temperatura w pokoju skoczyła w jednej chwili o sto stopni, wypalając połowę tle-nu. Przetarłam twarz dłonią pokręciłam głową i poszłam znaleźć buty, by iść z Philipem na spacer.

Następnego ranka przed śniadaniem Philip zapytał, o co chodziło Jeremy'emu. Przyznałam, że nie udało mi się z nim skontaktować, ale obiecałam, że nadal będę próbować. Kiedy zjedliśmy, Philip zszedł na dół po gazetę. Zadzwoniłam do Jeremy'ego i znów włączyła się sekretarka. Choć trudno mi było się do tego przyznać, zaczęłam się martwić. To nie była moja wina. Niepokój o moich dawnych braci z Watahy był instynktowny, niemożliwy do opanowania. A przynajmniej tak sobie powtarzałam, kiedy moje serce załomotało silniej przy trzecim nieodebranym połączeniu.

Jeremy powinien tam być. Rzadko opuszczał Stone-haven, wołał prowadzić swe rządy z miejsca będącego jego siedzibą władzy, podczas gdy brudną robotą zajmowali się wierni poddani. No dobrze, to nie była do końca uczciwa opinia na temat stylu przywództwa Jeremy'ego, ale nie byłam w nastroju, by kogokolwiek chwalić. Chciał, żebym zadzwoniła, więc, do licha, powinien czekać przy telefonie.

Kiedy wrócił Philip, zastał mnie czuwającą przy aparacie i wpatrującą się weń, jakbym chciała siłą woli zmusić Jeremy'ego, aby podniósł słuchawkę.

— Wciąż nie odbiera? — spytał Philip.

Pokręciłam głową. Przyglądał mi się uważniej, niż lubiłam. Kiedy się odwróciłam, podszedł i położył mi rękę na ramieniu.

— Martwisz się.

— Właściwie to nie. Ja tylko...

— Nic nie szkodzi, kochanie. Gdyby chodziło o moją rodzinę, też bym się martwił. Może powinnaś tam pojechać. Zobaczyć, co się stało. Wydaje się, że chodziło o coś nagłego.

Odsunęłam się od niego.

— Nie, to jakiś absurd. Wciąż wydzwaniam...

— Chodzi o rodzinę, kochanie — powiedział, jakby to był koronny argument przeciwko wszystkim działom, jakie mogłam wytoczyć.

I dla niego rzeczywiście tak było. To jedyna rzecz, wobec której nie mogłam zaoponować. Kiedy Philip i ja zaczęliśmy być ze sobą i zbliżał się końcowy termin wynajmu przez niego mieszkania, dał mi jasno do zrozumienia, że chciałby się do mnie wprowadzić, ja jednak odmówiłam. Potem zabrał mnie na zjazd rodzinny. Tam poznałam jego matkę, ojca i siostrę, zobaczyłam, jakie są między nimi relacje i jak ważną rolę odgrywali ci ludzie w jego życiu. Następnego dnia powiedziałam, by nie przedłużał umowy najmu. Teraz Philip spodziewał się, że ruszę z pomocą komuś, kogo uważał za członka mojej rodziny. Czy gdybym odmówiła, pomyślałby, że nie jestem osobą na której mu zależało? Wolałam nie ryzykować. Obiecałam, że będę jeszcze próbować. I dałam słowo, że jeśli nie dodzwonię się do Jeremy'ego do południa, polecę do stanu Nowy Jork, by dowiedzieć się, co się stało.

Za każdym razem, kiedy dzwoniłam przez następnych kilka godzin, modliłam się, by odebrał. Ale zawsze włączała się tylko automatyczna sekretarka.

Po lunchu Philip odwiózł mnie na lotnisko.

## CÓRKA MARNOTRAWNAA

Samolot wylądował na lotnisku Syracuse-Hancock

— o dziewiętnastej. Próbowałam zadzwonić do Jeremy'ego, ale włączyła się tylko automatyczna sekretarka. Znowu. Na razie byłam bardziej poirytowana niż zaniepokojona. W miarę jak odległość między nami zmniejszała się, powracały wspomnienia tego, jak wyglądało życie w Stonehaven, wiejskiej posiadłości Jeremy'ego. Przypomniałam sobie zwłaszcza zwyczaje jej mieszkańców, jeżeli chodziło o odbieranie telefonów, czy raczej ich brak. W Stonehaven mieszkały dwie osoby — Jeremy

I jego przybrany syn Clayton, pełniący funkcję ochroniarza. W domu z pięcioma sypialniami były dwa aparaty telefoniczne. Ten w pokoju Clayтона był podłączony do automatycznej sekretarki, ale sam aparat przestał funkcjonować cztery lata temu, kiedy Clay cisnął nim o ścianę, zdenerwowany, że głośny sygnał nie dawał mu zasnąć przez dwie noce z rzędu. Był również telefon w gabinecie, jeśli jednak Clay próbował skorzystać z linii, by podłączyć swego laptopa, często bywało, że nawet przez parę dni zapominał podłączyć aparat z powrotem. Nawet jeśli jakimś zrzędzeniem losu w domu był czynny aparat, mogło się zdarzyć,

że obaj mężczyźni, choćby siedzieli metr od niego, nie pokwapiliby się, aby podnieść słuchawkę. A Philip uważał, że moje maniery, jeżeli chodzi o telefon, pozostawiały wiele do życzenia.

Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej byłam zła. Im bardziej byłam zła, tym bardziej byłam zdeterminowana, że nie opuszczę lotniska, dopóki ktoś nie odbierze tego cholernego telefonu. Skoro już mnie wezwali, to powinni po mnie przyjechać. Taką przynajmniej miałam wymówkę. Prawda była taka, że nie chciałam opuszczać gwarne, rojnego lotniska. Tak, to może brzmieć dość dziwnie. Większość ludzi uważa lot za udany, jeśli spędzą na lotnisku możliwie jak najmniej czasu. Zwykle mam w tej kwestii podobne zdanie, ale gdy tak tam siedziałam, chłonąc widoki i zapachy niemal całkiem opustoszałego terminalu, rozkoszowałam się nawet najdrobniejszymi przejawami widocznego tu człowieczeństwa. Tu, na lotnisku, byłam anonimową osobą w morzu równie anonimowych twarzy. To przynosiło mi pocieszenie, czułam się częścią czegoś większego, nie znajdując się przy tym w centrum. Sytuacja zmieni się diametralnie, gdy opuszczę to miejsce i pojadę do Stonehaven.

Dwie godziny później uznałam, że nie mogę już dłużej czekać. Zadzwoiłam do Stonehaven po raz ostatni i zostawiłam wiadomość. Dwa słowa: „Już jadę”. To powinno wystarczyć.

Dotarcie do Stonehaven nie było łatwe. Rezydencja leżała w odległej północnej części stanu Nowy Jork, niedaleko miasteczka Bear Valley. Była już noc, kiedy moja taksówka ruszyła spod lotniska. Gdzieś na południu jarzyły się światła Syracuse, ale taryfa, gdy tylko wyjechała na autostradę 81, skierowała się na północ. Na lewo ode mnie zamajaczyły światła North Syracuse, szybko jednak zniknęły, rozplywając się wśród nocy. Parę kilometrów dalej kierowca zjechał z autostrady i zapanowała kompletna ciemność. Pośród ciszy wiejskiej nocy powoli zaczęłam się rozluźniać. Wilkołaki nie są stworzone do miejskiego życia. Nie ma tam miejsca, by biegać, a przytłaczająca liczba ludzi nie tyle daje poczucie anonimowości, co raczej stanowi pokusę nie do odparcia. Niekiedy myślę, że wybrałam życie w centrum Toronto tylko dlatego, że było to wbrew mojej naturze, ot, jeszcze jeden instynkt, który należało przewyciężyć.

Gdy wyjrzałam przez szybę, zaczęłam odmierzać czas, rejestrując mijane słupki przy poboczu. Z każdym kolejnym czułam coraz silniejszy ucisk w dołku. To niepokój, powtarzałam sobie. Nie radość i zniecierpliwienie. Mimo iż spędziłam w Stonehaven blisko dziesięć lat, nie uważałam tego miejsca za swój dom. Pojęcie domu było dla mnie dość trudne, stanowiło rodzaj eterycznego hasła, budowanego z opowieści i snów, a nie z doświadczenia. Oczywiście miałam kiedyś dom, cudowny dom i cudowną rodzinę, ale nie na tyle długo, by pozostało po nich coś więcej niż ulotne wspomnienie. Moi rodzice zginęli, kiedy miałam pięć lat. Wracaliśmy do domu z festynu jedną z bocznych dróg, bo mama chciała mi pokazać małego żrebaka — kucyka na pobliskiej farmie. Słyszałam śmiech mojego ojca pytającego matkę, czy naprawdę się spodziewa, że cokolwiek zobaczą na polu w środku nocy. Pamiętam, że odwrócił się i uśmiechnął do mnie, przekomarzając się z siedzącą obok mnie mamą. Nie pamiętam, co było potem, nie słyszałam żadnego pisku opon ani krzyków, gdy auto zjechało z drogi. Tylko ciemność. Nie wiem, jak znalazłam się na poboczu. Byłam przypięta pasami, ale po wypadku musiałam jakoś wyczołgać się na zewnątrz. Pamiętam tylko, jak siedziałam na żwirze obok okrwawionego ciała mojego ojca, potrząsając nim, mówiąc do niego, błagając, by odpowiedział, i nie rozumiejąc, dlaczego tego nie robił, bo przecież tato zawsze odpowiadał, nigdy mnie nie ignorował, teraz jednak tylko na mnie patrzył rozszerzonymi, nieruchomymi oczami. Pamiętam, jak zaczęłam skomleć, ja, pięciolatka, wpatrując się w oczy ojca, skomlałam, bo było tak ciemno. Skomlałam, bo moja mama została z tyłu zgruchotanego auta, nieruchoma, a mój ojciec leżał tu, na ziemi, nie odpowiadając, nie przytulając mnie ani nie pocieszając, nie próbował nawet wyciągnąć mamy z samochodu, no i była jeszcze krew, mnóstwo krwi i potłuczonego szkła, które się wszędzie walało, było tak ciemno, tak zimno i nikt nie spieszył z pomocą.

Jeżeli miałam jakąś dalszą rodzinę, nic mi o tym nie wiadomo. Po śmierci rodziców jedyną osobą która próbowała mnie przygarnąć, była najlepsza przyjaciółka mamy, ale odmówiono jej tego, bo była niezamężna. Spędziłam w domu dziecka jednak tylko kilka tygodni, zanim zostałam zabrana przez pierwszą parę, która mnie zobaczyła. Wciąż ich widzę, pochylonych nade mną słyszę ich ochy i achy, kiedy zachwycali się, jak pięknym byłam dzieckiem. Taka drobna, taka doskonała z jasnoblond, niemal białymi włoskami i niebieskimi oczami. Mówili o mnie: piękna jak laleczka. Zabrali swoją laleczkę do domu i rozpoczęli swe idealne życie. Ale nie wszystko było tak, jak tego chcieli. Ich bezcenna laleczka przez cały dzień siedziała na krześle, ani na chwilę nie otwierając ust, a potem nocą — każdej nocy — krzyczała i wyla aż do świtu. Po trzech tygodniach oddali mnie. I tak krążyłam od jednej rodziny zastępczej do drugiej, zawsze zabierana przez osoby oczarowane moją urodą i nieumiejące poradzić sobie z moją okaleczoną psychiką.

Kiedy zaczęłam dojrzywać, pary, które zabierały mnie do siebie, zmieniły się. To już nie żona mnie wybierała, lecz mąż, koncentrując się na moim dziecięcym pięknie i strachu. Stałam się ulubionym kąskiem męskich drapieżców, którzy szukali dziecka szczególnego rodzaju. Jak na ironię, to dzięki tym potworom odnalazłam w sobie siłę. Z upływem lat zaczęłam postrzegać ich takimi, jakimi byli, nie wszechpotężnymi czarnymi ludami, upiorami w ludzkiej postaci, które nocą zakradały się do mego pokoju, lecz słabymi istotami bojącymi się odrzucenia i zdemaskowania. Gdy to sobie uświadomiłam, strach prysnął. Mogli mnie dotykać, ale nie byli w stanie tknąć mnie, tej mnie, która znajdowała się poza moim ciałem. W miarę jak strach mijał, słabł także gniew. Pogardałam nimi i ich równie słabymi, ślepyimi na wszystko żonami, lecz nie byli godni mego gniewu. Nie mogłam sobie pozwolić na to, by żywić wobec nich gniew, to byłaby jedynie strata cennego czasu i zgoła niepotrzebny wysiłek. Jeżeli chciałam uciec przed takim życiem, musiałam to zrobić sama. To nie oznaczało ucieczki w normalnym tego słowa znaczeniu. Oznaczało to pozostanie i przetrwanie. To oznaczało ciężką pracę i wyteżoną naukę, by uzyskać najwyższe oceny, nawet jeśli rzadko udało mi się przetrwać cały rok bez zmiany szkoły. Sukcesy w szkole oznaczały dostanie się na uczelnię, a to z kolei magisterium i początek dalszej kariery, czyli innymi słowy pozostawienie za sobą dawnego życia z opiekunami społecznymi i rodzinami zastępczymi. Równocześnie odkryłam nowe źródło siły — moje własne ciało. Wyrosłam na silną, wysoką, gibką dziewczynę. Nauczyciel zapisał mnie do drużyny uprawiającej biegi, zarówno przełajowe, jak i sprint, w nadziei, że to pomoże mi się zintegrować z innymi dziećmi. Zamiast tego po prostu nauczyłam się biegać, odkrywając absolutną błogość, niemogącą się z niczym równać fizyczną rozkosz, wrażenie siły i szybkości, jakiego dotąd nie znałam. Jeszcze w liceum zaczęłam codziennie ćwiczyć na siłowni. Mój przybrany ojciec nie próbował mnie już wtedy dotykać. Przestałam być dla kogokolwiek potencjalną kandydatką na ofiarę.

— Czy to tutaj, psze pani? — spytał kierowca.

Nie czułam, aby wóz się zatrzymał, ale kiedy wyjrzałam przez szybę, zobaczyłam, że stoimy pod bramą wjazdową Stonehaven. Na trawie ktoś siedział po turecku, opierając się plecami o kamienną ścianę. Clayton.

Kierowca przymrużył oczy, próbując dojrzeć dom w ciemnościach, nie dostrzegając mosiężnej tabliczki ani tym bardziej mężczyzny czekającego przy bramie. Księżyc zaszedł za chmurę, a latarnie przy podjeździe nie paliły się.

— Wsiądę tutaj — rzekłam.

— Nic z tego, droga pani. Tu nie jest bezpiecznie. Coś tam jest.

Pomyślałam, że chodzi mu o Claya. „Coś” było odpowiednim określeniem. Już miałam powiedzieć, na swoje nieszczęście, że znam to „coś”, ale kierowca mówił dalej:

— Mieliliśmy ostatnio w tym lesie pewne kłopoty, psze pani. Sądząc po tym, co się stało, chodzi o dzikie psy. Niedaleko stąd znaleziono dziewczynę z miasteczka. Te psy ją zagryzły. Mój kumpel ją znalazł i powiedział, że nie wyglądała pięknie, psze pani. Proszę tu poczekać, a ja otworzę bramę i wjadę do środka.

— Dzikie psy? — powtórzyłam, sądząc, że się przesłyszałam.

— Otóż to. Mój kumpel odkrył ślady. Wielkie ślady. Jakiś facet z uczelni powiedział, że wszystkie tropy pochodziły od jednego zwierzęcia, ale to nie może być prawda. To musiało być stado. Nie widzi pani... — Kierowca przeniósł wzrok w stronę bocznej szyby i aż podskoczył na siedzeniu. — Jezu!

Clay opuścił swój posterunek przy bramie i zmaterializował się przy moim oknie. Stał tam, obserwując mnie, a uśmiech z wolna rozświetlał jego oczy. Sięgnął dłonią do klamki. Kierowca wrzucił bieg.

— Proszę się nie bać — westchnęłam. — On jest ze mną.

Drzwiczki otwały się. Clay zajrzał do środka.

— Wsiadasz czy będziesz się zastanawiać? — zapytał.

— Ona nigdzie nie wychodzi — rzekł kierowca, oglądając się przez ramię. — Jeżeli jesteś pan na tyle nierozsądny, żeby się szwendać nocą po lesie, to twój problem, ale nie pozwolę, aby młoda dama szła na piechotę do domu, który jest Bóg wie jak daleko stąd. Jak chcesz się pan zabrać, to otwórz bramę i wskazuj do taryfy. A jak nie, to zamknij te drzwiczki, ale już.

Clay odwrócił się do kierowcy, jakby dopiero teraz zobaczył go po raz pierwszy. Jego wargi rozchyliły się w gniewnym grymasie. Cokolwiek zamierzał, to nie mogło być miłe. Zanim Clay zdążył zrobić scenę, otworzyłam drugie drzwiczki i wysiadłam. Gdy kierowca opuścił szybę, aby mnie zatrzymać, rzuciłam mu banknot pięćdziesięciodolarowy i cofnęłam się. Clay zatrzasnął drugie drzwiczki i ruszył w stronę głównego podjazdu. Kierowca zawahał się, ale zaraz odjechał; spod kół taksówki trysnęły strugi żwiru, jakby wyraz niesmaku wobec naszej młodzieńczej niefrasobliwości.

Kiedy podeszłam, Clay cofnął się, aby mi się przyjrzeć. Chociaż noc była chłodna, miał na sobie tylko sprane dzinsy i czarny podkoszulek, podkreślające jego szczupłe biodra, szeroki tors i wyrzeźbione bicepsy. W ciągu dziesięciu lat, odkąd go znałam, w ogóle się nie zmienił. Zawsze liczyłam choćby na drobne zmiany — parę zmarszczek, bliznę, cokolwiek, co mogłoby przyćmić jego urodę modela i zrównać go z resztą nas śmiertelników, ale bez powodzenia.

Gdy do niego podeszłam, przekrzywił głowę, ani na chwilę nie spuszczał mnie z oczu. Jego białe zęby błysnęły w uśmiechu.

— Witaj w domu, kochanie. — Jego akcent jak z głębokiego amerykańskiego Południa sprawił, że słowo „kooł-chanie” zabrzmiało niczym z piosenki country. Nie znosiłam country.

— To ma być komitet powitalny? A może Jeremy wziął cię na łańcuch i przykuł przy bramie głównej, gdzie twoje miejsce?

— Też za tobą tęskniłem.

Wyciągnął do mnie ręce, ale minęłam go i szybkim krokiem ruszyłam w stronę oddalonego o pół kilometra domu. Clay podążył za mną. Podmuch suchego, chłodnego powietrza poruszył włosami na moim karku, a wraz z nim doszły mnie rozmaite wonie — ostry aromat cedru, słaby zapach kwiatów jabłoni i kuszący dawno zjedzonego obiadu. Każda z woni sprawiła, że moje napięte mięśnie zaczęły się rozluźniać. Wzdrygnęłam się, by odegnać od siebie te doznania i zmusiłam się, by nie odrywać wzroku od drogi, koncentrując się na nierobieniu niczego, nierozmawianiu z Clayem, nieodczuwaniu czegokolwiek i nierozglądaniu się na boki. Nie odważyłam się spytać Claya, co się stało. To oznaczałoby zaangażowanie się w rozmowę z nim i sugerowałoby, że chcę z nim rozmawiać. W przypadku Claya nawet najdrobniejsze aluzje mogły

być niebezpieczne. Mimo iż chciałam wiedzieć, o co chodzi, musiałam usłyszeć to od Jeremy'ego.

Kiedy dotarłam do domu, przystanąłam przed drzwiami i uniosłam wzrok. Dwupiętrowy, kamienny dom nie tyle górował nade mną, co raczej odchyłał się do tyłu wyczekująco. Byłam tu mile widziana, ale nie dawano mi tego nadmiernie odczuć, jakby czekali, aż zrobię pierwszy ruch. Podobnie było z właścicielem tego domu. Dotknęłam chłodną kamienną ścianę i odebrałam falę silnych, powracających wspomnień. Cofnąwszy się o krok, otworzyłam drzwi na oścież, rzuciłam torbę podróżną na podłogę i ruszyłam w stronę gabinetu, spodziewając się, że zastanę Jeremy'ego pogrążonego w lekturze przy kominku. Zawsze tam był. Kiedy wracałam do domu, nie wystawał przy bramie jak Clay, ale mimo wszystko czekał.

Pokój był pusty. Obok fotela leżał złożony egzemplarz mediolańskiego dziennika „Corriere della Sera”. Na biurku i kanapie leżały sterty pism i publikacji naukowych z dziedziny antropologii. Aparat telefoniczny stał na biurku, najwyraźniej nietknięty i podłączony do gniazdka.

— Dzwoniłam — powiedziałam. — Czemu nikogo tu nie było?

— Byliśmy — odparł Clay. — Może nie tu, ale w pobliżu. Trzeba było zostawić wiadomość.

— Zostawiłam. Dwie godziny temu.

— Cóż, to wszystko tłumaczy. Ja przez cały dzień warowałam przy bramie, czekając na ciebie, a wiesz, że Jer nigdy nie sprawdza automatycznej sekretarki.

Nie spytałam Claya, skąd wiedział, że dziś przyjeżdżam, skoro wcześniej nie zostawiłam wiadomości. Nie zapytałam też, czemu spędził cały dzień przy bramie. Zachowania Claya nie dało się zamknąć w standardach ludzkiego pojęcia normalności... zresztą nie tylko ludzkiego... pojęcia normalności w ogóle.

— To gdzie on jest? — spytałam.

— Nie wiem. Nie widziałem go, odkąd parę godzin temu przyniósł mi kolację. Musiał wybyć.

Nie musiałam zaglądać do garażu, gdzie stał wóz Jeremy'ego, by wiedzieć, że Clayowi nie chodziło o zwyczajny wyjazd czy wyjście. W Stonehaven zwykle ludzkie stwierdzenia nabierały nowych znaczeń. To, że wy- był, oznaczało, że poszedł biegać — i bynajmniej nie chodziło tu o jogging.

Czy Jeremy liczył, że przylecę tu, a potem będę czekać, aż łaskawie raczy się zjawić? Oczywiście, że tak. Czy to miała być kara za ignorowanie jego wezwań? Po części chciałam go o to oskarżyć, ale Jeremy nigdy nie był małostkowy. Jeżeli zamierzał dziś biegać, to na pewno by to zrobił, niezależnie czy przyjechałabym, czy nie. Poczułam się trochę zraniona i zagniewana, ale spróbowałam przezwyciężyć to w sobie. Czy liczyłam, że Jeremy będzie czekać na mnie jak Clay? Oczywiście, że nie. Nie liczyłam na to i nie dbałam o to. Naprawdę. Byłam wkurzona, to wszystko. Gra dla dwojga. Kiedy biegał, Jeremy cenił sobie prywatność. Co zatem zamierzałam zrobić? To oczywiste, naruszyć tę prywatność. Jeremy może nie był małostkowy, ale ja tak. Nawet bardzo.

— Wybył? — spytałam. — Wobec tego będę musiała go znaleźć.

Ruszyłam, by wyminąć Claya w drodze do drzwi. Zastąpił mi drogę.

— Niedługo wróci. Usiądź, a ja...

Wyminęłam Claya, wyszłam do sieni i na zewnątrz przez uchylone tylne drzwi. Clay szedł, idąc krok za mną. Przeszłam przez otoczony murem ogród do ścieżki wiodącej do lasu. Pod stopami chrzęściły kawałki kory i drewna, którymi wysypano ścieżkę. Z oddali zaczęły napływać nocne zapachy: palonych liści, bydła, wilgotnej ziemi — miriady kuszących woni. Gdzieś opodal zapiszczała mysz, gdy polująca sowa schwyciła ją w swoje szpony i uniosła w powietrze.

Szłam przed siebie. Piętnaście metrów dalej ścieżka przechodziła w wąski pas wydeptanej trawy i znikła wśród poszycia. Przystanąłam i weszłam przez chwilę. Nic. Żadnej woni, żadnych dźwięków, ani śladu Jeremy'ego. W tym momencie uświadomiłam sobie, że nie słyszę żadnych dźwięków, kroków Claya za sobą też nie.

Odwróciłam się i zobaczyłam jedynie drzewa.

— Clayton! — krzyknęłam.

W chwilę potem odpowiedź nadeszła w formie trzasku wśród gąszczy nieopodał. Clay pobiegł, by ostrzec Jeremy'ego. Uderzyłam otwartą dłońią w pień najbliższego drzewa. Jak mogłam oczekiwać, że Clay pozwoli mi tak po prostu zakłócić prywatność Jeremy'ego? Skoro tak uważałam, to znaczy, że przez ostatni rok zapomniałam o wielu rzeczach.

Przedzierałam się między drzewami. Gałęzie chłostały mnie po twarzy, pnącza płały stopy. Potykając się, brnęłam naprzód, czując się wielka, niezdarna i niechciana w tym niezwykłym miejscu. Ścieżka nie była stworzona dla ludzi. W tej postaci nie miałam szans, by doścignąć Claya, więc znalazłam polanę i przygotowałam się do Przemiany.

Była pospieszna, a co za tym idzie, niezdarna i bolesna, musiałam po niej odpocząć, leżąc na ziemi i dysząc ciężko. Kiedy w końcu wstałam, zamknęłam oczy i przez chwilę chłonełam wonie Stonehaven. Dreszcz podniecenia przeniknął całe moje ciało. Pozostała po nim nieopisana mieszanka ekscytacji i spokoju, która sprawiła, że miałam ochotę przedzierać się przez las, a zarazem osunąć się na ziemię w błogim spokoju. Byłam w domu. Jako człowiek mogłam zaprzeczać, że Stonehaven to mój dom, że mieszkańcy rezydencji należeli do mojej Watahy, że tutejszy las był czymś więcej aniżeli splachetkiem ziemi należącej do kogoś innego. Jednak jako wilczyca w lasach Stonehaven słyszałam pod czaszką jedną pieśń. Ten las należał do mnie. Należał do terenów Watahy, a zatem także moich. Był mój, mogłam w nim biegać, polować i dokazywać, nie obawiając się imprezujących nastolatków, nerwowych myśliwych czy wściekłych lisów i szopów. Na mojej ścieżce nie napotkam wyrzuconej przez kogoś sofy czy zardzewiałych puszek, na których mogłabym poranić łapy, nie było tu cuchnących worków ze śmieciami, zatruwających powietrze, którym oddychałam, ani groźnych chemikaliów mogących skazić wodę, którą piłam. To nie była jakaś leśna ścieżka, zawłaszczana na godzinę czy dwie. To było dwieście hektarów lasu poprzecinanych mnóstwem znajomych ścieżek, pełnego królików i jeleni, istny bufet przekąskowy zaopatrzony dla mojej wygody i przyjemności. Moje. Chłonełam powietrze wielkimi haustami. Moje. Wybiegłam z gęstwiny na uczęszczaną ścieżkę. Moje. Ocierałam się przez chwilę o pień dębu, czując, jak szorstka kora drapie mnie, zbierając strzępki martwej sierści. Moje. Ziemię przeniknęły potrójne wibracje — gdzieś na lewo ode mnie biegł królik. Moje. Bolały mnie nogi, tak pragnęłam pobiec i na nowo odkryć złożoność świata mojego lasu. Gdzieś w głębi mego umysłu cichy ludzki głosik zawołał: „Nie, nie, nie! To nie twoje! Wyrzekłaś się tego! Nie chcesz tego!”. Zignorowałam go.

Brakowało tylko jednej ostatniej rzeczy, która różniła ten las od samotnych parowów Toronto. Kiedy o tym rozmyślałam, ciszę nocy rozdarł odległy skowyt, nie melodyjny zaśpiew, lecz nagłący zew samotnego wilka, krew wołająca krwi. Zamknęłam oczy i poczułam, jak ten dźwięk we mnie wibruje. A potem odchyliłam głowę i odpowiedziałam. Cichy ostrzegawczy głosik przestał obrzucać mnie inwektywami, gniew został zastąpiony przez coś, co było bliższe trwodze. „Nie tak” — wyszeptano. „Nie tak. Przejmij ten las. Przejmij powietrze, ścieżki, drzewa i zwierzęta. Ale nie ogłaszaaj tego wszem wobec”.

Krzaki zaszeleściły z tyłu za mną. Odwróciłam się, by ujrzeć śmigającego w powietrzu Claya. Schwycił mnie za tylne łapy i przewrócił na grzbiet, po czym stanął nade mną i zaczął kasać luźną skórę wokół mojej szyi. Kiedy kłapnęłam na niego zębami, cofnął się. Stając nade mną zaskomlał i szturchnął mnie nosem w szyję, prosząc, bym się z nim pobawiła, i dając do zrozumienia, jak bardzo był samotny. Czułam gdzieś w sobie pewien opór, lecz był on ukryty dość

głęboko. Zbyt głęboko. Schwyciłam go zębami za przednią łapę i wytrąciłam z równowagi. Kiedy upadł, skoczyłam na niego. Potoczyliśmy się w gęste zarośla, kłając się, wierzgając i walcząc bezustannie o dominację. Już miał mnie przyszpilić do ziemi, kiedy wyślizgnęłam mu się i uskokczyłam. Zaczęliśmy krążyć wokół siebie nawzajem. Ogon Claya chłostał mój bok, muskając go pieszczotliwie niczym delikatną dłoń.

Podszedł bliżej i otarł się o mnie bokiem. Gdy znów zaczęliśmy krążyć, wystawił do przodu łapę, aby mnie zatrzymać, i wtulił nos w moją szyję. Poczułam jego gorący oddech na skórze, gdy chłonał mój zapach. W chwilę potem schwycił mnie za gardło i powalił na grzbiet, popiskując triumfalnie, że dałam się nabrać na taki stary numer. Nie cieszył się zwycięstwem dłużej niż kilka sekund, bo szybko go zdetronizowałam. Walczyliśmy jeszcze przez jakiś czas, aż w końcu wyrwałam się i odskoczyłam. Clay także się cofnął i przywarował, opuszczając nisko przednie łapy i prostując tylne. Rozdziawił pysk, wywalił jęzor i wychylił uszy do przodu. Ja też przy warowałam, jakbym szykowałam się do odparcia jego ataku. Kiedy skoczył, dałam susa w bok i zaczęłam biec.

Clay pognął za mną. Biegliśmy przez las, pokonując kolejne hektary gruntu. I nagle, gdy zaczęłam zawracać w kierunku rezydencji, z lasu dobiegł strzał. Zahamowałam gwałtownie. Strzał? Czy naprawdę usłyszałam strzał? Oczywiście zetknęłam się już wcześniej z bronią palną, strzelby i myśliwi stanowią potencjalne zagrożenie, kiedy przemierzasz nieznaną lasy. Ale to było Stonehaven. Tu było bezpiecznie.

Rozległ się kolejny strzał. Nastawiłam uszu. Strzały dochodziły z północy. Daleko w tamtym kierunku rozciągały się sady. Czy to jakiś farmer korzystał z urządzeń naśladujących huk wystrzałów, by płoszyć ptaki? Zapewne tak. Albo to, albo ktoś polował na pobliskich łąkach. Lasy Stonehaven były wyraźnie oznakowane i ogrodzone. Miejscowi szanowali te granice. Zawsze tak było. Jeremy cieszył się w okolicy nieskazitelną reputacją. Może nie był zbyt towarzyski, ale powszechnie go szanowano.

Skierowałam się na północ, by rozwiązać tę zagadkę. Pokonałam niespełna trzy metry, kiedy Clay dał susa i zagroził mi drogę. Warknął. To nie było radosne warknięcie. Spojrzałam na niego, zastanawiając się, czy nie zrozumiałam go opacznie. Ostrzegł mnie, abym nie szła dalej. Położyłam uszy po sobie i zawarczałam. Wciąż zastępował mi drogę. Przymrużyłam ślepią i spojrzałam na niego gniewnie. Najwyraźniej zbyt długo mnie tu nie było, skoro uważał, że mógł rozstawiać mnie po kątach jak innych. Jeżeli zapomniał, kim byłam, chętnie odświeżę mu pamięć. Wyszczrzyłam kły i warknęłam ostrzegawczo. Nie cofnął się. Rzuciłam się na niego. On również skoczył, zderzając się ze mną w powietrzu i odbierając mi dech. Kiedy odzyskałam zmysły, leżałam na ziemi, a Clay zębami trzymał mnie za luźną fałdę skóry na karku. Wysłałam z wprawy. Clay warknął i potrząsnął mną gwałtownie, jakbym była krnąbrnym szczeniakiem. Po kilku takich reprimendach cofnął się i podniósł. Ja również wstałam, odnajdując w sobie resztki godności. Zanim na dobre podźwignęłam się z ziemi, Clay szturchnął mnie pyskiem w zad. Odwróciłam się, by łypnąć na niego z oburzeniem. Znów mnie szturchnął, popychając w przeciwnym kierunku. Podążałam we wskazaną stronę przez prawie pół kilometra, aż w końcu skręciłam w bok i próbowałam go ominąć. W parę sekund po tym, jak przebiegłam obok niego, dziewięćdziesięciokilogramowy ciężar zwałił mi się na grzbiet i przewrócił na ziemię. Kły Claya wpiły mi się w kark głęboko, aż do krwi, przeszywając całe moje ciało bólem i wywołując chwilową dezorientację. Tym razem nawet nie pozwolił mi się podnieść, zanim zaczął zaganiać mnie z powrotem do domu, kłając mnie w nogi, gdy tylko próbowałam się ociągać. Clay doprowadził mnie na polanę, gdzie przeszłam Przemianę, i sam też się Przemienił, po drugiej stronie gęstwiny. Moja transformacja na powrót do ludzkiej postaci była jeszcze bardziej pospieszna niż ta w wilczyce. Tym razem jednak nie musiałam już po wszystkim odpoczywać.



Gniew przepelnił mnie energią. Ubrałam się, rozrywając rękaw bluzki, po czym opuściłam polanę. Clay już na mnie czekał, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Był rzecz jasna nagi, jego ubranie pozostało w głębi lasu. Nago Clay wyglądał jeszcze idealniej niż w ubraniu, niczym ożywione marzenie senne greckiego rzeźbiarza. Na jego widok załała mnie fala gorąca, przywołując wspomnienia innych biegów i ich nieuchronnego finału. Przeklinając moje zdradzieckie ciało, podeszłam do niego.

— Co ty, u licha, wyprawiasz? — zawołałam.

— Ja? To nie ja biegłem jak idiota w stronę ludzi ze strzelbami. Gdzie ty masz głowę, Eleno?

— Nie wciskaj mi kitu. Nie opuściłabym terenu rezydencji i wiesz o tym doskonale. Byłam zwyczajnie zaciekawiona. Dopiero co wróciłam, a ty już sprawdzasz granice. Jak daleko możesz się posunąć, ile jesteś w stanie kontrolować...

— Ci myśliwi byli na naszych terenach, Eleno — rzekł cicho Clay, nie odrywając ode mnie wzroku.

— Co ty w ogóle... — przerwałam i spojrzałam na niego. — Mówisz serio, prawda? Myśliwi? Na ziemiach Jeremy'ego? Miękniesz na stare lata?

Szpila weszła głębiej, niż się spodziewałam. Clay mocniej zacisnął usta. Buzował w nim gniew, był o włos od eksplozji. Gniew nie był skierowany przeciwko mnie, lecz tym, którzy ośmielili się wkroczyć do jego sanktuarium. Każda komórka ciała Clay'a burzyła się na myśl o wpuszczeniu na jego ziemię uzbrojonych mężczyzn. Tylko jedno mogło powstrzymać go przed zapolowaniem na nich — Jeremy. A więc to Jeremy musiał zabronić mu atakowania intruzów, nie tylko zabijania ich, lecz nawet stosowania niesławnych technik zastraszania, jakie Clay zwykle stosował wobec niepożądanych gości. Dwa pokolenia miejscowych nastolatków szukających dogodnego miejsca na imprezkę dorastały, przekazując sobie mroźące krew w żyłach opowieści, jakoby lasy Stonehaven były nawiedzone. Dopóki upiorne opowieści dotyczyły duchów i zjaw, a nie wilkołaków, Jeremy apróbował, a nawet przyczyniał się do ich rozpropagowywania. Pozwolenie Clayowi na zastraszanie miejscowych było bezpieczniejsze i o wiele mniej kłopotliwe niż inne rozwiązanie. Czemu więc Jeremy nie chciał teraz mu na to zezwolić? Co się zmieniło?

— Powinien być już w domu — rzekł Clay. — Idź, pomów z nim.

To rzekłszy, odwrócił się i pobiegł w las, by znaleźć swoje ubranie.

W drodze do domu zastanawiałam się nad tym, co powiedział taksjarsz. Dzikie psy. Tu nie było dzikich psów. Psy nie zbliżyłyby się do terytorium wilkołaków. Psy nie zagryzałyby też młodych, zdrowych kobiet. Wielkie ślady łap wokół ciała mogły oznaczać tylko jedno. Wilkołaka. Ale kto mógł zabijać tak blisko Stonehaven? Pytanie samo w sobie było tak trudne, że nie potrafiłam na nie odpowiedzieć. Wilkołak nienależący do Watahy musiałby być samobójcą, aby przekroczyć granicę stanu Nowy Jork. Metody stosowane przez Clay'a wobec intruzów były tak dobrze znane, że od ponad dwudziestu lat żaden obcy nie zbliżył się do Stonehaven. Plotki głosiły, że Clay rozczłonkował ostatniego wilkołaka, który się tu zapuścił, jeden palec po drugim, kończyła po kończyńie, utrzymując go przy życiu tak długo, jak tylko mógł, a potem urwał mu głowę. Clay miał wtedy siedemnaście lat.

Myśl, że to Clay albo Jeremy byli odpowiedzialni za śmierć tej dziewczyny, była równie absurdalna. Jeremy nie zabijał. To nie znaczy, że nie potrafił ani że nie odczuwał takiej potrzeby, po prostu uważał, że może lepiej spożytkować tę energię, jak generał, który nie rzuca się za swym wojskiem w wir bitwy, poświęcając się sprawom strategii i dowodzenia. Jeżeli ktoś miał zginąć, zlecał to Jeremy. Ale i tak robił to nader rzadko i tylko w ekstremalnych przypadkach chodziło o ludzi. Niezależnie od zagrożenia Jeremy nigdy nie zleciłby zabicia człowieka na swoim własnym terytorium. Co do Clay'a, choć o jego wadach można by długo mówić, na pewno

nie był zwolennikiem zabijania ludzi dla sportu. Zabijanie ich łączyłoby się z ich dotykaniem, co oznaczało zniżanie się do fizycznego z nimi kontaktu, którego starał się unikać, o ile nie było to absolutnie konieczne.

Kiedy weszłam z powrotem do domu, wciąż panowała w nim cisza. Wróciłam do gabinetu, serca Stone-haven. Jeremy'ego tam nie było. Postanowiłam poczekać. Jeżeli był w domu, musiał mnie usłyszeć. I mógł do mnie przyjść.

Jeremy sprawował nad Watahą władzę absolutną. Takie było prawo dzikich wilków, choć nie zawsze było ono prawem Watahy. Historia samców alfa mogła niekiedy sprawić, że w porównaniu z nią walka cesarów o sukcesję w starożytnym Rzymie wydawała się cywilizowana. Wilkołak z Watahy mógł wspiąć się na sam szczyt, utrzymując pozycję samca alfa przez parę miesięcy, może nawet lat, a potem ginął, zabity bądź stracony przez któregoś z jego bardziej ambitnych braci, którzy skwapliwie zajmowali jego miejsce, by również przedwcześnie skończyć w podobny, niewątpliwie tragiczny i nienaturalny sposób. Pozycja samca alfa nie miała nic wspólnego z przywództwem, ale za to nieodmiennie łączyła się z nią władza.

W drugiej połowie dwudziestego wieku Wataha zaczęła się rozpadać. Postindustrialny świat nie był życzliwy dla wilkołaków. Miasta molochy pochłaniały kolejne połacie lasów i rozległe otwarte przestrzenie. Współczesne społeczeństwo nie przypominało tamtego z czasów Anglii feudalnej, jeżeli chodziło o szacunek dla ich zamożnych, żyjących na odludziu sąsiadów. Radio, telewizja i gazety w ciągu paru godzin mogły rozpowszechnić na cały świat doniesienie o zaobserwowaniu w tym czy innym miejscu wilkołaka. Nowe techniki śledcze oznaczały, że dziwne, wyglądające na dzieło psa zabójstwo w Tallahassee można było bardzo szybko powiązać z podobnymi w Miami i Key West. Świat wokół Watahy zaczął się kurczyć. Zamiast się zjednoczyć, wilkołaki zaczęły walczyć między sobą o resztki bezpieczeństwa, posuwając się nawet do tego, że zawłaszczwały terytoria należące do braci z ich własnej Watahy.

Jeremy to zmienił.

Choć Jeremy'ego nie sposób było określić mianem najlepszego wojownika w Watasze, posiadał siłę, która była znacznie ważniejsza dla przetrwania i powodzenia współczesnej Watahy. Jeremy dysponował absolutną samokontrolą. Jako że panował nad własnymi instynktami i popędami, potrafił dostrzegać problemy, przed jakimi stawała Wataha, i rozprawiać się z nimi w sposób racjonalny, podejmując wyważone i przemyślane decyzje. Kiedy przedmieścia wchłonęły tereny wokół miast, przeniósł się z całą Watahą na wieś. Nauczył ich, jak mają postępować z ludźmi, jak mają stać się częścią tego świata i równocześnie znajdować się poza jego granicami. W miarę jak opowieści o wilkołakach zaczęły pojawiać się coraz częściej, rozszerzył swoją władzę nie tylko na Watahę, lecz także na wilkołaki, które do niej nie należały. W przeszłości wilkołaki nienależące do Watahy — nazywane kundlami — traktowano jako osobniki drugiej kategorii, niegodne uwagi Watahy. Pod rządami Jeremy'ego kundle nie poprawiły swego statusu, ale Wataha nauczyła się, że nie może ich ignorować. Jeżeli kundel narobił zamieszania w Kairze, reperkusje mogły być odczuwalne aż w Nowym Jorku. Wataha zaczęła prowadzić rejestr kundli, poznając ich nawyki i śledząc ich posunięcia. Kiedy jakiś wilkołak zaczynał sprawiać kłopoty, Wataha reagowała szybko i zdecydowanie. Kara za spowodowanie zagrożenia dla Watahy oscylowała od reprimendy, poprzez pobicie, aż po szybką egzekucję. Pod rządami Jeremy'ego Wataha urosła w siłę, stała się stabilniejsza i nikt nie próbował podważyć jej statusu. Wilkołaki instynktownie wyczuwały, co dla nich dobre.

Otrząsnęłam się z zamyślenia i podeszłam do biurka, zerkając na leżącą tam stertę papierów. „Wykopaliska rzucają nowe światło na Fenomen Chavin” — tak brzmiał tytuł jednego z artykułów. Spod spodu wyzierał inny, traktujący o pradawnym kulcie jaguarów z Chavin de Huantar. Fascynująca rzecz. Ziew. Choć dla tych, którzy go poznali, mogło to być nie lada szo-

kiem, Clay miał tęgi, naprawdę błyskotliwy umysł, dzięki któremu zrobił doktorat z antropologii. Specjalizował się w religiach antropomorficznych. Innymi słowy studiował symbolikę człowieka-bestii w starożytnych kulturach. Swoją reputację oparł na badaniach, jako że nie lubił bezpośrednich kontaktów ze światem ludzi, kiedy jednak uważał za konieczne, by przypomnieć o sobie w światku naukowym, urządzał krótki cykl rzeczowych i nader ciekawych wykładów. Tak go właśnie poznałam.

Znów otrząsnęłam się z zadumy, choć tym razem było to nieco trudniejsze. Odwracając się od leżących w nieładzie papierów Claya, usiadłam na kanapie. Kiedy rozejrzałam się dokoła, stwierdziłam, że pokój wyglądał dokładnie tak jak wtedy, gdy opuszczałam to miejsce czternaście miesięcy temu. Przywołałam z pamięci wspomnienie gabinetu, porównując je z tym, co zastałam, i nie znalazłam ani jednej różnicy. To nie mogła być prawda. Jeremy przemeblowywał ten pokój — i większą część domu — tak często, że nieraz żartowaliśmy sobie, iż wystarczy mrugnąć, aby ujrzeć przed sobą coś całkiem nowego. Clay powiedział kiedyś, że zmiany wiązały się ze złymi wspomnieniami, ale nie chciał rozwinąć tego wątku. Niedługo po tym, jak Clay mnie tu sprowadził, Jeremy zrobił ze mnie swoją asystentkę do spraw przemeblowań. Pamiętam, jak całymi nocami ślęczałam nad katalogami, porównywałam próbki farby i przestawiałam meble. Kiedy spojrzałam w górę na sufit nad kominkiem, mogłam dostrzec stwardniałe bryłki kleju do tapet, pozostałe po szalonym tapetowaniu ścian o czwartej nad ranem, które zmieniło gabinet w pole bitwy. Jeremy i ja byliśmy zbyt zmęczeni, by móc robić cokolwiek poza obrzucaniem się nawzajem bryłkami zgęstniałego kleju.

Pamiętam, jak patrzyłam na te bryłki, kiedy ostatni raz byłam w tym pokoju. Jeremy też tu był, stał przy kominku odwrócony do mnie plecami. Kiedy powiedziałam mu, co zrobiłam, tak bardzo chciałam, aby się odwrócił i odparł, że nie zrobiłam nic złego. Ale wiedziałam, że to było złe. Niewyobrażalnie złe. A mimo to chciałam, aby coś powiedział, cokolwiek, abym tylko poczuła się lepiej. Kiedy tego nie zrobił, odeszłam, obiecując sobie, że już nigdy tu nie wrócę. Spojrzałam w górę, na bryłki kleju. Kolejna przegrana bitwa.

— A więc... w końcu wróciłaś.

Na dźwięk jego głębokiego głosu aż odruchowo się wzdrygnęłam. Jeremy stał w drzwiach. Odkąd widziałam go po raz ostatni, zapuścił krótko przystrzyżoną bródkę, co zwykle robił, gdy nie miał czasu na tak trywialne rzeczy jak golenie, a potem nie chciał psuć pozytywnego efektu. Wyglądał przez to starzej, choć na pewno nie na swoje pięćdziesiąt jeden lat. Starzejemy się wolniej. Jeremy wyglądał na trzydzieści parę lat, jego fryzura tylko utrzymywała to złudzenie, włosy miał długie do ramion, związane z tyłu przy karku. Nie chodziło tu o podążanie za modą lecz ograniczenie strojenia do minimum. Wizyty u fryzjera były dla Jeremy'ego nie do pomyślenia, więc z konieczności to Clay i ja obcinaliśmy mu włosy i staraliśmy się nie robić tego częściej niż kilka razy w roku. Kiedy wszedł do pokoju, włosy opadły mu na oczy, burząc wrażenie srogości. Odgarnął niesforne kosmyki gestem tak znajomym, że aż zapało mi dech.

Rozejrzał się dokoła.

— Gdzie Clay?

Typowe. Najpierw ruga mnie za spóźnienie. Potem pyta o Claya. Poczułam nieprzyjemne ukłucie bólu, ale odegnałam je od siebie. W sumie nie spodziewałam się, że powita mnie uściskami i pocałunkami. To nie było w jego stylu, choć miło byłoby usłyszeć: „Dobrze cię widzieć”, albo: „Jak minął lot?”.

— Usłyszeliśmy strzały w lesie — odparłam. — Mruknął coś o płytkich grobach i zmył się.

— Próbowałam skontaktować się z tobą od trzech dni. Byłam zajęta.

Mięśnie jego policzka zaczęły drgać. W przypadku Jeremy'ego był to odpowiednik gwałtownego wybuchu emocji.

— Kiedy dzwonię, ty oddzwoniasz — powiedział zwoodniczo łagodnym tonem. — Nie dzwoniłbym, gdyby to nie było ważne. Ja dzwonię, ty oddzwoniasz. Taka była umowa.

— Dokładnie. Taka była umowa. W czasie przeszłym. Nasza umowa wygasła, kiedy opuściłam Watahę.

— Kiedy opuściłaś Watahę? Czyli kiedy? Wybacz, jeśli coś przeoczyłem, ale nie przypominam sobie takiej rozmowy, Eleno.

— Myślałam, że to oczywiste.

Clay wszedł do pokoju, niosąc tacę z wędliną i serem. Postawił ją na biurku i przeniósł wzrok ze mnie na Jeremy'ego.

Jeremy mówił dalej:

— A więc nie należysz już do Watahy?

— Zgadza się.

— Czyli jesteś jednym z nich — kundlem?

— Oczywiście, że nie, Jer — rzekł Clay, przysiadając obok mnie na kanapie.

Podeszłam do kominka.

— To jak? — spytał Jeremy, przesywając mnie wzrokiem. — Należysz do Watahy czy nie?

— Daj spokój, Jer — rzucił Clay. — Wiesz, że ona nie mówiła poważnie.

— Mieliśmy umowę, Eleno. Nie skontaktowałbym się z tobą, gdybyś nie była mi potrzebna. Ale potrzebuję cię, a ty stroisz fochy i burzysz się, bo miałem czelność przypomnieć ci o twoich powinnościach.

— Po co ci jestem potrzebna? Żeby zająć się kundlem intruzem? To robota dla Claya.

Jeremy pokręcił głową.

— Nie wytacza się dział, by zabić jedną małą myszkę. Clay ma swoje silne strony. Subtelność do nich nie należy.

Clay uśmiechnął się do mnie i wzruszył ramionami. Odwróciłam wzrok.

— Powiesz mi wreszcie, do czego jestem ci tak bardzo potrzebna? — spytałam.

Jeremy odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

— Późno już. Zwołałem na jutro Zgromadzenie. Wtedy wszystko wyjaśnię. Miejmy nadzieję, że gdy się porządnie wypisz, minie ci ten wojowniczy nastrój.

— Ejże! — zaprotestowałam, zastępując mu drogę. — Rzuciłam wszystko, aby tu przyjechać. Wzięłam urlop, zapłaciłam za bilet lotniczy i dotarłam tu możliwie jak najszybciej, bo nikt nie odbierał tego cholernego telefonu. Chcę wiedzieć, po co mnie tu ściągnąłeś, i to natychmiast. Jeżeli stąd wyjdiesz, nie obiecuję, że rano mnie tu zastaniesz.

— Więc niech tak będzie — odparł Jeremy głosem tak zimnym, że aż się wzdrygnęłam. — Jeżeli postanowisz wyjechać, Clay odwiezie cię do Syracuse.

— Ta, no jasne — mruknęłam. — Wolałabym raczej spróbować szczęścia i dotrzeć na lotnisko, załapując się na autostop z miejscowym psychopata.

Clay uśmiechnął się.

— Nie zapominaj, kochanie. To ja jestem miejscowym psychopata.

Nie omieszkałam przyznać mu racji. Jeremy milczał, stał w bezruchu, cierpliwie czekając, aż usunę mu się z drogi. Zrobiłam to. Trudno się pozbyć starych nawyków. Jeremy wszedł z pokoju. W chwilę potem trzasnęły zamykane drzwi do jego sypialni na piętrze.

— Arogancki skurwiel — mruknęłam.

Clay tylko wzruszył ramionami. Rozparł się wygodnie na kanapie, obserwując mnie uważnie, a jego usta wykrzywił melancholijny uśmieszek, na widok, którego mocniej zacisnęłam zęby.

— Czego ty chcesz, u licha? — spytałam.

Uśmiechnął się szerzej, błyskając białymi zębami.

— Ciebie. A jak myślałaś?

— Gdzie? Tu? Na podłodze?

— Nie. No, co ty. Nie tak. Jeszcze nie. Ale chcę tego samego, co zawsze. Ciebie. Tu. Na stałe.

Wolałam, żeby skłonił się raczej ku mojej interpretacji. Wychwycił moje spojrzenie.

— Cieszę się, że wróciłaś do domu, kochanie. Tęskniłem za tobą.

Wybiegłam z gabinetu, nieomal potykając się o własne nogi.

## SPOTKANIE

Niezależnie od tego, co powiedział Jeremy, wiedziałam, że nie mogę jeszcze wyjechać. Mógł udawać, że nie obchodziło go, co robiłam, ale gdybym próbowała odejść, zatrzymałby mnie, dopóki nie oznajmiłby mi, co miał do powiedzenia. Były trzy możliwości. Po pierwsze, mogłam zablokować i wyjść. Po drugie, mogłam wparować do jego pokoju i zażądać, by wyjaśnił, co jest grane. Po trzecie, mogłam pójść do swojej starej sypialni, przespać się i rano dowiedzieć się wszystkiego. Rozważyłam opcje. Ściągnięcie taksówki do Syracuse byłoby niemożliwe, gdyż miejscowa firma przewozowa była od godziny zamknięta. Mogłam wziąć jeden z samochodów i zostawić go przy lotnisku, ale szanse na złapanie samolotu do Toronto o trzeciej nad ranem były bliskie zera, a nie uśmiechało mi się spanie na lotnisku. Nie uśmiechała mi się też kłótnia z Jeremym. Z Jeremym Danversem nie można się było kłócić; można było krzyczeć, wściekać się i kłać, podczas gdy on stał z nieodgadnionym wyrazem twarzy, czekając, aż się zmęczysz, a wtedy ze spokojem odmawiał dyskusji na ten czy inny temat. Nauczyłam się, jak zależeć mu za skórę, ale wyszłam z wprawy. Nie, tej nocy mój opór będzie polegał na tym, że odmówię udziału w ich gierkach. Pójdę się położyć, prześpię się i rano wyjadę. Tak po prostu.

Zabrałam swoją torbę i poszłam na górę do mojego starego pokoju, ignorując fakt, że mimo iż rzekomo nikt nie wiedział o moim przyjeździe, sypialnia była wywietrzona, okno uchylone, łóżko posłane, a pościel świeżuteńka. Wyjęłam z torby komórkę i zadzwoniłam do Philipa. Z każdym kolejnym sygnałem, kiedy nie odbierał, narastało we mnie rozczarowanie. Pewnie już się położył. Kiedy włączyła się automatyczna sekretarka, zastanawiałam się, czy nie przerwać połączenia i nie zadzwonić ponownie w nadziei, że dzwonienie w końcu go obudzi, ale wiedziałam, że to egoistyczne podejście wynikające z pragnienia odbudowania więzi ze światem zewnętrznym. Dlatego ostatecznie porzestałam na pozostawieniu krótkiej wiadomości, informując, że dotarłam bezpiecznie i zadzwonię znowu nazajutrz, zanim wyruszę w drogę powrotną do domu.

Następnego ranka obudziła mnie cisza domu. Przywykłam do tego, że budzę się w mieście, klnąc na hałas ruchu ulicznego. Kiedy żadne siły nie sprzysięgły się, by wyrwać mnie rano z łóżka, obudziłam się o dziesiątej, spodziewając się końca świata. I nagle uświadomiłam sobie, że jestem w Stonehaven. Nie powiem, żeby mi ulżyło. Wygramoliłam się z grubej, haftowanej pościeli i miękkich poduch i rozsunałam zasłony łoża z baldachimem. Przebudzenie w sypialni w Stonehaven było niczym ocknięcie się w samym środku wiktoriańskiego romantycznego koszmaru. Samo łoże z baldachimem było okropne, jakby żywcem wyjęte z *Księżniczki na ziarnku grochu*, tylko gorsze. W cedrowym kuferku stojącym u stóp mojego łóżka znajdowały się pachnące koce, na wypadek gdyby dwie koldry na moim łóżku okazały się niewystarczające. Koronkowe firanki falowały w oknach, muskając pokryte satyną siedziska na parapecie. Ściany były jasnoróżowe, ozdobione akwarelowymi obrazami przedstawiającymi kwiaty i zachody słońca. Po drugiej stronie pokoju stała wielka toaletka z rzeźbionego dębu z olbrzymim lustrem w złoczonej ramie i srebrną półką na kosmetyki. Szczyt toaletki zdobiły porcelanowe figurki. Scarlett O'Hara poczułaby się tu jak w domu.

Jeremy wybrał dla mnie tę sypialnię właśnie ze względu na siedziska przy oknie i kwitnące na zewnątrz, tuż za oknem wiśnie. Prawda jest taka, że Jeremy nie znał się na kobietach i jeśli spodziewał się, że zacznę zachwycać się kwitnącymi wiśniami, to się pomylił. Nie po raz pierwszy zresztą. Na obronę Jeremy'ego powiem, że nie mógł wiedzieć, co mnie kręciło. W świecie wilkołaków kobiety grały marginalną rolę. Jedynym powodem, dla którego wilkołak miałby zgłębiać umysł kobiety, jest chęć zaciągnięcia jej do łóżka. Większość z nich nie zaprzęta sobie nawet zresztą tym głowy. Jeżeli jesteś dziesięć razy silniejszy niż piękna rudowłosa stojąca przy barze, po co marnować pieniądze, aby kupić jej drinka? Taki przynajmniej jest sposób rozumowania kundli. Wilkołaki z Watahy mają nieco więcej finezji. Jeżeli wilkołak chce mieszkać w jednym miejscu, nie może popadać w nawyk gwałcenia kobiet za każdym razem, gdy najdzie go ochota. Wilkołaki z Watahy mają nawet swoje dziewczyny i kochanki, choć nigdy nie angażują się w związki tak jak ludzie. I nigdy się nie żenią. Nie pozwalają też, by kobiety wychowywały ich synów. Jak już wspomniałam, tylko synowie dziedziczą wilkołacze geny. Tak więc podczas gdy córki są ignorowane, zgodnie z prawem Watahy wszyscy chłopcy jeszcze w niemowlęctwie są odbierani matkom, a więzi między nimi są brutalnie zrywane. Jeremy nie mógł znać się na płci przeciwnej, jako że wychowywał się i dorastał w świecie, gdzie matka, siostra czy ciotka to tylko słowa ze słownika. Poza tym nie było kobiet wilkołaków. Z wyjątkiem mnie, ma się rozumieć. Kiedy zostałam ugryziona, Jeremy spodziewał się potulnej, przypominającej dziecko istoty, która z pokorą przyjmie swój los i zadowolony się pięknym pokojem oraz masą ciuchów. Gdyby znał przyszłość, pewnie wywaliłby mnie za drzwi... albo i gorzej. Ten, który mnie ugryzł, zdradził innie w najgorszy z możliwych sposobów. Kochałam go, ufałam mu, a on przemienił mnie w potwora, a potem zostawił z Jeremym. Stwierdzenie, że moja reakcja była impulsywna i negatywna, byłoby sporym niedopowiedzeniem. Wystrój sypialni nie przetrwał długo. W niecały tydzień później Jeremy musiał zamknąć mnie w klatce. Moje Przemiany stały się równie spontaniczne i niepohamowane jak ataki wściekłości i nic, co mówił Jeremy, do mnie nie docierało. Gardziłam nim. Był moim ciemieżcą jedynym, na którego mogłam zwalić winę za wszystkie cierpienia fizyczne i emocjonalne, jakich doświadczałam. Jeżeli klatka była moim piekłem, to Jeremy był moim szatanem.

W końcu uciekłam. Wróciłam stopem do Toronto, płacąc za podwiezienie jedynym, co miałam, własnym ciałem. Jednakże kilka dni po dotarciu na miejsce zrozumiałam, że źle oceniłam, czym była klatka. To nie było piekło. Raczej jedna ze stacji na długiej trasie. Życie na swobodzie, gdy nie umiałam kontrolować Przemian, przywodziło na myśl dziewiąty krąg piekła.

Aby żyć, zaczęłam zabijać zwierzęta — króliki, szopy, psy, nawet szczury. Wkrótce utraciłam do reszty złudzenia, że nad sobą panuję, i zatopiłam się w szaleństwie. Niezdolna do

racjonalnych działań, ledwo mogąca pozbierać myśli, byłam kierowana wyłącznie przez trawiący mnie głód. Króliki i szopy przestały mi wystarczać. Zabijałam ludzi. Po drugim odnalazł mnie Jeremy, zabrał mnie do domu i wyszkolił. Nigdy więcej nie próbowałam uciekać. Dobrze przyswoiłam sobie tę lekcję. Były rzeczy o wiele gorsze niż Stonehaven.

Kiedy już wygramoliłam się z łóżka, przeczłapałam po zimnej, drewnianej podłodze do miękkiego, puchatego dywanu. W komodzie i szafie było pełno ciuchów, które nazbierałam przez lata. Znalazłam dżinsy, bluzkę i założyłam je. Zbyt leniwa, by się uczesać, przesunęłam tylko palcami po włosach i zaplotłam je w luźny warkocz.

Niemal gotowa, by pokazać się światu, otworzyłam drzwi sypialni i powiodłam wzrokiem po korytarzu. Gdy usłyszałam dochodzące z pobliskiej sypialni donośne chrapanie Claya, napięcie w moich ramionach nieznacznie zelżało. To jeden z problemów, których wołałam dziś rano unikać.

Wyszłam na korytarz i minęłam drzwi sypialni Claya. Niespodziewanie chrapanie ustało. Klnąc pod nosem, pokonałam kilka pierwszych schodków. Drzwi sypialni Claya skrzypnęły, uchylając się, a potem dał się słyszeć tupot bosych stóp na drewnianej klepce. „Nie zatrzymuj się — powiedziała sobie — i nie oglądaj się”. Oczywiście zaraz przystanąłam i obejrzałam się przez ramię.

Stał u szczytu schodów i wyglądał na okropnie wyczerpanego, jakby miał się lada chwila potknąć i stoczyć po stopniach na dół. Jego krótko przycięte złote loki były w nieładzie, wilgotne od potu i poprzyklepiane do czaszki. Policzki i kanciasty podbródek pokrywał meszek jasnego zarostu. Powieki miał półprzymknięte. Miał na sobie tylko białe bokserki w czarny wzorek jak odciski łap, które dostał ode mnie jako żartobliwy prezent, kiedy układało się między nami nieco lepiej.

Ziewnął, przeciągnął się i zatoczył ramionami, aż mięśnie jego klatki piersiowej zafalowały.

— Co powiesz na towarzystwo przy śniadaniu? — zapytał.

— Nie.

Kolejne leniwe wzruszenie ramion. Jeszcze parę godzin, a taką odprawę potraktowałby jako okazję do kłótni. Do licha, za parę godzin nawet by nie zapytał, czy może do mnie dołączyć. Zaczęłam schodzić po schodach. Po trzech krokach doszedł wreszcie do siebie, zbiegł za mną i schwycił za rękę.

— Przygotuję dla ciebie śniadanie — rzekł. — Spotkamy się na werandzie. Chcę porozmawiać.

— Nie mam ci nic do powiedzenia, Clayton.

— Daj mi pięć minut.

U podnóża schodów poczułam aromat, który sprawił, że stanęłam jak wryta. Szynka w miodzie i naleśniki, moje ulubione śniadanie. Wyszłam na oszkloną werandę i spojrzałam na stół. Na tacy leżały plastry szynki i parujące, gorące naleśniki. Nie pojawiły się znikąd, ale byłabym mniej zdziwiona, gdyby zmaterializowały się na moich oczach. Jediną osobą, która mogła je zrobić, był Jeremy, a on nie przyrządzał posiłków. Nie żeby nie umiał — nie chciał. Nie oczekiwał, że Clay czy ja będziemy mu usługiwać, ale kiedy już szykował śniadanie, na gorąco podawał co najwyżej kawę. Resztę zawsze stanowiła mieszanka chleba, serów, wędlin, owoców i wszystkiego, co dało się przygotować przy minimalnym nakładzie sił i środków.

Jeremy wyszedł za mną na werandę.

— Stygną. Siadaj i jedz.

Nie wspomniałam ani słowem o śniadaniu. Kiedy Jeremy robił coś od siebie, nie liczył na to, że ktoś to zauważy czy doceni, ani tym bardziej że mu za to podziękuje. Przez chwilę byłam pewna, że w ten właśnie sposób Jeremy próbował mnie powitać. I wtedy powróciły dawne

wątpliwości. Może przygotował śniadanie, aby mnie ułagodzić. W przypadku Jeremy'ego nigdy nie potrafiłam przejrzeć jego zamiarów, nawet po tylu latach. Niekiedy byłam pewna, że chciał mieć mnie tu, w Stonehaven. Kiedy indziej czułam, że akceptował mnie tylko dlatego, że nie miał wyboru, ponieważ nie z własnej woli stałam się częścią jego życia, a utrzymywanie mnie w spokoju i pod kontrolą leżało w interesie Watahy. Wiedziałam, że poświęcałam zbyt wiele czasu na zastanawianie się nad tym, próbując zinterpretować każdy gest, dostrzec choćby najmniejsze oznaki aprobaty. Może wciąż tkwiłam w dawnych wzorcach z dzieciństwa i bardziej pragnęłam ojca, niż mogłam się do tego przyznać. Oby nie. Raczej nie pasowałam do wizerunku pokornej dziewczynki.

Usiadłam i zabrałam się do jedzenia. Naleśniki nie były domowej roboty, ale się nie skarżyłam. Gorące, podane z masłem i syropem klonowym—prawdziwym, nie substytutem, jakie zdarzało mi się niekiedy kupować, by zaoszczędzić parę dolców. Pochłonęłam pierwszą porcję i zabrałam się do następnej. Jeremy nawet okiem nie mrugnął. To mi się właśnie podobało w Stoneliaven — można było jeść, ile się chciało, a nikt ci tego nie wytknął ani nawet nie zauważył.

Wyglądało na to, że podczas gdy Clay czuwał wczoraj w nocy pod oknem mojej sypialni, Jeremy czaił się tu i czekał na mnie od samego rana. Pomiedzy krzesłem a oknem stały jego sztalugi. Spoczywała na nich kartka papieru z paroma niepołączonymi ze sobą liniami. Te, które nakreślił wcześniej, zostały starte i naniesione na nowo kilka razy. W jednym miejscu kartka była niemal przebita na wylot.

— Powiesz mi teraz, co się dzieje? — zapytałam.

— A zechcesz mnie wysłuchać? Czy może znów będziesz próbowała się kłócić?

Nakreślił nową linię na śladach poprzednich, po czym starł ją. Przez otwór w kartce widać było brąz sztalugi.

Nie oderwał wzroku od szkicu. Do cholery, dlaczego nie unosił wzroku?

— Nigdy nie byłem na ciebie zły, Eleno. To ty byłaś wściekła sama na siebie. Dlatego odeszłaś. Nie spodobało ci się to, co zrobiłaś. To cię przerażyło i sądziłaś, że odchodząc, zdołasz to wymazać z pamięci. Udało się?

Nie odpowiedziałam.

Szesnaście miesięcy temu zajęłam się doniesieniem, że ktoś sprzedaje informacje na temat wilkołaków. Wataha nie ścigała wszystkich, którzy twierdzili, że posiadają dowody na istnienie wilkołaków. To bez reszty wy pełniłoby czas wszystkim wilkołakom, zarówno tym należącym do Watahy, jak i tym spoza niej. Mieliśmy oko na opowieści, które brzmiały wiarygodnie, z pominięciem kluczowych zwrotów w rodzaju: srebrna kula, zabójstwa niemowląt i szalejące pół ludzkie, pół zwierzęce bestie. To, co pozostało, dawało zajęcie Clayowi i mnie. Jeżeli wilkołak z zewnątrz zaczynał sprawiać problemy, a Jeremy chciał dać na jego przykładzie naukę innym, wysyłał Claya. Jeżeli sprawa nie była taka prosta — albo dotyczyła ludzi — wymagała ostrożności i finezji. Wtedy posyłał mnie. Tak było w przypadku Jose Cartera i problemów, jakich nam przysporzył.

Jose Carter był drobnym oszustem, który specjalizował się w zjawiskach paranormalnych. Przez całe życie naciągał naiwnych frajerów, wciskając im kit, że ich najdrożsi próbują nawiązać z nimi kontakt z zaświatów. Wreszcie dwa lata temu, kiedy pracował w Ameryce Południowej, natknął się na niewielką wioskę nękaną jak sądzono, przez wilkołaka. Wietrząc okazję do łatwego zarobku, Carter udał się tam i zaczął zbierać coś, co jak sądził, było sfabrykowanymi lipnymi dowodami, które zamierzał sprzedać później w Stanach. Sęk w tym, że to nie była lipa. Jeden z kundli przemierzał Ekwador, odwiedzając jedną wioskę po drugiej i pozostawiając za sobą kolejne trupy. Kundel myślał, że działa bezbłędnie, uderzając na wioski tak oddalone od siebie, że nikt nie dostrzeże wzorca. Nie spodziewał się Jose Cartera. A Carter nie liczył, że natknie się na prawdziwego wilkołaka, szybko jednak zorientował się, z czym ma do czynienia. Opuścił



Ekwador z relacjami świadków, próbkami sierści, gipsowymi odciskami łap i fotografiami. Po powrocie do Stanów skontaktował się z kilkoma towarzystwa mi parapsychologicznymi i próbował sprzedać im to, co zebrał. Był tak pewien swego, że obiecał towarzyszyć temu, kto wylicytuje najwyższą stawkę, w wyprawie do Ameryki Południowej, aby wytropić bestię.

Natrafiłam na informację o „aukcji” Jose Cartera w Dallas. Wpierw próbowałam go zdyskredytować. Potem chciałam ukraść dowody, jakie posiadał. Gdy i to mi się nie udało, podjęłam jedyne możliwe w tej sytuacji kroki. Zabiłam go. Zrobiłam to sama, bez rozkazu od Jeremy'ego i nawet się z nim nie kontaktując. Po wszystkim wróciłam do hotelu, umyłam się i porządnie wyspałam. Kiedy się obudziłam, w pełni uświadomiłam sobie, co zrobiłam. A raczej nie tyle, co zrobiłam, ale jak to zrobiłam, jak łatwo mi to przyszło. Zabiłam człowieka z taką łatwością, z jaką mogłabym zabić muchę. W drodze powrotnej do Stonehaven próbowałam przygotować wyjaśnienia dla Jeremy'ego, aby wytłumaczyć, dlaczego zdecydowałam się działać bez porozumienia z nim. Carter stanowił jawne zagrożenie. Zrobiłam co w mojej mocy, aby go powstrzymać. Czas uciekał. Gdybym skontaktowała się z Jeremym, zapewne chciałby, abym tak właśnie postąpiła, poszłam więc na skróty i wzięłam sprawy w swoje ręce. Zanim dotarłam do Stonehaven, uświadomiłam sobie prawdę. To nie Jeremy'ego próbowałam przekonać, lecz samą siebie. Przekroczyłam granicę. Zadziałałam, mając na względzie wyłącznie ochronę Watahy, nie okazując nawet odrobiny współczucia czy litości. Zachowałam się jak Clay. To mnie przeraziło do tego stopnia, że uciekałam i obiecałam sobie, że nigdy już nie powrócę do tego życia. Czy to odeszło? Czy znów czułam, że w pełni panuję nad moimi instynktami i odruchami? Nie wiedziałam. Przez ponad rok nie zrobiłam nic równie złego, ale też nie miałam po temu okazji. To jeszcze jeden powód, dlaczego nie chciałam wracać do Stonehaven. Nie wiedziałam, czy to odeszło, i nie byłam pewna, czy chciałam się tego dowiedzieć.

Hałas od strony drzwi wyrwał mnie z zamyślenia. Gdy uniosłam wzrok, na werandę wyszedł wysoki, ciemnowłosy mężczyzna.

Nick spojrział na mnie, przeszedł przez werandę trzema zdecydowanymi krokami i dźwignął mnie z miejsca. Zahaczyłam piętą o krzesło i przewróciłam je. Tamten ścisnął mnie mocno z udawanym gniewnym warknięciem.

— Długo cię nie było, siostrzyczko. Zbyt długo.

Podniósł mnie w górę i pocałował. Niezależnie od powitania pocałunek nie był braterski, lecz zmysłowy, głęboki i na chwilę zabrakło mi tchu. Każdy inny dostałby za to w twarz, ale nikt nie całował choć w połowie tak dobrze jak Nick, więc potraktowałam go ulgowo.

— Czuł się jak u siebie — rzucił od drzwi Clay.

Nick odwrócił się do Claya i uśmiechnął. Wciąż obejmując mnie ramieniem, podszedł i pchnięciem powalił Claya na wznak. Clay poderwał się z podłogi i założył Nickowi półnelsona. Uwolnił mnie z objęć Nicka i odepchnął go silnie. Nick odzyskał równowagę i dwoma susami zbliżył się do nas.

— Kiedy przyjechałaś? — zapytał, szturchając Claya w żebra. — I czemu nie powiedziałaś mi, że ona przyjeżdża?

Ktoś objął mnie mocno z tyłu i podźwignął w górę.

— Wróciła córka marnotrawna.

Odwróciłam się, by ujrzeć oblicze równie znajome jak Nicka.

— Jesteś równie paskudny jak twój syn — rzekłam, wyslizgując się z jego uścisku. — Czy wy nie umiecie zwyczajnie podawać ręki na powitanie?

Antonio zaśmiał się i puścił mnie.

— Powiniennem był ścisnąć mocniej. Może to nauczy cię, że powinnaś zostać tu nieco dłużej.

Antonio Sorrentino miał falujące ciemne włosy i urzekające brązowe oczy jak jego syn. Zwykle uchodzili za braci. Antonio miał pięćdziesiąt trzy lata, ale wyglądał o połowę młodziej, zarówno dzięki temu, że był wilkołakiem, jak i dlatego że prowadził zdrowy tryb życia. Był niższy i bardziej krępy niż jego syn, miał szersze ramiona i potężne bicepsy, w porównaniu z nim Clay wyglądał jak zawodnik wagi piórkowej.

— Czy jest już Peter? — spytał Antonio, przystawiając krzesło obok Jeremy'ego, który saczył drugą filiżankę kawy, nie zwracając uwagi na zamieszanie.

Jeremy pokręcił głową.

— A więc zjadą się tu wszyscy? — spytałam.

— Dokończ śniadanie — rzekł Jeremy, taksując innie wzrokiem od stóp do głów. — Mocno schudłaś. Nie powinnaś do tego dopuścić. Jeżeli nie będziesz mieć dość energii, możesz zacząć tracić nad sobą kontrolę. Ostrzegałem cię już przed tym.

Odstawiwszy w końcu sztalugi na bok, Jeremy odwrócił się, by pomówić z Antoniem. Clay sięgnął ponad moim ramieniem, schwycił spory kawałek szynki i pochłonął jednym kęsem. Kiedy na niego spojrzałam, w rozbrajająco niewinny sposób wzruszył ramionami. Trzymaj łapy z dala od jej talerza — rzucił Jeremy, nie odwracając się. — Twój stoi w kuchni. Wystarczy dla każdego.

Antonio wyszedł pierwszy. Kiedy Nick chciał pójść za nim, Clay schwycił go za ramię. Nie powiedział ani słowa. Nie musiał. Nick skinął głową i pognał, by napełnić dwa talerze, podczas gdy Clay usiadł obok mnie.

— Wykorzystujesz słabszych — mruknęłam.

Clay uniósł brwi, jego niebieskie oczy zamrugały niewinnie. Palce śmignęły błyskawicznie, by zgarnąć z mojego talerza kolejny plaster szynki. Chwyciłam widelec i wbiłam go w wierzch jego dłoni tak silnie, że aż pisnął. Jeremy zignorował nas i spokojnie popijał kawę.

Antonio wrócił na werandę z talerzem tak przepełnionym, że naleśniki niemal spadały zeń na podłogę, zwłaszcza że trzymał go tylko jedną ręką. W drugiej trzymał widelec i wkładał do ust kolejny kawałek naleśnika. Nick podążył za ojcem, postawił przed Clayem przyniesiony dla niego talerz, po czym przystawił sobie krzesło, odwrócił je tyłem i usiadł na nim okrakiem. Na kilka minut zapadła błogosławiona cisza. Wilkołaki nie przepadają za rozmowami przy jedzeniu. Zadanie polegające na zapełnianiu żołądków wymaga od nich pełnego skupienia.

Cisza trwałaby dłużej, gdyby nie przerwał jej dźwięk dzwonka do drzwi. Nick poszedł, by otworzyć, i wrócił z Peterem Myersem. Peter był niski, żylasty, zwykle uśmiechnięty, a jego rude włosy wyglądały, jakby nigdy ich nie cesał. Ponownie rozpoczął się rytuał uścisków, poklepywania po plecach i udawanie groźnych pchnięć. Powitania wśród Watahy były dość szorstkie i nieraz pozostawały po nich spore sińce.

— Kiedy zjawi się Logan? — spytałam, gdy wszyscy wrócili do pałaszowania.

— Nie zjawi się — odparł Jeremy. — Musiał polecieć do Los Angeles. Ma tam jakąś sprawę w sądzie. Musiał kogoś zastąpić w ostatniej chwili. Skontaktowałam się z nim zeszłej nocy i poinformowałam, co się dzieje.

— A skoro już o tym mowa... — rzekł Clay, odwracając się do mnie. — Kiedy ostatni raz z nim rozmawiałem, wspominał, że się z tobą kontaktował. Choć to chyba niemożliwe, bo przecież zerwałaś wszelkie kontakty z Watahą. Zgadza się?

Spojrzałam na Claya, ale nie odpowiedziałam. Nie musiałam. Dostrzegł odpowiedź w moich oczach. Jego oblicze przepełnił gniew i nadzieja na widelec kolejny kawałek szynki z taką siłą że aż zatrzęsł się stolik. Odkąd odeszłam, rozmawiałam z Loganem co najmniej raz na tydzień, powtarzając sobie, że dopóki się z nim nie spotkam, nie złamię mojego przyrzeczenia. Poza tym Logan był więcej niż moim bratem z Watahy, był moim przyjacielem, kto wie, czy nie jedynym, jakiego kiedykolwiek miałam. Choć byliśmy w tym samym wieku, łączyło nas więcej niż to, że

oboje potrafiliśmy wymienić z nazwiska obu wokalistów zespołu Wham!. Logan rozumiał pokusy świata zewnętrznego. Cieszył się ochroną i towarzystwem Watahy, ale czuł się równie swojsko w swoim domu w świetle ludzi, a konkretnie w luksusowym apartamencie w Albany. Miał tam od dawna dziewczynę, a jego kariera prawnicza rozwijała się w błyskawicznym tempie. Kiedy tylko uświadomiłam sobie, że Jeremy zwołał Zgromadzenie, pomyślałam: „Świetnie, przyjedzie Logan”. Teraz nie mogłam tym sobie powetować mego niechcianego wyjazdu.

Parę minut później Jeremy i Antonio wyszli na tylny ganek, by porozmawiać. Jako najbliższy i najstarszy przyjaciel Jeremy'ego, Antonio często służył jako pierwszy krytyk dla jego nowych pomysłów i planów, doradzając mu i wspierając go.

Antonio i Jeremy dorastali razem jako synowie dwóch najbardziej szanowanych rodzin Watahy. Ojciec Antonia był samcem alfa przed Jeremym. Kiedy umarł Dominie, wielu w Watasze sądziło, że jego rolę przejmie Antonio, mimo iż przywództwo Watahy nie było dziedziczne. Jak w przypadku zwykłych wilków, alfa był zazwyczaj najlepszym wojownikiem. Zanim Clay dorósł, najlepszym wojownikiem Watahy był Antonio. Co więcej, miał tęgi umysł i więcej zdrowego rozsądku niż tuzin wilkołaków. Jednak po śmierci ojca Antonio poparł Jeremy'ego, twierdząc, iż miał on atrybuty niezbędne do ocalenia Watahy. Z pomocą Antonia Jeremy był w stanie stłumić każdy przejaw buntu. Od tamtej pory nikt nie śmiał rzucić mu wyzwania. Jedynym wilkołakiem mającym dość sił, by zagrozić pozycji Jeremy'ego, był Clay, ale on prędzej uciałby sobie prawą rękę, niż rzucił wyzwanie temu, który go ocalił i wychował.

Kiedy Jeremy skończył dwadzieścia jeden lat, jego ojciec powrócił z jednego ze swych wypadów z dziwną opowieścią. Przemierzał Luizjanę i zwierzył tam wilkołaka. Wytropił go i odkrył nieletniego wilkołaka żyjącego na bagnach jak zwierzę. Dla Malcolma Danversa była to zaledwie ciekawa opowieść przy kolacji, jako że nikt nigdy nie słyszał o dziecku wilkołaka. Podczas gdy dziedziczne wilkołaki nie doświadczały Przemiany aż do osiągnięcia dojrzałości, zwykle pomiędzy osiemnastym a dwudziestym pierwszym rokiem życia, człowiek ugryziony przez wilkołaka stawał się nim natychmiast, niezależnie od wieku. Najmłodszy znany ugryziony przez zmiennokształtnego miał piętnaście lat. Przypuszczano, że jeśli ugryzione zostanie dziecko, musi umrzeć, czy to od ukąszenia, czy wskutek szoku. Nawet gdyby jakimś cudem przeżyło atak, dziecko nie miałoby dość sił, by przetrzymać pierwszą Przemianę. Ten chłopiec w Luizjanie nie wyglądał na więcej niż siedem-osiem lat, lecz Malcolm widział go w obu postaciach, był więc w pełni rozwiniętą ofiarą ukąszenia. To, że przeżył, Wataha uznała za zrzącenie losu, wybryk natury niemający nic wspólnego z siłą woli czy ogólną krzepą. Wilcze dziecko mogło przeżyć jakiś czas, ale na pewno nie za długo. Gdy następnym razem odwiedził Luizjanę, Malcolm spodziewał się odnaleźć co najwyżej zwłoki chłopca. Założył się nawet o to o sporą sumkę z kilkoma członkami Watahy.

Następnego dnia Jeremy poleciał do Baton Rouge, gdzie odnalazł chłopca, który nie miał pojęcia, co się z nim działo ani od jak dawna był wilkołakiem. Żył w szałasach na bagnach, żywiąc się szczurami, psami i dziećmi. W tak młodym wieku jego Przemiany były niekontrolowane i stale miotał się pomiędzy postaciami, bliski popadnięcia w otchłań szaleństwa. Chłopiec nawet w ludzkiej postaci wyglądał jak zwierzę, nagi, ze zmierzwionymi włosami i paznokciami długimi niczym szpony.

Jeremy sprowadził chłopca ze sobą do domu i spróbował go ucywilizować. Okazało się, że równie dobrze mógłby próbować z dzikim zwierzęciem. Mógł go co najwyżej oswoić. Clay żył samotnie jako wilkołak tak długo, że nie pamiętał, co znaczyło być człowiekiem. Stał się wilkiem w większym stopniu niż jakkolwiek inny wilkołak, kierował się najprostszymi instynktami i popędami, potrzebą polowania dla zdobycia pożywienia, obrony terytorium i

ochrony własnej rodziny. Jeżeli Jeremy to kwestionował, pierwsze spotkanie Claya z Nicholsem musiało rozwiać jego wątpliwości.

Jako chłopiec Clay nie miał styczności z ludzkimi dziećmi, więc Jeremy postanowił, że powinien poznać jednego z synów Watahy, uważając, że Clay chętniej zaakceptuje kolegę, który choć nie był jeszcze wilkołakiem, miał w swoich żyłach wilczą krew. Jak już wspomniałam, synowie Watahy byli zabierani od matek i wychowywani przez ojców. Co więcej, wychowywała ich sama Wataha. Chłopcy byli przez nią hołubieni, co miało zrekompensować im trudy dalszego życia i zacieśnić więzy niezbędne dla zachowania potęgi Watahy. Letnie wakacje chłopcy spędzali zwykle, przenosząc się z jednego domu do drugiego, spędzając tyle czasu, ile się dało, z „wujkami” i „kuzynami”, którzy później staną się ich wilczymi braćmi. Jako że Wataha nigdy nie była liczna, rzadko było więcej niż dwóch chłopców w podobnym wieku. Kiedy Clay przybył, by zamieszkać z Jeremym, było zaledwie dwóch chłopców z Watahy poniżej dziesiątego roku życia — Nick, który miał osiem lat, i Daniel Santos, prawie siedmiolatek, czyli tyle samo ile, zdaniem Jeremy'ego, miał Clay. Z tych dwóch to Nick miał być pierwszym kolegą zabaw dla Claya. Może Jeremy wybrał Nicka, bo ten był synem jego najlepszego przyjaciela. A może już wtedy dostrzegł w Danielu coś, co sprawiło, że uznał go za nieodpowiedniego na towarzysza zabaw Claya. Tak czy owak wybór dokonany przez Jeremy'ego miał odcisnąć się niezatartym piętnem na życiu tych trzech chłopców. Ale to zupełnie inna historia.

Na ich pierwsze spotkanie Antonio przywiózł Nicka do Stonehaven i przedstawił Clayowi, spodziewając się, że chłopcy oddalą się, by zacząć się bawić, jak to dzieci, w chowanego albo w policjantów i złodziei. W pewnej chwili Clay zmierzył wzrokiem starszego i wyższego od siebie chłopca i nie zwracając uwagi na jego ojca, skoczył i przyszpilił Nicka do ziemi, opierając przedramię na jego szyi, podczas gdy Nick zwyczajnie zlał się w spodnie. Zniesmaczony niegodnym zachowaniem swego przeciwnika Clay postanowił darować mu życie i wkrótce stwierdził, że Nick był niekiedy przydatny... jako worek treningowy, chłopiec na posyłki i oddany poplecznik. Nie znaczy to, że obaj nie bawili się też w policjantów i złodziei, ale gdy to robili, niezależnie od roli, jaką odgrywał, Nick zawsze kończył związany, zakneblowany i niekiedy także porzucony w środku lasu i przywiązany do drzewa.

Clay nauczył się w końcu opanowywać swoje instynkty, ale nawet teraz było to wbrew jego naturze. Clayem rządziły instynkt i popędy. Nauczył się sztuczek, które mógł wykorzystywać, jeśli zorientował się zawczasu, co się szykuje, jak choćby gdy usłyszał myśliwych wchodzących na teren posiadłości. Jeśli jednak nie było wcześniejszego ostrzeżenia, temperament brał nad nim górę, a wtedy wybuchał i jego zachowanie mogło zagrozić bezpieczeństwu Watahy. Niezależnie jak był bystry — jego iloraz inteligencji wynosił sto sześćdziesiąt — nie potrafił opanowywać swoich instynktów. Czasami myślałam, że mając przenikliwy, błyskotliwy umysł, jest mu trudniej uświadamiać sobie, że postępuje niewłaściwie, ale nie może temu w żaden sposób zapobiec. Kiedy indziej dochodziłam do wniosku, że był na tyle inteligentny, że powinien móc bez trudu nad sobą zapanować. Może nie starał się dostatecznie mocno. To wyjaśnienie podobało mi się bardziej.

Kiedy Jeremy i Antonio wrócili po zakończonej rozmowie, wszyscy przenieśliśmy się do gabinetu, gdzie Jeremy wyjaśnił całą sytuację. W Bear Valley grasował wilkołak. Historia o dzikim psie była wygodnym wytłumaczeniem wymyślonym przez miejscowych, rozpaczliwie szukających wyjaśnienia tej zagadki. Wokół ciała natrafiono na ślady łap. Samo zabójstwo też wydawało się dziełem zwierzęcia — dziewczynie rozdarło gardło, ciało zostało częściowo pożarte. Oczywiście nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego dziewczyna włóczyła się nocą po lesie, do tego w minispódniczce i szpilkach. To wyglądało na robotę psa, więc miejscowi tak to sobie

wytłumaczyli. Ale my znaleźliśmy prawdę. Zabójcą był wilkołak. Wszystko na to wskazywało. Wydawało się jednak dziwne, że wciąż pozostawał w Bear Valley i że w ogóle się tu pojawił. Jak to możliwe, że jakiś kundel znalazł się tak blisko Stonehaven? Jakim cudem zdołał zabić miejscową dziewczynę, zanim Jeremy i Clay zorientowali się, że mają na swoim terenie intruza? Odpowiedź była prosta — rutyna. Jako że przez dwadzieścia lat żaden wilkołak nie postawił stopy na północ od Nowego Jorku, Clay stracił czujność. Jeremy wciąż przeglądał gazety, ale więcej uwagi poświęcał na wydarzenia rozgrywające się w innych częściach terytorium Watahy. Jeżeli spodziewał się kłopotów, to raczej gdzie indziej, może w Toronto, Albany, gdzie mieszkał Logan, w Catskills, gdzie mieściła się rezydencja Sorrentinów, albo w sąsiednim stanie Vermont, gdzie mieszkał Peter. Ale nie w Stonehaven. Nigdy w pobliżu Stonehaven.

Kiedy zniknęła miejscowa dziewczyna, Jeremy usłyszał o tym, ale zbyt szybko się nie przejął. Ludzie znikali cały czas. Nic nie wskazywało, że jej zaginięcie mogło mieć jakiś związek z wilkołakiem. Trzy dni temu znaleziono ciało dziewczyny, ale było już za późno. Szansa na odnalezienie i pozbycie się intruza po cichu przepadła. Miejscowi narobili w związku z tą sprawą sporego rabanu. W ciągu kilku godzin w okolicznych lasach zaroilo się od uzbrojonych myśliwych, gotowych wpakować kulę każdemu drapieżnikowi, zarówno zwierzęciu, jak i człowiekowi. Jeremy, choć cieszył się wśród okolicznych mieszkańców sporym szacunkiem, był nadal traktowany jak przybysz z zewnątrz — ktoś kto zamieszkiwał tu, ale ogólnie rzecz biorąc, odcinał się od reszty społeczności. Przez całe lata ludzie z Bear Valley i okolic nie zakłócali prywatności Danversa, głównie za sprawą sporych sumek, jakie właściciel Stonehaven wpłacał każdego roku na Boże Narodzenie na rzecz remontu szkoły, nowej biblioteki czy inny szczytny cel, na jaki radzie miejskiej akurat brakowało funduszy. Jednakże w sytuacji zagrożenia natura ludzka kazała miejscowym baczniej przyjrzeć się obcym. Niebawem ktoś spojrzy w stronę Stonehaven i hojnych acz tajemniczych mieszkańców rezydencji i powie: „Wiecie co, tak naprawdę nic nie wiemy o tych ludziach, zgadza się?”.

— Musimy znaleźć tego kundla — rzekł Jeremy. — Elena ma najlepszy węch, więc...

— Nie zostanę tu — odparłam.

W pokoju zapadła cisza. Wszyscy odwrócili się, by na mnie spojrzeć. Wyraz twarzy Jeremy'ego pozostawał nieodgadniony, Clay gniewnie zacisnął szczęki, Antonio i Peter wyglądali na wstrząśniętych, a Nick przyglądał mi się z zakłopotaniem. Przekonałam się w myślach, że pozwoliłam, by sprawy zaszły tak daleko. Środek spotkania to nie jest odpowiedni moment, by ogłaszać swą niezależność i oderwanie od Watahy. Próbowałam powiedzieć to Jeremy'emu ubiegłego wieczoru, ale najwyraźniej zlekceważył to i uznał, że zmienię zdanie, kiedy porządnie się wyśpię. Powinnam była wziąć go dziś rano na stronę i wyjaśnić mu to, zamiast pałaszować śniadanie i pozwalać innym, by uznali, że wszystko wróciło do normy. Jednak właśnie tak działało na mnie Stonehaven. Wróciłam i znów wpadłam w sam środek tego wszystkiego — bieg z Clayem, kłótnia z Jeremym, spanie w moim pokoju, spotkanie z innymi — zapominając o wszystkim innym. Teraz, kiedy Jeremy zaczął uwzględniać mnie w swoich planach, odzyskałam pamięć.

— Myślałam, że wróciłaś — rzekł Nick, przerywając milczenie. — Jesteś tu. Nic nie rozumiem.

— Jestem tu, bo Jeremy zostawił mi pilną wiadomość, abym do niego oddzwoniła. Próbowałam, ale nikt nie odbierał, przyjechałam więc, by dowiedzieć się, co się stało.

Ledwie to powiedziałam, uświadomiłam sobie, jak żałośnie musiały zabrzmieć moje słowa.

— Dzwoniłam i dzwoniłam — dodałam po chwili.

— Wiele razy. Bez końca. Martwiłam się, co się dzieje, jasne? Dlatego przyjechałam tu, by dowiedzieć się, czego chciał ode mnie Jeremy. Spytałam go o to wczorajszej nocy, ale nie chciał powiedzieć.

— A teraz, kiedy już wiesz, postanowiłaś odejść. Ponownie — powiedział Clay cichym, lecz nieustępliwym głosem.

Odwróciłam się, by na niego spojrzeć.

— Wczorajszej nocy powiedziałam wyraźnie...

— Jeremy wezwał cię tu w konkretnym celu, Eleno

— rzekł Antonio, stając pomiędzy Clayem a mną. — Musimy dowiedzieć się, kim jest ten kundel. Ty zajmujesz się rejestrem. Ty ich znasz. To twoje zadanie. Twoja praca.

— To była moja praca.

Nick wyprostował się, zakłopotanie mieszało się w nim z zaniepokojeniem.

— Co to znaczy?

Clay zaczął się podnosić.

— To znaczy, że Elena i ja musimy pomówić. Na osobności — rzucił Jeremy. — Nasze zebranie będziemy kontynuować później.

## DZIEDZICTWO

Peter i Antonio szybko wynieśli się z pokoju. Nick zwlekał, usiłując wychwycić moje spojrzenie. Kiedy odwróciłam wzrok, zawahał się, aż w końcu podążył za ojcem. Clay ciężko wrócił na swoje miejsce.

— Clayton — rzekł Jeremy.

— Zostaję. To dotyczy mnie w równym stopniu jak ciebie. Może nawet bardziej. Jeżeli Elena sądzi, że może się pojawić, a potem znowu zniknąć po tym, jak czekałam na nią cały rok...

— To co? — rzuciłam, podchodząc do niego. — Porwiesz mnie i znów zamkniesz w hotelowym pokoju?

— To było sześć lat temu. A ja tylko próbowałem przekonać cię, abys ze mną porozmawiała, nim wyjedziesz.

— Przekonać? Ha! Pewnie nadal byłabym tam uwięziona, gdybym nie „przekonała” ciebie, abys mnie wypuścił, wywieszając cię za kostki przez balkon.

— To nic by ci nie dało, kochanie. Umiem miękko lądować na ziemi. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

— Ale ja pozbędę się ciebie już teraz — rzekł Jeremy. — Wyjdź. To rozkaz.

Clay zawahał się, westchnął, wstał i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. To nie oznaczało, że odszedł. Nie usłyszałam kroków niknących w głębi korytarza. Ciche stuknięcie oznaczało natomiast, że przycupnął pod drzwiami, podsłuchując. Jeremy zignorował to.

— Potrzebujemy twojej pomocy — rzekł Jeremy, odwracając się do mnie. — Prowadziłaś akta kundli. To było twoje zadanie. Wiesz o nich więcej niż my.

— Zajmowałam się tym, kiedy byłam w Watasze.

— Potrzebujemy twojego nosa, by go odnaleźć, i twojej wiedzy, by go zidentyfikować. A potem, żeby go zlikwidować. To trudna sytuacja, Eleno. Clay sobie nie poradzi. Musimy działać z najwyższą ostrożnością. Ten kundel zabił na naszym terenie i wkroczył do naszego miasta. Musimy go wywabić, nie zwracając na siebie uwagi i nie wzbudzając paniki. Ty możesz to zrobić. Tylko ty.

— Przykro mi, Jer, ale to nie mój problem. Już tu nie mieszkam. Nie zajmuję się szukaniem kundli. To nie należy do moich obowiązków.

— To mój obowiązek, wiem o tym. Nie powinno było do tego dojść. Nie byłem dość czujny. Ale nie zmienia to faktu, że się stało, i wszyscy jesteśmy z tego powodu zagrożeni. Ty także. Jeżeli ten kundel nadal będzie sprawiał kłopoty, ryzykuje, że go złapią. A jeśli go złapią co powstrzyma go przed opowiedzeniem o nas glinom?

— Aleja...

— Chcę tylko, abyś pomogła nam uporać się z tym problemem. Kiedy będzie po wszystkim, zrobisz, co zechcesz.

— 'A jeśli zechcę opuścić Watahę? Czy wczorajszej nocy mówiłeś serio? Że wybór należy do mnie?

Coś przemknęło przez oblicze Jeremy'ego. Odgarnął kosmyki włosów i ten wyraz zniknął.

— Wczoraj byłem wściekły. Nie ma powodu, byś podejmowała pochopne decyzje, Eleno. Powiedziałem, że pozwolę ci odejść i żyć własnym życiem i że przywołam cię tylko, jeśli wymagać będzie tego sytuacja. To jest jedna z takich sytuacji. Nie zadzwoniłbym do ciebie, gdyby sprawa nie była naprawdę poważna. Nie pozwalałem Clayowi kontaktować się z tobą. Nie wzywałem cię na wcześniejsze Zgromadzenia. Nie liczyłem, że będziesz nadal prowadzić rejestr i zajmować się tym, co robiłaś dla nas wcześniej. Nikt inny nie był traktowany w taki sposób. Ty owszem, bo chcę, abyś czuła się swobodnie i mogła dokonać właściwego wyboru bez jakichkolwiek nacisków z naszej strony.

— Masz nadzieję, że zmienię zdanie. Że z tego wyrosnę.

— Było ci ciężiej przywyknąć do tego niż komukolwiek innemu. Nie dorastałaś ze świadomością że jesteś wilkołakiem. Już samo ugryzienie jest potworne, a biorąc pod uwagę, jak do niego doszło, wszystkie okoliczności, rozumiem, że było ci dziesięć razy trudniej. Masz w swojej naturze, by walczyć z czymś, czego nie wybrałaś sama. Jeżeli musisz dokonać wyboru, chcę, żebyś miała pewność, że zrobiłaś to, bo spędziłaś tam dostatecznie dużo czasu, by wiedzieć, że tego właśnie pragniesz, a nie dlatego, iż jesteś uparta, i jeżeli o mnie chodzi, uważam, że należy ci się prawo do stanowienia o sobie i własnej przyszłości. Tu i teraz.

— Innymi słowy masz nadzieję, że z tego wyrosnę.

Proszę cię o pomoc, Eleno. Proszę, nie żądam. Pomóż mi rozwiązać ten problem, a będziesz mogła wrócić do Toronto. Nikt cię nie będzie próbował zatrzymać. — Spojrzał w kierunku drzwi, spodziewając się protestów ze strony Claya, ale nic takiego nie nastąpiło. — Dam ci czas do namysłu. Wróć, kiedy podejmiesz decyzję.

Spędziłam w gabinecie ponad godzinę. W głębi duszy przeklinałam samą siebie, że tu wróciłam, Jeremy'ego, że postawił mnie w takiej sytuacji, a Claya... za całą resztę. Chciałam tupać ze złości jak rozwścieczona dwulatka i krzyczeć, że to nie w porządku. Ale to było uczciwe rozwiązanie. Jeremy zachował się rozsądnie i logicznie. I to właśnie było najgorsze.

Miałam u Watahy dług, którego nie udało mi się spłacić. Byłam coś winna Antoniowi, Peterowi, Nickowi i Loganowi za ich przyjaźń i ochronę, nawet jeśli traktowali mnie jak młodszą siostrę, kogoś, kogo się tuli i głaszcze, zaakceptowali mnie i dbali o mnie, kiedy sama nie potrafiłam zadbać o siebie. Przede wszystkim jednak miałam wielki dług wobec Jeremy'ego.

Choć nie zgadzałam się z jego żądaniami i podważałam autorytet, nigdy nie zapomniałam, ile mu zawdzięczam.

Kiedy zostałam ugryziona, Jeremy przyjął mnie pod swój dach, zaopiekował się mną karmił, nauczył kontrolować Przemiany, opanowywać impulsy i przystosować się do życia w świecie zewnętrznym. Wataha często żartowała, że wychowanie Claya stanowiło dla Jeremy'ego największe wyzwanie, niczym dwanaście prac Herkulesa połączone w jedno. Gdyby wiedzieli, co przechodził ze mną Jeremy, zapewne zmieniliby zdanie. Przez rok urządzałam mu prawdziwe piekło. Kiedy przynosił jedzenie, rzucałam nim w niego. Gdy się do mnie zbliżał, atakowałam go. Później, kiedy uciekłam, narażając całą Watahę, każdy inny wilkołak poddałby się, wytropił mnie i zabił. Jeremy wytropił mnie, sprowadził z powrotem do Stonehaven i zaczął wszystko od nowa.

Kiedy wreszcie stanęłam na nogi, nakłonił mnie, abym dokończyła studia, opłacając moje czesne, czynsz i wszystkie inne niezbędne rzeczy. Kiedy skończyłam studia i zaczęłam pracować jako niezależna dziennikarka, wspierał mnie i zachęcał w trudnych chwilach. Kiedy oznajmiłam, że zamierzam spróbować żyć samodzielnie, nie był zachwycony, ale pozwolił mi odejść i tylko czuwał nade mną z daleka. Nieistotne, czy robił to, ponieważ mnie lubił, czy, jak się tego obawiałam, z uwagi na dobro Watahy, w której interesie było, abym była bezpieczna i pod kontrolą. Grunt, że to robił. Teraz przeklinałam go, że mieszał się w moje nowe życie. Prawda jest taka, że bez Jeremy'ego nie miałabym tego nowego życia. Gdybym w ogóle przeżyła, byłabym jak reszta kundli, ledwie umiejąca kontrolować moje Przemiany, zupełnie niepotrafiąca zapanować nad moimi impulsami, mordująca ludzi, przenosząca się z miejsca na miejsce, o jeden krok wyprzedzając potencjalne podejrzenia, bez pracy, bez mieszkania, bez przyjaciół, kochanka czy przyszłości. A teraz Jeremy poprosił mnie o coś. O jedną przysługę, i nawet nie sformułował tego w ten sposób. Zwyczajnie poprosił o pomoc.

Nie mogłam odmówić.

Powiedziałam Jeremy'emu, że zostanę, jak będzie trzeba, aby pomóc im odnaleźć i zabić kundla, pod warunkiem, że kiedy będzie po wszystkim, pozwoli mi odejść i ani on, ani Clay nie spróbują mnie zatrzymać. Jeremy się zgodził. Potem poszedł poinformować

— tym resztę. Claya odprowadził na stronę i udzielił mu dłuższego wyjaśnienia. Kiedy Clay wrócił, był cały w skowronkach, żartował z Peterem, siłował się z Nickiem i gawędził z Antoniem, a kiedy wróciliśmy do gabinetu na ciąg dalszy Zgromadzenia, zaoferował mi miejsce na kanapie. Jako że Jeremy raczej nie ubarwił szczegółów naszej umowy, Clay najwyraźniej musiał je przeinterpretować zgodnie z własną logiką, równie nie- pojętą jak jego kodeks etyczny oraz zachowanie. Zamierzałam wkrótce wyprowadzić go z błędu. Jak się tego spodziewałam, plan polegał na wytropieniu i zabiciu kundla. Z uwagi na specyfikę sprawy, miało się to odbyć w jednej-dwóch fazach. Dziś wieczorem nasza piątka włącznie z Jeremym uda się do miasta, by wytropić kundla. Rozdzielimy się na dwie grupy, z Antoniem

— Peterem w jednej i resztą w drugiej. Jeżeli odnajdziemy kryjówkę kundla, ja albo Antonio zadecydujemy, czy bezpiecznie jest zabić kundla, czy nie. Gdyby okazało się, że stwarza to jakieś zagrożenie, zbierzemy niezbędne informacje i przełożymy likwidację na następny wieczór. Po fuszerce z Jose Carterem zdziwiło mnie, że Jeremy był gotów powierzyć mi odpowiedzialność za tak istotną decyzję, ale nikt tego nie zakwestionował, więc i ja nie próbowałam oponować.

Przed lunchem poszłam do swego pokoju i zadzwoniłam do Philipa. Na dole Peter i Antonio głośno kłócili się o jakieś sprawy ze świata wielkiej finansjery. Szuflady w kuchni były wysuwane i zamykane z głośnym trzaskiem, a do moich nozdrzy napłynął aromat pieczonej ja-



gnięciny, gdy Clay i Nick szykowali lunch. Choć nie słyszałam Jeremy'ego, wiedziałam, że był tam, gdzie go zostawiłam, w gabinecie, ślęcząc nad mapą Bear Valley i usiłując opracować dla naszych grup części miasta, które mieliśmy przeszukać tej nocy.

Znalazszy się w moim pokoju, podeszłam do łóżka, odsunęłam zasłonę, wślizgnęłam się z komórką do łóżka i pozwoliłam, by zasłona opadła, przesłaniając mi resztę świata. Kiedy Philip nie odebrał telefonu w biurze, wybrałam numer jego komórki. Odezwał się po trzecim sygnale. Kiedy na łączach usłyszałam jego głos i trzaski, hałas z dołu jakby ucichł i zdawało się, że przeniosłam się do całkiem innego świata, gdzie polowanie na wilkołaka było pomysłem rodem ze scenariusza filmu klasy B.

— To ja — powiedziałam. — Jesteś zajęty?

— Wychodzę na lunch z klientem. Potencjalnym klientem. Odebrałem twoją wiadomość. Zszedłem na dół, by poćwiczyć przez pół godziny, i przegapiłem twój telefon. Możesz mi podać numer, tam, do ciebie? Zaczekaj, wezmę coś do pisania.

— Mam moją komórkę.

— No jasne. Ale ze mnie matoł. Jasne, że tak. Więc jakby co, mogę dzwonić do ciebie na komórkę?

— W szpitalu nie będę mogła odebrać. To wbrew przepisom. Ale będę sprawdzać wiadomości.

— W szpitalu? Cholera. Wybacz. Rozmawiamy od pięciu minut, a ja nawet nie spytałem, co się stało z twoim kuzynem. Jakiś wypadek?

Z jego żoną nie jest dobrze. Przyjeżdżałam tu co lato i szaleliśmy razem, Jeremy, jego bracia i Celia — to znaczy jego żona. — Philip wiedział, że moi rodzice nie żyją, ale nie zdradziłam mu żadnych krwawych szczegółów, nie powiedziałam, ile miałam lat, kiedy to się stało, mogłam więc improwizować. — Celia miała wypadek samochodowy. Przez chwilę jej stan był krytyczny, właśnie wtedy Jeremy do mnie zadzwonił. Teraz wygląda na to, że z tego wyjdzie.

— Dzięki Bogu. Jezu, to straszne. Jak wy wszyscy dajecie sobie radę?

— Jakoś się trzymamy. Gorzej z dziećmi. Jest ich trójka. Jeremy łązi na rzesach, próbując radzić sobie ze szkrabami i martwi się cały czas o Celię. Zaproponowałam, że zostanę na kilka dni, przynajmniej dopóki rodzice Celi nie wrócą z Europy. Wszyscy są dość mocno tym wszystkim wstrząśnięci.

— Wyobrażam sobie. Zaczekaj. Trzaski na linii. Dobra. Zjechałem z drogi ekspresowej. Wybacz. A więc zostajesz, aby trochę im pomóc?

— Tylko przez weekend. Mogę?

— Jasne. Oczywiście. Gdyby nie to, że mam teraz sporo pracy, sam bym przyjechał, aby wam jakoś pomóc. Potrzeba ci czegoś?

— Mam moją kartę kredytową.

Zachichotał.

— To wszystko, czego ludzie dziś potrzebują. Jeżeli przekroczysz limit, daj znać, to przeleję ci z mego konta jakąś sumkę. Cholera, przegapiłem mój zjazd.

— Będę już kończyć.

— Przepraszam. Zadzwoni do mnie wieczorem, jeżeli będziesz mogła, choć podejrzewam, że raczej będziesz zajęta. Trójka dzieci. Ile lat?

— Wszystkie mniej niż pięć.

— Auu. Będziesz zajęta. Tęsknię.

— To tylko parę dni.

— Dobra. Mam nadzieję, że wkrótce znów się odezwiesz. Kocham cię.

— Ja ciebie też. Pa.

Kiedy się rozłączyłam, zamknęłam oczy i wypuściłam powietrze. No i co? Nie było to takie trudne. Philip to Philip. Nic się nie zmieniło. Philip i moje nowe życie byli tuż obok i czekali na mój powrót. Jeszcze tylko kilka dni i do nich wrócę.

Po lunchu weszłam do gabinetu, aby rzucić okiem na moje archiwa w nadziei, że znajdę coś, co pomoże mi stwierdzić, który konkretnie kundel sprawiał kłopoty w Bear Valley. Jednym z moich zadań w Watasze było prowadzenie rejestru wilkołaków nienależących do Watahy. Stworzyłam ich akta, włącznie ze zdjęciami i opisami wzorców zachowań. Mogłam podać z pamięci dwa tuziny nazwisk i ostatnie znane miejsca ich działań, dzieląc tę listę na dobrych, złych i brzydkich — tych, co potrafili stłumić w sobie żądzę zabijania, tych, którzy tego nie umieli, i tych, co nawet nie próbowali tego robić. Sądząc po zachowaniu obecnego kundla, należał do ostatniej kategorii. To zawęziło listę z dwudziestu siedmiu do dwudziestu nazwisk. Odwróciłam się w stronę szafki pod półką z książkami. Otworzywszy drzwiczki, sięgnęłam pomiędzy kieliszkami i przesunęłam dłonią po tylnej ścianie w poszukiwaniu wystającego drewnianego trzpienia. Odnalazłszy go, przekreśliłam, otwierając tylną ściankę. W znajdującej się za nią skrytce przechowywaliśmy dwa jedyne przedmioty w Stonehaven mogące nas obciążać i łączące nas z tym, czym byliśmy. Jednym z nich był zeszyt zawierający mój rejestr. Nie było go tam, gdy zajrzałam o środka. Westchnęłam. Tylko Jeremy mógł go wyjąć, a on przed godziną wybrał się na spacer. Choć mogłam go poszukać, wiedziałam, że nie chodziło mu o przechadzkę, lecz o dopracowanie planów polowania na kundla, które miało odbyć się tej nocy. Na pewno nie chciał, by mu teraz przeszkadzano.

Zanim zamknęłam skrytkę, ujrzałam leżącą tam książkę i pod wpływem nagłego impulsu wyjęłam ją a potem otworzyłam, choć czytałam ją tyle razy, że jej treść znałam niemal na pamięć. Kiedy Jeremy po raz pierwszy opowiedział mi o Dziedzictwie, spodziewałam się jakiegoś zapleśniałego, cuchnącego, na wpół zbutwiełego tomiszczka. A jednak licząca sobie wiele stuleci księga była w lepszym stanie niż moje uczelniane skrypty. Oczywiście stronicie były pożółkłe i delikatne, lecz każdy z samców alfa przechowywał ją w specjalnym pomieszczeniu, z dala od światła, kurzu, pleśni i innych czynników, które mogą zniszczyć księgę.

Dziedzictwo miało opowiadać historię wilkołaków, a zwłaszcza Watahy, lecz nie było suchą relacją pełną dat i relacji z konkretnych wydarzeń. Zamiast tego każdy samiec alfa dodawał to, co uważał za istotne, tworząc w ten sposób osobliwy mizmasz historii, genealogii i tradycji. Jedną z części dotyczyła wyłącznie naukowych eksperymentów nad naturą i ograniczeniami wilkołaka jako takiego. Samiec alfa z epoki renesansu był szczególnie zafascynowany legendami o nieśmiertelności wilkołaków. Ze szczegółami przedstawił każdą z nich, poczynawszy od historii o wilkołakach zyskujących nieśmiertelność poprzez picie krwi niemowląt, po mity o wilkołakach stających się po śmierci wampirami. Potem zajął się kontrolowanymi eksperymentami na kundlach, które udało mu się schwytać, pracując nad nimi, zabijając je, a następnie czekając na ich wskrzeszenie. Żaden z eksperymentów nie zakończył się sukcesem, ale można powiedzieć, że ów zmiennokształtny zdołał skutecznie zmniejszyć populację europejskich kundli.

Sto lat później pewien samiec alfa miał prawdziwą obsesję związaną z poszukiwaniem sposobów na lepszy seks — aż dziwne, że ktoś zajął się tym dopiero po paru- set latach. Zaczął od hipotezy, że seks pomiędzy człowiekiem a wilkołakiem jest mało satysfakcjonujący, bo dotyczy dwóch różnych gatunków. Dlatego też ukąsił kilka kobiet, a gdy żadna z nich nie przeżyła, skonkludował, że plotki o samicach wilkołakach rozpowszechniane przez stulecia były fałszywe, bo coś takiego jest biologicznie niemożliwe. Kontynuując badania, zajął się różnymi wariantami seksu w obu postaciach, ludzkiej i wilczej, tak z ludźmi, jak i prawdziwymi wilkami. Nic z tego nie umywało się do staroświeckiej formy uprawiania seksu z ludźmi w ludzkiej postaci, toteż ponownie zajął się kobietami i zaczął eksperymentować z różnorodnością pozycji,

aktów, lokalizacji i tak dalej. W końcu odkrył ostateczny akt seksualnego spełnienia, odczekując aż do granicy nadchodzącego orgazmu, a następnie podrzynając partnerce gardło. Opisywał tę technikę w najdrobniejszych szczegółach, jak przystało na pełnego ekscytacji neofitę. Na szczęście jego przekonania nigdy nie zyskały większej popularności wśród Watahy, zapewne dlatego, że ów samiec alfa spłonął na stosie kilka miesięcy później, gdy zdziesiątkował całą populację młodych, zdrowych kobiet w swojej wiosce.

Pomijając fakty, Dziedzictwo zawierało zebrane przez stulecia niezliczone opowieści o wilkołakach. Większość z nich była z rodzaju „tę historię opowiedział mi ojciec, kiedy byłem dzieckiem” i dotyczyły zdarzeń sprzed pierwszej pisanej wersji Dziedzictwa. Były to opowieści o wilkołakach wiodących żywot a rebours, pozostając przez większość czasu wilkami i zmieniając się w ludzi tylko wtedy, gdy wymagały tego fizyczne potrzeby. Były tam opowieści o rycerzach, żołnierzach, bandytach i włóczęgach, którzy rzekomo byli wilkołakami. Większość tych nazwisk zaginęła w mrokach przeszłości, ale jedno wciąż było dobrze znane, nawet ci, co nigdy nie zajrzeli do podręcznika historii, musieli się z nim zetknąć. Ludzka historia głosi, że legenda rodu Dżyngis-chana zaczęła się od wilka i łani. Wedle tego, co zawiera Dziedzictwo, była to nie tyle alegoria, lecz prawda, z tym że wilk okazał się wilkołakiem, a łania to uosobienie ludzkiej kobiety. Idąc dalej tym tokiem rozumowania, Dżyngis-chan sam był wilkołakiem, co tłumaczyło jego żądzę krwi i niemal nadnaturalne umiejętności na polu bitwy. Było w tym zapewne tyle prawdy, co w twierdzeniach niezliczonych rzesz ludzi upierających się, że są potomkami Napoleona lub Kleopatry. Ale tak czy inaczej, była to niezła historyjka.

Równie ciekawa jak ta, którą również można odnaleźć wśród ludzkich mitów związanych z wilkołakami. Wioska pewnego szlachcica, młodego żonkosia, była nękana przez wilkołaka. Pewnej nocy, polując na bestię, szlachcic usłyszał jakiś hałas wśród krzaków i zobaczył wielkiego wilka. Zeskoczył z siodła i pieszo puścił się w pogoń za bestią. Zwierzę rzuciło się do ucieczki. W którymś momencie szlachcic zbliżył się do wilka na tyle, by zamachnąć się szablą, i obciął mu przednią łapę. Stworzenie uciekło, ale kiedy szlachcic wrócił po odrąbaną łapę, zmieniła się ona w ludzką dłoń. Wyczerpany wrócił do domu i chciał opowiedzieć żonie, co się stało. Znalazł ją w jednym z pokoi na tyłach domu, obwiązaną okrwawionym kikutem odciętej dłoni. Uświadomiwszy sobie prawdę, szlachcic zabił kobietę. Na tym kończy się ludzka wersja tej historii, ale Dziedzictwo idzie dalej, a zakończenie, jakie proponuje, jest bardziej po myśli wilkołaków. W wilczej opowieści szlachcic zabija swą młodą żonę, rozcinając jej brzuch. Wtedy to zaczynają wylewać się z jej wnętrza szczenięta, jego własne dzieci. Ten widok doprowadza szlachcica do szaleństwa i mężczyzna przebija się własną szablą. Jako kobiecie wilkołakowi na samą myśl o miocie szczeniąt robi mi się nieswojo. Wolę interpretować szczenięta jako alegorie wyrzutów sumienia nękających szlachcica. Kiedy zdał sobie sprawę, że zabił żonę, nie dając jej szansy na wyjaśnienia, oszalał i popełnił samobójstwo. To bardziej adekwatne zakończenie.

Poza tymi opowieściami i przemyśleniami każdy alfa opisywał genealogię Watahy w czasie swoich rządów. Nie mówię tu tylko o drzewach genealogicznych, lecz krótkich opisach każdej z osób, zawierających jej historię i dzieje. Większość drzew genealogicznych była rozległa i rozbudowana. Jednakże w obecnej Watasze były trzy osobliwości, tylko po jednym nazwisku bez innych, które by je poprzedziły lub następowały po nich. Dwa z nich należały do Claya i do mnie. Trzecim był Logan. W przeciwieństwie do Claya i do mnie Logan był dziedzicznym wilkołakiem. Nikt nie wiedział, kto był jego ojcem. W niemowlęctwie oddano go do adopcji. Jedyne co do niego należało, to koperta z zaleceniem, by otworzył ją w swoje szesnaste urodziny. W kopercie znajdowała się kartka z dwoma nazwiskami i dwoma adresami, I Danversów ze Stonehaven i Sorrentino mieszkających na przedmieściach Nowego Jorku. Raczej mało prawdopodobne, aby ojciec Logana należał do Watahy, gdyż żaden z jej członków nie oddałby syna do adopcji. Jednak jego ojciec wiedział, że Wataha nie odprawi szesnastoletniego

wilkolaka, niezależnie od pochodzenia, toteż skierował do nich swego syna, dzięki czemu zyskał pewność, że Logan się dowie, kim jest, jeszcze przed pierwszą Przemianą a tym samym rozpocznie nowe życie odpowiednio chroniony i wyszkolony. Może to znak, że nie wszystkie kundle były beznadziejnymi ojcami, a może to tylko wyjątek potwierdzający regułę.

Większość drzew genealogicznych Watahy miała liczne odgałęzienia. Podobnie jak Danversowie, rodzina Sorrentino potrafiła prześledzić swoje losy aż do korzeni i zaczątków Dziedzictwa. Ojciec Antonia, Dominie, był alfą aż do śmierci. Miał trzech synów — Gregory'ego, który już nie żył, Benedicta, który opuścił Watahę, zanim się pojawiłam, i najmłodszego Antonia. Nick był jedynym synem Antonia. W Dziedzictwie obok inicjałów Nicka widniał wpis LKB. Nick nie wiedział, co on oznacza. O ile mi wiadomo, nigdy o to nie zapytał. Gdyby nawet czytał Dziedzictwo, w co wątpiłam, uznałby zapewne, że skoro nikt mu tego nie wyjaśnił, nie jest to nic ważnego. Nick taki już był, na wszystko się zgadzał. Litery były ważne, ale nie było sensu tłumaczyć Nickowi ich znaczenia, przywołując pytania, na które nie było odpowiedzi, i emocje, których nie dało się zaspokoić. LKB to inicjały matki Nicka. Tylko tu, w Dziedzictwie, pojawiała się właśnie w ten sposób wzmianka na jej temat. Dodał ją Jeremy. Ani Jeremy, ani Antonio nie pokwapili się, by mnie o tym poinformować. Usłyszałam o tym parę lat temu od Petera. Kiedy Antonio miał szesnaście lat, uczęszczając do ekskluzywnej prywatnej szkoły pod Nowym Jorkiem, zakochał się w miejscowej dziewczynie. Był na tyle bystry, że nie powiedział o tym ojcu, ale wtajemniczył w sekret najlepszego przyjaciela, czternastoletniego Jeremy'ego, i we dwóch postanowili zataić to przed Watahą. Przez rok się udawało. Nieoczekiwanie dziewczyna zaszła w ciążę. Za radą Jeremy'ego Antonio powiedział o wszystkim ojcu. Najwyraźniej Jeremy sądził, że Dominie zrozumie, że jego syn się zakochał, i złamie prawo Watahy, by mu pomóc. Chyba wszyscy byli kiedyś młodzi. Młodzi, romantyczni i bardzo naiwni. Nawet Jeremy. Sprawy nie potoczyły się zgodnie z przewidywaniami Jeremy'ego. Cóż za niespodzianka. Dominie zabrał Antonia ze szkoły i umieścił w areszcie domowym, podczas gdy Wataha oczekiwała przyjścia na świat dziecka. Z pomocą Jeremy'ego Antonio zbiegł, wrócił do dziewczyny i ogłosił uniezależnienie od Watahy. Potem było już tylko gorzej. Peter pominął szczegóły, mówiąc tylko, że Antonio i jego dziewczyna ukryli się, podczas gdy Jeremy prowadził negocjacje między ojcem a synem, rozpaczliwie usiłując doprowadzić do pojednania. W którymś momencie narodził się Nick.

Trzy miesiące później Antonio przeżył swoją pierwszą Przemianę. W ciągu następnych sześciu miesięcy zrozumiał, że jego ojciec miał rację. Nieważne, jak bardzo kochał matkę Nicka, nie mogło się im udać. Nie tylko zrujnowałby życie jej, ale też swemu synowi, skazując go na żywot kundla. Którejś nocy zabrał Nicka, zostawił na stole kopertę z pieniędzmi i odszedł. Oddał Nicka pod opiekę Jeremy'emu i powiedział mu, żeby zabrał dziecko do Dominica. Potem zniknął. Nie było go przez trzy miesiące i nawet Jeremy nie wiedział, gdzie się podziewał. Równie niespodziewanie powrócił. Odebrał Nicka, by zająć się jego wychowaniem i nigdy więcej już nie wspominał o swojej dziewczynie. Wszyscy sądzili, że na tym już koniec. Jednak lata później, gdy Peter przyjechał odwiedzić Antonia, wyszedł go na przedmieściu, gdzie odnalazł go siedzącego w swoim aucie przy placu zabaw i obserwującego młodą kobietę z małym dzieckiem. Zastanawiałam się, jak często to robił i czy trwało to nadal, czy wciąż sprawdzał, co się działo z matką Nicka, czy obserwował ją jak bawiła się z wnukami. Kiedy patrzyłam na Antonia, chępliwego, głośnego, pewnego siebie, trudno mi było wyobrazić go sobie tęskniącego za utraconą miłością ale przez wszystkie te lata, kiedy go znałam, nie pamiętam, abym usłyszała, żeby kiedykolwiek wspominał o jakiegokolwiek kobiecie w swoim życiu. Rzecz jasna w jego życiu pojawiały się kobiety, ale przychodziły i odchodziły, nigdy nie zostawały na tyle długo, by warto było o nich wspomnieć, choćby tylko w luźnej pogawędce.

Kiedyś zastanawiałam się, czemu Peter opowiedział mi tę historię, rozdział z dziejów Watahy, który nigdy nie trafi na karty Dziedzictwa. Później zrozumiałam, że uznał, iż wtajemniczenie mnie w niegroźny sekret Watahy zwiąże mnie z nią i pomoże lepiej poznać moich wilczych braci. Peter często to robił. Nie chcę przez to powiedzieć, że inni odcinali się ode mnie albo sprawiali, że czułam się niechciana. Nic z tych rzeczy. Jediną osobą w której akceptację kiedykolwiek wątpiłam, był Jeremy i kto wie, czy nie stanowiło to dla mnie większego problemu niż dla niego. Logana i Nicka poznałam poprzez Claya, zanim jeszcze stałam się wilkołakiem. Po tym, jak zostałam ugryziona, obaj tam byli i kiedy już byłam gotowa, aby przyjąć ich pomoc, zrobili co w ich mocy, by poprawić mi humor — o ile można poprawić humor komuś, kto właśnie dowiedział się, że jego życie, takim, jakim było, dobiegło końca. Kiedy spotkałam Antonia na moim pierwszym Zgromadzeniu Watahy, pochlebiał mi, drażnił się ze mną i gawędził z taką swobodą jakby znał mnie od lat. Ale Peter był inny. Akceptacja nie wystarczyła. Zawsze posuwał się o krok dalej. On pierwszy opowiedział mi o swoim pochodzeniu, jak nowo poznany wujek wtajemniczający mnie w historię rodziny.

Peter wychowywany był przez Watahę, ale gdy miał dwadzieścia dwa lata, postanowił odejść. Jego decyzji nie poprzedziły żadne poważniejsze kłótnie czy przejawy buntu. Po prostu postanowił spróbować innego życia bardziej w formie eksperymentu niż sprzeciwu wobec Watahy. Jak to ujął Peter, Dominie nie postrzegał go jako zagrożenia dla Watahy ani też nie stanowił ważnego jej elementu, toteż pozwolił mu odejść. Mając magisterium z technologii audiowizualnej, Peter zajął się najwspanialszą pracą jaką mógł sobie wymarzyć, jako technik dźwiękowiec zespołów rockowych. Zaczynał od podrzędnych kapel knajpianych, ale niecałe pięć lat później zajmował się już obsługą wielkich koncertów. Wtedy też jego pragnienie nowych doznań stało się niebezpieczne, gdy wdepnął w typowy dla rockmenów styl życia — z wódą prochami i imprezami po świt. I wtedy coś się stało. Coś złego. Peter nie wdawał się w szczegóły, ale jak stwierdził, było to na tyle okropne, że mógłby dostać za to wyrok śmierci, gdyby dowiedziała się o tym Wataha. Mógł uciec, ukryć się i nie tracić nadziei. Nie zrobił tego jednak. Zamiast tego przyjrzał się swemu życiu, temu, co zrobił, i stwierdził, że ucieczka nic by mu nie dała. Znów zawaliłby sprawę. Postanowił zdać się na miłosierdzie Watahy. Gdyby Dominie nakazał jego egzekucję, przynajmniej jego pierwszy błąd byłby zarazem ostatnim. Mimo to miał nadzieję, że Dominie mu przebaczy i pozwoli na powrót do Watahy, gdzie mógł zyskać pomoc w odzyskaniu kontroli nad swoim życiem. By zwiększyć swe szanse, zwrócił się do jednego z wilczych braci, któremu ufał, by przedstawił jego sprawę Dominicowi. Zwrócił się do Jeremy'ego. Zamiast udać się do Dominica, Jeremy polecił do Los Angeles, zabierając ze sobą dziesięcioletniego Claya. Podczas gdy Peter opiekował się Clayem, Jeremy przez tydzień usuwał wszelkie ślady popełnionego przez Petera błędu. Następnie przywiózł Petera do Nowego Jorku i zaaranżował jego powrót do Watahy, choćby słowem nie wspominając o wybryku tamtego w Kalifornii. Dziś nikt by się nie domyślił, że Peter kiedykolwiek zbłądził, czy w ogóle opuścił Watahę. Był równie oddany Jeremy'emu jak Clay i Antonio, choć na swój sposób, cichy i pełen akceptacji; nigdy się nie kłócił ani nawet nie wysuwał opinii sprzecznych ze zdaniem Jeremy'ego. Jediną pamiątką bujnej, szalonej przeszłości była praca Petera. Wciąż był technikiem dźwiękowcem, jednym z najlepszych w branży. Rutynowo wyruszał w długie trasy, ale Jeremy nigdy się o niego nie martwił ani nie wątpił, że tamten w życiu na zewnątrz wykaże się daleko posuniętą ostrożnością. Jeremy pozwolił mi nawet wyjechać kiedyś z Peterem na parę tygodni, gdy dopiero stawiałam pierwsze kroki jako wilkołak. Peter zaprosił mnie na kanadyjski odcinek trasy zespołu U2. To było dla mnie wielkim przeżyciem, dzięki czemu zapomniałam o wszystkich problemach i o to właśnie Peterowi chodziło.

Kiedy tak o tym myślałam, para rąk schwyciła mnie pod pachy i dźwignęła z krzesła.

— Pobudka! — krzyknął Antonio, łaskocząc mnie i na powrót sadzając na krześle. Nachylił się nad moim ramieniem i sięgnął po Dziedzictwo. — W samą porę, Pete. Jeszcze pięć minut lektury i zapadłaby w śpiączkę.

Peter podszedł i stanawszy przede mną wziął księgę z rąk Antonia, po czym skrzywił się.

— Czy aż tak marne z nas towarzystwo, że musisz się tu chować, by czytać te starocie?

Antonio zaśmiał się.

— Chyba to nie nas unika, lecz pewnego blondwłosego tornada. Jeremy posłał go z Nickym do sklepu, więc możesz już wyjść z kryjówki.

— Przyszliśmy, aby spytać, czy wybierzesz się z nami na spacer — rzekł Peter. — Aby rozprostować nogi i trochę pogadać.

— Właściwie to chciałam... — zaczęłam.

Antonio znów ujął mnie pod pachy i tym razem postawił na nogi.

— Właściwie to chciała nas poszukać i powiedzieć, jak bardzo się za nami stęskniła, i pogawędzić o tym i owym.

— Ja tylko...

Peter złapał mnie za przeguby rąk i pociągnął w stronę drzwi. Próbowałam stawiać opór.

— Pójdę z wami — westchnęłam. — Chciałam tylko powiedzieć, że przyszłam tu, aby zajrzeć do akt, ale Jeremy musiał je zabrać. Miałam nadzieję, że pomogą mi odkryć, kto za tym wszystkim stoi. A co wy o tym sądzicie? Macie jakieś pomysły?

— Całkiem sporo — odparł Antonio. — Podzielimy się nimi z tobą podczas spaceru.

Kiedy opuściliśmy podwórze za domem i ruszyliśmy w stronę lasu, Antonio zaczął.

— Stawiam na Daniela — powiedział.

— Na Daniela? — Peter zmarszczył brwi. — Jak na to wpadłeś?

Antonio uniósł rękę i na palcach zaczął wyliczać powody.

Po pierwsze, należał do Watahy, więc wie, jak niebezpieczne są tego rodzaju zabójstwa na naszym terytorium i że nie możemy ani nie chcemy opuścić miasta. Po drugie, nienawidzi Claya. Po trzecie, nienawidzi Jeremy'ego. Po czwarte, nienawidzi nas wszystkich / . wyjątkiem drogiej Eleny, której na szczęście nie było w Stonehaven i nie mogła ucierpieć z powodu całego tego zamieszania, o czym, nie wątpię, Daniel musiał wiedzieć. Po piąte, on naprawdę nienawidzi Claya. Po szóste... Chwileczkę, skończyły mi się palce u jednej ręki... Po szóste, to morderczy skurwiel kanibal. Po siódme, czy wspomniałem, że postanowił uderzyć pod nieobecność Eleny? Po ósme, gdyby narobił naprawdę sporego bałaganu, Elena mogłaby być zmuszona znaleźć sobie nowego partnera. Po dziewiąte, on naprawdę bardzo, ale to baaardzo nienawidzi Claya. Po dziesiąte, poprzysiągł wieczną zemstę Watasze, a zwłaszcza dwóm jej członkom, którzy, tak się składa, mieszkają tu, w Stonehaven. Skończyły mi się palce u obu dłoni. Ile jeszcze powodów mam wymienić?

— Choćby taki, że to wszystko trąciłoby samobójczą głupotą. Daniel nie pasuje mi ani na samobójcę, ani na idiotę. Bez obrazy, Tonio, ale myślę, że widzisz w tym wszystkim rękę Daniela, bo po prostu chcesz ją zobaczyć. To wygodny kozioł ofiarny, choć nie powiem, że nie chciałbym, aby odpowiedział kiedyś za wszystko, co zrobił. Ja stawiałbym raczej na Zachary'ego Caina. Jest dostatecznie tępy. Kto wie, czy ten wielki osiłek nie obudził się któregoś dnia i nie pomyślał: „Hej, a w sumie czemu nie miałbym ot tak, dla zabawy, zabić jakiejś dziewczyny na terytorium Watahy?”. Pewnie zastanawiał się później, czemu nie pomyślał o tym wcześniej. Bo to głupie, wręcz idiotyczne.

— Może to ktoś mniej ważny? — powiedziałam. Ktoś, kto miał dość podcinania skrzydeł? Czy jakieś kundle sprawiały ostatnio kłopoty?

— Pretensjonalne — rzucił Antonio. — Żaden z frajerów nie zrobiłby czegoś takiego. Z wielkiej czwórki Daniel, Cain i Jimmy Koenig nie dają znaku życia. Karl Marsten ubiegłej zimy zabił w Miami kundla, ale nie sądzę, aby to on sprawiał kłopoty w Bear Valley. To nie jego modus operandi, chyba że prócz zabijania ludzi zaczął ich również zjadać. To mało prawdopodobne.

— Kogo zabił? — spytałam.

Ethana Rittera — odrzekł Peter. — Pokłócili się o granice terytorium. Czyste zabójstwo. Skrupulatne pozbycie się ciała. Typowe zachowanie Marstena. Dowiedzieliśmy się o tym tylko dlatego, że wcześniej tej wiosny, będąc w trasie, przejeżdżałem przez Florydę. Marsten skontaktował się ze mną, zaprosił mnie na kolację i powiedział, że sprzątnął Rittera, więc możesz wykreślić jego nazwisko ze swoich akt. Pogawędziliśmy trochę, a rachunek, skądinąd astronomiczny, uiszczył gotówką. Zapytał, czy mamy jakieś wieści o tobie, i kazał wszystkich pozdrowić.

— Dziwię się, że nie przysłał kartki na święta — rzekł Antonio. — Już ją widzę. Gustowną, tłoczoną na najdroższym papierze, najlepszą, jaką mógł ukraść. Krótkie życzenia napisane eleganckim charakterem pisma: „Wesołych Świąt. Mam nadzieję, że u was wszystko gra. W Miami załatwiłem Rittera i wrzuciłem jego szczątki do Atlantyku. Szczęśliwego Nowego Roku. Karl”.

Peter się zaśmiał.

— Ten facet nigdy nie potrafił określić, po której stronie płotu się znajduje.

— Och, doskonale to wie — odparłam. — Właśnie dlatego zaprasza nas do ekskluzywnych restauracji i informuje o usuniętych kundlach. Ma nadzieję, że to my zapomnimy, po której stronie płotu się znalazł.

— Wątpliwe — uciął Antonio. — Kundel to kundel, a Karl Marsten tym właśnie jest i kropka. Niebezpiecznym kundlem.

Pokiwałam głową.

— Ale jak sam wspomniałeś, to mało prawdopodobne, aby pożerał ludzi w Bear Valley. Wiem tyle co i wy, ale naprawdę spodobała mi się kandydatura Daniela. Czy wiemy, gdzie ostatnio przebywał?

Zapadła chwila ciszy. Długa chwila ciszy. Bardzo długa.

— Nikt tego nie rejestruje — rzekł w końcu Peter.

— Nic wielkiego — wtrącił Antonio, uśmiechając się i dźwigając mnie w górę. — Zapomnijmy o sprawach Watahy. Opowiadaj, co u ciebie. Tęskniliśmy za tobą.

Sprawa wbrew pozorom była poważna. Zrozumiałam, dlaczego tak usilnie starali się ją zlekceważyć. Bo to wszystko była moja wina. Siedzenie kundli należało do moich obowiązków. Gdybym powiedziała Jeremy'emu w zeszłym roku, że opuszczam Watahę, znalazłby kogoś na moje miejsce. Gdybym w którymś momencie zadzwoniła i powiedziała, że nie wrócę, zastąpiłby mnie kimś. Ale ja odeszłam bez słowa. Nic nikomu nie mówiąc. Jak zawsze. Już wcześniej odchodziłam ze Stonehaven po kolejnej kłótni z Clayem, aby odpocząć od tego wszystkiego. Potrzebowałam tego. Trwało to parę dni albo tygodni, ale w końcu wracałam. Tym razem moja nieobecność przedłużyła się, tygodnie zamieniły się w miesiące, a te później w cały rok. Sądziłam, że się domyślą i zrozumieją, że nie wrócę, ale może tak się nie stało, może wciąż czekali, jak Clay przez cały dzień przy frontowej bramie, przekonani, że prędzej czy później się zjawię, bo przecież zawsze wracałam, a nie powiedziałam otwarcie, że nie wrócę. Zastanawiałam się, jak długo by na mnie czekali.

Po kolacji szłam do siebie, gdy nagle z pokoju Claya wyskoczył Nicholas, złapał mnie wpół i zaciągnął do środka. Sypialnia Claya znajdowała się naprzeciw mojej i była skrajnie od niej odmienna pod względem wystroju. Urządzono ją w czerni i bieli. Gęsty dywan był śnieżnobiały. Jeremy pomalował ściany na biało w duże czarne figury geometryczne. Łóżko Claya było wielkie, lśniąca od mosiądzu, nakryte czarno-białą narzutą we wzory zaczerpnięte z jakiejś mało znanej religii. Wzdłuż zachodniej ściany zarezerwowano miejsce dla najnowszego zestawu audio-wideo, jedyne w całym domu stereo, magnetowidu i telewizora. Na przeciwległej ścianie wisiały moje portrety, mieszanina fotografii i szkiców, które przywodziły mi na myśl „ołtarzyki”, jakie znajduje się w domach ogarniętych różnymi obsesjami psychopatów. Skądinąd określenie to pasowało do Claya jak ulał.

Nick rzucił mnie na łóżko i skoczył na mnie, wyciągając mi bluzkę z dżinsów, aby połaskotać po brzuchu. Uśmiechnął się znacząco, pod ciemnymi wąsami błysnęły białe zęby.

— Nie możesz doczekać się dzisiejszej nocy? — zapytał, przesuwał palce nieco wyżej i dalej od mojego pępka. Klepnęłam go po ręce i strąciłam ją na mój brzuch.

— Nie powinniśmy się rozluźniać — odrzekłam. — To poważna sprawa i wymaga, by zająć się nią na poważnie.

Z łazienki dobiegł głośny śmiech. Clay wyszedł stamtąd, wycierając dłonie w ręcznik.

— Prawie udało ci się to powiedzieć z poważną miną imponujesz mi, kochanie.

Wywróciłam oczami, ale nic nie powiedziałam.

Clay uwalił się obok mnie, aż jęknęły sprężyny łóżka.

— No dalej, przyznaj. Nie możesz się tego doczekać.

Wzruszyłam ramionami.

— Kłamczucha. Nie próbuj zaprzeczać. Jak często mamy okazję biegać w mieście? A to przecież oficjalnie usankcjonowane polowanie na kundla.

Oczy Claya rozbłysły. Sięgnął ręką by pogłaskać mnie po wewnętrznej stronie przedramienia. Zadrżałam. Poczułam w żołądku nerwowe, pełne napięcia trzepotanie. Odwracając głowę w bok, Clay wyjrzał przez okno, za którym z wolna zapadał zmierzch. Koniuszki jego palców pieszczotliwie muskały zgięcie mojego łokcia. Omiotłam spojrzeniem jego twarz, rejestrując linię szczęki, ścięgna szyi, cień jasnego zarostu na podbródku i krzywiznę ust. Poczułam w moim wnętrzu narastający, sięgający coraz głębiej żar. Clay odwrócił się do mnie. Źrenice miał rozszerzone i poczułam jego podniecenie. Zachichotał ochryple, nachylił się do mnie, po czym wyszeptał trzy magiczne słowa: — Czas rozpocząć polowanie.



# POLOWANIE

Bear Valley było liczącym osiem tysięcy mieszkańców miastem robotniczym, założonym w szczytowym okresie industrializacji i przeżywającym swój rozkwit w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Jednak trzy recesje i związane z nimi redukcje odcisnęły na nim swoje piętno. We wschodniej części miasta znajdowała się fabryka traktorów, w północnej zaś papiernia. Większość mieszkańców pracowała w tych dwóch zakładach. Bear Valley szczyliło się przymiotami swojskiej miejsciny, gdzie ludzie ciężko pracowali, grali twardo i wypełniali miejscowy stadion do ostatniego miejsca, niezależnie od tego, czy lokalna drużyna zajmowała pierwsze, czy ostatnie miejsce w lidze. W Bear Valley bary zamykano w dni powszednie o północy, doroczne wyprzedaże stanowiły prawdziwe wydarzenie, a kontrola nad dostępem do broni palnej polegała na tym, że dzieciaki mogły strzelać, co najwyżej z „dwudziestek”. Nocami dziewczęta krążące ulicami Bear Valley narażały się, co najwyżej na wysłuchiwanie gwizdów ze strony facetów, których znały od dziecka. Nie były mordowane przez nieznanym, a już z pewnością nie były zaciągane w las, by mogły je tam rozszarpać i pożreć dzikie psy.

Rozdzieliliśmy się. Antonio i Peter udali się do zachodniej części miasta, gdzie znajdowało się kilka dwupiętrowych czynszówek i dwa przydrożne motele. To oznaczało, że mieli lepszy rewir, jako że kundel najprawdopodobniej musiał zaszyć się w dzielnicy, gdzie było mniej domów, ale na ich niekorzyść przemawiał fakt, że Jeremy postanowił prowadzić poszukiwania w ludzkiej postaci, bądź, co bądź trudno, żeby przemierzali zamieszkałą dzielnicę jako wilki.

Clay, Nick i ja mieliśmy przeczesać wschodnią dzielnicę, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć kryjówkę kundla

— wynajęte przez niego mieszkanie lub domek. Wzięliśmy mój samochód, stare camaro, które zawsze z tego czy innego powodu zostawiałam w Stonehaven. Clay prowadził. To moja wina — wyzwał mnie na wyścig do garażu. Moje ego przyjęło zakład, ale nogi przegrały. Dotarliśmy do miasta o wpół do dziesiątej. Clay wysadził mnie na tyłach kliniki, którą zamykano o piątej. Przemianę odbyłam pomiędzy dwoma śmietnikami, z których wnętrza biła silna woń środka do odkażania.

Zmiana kształtu, jak każda inna funkcja organizmu, zachodzi najłatwiej, kiedy wymaga tego ciało. Niepanujący nad sobą wilkołak przechodzi transformację w dwóch sytuacjach — kiedy jest zagrożony i kiedy nakazuje mu to jego wewnętrzny cykl. Opiera się on poniekąd na cyklach księżycowych, choć nie ma wiele wspólnego z pełnią. Nasze naturalne cykle są zazwyczaj tygodniowe. Gdy nadchodzi czas, odczuwamy pierwsze symptomy — niepokój, świerzbień skóry, skurcze i fale bólu

— ogarnia nas nieprzeparowane wrażenie, że powinniśmy coś zrobić, i ani ciało, ani umysł nie spoczną, dopóki ta potrzeba nie zostanie zaspokojona. Sygnały stają się tak łatwo rozpoznawalne jak głód i równie łatwo się z nimi uporać, wkrótce jednak ciało bierze nad nami górę, wymuszając spontaniczną Przemianę. Podobnie jak głód, jesteśmy w stanie przewidywać symptomy i zawczasu zaspokajać tę potrzebę. Możemy także zapominać na dobre o naturalnym cyklu i

nauczyć się zmieniać tak często, jak tego chcemy. Tego właśnie uczy nas Wataha, częstszych Przemian, mających wzmocnić naszą samokontrolę i zapewnić, że nie będziemy zwlekać zbyt długo, w przeciwnym razie mogłyby wystąpić nieprzyjemne efekty uboczne, na przykład nasze dłonie mogłyby zmienić się w zwierzęce łapy podczas zakupów w sklepie albo zmieniawszy się w wilka, moglibyśmy zostać owładnięci niepohamowaną wściekłością i żądzą krwi. W Toronto zignorowałam nauki Jeremy'ego i zaspokajałam potrzeby tylko w ostateczności, ponieważ by zdystansować się od mego „przekleństwa”, po części zaś dlatego, że w mieście, z uwagi na konieczność planowania i zachowania ostrożności, Przemiana była nader utrudniona, a po wszystkim byłam tak wyczerpana, iż nie mogłam jej dokonywać częściej niż raz na tydzień. Nic dziwnego, że wyszłam z wprawy. Przemieniłam się zaledwie wczoraj i wiedziałam, że ponowna transformacja po niecałych dwudziestu czterech godzinach będzie dla mnie prawdziwym piekłem. Jak seks bez gry wstępnej będzie albo bardzo bolesna, albo w ogóle nic mi z tego nie wyjdzie. Powinnam była wspomnieć o tym Jeremy'emu, kiedy powiedział, że mamy stać się wilkami na czas łowów, ale nie zrobiłam tego. Byłam... zażenowana. W Toronto robiłam to tak rzadko, bo się wstydziałam.

Dwa dni później znalazłam się w Stonehaven i nie chciałam przyznać, że nie robiłam tego równie często jak inni, bo się wstydziałam. Jeszcze jedna rzecz, która nieźle zamąciła mi w głowie. Cały proces zajął mi pół godziny, trzy razy dłużej niż zwykle. Czy bolało? Cóż, jeżeli chodzi o zmianę kształtu, zawsze wiąże się to u mnie z bólem, ale mogę śmiało stwierdzić, że mniej bym cierpiała, gdyby łamano mnie kołem i żywcem ćwiartowano. Kiedy było po wszystkim, odpoczywałam przez kolejnych dwadzieścia minut, ciesząc się, że w ogóle mi się udało. Mając do wyboru pomiędzy agonią Przemiany i przyznaniem się wobec Claya i innych, że nie jestem w stanie robić tego na zawołanie, zdecydowałabym się raczej na łamanie kołem i ćwiartowanie. Fizyczny ból przemija szybciej niż zraniona duma.

Zaczęłam od ciągu starych szeregowców, domów, których dni były już policzone. Minęła dziesiąta, a ulice już opustoszały. Zaniepokojeni rodzice już parę godzin temu pozabierali z placów zabaw swoje pociechy. Nawet dorośli po zachodzie słońca wrócili do swoich domów. Choć była ciepła majowa noc, nikt nie siedział na ganku ani nie grał w klasy na podjeździe. Spoza zaciągniętych zasłon sączyła się błękitnawa poświata włączonych telewizorów. Cisze nocy przepełniał śmiech z sitcomów, oferując wytchnienie dla nerwów. Bear Valley się bało. Przemykałam wzdłuż ciągu domów, kryjąc się pomiędzy werandami a żywopłotami. Przystawałam przy każdym drzwiach, węsząc przez chwilę, po czym wracałam, by ukryć się za kolejną gęstwiną krzewów. Blask reflektorów każdego przejeżdżającego samochodu sprawiał, że zamierałam w bezruchu. Serce dudniło mi w piersi z podsycanego przez nerwy podniecenia. Nie było to specjalnie zabawne, ale zagrożenie dodawało sytuacji czegoś, czego nie odczuwałam od lat. Gdyby choć przez chwilę ktoś mnie spostrzegł, miałabym spore kłopoty. Byłam wilkiem włączającym się po mieście, które przeżywało zbiorowy koszmar o dzikich psach. Wystarczyło, żeby ktoś zauważył mnie przez okno, wychwycił moją niewyraźną sylwetkę, a na ulicach wnet zaroiliby się od ludzi uzbrojonych w strzelby.

Godzinę później, robiąc obchód czwartego rzędu szeregowców, usłyszałam chrobotanie, które sprawiło, że znieruchomiałam. Przyłgnęłam do chłodnego muru, nasłuchując. Clay? Oby nie. Nawet jeśli wspólne polowanie było lepszą rozrywką Jeremy polecił nam działać oddzielnie, by sprawdzić większą połać terenu. Zatrzymałam się pomiędzy gałęziami cedru, wyjrzałam ostrożnie i zauważyłam kobietę idącą chodnikiem; jej szpilki stuknęły o beton. Miała na sobie coś jakby mundurek, poliestrowa spódniczka ledwo zakrywała jej krągłe biodra. Ściskając w ręku torebkę z imitacji skóry, szła tak szybko, na ile pozwalały jej pięciocentymetrowe szpilki. Przy każdym kroku oglądała się przez ramię. Zaczęłam węszyć i poczułam słaby aromat wody kolońskiej

Obsession zmieszany z wonią tłuszczu i papierosów. Kelnerka z baru wracająca do domu po skończonej zmianie pewnie nie spodziewała się, że tak szybko zrobi się ciemno.

Kiedy podeszła bliżej, poczułam coś jeszcze. Strach. Nieskalany, niepohamowany strach. Modliłam się, by nie zaczęła uciekać. Nie zrobiła tego. Rzuciwszy jeszcze jedno trwożliwe spojrzenie przez ramię, weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi. Wróciłam do pracy. Kilka minut później usłyszałam skowyt Claya. Nie zawył jak wilk, co z pewnością musiałoby zwrócić czyjąś uwagę, lecz naśladował raczej zew samotnego psa. Znalazł coś. Czekałam. Gdy skowyt się powtórzył, wykorzystałam to, by go zlokalizować, i puściłam się biegiem. Biegłam wzdłuż rynsztoku, ale nie próbowałam być całkiem niewidoczna. Biegłam tak szybko, że nawet gdyby ktoś mnie zauważył, spostrzegłby jedynie błysk jasnej sierści. Dotarłam do głównej ulicy i tu pojawił się problem, bo musiałam jakoś dostać się na drugą stronę. Choć na ulicach prawie nie było ludzi, główna droga była równocześnie przelotówką, co oznaczało, że mknęły nią wielkie ciężarówki. Odczekałam chwilę, przepuszczając kilka większych pojazdów, i przebiegłam na drugą stronę. Rozciągał się tam teren, który miał spenetrować Clay, dzielnica bliźniaków i starych domów pamiętających jeszcze czasy wojny. Gdy usiłowałam zwietrzyć jego woń, wychwyciłam inną, która sprawiła, że przystanąłam gwałtownie, aż rozjechały mi się tylne łapy, i przewróciłam się. Otrząsnęłam się, przeklinając własną niezdarność, i dźwignęłam się na nogi. Na skrzyżowaniu wyczułam woń wilkołaka. Kogoś nieznajomego. Trop był stary, ale wciąż wyraźny. Przechodził tędy niejednym razem. Powiodłam wzrokiem w głąb ulicy. Woń ciągnęła się w stronę, skąd dobiegł mnie zew Claya, toteż zmieniłam tylko nieznacznie kierunek i podążyłam tropem kundla.

Woń doprowadziła mnie do parterowego ceglanego domu z aluminiowymi dobudówkami na tyłach. Podwórze było niewielkie i uprzątnięte, ale wśród traw o przestrzeń życiową rywalizowało mnóstwo chwastów. Przy furtce stał kosz na śmieci, a bijąca zeń woń sprawiła, iż się skrzywiłam. Sądząc po trzech skrzynkach na listy, w budynku znajdowały się trzy mieszkania.

W domu było ciemno. Zaczęłam węszyć wzdłuż chodnika. Była na nim woń wilkołaka, ale nie potrafiłam powiedzieć, gdzie kończył się jeden trop, a zaczynał następny. Najistotniejszym czynnikiem był czas. Wilkołak bywał tu regularnie od wielu dni. Pragnąc jak najszybciej odnaleźć kryjówkę kundla, nie zauważyłam cienia, który znalazł się nagle obok mnie. Odwróciłam głowę, by ujrzeć Claya. Był w ludzkiej postaci. Sięgnął ręką i pogłodził mnie po karku. Kłapnęłam zębami i dałam nura w krzaki. Wyszłam stamtąd dopiero, gdy wróciłam do ludzkiej postaci.

— Wiesz, że tego nie cierpię — mruknęłam, przeczesując palcami zmierzwione włosy. — Kiedy się zmieniam, ty masz albo pozostać Przemieniony, albo uszanować moją prywatność. Głaskanie mnie ani trochę nie pomaga.

— Nie „głaskałem” cię, Eleno. Chryste, nawet najdrobniejszy gest... — Przerwał, wziął głęboki oddech i zaczął raz jeszcze: — To kryjówka kundla, ma mieszkanie na tyłach tego domu, ale nie ma go tam.

— Byłeś w środku?

— Rozejrzałem się trochę i czekałem na ciebie.

Omiotłam wzrokiem jego nagie ciało, a potem przyjrzałam się sobie.

— Nie sądzę, abyś pomyślał o przyniesieniu tu rzeczy, kiedy na mnie czekałeś.

— Spodziewasz się, że o tej porze mógłbym znaleźć jakieś ciuchy wiszące na sznurze? Wybacz, kochanie. Ale ma to też swoje dobre strony. Jestem pewien, że gdyby ktoś nas zaskoczył, zdołalibyśmy przekonać go, aby nie wzywał glin.

Parsknęłam i podeszłam do drzwi na tyłach budynku. Były zabezpieczone tylko jednym prostym zamkiem. Wystarczyło mocniej szarpnąć za klamkę i po wszystkim. Uchyliłam

nieznacznie drzwi, gdy w nozdrza uderzył mnie smród gnijącego mięsa. Chrząknęłam i z trudem powstrzymałam się, by nie zacząć kasłać. Cuchnęło tu jak w rzeźni. Przynajmniej ja tak to czułam. Zwykły człowiek zapewne nic by nie poczuł.

Drzwi prowadziły do pokoju, który wyglądał jak typowa kawalerka — na wytartej kanapie wały się rzucone byle jak brudne ciuchy, a w kącie piętrzył się stos pustych puszek po piwie. Na stoliku w rogu leżały pudełka z resztkami pizzy. Ale nie to było źródłem nieprzyjemnej woni. Kundel tu właśnie musiał dokonać zabójstwa. Nie było śladu ciała, ale wszechobecny fetor krwi i gnijącego ciała zdradził, co tutaj zaszło. Sprowadził tu tę dziewczynę, zabił ją a potem przez dzień lub dwa przechowywał tu ciało, zanim pozbył się szczątków.

Zaczęłam od dużego pokoju, zaglądając do szaf i pod meble w nadziei, że znajdę coś, co pozwoli mi zidentyfikować tego kundla. Choć nie rozpoznałam jego woni, mogło mi wystarczyć kilka wskazówek, aby zorientować się, z kim mieliśmy do czynienia. Gdy nie natrafiłam na nic użytecznego, udałam się do sypialni, gdzie Clay, klęcząc na podłodze, zaglądał pod łóżko. Kiedy weszłam do środka, wyciągnął fragment skalpu z przyczepionymi doń nadal włosami i odrzuciwszy precz, zaczął szukać czegoś ciekawszego. Spojrzałam na okrwawiony fragment ludzkiej skóry, tłumiąc w sobie mdłości. Clay nie przejął się tym bardziej, niż mógłby się przejąć brudną chustką higieniczną co najwyżej zmartwiłby się, że pobrudził sobie ręce. Clay, choć błyskotliwy, nie mógł pojąć, dlaczego zabijanie ludzi było dla nas tabu. Nie zabijał niewinnych osób, podobnie jak zwykli ludzie starają się wyminąć stojące na drodze /wierzę, by go nie potrącić. Jeśli jednak człowiek stanowił zagrożenie, instynkt podpowiadał Clayowi, że należało usunąć je za wszelką cenę. Jeremy zabronił mu zabijać ludzi i był to właściwie jedyny powód, dlaczego starał się tego unikać.

— Nic — powiedział zduszonym głosem. Cofnął się. — A jak tobie poszło?

— Tak samo. Jest dostatecznie bystry, by nie pozostawić niczego, co mogłoby dopomóc w jego zidentyfikowaniu.

— Ale nie dość bystry, by trzymać łapy z dala od miejscowych.

— Dziedziczny, ale młody — powiedziałam. — Pachnie jak nowy, ale żaden nowo ukąszony wilkołak nie mógłby mieć takiego doświadczenia, więc musi być młody. Młody i zuchwały. Tato nauczył go podstaw, ale nie nabrał jeszcze doświadczenia, by nie pakować się w kłopoty albo trzymać z dala od terytorium Watahy.

— Cóż, nie pożyje dość długo, by nabrać doświadczenia. Jego pierwsza wpadka będzie zarazem ostatnią.

Rozejrzeliśmy się jeszcze raz po mieszkaniu, gdy nagle do środka wpadł zdyszany Nick.

— Usłyszałem twój zew — powiedział. — Znaleźliście jego kryjówkę? Jest tutaj?

— Nie—odparłam.

— Możemy poczekać? — spytał z nadzieją w głosie Nick.

Zawahałam się, po czym pokręciłam głową.

— Wyczułby nas, zanim jeszcze doszedłby do drzwi. Jeremy powiedział, że mamy go zabić, tylko jeśli będzie to absolutnie bezpieczne. Nie możemy tego zrobić. O ile nie jest kompletnym żółtodziobem, zwietrzy nasz zapach, gdy tylko tu wróci. Przy odrobinie szczęścia zrozumie aluzję i zniknie z miasta. W takiej sytuacji będziemy mogli zapolować na niego później i zlikwidować już poza terytorium Watahy. Tak będzie najbezpieczniej.

Clay sięgnął do nocnego stolika, na którym położył rzeczy wyciągnięte spod łóżka. Podał mi dwa pudełka zapalek.

— Założę się, że wiem, gdzie ten kundel spędza wieczory — rzekł Clay. — Jeżeli jest za głupi, żeby zniknąć z miasta, zanim ruszymy za nim w pościg, jutro wieczorem zapewne znajdziemy go szukającego czegoś na kolację w miejscowych barach przekąskowych.

Zerknęłam na pudełka zapalek. Pierwsze pochodziło z „Tawerny Ricka”, jednej z trzech licencjonowanych knajpek w okolicy. Drugie, tanie brązowe pudełeczko, miało na wierzchu adres odbity z pieczętki. Zapamiętałam adres, bo przecież nie mieliśmy kieszeni, żeby móc zabrać je ze sobą.

— Wracajmy po ciuchy — rzekł Clay. — Nick i ja zostawiliśmy nasze na drugim końcu Main Street, niedaleko miejsca, gdzie się rozstaliśmy, więc możemy pobiec większość drogi razem. Chcesz Przemienić się w sypialni? My zostaniemy tutaj.

Serce zabiło mi szybciej.

— Przemienić się?

Jasne. Zamierzasz wrócić do auta na golasa, kochanie? Nie żebym miał coś przeciw temu, oczywiście jeśli nikt nie będzie się na ciebie gapił. Ale przejście przez szosę może okazać się trochę trudne.

— Tu są jakieś ciuchy.

Clay parsknął.

— Wolę być przyłapany nago, niż założyć ła chy jakiegoś kundla. — Kiedy nie odpowiedziałam, zmarszczył brwi. — Coś nie tak, kochanie?

— Nie... ja tylko. Nie. Nic się nie stało.

Weszłam do sypialni i przymknęłam za sobą drzwi, żeby móc wyjść, kiedy — i jeśli — uda mi się dokonać Przemiany. Na szczęście nikt nie uznał, że to dziwne, iż potrzeba mi do tego odrobiny prywatności. Choć Watahę łączyły silne więzy, większość z nas lubiła odbywać Przemianę w samotności. Jak zawsze Clay był pod tym względem wyjątkiem. Nie dbał o to, kto oglądał go podczas Przemiany. Dla niego było to coś naturalnego, a żalem nic wstydliwego, nawet jeśli w trakcie Przemiany wyglądałaś jak dziwoląg z gabinetu osobliwości. Dla Claya próżność była jeszcze jednym osobliwym i niezrozumiałym ludzkim pojęciem. Nic co naturalne nie powinno być ukrywane. Zamki w łazienkach w Stonehaven były zepsute od dobrych dwudziestu lat. Nikt nie kwapił się, by je naprawić. Niektóre rzeczy nie były warte tego, by mierzyć się z wojowniczą naturą Claya. Kiedy jednak dochodziło do wspólnej Przemiany, mieliśmy jasno wytyczone granice, których nie należało przekraczać. Podeszłam do łóżka z drugiej strony, aby Clay i Nick nie mogli mnie zobaczyć przez szparę w drzwiach. Następnie osunęłam się na czworaki, skupiłam się i pozostała mi już tylko nadzieja. Przez długich pięć minut nic się nie działo. Zaczęłam się pocić i spróbowałam z nieco większym wysiłkiem. Uplłynęło kolejnych kilka minut. Odniosłam wrażenie, że moje ręce zamieniają się w szpony, ale kiedy spuściłam wzrok, ujrzałam tylko zakrzywione ludzkie palce wczepione z całej siły w dywan.

Kątem oka dostrzegłam, że drzwi się uchylają. Do pokoju wsunął się czarny nos. Za nim pojawił się żółty psi pysk. Rzuciwszy się naprzód, zatrzasnęłam drzwi, zanim Clay zdołał mnie zobaczyć. Zaskomlał pytająco. Odchrząknęłam w nadziei, że ten dźwięk zabrzmiał dostatecznie zwierzęco. Clay parsknął w odpowiedzi i oddalił się od drzwi. Miałam chwilę spokoju. Ale nie na długo. Za jakieś pięć minut spróbuje znowu. Clay nie słynął z cierpliwości.

Przechodząc po dywanie, znów lekko uchylłam drzwi, aby móc je otworzyć, kiedy już dopełnię Przemiany. Na wszelki wypadek zaczęłam opracowywać plan awaryjny. Może zgarnąć trochę ciuchów i wyskoczyć przez okno? Gdy wpatrywałam się z nadzieją w maleńkie okienko, poczułam, że skóra zaczyna świerzbieć i rozciągać się. Opuściłam wzrok i zobaczyłam, jak moje palce skracają się, a paznokcie twardnieją. Odetchnawszy z ulgą zamknęłam oczy i pozwoliłam, by o władnęła mną Przemiana.

Przekradliśmy się przez podwórze za domem i wyszliśmy po północnej stronie ciągu fast foodów, uliczki, gdzie mieściły się punkty wszystkich znanych sieci barów szybkiej obsługi dla

zmotoryzowanych. Przemknawszy przez parkingi na tyłach, weszliśmy w labirynt uliczek pomiędzy różnymi magazynami. Kiedy w końcu znaleźliśmy się poza zasięgiem świateł, zaczęliśmy biec. Niebawem Clay i ja zaczęliśmy się ścigać. Był to bardziej bieg z przeszkodami niż sprint, z poślizgami w kałużach i potykaniem się o kosze na śmieci. Wysforowałam się na czoło, kiedy na końcu alejki przewrócił się jeden z koszy. Cała nasza trójka zatrzymała się gwałtownie.

— Co ty, kurwa, wyprawiasz? — zapytał młody męski głos. — Patrz, gdzie leziesz, i bierz dupę w troki. Jak mój stary zorientuje się, że wymknąłem się z chaty, przybije mnie za jaja do drzwi szopy.

W odpowiedzi rozległ się pijacki chichot. Kosz na śmieci zaszurał na żwirze, a potem w alejce pojawiły się dwie głowy. Wtopiłam się między cienie, uderzając zadem o ceglany mur. Byłam wciśnięta pomiędzy stertę śmieci a stos pudeł. Naprzeciw mnie Clay i Nick wycofali się do bramy i zniknęli w ciemnościach, w których jarzyły się tylko niebieskie oczy Claya. Przeniósł wzrok ze mnie na zbliżających się chłopców, by dać mi do zrozumienia, że nadal byłam dobrze widoczna. Było już za późno, aby znaleźć inną kryjówkę. Mogłam mieć tylko nadzieję, że tamci byli zbyt pijani, aby mnie spostrzec, gdy będą przechodzić obok.

Chłopcy gawędzili o czymś, ale słowa przepływały przez mój umysł jak biały szum. Aby zrozumieć ludzką mowę w tej postaci, musiałam się skoncentrować, tak jak wówczas, gdy ktoś mówił do mnie po francusku. Teraz nie mogłam zawracać sobie tym głowy. Byłam zbyt zajęta obserwowaniem ich stóp, gdy się zbliżali. Kiedy zrównali się ze stertą śmieci, skuliłam się i przywarłam do ziemi. Postąpili jeszcze trzy kroki, przechodząc obok miejsca, gdzie się ukryłam. Zmusiłam się, by nie słuchać, patrzyłam tylko na ich twarze i próbowałam coś z nich wyczytać. Mieli nie więcej niż siedemnaście lat. Jeden, wysoki, ciemnowłosy, nosił skózaną kurtkę, podarte dzinsy i ciężkie buty, miał też tatuaż na szyi i kolczyki w nosie i przy ustach. Jego rudowłosy kompan był ubrany podobnie, ale nie miał tatuażu ani kolczyków, zabrakło mu odwagi — lub głupoty — aby zmienić wymogi mody w trwałe oszpecenie ciała. Szli dalej, wciąż rozmawiając. I nagle ten ciemnowłosy się potknął, upadając, odwrócił się w bok i zobaczył mnie. Mrugnął jeden jedyny raz, po czym pociągnął kumpla za rękaw i pokazał na mnie. Instynkt podpowiadał mi, by odpowiedzieć na zagrożenie atakiem. Rozsądek nakazywał mi zaczekać. Dziesięć lat temu zabiłabym tych chłopców, kiedy tylko weszli w uliczkę. Pięć lat temu skoczyłabym, gdy tylko ten pierwszy mnie spostrzegł. Nawet dziś musiałam walczyć ze swoimi instynktami, dojmującym strachem, który sprawiał, że moje mięśnie naprężyły się, szykując się do ataku. To właśnie tego - tej walki o panowanie nad własnym ciałem - nienawidziłam bardziej niż czegokolwiek innego.

W alejce dało się słyszeć cichy warkot. Czując w gardle wibracje, zrozumiałam, że to ja warczę. Moje uszy niemal przylegały do czaszki. Przez sekundę mój mózg próbował przezwyciężyć instynkt, pojął jednak korzyści płynące z poddania się mu, ukazania chłopakom, jak niewiele dzieliło ich od śmierci.

Rozchyliłam wargi i wyszczerzyłam kły. Obaj chłopcy uskoczyli do tyłu. Rudzielec odwrócił się i pognał w głąb alejki, potykając się o sterty śmieci. Drugi chłopak podążył wzrokiem za swoim kompanem, ale zamiast pobiec za nim, energicznym ruchem zatopił dłoń w stercie śmieci. Kiedy ją wyciągnął, blask księżyca odbił się od jakiegoś przedmiotu. Obrócił się do mnie, trzymając stłuczoną butelkę, a strach na jego twarzy zastąpił uśmiezek dominacji. Powietrze za jego plecami przecięła jasna smuga, a kiedy uniosłam wzrok, zobaczyłam Claya skulonego jak do skoku. Przeniósłam wzrok na chłopaka i skoczyłam. Clay też dał susa. W powietrzu odbiłam się od chłopaka i z całej siły wyrznęłam Claya w pierś. Przelecieliśmy spleceni jeszcze ze dwa metry, a gdy wylądowaliśmy na ziemi, natychmiast rzuciliśmy się do ucieczki. Nick był tuż za nami. Resztę drogi do miejsca, gdzie zostawiliśmy nasze rzeczy, pokonaliśmy biegiem.

Dotarliśmy do Stonehaven po drugiej. Antonio i Peter jeszcze nie wrócili. Nie było bezpiecznego sposobu, aby znaleźć ich i powiedzieć, że znaleźliśmy miejsce, gdzie zatrzymał się kundel. W domu było cicho i ciemno. Jeremy na nas nie czekał. Wiedział, że gdyby coś się stało, obudzilibyśmy go. Clay i ja pognaliśmy w stronę schodów, ścigając się, kto będzie pierwszy na górze, i jak zawsze poszturchiwaliśmy się po drodze. Nick biegnący za nami próbował nas naśladować, ale nie starał się nas wyprzedzić. Znalazłszy się u szczytu schodów, pobiegliśmy w stronę pokoju Jeremy'ego na końcu korytarza. Zanim do nich dotarliśmy, drzwi uchyliły się ze skrzyknięciem.

— Znaleźliście go? — spytał Jeremy bezosobowym głosem płynącym z ciemności.

— Odkryliśmy, gdzie się zatrzymał — odparłam. — On...

— Zabiliście go?

— Nie — odrzekł Clay. — To byłoby zbyt ryzykowne. Ale...

— Świetnie. Resztę opowiecie mi rano.

Drzwi się zamknęły. Clay i ja popatrzyliśmy na siebie. Po chwili wzruszyłam ramionami i zaczęłam iść z powrotem korytarzem.

— Jutro cię w tym ubiegnę — powiedziałałam.

Clay skoczył, przewracając mnie na drewnianą podłogę. Położył się na mnie, przyspilał mi ręce i uśmiechając się, w jego oczach lśniły iskierki wywołanego przez łowy pożądania.

— Tak uważasz? Może o to zagramy? Wybierz grę.

— Poker — rzekł Nick.

Clay odwrócił się, by na niego spojrzeć.

— A jakie obowiązują stawki?

Nick uśmiechnął się.

— Takie jak zawsze. Upłynęło sporo czasu.

Clay zaśmiał się, wstał i wziął mnie na ręce. Kiedy dotarliśmy do jego pokoju, rzucił mnie na łóżko, po czym podszedł do barku, aby przygotować drinki. Nick skoczył na mnie. Zepchnęłam go z siebie i podźwignęłam się do pozycji siedzącej.

— Skąd pewność, że w ogóle zechcę zagrać? — spytałam.

— Stęskniłaś się za nami — odparł Nick.

Zaczął się popisywać, rozpinając jeden po drugim guziki koszuli i zrzucając ją z siebie, podkreślając przy tym płynną grę wyrobionych mięśni. Rozbieranie się było dla tych facetów jak swego rodzaju rytuał godowy. Chyba wydawało się im, że widok przystojnego oblicza, muskularnego bicepsa i płaskiego brzucha zmieni mnie w bezradną masę hormonów, chętną do udziału w gierkach nastolatków. Zwykle im się udawało, ale nie w tym rzecz.

— Whisky z wodą sodową? — zawołał Clay z drugiego końca pokoju.

— Doskonale — rzekł Nick.

Clay nie zapytał, czego sobie życzę. Nick wyjął spinę z moich włosów i skubnął mnie w ucho, w jego ciepłym oddechu wyczułam słabą woń kolacji. Rozluźniłam się na łóżku. Kiedy usta Nicka ześlizgnęły się ku mojej szyi, odwróciłam głowę i przez chwilę chłoniłam jego piżmowy zapach. Wtuliłam twarz w zagłębienie jego obojczyka i poczułam, jak serce w jego piersi zabiło szybszym rytmem. Nick drgnął gwałtownie. Uniosłam wzrok, by ujrzeć, że Clay przytknął zimną szklaneczkę do pleców Nicka. Potem złapał Nicka za ramię i zwałół go ze mnie.

— Przynieś karty — rozkazał.

— Gdzie one są? — spytał Nick.

— Poszukaj. To cię powinno zająć przez chwilę.

Clay usiadł obok mojej głowy i podał mi drinka.

Upiłam łyk. Rum z colą. Clay też napił się ze swojej szklaneczki, po czym nachylił się nade mną.

— Idealna noc, prawda?

— Mogła być. — Uśmiechnęłam się do niego. — Gdybyś ty się nie pojawił.

— A więc to zaledwie początek idealnej nocy. — Gdy się nade mną nachylił, jego palce otarły się o moje udo i musnęły biodro. Jego silny, niemal namacalny zapach powodował, że w głąb mojego brzucha coraz niżej spływała fala palącego żaru. — Miałaś niezłą zabawę — powiedział. — Przyznaj to.

— Może.

Nick ponownie wskoczył na łóżko.

Pora na grę. Chcecie grać o to, co ustaliliście między sobą? Zwycięzca opowie Jeremy'emu, co się dziś wydarzyło?

Usta Claya powoli wykrzywił uśmiech.

— Nie. Przyszło mi do głowy coś innego. Jeżeli wygram, Elena pójdzie ze mną do lasu.

— Po co? — spytałam.

Uśmiech rozszerzył się, ukazując doskonale śnieżnobiałe zęby.

— Czy to ważne?

— A jeżeli ja wygram, to co dostanę? — zapytałam.

— Co tylko zechcesz. Jeżeli wygrasz, będziesz mogła sama wybrać nagrodę. Powiesz Jeremy'emu, co się wydarzyło, sama zabijesz kundla — wybór będzie należał do ciebie. Możesz wybierać, co tylko chcesz.

— Będę mogła zabić kundla?

Odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

— Wiedziałem, że ta propozycja przypadnie ci do gustu. Oczywiście, kochanie. Jeżeli wygrasz, kundel jest twój.

To była propozycja, której nie mogłam się oprzeć. Zagraliśmy.

Clay wygrał.

## WINA

Poszłam za Clayem do lasu. Nick chciał nam towarzyszyć, ale jedno spojrzenie Claya wystarczyło, by został w sypialni. Kiedy dotarliśmy na polanę, Clay zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na mnie bez słowa.

— Nie możemy—zadygotałam, bo noc była chłodna.

Nie odpowiedział. Ile razy powtarzaliśmy tę scenę? Czy kiedykolwiek się nauczę? Wiedziałam, jak to się skończy, kiedy tylko sięgnęłam po karty, przez całą grę nie myślałam o niczym innym.

Pocałował mnie. Czułam ciepło jego ciała, tak znajome, że mogłam się w nim zatopić. Jego silny zapach przenikał do mojego mózgu, oszałamiając jak narkotyk. Poczułam, że się mu



poddaję, ale ta część mojego umysłu, która wciąż funkcjonowała, uruchomiła sygnał alarmowy: „Już to przerabiałaś. Pamiętasz, jak się to skończyło?”.

Cofnęłam się, bardziej sprawdzając jego reakcję, niż stawiając realny opór. Pchnął mnie tak, że oparłam się plecami o drzewo, jego dłonie ześlizgnęły się do moich bioder i mocno przytrzymały. Jego wargi odnalazły moje usta, wyciskając na nich coraz brutalniejsze pocałunki, i naprawdę zaczęłam stawiać opór. Przyszpilił mnie całym swoim ciałem do drzewa. Spróbowałam go kopnąć i odsunął się, kręcąc głową. Ciężko łąpałam oddech, rozglądając się dookoła. Polana była pusta. Clay zniknął. Kiedy mój oziębiały umysł zaczął przetwarzać tę informację, coś silnie szarpnęło mnie za rękę, pociągając je do tyłu i w górę, za głowę i powalając mnie na kolana.

— Co u...

— Nie ruszaj się — rzekł stojący za moimi plecami Clay. — Chcę ci tylko pomóc.

— Pomóc? Ale w czym?

Próbowałam opuścić rękę, ale trzymał je mocno. Coś miękkiego oplotło moje nadgarstki. Nad moją głową zakolysała się gałąź. Dopiero wtedy Clay mnie puścił. Szarpnęłam mocno, ale moje ręce opuściły się tylko o parę centymetrów, zanim materiał opasujący przeguby napiął się mocniej. Kiedy już mnie obezwładnił, Clay ukląkł przede mną wyraźnie zadowolony z tego, co zobaczył.

— To nie jest śmieszne — powiedziałam. — Rozwiąż mnie. Już.

Wciąż się uśmiechając, schwycił mnie z przodu za podkoszulek i rozerwał go do połowy. Potem zdjął mi biustonosz. Chciałam coś powiedzieć, ale tylko wzięłam głęboki oddech. Zacisnął usta na mojej piersi i zaczął delikatnie kąsać zębami sutek. Parę razy musnął go językiem i sutek zeszytywniał wyprężony. Fala pożądania zaćmiła mój umysł. Jęknęłam. Zachichotał, a ta wibracja sprawiła, że przeszył mnie rozkoszny dreszcz.

Tak lepiej? — wyszeptał. — Skoro nie możesz ze mną walczyć, nie będziesz mnie mogła powstrzymać. Nie panujesz nad tym. Zdjął dłoń z mojej piersi i przesunął niżej, pieszcząc mój brzuch i podbrzusze powolnymi ruchami. Oczyma wyobraźni widziałam jego nagie ciało dotykające mojego. Żądza narastała. Nieznaczenie się przesunął. Poczułam na udzie dotknięcie jego w zwiedzionego członka. Lekko rozchyliłam uda i poczułam dotyk jego szorstkich dżinsów. Cofnął się.

— Wciąż to czujesz? — wyszeptał mi wprost do ucha. — Gorączkę polowania. Pościgu. Bieg przez miasto.

Zadrżałam.

— Gdzie to czujesz? — spytał Clay nieco głębszym tonem, jego oczy były jak dwa gorejące błękitne płomienie.

Sięgnął dłońmi do moich dżinsów, rozpinając guziki i zsuwając spodnie z moich bioder. Dotknął wewnętrznej strony moich ud, zatrzymując tam palce dość długo, by moje serce zabiło silniej.

— Czujesz to tutaj?

Zaczął dotykać skóry pod moimi kolanami, wywołując na moim ciele dreszcze. Zamknęłam oczy, pozwalając, by obrazy nocy przepelniły mój umysł, widok zamkniętych drzwi, cichych ulic, woń strachu. Przypomniałam sobie dłoń Claya głaszczącego moją sierść i wyraz nienasyconego pragnienia w jego oczach, kiedy wszedł do mieszkania, radość z biegu przez miasto. Przypomniałam sobie groźne spotkanie w zaułku, to jak obserwowałam dwóch chłopaków, czekając, i jak usłyszałam ryk Claya, kiedy na nich skoczył. Wciąż czułam podniecenie przenikające całe moje ciało.

— Czujesz to? — spytał, zbliżając twarz do mojej.

Zacząłam przymykać oczy.

— Nie — wyszeptał. — Patrz na mnie.

Palcami wolno pieścił moje udo. Przez chwilę bawił się materiałem moich majtek, po czym zatopił we mnie palce. Jęknęłam głośno. Jego palce poruszały się we mnie, odnajdując ośrodki rozkoszy. Przygryzłam wargę, by nie krzyknąć. Zaczęłam właśnie odczuwać fale narastającego orgazmu, gdy włączył się mój umysł, uświadamiając mi, co się dzieje.

Zaczęłam stawiać opór, ale jego dłoń pozostała nieprzejednana, palce wciąż się poruszały. Rozkosz znów zaczęła narastać, zbliżając się ku kulminacji, ale walczyłam z tym, nie chciałam dać mu tej satysfakcji. Zamknęłam oczy i mocno szarpnęłam rękami, usiłując się uwolnić. Gałąź zaskrzypiała, ale unieruchamiające mnie więzy wytrzymały. Nagle jego dłoń przerwała pieszczoty i wycofała się. W ciszy nocy rozległ się metaliczny zgrzyt zamka błyskawicznego.

Otworzyłam oczy, by ujrzeć, jak zsuwał dzinsy. Kiedy zobaczyłam pragnienie w jego oczach i ciele, moje biodra odruchowo uniosły się na spotkanie. Potrząsnęłam mocno głową by odzyskać jasność myśli. Próbowалам się cofnąć. Clay nachylił się do mnie.

— Nie zamierzam cię zmuszać, Eleno. Lubisz udawać, że cię zmuszam, ale wiesz, że tego nie zrobię. Wystarczy, że powiesz nie. Każ mi przestać. Powiedz, bym cię rozwiązał. Zrobię to.

Jego dłoń wsunęła się między moje uda, rozchylając je, nim zdążyłam je zacisnąć. Żar i wilgoć wypłynęły mu na spotkanie, zostałam zdradzona przez własne ciało. Poczułam, jak jego żołądź ociera się o mnie, ale nie wszedł głębiej.

— Każ mi przestać — wyszeptał. — Wystarczy, że to powiesz.

Spojrzałam na niego, ale nie odezwałam się słowem. Trwaliśmy tak przez chwilę, patrząc na siebie. W pewnej chwili on ujął mnie pod ramiona i wszedł we mnie. Moje ciało zareagowało konwulsyjnym skurczem. Przez jedną długą sekundę w ogóle się nie poruszał. Czułam go w sobie, jego biodra przywierające do moich. Cofnął się powoli, a moje ciało zaprotestowało, poruszając się bezwolnie ku niemu, usiłując go zatrzymać. Poczułam, że unosi ręce nad moją głowę. Wiążące mnie pęta pękły, kiedy je silnie szarpnął. Wszedł we mnie z całej siły i mój opór prysnął. Objęłam go, wplatając dłonie w jego włosy i opasując go nogami. Puścił moje ręce i pocałował mnie, penetrując głęboko językiem i równocześnie poruszając się we mnie. Tak długo. Tak długo byliśmy z dala od siebie. Stęskniłam się za nim.

Po wszystkim osunęliśmy się na trawę, dysząc jak po przebiegnięciu maratonu. Leżeliśmy przez dłuższy czas spleceni. Clay zatopił twarz w moich włosach, powiedział, że mnie kocha, i odpłynął w sen. Ja też leżałam pogrążona w przyjemnym odrętwieniu. W końcu odwróciłam głowę i spojrzałam na niego. Na mego demonicznego kochanka. Jedenaście lat temu oddałam mu wszystko. Ale to mu nie wystarczyło.

— Ugryzłeś mnie — szepnęłam.

Clay ugryzł mnie w gabinecie w Stonehaven. Byłam tam tylko z Jeremym, który próbował wymyślić sposób, aby się mnie pozbyć, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam. Zadawał, zdawałoby się, proste, nieszkodliwe pytania, takie jakie zatroskany ojciec mógłby zadać dziewczynie, którą chce poślubić jego syn. Clay i ja byliśmy zaręczeni. Przedstawił mnie już swoim najlepszym przyjaciółom, Nicholasowi i Loganowi. A teraz przywiózł mnie do Stonehaven, abym poznała Jeremy'ego.

Podczas gdy Jeremy przeprowadzał ze mną wywiad, odniosłam wrażenie, że usłyszałam kroki Claya, nagle jednak się zatrzymały. Albo mi się wydawało, albo poszedł gdzie indziej. Jeremy stał przy oknie zwrócony do mnie półprofilem. Patrzył na podwórze.

— Zanim się pobierzecie, Clayton skończy wykłady — rzekł Jeremy. — A co, jeśli znajdzie pracę gdzieś indziej? Rzucisz studia?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, otworzyły się drzwi. Chciałabym powiedzieć, że zaskrzypiały złowieszczo albo że wydarzyło się coś równie niepokojącego. Ale tak nie było. Po

prostu się uchyliły. Odwróciłam się. Do gabinetu wszedł pies z nisko spuszczonego łbem, jakby spodziewał się surowej reprimendy za wejście do zakazanej części domu. Był wielki, prawie jak dog, ale nabity i muskularny jak owczarek. Jego złocista sierść lśniła. Odwrócił się, by spojrzeć na mnie przeraźliwie niebieskimi oczami. Rozdziawił pysk. Odpowiedziałam uśmiechem. Pomimo jego gabarytów wiedziałam, że nie mam się czego bać. Byłam o tym przekonana.

— Ojej — powiedziałam. — Jest piękny. A może to suczka?

Jeremy odwrócił się. Jego oczy rozszerzyły się. Poblądł. Postąpił naprzód, a potem zatrzymał się i zaczął wołać Claya.

— Czy Clay go wypuścił? — zapytałam. — Nic nie szkodzi. Nic się nie stało.

Pokiwałam palcami, przywołując psa do siebie.

— Nie ruszaj się — rzekł półgłosem Jeremy. — Cofnij rękę.

— W porządku. Niech poczuje mój zapach. Tak się robi, zanim pogłaszczę się obcego psa. Miałam kiedyś kilka psów. To znaczy mieli je moi zastępczy rodzice. Widzisz, jaką ma postawę? Uszy do przodu, rozwarto pysk, kiwa ogonem. To znaczy, że jest spokojny i zaciekawiony.

— Natychmiast cofnij rękę.

Spojrzałam na Jeremy'ego. Był spięty, jakby gotowy do skoku, gdyby pies mnie zaatakował. Znow zawołał Claya.

— Naprawdę nie ma się czym martwić — rzekłam coraz bardziej rozdrażniona. — Krzycząc, tylko go spłoszysz, o ile jest płochliwy. Zaufaj mi. Byłam kiedyś ugryziona przez psa. To był hałaśliwy mały chihuahua, ale bolało jak cholera. Ten pies, chociaż wielki, wydaje się przyjazny. Zwykle tak bywa z wielkimi psami. Trzeba raczej uważać na te małe.

Pies podszedł bliżej. Jednym okiem spoglądał na Jeremy'ego, czujny, jakby spodziewał się lania. Przepęłił mnie gniew. Czy tego psa maltretowano? Jeremy nie wyglądał na takiego, ale właściwie go nie znałam. Odwróciłam się od Jeremy'ego i wyciągnęłam rękę.

— Hej, piesku — szepnęłam. — Śliczniutki jesteś, wiesz?

Pies zbliżył się do mnie wolno i ostrożnie, jakbyśmy oboje bali się wzajemnie spłoszyć. Zbliżył pysk do mojej ręki. Kiedy nosem niemal dotknął moich palców, uniósł nagle łeb i kłapał zębami, kłusując mnie w rękę. Krzyknęłam, bardziej z zaskoczenia niż z bólu. Pies zaczął lizać moją dłoń. Jeremy przebiegł przez pokój. Pies śmignął w stronę drzwi i wybiegł na korytarz. Jeremy rzucił się za nim.

— Nie — powiedziałam, wstając. — On to zrobił niechcący. Tylko tak się bawił.

Jeremy podszedł do mnie i ujął za rękę, by obejrzeć ugryzienie. Dwa kły przebiły skórę, pozostawiając niewielkie ranki, z których sączyło się kilka kropel krwi.

— To tylko drobne skaleczenie — rzekłam. — Lekkie skubnięcie. Widzisz?

Minęło kilka minut, podczas gdy Jeremy oglądał moją ranę. Na progu coś się poruszyło. Uniosłam wzrok, spodziewając się znow ujrzeć psa. Ale do gabinetu wszedł Clay. Nie zauważyłam wyrazu jego twarzy, Jeremy stał pomiędzy nami, zasłaniając mi widok.

— Pies mnie dziabnął — powiedziałam. — To nic wielkiego.

Jeremy odwrócił się do Claya.

— Wyjdź — rzekł tak cicho, że ledwie go usłyszałam.

Clay stał w bezruchu.

— Wynoś się! — krzyknął Jeremy.

— To nie jego wina — zaoponowałam. — Może wpuścił tu psa, ale... — Przerwałam. Dłoń zaczęła mnie palić. Drobne skaleczenia nabiegły wściekłą czerwienią. Mocno potrząsnęłam ręką i spojrzałam na Jeremy'ego. — Powinnam to oczyścić — powiedziałam. — Masz jakiś środek odkażający?

Zrobiłam krok naprzód i ugięły się pode mną nogi. Ostatnie, co zapamiętałam, to Jeremy i Clay chwytający mnie, żebym nie upadła. Potem wszystko spowięła czerń.

Po tym, jak zostałam ugryziona przez Claya, na dwa dni straciłam przytomność, choć wydawało mi się, że minęło zaledwie kilka godzin. Ocknęłam się w jednym z pokoi dla gości, który stał się później moją sypialnią. Najwięcej wysiłku kosztowało mnie otwarcie oczu. Powieki miałam rozpalone, spuchnięte. Bolało mnie gardło, uszy i głowa. Nawet zęby mnie bolały. Zamrugałam parę razy. Pokój przechylił się i zakołysał, po czym wrócił do pionu. Odzyskałam ostrość widzenia. Jeremy siedział na krześle obok łóżka. Moja głowa opadła na poduszkę. Jęknęłam. Usłyszałam, jak Jeremy wstaje, po czym zobaczyłam, że mi się przygląda.

— Gdzie Clay? — spytałam. To zabrzmiało jak „Eeklaa?”. Jakbym miała w ustach krówkę ciagutkę. Przełknęłam ślinę, krzywiąc się z bólu. — Gdzie Clay?

— Jesteś chora — rzekł Jeremy.

— Naprawdę? Co ty powiesz. — Ta riposta sporo mnie kosztowała. Musiałam zamknąć oczy i znów przełknąć ślinę, zanim dodałam: — Co się stało?

— Ugryzł cię.

Wspomnienie powróciło. Poczułam silne pulsowanie w dłoni. Z trudem zdołałam ją unieść. Dwie ranki były nabrzmiałe jak jaja drozda. Biło z nich ciepło. Nie zauważyłam ropy ani oznak infekcji, ale coś było nie tak. Ogarnęło mnie przerażenie. A jeśli pies był wściekły? Jakie są symptomy wściekliczny? Czego jeszcze mogę się nabawić od ugryzienia psa? Nosówki?

— Do szpitala — wychrypiałam. — Muszę jechać do szpitala.

— Wypij to.

Tuż obok mnie pojawiła się szklanka. Płyn wewnątrz wyglądał jak woda. Jeremy wsunął mi rękę pod głowę i uniósł, abym mogła się napić. Szarpnęłam się, uderzając podbródkiem w szklankę, i opadłam na poduszkę. Jeremy zaklął i odgarnął zalaną narzutę.

— Gdzie Clay?

— Musisz to wypić — powiedział.

Sięgnął po nową narzutę leżącą w nogach łóżka, rozłożył ją i przykrył mnie. Zwinęłam się w kłębek.

— Gdzie Clay?

— On cię ugryzł.

— Wiem, że ten cholerny pies mnie ugryzł. — Odchyliłam głowę, gdy Jeremy dotknął dłonią mojego czoła. — Odpowiedz na moje pytanie: Gdzie Clay?

— Ugryzł cię. To Clay cię ugryzł.

Przestałam się szamotać i zamrugałam. Chyba się przesłyszałam.

— Clay mnie ugryzł? — powtórzyłam powoli.

Jeremy mnie nie poprawił. Stał tylko, patrząc na mnie i czekał.

— Ugryzł mnie pies — powiedziałam.

— To nie był pies. To był Clay. On... zmienił kształt.

— Zmienił kształt — powtórzyłam.

Spojrzałam na Jeremy'ego, po czym obróciłam się z boku na bok, próbując wstać. Jeremy złapał mnie za ramiona i przytrzymał. Ogarnęła mnie panika. Walczyłam bardziej zawzięcie i z większą siłą niż wydawało mi się, że miałam. Wierzgałam i szamotałam się dziko. On jednak przyszpilił mnie do łóżka z taką łatwością jakby obezwładnił dwuletnie dziecko.

— Przestań, Eleno. — Wypowiedział moje imię niewyraźnie, jak obce słowo.

— Gdzie Clay? — krzyknęłam, przełamując ból w krtani. — Gdzie Clay?

— Odszedł. Odpawiłem go po tym, jak... cię u- gryzł.

Jeremy złapał mnie za obie ręce i przytrzymał tak, że nie mogłam się ruszyć. Wziął głęboki oddech i zaczął od nowa:

— On jest... — Przerwał i pokręcił głową. — Nie muszę ci mówić, czym jest, Eleno. Widziałas, jak zmienił kształt. Widziałas, jak zmienił się w wilka.

— Nie! — Wierzgnęłam, ale kopnęłam tylko powietrze. — Oszalałeś! Kompletnie ci odbiło! Widziałam psa! Puść mnie! Clay!

— On cię ugryzł, Eleno. To oznacza, że... stałaś się tym samym. Stajesz się tym samym. Dlatego jesteś chora. Pozwól sobie pomóc.

Zamknęłam oczy i krzyknęłam, zagłuszając jego słowa. Gdzie się podział Clay? Dlaczego zostawił mnie z tym szaleńcem? Czemu mnie opuścił? Kochał mnie. Wiedziałałam, że mnie kochał.

— Wiem, że w to nie wierzysz, Eleno. Ale patrz tylko. Po prostu patrz. Odwróciłam głowę w bok, nie patrzyłam więc na niego. Widziałam tylko jego rękę przytrzymującą mnie z całej siły. Po chwili jego przedramię zaczęło drżeć i kurczyć się. Pokręciłam mocno głową a ból pod czaszką zapłonął jak rozżarzone na nowo węgle. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, ale zaraz odzyskałam ostrość widzenia. Ręka Jeremy'go pulsowała, nadgarstek zwęził się, dłoń skręcała się i zwijała jakby w ciasny węzeł. Chciałam zamknąć oczy, ale nie mogłam. Byłam sparaliżowana widokiem tego, co działo się przede mną. Czarne włosy na jego ramieniu zgrubiały. Pojawiało się ich coraz więcej, wyrastały spod skóry, wydłużając się stopniowo. Nacisk jego palców zelżał. Spuściłam wzrok. Palce znikły. Na moim ramieniu spoczywała czarna łapa. Zamknęłam oczy i krzyczałam, aż wszystko spowiła ciemność.

Ponad rok trwało, nim w pełni zrozumiałam, czym się stałam, że to nie żadne koszmary czy omamy, że to nie ma końca, że nie było na to lekarstwa. Osiemnaście miesięcy później Jeremy pozwolił Clayowi wrócić, ale już nigdy nie było między nami tak jak dawniej. Nie mogło być. Pewne rzeczy są niewybaczalne.

Obudziłam się kilka godzin później, czując wokół siebie ramiona Claya, przywierałam do niego plecami. Fala spokoju z wolna zaczęła mnie na powrót usypiać. I nagle obudziłam się gwałtownie. Ramiona Claya wokół mnie. Ja dotykająca go plecami. Leżeliśmy oboje na trawie. Nadzy. Cholera. Nie budząc go, wyslizgnęłam się z jego objęć, po czym opuściłam polankę i pobiegłam do domu. Jeremy siedział na tylnym ganku i czytał w promieniach wschodzącego słońca „New York Timesa”. Na jego widok zatrzymałam się, ale było już za późno. Zobaczył mnie. Owszem, byłam naga, ale nie dlatego wołałam unikać Jeremy'ego. Lata życia z Watahą odarły mnie, dosłownie i w przenośni, z wszelkiej skromności. Zawsze gdy biegaliśmy, kończyliśmy nadzy i często z dala od swoich ubrań. Z początku czułam się nieswojo, budząc się z pobiegowego snu w jakiejś grotcie, nago, z trzema lub czterema golutkami facetami. Było to deprymujące, choć nie całkiem nieprzyjemne doświadczenie, zważywszy że ci wszyscy faceci byli wilkołakami, a zatem byli w wyśmienitej kondycji fizycznej i *au naturel* prezentowali się całkiem do rzeczy. Ale, ale, pozwoliłam sobie na małą dygresję. Chodziło mi o to, że Jeremy przez całe lata widywał mnie nagą. Kiedy wyszłam spomiędzy drzew bez ubrania, nawet nie zwrócił na to uwagi.

Złożył gazetę, wstał z fotela i czekał. Unosząc podbródek, podeszłam do ganku. Jeremy musiał poczuć na mnie zapach Claya. Nie dało się tego uniknąć.

— Jestem zmęczona — rzekłam, mijając go. — To była długa noc. Wracam do łóżka.

— Chciałbym usłyszeć, co udało ci się odkryć ubiegłego wieczoru.

Miał miękki, łagodny głos. To była prośba, nie rozkaz. Kiedy tam stałam, myśl, że znajdę się w łóżku sam na sam z myślami, okazała się ponad moje siły. Jeremy proponował mi chwilę odprężenia. Postanowiłam ją wykorzystać. Usiadłam w fotelu i opowiedziałam o wszystkim. No, prawie o wszystkim, o tym, jak znaleźliśmy mieszkanie kundla, opuszczając epizod z

chłopakami w zaułku i wszystko, co stało się potem. Jeremy słuchał, prawie nic nie mówiąc. Kiedy skończyłam, wychwyciłam jakiś ruch na podwórzu. Clay wyłonił się z lasu, ramiona miał spięte, usta ściągnięte w wąską kreskę.

— Wejdź do środka — rzekł Jeremy. — Prześpij się trochę. Ja się nim zajmę.  
Uciekłam do domu.

Na górze, w moim pokoju, wyjęłam z torby komórkę i zadzwoniłam do Toronto. Nie zadzwoniłam do Philipa, ale nie dlatego, że miałam moralniaka.

Nie zadzwoniłam do niego, bo wiedziałam, że powinnam mieć moralniaka, a skoro nie miałam, czułam, że nie należy dzwonić. Czy to jasne? Zapewne nie.

Gdybym kochała się z kimkolwiek innym niż z Clayem, czułabym się z tym źle. Z drugiej strony szanse, że zdradziłabym Philipa z kimś innym niż Clay, były niemal równe zero, więc problem stawał się czysto akademicki. Byłam z natury wierna, czy to mi się podobało, czy nie. Jednak to, co łączyło mnie z Clayem, było tak stare, tak złożone, że sypiania z nim nie mogłam porównywać ze zwykłym seksem. To było jak oddawanie się czemuś, co czułam tak głęboko, że wszelki gniew, ból i nienawiść całego świata nie mogły mnie powstrzymać przed powrotem do niego. Bycie wilkołakiem, bycie w Stonehaven i bycie z Clayem łączyło się ze sobą tak ściśle, że nie potrafiłam tego rozdzielić. Poddanie się jednemu równało się poddaniu temu wszystkiemu. Oddając się Clayowi, nie zdradzałam Philipa, lecz siebie. To mnie przerażało. Nawet teraz, gdy siedziałam na łóżku, ściskając w dłoni telefon, czułam, że osuwam się w dół. Bariera między światami stawała się coraz potężniejsza, a ja zostałam uwięziona po niewłaściwej stronie.

Siedziałam tam, gapiąc się na telefon i zastanawiając się, do kogo zadzwonić, jaki łącznik z moim ludzkim życiem miał moc, by ściągnąć mnie z powrotem. Przez chwilę pomyślałam, by zatelefonować do Anne lub Dianę. Odrzuciłam jednak tę możliwość, zastanawiając się, czemu w ogóle o tym pomyślałam. Skoro nie mogła mi pomóc rozmowa z Philipem, czemu zamierzałam dzwonić do jego matki albo siostry? Zastanawiałam się nad tym przez chwilę, ale coś mnie spłoszyło. Po krótkiej chwili moje palce zaczęły działać jakby z własnej woli. Gdy zadzwonił telefon, jak w odrętwieniu próbowałam dociec, czyj numer wybrałam. I nagle włączyła się poczta głosowa:

— Cześć, dodzwoniłeś się do Eleny Michaels z redakcji „Focus Toronto”. Nie ma mnie w tej chwili w biurze, ale jeśli zostawisz po sygnale swoje nazwisko i numer, oddzwonię najszybciej, jak to będzie możliwe.

Rozłączyłam się, odgarnęłam narzutę i wsunęłam się do łóżka, po czym sięgnęłam po komórkę i wybrałam funkcję ponownego wybierania numeru. Gdy zadzwoniłam po raz piąty, zasnęłam.

Gdy się obudziłam, dochodziło południe. Kiedy się ubrałam, kroki w korytarzu sprawiły, że zamarłam w bezruchu.

— Eleno?

Clay poruszył klamką. Drzwi były zamknięte na klucz. To był jedyny zamek, którego Clay nie odważył się wyłamać.

— Słyszałem, że wstałaś — rzekł. — Wpuść mnie. Chcę porozmawiać.

Naciągnęłam dżinsy.

— Eleno? Daj spokój. — Klamka zagrzechotała głośniejsze. — Wpuść mnie. Musimy pogadać.

Odgarniając włosy do tyłu, spięłam je przy karku. Potem przeszłam przez pokój, otworzyłam okno i wyskoczyłam, uderzając z głuchym łupnięciem o ziemię. Wstrząs sprawił, że poczułam lądowanie od stóp po kolana, ale nie bolało. Skok z drugiego piętra nie jest dla wilkołaka niebezpieczny.

Nade mną Clay wciąż dobijał się do drzwi. Obeszłam dom i weszłam od frontu. Jeremy i Antonio szli akurat przez hol. Jeremy zatrzymał się, unosząc brew.

— Schody nie stanowią już dostatecznego wyzwania? — spytał.

Antonio zaśmiał się.

— Wyzwanie nie ma tu nic do rzeczy. Pech chciał, że jakiś wielki zły wilk chucha i dmucha pod jej drzwiami. — Wychylił się zza rogu i zawołał w górę schodów: — Możesz przestać rozwalać dom na strzępy, Clayton. Zostałeś przechytrzony. Ona jest już na dole.

Jeremy pokręcił głową i skierował mnie w stronę kuchni.

Zanim Clay zszedł na dół, byłam już w połowie śniadania. Jeremy usadził mnie przy drugim końcu stołu. Clay burzył się, ale nie zaoponował. Nick i Peter zjawili się niedługo potem, a w chaosie, jaki wkrótce zapanował, zdołałam się rozluźnić i do reszty zignorować Claya. Kiedy skończyliśmy jeść, powiedziałam pozostałym, co odkryliśmy poprzedniego wieczoru. Kiedy mówiłam, Jeremy przeglądał gazety. Gdy skończyłam, odłożył gazetę i spojrzał na mnie.

— To wszystko? — zapytał.

Coś w jego głosie nakłaniało mnie, abym to potwierdziła. Zawahałam się, ale skinęłam głową.

— Na pewno? — spytał.

— Ee... raczej tak.

Złożył gazetę powoli, z namaszczeniem, i odwrócił w moją stronę, kładąc ją na stole. Na pierwszej stronie „Bear Valley Post” widniał wielki nagłówek: DZIKIE PSY W MIEŚCIE.

— O rany — jęknęłam.

Jeremy odchrząknął, ale dźwięk ten zabrzmiał raczej jak warknięcie. Przeczytałam artykuł. Dwaj chłopcy, których spotkaliśmy w alejce, obudzili rodziców, opowiadając im historię, która z kolei obudziła naczelnego gazety. Chłopcy twierdzili, że widzieli wielkie, zabójcze psy. Dwie, może trzy dzikie bestie grasujące w samym sercu miasta.

— Trzy—rzekł cichym tonem Jeremy. — Cała trójka. Razem.

Peter i Antonio cichcem odeszli od stołu. Clay spojrzał na Nicka i skinął głową dając do zrozumienia, że on też może odejść. Nikt nie mógł winić Nicka za to, co się stało. Jeremy potrafił odróżnić inspiratorów od popleczników.

Nick pokręcił głową i został. Zamierzał przyjąć na siebie część odpowiedzialności.

— Wracaliśmy z mieszkania kundla — rzekłam. — Dzieciaki weszły w zaułek. Zobaczyły mnie.

— Elena nie miała się gdzie ukryć — wtrącił Clay. — Jeden z nich chwycił stłuczoną butelkę. Spanikowałam. Rzuciłam się na nich. Elena mnie powstrzymała i uciekliśmy. Nikt nie ucierpiał.

— Wszyscy ucierpieliśmy — rzekł Jeremy. — Kazałem się wam rozdzielić.

— Tak było — rzekłam. — Jak mówiłam, to było po odnalezieniu kryjówki kundla.

— Kazałem wam po tym, jak go znajdziecie, wrócić do ludzkiej postaci.

— I co dalej? Mieliśmy wrócić do samochodu nago?

Usta Jeremy'ego zadrżały w lekkim tiku. Zapadła długa chwila ciszy. W końcu Jeremy wstał, gestem dał mi do zrozumienia, abym poszła za nim, i opuścił pokój. Clay i Nick spojrzeli na mnie, ale ja tylko pokręciłam głową. To było prywatne zaproszenie. Wysłałam za Jeremym z domu.

\*

Jeremy zaprowadził mnie do lasu. Przeszliśmy prawie kilometr, nim się odezwał. Nawet wtedy nie odwrócił się, lecz szedł przede mną.

— Wiesz, że grozi ci niebezpieczeństwo? — powiedział.

— Wszyscy wiemy...

— Chyba nie do końca zdajesz sobie z tego sprawę. Może za długo przebywałaś poza Watahą Eleno. A może wydaje ci się, że ponieważ wyprowadziłaś się do Toronto, to cię nie dotyczy.

— Chcesz powiedzieć, że celowo doprowadziłam do...

— Oczywiście że nie. Ale może trzeba ci przypomnieć, jak istotne jest to dla nas wszystkich, niezależnie gdzie mieszkamy. Eleno, ludzie z Bear Valley szukają zabójcy. Ten zabójca to wilkołak. My jesteśmy wilkołakami. Jak sądzisz, jak długo po tym, jak go złapią staną u naszych drzwi? Jeżeli dopadną tego kundla żywego i domyślą się, czym jest, puści farbę. Nie zjawił się w Bear Valley przypadkiem, Eleno. Każdy kundel mający ojca wie, że tu mieszkamy. Jeżeli zostanie zdemaskowany, sprowadzi tu gliny, do Claytona i do mnie, a poprzez nas do reszty Watahy, a w końcu do każdego wilkołaka włącznie z tymi, które wypierają się jakichkolwiek więzi z Watahą.

— Myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy?

— Sądziłem, że już wczoraj zrezygnowałaś z tego tonu, Eleno.

Auć. To zabolalo. Bardziej, niż odważyłam się przyznać, więc ukryłam to.

Wobec tego to ty popełniłeś błąd — uciełam. — Nie prosiłam o twoje zaufanie. Spójrz, co się stało z Carterem. Wtedy też mi zaufałeś, prawda? Kto raz zawiódł...

— O ile mi wiadomo, w związku ze sprawą Cartera popełniłaś tylko jeden błąd, nie kontaktując się ze mną przed podjęciem pewnych działań. Wiem, że ma to dla ciebie większe znaczenie, ale właśnie dlatego powinnaś była się ze mną skontaktować, abym wydał ci rozkaz. To ja ponoszę odpowiedzialność za podejmowane decyzje. Za czyjąś śmierć. Wiem, że tobie...

— Nie chcę o tym mówić.

— Oczywiście.

Szliśmy w milczeniu. Słowa uwięzły mi w gardle, pragnąc uwolnienia, szansy porozmawiania o tym, co zrobiłam i co wtedy czułam. Gdy tak szliśmy, poczułam w pewnej chwili wyraźną woń i słowa nagle się rozplynęły.

— Poczuleś to? — spytałam.

Jeremy westchnął.

— Eleno, wolałbym, żebyś...

— Tam. Wybacz. Nie chciałam przerywać, ale... — Zmarszczyłam nos, wychwytyjąc woń niesioną z wiatrem. — Ta woń. Czujesz to?

Nozdrza Jeremy'ego lekko się rozděły. Węszył niecierpliwie, jakby nie spodziewał się niczego zwietrzyć. I nagle zamrugął. Ta najdrobniejsza, najłagodniejsza reakcja w zupełności wystarczyła. On też to poczuł. Woń krwi. Ludzkiej krwi.



# INTRUZI

Doszliśmy tropem woni krwi aż do wschodniego ogrodzenia. W miarę jak się zbliżaliśmy, coś zaczęło tłumić odór krwi. Coś gorszego. Smród gnijącego mięsa.

Dotarliśmy do drewnianego mostka nad potokiem. Znalazłszy się po drugiej stronie, przystanąłam. Woń znikła. Znow zaczęłam węszyć. W powietrzu czuć było zgnilizną, ale silny smród gdzieś się rozpląnął. Spojrzałam w nurt potoku. Spod mostu wystawało coś bladego. To była bosa stopa, obrzmiałe, sine palce kierowały się ku niebu. Zbiegłam po pochyłości i weszłam do potoku. Jeremy wychylił się przez poręcz, spostrzegł stopę, po czym cofnął się i czekał na wyniki mojej inspekcji.

Przytrzymując się mostku, uklękłam w lodowatej wodzie potoku, przemaczając nogawki dżinsów aż do kolan. Bosa stopa łączyła się ze smukłą łydką. Smród był potworny. Gdy zaczęłam oddychać przez usta, żołądek niemal podszedł mi do gardła. Znow zaczęłam oddychać przez nos. Łydka była połączona z kolanem, za którym spostrzegłam postrzępioną skórę i mięśnie oraz prześwitującą kość udową która wyglądała, jakby dobrał się do niej olbrzymi pies, nie tyle wygłodniały, co powodowany żądzą zniszczenia. Drugie udo zmieniło się w rojący się od robaków kikut, kość została z gruchotana przez potężne szczęki. Gdy zajrzałam pod most, zobaczyłam resztę drugiej nogi, a raczej jej kawałki, rozrzucone, jakby ktoś wysypał z worka śmieci. Powyżej ud tors zmienił się w nierozpoznawalną masę rozszarpanych tkanek. Jeżeli ręce wciąż tkwiły przy ciele, ja ich nie zauważyłam. Może leżały porzucone luzem gdzieś dalej. Głowa była przekrecona do tyłu, szyja niemal zupełnie przegryziona. Nie chciałam spojrzeć na twarz. Jest łatwiej, kiedy nie widzisz twarzy, jeżeli potrafisz wmówić sobie, że gnijące zwłoki to rekwizyt z horroru klasy B. Ale łatwiej nie zawsze oznacza lepiej. To nie był filmowy rekwizyt i nie mogłam tak jej potraktować. Zakładałam, że to kobieta, z uwagi na rozmiary i ogólną smukłość, ale gdy odwróciłam głowę, zrozumiałam, że się pomyliłam. To był młody chłopak, prawie jeszcze dziecko. Oczy miał wybałuszone, pełne grudek ziemi, jak poobijane szklane kulki. Poza tym twarz pozostawała nietknięta, skórę miał gładką był dobrze odżywiony i bardzo młody.

Kolejne zabójstwo dokonane przez wilkołaka. Mimo że smród krwi i gnijącego ciała wyparł woń kundla, rozpoznałam jego dzieło po rozszarpanym gardle i ziejących wyzartych ranach na torsie. Kundel przywłókł tu ciało. Do Stonehaven. Nie zabił chłopaka tutaj. Nie było śladów krwi, ale grudki ziemi wskazywały, że ciało zakopano, a następnie wygrzebano z mogiły. Ubiegłej nocy, kiedy przetrząsaliśmy mieszkanie kundla, ten taszczył właśnie ciało do Stonehaven, abyśmy mogli je znaleźć. Ta jawna obraza sprawiła, że ogarnęła mnie wściekłość.

— Musimy się go pozbyć — rzekł Jeremy. — Na razie go zostaw. Wrócimy do domu...

Szelest wśród krzewów sprawił, że zamilkł i znieruchomiał. Wychyliłam głowę spod mostu. Ktoś przedzierał się przez gąszcz, subtelnie jak szarżujący nosorożec. Ludzie. Szybko się

schyliłam, oplukałam dłonie w potoku i wróciłam na górę. Ledwie tam dotarłam, gdy z lasu wyszło dwóch mężczyzn w jaskrawych, pomarańczowych kamizelkach myśliwskich.

— To prywatny teren — rzekł Jeremy, a jego cichy głos rozciął ciszę przesieki.

Dwaj mężczyźni drgnęli gwałtownie i odwrócili się. Jeremy został na moście i wyciągnął jedną rękę do tyłu, by przyciągnąć mnie do siebie.

— Powiedziałem, że to teren prywatny—powtórzył.

Jeden z intruzów, nastolatek, postąpił naprzód.

— Skoro tak, to co ty tu robisz, koleś?

Starszy schwycił go za łokieć i pociągnął do tyłu.

— Proszę wybaczyć zachowanie mojego syna. Zakładam, że jest pan... — Nie dokończył, na próżno poszukując w myślach nazwiska.

■— Właścicielem tych ziem, tak — rzekł równie cicho jak dotychczas Jeremy.

Za pierwszą dwójką pojawili się mężczyzna i kobieta, nieomal ich przewracając. Stanęli jak wryci i spojrzeli na nas, jakby zobaczyli duchy. Starszy z mężczyzn coś do nich szepnął, po czym odwrócił się do Jeremy'ego i odchrząknął.

Tak. Rozumiem, że to pańska ziemia, ale, widzi pan, mamy tu pewien problem. Sądzę, że słyszał pan o dziewczynie, która zginęła przed kilkoma dniami. Dopadły ją psy. Dzikie psy. Wielkie. Dwóch chłopców z naszego miasta widziało je ubiegłej nocy. A dziś rano dostaliśmy telefon, że około północy widziano je na obrzeżach tego lasu.

— I dlatego rozpoczęliście poszukiwania.

Mężczyzna wyprężył się.

— Tak jest. Więc jeśli nie ma pan nic przeciw temu...

— Mam.

Mężczyzna zamrugał.

— Ale rozumie pan, musimy to sprawdzić i...

— Czy zajrzeliście do domu, by spytać o pozwolenie?

— Nie, ale...

— Czy zadzwoniliście do domu, by spytać o pozwolenie?

— Nie, ale...

Głos mężczyzny podniósł się o oktawę, a chłopak za nim kręcił się niespokojnie i mamrotał pod nosem. Jeremy mówił dalej tym samym niewzruszonym tonem:

— Wobec tego sugeruję, abyście wrócili tą samą drogą i zczekali na mnie w domu. Jeżeli chcecie prowadzić poszukiwania w tym lesie, potrzebujecie pozwolenia. Biorąc pod uwagę okoliczności, chętnie go wam udzielę, ale nie chciałbym, wybierając się na przechadzkę po mojej ziemi, natknąć się na gromadę uzbrojonych po zęby ludzi.

— Szukamy dzikich psów — rzekła kobieta. — Nie ludzi.

— W takiej sytuacji, gdy trwa gorączka polowania, o pomyłkę nietrudno. Jako że to moja ziemia, wolę nie ryzykować. Korzystam z tych lasów. Podobnie jak moja rodzina i moi goście. Dlatego właśnie nie wpuszczam tu myśliwych. A teraz, jeśli zechcecie zawrócić i udać się do mojego domu, dokończę przechadzkę i spotkamy się na miejscu. Zaopatrzę was w mapy tej posiadłości i ostrzegę gości, by na czas waszego pobytu tutaj trzymali się z dala od lasu. Czy to rozsądne rozwiązanie?

Para zaczęła coś mamrotać pod nosem, podobnie jak nastolatek, ale starszy mężczyzna chyba dał się przekonać. Już miał coś powiedzieć, gdy z tyłu za nimi rozległ się gromki głos.

— A co tu się wyprawia, do cholery?

Clay wypadł z lasu. Skrzywiłam się i Jeremy chyba również, choć to może tylko sztuczka promieni słońca przebijającego się wśród drzew. Clay przystanął na skraju polany i przeniósł wzrok z grupki myśliwych na nas.

— Co wy tu, u diabła, robicie? — warknął, podchodząc do intruzów.

— Szukają dzikich psów — rzekł łagodnie Jeremy.

Clay zacisnął pięści. Żar jego wściekłości zdawał się wypalać ścieżkę, którą szedł. Tamtego dnia, kiedy usłyszeliśmy o myśliwych na terenie posiadłości, Clay wpadł w furję. Jego terytorium zostało naruszone. Mimo to zdołał się pohamować, ponieważ nie miał okazji widzieć intruzów, zakazano mu się do nich zbliżać, wywęszyć ich i reagować tak, jak podpowiadał mu instynkt. Nawet gdyby się na nich natknął, miałby dość dużo czasu, by pohamować swój wybuchowy temperament. Tym razem było inaczej. Zjawił się, szukając nas, i nie wyczuł ich, dopóki nie było za późno na przygotowanie. Intruzi nie byli już niewidocznymi strzałami w ciemnościach, lecz konkretnymi ludźmi stojącymi tuż przed nim, żywymi celami dla jego wściekłości.

Nie umiecie czytać znaków, tablic, kurwa, nie widzieliście, wchodząc tutaj? — warknął, odwracając się do najmłodszego z grupy. — A może wstęp wzbroniony to zbyt złożone słowa, żebyście zdołali je odczytać?

— Clayton — rzucił Jeremy.

Clay go nie słyszał. Wiedziała, że tak było. Słyszał jedynie szum krwi w uszach i głos rozbrzmiewający pod czaszką, nakazujący mu bronić terytorium. Postąpił bliżej do nastolatka. Chłopak cofnął się, opierając plecami o drzewo.

— To prywatna posiadłość — powiedział Clay. — Rozumiecie, co to znaczy?

Jeremy ruszył w jego stronę, ja za nim. Przechodziliśmy przez polanę, gdy nagle z lasu dobiegł jakiś dźwięk. Ujądanie psa. Zwierzę zwiertżyło trop. Przeniosłam wzrok z Jeremy'ego na Claya. Obaj się zatrzymali i nasłuchiwali, usiłując określić, skąd dochodził dźwięk. Cofnęłam się w stronę mostu. Z każdą sekundą ujądanie psa zbliżało się, dźwięk narastał, przepełniony nutą triumfu. Wyczuł trupa pod mostem.

Cofnęłam się jeszcze o krok. Zanim zdążyłam pomyśleć, pies wybiegł z lasu. Gnał prosto na mnie, wzrok miał niewidzący, umysł skupiony na wychwyconej woni. Znalazł się o metr ode mnie i gwałtownie zahamował. Teraz zwiertżył coś innego. Mnie.

Pies spojrzał na mnie. To był wielki mieszaniec, krzyżówka owczarka z ogarem. Opuścił łeb; wydawał się dezorientowany. Po chwili uniósł łeb i zawarczał, rozchylając wargi. Nie wiedział, czym jestem, ale ani trochę mu się nie spodobałam. Jeden z mężczyzn krzyknął. Pies zignorował go. Starszy mężczyzna zaczął biec w jego stronę. Uznawszy, że szansa, jaką miałam, przysła, spojrzałam psu prosto w oczy i wyszczerzyłam zęby. Chodź i weź mnie. Zrobił to.

Pies skoczył. Zacisnął zęby na moim przedramieniu. Upadłam, unosząc rękę na wysokość twarzy, jak do obrony. Pies trzymał mocno. Gdy zatopił kły w mojej ręce, jęknęłam z bólu i strachu. Kopnęłam zwierzę, ale nie za mocno, moje uderzenia ledwie dosięgły jego brzucha. Nade mną rozległ się nagle głośny ryk. Ktoś zdarł ze mnie psa, unosząc przy okazji moją rękę w górę. Nagle pies zwiotczał. Poczułam, że jego zęby rozchyliły się, puszczając moją rękę. Uniosłam wzrok, by ujrzeć stojącego nade mną Claya, ręce wciąż miał zacisnięte na szyi martwego psa. Odrzucił go i osunął się na kolana. Ukryłam twarz w dłoniach i zaczęłam pochlipywać.

— Już dobrze, już dobrze — powiedział, tuląc mnie i gładząc po włosach. — Już po wszystkim.

Z trudem powstrzymywał śmiech, całym jego ciałem wstrząsały spazmatyczne skurcze. Miałam chęć go uszczypnąć, ale nie zrobiłam tego, tylko szlochałam dalej. Jeremy zaczął dopytywać się, kto jest właścicielem psa i czy zwierzę było szczone. Głosy myśliwych zlały się w jedno, gdy próbowali nas przeproszać. Ktoś poszedł po właściciela psa. Clay i ja nie ruszyliśmy się z miejsca, ja szlochałam, a on próbował mnie pocieszać. Trochę za bardzo go to

bawiło, ale nie odważyłam się wstać, aby myśliwi nie zauważyli, że mam suche oczy i wyglądam wyjątkowo dobrze jak na kobietę zaatakowaną przez rozjuszonego psa.

Po kilku minutach zjawił się właściciel psa i wcale się nie ucieszył, gdy ujrzał swego ulubieńca leżącego martwego na ziemi. Nabrał wody w usta, kiedy dowiedział się, co zaszło, i zapewne w obawie przed podaniem go do sądu obiecał, że opłaci wszelkie rachunki za moje leczenie. Jeremy zrugął go, że pozwolił psu biegać swobodnie po cudzej posiadłości. Kiedy Jeremy skończył, mężczyzna zapewnił go, że pies miał wszystkie szczepienia, po czym z pomocą chłopaka po cichu wyniósł truchło. Tym razem, kiedy Jeremy poprosił tamtych, by opuścili posesję, nikt nie zaproponował. Gdy w końcu zapadła cisza, odepchnęłam Claya od siebie i wstałam.

— Jak ręka? — spytał Jeremy, podchodząc do mnie.

Przyjrzałam się zranieniu. Tworzyły je cztery głębokie ślady po zębach, z których wciąż sączyła się krew, ale uszkodzenia tkanek były minimalne. Zacisnęłam i rozluźniłam pięść. Bolało jak cholera, ale wszystko wydawało się sprawne. Nie przejmowałam się zbytnio. Rany wilkołaków goją się szybko i zapewne właśnie dlatego tak często, praktycznie bez powodu ranimy siebie nawzajem.

— Pierwsza rana wojenna — powiedziałam.

— Miejmy nadzieję, że ostatnia—uciał oschle Jeremy, ujmując mnie za rękę, by obejrzeć zranienie. — Chyba mogło być gorzej.

— Świetnie się spisałaś — powiedział Clay.

Łypnęłam na niego.

— Nie musiałyby, gdybyś nie wpadł tu, wściekając się i krzycząc jak opętany. Jeremy prawie ich splawił, ale ty wszystko zepsułeś.

Jeremy przesunął się w bok, zasłaniając mi Claya, jakbyśmy byli rybkami bojownikami, które nie atakują, gdy nie widzą przeciwnika.

— Chodźmy do domu, trzeba przemyć tę ranę. Clay, pod mostem jest ciało. Przenieś je do szopy, podrzucimy je dziś w nocy do miasta.

— Ciało?

— Chłopaka. Prawdopodobnie dzieciaka na gigancie. Chcesz powiedzieć, że kundel przywlókł tu ciało...

— Zabierz je stąd, zanim tamci tu wrócą.

Jeremy ujął mnie za zdrową rękę i ruszyliśmy w drogę powrotną, zanim Clay zdążył zaprotestować.

W drodze powrotnej do domu rozmawialiśmy. A raczej to Jeremy mówił, a ja słuchałam. Niebezpieczeństwo zdawało się narastać z każdą mijającą godziną. Najpierw zauważono nas w mieście. Teraz znaleźliśmy ciało na terenie posiadłości. I do tego jeszcze ta konfrontacja z miejscowymi. To musiało zwrócić na nas uwagę i wzbudzić podejrzenia. Wszystko w ciągu zaledwie dwunastu godzin. Kundel musiał zginąć. Jeszcze tej nocy.

Kiedy Clay wrócił do domu, chciał rozmawiać z Jeremym i ze mną. Znalazłam wymówkę i czmychnęłam do swojego pokoju. Wiedziałałam, że chciał przeprosić za swoją fuszerkę, za to, że doprowadził do konfrontacji z intruzami i narobił kłopotów. Niech Jeremy mu przebaczy. To było jego robota, nie moja.

Gdy Jeremy i Clay skończyli rozmawiać, Jeremy zebrał pozostałych w gabinecie, aby wyjaśnić im, co się stało. Jako że nie wymagałam natychmiastowej powtórki, zostałam w swoim pokoju i zadzwoniłam do Philipa. Opowiadał o kampanii, którą próbował rozkręcić, dotyczącej osiedla

luksusowych domków nad jeziorem. Przyznaję, że nie zwracałam większej uwagi na to, co mówił. Słuchałam natomiast jego głosu i zamknawszy oczy, wyobrażałam sobie, że jestem przy nim, w miejscu, gdzie martwe ciała na podwórzu za domem stanowiłyby powód do nieopisanej zgrozy i przerażenia, a nie snucia planów ich bezpiecznego i szybkiego pozbycia się. Próbowałam myśleć jak Philip, odczuwać współczucie i smutek, oplakiwać tego martwego chłopca, którego życie, tak jak moje, zostało przerwane w gwałtowny sposób.

Kiedy Philip mówił, ja powróciłam myślami do mojej nocy z Clayem. Nie musiałam długo się zastanawiać, co pomyślałaby o tym Philip. Gdzie ja miałam rozum? W ogóle nie myślałam — ot i wszystko. Jeżeli nie miałam wyrzutów sumienia parę godzin temu, to pojawiły się właśnie teraz, gdy słuchałam Philipa i wyobrażałam sobie, jak by zareagował, wiedząc, gdzie spędziłam noc. Byłam idiotką. Miałam wspaniałego faceta, który troszczył się o mnie, a ja gziłam się z egoistycznym, dwulicowym potworem, który zdradził mnie w najgorszy możliwy sposób. Poprzysięgłam sobie, że nie powtórzę więcej tego błędu.

Po późnym lunchu Jeremy zabrał Claya na spacer, by udzielić mu instrukcji na tę noc. Ja swoje już otrzymałam. Clay i ja mieliśmy ruszyć wspólnie za kundlem. Miałam odnaleźć kundla i wywabić go do miejsca, gdzie Clay będzie go mógł bez przeszkód zlikwidować. To było rutynowe postępowanie i niechętnie musiałam przyznać, że ten stary schemat się sprawdzał.

Podczas gdy inni zmywali po obiedzie, ja wymknęłam się po cichu. Krążyłam po domu, aż trafiłam do pracowni Jeremy'ego. Promienie popołudniowego słońca przesączające się między liśćmi kasztanowca za domem tworzyły na podłodze piruety wirujących cieni.

Zerknęłam na kilkanaście płócien stojących pod ścianą. Przedstawiały wilki igrające, śpiewające i śpiące ze sobą, zwinięte w różnokolorową masę i posplatane łapami. Były tam też obrazy przedstawiające wilki na ulicach miast, obserwujące przechodniów, pozwalające, by dotykały ich dzieci, podczas gdy matki patrzyły w inną stronę. Kiedy Jeremy zgadzał się sprzedać któryś ze swoich obrazów, to właśnie te należące do drugiej grupy przynosiły największe zyski. Sceny były enigmatyczne i surrealistyczne, mieniające się czerwienią, zielenią i fioletem tak ciemnym, że wyglądał jak jeden z odcieni czerni. Zuchwałe smugi żółci i oranżu rozjaśniały ciemność w najdziwniejszych miejscach, jak odbicia księżycy w kałuży. Niebezpieczna tematyka, ale Jeremy był ostrożny, sprzedawał je pod przybranym nazwiskiem i nigdy nie pokazywał się publicznie. Nikt spoza Watahy nie był nigdy w Stonehaven, jeżeli nie liczyć wynajmowanej obsługi, toteż jego obrazy mogły bezpiecznie leżeć w pracowni.

Jeremy malował także postacie ludzkie, choć wyłącznie członków Watahy. Jedno z jego ulubionych płócien wisiało na ścianie przy oknie. Przedstawił mnie na nim stojącą na skraju klifu, naga, zwróconą plecami do patrzącego. Clay siedział na ziemi obok mnie, oplatając ramieniem moją nogę. Poniżej skały, na leśnej polanie igrała wataha wilków. W dolnym rogu widniał tytuł dzieła: *Eden*.

Na przeciwległej ścianie wisiały dwa portrety. Pierwszy przedstawiał Claya jako nastolatka. Siedział w wiklinowym fotelu z tęsknym, widmowym uśmiezkiem na ustach, a jego wzrok był skupiony na czymś, co znajdowało się ponad malarzem. Wyglądał jak ożywiony Dawid Michała Anioła, młodzieńcza perfekcja pełna niewinności i nieskalanych marzeń. Gdy miałam dobry dzień, postrzegałam ten obraz jako pobożne życzenie Jeremy'ego. Jeśli dzień był zły, trącił w moim mniemaniu fałszywością i obłudą. Portret wiszący obok był równie niepokojący. Przedstawiał mnie. Siedziałam tyłem do malarza, odwrócona tak, że było widać moją twarz i górną połowę ciała. Miałam rozpuszczone włosy, które opadały skreconymi lokami, przesłaniając moje piersi. Jak na portrecie Claya, najważniejszy był tu wyraz twarzy. Moje ciemnoniebieskie oczy wydawały się wyrazistsze i jaśniejsze niż normalnie, pełne zwierzęcego

blasku. Uśmiechałam się, lekko rozchylając usta i odsłaniając zęby. Tworzyło to wyraz zwierzęcej zmysłowości, drapieżnej i groźnej, czego nie dostrzegałam, patrząc w lustro.

— A-ha! — zawołał od progu Nick. — Więc to tu się ukryłaś. Telefon do ciebie. To Logan.

Wybiegłam tak szybko, że omal nie poprzewracałam obrazów. Nick podążył za mną i wskazał mi telefon w gabinecie. Gdy przemierzałam korytarz, Clay właśnie wychodził tylnymi drzwiami. Nie zauważył mnie. Wślizgnęłam się do gabinetu i zamknęłam drzwi, gdy usłyszałam, jak Clay pyta Nicka, gdzie jestem. Nick udzielił mu wymijającej odpowiedzi, ale nie chciał ryzykować i narażać się na gniew Claya, gdyby powiedział mu prawdę. Clay wciąż był na mnie wściekły, że odkąd opuściłam Watahę, utrzymywałam kontakt z Loganem. Wiedział, że Logana i mnie nie łączył romans, że byliśmy dobrymi przyjaciółmi, ale to wystarczyło, by wzbudzić w nim zazdrość, nie o moje ciało, lecz o mój czas i moją uwagę.

Podniosłam słuchawkę i powiedziałam: „Cześć”.

Ellie! — Pośród szumów i trzasków usłyszałam tubalny głos Logana. — Nie do wiary, że naprawdę tam jesteś. Jak leci? Jeszcze żyjesz?

— Póki co tak, ale to dopiero dwa dni. — Na linii coś zabrzęczało, przez chwilę panowała cisza, po czym połączenie zostało wznowione. — Albo Los Angeles ma gorszą sieć telefoniczną niż Tybet, albo dzwonisz z komórki. Gdzie jesteś?

— Jadę do sądu. Posłuchaj, wszystko ułożyło się szybciej, niż się tego spodziewałem. Mamy ugodę. Właśnie dlatego dzwonię.

— Przyjedziesz?

Usłyszałam jego gromki śmiech.

— Stęskniłaś się za mną? Pochlebiłabyś mi, ale wiem, że po prostu potrzebujesz kogoś, kto ustrzeże cię przed Claytonem. Tak. Przyjadę. Nie wiem jeszcze kiedy, ale pewnie jeszcze dziś w nocy albo jutro rano. Musimy tylko zakończyć tu nasze sprawy i przylecę pierwszym samolotem.

— Świetnie. Nie mogę się doczekać, żeby cię ujrzeć.

— Nawzajem, choć trochę jestem zły na ciebie, że nie pozwoliłaś mi przyjechać do Toronto na Boże Narodzenie. Tak chciałem upiec piernik. Kolejna piękna świąteczna tradycja przepadła.

— Może w tym roku.

— Koniecznie. — Na linii pojawiły się trzaski i zapadła cisza, a po chwili: — Co?

— Wciąż tu jestem.

— Chyba będę już kończył, zanim znowu nam przerwie. Nie zarywaj nocy, czekając na mnie. Zobaczmy się jutro. Zabiorę cię na lunch, żebyś trochę odetchnęła i rozluźniła się. Co ty na to?

— Brzmi kusząco. To do zobaczenia.

Pożegnał się ze mną i przerwał połączenie. Gdy odłożyłam słuchawkę na widełki, usłyszałam Nicka, który na korytarzu szukał chętnych do meczu futbolowego. Zatrzymał się przed drzwiami gabinetu i zapukał.

— Zagram — odparłam. — Zaraz do was przyjdę.

Spojrzałam na telefon. Logan przyjeżdża. To sprawiło, że na chwilę zapomniałam o wszystkich kłopotach i uciążliwościach całego dnia. Uśmiechnęłam się do siebie i wybiegłam z gabinetu, nabrawszy naglej ochoty na odrobinę ostrzejszej gry przed zaplanowanym na tę noc polowaniem na kundla.

# DRAPIEŻCA

Po kolacji zaczęłam przygotowywać się na nadchodzący wieczór. Problem stanowił dobór ubioru. Jeżeli miałam wyhaczyć tego kundla, musiałam nałożyć maskę, która najlepiej działała na wilkołaki: stać się Eleną — seksualną drapieżniczką. To nie oznaczało minispódniczek, kabaretek czy przejrzystych bluzeczek choćby dlatego, że ich nie miałam. A nie miałam ich, bo wyglądałam w nich idiotycznie. Obcisłe topy, szpilki i spódniczki ledwie zakrywające tyłek sprawiały, że przypominałam chudą, wyrośniętą czternastolatkę, która przebrała się w ciuchy dorosłej kobiety. Natura nie obdarzyła mnie krągłościami, a tryb życia, jaki wiodłam, także nie pozwalał na odłożenie się tłuszczu tu i ówdzie. Byłam za wysoka, za chuda i zbyt atletycznie zbudowana jak na męski ideał wampa.

Kiedy zamieszkałam w Stonehaven, moja garderoba wyglądała jak butik z ciuchami z drugiej ręki, niezależnie od tego, ile pieniędzy dawał mi na ciuchy Jeremy. Nie wiedziałam, co mam sobie kupić. Kiedy Antonio załatwił nam bilety na premierę na Broadwayu, wpadłam w panikę. Nie było w pobliżu kobiety, którą mogła bym poprosić o pomoc w doborze stroju, a do Jeremy'ego nie odważyłam się zwrócić, bo skończyłoby się zapewne na kosztownej sukience z tafty z mnóstwem koronek, w sam raz na bal maturalny. Odwiedziłam parę nowojorskich domów mody, ale byłam, dosłownie i w przenośni, zagubiona. Moim wybawcą nieoczekiwanie stał się Nicholas. Nick spędził więcej czasu w towarzystwie kobiet, zwłaszcza pięknych, zamożnych młodych kobiet, niż jakikolwiek facet, może poza Jamesem Bondem. Miał wyborny gust, uwielbiał klasyczne wzory, proste materiały i gładkie linie, które w jakiś sposób uczyniły z mojego wzrostu i braku krągłości atuty. Wszystkie moje stroje kupowałam w towarzystwie Nicka. Nie tylko nie miał nic przeciwko spędzeniu całego dnia, buszując po Piątej Alei, ale w dodatku wykładał na ladę swoją kartę kredytową zanim ja zdążyłam wyluskać moją z portfela. Nic dziwnego, że cieszył się taką popularnością wśród dam.

Wybrałam sukienkę na ten wieczór, tę, którą Nick kupił mi na urodziny dwa lata temu. Była piękna, z jedwabiu, w kolorze indygo, sięgająca do kolan, bez żadnych ozdóbek. Prosta, lecz elegancka. Aby wyglądać mniej oficjalnie, zrezygnowałam z rajstop i zdecydowałam się na sandały.

Kiedy robiłam makijaż, zjawiał się Clay i otaksował mnie wzrokiem od stóp do głów.

— Wyglądasz świetnie — powiedział. A potem rozejrzał się po mojej bajecznej sypialni i uśmiechnął się. — Rzecz jasna nie całkiem pasuje do wystroju. Czegoś tu brakuje. Jakiegoś drobiazgu. Może koronkowego szala z zasłon. Albo gałązki kwitnącej wiśni.

Wyszczerzyłam do niego zęby, nie odrywając wzroku od lustra i wróciłam do przerwane makijażu, popatrując na pojemniczek z różową substancją i zastanawiając się, czy nakładało się ją na usta, czy na policzki. Clay walnął się na łóżko, poprawił miękkie poduchy i wybuchnął śmiechem. Miał na sobie workowate spodnie z materiału, biały podkoszulek i luźną lnianą marynarkę. Ten strój ukrywał jego muskularną budowę i przydawał mu wrażenia prostego, z pozoru

niegroźnego mężczyzny. W wyborze stroju zapewne pomógł mu Nick. Clay nie wiedział, co znaczyło nie wyglądać groźnie.

O dziewiątej wyruszyliśmy explorerem Jeremy'ego. Clay nie cierpiał masywnego SUV-a, ale potrzebowaliśmy wolnej przestrzeni na wypadek, gdyby udało nam się schwytać i zabić kundla. Później tego samego wieczoru Nicholas i Antonio podrzucą ciało chłopaka na miejscowe wysypisko śmieci. Mogliśmy oszczędzić im zachodu i sami je zabrać, ale woń rozkładających się zwłok raczej nie sprzyja w kontaktach z ludźmi.

Choć nie uśmiechało mi się spędzenie wieczoru z Clayem po tym, co zaszło między nami, czułam się rozluźniona. Nie wspomniał ani słowem o wczorajszej nocy ani o telefonie od Logana. Zanim dotarliśmy do miasta, prowadziliśmy całkiem normalną rozmowę na temat kultu jaguara w Ameryce Południowej. Gdybym nie znała go lepiej, pomyślałabym, że bardzo się starał być dla mnie miły. Ale ja znałam go aż za dobrze. Cokolwiek nim kierowało, byłam mu za to wdzięczna. Mieliśmy zadanie do wykonania i musieliśmy spędzić razem cały wieczór, by się z tym uporać. Obowiązek przede wszystkim.

Na początek odwiedziliśmy mieszkanie kundla. Zaparkowałam przy McDonaldzie za domem, a potem obeszliliśmy całą przecznicę. W mieszkaniu było ciemno. Kundel wybył. Mogliśmy tylko mieć nadzieję, że znajdziemy go w którejś z knajp.

Trzy pierwsze bary okazały się niewypałami. Czwarte miejsce na naszej liście zajmowała knajpa bez nazwy, adres zapamiętałam z napisu na pudełku zapalek. Lokal mieścił się za papiernią w opuszczonym magazynie. Sądząc po łoskocie płynącej ze środka muzyki, miejsce to nie było dziś opustoszałe.

— Co to ma być? — spytał Clay.

— To muzyka rave. Nie wygląda mi to na knajpę, raczej na prywatną imprezę.

— Hm. Wejdiesz tam?

— Spróbuję.

— To idź. Ja będę czuwał przy oknie.

Przeszłam na tyły budynku. Do wejścia prowadziły piwniczne drzwi, do których wiodło kilka betonowych schodków. Przez szpary między krawędziami drzwi przebijało silne światło. Kiedy zapukałam, drzwi otworzył mi łysy mężczyzna. Lekkie uniesienie głowy, prowokacyjny, pełen obietnic uśmiešek i znalazłam się w środku z garścią kuponów na darmowe drinki. Liczyłam na nieco większe wyzwanie.

Korytarz prowadził do olbrzymiej, otwartej, prostokątnej sali. Kładkę powyżej przerobiono na wąski balkon z prowizorycznymi schodami i bez barierki. Jako że barierka im w tym nie przeszkadzała, ludzie siedzieli na skraju kładki, ciskając kapsle od butelek z piwem w tłum poniżej. Zakurzone skrzynie ładunkowe i stare deski pełniły funkcję baru ciągnącego się wzdłuż lewej ściany.

Przed barem rozstawiono zardzewiałe stoliki i krzeselka, meble w rodzaju tych, jakie spotyka się na garażowych wyprzedazach albo wyrzuca, jeśli nie masz aktualnych szczepień przeciwężcowych.

Martwiłam się, że będzie to impreza rave taka jak w Toronto, gdzie przeciętny klient martwi się raczej o zaliczenia na semestr niż o spłatę hipoteki. W takim towarzystwie nie zwróciłabym raczej niczyjej uwagi. Nie musiałam się martwić. Bear Valley nie było dużym miastem. Na imprezie było parę nieletnich dzieciaków, ale nikły one wśród większej rzeszy dorosłych sączących piwo albo popalających skręty; było też paru, którzy równie otwarcie zażywali heroinę. Tego oblicza Bear Valley radni miejscy starali się nie dostrzegać. Gdyby zawędrował tu miejscowy polityk, przekonywałby siebie, że całe to towarzystwo to przyjezdni, najpewniej z



Syracuse. Po prawej stronie rozciągał się parkiet taneczny, innymi słowy wolna przestrzeń, gdzie ludzie tańczyli lub zdawali się cierpieć wstrząsani konwulsyjnymi drgawkami. Muzyka była ogłuszająca, lecz nie miałam nic przeciw temu, dopóki dźwięki nie zaczynały przypominać czegoś, co mogli nagrać na zapleczu ochroniarze. Woń taniego alkoholu i jeszcze tańszych perfum wyczyniała dziwne harce z moim żołądkiem. Pohamowałam mdłości i zabrałam się do poszukiwań.

Kundel tu był.

Wychwyciłam jego woń podczas drugiego obejścia sali. To mieszając się z tłumem, to zeń wychodząc, podążałam za tropem, dopóki nie skierował mnie do konkretnej osoby. Kiedy ujrzałam, do kogo doprowadził mnie trop, zważyłam w swój węch i ponownie obesłam całą salę. Tak, facet przy stoliku to naprawdę był nasz kundel. Nigdy dotąd nie spotkałam tak mizernie wyglądającego wilkołaka. Nawet ja wyglądałam groźniej niż ten typ. Miał kasztanowe włosy, był szczupły, gładko ogolony, miał dość ujmujące oblicze, ot zwykły student, do tego w martensach i luźnych spodniach. Wyglądał znajomo, ale nie miałam w pamięci wszystkich zdjęć z archiwum Watahy. Nieważne, kim był. Liczyło się tylko, że był tutaj. Przepelnił mnie gniew. To ten kundel narobił takiego zamieszania? Ten gnojek o twarzy dziecka sprawił, że całą Watahę ogarnęła panika, że musieliśmy oglądać się przez ramię i uważać na uzbrojonych po zęby, nadmiernie skorych do strzelania myśliwych? Z trudem się powstrzymałam, by nie podejść, nie schwycić go za kołnierz i nie wyrzucić na zewnątrz, gdzie czekał Clay. Pohamowałam się nawet, by do niego nie podejść. Niech sam mnie znajdzie. Musiał wychwycić mój zapach i wiedział, kim jestem. Wszystkie kundele to wiedziały. Bądź co bądź, byłam jedyna w swoim rodzaju. Nie potrzeba Sherlocka Holmesa z jego sztuką dedukcji, by domyślić się, kim jestem. Przeszłam pięć metrów od jego stolika, a ten kundel mnie nie zwietrzył. Albo zapachy w tej sali były zbyt silne, albo dureń nie umiał korzystać ze zmysłu powonienia. Zapewne to drugie. Wiedząc, że w końcu mnie wywęszy, skorzystałam z jednego z otrzymanych kuponów, by zamówić rum z colą znalazłam stolik niedaleko parkietu i czekałam. Przepatrując tłum, bez trudu odnalazłam kundla. Z krótkimi włosami, gładko ogolony i w koszulce polo wyróżniał się jak fan Yanniego na koncercie Iron Maiden. Siedział samotnie, lustrując tłum wygłodniałym wzrokiem, który sprawiał, że jego oczy nie wyglądały wcale niewinnie.

Upiłam parę łyków mojego drinka, po czym znów spojrzałam w stronę stolika, przy którym siedział kundel.

Ale już go tam nie było.

— Eleno.

Nie odwracając się, chłonełam przez chwilę jego zapach. To był ten kundel. Usiadłam wygodniej, napiłam się rumu z colą i wciąż patrzyłam na parkiet. Kundel podszedł z drugiej strony, spojrzał na mnie i uśmiechnął się. Przystawił sobie krzesło.

— Mogę usiąść? — spytał.

— Nie.

Zaczął siadać. Spojrzałam na niego.

— Przecież powiedziałam nie, zgadza się?

Zawahał się z lekkim uśmiechem, jakby liczył, że zrobię coś, co będzie świadczyło, że żartowałam. Zahaczyłam stopą o nogę krzesła, by przysunąć je do stolika. Przestał się uśmiechać.

— Jestem Scott — powiedział. — Scott Brandon.

To nazwisko obudziło coś w moim umyśle. Próbowałam przekopać się w myślach przez rejestr Watahy, ale bez powodzenia. Minęło zbyt wiele czasu. Powinnam była odrobić pracę domową przed wyruszeniem na akcję.

Postąpił krok w moją stronę. Gdy na niego spojrzałam, cofnął się. Upiłam kolejny łyk drinka, a potem spojrzałam na niego ponownie znad szklaneczki.

— Wiesz, co spotyka kundli, którzy wchodzą nieproszeni na terytorium Watahy? — spytałam.

— A powinienem wiedzieć?

Parsknęłam i pokręciłam głową. Młody i pewny siebie. Kiepska kombinacja, ale bardziej denerwująca niż niebezpieczna. Najwyraźniej tatko tego kundla nie opowiadał mu do snu historyjek o Clayu. To poważne zaniedbanie, ale wkrótce zostanie naprawione. Na samą myśl aż się uśmiechnęłam.

— Co cię sprowadza do Bear Valley? — spytałam, udając znużone zaciekawienie. — Papiernia od lat nie zatrudnia robotników, więc mam nadzieję, że nie szukasz pracy.

— Pracy? — W jego oczach rozbłyły złowróźbne iskierki. — Nie, nie szukam pracy. Raczej zabawy. Dobrej zabawy. W naszym stylu.

Patrzyłam na niego przez dłuższą chwilę, po czym wstałam i odeszłam. Brandon ruszył za mną. Podeszłam do przeciwległej ściany, zanim złapał mnie za łokieć. Jego palce wpiły się aż do kości. Szarpnęłam mocno, by się uwolnić, i obróciłam się twarzą do niego. Uśmiech znikł z jego ust, zastąpiony posępną surowością wrednego, rozpuszczonego dzieciaka. Doskonale. Teraz już tylko musiałam się uwolnić i pozwolić, by wyszedł za mną na zewnątrz. Do tego czasu będzie tak rozjuszony, że nie zauważy Clay'a, dopóki nie będzie za późno.

— Mówiłem do ciebie, Eleno.

— I co z tego?

Schwycił mnie za przeguby i pchnął do tyłu, aż rąbnęłam plecami o ścianę. Uniosłam ręce, by go odepchnąć, ale pohamowałam się. Nie mogłam sobie pozwolić na urządzenie tu widowiska, a nie wiedzieć czemu, kobieta bijąca się z mężczyzną zawsze przyciąga uwagę, zwłaszcza jeśli jednym pchnięciem odrzuci go na drugi koniec sali.

— Gdy Brandon nachylił się do mnie, jego oblicze wykrzywił paskudny uśmieszek. Uniosł rękę i musnął palcem mój policzek. Jesteś taka piękna, Eleno. A wiesz, jak dla mnie pachniesz? — Wziął głęboki oddech i zamknął oczy. — Jak goniąca się suka. — Przywarł do mnie, abym mogła poczuć, że miał erekcję. — Ty i ja moglibyśmy się nieźle zabawić.

— Nie sądzę, żebyś polubił zabawy w moim stylu.

Uśmiech stał się drapieżny.

— Słyszałem, że życie cię nie pieściło. Wataha wciąż siedziała ci na karku, tłumiąc swoimi kretyńskimi regułami i prawami. Kobieta taka jak ty zasługuje na coś lepszego. Potrzeba ci kogoś, kto nauczy cię, co znaczy zabijać, naprawdę zabijać, nie uśmiercać jakiegoś bezmyślnego królika czy jelenia, ale człowieka. Myślącego, oddychającego, świadomego człowieka. — Przerwał, po czym ciągnął dalej: — Widziałas kiedyś oczy kogoś, kto zrozumiał, że zaraz umrze, w momencie gdy uświadomił sobie, że to ty przyniesiesz mu śmierć? — Wziął głęboki oddech, po czym wolno wypuścił powietrze, spomiędzy jego zębów wyłonił się koniuszek języka, a oczy wypełniło pożądanie. — Oto moc, Eleno. Prawdziwa moc. Mogę pokazać ci ją nawet dziś.

Trzymając za ręce, poprowadził mnie na bok, by pokazać mi tłum.

— Wybierz kogoś, Eleno. Kogokolwiek. A ten ktoś jeszcze dziś umrze. Tej nocy ci ludzie są twoi. Należą do ciebie. Jakie to uczucie?

Nie odpowiedziałam.

Brandon mówił dalej:

Wybierz kogoś i wyobraź to sobie. Zamknij oczy. Zobacz, jak ich stąd wyprowadzasz, zabierasz do lasu i rozdierasz im gardła. — Przeszył go dreszcz. — Widzisz ich oczy? Czujesz zapach ich krwi? Czujesz ich krew, jak oblewa cię całą, jak spływa po twoim ciele i rozlewa na ziemi u

twoich stóp? To nie wystarczy. Nigdy nie wystarcza. Ale ja tam będę. I sprawię, że ci wystarczy. Będę rznął cię właśnie tam, w kałuży ich krwi. Potrafisz to sobie wyobrazić?

Uśmiechnęłam się do niego, ale nic nie powiedziałam. Zamiast tego przesunęłam palcem wskazującym przez jego tors aż do brzucha. Przez chwilę bawiłam się guzikiem przy jego rozporku, następnie wsunęłam dłoń pod jego koszulę i pogłaskałam po brzuchu, zataczając powoli kręgi wokół pępka. Gdy się skoncentrowałam, poczułam, że moja dłoń grubieje, a paznokcie się wydłużają. Tego właśnie nauczył mnie Clay, przemiany tylko części ciała, sztuczki znanej jedynie niektórym wilkołakom. Kiedy moje paznokcie zmieniły się w pazury, przejechałam nimi po brzuchu Brandona.

— Czujesz to? — wyszeptałam mu do ucha, przywierając do niego. — Jeżeli zaraz nie odejdziesz, wy- pruję ci flaki i nakarmię nimi. To zabawa w moim stylu.

Brandon szarpnął się w tył. Przytrzymałam go wolną ręką. Pchnął mnie na ścianę. Wbiłam na wpół uformowane pazury w jego brzuch i poczułam, jak przebijają skórę. Wybałuszzył oczy i krzyknął z bólu, ale muzyka skutecznie go zagłuszyła. Rozejrzałam się dokoła, by upewnić się, że nikt nie zwracał uwagi na dwoje ludzi obściskujących się w kącie. Kiedy znów odwróciłam się do Brandona, zrozumiałam, że pozwoliłam, by ta gra trwała odrobinę za długo. Jego twarz wykrzywiła się, szczęki zacisnęły, żyły na szyi nabrzmiały. Jego oblicze zafalowało jak odbicie w wodach leniwego strumienia. Czoło Brandona pogrubilo się, policzki wydzwignęły w górę na spotkanie nosa. Klasyczny odruch wywołany przez strach u niewyszkolonego wilkołaka. Przemiana.

Chwyciłam Brandona za ramię i zawlokłam do najbliższego korytarza. Kiedy szukałam wyjścia, poczułam, że jego ręka, którą ściskałam, zaczyna się zmieniać, rękaw pęka, a przedramię zaczyna pulsować i skracać się. Dotarłam niemal do końca korytarza, gdy uświadomiłam sobie, że nie było tam wyjścia, a jedynie drzwi do dwóch toalet. Drzwi do męskiej otworzyły się i jakiś facet czknął głośno. Inny wybuchnął śmiechem. Zerknęłam na Brandona w nadziei, że jego Przemiana nie posunęła się na tyle daleko, by jego wyglądu nie dało się złożyć na karb wrodzonej deformacji fizycznej. Nic z tego — o ile klienci lokalu nie byli na tyle pijani, by nie zwrócić uwagi na faceta, który wyglądał, jakby pod skórą na całej jego twarzy pełzały wielkie robaki. Z toalety wyszedł mężczyzna. Odwróciłam Brandona i ujrzałam kilka metrów dalej drzwi do składziku. Pchając go przed sobą podbiegłam do drzwi, zerwałam kłódkę, otworzyłam drzwi i wepchnęłam Brandona do środka.

Kiedy oparłam się plecami o drzwi, zaczęłam zastanawiać się, jak wybrnąć z tej niezbyt komfortowej sytuacji. Czy mogłam go wypuścić? No jasne, wystarczyło tylko założyć mu obrozę, smycz i pomaszerować z ważącym siedemdziesiąt kilogramów wilkiem ku wyjściu. Nikt nie zwróciłby uwagi. Skłęłam się w duchu. Jak mogłam do tego dopuścić? Miałam go. W chwili kiedy zaproponował, że pokaże mi, jak zabija się ludzi, był mój. Wystarczyło powiedzieć „tak”. Wybrać jakiegoś faceta opuszczającego lokal i wyjść za nim na ulicę. Brandon poszedłby za mną a Clay już by czekał na zewnątrz. Koniec gry. Ale nie, to mi nie wystarczyło. Musiałam pójść na całość.

— Niech to szlag — wycedziłam.

Zza zamkniętych drzwi dobiegł ogłuszający ryk bólu, którego nie była w stanie stłumić nawet hałaśliwa muzyka. Dwie przechodzące obok kobiety odwróciły się i spojrzały z zaciekawieniem.

— To mój chłopak — odparłam, siląc się na uśmiech. — Coś mu zaszkodziło. Trefny towar. Nowy diler.

Jedna z kobiet zerknęła na zamknięte drzwi.

— Może powinnaś go zawieźć do szpitala — rzekła, ale nie zatrzymała się. Dobra rada udzielona, sprawa z głowy.

— Clayton — szepnęłam. — Gdzie jesteś?

Nie zdziwiłam się, że Clay nie wpadł do lokalu, wyważając drzwi, kiedy Brandon mnie zaatakował. Clay nigdy nie lekcewał moich umiejętności; wiedział, że potrafię się obronić. Przybyłby mi z pomocą tylko w przypadku realnego zagrożenia. Teraz nic mi nie groziło, ale potrzebowałam jego pomocy. Niestety z miejsca, gdzie się zaczął, nie mógł mnie zobaczyć.

Z wnętrza składziku dobiegł przeraźliwy łoskot. Brandon zakończył Przemianę i próbował się uwolnić. Musiałam go powstrzymać. Ale aby go zatrzymać, niemal na pewno musiałabym go zabić. Czy mogłam to zrobić, nie czyniąc większego zamieszania? Z wnętrza składziku znów doszedł mnie głuchy łomot i trzask pękającego drewna. Potem zapadła cisza.

Szarpnięciem otworzyłam drzwi. Na podłodze walały się strzępy podartej odzieży. W południowej ścianie znajdowały się drugie drzwi prowadzące z powrotem do magazynu. Pośrodku taniej płyty ze sklejkę ziała wielka, postrzępiona dziura.

## CHAOS

Wbiegłam do głównej sali. Nie było słyhać żadnych krzyków. Jeszcze nie. Pierwsze, co usłyszałam, to głosy, bardziej rozdrażnione niż zaniepokojone. „Co u...”, „Czy ty...”, „Uważaj no...”. Kiedy wyłoniłam się zza rogu, ujrzałam szlak poprzewracanych krzesel i stolików ciągnący się półokręgiem od składziku do parkietu. Wokół powywracanych stolików kłębili się ludzie, zbierając kurtki, torebki i potłuczone szklanki. Chłopak, z wyglądu nieletni, siedział po turecku na podłodze, tuląc do piersi złamaną rękę. Jakaś kobieta stała na krześle, wskazując pustą szklanką w stronę pokosu, jaki Brandon zostawił za sobą na parkiecie, i domagając się, by ten „pieprzony drań” zapłacił za jej rozlanego drinka, ale jakoś nie dostrzegła, że ten „pieprzony drań” miał kły, sierść i raczej nie miał gdzie schować portfela.

Wciąż zmierzałam w stronę parkietu, kiedy usłyszałam ryk Brandona. A potem pierwszy krzyk. I harmider czyniony przez setkę ludzi gnających na oślep ku wyjściu.

Popłoch nie był szczególnie pomocny, jako że mój cel kierował się w stronę przeciwną niż reszta tłumu.

Z początku byłam uprzejma. Naprawdę. Mówiłam: „Przepraszam”, próbowałam przeciskać się między ludźmi, przeproszałam, że nadepnęłam komuś na stopę. Cóż mogę poradzić, jestem Kanadyjką. Zarobiwszy parę razy łokciem w pierś i usłyszawszy więcej niż parę obelżywych słów, odpuściłam sobie i zaczęłam przedzierać się przez ciżbę nieco ostrzej. Kiedy jakiś krzepki osiłek próbował zepchnąć mnie w tył, złapałam go za kołnierz i ekspresowo odesłałam w stronę drzwi. Potem miałam już w zasadzie z górki. Choć nie groziło mi już, że zostanę zdeptana, wciąż posuwałam się naprzód w żółwym tempie. Nic nie widziałam. Nie jestem niska, mam metr siedemdziesiąt siedem wzrostu, ale w takim tłumie nawet gwiazda NBA miałaby kłopoty, aby cokolwiek zobaczyć. Jeżeli było tu wyjście awaryjne lub coś w tym rodzaju, nikt o tym nie

wiedział. Wszyscy zmierzali do głównego wejścia i w wąskim frontowym korytarzu zrobił się nielichy zator.

Nie tylko nic nie widziałam, ale słyszałam wyłącznie odgłosy tłumu, krzyki, przekleństwa i wrzaski zlewały się w chaos jak na wieży Babel, tworzący jedyny w swoim rodzaju język paniki. Ludzie rozpychali się i bili między sobą jakby jeden krok więcej w stronę drzwi mógł oznaczać różnicę między życiem a śmiercią. Inni nie poruszali się sami, lecz byli spychani przez napierający tłum. Spojrzałam na twarze tych ludzi, ale nie dostrzegłam nic. Były białe i puste jak gipsowe maski. Tylko oczy skrywały prawdę, wybałuszone i dzikie, gdy instynkt przetrwania brał nad nimi górę. Większość nie wiedziała nawet, przed czym ucieka. To nie miało znaczenia. Wyczuwali woń strachu bijącą od innych równie łatwo, jak zwietrzyłby ją wilkołak. Ta woń docierała do ich mózgow, przejmując nad nimi kontrolę. Wyczuwali to i próbowali przed tym uciec. Dawali Brandonowi dokładnie to, o co mu chodziło.

Przedarłam się na środek parkietu, gdy ujrzałam kobietę leżącą w kałuży krwi. Czerwona struga buchała z jej szyi, zabryzgując każdego, kto podszedł nieco bliżej. Ludzie potykali się o kobietę i ślizgali w jej krwi. Nikt nie spuścił wzroku. Ja też nie powinnam była tego robić. Ale zrobiłam. Wywróciła oczami, na moment wychwytyjąc moje spojrzenie. Z jej ust wypływała krwawa piana. Dłoń konwulsyjnie uniosła się ponad parkietem, jakby kobieta próbowała czegoś osiągnąć. Nagle znieruchomiała w powietrzu, zawisła na chwilę i miękko opadła w kałużę krwi. Jej oczy stały się martwe. Krew przestała tryskać i tylko sączyła się leniwie z rany. Jakiś mężczyzna potknął się o nią, spojrzał w dół, zaklął i kopnięciem zepchnął ją na bok. Oderwałam wzrok od trupa i ruszyłam dalej.

Gdy przestępowałam nad ciałem, gdzieś w górze rozprysło się szkło. Spojrzałam w górę, by zobaczyć, jak stopy Claya przebijają szybę w oknie nad barem. Wślizgnął się do środka i zeskoczył na podłogę. To był zeskok z grubo ponad pięciu metrów, Jeremy zwykle przestrzegał nas, byśmy nie robili takich rzeczy przy ludziach, ale zważywszy, że nikt nie zwracał uwagi na trupa leżącego na ziemi, wątpliwe, by ktokolwiek zauważył mężczyznę wskakującego przez okno za ich plecami. Clay wspiął się na kontuar i zlustrował wzrokiem tłum. Ujrawszy mnie, gestem przywołał do siebie. Wskazałam nieco dalej w tłum, gdzie, jak przypuszczałam, znajdował się Brandon. Clay pokręcił głową i powtórzył gest przywołania. Ruszyłam pod prąd, kierując się w jego stronę.

— Cudowne wejście — zawołałam, przekrzykując hałas i gramoląc się na bar.

— Widziałaś frontowe drzwi, kochanie? Potrzeba by miotacza płomieni, aby przebić się przez ten tłum. Drugie wyjście jest zamurowane.

Spojrzałam ponad głowami ludzi.

— A więc Brandon nie jest tam, w rogu?

— Kto?

— Kundel. Jest tam?

— Jasne, że jest. Ale marnujesz tylko energię, próbując przebić się do niego.

Wypatrzyłam Brandona. Tak jak podejrzewałam, całkiem zmienił się w wilka. Wydawało się, że odbija się od ścian w rogu sali, podskakując, wybijając się w górę i atakując powietrze. Już miałam powiedzieć, że wygląda, jakby mu odbiło. Wtem tłum rozstąpił się na tyle, że zobaczyłam, iż kundel wcale nie atakował powietrza. Na podłodze leżał zwinięty w kłębek mężczyzna, kolana podciągnął do klatki piersiowej, głowę wtulił w ramiona, a dłonie splótł na karku. Ubranie miał w strzępach i całe we krwi. Leżał w bezruchu, przypuszczalnie martwy, ale Brandon wciąż nie dawał mu spokoju. Rzucił się na niego i schwyciłszy za stopę, jął kręcić nim w kółko. Po chwili tanecznym krokiem odszedł na bok z uniesionym wysoko ogonem. Przywarował i zrobił zmyłkę, po czym uskoczył w bok. Mężczyzna leżał teraz na boku, dzięki czemu ujrzałam jego obrażenia wyraźniej, niż bym sobie tego życzyła. Koszulę miał rozdartą od

góry do dołu. Jego tors przecinały smugi krwi, brzuch był cały czerwony. Koniec paska zwieszał się aż do podłogi. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że to nie był pasek, lecz pasmo jelit. Gdy się odwracałam, ciało drgnęło. Mężczyzna zakolysał się, jakby dla lepszej obrony chciał znów przewrócić się na brzuch.

— Boże —jęknęłam. — On jeszcze żyje.

Brandon znów rzucił się na swoją ofiarę i zatopił zęby w skórze na czaszce mężczyzny. Szarpnięciem przewrócił go na bok i znów uskokzył w bok.

— Nawet nie próbuje go zabić — zauważyłam.

— Dlaczego miałyby to zrobić? — spytał Clay, a jego górna warga uniosła się lekko. — Świetnie się bawi.

Jego słowa aż ociekały odrazą. To nie było zabijanie w celu zdobycia pożywienia czy przetrwania. To Clay potrafił zrozumieć. W tym przypadku zaś mieliśmy do czynienia z niepojętą dla nas ludzką cechą — zabijaniem dla przyjemności.

— Rozejrzę się trochę, póki jest zajęty — ciągnął Clay. — Daj mi pięć minut. Ruszaj, kiedy tłum się przeredzi. Zwab go w stronę tamtego bocznego korytarza. Będę czekał.

Clay zeskoczył z kontuaru i zniknął w tłumie. Ponownie przeniosłam wzrok na Brandona torturującego swoją ofiarę. I znów nie chciałam patrzeć ani myśleć o tym, co działo się poniżej, o tym, że jakiś mężczyzna konał w strasznych męczarniach, ale nadal żył, a ja nic w związku z tym nie zrobiłam. Upomniałam siebie, że prawie na pewno było już za późno, aby można było go ocalić, a gdyby nawet przeżył, musiałby trafić do szpitala, na co nie mogliśmy pozwolić, bo przecież został ugryziony przez Brandona i sam był już teraz wilkołakiem. Choć rozsądek podpowiadał mi, że nie mogłam ryzykować próby ratowania go, czułam się do tego zmuszona choćby po to, by skrócić jego cierpienia. Niekiedy wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdybym była podobna do Claya, uznając, iż to, co robił Brandon, było złe, ale z drugiej strony nie do mnie należało naprawianie zła uczynionego przez innych, i gdybym potrafiła odejść, nie mieszając się. Sęk w tym, że nie chciałam być taka twarda, zimna i nieczuła. Clay miał po temu wytłumaczenie. Ja nie.

Oderwałam wzrok od Brandona i jego ofiary. Chory skurwiel. Żadne zwierzę nie zachowałoby się w taki sposób. Kiedy o tym pomyślałam, coś uruchomiło się w moim mózgu, jakiś element trafił na swoje miejsce z takim impetem, że aż drgnęłam mimowolnie. W sali nagle zapadła cisza, szum w uszach zagłuszył odgłosy tłumu, dając mi jedną krótką chwilę niezmaconej przejrzystości umysłu pośród całego tego chaosu. Przypomniałam sobie, gdzie widziałam twarz Brandona i gdzie usłyszałam jego nazwisko. Nie napotkałam go w naszym archiwum. Usłyszałam je w telewizji. W programie policyjnym na temat zabójcy z Karoliny Północnej. Znów przed moimi oczami przesunęła się taśma z nagrania z policyjnego przesłuchania i ujrzałam ziarnisty obraz. „Chciałem zobaczyć, jak ktoś umiera”. Scott Brandon.

Gwałtownie pokręciłam głową. Nie, to niemożliwe. To bez sensu. Wilkołak nie mógł przeżyć w więzieniu, aby nie został zdemaskowany. I wtedy znów przypomniałam sobie zapach Brandona, te drobne niuanse, które zwróciły moją uwagę tamtej nocy w jego mieszkaniu. Powiedziałam Clayowi, że jest nowy. Wyczułam to w jego zapachu i uznałam, że to młody dziedziczny wilkołak, który właśnie osiągnął dojrzałość. Ale tak nie było. Został ugryziony.

Mój umysł ponownie odrzucił tę myśl. Brandon zwiął z pudła zaledwie przed paroma miesiącami. Wilkołak potrzebował więcej czasu, aby otrząsnąć się z szoku po przeistoczeniu. Ale czy na pewno? Czy nie było możliwe, aby doszedł do siebie szybciej? Musiałam stwierdzić, że nie. Ja sama miałam z tym kłopoty tylko dlatego, że nie chciałam zaakceptować tego, co się ze mną stało. A jeśli w tym przypadku było inaczej? Jeżeli ktoś chciał stać się wilkołakiem, był na to gotowy i przyjął to bez większych oporów? To mogło stanowić zasadniczą różnicę. Było jednak więcej rzeczy, które mi tu nie pasowały. Co tu robił Brandon? Jeżeli był wilkołakiem

dziedzicznym, to tłumaczyłoby, skąd wiedział o Bear Valley, Watasze i Stonehaven. Skąd mógł o tym wiedzieć młody, nowy wilkołak? A jednak Brandon wiedział. Zwrócił się do mnie po imieniu. Mówił o Watasze, o tym, że o mnie słyszał. Od kogo? Od innego wilkołaka, ma się rozumieć. Od doświadczonego zmiennokształtnego. Ale kundle tak się nie zachowują. Nie pozwalają przeżyć ugryzionym ani im nie pomagają. To niemożliwe. Nie, poprawiłam samą siebie. To nie było niemożliwe. Co najwyżej niepojęte i niesłychane, do tego stopnia, iż mój umysł nie potrafił tego przyjąć.

Nie mogłam zaprzętać sobie teraz tym głowy. Mieliśmy na głowie poważniejszy problem, niż roztrząsać zagadkę genezy Brandona. Wystarczył sam fakt jego istnienia. Położenie kresu jego życiu nie będzie tak proste, jak sądziłam. Nie był beztruskim śmieciem, lecz kimś znacznie groźniejszym — prawdziwym zabójcą. Zaczęłam rozglądać się za Clayem, aby go ostrzec. I nagle uświadomiłam sobie, że to nic by nie dało. Brandon był zabójcą ze świata ludzi. Równie dobrze mogłabym powiedzieć Clayowi, że Brandon jest głównym księgowym. Nie zrozumiałby.

Zeskoczyłam z kontuaru i zaczęłam przeciskać się wśród mocno już przerzedzonego tłumu. W kącie opodal Brandon wciąż bawił się jedzeniem, które od czasu do czasu podrygiwało, dając oznaki życia. Tłum prawie opuścił już główną salę i tłoczył się teraz w korytarzu. Szłam dalej. Brandon to porzucał swą ofiarę, to przyskakiwał i atakował ją brutalnie. Zacisnął kły wokół przedramienia mężczyzny i potrząsał nią jak pies gumową kością gdy nagle mnie zauważył. Warknął coś niezrozumiale, jego zaciemiony przez krew umysł potrzebował czasu, by mnie rozpoznać.

Przystanąłam. Patrzyliśmy na siebie nawzajem. Pomyślałam, jak niebezpieczna była konfrontacja z nim w tej postaci. Przypomniałam sobie oczy Brandona zamglone krwawą żądzą kiedy mówił o zabijaniu. Pomyślałam o tym, co mógłby mi zrobić, zanim Clay zdążyłby przyjść mi z pomocą. Udało się. Strach wypłynął z mojego ciała jak pot. To zwróciło wagę Brandona. Puścił swą ofiarę i rzucił się na mnie. Zaczekałam, aż był w połowie skoku, odwróciłam się i zaczęłam biec. Oczywiście rzucił się za mną w pościg. Ściganie ofiary jest o wiele zabawniejsze niż pomiatanie taką która jest niemal w stanie śpiączki.

Biegłam wzdłuż tylnej ściany, by odciągnąć Brandona od zatłoczonego wyjścia. Znalazłszy się za barem, skierowałam się ku schodom na balkon. Dotarłam na pierwszy podest i skręciłam ku korytarzowi prowadzącemu do toalet. Był tam Clay. Minęłam go i zatrzymałam się ślizgiem. Za moimi plecami Brandon zrobił to samo, jego pazury zaszurały o linoleum. Zatrzymał się przed Clayem. Wydał nozdrza, ponownie nic nie rozumiejąc. Węch mówił mu, że Clay jest wilkołakiem, a je go przytępiony umysł podpowiadał, że to powód do niepokoju. Warknął jakby na próbę. Stopa Clay'a wystrzeliła do przodu, trafiając go poniżej pyska i przewracając na grzbiet. Brandon poderwał się z podłogi, okręcił i rzucił do ucieczki. Clay pognął za nim. Zniknęli w głównej sali. Zanim tam dotarłam, Clay zapędził Brandona na balkon.

Dochodziłam właśnie do ostatniego stopnia schodów na balkon, kiedy Brandon zeskoczył na parkiet przy wtórze głośniego „Kurwa mać!” Clay'a. Zanim zdążyłam się odwrócić, Clay również zeskoczył z balkonu. Zbiegłam po schodach i popędziłam w stronę wyjścia, aby zagrozić Brandonowi drogę, gdyby próbował się tędy wydostać. Front korytarza wciąż był pełen ludzi. Nikt nie wchodził ani nie wychodził. Brandon nie rzucił się ku wyjściu. Zamiast tego wycofał się w kąt. Clay był tuż za nim. Zająłam pozycję przy wyjściu. Brandon wybrał kąt być może dlatego, że znał już to miejsce. Kiedy tam się znalazł, omal nie wyrzwał w ścianę. Zawrócił ostro i zaczął zataczać ciasne kręgi, potykając się o leżące na podłodze ciało. Tym razem mężczyzna już się nie poruszył. Wpatrywał się niewidzącymi, martwymi oczyma w sufit. Podnosząc się z podłogi po upadku, Brandon znów skierował się w kąt, jakby się spodziewał, że ujrzy tam nagle wyjście. W końcu uświadomił sobie, że jest w pułapce, i odwrócił się, by stawić czoło Clayowi.

Przez kilka długich sekund Clay i Brandon patrzyli na siebie nawzajem. W moim wnętrzu pojawiła się wątpa iskierka zaniepokojenia. Nawet Clay nie był bezpieczny w walce z wilkołakiem w zwierzęcej postaci. Gdy na nich patrzyłam, poczułam przepełniające mnie napięcie, instynkt nakazywał mi chronić Claya, a zdrowy rozsądek polecał mi strzec wyjścia.

Patową sytuację przerwał Brandon. Warknął i zjeżył sierść. Clay nawet nie drgnął. Brandon znów warknął ostrzegawczo. Potem skoczył. Clay rzucił się w bok i przeturlał po podłodze. Brandon ciężko upadł i poszorował po linoleum. Zanim Brandon zdążył do siebie, Clay już na niego skoczył. Chwycił Brandona za luźną fałdę skóry na karku i usiadł na nim okrakiem. Potem przyszpilił głowę Brandona do podłogi.

Brandon szamotał się dziko. Jego pazury ślizgały się po podłodze, ale nie zdołały się w nią wczepić. Warczał i szczyrzył kły, kłapiąc zębami na prawo i lewo, usiłując dosięgnąć dłoni Claya. Ten wbił lewe kolano w jego grzbiet i zacisnął ręce na jego szyi. Gdy zaczął wzmagać uścisk, Brandon z całej siły szarpnął całym ciałem. Prawa stopa Claya oderwała się od podłogi tylko na moment, ale to wystarczyło, by zmienił pozycję. Kiedy opuścił stopę, natrafiła ona na kałużę krwi zabitego mężczyzny.

— Clay! — krzyknęłam.

Za późno. Szurnął stopą jego noga zgięła się w kostce i stracił równowagę. Brandon rzucił się naprzód we właściwym momencie. Clay ześlizgnął się z jego grzbietu. Gdy tylko Brandon zdołał się uwolnić, spostrzegł wyjście i pobiegł ku niemu.

Nie próbowałam zastąpić mu drogi. Zepchnąłby mnie z drogi jak czołg. Kiedy mnie mijał, skoczyłam i schwyciłam go, wpijając palce w jego sierść. Oboje runęliśmy na ziemię. Gdy zaczęliśmy się toczyć, kłapał zębami, usiłując złapać mnie za ramię. Cofnęłam rękę, ale nie dość szybko. Jeden z jego kłów rozdarł mi skórę od przegubu do łokcia, otwierając ranę, której nabawiłam się rano. Jęknęłam. Nie puściłam, ale nieco rozluźniłam chwyt. To wystarczyło, wyrwał mi się. Clay zjawił się o sekundę za późno. Brandon wypadł już na korytarz. Drugi jego koniec wciąż był pełen ludzi, ale nawet ci maruderzy na widok Brandona zaczęli czym prędzej usuwać się z drogi.

Clay już miał pobiec za Brandonem, ale powstrzymałam go, chwytając za koszulę.

— Nie powinniśmy wychodzić razem — rzekłam.

— Fakt. Ty idź za nim. Ja wyjdę przez okno.

Nie wiedziałam, jak miałyby tego dokonać, chyba że nauczył się chodzenia po ścianach, ale nie miałam czasu, by nad tym rozmyślać.

Skinęłam głową i pokonałam resztę długości korytarza. Za drzwiami znalazłam się pośród jeszcze większego chaosu niż wcześniej w magazynie. Tłum wyszedł z budynku i tam się zatrzymał. Niektórzy ludzie wyglądali, jakby byli w szoku. Reszta została, bo nie chciała niczego przegapić. Na dodatek zjawili się wszyscy gliniarze z Bear Valley i batalion policji stanowej. Większość stróżów prawa była zaspana i kręciła się to tu, to tam w odrętwieniu. Wyły syreny. Gliniarze wyrzucali z siebie krótkie, gardłowe rozkazy, których nikt nie słuchał. Brandon zniknął.

Przystanąłam, by zebrać się w sobie. Dopiero teraz mogłam zacząć wszystko sobie układać. Na lewo ode mnie zobaczyłam przewróconą zaporę uliczną. Jeden z imprezowiczów wskazywał ręką w kierunku ulicy. Trzej gliniarze biegli w jego stronę. Pospieszyłam za nimi. Gdy przeskoczyłam nad przewróconą zaporą, zobaczyłam, że na drodze rozciągnęła się cała tyraliera gliniarzy, wykrzykujących polecenia i wskazujących na coś w głębi ulicy. Kiedy dwaj funkcjonariusze puścili się biegiem, ktoś ich zatrzymał, wołając, że nie ma pośpiechu, bo to przecież ślepa uliczka. Brandon znalazł się w pułapce.



Przepatrywałam teren, próbując ocenić szanse dotarcia do Brandona przed glinami, nie zarabiając przy tym kulki. Gdy wyłoniłam się zza zakrętu, ktoś chwycił mnie za rękę. Odwróciłam się, by ujrzeć policjanta w średnim wieku.

— Proszę się cofnąć za linię kordonu. Nie ma tu nic do oglądania.

Gdy pociągnął mnie w stronę blokady, spuścił wzrok. Pomiedzy jego palcami sączyła się krew z mojego zranionego ramienia.

— Dzięki Bogu — wysapałam. — Próbowałam znaleźć jakąś pomoc. Nikt nie zwraca uwagi, wszyscy... — przerwałam i wzięłam głęboki oddech. — Tam. W środku. Tam są ludzie. Wciąż tam są. I był tam ten pies, wielkie bydlę... Oni są ranni. Mój chłopak...

Gliniarz zaklął i puścił moją rękę. Odwrócił się do grupki policjantów na ulicy.

— Tam jeszcze są ludzie! — zawołał. — Czy ktoś z was zaglądał do środka?

Jeden z gliniarzy odrzyknął coś, czego nie zrozumiałam. Zaczęłam nieznacznie się wycofywać, podczas gdy dwaj policjanci wydawali jakieś komendy, żywo przy tym gestykując. Najwyraźniej nikt nie wiedział, kto tym wszystkim dowodził ani czy ktokolwiek zaglądał do budynku. Kilku stróżów prawa pobiegło w stronę magazynu. Większość postanowiła dalej marnować czas i energię na kłótnie. Przeszłam przez ulicę. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

W uliczce wciąż było dość gliniarzy, bym nie mogła wejść tam i otwarcie zmierzyć się z Brandonem. Zaczęłam szukać innej drogi. Gdy weszłam w sąsiednią uliczkę, z jej drugiego końca dobiegł brzęk koszy na śmieci. W oddali coś błysnęło w świetle księżyca. Czworonożna istota pojawiła się na szczycie ceglanego muru. Przy warowała i skoczyła. Najwyraźniej uliczka nie była tak dobrze zablokowana, jak sądzili policjanci, choć na ich usprawiedliwienie można było powiedzieć, że nie spodziewali się, aby zwierzę mogło przeskoczyć mur wysoki na dwa i pół metra.

Podbiegłam do muru i nagle uświadomiłam sobie, że przecież Brandon uciekał w przeciwną stronę, a zatem w moim kierunku. Czekałam więc. Biegł wprost na mnie, zbyt spanikowany, aby zorientować się w otoczeniu. Gdy się zbliżył, dałam susa, przeskoczyłam nad nim, wyładowałam za nim, przetoczyłam się po ziemi i poderwałam się na nogi. Wszystko to zostało wykonane z idealną precyzją, jednym płynnym ruchem, którego nie powtórzyłabym, nawet gdyby ktoś zapłacił mi za to milion dolców. Oczywiście nie było tu nikogo, kto mógłby to docenić. Zaczęłam biec. Moje przypuszczenia okazały się słuszne. Pragnienie pościgu było u Brandona silniejsze niż instynkt samozachowawczy. Kiedy skręciłam za róg, pognął za mną. Zaczęłam biec przez labirynt uliczek, odciągając go od policji i zablokowanego zaułka. Raz czy dwa wychwyciłam woń Claya. Był blisko, czekając na możliwość urządzenia zasadzki, ale otoczenie było niesprzyjające. Spojrzałam w głąb jednej z bocznych uliczek i zauważyłam autostradę. Po drugiej stronie zabudowania dzielnicy przemysłowej ustępowały miejsca gęsto zalesionemu parkowi. Idealnie. Mogliśmy się tam bezpiecznie przemienić i wciągnąć Brandona w zasadzkę, a później skrzętnie pozbyć się jego ciała.

Pognałam w stronę autostrady. Niestety zapomniałam o podstawowej zasadzie, którą wpajano mi od dzieciństwa — przy przechodzeniu przez jezdnię należy obejrzeć się w obie strony. Wbiegłam wprost pod koła półciężarówki, w ostatniej chwili unikając potrącenia, podmuch przejeżdżającego auta był tak silny, że zbił mnie z nóg. Przetoczyłam się po asfalcie i dźwignęłam na nogi. Kiedy się odwróciłam, ciszę nocy rozdarł huk wystrzału. Brandon przebiegał przez autostradę, kiedy dosięgła go kula. Pocisk zmiotł mu wierzch czaszki, roznosząc ją w eksplozji krwi i mózgu. Impet trafienia cisnął nim w bok, pod nadjeżdżający samochód. Półciężarówka uderzyła go przy wtórze wilgotnego plaśnięcia, a potem wpadła w poślizg. Minęła mnie, z ciałem Brandona na masce. Nie miał połowy głowy, a fragmenty tkanek rozbryzgiwały się w kaskadach krwi, kiedy wóz obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Pod wpływem siły odśrodkowej ciało Brandona wystrzeliło jak z procy i przeleciało nad asfaltem.

No, w każdym razie jego większość. Zanim kierowca zdążył ponownie zapanować nad pojazdem, spostrzegłam na osłonie chłodnicy fragmenty skóry, strzępki sierści i smugi krwi. To wystarczyło, żebym zaczęła żałować, że większość legend o wilkołakach nie była prawdziwa, zwłaszcza te mówiące o sposobach ich uśmiercania, i że Scott Brandon, wyglądający teraz jak rzucona niedbale na asfalt okrwawiona szmata, już nie żył. Szkoda, że nie tliła się w nim jeszcze choć iskierka życia. To byłby odpowiedni koniec dla tego sadysty, leżeć kompletnie pogruchotanym, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Niestety psychol był martwy z chwilą, gdy do sięgnął go pierwszy strzał. Srebrne kule to ciekawy gotycki gadżet, ale nie są konieczne do uśmiercenia wilkołaka. Wszystko, co może zabić człowieka lub wilka, jest w stanie załatwić nas równie gładko.

Wokół szczątków Brandona gromadził się tłum. Gapie ujrzeni tylko bardzo dużego, bez wątplenia martwego brązowego psa. Nie zmienił się na powrót w człowieka. To kolejny fałszywy mit na nasz temat. Zgodnie z legendą wilkołaki zranione powracają do ludzkiej postaci. Jest mnóstwo podań o tym, jak farmer lub myśliwy strzela do wilka, ale kiedy po śladach podąża za zranioną bestią, napotyka nagle krwawy ludzki trop. Ma to w sobie pewien dramatyzm, ale prawda wygląda inaczej. Dla nas to z pewnością lepiej, w przeciwnym razie zmienialibyśmy postać za każdym razem, gdy ktoś z Watahy mocniej nas skubnie. To naprawdę cholernie niewygodne. W rzeczywistości, jeśli umierasz w wilczej postaci, możesz zapomnieć o pogrzebie i ceremonii z otwartą trumną. Szczątki Brandona zostaną wywiezione do TOZ-u i zutylizowane bez jakichkolwiek ceregieli czy autopsji. Scott Brandon, zbiegły zabójca z Karoliny Północnej, nigdy nie zostanie odnaleziony.

— Cholera, miałem nadzieję, że będzie miał nieco lepszy pogrzeb — rozległ się za mną znajomy głos. — Ten tępy tłuk zasłużył sobie na to, nie uważasz?

Odwróciłam się do Claya i pokręciłam głową.

— Dałam ciała.

— Nie. On nie żyje. To było naszym zadaniem na ten wieczór. Świetnie się spisałaś, kochanie.

Objął mnie ramieniem w talii i nachylił się, by mnie pocałować. Wyślizgnęłam się z jego uścisku.

— Powinniśmy już iść — powiedziałam. — Jeremy chciałby, żebyśmy wrócili możliwie jak najszybciej. Nie ociągajmy się.

Clay znów próbował mnie objąć, otwierając usta, jakby chciał coś powiedzieć. Odwróciłam się szybko i ruszyłam w głąb ulicy. Po kilku krokach podbiegł i zrównał się ze mną. Wracaliśmy na parking w milczeniu.

Wyszliśmy zza rogu przy spożywczym, gdzie zostawiłam explorera. Na parkingu było ciemno, oświetlenie zgaszono, kiedy sklep został zamknięty tego wieczoru. Bear Valley było miejscem, gdzie oświetlenie służyło klientom, a nie zachowaniu bezpieczeństwa. Zostawiliśmy explorera w głębi parkingu, pod samą siatką. Kiedy przyjechaliśmy, stało tu parę innych samochodów, ale teraz już ich nie było, legalnie działające knajpy zamknięto dawno temu. Wyjęłam kluczyki z torebki. Zabrzęczały głośno w nocnej ciszy.

— Sukinsyn — mruknął Clay.

Odwróciłam się, sądząc, że zaskoczył go brzęk kluczyków, ale on patrzył na explorera. Zwolnił i pokręcił głową.

— Wygląda na to, że ktoś zdążył jednak na samolot — powiedział.

Podążyłam za jego spojrzeniem. Na asfalcie siedział jasnowłosy brodaty mężczyzna, opierając się plecami

— przednie koło explorera, nogi miał wyprostowane

skrzyżowane w kostkach. Obok niego stała torba po drożna. Logan. Uśmiechnęłam się i zaczęłam biec. Usłyszałam za sobą wołanie Claya. Zignorowałam go. Czekałam rok, by zobaczyć Logana. Clay może wcisnąć sobie zazdrość tam, gdzie słońce nie dochodzi. Albo nawet lepiej, niech zrędzi i marudzi przez całą drogę powrotną do Stonehaven na piechotę. Bądź co bądź to ja miałam kluczyki.

— Hej! — zawołałam. — Spóźniłeś się godzinę. Nawet nie wiesz, jakie atrakcje cię ominęły.

Clay biegł, wołając mnie. Przystanąłam przed Loganem i uśmiechnęłam się do niego.

— Będziesz tak tutaj siedział, czy...

Przerwałam. Logan wpatrywał się niewidzącym

wzrokiem w jakiś punkt po przeciwnej stronie parkingu. Wzrok miał szklisty. Oczy puste. Martwe.

— Nie — wyszeptałam. — Nie.

Jak przez mgłę usłyszałam Claya, który podbiegł do mnie z tyłu i pochwycił, gdy cofnęłam się o krok i nogi mi się poplątały. Ogłuszający skowyt rozdarł nocną ciszę. Ktoś wył na całe gardło. Tym kimś byłam ja.

## SMUTEK

Nie pamiętam, jak wróciłam do Stonehaven. Chyba Clay wepchnął mnie do eksplorera, a następnie wrzucił ciało Logana do bagażnika i zawiózł nas do domu. Mętnie przypominam sobie przejście z garażu do domu. Je-remy czekał na nas w korytarzu i spytał, co się stało z kundlem. Musiał ujrzeć moją twarz, bo nie dokończył pytania. Minęłam go. Idący za mną Clay coś powiedział, Jeremy zaklął, usłyszałam z góry tupot stóp pozostałych, którzy zaraz pojawili się zniemacka, jakby na nas czekali. Szłam w stronę schodów. Nikt nie próbował mnie zatrzymać. A może próbował, tylko tego nie pamiętałam. Weszłam do swojego pokoju, zamknęłam drzwi, odsunęłam zasłonę baldachimu i wpełzłam do mego sanktuarium. Nie wiem, ile czasu upłynęło. Może całe godziny. Zapewne jednak tylko parę minut, tyle by Clay zdążył wyjaśnić pozostałym, co zaszło. Usłyszałam jego kroki na schodach. Zatrzymał się przed moimi drzwiami i zastukał do nich. Kiedy nie odpowiedziałam, zapukał głośniejsze.

— Eleno? — powiedział.

— Odejdź.

Drzwi zaskrzypiały, jakby się o nie oparł.

— Chcę cię zobaczyć.

— Nie.

— Wpuść mnie, pogadajmy. Wiem, jak bardzo cierpisz...

Wygramoliłam się z pościeli i warknęłam gniewnie, odwracając głowę ku drzwiom:

— Nie masz pojęcia, jak bardzo cierpię. Bo niby skąd? Pewnie cieszysz się, że on nie żyje. Jeszcze jedna przeszkoda i przedmiot mojej uwagi został usunięty.

Wziął głęboki oddech.

— Nieprawda. Wiesz, że tak nie jest. Był moim bratem. — Drzwi znów zaskrzypiały. — Wpuść mnie, kochanie. Chcę być z tobą.

— Nie.

— Proszę, Eleno. Chcę...

— Nie!

Milczał przez chwilę. Wsluchiwałam się w jego oddech, przerywany, jakby przetykał ślinę. W pewnej chwili wydał z siebie jęk udręki, który przeszedł w gniewny, pełen smutku warkot. Podeszwy jego butów zapiszczały, gdy odwrócił się nagle i rąbnął pięścią w ścianę. Deszcz odłamków tynku posypał się na podłogę. Trzasnęły drzwi jego sypialni. Potem usłyszałam głośniejszy łomot, gdy cisnął lampą albo szafką nocną o ścianę. W myślach wyobrażałam sobie tę orgię zniszczenia, widziałam każdy rozbity przedmiot i żałowałam, że nie mogę postąpić tak samo. Chciałam ciskać wszystkim, co miałam pod ręką czuć ból w kłykciach, wałać pięściami w ścianę, atakować wszystko, co mnie otaczało, aż wyczerpanie wypali we mnie gniew, ból i cierpienie. Ale nie mogłam tego zrobić. Jakaś racjonalna część mego umysłu powstrzymała mnie, przypominając o konsekwencjach. Po odzyskaniu nad sobą panowania byłoby mi wstyd, że dałam się ponieść i pozostawiłam tyle zniszczeń, za które będzie musiał zapłacić Jeremy. Spojrzałam na porcelanową pasteczkę na toaletce i wyobraziłam sobie, jak roznoszę te małe figurki w drobny mak, roztrzaskując je o twarde drewno. To byłoby przyjemne, ale nigdy tego nie zrobię. Pamiętałam, ile czasu zajęło Jeremy'emu zebranie ich z myślą o mnie i jak bardzo by cierpiał, gdybym zniszczyła prezent od niego. Mimo że chciałam znaleźć ujście dla moich emocji, nie mogłam sobie pozwolić na utratę kontroli. Nie dla mnie taki luksus. A ponieważ Clay mógł to robić swobodnie, nienawidziłam go za to.

Nie mając możliwości wypalenia w sobie bólu, przez kolejnych kilka godzin leżałam zwinięta w kłębek na łóżku, nie poruszając się, aż mięśnie nóg zaczęły dawać mi o sobie znać silnymi skurczami, domagając się zmiany pozycji. Wpatrywałam się w zasłony przy łóżku z umysłem na tyle opróżnionym, na ile to było możliwe, obawiając się myśleć czy odczuwać cokolwiek. Kilka godzin później wciąż tak leżałam, kiedy Jeremy zapukał do moich drzwi. Nie odpowiedziałam. Drzwi otworzyły się i zamknęły przy wtórze lekkiego szczęku zamka. Miękką zasłona zafalowała, a potem materac ugiął się, gdy Jeremy usiadł za mną. Położył dłoń na moim ramieniu. Zamknęłam oczy, gdy ciepło jego palców zaczęło przesączać się przez moją bluzkę. Przez kilka minut nic nie mówił. Wreszcie odgarnął delikatnie kosmyk włosów z mojej twarzy i wsunął go za moje ucho.

Nie zasłużyłam na jego życzliwość. Wiedziałam o tym. Chyba właśnie dlatego zawsze kwestionowałam jego motywację. Na początku za każdym razem, gdy robił dla mnie coś miłego, doszukiwałam się w tym ukrytych złych podtekstów i mrocznych pobudek. Bądź co bądź był potworem. Musiał być zły. Gdy uświadomiłam sobie, że Jeremy nie był zły do szpiku kości, wybrałam inne wyjaśnienie: Jeremy zachowywał się uprzejmie wobec mnie, bo został na mnie skazany, czuł się odpowiedzialny za to, co zrobił mi jego podopieczny. Jeżeli zabierał mnie do teatru na Broadwayu i na wystawne kolacje dla dwojga, robił to dlatego, że chciał mnie uciszyć i zadowolić, a nie dlatego, że lubił moje towarzystwo. Chciałam, by czuł się przy mnie dobrze, nie wierzyłam w to jednak, bo nie widziałam w sobie nic, co mogłoby to uprawdopodobnić.

Nie żebym czuła, że nie zasługuję na miłość i uwagę, ale na pewno nie ze strony kogoś pokroju Jeremy'ego. Nie udało mi się zdobyć uczuć tuzina przybranych ojców, więc nie spodziewałam się, że mogłoby stać się to teraz z udziałem kogoś, kto był lepszy od wszystkich tych mężczyzn razem wziętych. Zdarzało się jednak, że wierzyłam, iż Jeremy'emu naprawdę na

mnie zależało, kiedy zbyt cierpiałam, aby odbierać sobie tę iluzję. Teraz była jedna z takich chwil. Zamknęłam oczy, poczułam jego obecność i pozwoliłam sobie uwierzyć.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, aż w końcu rzekł półgłosem:

— Pochowaliśmy go. Czy jest coś, co chciałabyś zrobić?

Wiedziałam, o co pytał: czy jakikolwiek ludzki obrządek pogrzebowy mógłby poprawić mi nastrój? Chciałabym, aby tak było. Chciałam sięgnąć w głąb siebie i odnaleźć jakiś kojący rytuał śmierci, ale moje wcześniejsze doświadczenia religijne nie obejmowały zaufania czy wiary w moc Wszechmogącego. Pamiętam, jak siedziałam w kościele pomiędzy przybranymi rodzicami, moja przybrana matka wychylała się do przodu, usiłując usłyszeć słowa pastora, i nie zwracała uwagi, że dłoń jej męża próbowała zgłębiać duchowe tajemnice skryte pod moją spódniczką. Wtedy modliłam się tylko o uwolnienie. Tylko o to kiedykolwiek się modliłam. Ale Bóg najwyraźniej miał ważniejsze sprawy na głowie. Zignorował mnie, a ja z czasem nauczyłam się ignorować Jego. Mimo moich przekonań czułam, że powinnam jakoś uczcić odejście Logana, choćby udać się na miejsce, gdzie został pochowany, by symbolicznie się z nim pożegnać. Kiedy powiedziałam o tym Jeremy'emu, zaproponował, że będzie mi towarzyszył, na co natychmiast przystałam. Pomógł mi wstać i ujmując pod łokieć, delikatnie sprowadził mnie po schodach. Gdyby to był ktoś inny, kiedy indziej, odrzuciłabym pomoc. Teraz jednak bardzo jej pragnęłam. Podłoga chwiała się i kołysała pod moimi stopami. Zeszłam ostrożnie po schodach do holu na tyłach domu. Drzwi gabinetu otworzyły się i wyjrzał zza nich Antonio z kieliszkiem koniaku w dłoni. Spojrzał na Jeremy'ego. Kiedy Jeremy pokręcił głową, Antonio skinął lekko i wrócił do gabinetu. Gdy minęliśmy drzwi, te znów się otworzyły. Wiedziałam, kto wyszedł na korytarz, nie musiałam nawet patrzeć. Usłyszałam za nami kroki Claya. Wyobraziłam go sobie, jak stoi w korytarzu, odprowadzając nas wzrokiem, i przyspieszyłam kroku.

Pochowali Logana na skraju lasu, za domem. To było piękne miejsce, gdzie w południe promienie słońca przesączaające się między liśćmi tańczyły na płatkach polnych kwiatów poniżej. Pomyślałam o tym i uświadomiłam sobie, jakim absurdem był wybór miłego miejsca na pochówek dla zmarłych. Logan i tak nie mógł tego zobaczyć. Nie obchodziło go, gdzie spoczywał. Staranny dobór miejsca miał przynieść jedynie pociechę żyjącym. Mnie nie przyniósł.

Schyliłam się, by zerwać kilka małych białych kwiatów i położyć je na świeżej mogile. Znów nie wiedziałam, czemu to robię. Loganowi było to obojętne. Kolejny nic nieznaczący gest, mający przynieść odrobinę pocieszenia, kojący rytuał odprawiany nad ciałami zmarłych, odkąd ludzie zaczęli oplakiwać swoich bliskich. Kiedy stałam nad grobem, ściskając w dłoni nędzny bukiet kwiatów, przypomniałam sobie pierwszy i jedyny pogrzeb, na jakim byłam. Pogrzeb moich rodziców. Najlepsza przyjaciółka mojej mamy — ta, która próbowała mnie adoptować — urządziła skromną ceremonię. Później dowiedziałam się, że moi rodzice nie mieli ubezpieczenia na życie, więc za wszystko musiała zapewne zapłacić koleżanka mamy. Wzięła mnie na pogrzeb i stanęła przy mnie, trzymając za rękę. To był ostatni raz, kiedy ją widziałam. System rodzin zastępczych wierzył w szybkie i zdecydowane zrywanie kontaktów. Tego dnia stałam tam, wpatrując się w mogiły, i czekałam. Moi rodzice wrócą. Wiedziałam, że tak będzie. Owszem, widziałam trumny i pozwolono mi przez chwilę zobaczyć ciało mojej mamy w jednej z nich. Widziałam, jak mężczyźni opuszczają trumny do dołów i przysypujące ziemią. To nie miało znaczenia. Oni wrócą. Nie miałam doświadczenia z prawdziwą śmiercią a jedynie z jej barwnymi wersjami w sobotnich kreskówkach, gdzie kojot ginął, ale zawsze wracał przed końcem odcinka. Tak to właśnie było. Śmierć była tymczasowa, trwała tylko przez moment, by wywołać salwy śmiechu dzieci w piżamkach, siedzących w kucki przed telewizorem i zajadających się płatkami. Widziałam też sztuczkę z prawdziwymi ludźmi, kiedy tato zabrał mnie na pokaz iluzjonisty na imprezie gwiazdkowej. Wsadzili kobietę do skrzyni, przecięli ją na pół i rozsunęli skrzynię,

obracając ją wokół osi. Kiedy skrzynia została ponownie otwarta, kobieta wyskoczyła z niej cała i zdrowa ku uciesze widzów. Niebawem moi rodzice wyjdą ze swoich skrzyń, uśmiechnięci i cali. To był tylko żart. Cudowny, straszny żart. Musiałam tylko poczekać, aż się skończy. Kiedy tam stałam, nad grobami moich rodziców, zaczęłam chichotać. Pastor odwrócił się do mnie, piorunując wzrokiem jak niegrzecznego łobuziaka. Nie dbałam o to. Nie znał się na żartach. Stałam tam, uśmiechając się do siebie, i czekałam... czekałam... i czekałam. Patrząc na grób Logana, pragnęłam powrotu tej iluzji, chciałam udawać, że on wróci, że śmierć była tylko tymczasowa. Ale znałam prawdę. Śmierć była nieodwołalna. Co umarło, nie powróci. Z prochu w proch. Osunęłam się na kolana, gniotąc bukiet w dłoni. Coś we mnie pękło. Upadłam do przodu i rozpłakałam się. Gdy już zaczęłam, nie mogłam przestać. Łzy płynęły, aż zaczęły mnie piec oczy, a w gardle pojawił się nieprzyjemny ucisk. W końcu z tej rozpaczki wydobył mnie głos. Nie Jeremy'ego, który stał za mną w milczeniu, nie chcąc zakłócać moich doznań. Ale zakłócił je ten, kto nie miał takich oporów.

—...już! — zawołał Clay. — Nie mogę jej słuchać i nie...

Głos Jeremy'ego, stłumione słowa zmienione w cichy szept.

— Nie! — krzyknął Clay. — Nie mogą tego zrobić. Nie Loganowi. Ani jej. Nie będę stał bezczynnie...

Kolejny zdławiony głos.

— Chryste! Jak możesz... — Wściekłość nie pozwoliła Clayowi dokończyć.

Usłyszałam coś, szelest gałęzi. Jeremy odciągnął Claya w las, aby z nim pomówić i pozwolić mi na odrobinę prywatności. Klęcząc, nasłuchiwałam. Clay chciał ruszyć tropem zabójcy Logana — nie jutro, nie dziś wieczorem, lecz teraz, natychmiast. Wychwycili woń nieznanego wilkołaka na ciele Logana. Podczas gdy my ścigaliśmy Brandona, inny kundel zabił Logana. Jeremy próbował wyperswadować Clayowi jego pomysł, twierdząc, że było jeszcze za wcześnie, do wieczora daleko, potrzebowali dobrego planu. Nieważne, co mówił Jeremy i czy miał rację. Wściekłość Claya zacierала wszelką logikę. Czekałam, aż Jeremy zabroni Clayowi ruszyć w pościg za kundlem. Nasłuchiwałam słów. Ale nie doczekałam się ich. Pograżony we własnej rozpaczki Jeremy spierał się z Clayem, ale nie powiedział otwarcie, że nie wolno mu szukać zemsty. To fatalne przeoczenie. Gdy wytarłam ubrudzone ziemią dłonie i przesunęłam nimi po wilgotnej od łez twarzy, rozpacz w moim wnętrzu zastąpiło przerażenie. Podczas gdy tamci się kłócili, po cichu wyszłam z lasu i wróciłam do domu.

Dziesięć minut później Clay szarpnięciem otworzył drzwiczki swego boxstera i usiadł na fotelu kierowcy.

— Dokąd się wybierasz? — spytałam ze ściśniętym gardłem, przez co mój głos brzmiał prawie jak szept.

Drgnął i odwrócił się, by ujrzeć, jak sadowię się na miejscu dla pasażera.

— Ruszasz za nim w pościg — stwierdziłam, zanim zdążył odpowiedzieć. — Chcę przy tym być. Muszę przy tym być.

To było tylko po części prawdą. Szukałam czegoś, co pomogłoby mi uporać się z rozpaczką, i jak Clay, znałam tylko jeden sposób, by tego dokonać. Dzięki zemście. Kiedy pomyślałam o jakimś kundlu zabijającym Logana, wściekłość, jaka mnie przepełniała, była przerażająca. Szalała we mnie niczym demoniczny wąż wypełniający każdy zakamarek mojego wnętrza gniewem, poruszający się tak szybko i niepohamowanie, że musiałam mocno zacisnąć pięści, by nie zacząć tłuc nimi na prawo i lewo. Znałam takie wybuchy wściekłości od dzieciństwa. Wtedy byłam sfrustrowana, że nie mogłam ich wykorzystać, spożytkować w rozsądny sposób. Dziś mogłam wypalić mój gniew w nieopisany sposób. To czyniło go tylko jeszcze bardziej przerażającym. Nawet ja nie wiedziałam, co mogłoby się wydarzyć, gdybym się mu poddała.

Świadomość, że podejmuję konkretne działania, ruszając tropem zabójcy, pomogła mi okiełznać furię. To jeszcze jeden powód, dlaczego towarzyszyłam Clayowi. Bałam się zostawić go samego, bałam się, że jeśli nikt nie będzie nad nim czuwał, coś mu się stanie i w lesie pojawi się kolejna mogiła ukryta wśród polnych kwiatów. Na tę myśl poczułam coś, do czego nie odważyłam się przyznać nawet przed sobą.

— Jesteś pewna? — spytał, odwracając się do mnie. — Nie musisz ze mną jechać.

— Owszem, muszę. Nie próbuj mnie zatrzymać albo powiem Jeremy'emu, gdzie się wybierasz. A on zabroni ci jechać. Jeśli odjedziesz stąd, doprowadzę go do ciebie.

Clay wyciągnął rękę, aby mnie dotknąć, ale ja odwróciłam się, by wyjrzeć przez szybę. Po chwili ciszy automatyczne drzwi do garażu zaczęły otwierać się ze skrzypieniem, a silnik auta ożył. Clay z piskiem opon wyprowadził wóz tyłem na podjazd i już po chwili mknęliśmy w stronę Bear Valley.

W drodze do Bear Valley mgła smutku i gniewu zasnuwająca mój umysł rozwiała się za sprawą perspektywy rychłych działań — konkretnych, zdecydowanych i ostatecznych. Skupiłam się na tym. Impuls podpowiadający, by zjechać do Bear Valley i rozpocząć na chybił trafił poszukiwania zabójcy Logana, ustąpił miejsca chłodnej, zdroworozsądkowej kalkulacji. Jeżeli chciałam zemsty, potrzebowałam planu.

Gdy wjechaliśmy do Bear Valley, wpakowaliśmy się w typowy dla godzin szczytu korek i musieliśmy przeczekać całą zmianę świateł, by móc skręcić w lewo, z Main Street w Elm Street. Gdy światło ponownie zmieniło się na czerwone, Clay, łamiąc przepisy, mimo wszystko skręcił, ignorując rozbrzmiewające wokół niego klaksony.

— Wiesz, dokąd jedziemy? — spytałam.

— Do parku.

— A potem...?

— Znajdziemy drania, który zabił Logana.

— Świetny pomysł. Precyzyjny plan. — Sięgnęłam do klamki, kiedy Clay zjechał na jedyny parking publiczny w śródmieściu. — Nie możemy go teraz ścigać. Jest jeszcze dzień. Nawet gdybyśmy znaleźli kundla, i tak nic nie zrobimy.

— Co zatem proponujesz? Miły, spokojny obiadek, podczas gdy zabójca Logana jest wciąż na wolności?

Choć nic nie jadłam od ubiegłego wieczoru, na myśl o obiedzie skręciło mnie w środku. Chciałam ruszyć w pościg za zabójcą Logana możliwie jak najszybciej, podobnie jak Clay, ale rozsądek podpowiadał ostrożność. Nieważne jak bardzo mierzyła mnie myśl o zwłóce w realizacji odwetu za śmierć Logana, nie mieliśmy wyboru. Zresztą to tylko kilka godzin.

— Powinniśmy dowiedzieć się, co wydarzyło się ubiegłej nocy.

Clay zatrzymał się na parkingu.

— Co?

— Dowiedzieć się, jak miasto zareagowało na to, co się stało w klubie ubiegłej nocy. Oszacować straty. Czy ludzie szukają jeszcze innych dzikich psów? Co zrobili z ciałem Brandona? Czy ktoś widział, jak wskoczyłeś przez okno na piętrze? Czy ktoś widział, jak próbuję odciągnąć kundla w ustronne miejsce?

— Na miłość boską kogo obchodzi, czy ktoś coś widział albo co myśli?

— Ciebie nie? A gdyby postanowili zbadać szczątki Brandona i wykryli coś nietypowego, też byś się tym nie przejął? To twoje podwórko, Clay. Twój dom. Nie stać cię, by o to nie dbać.

Clay wydał z siebie ni to westchnienie, ni to gniewny warkot.

— Dobra. Co proponujesz?

Przerwałam, bo jeszcze się nad tym nie zastanowiłam. Mój otepiały umysł wciąż zajmował Logan. Ode- gnałam od siebie myśli o nim i skupiłam się na naszych dalszych posunięciach. Po kilku minutach oznajmiłam:

Kupimy gazetę i przejrzymy ją w kafejce, nasłuchując, o czym rozmawiają ludzie. Potem pomyślimy, jak wytropić tego kundla. Zrobimy to, gdy się ściemni.

— Czytanie pieprzonej gazety nie pomoże nam odnaleźć zabójcy Logana. Lepiej chodźmy coś zjeść.

— Jesteś głodny?

Zgasił silnik, w aucie zapadła cisza.

— Nie. Nie jestem.

— Wobec tego, jeśli nie masz innych, bardziej konstruktywnych pomysłów na zabicie paru następnych godzin, to jest nasz plan.

## TROP

Kupiwszy gazetę, przystanąłam przy budce telefonicznej, by zadzwonić do Jeremy'ego. Odebrał Peter, więc nie musiałam rozmawiać bezpośrednio z Jeremym. Poprosiłam Petera, by powiedział Jeremy'emu, że jestem z Clayem i przekonałam go, że teraz nie był odpowiedni czas na ściganie zabójcy Logana. Zamiast tego zajęliśmy się określeniem rozmiarów zniszczeń z ubiegłej nocy. Oczywiście nie wspomniałam, że tropieniem zabójcy Logana zajmiemy się później. Wszystko było kwestią interpretacji. Wcale nie kłamałam. Naprawdę.

W Bear Valley znajdowały się trzy kafejki, ale liczyła się w sumie tylko jedna — Donut Hole. Dwie pozostałe były zarezerwowane dla zamiejscowych, kierowców ciężarówek i wszystkich, którzy zjeżdżali z autostrady po zastrzyk kofeiny i cukru. Gdy weszliśmy do Hole, dzwonek nad drzwiami zabrzączał głośno. Wszyscy się odwrócili. Parę osób przy kontuarze uśmiechnęło się, ktoś uniósł rękę w geście powitania. Może wyglądałam znajomo, ale to Claya rozpoznano. W mieście liczącym osiem tysięcy mieszkańców facet pokroju Claya musiał się wyróżniać, podobnie jak jego porsche boxer na miejskim parkingu. Clay nie znosił, kiedy zwracano na niego uwagę. Dla niego przekleństwem była twarz, nie wilcza krew. Clay niczego nie pragnął bardziej jak wtopienia się między ludzi. Chyba nawet był gotów pozbyć się boxstera, ale tak jak moja sypialnia, był to prezent od Jeremy'ego, najnowszy model w serii sportowych aut mających zaspokoić zamiłowanie Claya do szybkiej jazdy i ostrych zakrętów. Mimo to w Bear Valley Clayowi dopisywało szczęście. Nawet jeśli jego wygląd i sportowy wóz zwracały uwagę, nikt go nie niepokoił. Niepożądane zainteresowanie ze strony kobiet tłumiała złota obrączka na czwartym palcu lewej dłoni. Bear Valley było miejscem, gdzie taka błyskotka oznaczała, że dla płci przeciwnej byłeś niedostępny. Obrączka nie była wcale lipna. Clay nie posunąłby się do tak tandetnego i taniego wybiegu. Była jedną z pary, którą kupiliśmy dziewięć lat temu, zanim drobny incydent z ukąszeniem w rękę usunął w cień radość związaną z planowanym ślubem i wspólnym życiem, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Fakt, że do ślubu nie doszło, nie zmienił



nastawienia Claya. Sama ceremonia była nieistotnym i nie nieznaczącym ludzkim rytuałem, który odbyłby przez wzgląd na mnie. Liczyło się dla niego tylko oddanie — idea posiadania życiowej partnerki, czegoś, co rozpoznawał tkwiący w nim wilk. Nazwijmy to małżeństwem, byciem parą czy jakoś tak. To dlatego nosił obrączkę. Mogłam z tym żyć, składając to na karb jego fantazji czy omamów stwarzanych przez zmacony umysł. Gorzej było, gdy zaczynał przedstawiać mnie jako swoją żonę.

Donut Hole była typową kafejką jakich wiele, z popękkanymi winylowymi krzeselkami i unoszącym się w powietrzu zapachem palonej cykorii. Nie sposób było uciec przed dymem tytoniowym, nawet jeśli znalazłeś stolik bez popielniczki, dym płynący od sąsiedniego stolika odnajdywał cię w kilka sekund, nie zważając na wywietrzniki i wentylację powyżej. Obsługę stanowiły kobiety w średnim wieku, które odchowawszy dzieci, postanowiły powrócić do życia zawodowego i odkryły, że w opinii całego świata to jest jedyna praca, do jakiej się nadają. O tej porze klientelę stanowiły głównie osoby pracujące, dopijające ostatnią kawę przed powrotem do domu lub niespieszące się z piciem kawy, bo do domu bynajmniej im się nie spieszyło.

Kiedy wybrałam stolik, Clay podszedł do kontuaru i wrócił z dwiema filiżankami kawy i dwoma kawałkami domowej szarlotki. Odłożyłam jedzenie na bok i rozpostarałam na blacie z laminatu „Bear Valley Post”. Incydent w klubie rave trafił na pierwszą stronę. Oczywiście w gazecie nie wspomniano ani słowem o rave, jako że większość czytelników, a przypuszczalnie także pracowników redakcji nie miało pojęcia, co to takiego. Zamiast tego napisano o dużej imprezie, na której „działy się podejrzone rzeczy”, i brzmiało to o wiele ciekawiej, niż było w rzeczywistości. Choć nie napisano tego wprost, można się było domyślać, iż większość imprezowiczów pochodziła spoza Bear Valley. No jasne.

O „incydencie” napisano niewiele, głównie dlatego, że większość świadków była pijana lub naćpana, a sprawca, wielki pies, nie żył i tym trudniej było przeprowadzić z nim wywiad. Fakty sprowadzały się do tego, że wielki pies zabił na imprezie dwie osoby, po czym sam zginął, zastrzelony przez policję. Niezbyt to zajmujące jak na artykuł na pierwszą stronę, toteż dzienni karz dopełnił go masą spekulacji, które zapewniłyby mu posadę w każdym tabloidzie. Uznano, że martwe zwierzę jest psem, i wszyscy wydawali się usatysfakcjonowani tym wyjaśnieniem, co oznaczało, że władze nie zamierzały wzywać ekspertów od dzikich zwierząt ani wysłać szczątków do laboratorium. To, co pozostało z Brandona, zostało już usunięte, czyli spopielone w miejscowej spalarni. Nie przeprowadzono nawet badań na obecność wścieklizny, zapewne uznając, że każdy, kto był wtedy na imprezie, zasłużył na serię bolesnych zastrzyków. Co więcej, dziennikarz podejrzewał, że to zabity pies odpowiadał za śmierć młodej kobiety w zeszłym tygodniu, choć policja nie wykluczała, że w lasach mogło kryć się więcej dzikich psów, jako że tamci nastolatki mówili przecież, że widzieli co najmniej dwa psy. Pomimo tych spekulacji nikt nie wspomniał o blondynie czy kobiecie, którzy byli czynnie zamieszani w cały incydent. Tak jak na to liczyłam, Clay i ja staliśmy się dwiema anonimowymi osobami, które zagubiły się pośród chaosu.

— To strata czasu — burknął Clay. Przejrzał artykuł do góry nogami, kiedy go czytałam. — Nic tu nie ma.

— Świetnie. O to nam właśnie chodziło. Upewnienie się co do tego nie było więc stratą czasu.

Parsknął i wbił widelec w nietknięte ciasto, rozrzucając na wszystkie strony okruchy, po czym odsunął talerzyk, nawet nie spróbowałszy szarlotki.

— Jesteś pewien, że ten ktoś, kogo wyczułeś na... na... — wzięłam głęboki wdech, by stłumić ból — na ciele Logana, to nikt, kogo znasz?

Tak. — Oczy Claya zamgliły się, a potem zapłonęły gniewem. — To kundel. Pieprzony kundel. Dwa w Bear Valley. Akurat...

— Nie możemy teraz o tym myśleć. Zapomnij jak i dlaczego. Skup się na tym, kto.

— Nie rozpoznałem woni. Podobnie jak inni. Co oznacza, że nie zetknęliśmy się z tym kundlem na tyle często, by zapamiętać jego zapach.

— Albo jest nowy. Jak Brandon.

Clay zmarszczył brwi.

— Dwa nowe kundły? Już jeden wydaje się dziwny, ale...

— Nieważne. Nie rozpoznałeś go. I na tym na razie poprzestańmy. Sprawdźmy, czy ktoś rozmawia o tym, co się stało wczoraj wieczorem.

Clay burknął coś pod nosem. Zignorowałam go i rozsiadłam się wygodniej, by wsłuchać się w prowadzone wokół nas rozmowy, udając, że sączę wolno kawę. To było przygnębiające, nie dlatego, że nikt nie rozmawiał

— incydencie, lecz dlatego, że tematy, jakie podejmowali, nie należały do przyjemnych. Skargi na nieuczciwych przełożonych, zawistnych współpracowników, niewdzięczne dzieci, upierdliwych sąsiadów, nudną robotę

— jeszcze nudniejsze małżeństwa napływały z każdego kąta sali. Nikt nie był szczęśliwy. Może nie było aż tak źle, jak się wydawało. Może bezosobowe relacje zachodzące w kafejkach były idealne, by dać ujście frustracjom dnia codziennego, które miastowi odreagowaliby u terapeutów, wydając przy tym więcej niż dolca za kawę.

Gdy tak słuchałam, zaczęły powracać dawny gniew i oburzenie. Czemu ludzie zawsze skarżyli się na pracę, partnerów, małżonków, dzieci i dalszą rodzinę? Czy nie zdawali sobie sprawy, jakie to szczęście, że je mieli? Już jako dziecko nie znosiłam, gdy inne dzieci skarżyły się na rodziców i rodzeństwo. Chciałam na nich krzyknąć: „Jeżeli nie podoba się wam wasza rodzina, oddajcie ją mnie! Ja ją przyjmę i nigdy nie będę narzekać na wczesne chodzenie do łóżka czy denerwującą młodszą siostrę!”. Dorastałam otoczona wizjami rodziny. Jak wszystkie dzieci. Wydawała się ona stanowić kanwę każdej książki, serialu, filmu czy reklamy. Matka, ojciec, brat, siostra, dziadkowie, zwierzęta i dom. Słowa tak znajome dla każdego dwulatka, że inny rodzaj życia był nie do pomyślenia. Nie do pomyślenia i niewłaściwy, po prostu zły. Gdy wyrosłam z fazy użalania się nad sobą, zrozumiałam, że brak tych rzeczy nie oznaczał, że zawsze tak będzie. Mogłam zdobyć dla siebie rodzinę, kiedy dorosnę. Nawet nie musiała być tradycyjna: z mężem, trójką dzieci, psem i miłym domkiem. Każda wariacja na temat wchodziła w rachubę. Jako dorosła mogłam zdobyć dla siebie życie, jakiego mi poskąpiono. I nagle u progu dorosłości stałam się wilkołakiem.

Moje plany na przyszłość prysły jednej nocy. Mogłam ułożyć sobie życie w świecie ludzi, ale nigdy nie będzie ono wyglądać tak, jak je sobie wyobrażałam. Żadnego męża. Życie z kimś było dość ryzykowne, dzielenie mojego życia z kimś innym było niemożliwe, zbyt wielu rzeczy nie miałam szans z nikim dzielić. Żadnych dzieci. Nie było wzmianek o samicy wilkołaka rodzącej dziecko, ale gdybym nawet podjęła takie ryzyko, nie mogłabym skazać go na żywot wilkołaka. Żadnego męża, żadnych dzieci, a bez jednego i drugiego nie mogłam liczyć na dom czy rodzinę. To wszystko zostało mi odebrane, było poza moim zasięgiem, jak kiedy byłam dzieckiem.

Clay obserwował mnie z zatroskaną miną.

— Wszystko gra?

Nie wyciągnął do mnie ręki w geście współczucia ani nie poklepał mnie po kolanie, nie równie oczywistego. Przesunął nogę do przodu, dotykając mojej i wciąż obserwując moje oblicze. Odwróciłam się, by na niego spojrzeć. Gdy popatrzyłam mu w oczy, chciałam krzyknąć, powiedzieć, że nic nie gra, że nigdy nie będzie grało i że to jego sprawa. Odebrał mi wszystkie nadzieje i marzenia o rodzinie w akcie niewybaczalnego egoizmu. Cofnęłam nogę i odwróciłam wzrok.

— Eleno? — szepnęła, nachylając się nad stolikiem. — Wszystko w porządku?

— Nie. Nic nie jest w porządku.

Przerwałam. Po co mówić coś więcej? Mieliśmy ścigać zabójcę Logana, a nie roztrząsać nasze osobiste problemy. Nie czas na to. Jakaś część mnie wiedziała, że ten czas nigdy nie nadejdzie. Gdybyśmy o tym pogadali, może jakoś by się ułożyło. To było ryzyko, jakiego nie potrafiłam podjąć. Nie chciałam zapomnieć ani wybaczyć. Nie mogłam na to pozwolić.

Dogadanie się z Clayem oznaczałoby poddanie się, uznanie jego wygranej. Oznaczałoby, że ukąszenie mnie było warte zachodu. Miałby swoją partnerkę, którą sam sobie wybrał, realizując w ten sposób własne marzenia. Ja miałam swoje i nie było w nich miejsca dla Clay'a. Nieważne, czy byłam wilkołakiem czy nie, nie mogłam z nich zrezygnować, zwłaszcza teraz, gdy miałam jako takie pojęcie, jak może wyglądać moje życie z Philipem. Miałam dobrego, przyzwoitego mężczyznę, kogoś, kto dostrzegał i podsyczał we mnie potencjał do wszystkiego co dobre i normalne, rzeczy, których Clay nigdy nie za uważał, o które nie dbał i których nie próbował we mnie umacniać. Może w naszej przyszłości nie było małżeństwa, dzieci ani domu na przedmieściach, ale jak już wspomniałam, wszelkie wariacje wchodziły w rachubę. Z Philipem miałam w perspektywie satysfakcjonujący wariant — z partnerem, domem i sporą rodziną. Moja mosiężna obrączka znów pojawiła się w polu widzenia. Musiałam już tylko uporać się z tym bałaganem z Watahą, wrócić do Toronto i poczekać na możliwość, kiedy już się nadarzy.

— Nie — powtórzyłam. — Nic nie jest w porządku. Logan nie żyje, jego zabójca przebywa na wolności, a ja siedzę w jakiejś kretyńskiej kafejce z... — nie dokończyłam. — Mieliśmy słuchać plotek, pamiętasz? Milcz i słuchaj.

Skupiłam uwagę na rozmowach toczących się wokół nas. Ludzie wciąż uskarżali się na niedogodności życia, ale zignorowałam to i skoncentrowałam się na tym, co chciałam usłyszeć. Pomijając ogólne zniechęcenie, klienci tu i tam rozmawiali o wydarzeniach ubiegłego wieczoru znużonym tonem typu „do czego ten świat zmierza”, jakiego zapewne używali już ich przodkowie, odkąd przyjęli wyprostowaną postawę. Podczas gdy większość dyskusji krążyła wokół treści artykułu, kilka osób skupiło się na rozpowszechnianiu plotek, od których do wieczora będzie huczało w całym miasteczku. Kobieta w rogu słyszała jakoby, że ten pies nie był wcale dziki, lecz udomowiony. Pies obronny miał być własnością jednego z krewnych burmistrza, lecz policja była przekupiona lub zastraszona przez burmistrza i dlatego rozgłaszała wersję o dzikim psie. Niektórzy nawet uważali, że te dwie ofiary nie były dziełem psa, lecz oszalałych, zapewne naćpanych imprezowiczów, a policja zastrzeliła na ulicy całkiem niewinne zwierzę. Ludzie potrafią być czasem kreatywni. Jedno nie ulegało wątpliwości: nikt nie mówił o gigantycznych wilkach ani nie interesował się zachowaniem zwierzęcia. Wszyscy uważali za zgoła naturalne, że pies wpada w morderczy szal i zabija ludzi w zatłoczonym magazynie. Podczas gdy podsłuchiwałam, Clay udawał, że czyta gazetę. Mówię — udawał — bo ani trochę nie dbał o to, co działo się w Bear Valley czy gdziekolwiek na świecie. Jak ja słuchał jedynie plotek, choć nigdy się do tego nie przyznawał.

— Możemy już iść? — spytał w końcu.

Upiłam łyk zimnej kawy. Filiżanka była wciąż w trzech czwartych pełna. Clay nawet nie zaczął swojej. Żadne z nas nie tknęło szarlotki. Choć raz głód nie mącił naszych myśli.

— Chyba tak — rzekłam, wyglądając przez okno. — Jeszcze nie jest ciemno, ale pewnie trochę potrwa, nim znajdziemy ślad. Czy powinniśmy zacząć od parkingu?

Nie mogłam wykrztusić z siebie — od parkingu, gdzie znaleźliśmy Logana, ale Clay wiedział, o co mi chodziło. Skinął głową, wstał i bez słowa poprowadził mnie ku drzwiom.

Gdy zbliżaliśmy się do sklepu spożywczego, przystanąłam, nie wychodząc zza rogu, by nie zobaczyć miejsca, gdzie znaleźliśmy Logana. Moje serce biło tak szybko, że musiałam upominać się, by oddychać.

Mogę to zrobić — rzekł Clay, kładąc dłoń na moich plecach. — Zostań tu. Zwietrzę trop i zobaczymy, dokąd prowadzi. Odsunęłam jego dłoń.

— Nie możesz. Wczorajszej nocy trop był słaby. Dziś będzie jeszcze gorzej. Potrzebujesz mojego nosa.

— Mogę spróbować.

— Nie.

Wyszłam zza rogu, zawahałam się, niemal stanęłam, po czym ruszyłam naprzód. Ujrawszy miejsce, gdzie stał explorer, odwróciłam wzrok, ale było już za późno. Mój umysł już zaczął odtwarzać scenę z wczoraj, ja biegnąca przed siebie, Clay wołający moje imię i pędzący za mną. Zdał sobie sprawę, co się stało, szybciej niż ja. To dlatego próbował mnie zatrzymać. Teraz to zrozumiałam, choć jego motywy nie miały obecnie znaczenia. To była tylko nic nieznacząca wizja pojawiająca się w moim umyśle, zajmująca mnie na tyle, bym nie myślała o tym, co się tu stało ubiegłej nocy.

Za dnia parking wyglądał zupełnie inaczej. Ludzie wysiadali z samochodów, wchodzili do sklepu i wracali do swoich pojazdów. Jak w kafejce, tak i tu pełno było ludzi pracy, głównie w dzinsach, ale było też paru w garniturach, z torbami pełnymi jedzenia na kolację, kartonów z mlekiem lub bochenków chleba. Nikt nie zwracał na nas uwagi, kiedy podeszliśmy do ogrodzenia na tyłach. Miejsce, gdzie zaparkowaliśmy ubiegłej nocy, było puste, zbyt oddalone od sklepu, aby mogło być zajęte poza najbardziej ruchliwymi dniami handlowymi.

Stanęłam po prawej stronie, gdzie znajdowały się drzwiczki od strony pasażera. Zamknęłam oczy i nabrałam powietrza. Zapach Logana wypełnił moją głowę. Kolana ugięły się pode mną. Clay chwycił mnie pod łokieć. Odzyskałam równowagę i znów wzięłam głęboki oddech, próbując zablokować zapach Logana. Bez powodzenia. Jego silny zapach spychał w cień wszystko inne. Z zamkniętymi oczami mogłam go sobie wyobrazić, jak stoi przede mną, tak blisko, że mogłabym go dotknąć. Otworzyłam oczy. Jasne światło dnia przegoniło fantazje na powrót w mroki mojego umysłu.

— Ja... — zaczęłam — mam pewne kłopoty.

— Jest tutaj — rzekł Clay. — Słaby, ale jednak coś wyczuwam. Zaczekaj chwilę, zobaczę, czy zdołam to wychwycić.

Przeszedł na lewo, pokręcił głową, po czym wrócił i zaczął znów z drugiej strony. Gdy zatoczył koło po raz drugi, odwrócił się do mnie.

— Mam — powiedział. — Trop wejściowy jest od wschodu, ale kundel wyszedł tędy.

W zapachu nie było nic, co mogłoby zdradzić nawet najwytrawniejszemu tropicielowi, czy ktoś tędy wchodził, czy wychodził. Clay wyłapał różnicę, bo trop, jaki wychwycił, miał również w sobie zapach Logana, choć nie wspominał o tym.

— Podejdz tu i spróbuj — powiedział.

Gdy tylko oddaliłam się od miejsca parkingowego, zaczęłam się rozluźniać. Clay stanął przy furgonetce. Podeszłam do niego, węsząc. Tak, woń tu była. Nieznany wilkołak. Woń wiodła przez parking, z dala od sklepu spożywczego, w kierunku sklepu z narzędziami. Stamtąd prowadziła przez chodnik na zachód, zawracała ku głównej ulicy i tamtędy w stronę centrum. Choć mogło to brzmieć łatwo i prosto, wcale takie nie było. Przejście od punktu A do B zajęłoby jakiś kwadrans. My poświęciliśmy na to ponad godzinę, nieustannie gubiąc trop, zawracając i krążąc, by odnaleźć miejsce, gdzie kundel skręcił za róg, i zaczynając od nowa. Raz czy dwa całkiem zgubiłam trop. Śledzenie w ludzkiej postaci znacznie utrudniało nam zadanie, nie tylko dlatego, że miałam słabszy węch, ale też dlatego, że nie mogłam węszyć z nosem przy ziemi. To znaczy mogłam, ale w normalnym społeczeństwie takie zachowanie musiało wzbudzić zaciekawienie i mogło doprowadzić do zamknięcia takiego delikwenta w zakładzie psychiatrycznym. Nawet widok kogoś, kto na rogu ulicy marszczy nos albo krąży w kółko,

powoduje niezdrowe zainteresowanie. Musiałam zachowywać się dyskretnie. Nawet gdyby udało mi się przekonać Claya, by zaczekał do zmierzchu, nie mogliśmy zmienić się w wilki. Po tym wszystkim, co wydarzyło się w Bear Valley, byłoby to nie tyle wyzwaniem, co raczej samobójstwem.

Centrum Bear Valley funkcjonowało do piątej, po czym pracownicy wracali do domów na kolację, nie zważając na to, że większość ludzi pracowała do piątej i nie miała potem jak zrobić zakupów. To przeoczenie mogło tłumaczyć szerzącą się plagę likwidowanych sklepików, która upodabniała centrum do wielkiej reklamy biura handlu nieruchomościami. Zanim dotarliśmy do śródmieścia, było już po siódmej i nawet najbardziej zatwardziali sprzedawcy pozamykali swoje sklepiki, kończąc handel na ten dzień. Ulice świeciły pustkami. Wydawało się, że całe miasto udało się na wspólną kolację. Mogłam być nieco mniej ostrożna, jeżeli chodzi o węszenie, i kolejny kilometr pokonaliśmy w dwadzieścia minut. Trop kończył się przy Burger Kingu, który został wyklęty przez swoich fast foodowych kolegów z drugiej części miasta. Zapewne kundel wpadł tu, by podładować baterie. Po kolejnych dwudziestu minutach krążenia i kluczenia po własnych śladach znów pod jęłam trop. Dziesięć minut później staliśmy już na parkingu hotelu Big Bear Motor Lodge.

— To jakiś matoł — mruknęłam, gdy powiedliśmy wzrokiem po stojących na parkingu półciężarówkach i dziesięcioletnich sedanach. — W mieście są dwa hotele, a on zatrzymuje się w jednym z nich?!

— To ty nalegałaś, żebyśmy zaczęli od sklepu spożywczego.

— Nie słyszałam, żebyś sugerował coś innego.

— To się nazywa sztuka przetrwania, złotko. Wiem, kiedy należy się zamknąć.

— Odkąd to... — przerwałam, dostrzegając kobietę stojącą w drzwiach hotelowego pokoju i nawet nie próbującą kryć się z tym, że podsłuchiwała. Miło wiedzieć, że potrafisz zapewnić rozrywkę, kiedy skończą się opery mydlane.

Stałam za półciężarówką, lustrując jednopiętrowy budynek.

— Jak sądzisz, ile tu jest pokoi?

— Trzydzieści osiem — odparł bez wahania Clay. — Po dziewiętnaście na górze i na dole. Na parterze wejście jest od frontu. Na piętro można dotrzeć przez hol i wyjściem awaryjnym.

— Gdyby chodziło o mnie, wybrałabym pokój na parterze. Łatwiejszy dostęp do pokoi, łatwiej przychodzić i wychodzić o dowolnej porze.

— Ale na piętrze są balkony, kochanie. No i jeszcze ten widok...

Powiodłam wzrokiem ponad parkingiem w stronę pustej parceli zarośniętej chwastami, zawalonej kawałkami betonu i taką masą śmieci, że cały zastęp harcerzy miałby sporo roboty, próbując ją uprzętnąć w Dniu Ziemi.

— Parter — rzekłam. — Ja zaczynam. Ukryj się gdzieś.

— Uhm-hm. Już graliśmy w tę grę. Ja się chowam. Ty nigdy nie szukasz. Może nie jestem najbystrzejszy, ale zaczynam w tym wychwytywać pewien wzorzec.

— Idź.

Clay uśmiechnął się, złapał mnie w pasie i pocałował, po czym zniknął, zanim zdążyłam go za to skarcić. Choć ucieszyłam się, że poprawił mu się humor, byłoby lepiej, gdyby tego powodem nie była perspektywa zabijania i rozlewu krwi. Przez ostatnich kilka godzin tropienia dawne urazy, które dały o sobie znać w kafejce, zapadły w moją podświadomość, gdzie miały czekać jak nigdy niezagojona rana. Wystarczyłoby lekkie szturchnięcie, by pojawił się ból. Mieliśmy zadanie i musiałam wykonać je wspólnie z Clayem. Przez pamięć Logana nie mogłam pozwolić sobie, by przytłoczyły mnie własne problemy. Gdybym przez cały czas, kiedy byłam z Clayem, miała sycić się gniewem i nienawiścią, już dawno temu zmieniłabym się w

rozgoryczoną, wredną zołą. Oczywiście ktoś mógłby powiedzieć, że przekroczyłam ten próg wiele lat temu, ale nie w tym rzecz.

Podczas gdy Clay poszedł, by znaleźć dla siebie dogodne miejsce na kryjówkę, rozejrzałam się dokoła, przepatrując teren. W pobliżu przeżartego przez rdzę chevy impala dostrzegłam skrawek papieru. Był to rachunek za nowy zestaw stereo, który, miałam nadzieję, nie trafił do impali, w przeciwnym razie właściciel wydałby na sprzęt grający więcej, niż było warte samo auto. Strząsnęłam mokry liść z rachunku, rozprostowałam go i złożywszy na pół, ruszyłam w stronę chodnika biegnącego pod drzwiami pokoi na parterze. Zaczynając od wyjścia awaryjnego, przeszłam powoli wzdłuż chodnika, przystając, by dokładnie powęszyć przed każdymi drzwiami. Miłośniczka podsłuchiwania wróciła do swego pokoju. Z jednego z pokoi na końcu budynku wyszła jakaś para, ale zignorowała młodą kobietę mającą trudności ze znalezieniem pokoju, którego numer miała zapisany na kawałku kartki. Ludzie mają określone zdanie na temat potencjału umysłowego blondynek.

Gdy dotarłam do końca, wychwyciłam trop wilkołaka prowadzący nie do pokoju, lecz do holu. Trop był tu silny, co oznaczało, że musiał być tu kilkakrotnie. Pokój na piętrze, wejście tylko przez hol. Może lubił oglądać wschód słońca nad pustą parcelą. Zawróciłam przez parking. Clay wyłonił się zza budynku, zanim zdążyłam się za nim rozejrzeć.

— Na górze — oznajmiłam.

— Widzisz, kochanie? Nikt nigdy nie twierdził, że kundle mają mózg.

Wyrzuciłam rachunek za stereo w krzaki, po czym razem z Clayem ruszyliśmy w stronę głównego wejścia. Gdy znaleźliśmy się w holu, Clay objął mnie w tali i zaczął skarżyć się na zmyśloną kolację w pobliskiej restauracji. Gdy tak utyskiwał, ujrzałam na lewo od recepcji schody i skierowałam nas w tę stronę, kiwając głową, gdy zrzędził o dwudziestominutowym oczekiwaniu na rachunek. Ten występ nie był wcale konieczny. Recepcjonista nawet nie uniósł wzroku, gdy go mijaliśmy. Na górze trop urywał się przed trzecimi drzwiami po prawej. Clay sięgnął do klamki, przekręcił ją i złamał przy wtórze cichego trzaśnięcia. Podczas gdy ja wypatrywałam innych gości, Clay czekał, by sprawdzić, czy ktoś z wnętrza pokoju zareaguje na dźwięk wyłamywanego zamka. Gdy nie doczekał się reakcji, delikatnie uchylił drzwi. Zasłony były zaciągnięte, pokój tonął z ciemnościach. Drzwi w głębi korytarza otworzyły się. Pochnęłam Claya naprzód i wślizgnęliśmy się do środka.

Clay zajrzał do łazienki, by się upewnić, że kundla nie było, po czym wyjął z kieszeni ćwierćdolarówkę.

— Orzeł — zaczaimy się tu, reszka — ruszamy w pościg.

— Powinniśmy zostać tutaj — rzekłam. — Przeszukać pokój i odnaleźć ewentualne ślady.

Clay wywrócił oczami.

— No dobrze — mruknęłam. — Rzuć już tę monetę.

Gdy wypadł orzeł, pokazałam Clayowi język. Sięgnął ręką, by za niego złapać, ale byłam szybsza i na czas go cofnęłam.

— Następnym razem nie będziesz taka szybka — mruknął, po czym rozejrzał się wokoło. — Co spodziewasz się tu znaleźć?

— Cokolwiek, co mogłoby wytłumaczyć obecność dwóch kundli w Bear Valley w jednym tygodniu. To cię ani trochę nie martwi?

— Oczywiście, że tak, kochanie. Ale odstawiłem ciekawość i zaniepokojenie na dalszy plan. Będzie na to czas, kiedy już kundel zginie. Nie zamierzam czekać, aż ten drań zechce zapolować na ciebie lub innych, próbując dociec, co tutaj robi.

— Uważasz, że gram na czas?

— Nie. Sądzę raczej, że próbujesz go jak najefektywniej wykorzystać. No i dobrze. Ale nie oczekuj, że będę z entuzjazmem grzebał w szufladach, podczas gdy ten kundel grasuje gdzieś w mieście.

— Wobec tego wyjdź na balkon czy jak, a ja się rozejrzę.

Clay oczywiście tego nie zrobił. Pomógł mi szukać, ale dał jasno odczuć, że to go nie rajcuje. Mnie też nie rajcowało, ale musiałam wykorzystać okazję. Poza tym przeszukiwanie rzeczy kundla pozwoliło mi zaprzątnąć umysł i ciało, nie pozwalając na zastanawianie się, dlaczego go tropiliśmy.

Clay zaczął od łazienki. W jakieś dziesięć minut później zawołał:

— Mam coś. Ten typ używa hotelowego szamponu i mydła. Nie otworzył odżywki. Jest tu jednorazowa maszynka do golenia, ale ani śladu szczoteczki, pasty do zębów czy płynu do płukania ust. Szukamy zatem faceta z rozdwojonymi końcówkami i nieświeżym oddechem. Czy to nam choć trochę pomoże, kochanie?

Zgrzytnęłam zębami w odpowiedzi. Ściany były za cienkie, aby się tu kłócić. Poza tym, przeszukując duży pokój, też niewiele znalazłam. Dwie pary dżinsów, trzy koszule, skarpetki, bieliznę, wszystko to wcześniej noszone i pozostawione na krześle do ponownego użycia. Hotelową Biblię na nocnym stoliku pokryto rysunkami pentagramów i odwróconych krzyży. Cudnie. Jakie to mało oryginalne. Skoro już silisz się na oryginalność i bazgrzesz po Biblii, używając satanistycznych symboli, mógłbyś przynajmniej pokusić się o coś bardziej wymyślnego niż znaki zamieszczane w „Skandalach”. To był niezbyt twórczy i mocno niedoinformowany wilkołak. Czekало go nie lada rozczarowanie, gdy odkryje, że wilkołaki mogły znać raczej dobry przepis na wołowinę a la Wellington niż inkantacje do satanistycznych rytuałów. W ciągu dziesięciu lat Szatan ani razu nie po jawił się, by się ze mną przywitać czy przekazać jakieś specjalne instrukcje. Ale z drugiej strony, Bóg też nie. Może to oznaczało, że nie istnieją. Choć raczej oznaczało to, że żaden z nich nie zamierza brać na siebie odpowiedzialności za moją skromną osobę.

— Chryste, powinnaś to zobaczyć, kochanie — rzekł Clay, wychodząc z łazienki. — Płyn po goleniu, woda kolońska i piżmowy dezodorant. Jeżeli nie rozpoznaliśmy tego nowego kundla po zapachu, teraz odnajdziemy go po tym, jak cuchnie.

Żaden doświadczony wilkołak nigdy nie użyłby wody kolońskiej, a przynajmniej nie taki, który miał zmysł powonienia. Jego własny zapach przyćmiłby wszystkie inne, czyniąc jego węch bezużytecznym. Ja nie używałam nawet wonnego mydła toaletowego. Znalezienie bezwonných produktów toaletowych dla kobiet nie było łatwe. Przemysł kosmetyczny wydawał się mieć obsesję na punkcie sprawienia, by kobiety pachniały wszystkim, tylko nie sobą. A my używałyśmy tego bez umiaru, tworząc obezwładniającą mieszankę, od ziołowego szamponu poprzez puder, dezodorant i mydło o zapachu bzu, po najnowszy aromat perfum Calvina Kleina. Gdy zdarzało mi się utknąć w zatłoczonej windzie wcześniej rano, przez pół dnia nie mogłam się pozbyć potem uciążliwego bólu głowy.

Wyjrzawszy przez okno, Clay podszedł do mnie, w czasie gdy przeglądałam zawartość znajdującego się przy łóżku kosza na śmieci.

— Pomógłbym ci — rzekł — ale chyba świetnie sobie radzisz.

— Dzięki.

— Zaglądałaś pod łóżko?

— Nie dałam rady. Rama jest przytwierdzona do podłogi. — Za pomocą hotelowego długopisu zdołałam wydobyć stamtąd zużytą chusteczkę higieniczną. Nie wiem, do czego była używana, ale wilkołaki nie chorują na grypę czy przeziębienia.

— Zajrzę pod materac — rzekł Clay.

Zapomniałam o tym. Wilkołaki często używają lipnych dokumentów, prawdziwe chowając na przykład pod materacem.

— Nie ma dokumentów — oznajmił Clay. — Tylko jakiś album z wycinkami. To cię raczej nie zainteresuje.

Poderwałam się tak gwałtownie, że uderzyłam głową o stojącą lampę. Clay uśmiechnął się i cofnął album poza zasięg moich rąk.

— Moje — powiedział, uśmiechając się szerzej. Wciąż poza moim zasięgiem zaczął kartkować album, po czym rozchylił wargi i cisnął album na łóżko. — Po namyśle chyba jednak ci go oddam. Miłej lektury, kochanie. Będę czuwał przy oknie. Później wszystko mi streścisz. Wzięłam album do ręki i usiadłam na skraju łóżka. To był album na zdjęcia, taki gdzie umieszczało się fotografie pod folią. Zamiast zdjęć kundel wypełnił album wycinkami z gazet. To nie były przypadkowe wycinki, lecz dotyczące jednej konkretnej tematyki — seryjnych zabójców. Przerzucałam strony z kolejnymi artykułami, dostrzegając niekiedy znajome twarze: Berkowitz, Dahmer, Bundy i inni, których nie znałam. Wszystkie artykuły łączył jeszcze jeden kluczowy element — kolorowe zakreslenia. Kundel pozaznaczał na kolorowo liczbę zamordowanych. Miał nawet własny system oznaczeń: kolor żółty — liczba osób, do których zamordowania przyznał się zabójca, niebieski — liczba ciał, które odnaleziono, i różowy — dla liczby ofiar, jaką zdaniem policji miał na sumieniu morderca. Na marginesach kundel robił własne notatki, dodając i porównując liczby, jak fan prowadzący jakieś makabryczne statystyki niczym w rozgrywkach sportowych.

W połowie albumu artykuły się kończyły. Już miałam go zamknąć, gdy uświadomiłam sobie, że pod sam koniec pojawiały się kolejne wycinki. Przerzuciłam puste strony i napotkałam następny artykuł. W przeciwieństwie do innych tu nie było statystyki. Nie było nawet nazwiska zabójcy. Artykuł z dnia 18 listopada 1995 roku z „Chicago Tribune” informował o odnalezieniu ciała młodej kobiety. Podawano dalsze szczegóły, miała zniknąć przed ponad tygodniem i przez ten czas była przetrzymywana przez porywacza, a następnie została uduszona, a jej zwłoki porzucono za gmachem szkoły podstawowej. Przerzuciłam dalszych kilka stron. Odnaleziono trzy kolejne kobiety, schemat ten sam. Wreszcie jedna uciekła, opowiadając o przerażającym koszmarze trwających tydzień gwałtów i tortur, gdy była przetrzymywana w piwnicy opuszczonego domu. Policja wysłedziła, że dom należał do Thomasa LeBlanca, trzydziestotrzyletniego laboranta medycznego. Kiedy jednak kobieta miała rozpoznać LeBlanca, okazało się, że nie potrafi tego zrobić. Oprawca przychodził do niej tylko po ciemku i nigdy się nie odzywał. Co więcej LeBlanca, w okresie kiedy zaginęła trzecia kobieta, przebywał w interesach poza miastem. Na zdjęciu w gazecie LeBlanca mógł uchodzić za starszego brata Scotta Brandona i nie chodziło bynajmniej o fizyczne podobieństwo, lecz o to, że miał zgoła pospolite oblicze, był zadbany, poniekąd przystojny, ale ani trochę nie rzucał się w oczy, był mdły i nijaki jak pierwszy lepszy biały Anglosas z Wall Street. Miał twarz seryjnego mordercy z sąsiedztwa.

Pomimo szeroko zakrojonego śledztwa policji nie udało się zebrać dość dowodów, by postawić LeBlanca w stan oskarżenia. W ostatnim artykule z „Tribune” pisano, że Le Blanc spakował manatki i opuścił Chicago. Nawet jeśli system sprawiedliwości nie był w stanie skazać LeBlanca, mieszkańcy Illinois uznali go za winnego. Choć był to ostatni wycinek z „Tribune”, album się na tym nie kończył. Naliczyłam jeszcze sześć innych wycinków z ubiegłych paru lat, mówiących o zaginięciach młodych kobiet od terenów Środkowego Zachodu po Kalifornię i wschodnie wybrzeże. Thomas LeBlanc był w trasie. Ostatni wycinek pochodził sprzed ośmiu miesięcy z Bostonu.

— Cholera — warknął Clay tak nagle, że aż drgnęłam gwałtownie. — Nie ma mowy. Ni cholery. Odłóż ten album, kochanie. Musisz to zobaczyć.



Podbiegłam do okna. Clay odsunął ciężką zasłonę, żebym mogła wyjrzeć na zewnątrz. Pod główne wejście do hotelu zjechała acura. Z auta wysiadło trzech mężczyzn. Gdy zobaczyłam tego, który wysiadł od strony pasażera, nie zdziwiło mnie wcale, że ujrzałam twarz ze zdjęcia z „Tribune” — Thomasa LeBlanca, choć wyglądającego gorzej niż w gazecie. Oczywiście Clay go nie rozpoznał ani nawet z tej odległości nie zorientował się, że to wilkołak. Jego uwagę zwróciło dwóch innych. Karl Marsten i Zachary Cain, dwa kundle, które znaleźliśmy doskonale.

— Marsten i Cain? Co oni, do cholery, robią razem? — warknął Clay. — I kim jest ten trzeci? To musi być on.

— To zabójca Logana — odparłam. — Thomas LeBlanc. Musimy się stąd wynosić.

— Ej że — mruknął Clay, nie ruszając się z miejsca, gdy ciągnęłam go ku drzwiom. — Nigdzie nie idziemy. Przecież po to tu przyszliśmy, kochanie.

— Przyszliśmy tu, aby zabić jednego kundla. Jednego niedoświadczzonego kundla. Trzech przeciwko dwóm to niedobrze, ale...

— Damy radę.

— Bez snu i jedzenia przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny?

— Możemy...

— Janie.

Clay przerwał. Milczał przez chwilę.

— Jeżeli zostaniesz — ciągnęłam — to ja także. Ale nie jestem w formie do walki. Jestem wyczerpana, głodna, boli mnie ręka od ugryzienia przez psa i walkę z Brandonem.

To był cios poniżej pasa, ale nie dbałam o to. Powiedziałabym wszystko, aby tylko wyprowadzić nas z tego pokoju. Wyraz twarzy Claya zmienił się, niepewność przerodziła się w zdecydowanie.

— Dobra — mruknął. — Spadamy. Zdamy jeszcze...?

— Balkon. Będziemy musieli opuścić się na dół. Żadnego skakania.

— A twoja ręka? — Spojrzał na świeży strup na moim przedramieniu. Nasze rany goją się szybko i czułam się świetnie, ale nie zamierzałam się do tego przyznawać. Nie teraz.

— Przeżyję — odparłam.

## SYNCHRONIZACJA

— Absolutnie nie — rzekł Jeremy, wstając z fotela, by podejść do kominka.

Wszyscy znajdowaliśmy się w gabinecie. Pozostali na nas czekali. Clay i ja usiedliśmy na kanapie, Clay przycupnął na brzegu, gotów zerwać się, gdy tylko Jeremy powie, że pora zapolować na kundle. Nick stał obok Claya, stukając palcami w oparcie kanapy, równie zaniepokojony, ale biorący przykład z Claya. Peter i Antonio siedzieli po drugiej stronie pokoju.

Obu usłyszane wieści mocno zagniewały, ale zachowywali spokój i powagę, oczekując na decyzję Jeremy'ego z większym opanowaniem wynikającym z wieku i doświadczenia.

— Nie mogę uwierzyć, o co prosicie — ciągnął Jeremy. — Wyraziłem się jasno, że tego nie chcę, ale i tak zrobiliście swoje. A teraz Elena komunikuje, że zamierzacie zbadać sprawę z ubiegłej nocy i koniec końców...

— To nie było naszym zamiarem — odparłam. — Natknęliśmy się na jego trop. Nie mogliśmy nie skorzystać z okazji.

Jeremy posłał mi spojrzenie zdające się mówić, że lepiej, żebym się zamknęła, zanim pograżę się jeszcze bardziej. Zrobiłam to.

Jeremy wrócił do swego fotela, ale nie usiadł.

— Nikt nie wyruszy tej nocy za tą trójką. Wszyscy jesteśmy wyczerpani i zdenerwowani po ubiegłej nocy, zwłaszcza wy dwoje. Gdybym nie ufał słowom Eleny, kiedy zadzwoniła, sam pojechałbym po was po południu i przywłókł tu z powrotem.

— Ale my przecież nic nie zrobiliśmy — oznajmił Clay.

— Tylko dlatego, że nie było okazji.

— Przecież...

— Wczoraj mieliśmy w mieście jednego kundla. Dziś on już nie żyje, a pojawiły się trzy następne. Co więcej, w tej czwórce mamy Karla Marstena i Zachary'ego Caina, dwa kundle, które nawet w pojedynkę mogłyby nam przysporzyć wielu kłopotów.

— Jesteście absolutnie pewni, że to Marsten i Cain? — spytał Antonio. — Spośród wszystkich kundli, które mogłyby działać w tandemach, te dwa znajdują się na samym końcu listy. Co może je łączyć?

— Oba są kundlami — odparł Clay.

— Uważam, że nie stworzyły tandemu — powiedziałam. — Marsten musiał mieć coś na Caina. To zdecydowanie relacja typu przywódca-poplecznik. Karl pragnie terytorium. Tak jest od lat.

— Skoro chce terytorium, musi przyłączyć się do Watahy — rzekł Jeremy.

— Pieprzyć to — wycedził Clay. — Karl Marsten to zakłamany, wredny skurwiel, który wbiłby własnemu ojcu nóż w plecy, aby dostać to, czego pragnie.

Nie zapominaj o nowych rekrutach — wtrąciłam.

— O Brandonie i LeBlancu. Obaj to zabójcy. Ludzcy zabójcy. Ktoś — zapewne Marsten — wyszukał ich, ugryzł i wyszkolił. Tworzy armię kundli. Nie zwyczajnych kundli, ale takich, którzy już potrafią polować i zabijać. Którzy to potrafią i lubią.

Antonio pokręcił głową.

— Wciąż trudno mi sobie wyobrazić, że stoi za tym Marsten. Za niektórymi elementami owszem. Ale temu numerowi z tworzeniem nowych kundli brakuje finezji. A zwerbowanie Caina? Ten facet to dureń. Twardy, ale jednak dureń. Szanse, że zawali sprawę, są zbyt duże. Marsten musi o tym wiedzieć.

— Kogo to, kurwa, obchodzi? — rzucił Clay, podrywając się z miejsca. — Mamy w mieście trzy kundle. Jeden z nich zabił Logana. Jak możecie siedzieć i dyskutować o motywach...

— Usiądź, Clayton — rzekł półgłosem Jeremy.

Clay już miał usiąść, ale nie zrobił tego. Przez chwilę trwał w bezruchu, jakby walczyły w nim sprzeczne emocje i pragnienia. W końcu zacisnął dłonie w pięści. Wyprostował się, obrócił na pięcie i pomaszerował w stronę drzwi gabinetu.

— Jeżeli stąd wyjdiesz, możesz nie wracać — głos Jeremy'ego brzmiał prawie jak szept, ale zatrzymał Claya w pół kroku. — Jeśli nie potrafisz kontrolować emocji, Claytonie, trafisz do klatki. Zamknę cię w niej, aż ci przejdzie. Jeżeli jednak problem polega na tym, że nie chcesz się kontrolować i wyjdiesz, możesz nie wracać.

Jeremy wcale tak nie myślał. To znaczy myślał, ale nie tak, jak mogło to zabrzmieć. Gdyby Clay wyszedł, a Jeremy zagroził mu wykluczeniem z Watahy, musiał by postąpić zgodnie ze swym ostrzeżeniem. Ale nie mógł pozwolić Clayowi odejść bez walki. Ostrzeżenie to najlepszy sposób, aby temu zapobiec. Clay stał tam, poruszając szczękami, jakby przeżuwał swój gniew, z dłońmi zaciśniętymi w pięści i opuszczonymi do boków. Ale nie poruszył się. Nie mógł. Dla Clay'a wykluczenie z Watahy oznaczałoby śmierć, nie z przyczyn zewnętrznych, ale wewnętrznych, umierałby powoli, oddzielony od tego, w co wierzył najbardziej. Nigdy nie opuściłby Jeremy'ego ani Watahy. Ona była jego życiem. Równie dobrze Jeremy mógłby zagrozić, że go zabije, jeśli tamten ruszy w pościg za kundlami.

Powoli, z rozmysłem Clay odwrócił się do Jeremy'ego. Ich spojrzenia spotkały się. Zapadła długa cisza, zegar na gzymsie kominka odmierzał kolejne sekundy jak bomba zegarowa, aż w końcu Clay odwrócił się i wyszedł, nie kierując się jednak do garażu od frontu, lecz na tyły domu. Tylne drzwi otwarły się i zamknęły z trzaskiem. Spojrzałam na Jeremy'ego, a potem ruszyłam w ślad za Clayem.

Poszłam za Clayem do lasu. Szedł tak długo, aż nie mogliśmy być widziani ani słyszani z domu. Nagle rąbnął pięścią w drzewo tak mocno, że aż zakołysało się i zaskrzypiało. Trysnęła krew.

— Nie możemy dopuścić, aby to uszło Cainowi i Marstenowi płazem—powiedział.—Nie możemy dopuścić, by pomyśleli, że odpuściliśmy. Musimy działać. I to już.

Nie powiedziałam ani słowa.

Odwrócił się do mnie.

On się myli. Jestem przekonany, że się myli. — Zamknął oczy i wziął głęboki oddech, a jego twarz wykrzywiła się, jakby te słowa sprawiły mu ból. Nawet kwestionowanie zdania Jeremy'ego było dla niego jak zdrada. — On ma rację — dodał po chwili. — Nie jesteśmy na to gotowi. Ale nie mogę stać bezczynnie, podczas gdy zabójca Logana krąży gdzieś w pobliżu i kto wie, czy następnym celem jednego z tych kundli nie będziesz ty albo Jeremy. Po prostu nie mogę. On musi to wiedzieć.

Nadal milczałam, wiedząc, że nie czekał na odpowiedź, a jedynie próbował poukładać to sobie w myślach.

— Kurwa! — krzyknął w głąb lasu. — Kurwa! Kurwa! Kurwa!

Znów trzasnął pięścią w drzewo, a potem przecesał ręką włosy, rozpraszając złociste loki i pozostawiając na czole rozmazany krwawy ślad. Zamknął oczy, a jego pierś zafalowała, gdy wziął głęboki oddech. Po chwili wypuścił powietrze, zadrżał i spojrzał na mnie. W jego oczach lśnił gniew podsycany lękiem.

— Staram się, kochanie. Wiesz dobrze, że się staram. Wszystko we mnie krzyczy, by ruszyć za nimi w pogoń, dopaść ich i rozerwać im gardła. Ale nie mogę mu się sprzeciwić. Nie potrafię.

— Wiem.

Postąpił krok w moją stronę, objął ramionami i odnalazł ustami moje usta. Jego wargi zrazu trwożliwie dotknęły moich, jakby oczekiwał, że będę stawiała opór. Czułam jego panikę, czułam, jak walczył, by opanować w sobie sprzeczne instynkty silniejsze niż wszystko, co mogłam sobie wyobrazić. Oplotłam go ramionami, zanurzyłam palce we włosy i przyciągnęłam go ku sobie. Wydał z siebie jęk ulgi. Pozwolił, by zasłona opanowania opadła, a potem chwycił mnie i pchnął na pień drzewa.

Zaczął rozdzierać na mnie ubranie, jego paznokcie drapały moją skórę, gdy zrywał ze mnie bluzkę i spodnie. Manipulowałam przy jego dżinsach niezdarnymi palcami, gdy żar jego desperacji palił mnie jak rozprzestrzeniający się szybko pożar lasu. Opuścił dżinsy i zrzucił je.

Jego usta powróciły do moich, gwałtowne i brutalne. Silniej wplotłam palce w jego włosy, przyciągając go jeszcze bliżej. Jęknął ochryple. Jego dłonie przesuwwały się po moim nagim ciele, ściskając je, chwytając za biodra, talię i piersi. Kora drzewa wpijała mi się w plecy. Gdy uniósł palce do mojej twarzy, poczułam krew na jego ręku, świeże krople, które skapnęły na mój policzek, gdy pogładził mnie po twarzy. Krew spłynęła na nasze usta i poczułam jej smak, metaliczny, znajomy.

Bez ostrzeżenia opuścił dłonie na moje pośladki, po- dźwignął mnie w górę i pociągnął ku sobie. Warknął, wchodząc we mnie. Moje stopy znalazły się nad ziemią wisiałam w powietrzu i to on kontrolował sytuację. Wszedł we mnie jeszcze mocniej. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od moich oczu. Z głębi jego piersi dobył się rytmiczny warkot zdesperowanej żądzy. Zęby miał zaciśnięte. Gdy wpił palce w moje biodra, poczułam, że krawędź jego obrączki wrzyna mi się w ciało. Potem wzrok mu się zamglił, a jego ciałem wstrząsnął konwulsyjny dreszcz. Jęknął cicho zdyszany, po czym zwolnił tempo, wtulając twarz w mój obojczyk i unosząc dłonie, by moje zmaltretowane plecy nie ocierały się boleśnie o drzewo. Poruszał się we mnie powoli, wciąż sztywny. Nie doszedł jeszcze. To było uwolnienie innego rodzaju, nagle wyzwolenie przemocy, która go przepelniała.

Dłońmi gładził moje plecy i tulił do siebie. Wciąż przywierając do mnie, wyszeptał:

— Kocham cię, Eleno. Tak bardzo cię kocham.

Objęłam go mocniej, pieszcząc jego ucho i mamrocząc coś bezgłośnie. Wciąż poruszając się we mnie, odsunął mnie od drzewa, cofnął się i ułożył się na ziemi, tak że teraz go dosiadałam. Oplotłam jego biodra nogami, uniosłam się lekko i zwiększyłam tempo. Odchyliłam głowę do tyłu, zamknęłam oczy i poczułam na twarzy podmuch chłodnego nocnego wiatru. Usłyszałam głos Claya dochodzący jakby z daleka; powtarzał moje imię. Usłyszałam własną odpowiedź, mój głos powtarzający pośród milczącego lasu jego imię. Orgazm nadszedł powoli, nieomal leniwie, każda kolejna fala przepływała przeze mnie z osobliwą łagodnością. Poczułam, jak szczytował, równie wolno i niespiesznie, pojękując z rozkoszy.

Uniósł ręce i przyciągnął mnie ku sobie, bym ułożyła się na jego piersi, wtulając głowę pod jego podbródek. Przez dłuższą chwilę żadne z nas się nie poruszało. Leżałam tak, wsłuchując się w bicie jego serca i czekając na ten upiorny moment, kiedy powróci rzeczywistość. To musiało się zdarzyć. Mgła seksualnego nasycenia minie, a on powie coś, zrobi albo zażąda czegoś, co sprawi, że znów rzucimy się sobie wzajemnie do gardeł. Poczułam, jak przełyka ślinę, wiedziałam, że chce coś powiedzieć, i pragnęłam nic nie usłyszeć.

— Chciałbym pobiec — rzekł półgłosem.

Przez chwilę było kompletnie cicho, jakbym nie była pewna, czy dobrze usłyszałam, i czekałam na ciąg dalszy.

— Pobiec? — powtórzyłam.

— O ile nie jesteś zbyt zmęczona.

— Wciąż musisz to w sobie wypalić?

— Nie. Po prostu chcę pobiec. Zrobić coś. Z tobą.

Zawahałam się, ale w końcu się zgodziłam. Leżeliśmy tam jeszcze przez kilka minut, po czym wstaliśmy, by znaleźć odpowiednie miejsce do Przemiany.

Nie spieszyłam się i Przemiana poszła mi wyjątkowo łatwo. Później stanęłam na polanie i przeciągnęłam się, odwracając głowę, strzygąc uszami, rozciągając tylne łapy i poruszając ogonem. To było wspaniałe uczucie, jakbym nie zmieniała kształtu od tygodni. Zamrugęłam, przyzwyczajając się do ciemności. Powietrze miało cudowny smak i chłonełam je chciwie, napełniając nim płuca, po czym wydychając je, a z moich nozdrzy wyływał tylko delikatny obłoczek pary.

Już miałam wrócić na polanę, gdy coś ciężkiego rąbnęło mnie w bok, zbijając z nóg. Dostrzegłam błysk złocistej sierści i po chwili znów byłam sama, ale w powietrzu pozostał wyraźnie wyczuwalny zapach Claya. Podnosząc się z ziemi, postąpiłam niepewnie kilka kroków. Nic się nie wydarzyło. Przekrzywiłam głowę, węsząc. Nadal nic. Zrobiłam jeszcze trzy kroki i znów we mnie uderzył. Tym razem wpadłam w gęstwinę krzewów i nawet nie zauważyłam napastnika.

Poczekalam, aż odzyskam oddech, poderwałam się na nogi i zaczęłam biec. Clay znów wybiegł na polanę i zaskomlał, że jego ofiara zniknęła. Pobiegłam szybciej. Gdzieś z tyłu coś zaszeleściło wśród krzewów. Skręciłam w bok, dałam susa w chaszczę i przywarowałam. Złocista smuga przemknęła nieopodal. Zerwałam się z ziemi i zawróciłam. Kilka sekund zajęło Clay owi przejrzanie mojej sztuczki, ale już po chwili usłyszałam za sobą tupot jego łap.

Gdy kolejny raz uskoczyłam ze ścieżki, musiałam być trochę za wolna, bo dostrzegł moje tylne łapy albo ogon. Ledwie ukryłam się za krzakiem, gdy dziewięćdziesiąt kilogramów śmignęło w powietrze i upadło na mnie. Mocowaliśmy się przez kilka minut, skamłając, warcząc, kłając i wierzgając gwałtownie. Udało mi się wetknąć pysk pod jego szyję i przewrócić go na grzbiet, a potem poderwałam się na nogi. Ostre kły zacisnęły się na mojej tylnej nodze i szarpnęły, przewracając mnie na trawę. Clay powalił i przyszpilił mnie do ziemi. Stał nade mną przez minutę, a jego niebieskie oczy przepelniał blask triumfu. Nagle, bez ostrzeżenia puścił mnie i pognął w las. Teraz ja goniłam.

Ściagałam Claya przez dobry kilometr. W którymś momencie zboczył ze ścieżki i próbował zgubić mnie wśród krzewów. Dzięki tej sztuczce zyskał nade mną nieco ponad pięć metrów przewagi, ale to wszystko. Spodziewałam się kolejnego fortelu, gdy nagle niewielki cień przemknął przez polanę przed nami. Wiatr przyniósł ze sobą zapach królika. Clay zwolnił, skręcając, by pobic za uciekającą ofiarą. Przyspieszyłam, spięłam się i skoczyłam mu na grzbiet, ale spóźniłam się. Już go nie było.

Odzyskiwałam równowagę, gdy rozległ się wysoki, rozzwierający pisk. W kilka sekund później Clay wrócił, trzymając w pysku martwego królika. Spojrzał na mnie i pomachał zdobyczą, a jego wzrok zdawał się mówić: „Chcesz?”. Gdy tak nią potrząsał, na ziemię ściekała krew. Jej woń rozeszła się dokoła, zmieszana z zapachem ciepłego mięsa. Postąpiłam naprzód, węsząc. Kiszki zagrały mi marsza. Clay wydał z siebie cichy warkot, który zabrzmiał prawie jak śmiech, i cofnął się poza mój zasięg. Łypnęłam gniewnie. Udał, że rzuca do mnie królika, ale nie puścił go. Z głośnym warknięciem skoczyłam naprzód. Tanecznym krokiem cofnął się, trzymając zdobycz na tyle blisko, że jej zapach zaćmił mój umysł i poczułam ssanie w żołądku. Posłałam mu wrogie spojrzenie, po czym przeniosłam wzrok na las. Tam, skąd przybiegł królik, było więcej jedzenia.

Gdy odwróciłam się, by odejść, Clay cisnął królika do moich stóp. Patrzyłam to na niego, to na martwe zwierzę, spodziewając się kolejnego wybiegu. Zamiast tego usiadł i czekał. Spojrzałam na niego jeszcze raz, po czym rozszarpałam królika, przełykając większe kęsy ciepłego mięsa. Clay podszedł i zaczął się o mnie ocierać, zlizując kropelki krwi z mojego pyska i szyi. Przerwałam jedzenie na moment, by podziękować mu lekkim szturchnięciem pyska w szyję. Gdy powróciłam do pałaszowania, Clay pognął w las, by znaleźć coś do jedzenia dla siebie.

Kiedy obudziłam się następnego ranka, leżałam sama na wilgotnej od rosy trawie. Poderwałam się z ziemi i zaczęłam rozglądać się za Clayem. Ostatnie co pamiętałam, to że ponownie przeszliśmy Przemianę, przytuliliśmy się i zasnęliśmy. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam suchego miejsca, gdzie leżał. Kiedy przepatrywałam pustą polanę, poczułam dziwny niepokój. Clay nie mógł opuścić mnie bez powodu. Coś było nie tak. Nagle moją głowę spryskała struga zimnej wody. Odwróciłam się gwałtownie, by ujrzeć Claya stojącego nade mną i uśmiechającego się.

Krople wody skapywały z jego dłoni i lśniły na jego przedramionach. Wciąż był nagi — nie chciało nam się wczoraj wracać po ubrania, nie byliśmy zresztą pewni, gdzie je zostawiliśmy ani czy w ogóle nadawały się jeszcze do założenia.

— Szukałaś mnie? — spytał, siadając obok mnie.

— Myślałam, że dopadło cię stado dzikich psów.

— Wyglądałaś na zmartwioną.

— Bo byłam. Bóg jeden wie, jakiej niestrawności mogłyby się przez ciebie nabawić!

Zaśmiał się i przykucnął, przewracając mnie na ziemię i całując. Odpowiedziałam pocałunkiem, oplatając nogami jego nogi, ale zaraz je cofnęłam; stopy miał wilgotne i lodowate.

— Byłem przy stawie — powiedział Clay, zanim zdążyłam zapytać. — Pomyślałem, że trochę popływamy. Po raz pierwszy w sezonie. To by nas rozbudziło.

— Jest tam coś do jedzenia?

Zachichotał.

— Królik zeszłej nocy ci nie wystarczył?

— Ani trochę.

— No dobrze. Oto moja propozycja: jeżeli nie możesz poczekać, zjemy śniadanie, a potem popływamy. Albo popływaj ze mną już teraz, a później przyrządzę dla ciebie na śniadanie, cokolwiek zechcesz.

Bez wahania przystałam na opcję numer dwa. Nie dlatego, że chciałam, by ktoś przyrządził dla mnie śniadanie, ale dlatego, że gdybyśmy najpierw wrócili do domu, zapewne nie poszlibyśmy już popływać. Coś by się wydarzyło. Przypomnielibyśmy sobie, że Logan nie żyje i że w Bear Valley były trzy kundły. Prawdziwe życie zniszczyłoby fantastyczny świat, jaki tworzyliśmy miśternie przez całą ubiegłą noc. Nie chciałam, by to się skończyło. Jeszcze tylko parę godzin, niech ta iluzja trwa jak najdłużej i ani przeszłość, ani przyszłość nie próbuje unicestwić naszej utopii.

Kiedy zgodziłam się, by najpierw popływać, Clay uśmiechnął się, pocałował mnie i wstał energicznie.

— Ścigamy się? — spytał. — Kto ostatni, tego wrzucają?

Udałam, że się nad tym zastanawiam, po czym zerwałam się z ziemi i pobiegłam. Pięć sekund za późno uświadomiłam sobie, że wybrałam złą drogę. Gdy wypadłam na polanę przy stawie, Clay stał na północnym brzegu, uśmiechając się.

— Zgubiłaś drogę, kochanie? — zawołał.

Pokuśtykałam ku niemu, ciągnąc za sobą prawą nogę.

— Cholerne pnącza — burknęłam. — Chyba skręciłam kostkę.

Myślałam, że po tylu latach znał mnie lepiej. Przecież powinien. Ale gdy dokuśtykałam na brzeg, Clay podszedł do mnie, a w jego niebieskich oczach malowała się troska. Zaczekałam, aż się pochyli, by obejrzeć moją kostkę, po czym bezceremonialnie wrzuciłam go do stawu.

Dotarliśmy do domu znacznie później, nadzy, ale nie dbaliśmy o to ani nie zwracaliśmy na to uwagi. Po pływaniu kochaliśmy się nad brzegiem stawu, co wyglądało jak zapasy w błocie i było w tym sporo z prawdziwych zmagania. Umyliśmy się szybko w stawie, ale Clay wciąż miał rozmazany ślad z błota na policzku. Wyglądał jak dwunastolatek, z błyszczącymi łobuzersko oczami i ustami wykrzywionymi w cwaniackim uśmieszku, który rozszerzał się za każdym razem, gdy potykaliśmy się o coś, co leżało na naszej drodze.

— Naleśniki, tak? — zapytał, gdy pomógł mi podnieść się po tym, jak zahaczyłam o niewidoczny korzeń.

— Ale domowej roboty. Od początku do końca.

— Z szynką, jak mniemam. Co jeszcze?

— Stek.

Zaśmiał się i objął mnie w pasie, gdy ścieżka rozszerzyła się na tyle, że mogliśmy iść obok siebie.

— Na śniadanie?

— Powiedziałeś, że mogę sobie zażyczyć, cokolwiek zechcę.

— Czy mogę zaproponować owoce dla zbalansowania posiłku?

— Nie. Ale możesz sięgnąć po bekon. Bekon i jajka.

— Mogę poprosić o pomoc?

— Zaparzę kawę.

Znów się zaśmiał.

— Wielkie...

Przerwał. Dotarliśmy na skraj lasu i stamtąd na podwórzu za rezydencją. Na ganku na tyłach domu, niecałe piętnaście metrów od nas stał Jeremy... w otoczeniu pięciu czy sześciu nieznanymi osobami, które odwróciły się w chwili, gdy wyłoniliśmy się z lasu. Clay warknął pod nosem i zasłonił mnie swoim ciałem. Jeremy odwrócił się na pięcie i odprowadził gości na bok. Minęło kilka sekund, zanim się ruszyli, i kilka następnych, zanim przestali się na nas gapić.

Kiedy goście zniknęli za garażem, chwyciłam Claya za ramię i pobiegłam ku tylnym drzwiom, nie zatrzymując się, dopóki nie dotarliśmy na górę. Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, wepchnęłam go do jego pokoju i sama wpadłam do swojego. Zdążyłam tylko założyć biustonosz i majtki, gdy usłyszałam, jak otwierają się drzwi pokoju Claya. Spodziewałam się, że zejdziesz na dół, by stawić czoło intruzom, więc podbiegłam do drzwi i otworzyłam je silnym szarpnięciem. Stał za progiem z dłonią zaciśniętą na klamce.

— Hej — powiedział, uśmiechając się, gdy już odzyskał równowagę. — Jeżeli tak ci pilno, by mnie wpuścić do swojej sypialni, muszę częściej oferować, że przyrządzę ci śniadanie.

— Ja tylko... nic... nic ci nie jest?

— Wszystko w porządku, kochanie. Wpadłem po ciebie, by zaprosić cię na śniadanie, zanim Jeremy nie pozbędzie się naszych nieproszonych gości. I nie, nie zamierzam mu pomagać. Mam za dobry humor, by zepsuć go gromada ludzi. Niech się nimi zajmie Jeremy.

— Świetnie—rzekłam, obejmując go ręką za szyję.

— Cieszę się, że się ze mną zgadzasz. Bierzmy się za te naleśniki, a potem może pomyślimy, jak przyjemnie zabić czas, dopóki Jeremy nie będzie gotów zdradzić nam swoich planów na rozprawienie się z Marstenem i Cainem.

Gdy pochylił się, by znów mnie pocałować, ktoś stojący za progiem głośno chrząknął. Wyrzłam ponad ramieniem Claya, by ujrzeć Jeremy'ego stojącego z założonymi rękami i uśmiechającego się półgębkiem.

— Przepraszam, że przeszkadzam — rzekł — ale potrzebuję Eleny na dole. Najlepiej ubranej, jeżeli mamy pozbyć się tych ludzi.

— Tak jest — oznajmiłam, uwalniając się od Claya. — Zaraz zejść.

— Zaczekaj — powiedział Clay, gdy Jeremy odwrócił się, by odejść. — Chciałbym z tobą pomówić.

Wyszli. Usłyszałam, jak Clay przeprosza za swoje wczorajsze zachowanie, ale szybko się wyłączyłam, nie chciałam im przeszkadzać. Ubrałam się, przeczesałam włosy, przejrzałam się w lustrze i wyszłam na korytarz. Jeremy i Clay wciąż tam byli.

— Zajmę się śniadaniem — rzekł Clay, zbiegając po schodach. — Baw się dobrze, kochanie.

— Oczywiście — zapewniłam. Schodząc na dół, obejrzałam się przez ramię na Jeremy'ego.

— Przepraszam za tamto. Że wyszliśmy z lasu nadzy. Nie spodziewaliśmy się gości.

— Bo niby skąd mieliśmy się ich spodziewać — rzekł, kierując mnie w stronę tylnych drzwi.  
— Nie musisz przeproszać. Powinnaś móc przychodzić i odchodzić, tak jak zechcesz. To przez te przekłete niespodziewane wizyty...

Pokręcił głową i nie dokończył.

— O co chodzi tym razem?

— Kolejna zaginiona osoba.

— Chłopak, którego znaleźliśmy tamtego dnia?

Jeremy pokręcił głową, otwierając i przytrzymując dla mnie drzwi.

— Tym razem szukają jednego z mężczyzn, który był w piątek na terenie posiadłości. Faceta w średnim wieku. Przywódcy.

— Zaginął?

— Nie tylko zaginął, ale w dodatku pozostawił wpierw wiadomość dla przyjaciela, że zamierza przyjść tu wczoraj w nocy. Coś go zaniepokoiło. Chciał jeszcze raz się tu rozejrzeć.

— O żesz w mordę.

— Sam lepiej bym tego nie ujął.

## NIEUFNOŚĆ

Grupę poszukiwawczą tworzyło sześć osób, trzech miejscowych gliniarzy i trzech cywilów. Jeremy, Peter, Nick i ja poszliśmy, aby pomóc im szukać, podczas gdy Antonio wrócił do domu, by mieć na oku Claya, na wypadek gdyby ten mimo wszystko złamał swoje przyrzeczenie, że nie będzie się wtrącał. Cała nasza czwórka odgrywała role prawych i zatroskanych obywateli,



przetrzęsając chaszczę i czujnie węsząc, by wychwycić to, czego moglibyśmy nie chcieć, aby odnaleźli intruzy. To, czego ja nie chciałam, by znaleźli, odkryli niestety dość szybko.

— Mam coś! — zawołał jeden z mężczyzn.

— Czy to Mike? — zawołał inny, biegnąc w jego kierunku.

Gdy wszyscy ruszyli w tę stronę, Nick, tłumiąc śmiech, krzyknął:

— Dajcie spokój. To... nic ważnego.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał pierwszy z mężczyzn. — Może ciebie to bawi, synu, ale...

Urwał, a gdy wyszliśmy na polanę, ujrzelśmy, jak jeden z poszukiwaczy pochyła się nad porwaną koszulą Ziemia usłana była strzępami materiału, kilka zwieszało się z gałęzi krzewów. Nick uniósł w dłoni połowę białych majteczek i uśmiechnął się do mnie.

— Dzikie psy? A może tylko Clayton?

— O Boże — szepnęłam pod nosem.

Podeszłam, by wyrwać mu z ręki resztki mojej bielizny, ale uniósł je nad głowę, szczerząc się jak uczeń.

— Ja mam coś, zgadnij co, to Eleny majtki są! — zawołał.

— Wszyscy widzieli już znacznie więcej — uciał Jeremy. — Myślę, że możemy śmiało kontynuować poszukiwania.

Peter zdjął koszulę Claya z nisko zwisającej gałęzi i uniósł w rękach, przyglądając się wielkiej dziurze w samym jej środku.

— Wy to potraficie narozrabiać. Czemu nie było tu ukrytej kamery?

— A więc to nie dzieło dzikich psów? — spytał jeden z poszukiwaczy.

Peter uśmiechnął się i rzucił koszulę na ziemię.

— Nie. Raczej buzujących hormonów.

Pozostali mężczyźni, którzy przestali w końcu popatrywać na mnie po incydencie z „nagą kobietą na podwórzu”, znów zaczęli na mnie zerkać z zaciekawieniem. Uśmiechnęłam się, starając się jednak nie szczerzyć przy tym zębów, i czym prędzej ruszyłam w głąb lasu.

Jeremy, dwóch poszukiwaczy i ja przeczesywaliśmy gąszcz w północno-wschodniej ćwiartce lasu, gdy usłyszeliśmy kolejne wołanie, tym razem tak nagłące, że natychmiast zerwaliśmy się do biegu. Gdy dotarliśmy na miejsce, Nick i dwóch poszukiwaczy stało nad ciałem.

Nick uniósł wzrok, wychwycił moje spojrzenie i po jego wzroku zorientowałam się, że robił, co mógł, by odwrócić uwagę tamtych. Jeremy i ja podeszliśmy do ciała i przyjrzelśmy mu się. To był ten zaginiony facet. Kołnierz koszuli miał rozszarpany i przesiąknięty krwią. Gardło ponad kołnierzem było całe w strzępach. Puste oczodoły zdawały się gapić na nas. Wrony lub jakieś inne ścierwojady dopadły go pierwsze, gdy tak leżał odsłonięty na polanie. Wydziobały mu oczy i nieco tkanek z twarzy, przez okrwawione dziury przezierały białe kości.

Strzępki tkanek zaścięłały przód jego koszuli i ziemię wokół głowy, jakby poszukiwacze spłoszyli ścierwojady podczas posiłku.

— Tak jak było z tamtymi — rzekł jeden z mężczyzn i odwrócił się.

— Z jedną różnicą — wtrącił inny. — Nie został pożarty. A przynajmniej nie przez psy. Lecz dopadły go ptaki. Ścierwa nie marnują czasu.

Młodszy mężczyzna pobiegł między drzewa. Po chwili rozległ się odgłos gwałtownych torsji. Dwaj pozostali ze współczuciem pokiwali głowami, ale obaj też byli trochę zieloni. Mój żołądek również zaczął dawać o sobie znać, choć nie miało to nic wspólnego z widokiem trupa. Kiedy młodszy mężczyzna przestał wymiotować, po krótkiej chwili wybiegł spomiędzy drzew.

— Chodźcie tu! Musicie to zobaczyć!

Wiedziałam, co znalazł. Wiedziałam i z trwogą

weszłam w gęszcz, by potwierdzić moje przypuszczenia, ale Jeremy dopilnował, bym ani na chwilę nie przystanąła. Gdy weszłam w las, słodkawy mdlący odór wymiocin sprawił, że żołądek podszedł mi do gardła. Spuściłam wzrok, podążając za palcem wskazującym chłopaka. W wilgotnej ziemi odcisnięte były ślady łap.

— Uwierzylibyście, jakie są wielkie? — rzucił chłopak. — Jak spodki! Tak jak mówiły te dzieciaki. Te psy są ogromne!

Przepatrując krzewy, dostrzegłam coś, co było zaczepione na cierniu opodał. Kępka sierści, mieniąca się złociście nawet wśród cieni. Podczas gdy wszyscy gapili się na ślady łap, podkrađłam się do krzaka, stanęłam przed nim, sięgnęłam za siebie i włożyłam kępkę sierści do kieszeni. Rozglądałam się przez chwilę, czy nie ma ich więcej. Gdy okazało się, że nie, ponownie przeniosłam wzrok na ślady łap, równie znajome jak odciski podeszew znajomych butów. Kiedy tak patrzyłam, zrobiło mi się niedobrze. Wreszcie rozczarowanie przerodziło się w coś innego. W gniew.

— Muszę iść — wymamrotałam, wychodząc z gęstwiny.

Nikt nie próbował mnie zatrzymać, ludzie uznali, że była to opóźniona reakcja na widok trupa, a Wataha wołała nie urządzać widowiska.

— Clayton! — krzyknęłam, gdy drzwi zamknęły się za mną z trzaskiem.

Clay pojawił się u wejścia do kuchni z drewnianą łyżką w dłoni.

— To nie potrwa długo. Wejdz i zajmij się kawą.

Nawet nie drgnęłam.

— Nie spytasz nawet, czy znaleźli zaginionego?

— To by sugerowało, że mnie to obchodzi.

— Znaleźli go.

— Świetnie, a więc pewnie właśnie odchodzą. Tym lepiej. A teraz chodź i...

— Znalazłam to przy jego ciele — rzekłam, wyjmując z kieszeni kępkę sierści.

— Ha. Wygląda jak moja.

— Bo jest twoja. Były tam też twoje ślady.

Clay oparł się o framugę.

— Moja sierść i moje ślady w lesie? Coś podobnego. Mam nadzieję, że nie sugerujesz tego, co myślę, kochanie, bo o ile dobrze pamiętasz, byłem z tobą przez całą ubiegłą noc, kiedy, jak mówił Tonio, zniknął ten mężczyzna.

— Nie było cię przy mnie dziś rano, kiedy się obudziłam.

Clay prychnął, nieomal upuszczając łyżkę.

— Nie było mnie pięć minut! Pięć minut, by wytropić i zabić faceta? Jestem dobry, ale nie aż tak.

— Nie wiem, jak długo cię nie było.

— Owszem, wiesz, bo ci mówię. Daj spokój, wiesz, że tego nie zrobiłem. Myśl, Eleno. Gdybym stracił panowanie i zabił tego faceta, powiedziałbym ci o tym. Poprosiłbym cię o pomoc w pozbyciu się ciała i ustaleniu, co powiem Jeremy'emu. Nie taplałbym się w stawie, podczas gdy jakiś martwy mężczyzna leży w lesie i tylko czeka, by natknęła się na niego kolejna grupa myśliwych.

— Nie spodziewałaś się tak szybko kolejnej grupy poszukiwaczy, więc sądziłaś, że masz jeszcze czas. Zamierzałaś ukryć zwłoki później, kiedy już się mnie pozbędziesz.

— To bzdura i doskonale o tym wiesz. Niczego przed tobą nie ukrywam. Nie okłamuję cię. Nigdy, przenigdy cię nie oszukałem.

Postąpiłam naprzód, spoglądając mu w oczy.

— Doprawdy? Jakoś nie pamiętam naszej rozmowy, zanim mnie ugryzłeś, w której wyjaśniłeś mi, co zamierzasz zrobić. Wybiórca amnezja. Wygodna rzecz, nie ma co.

— Nie planowałem tego — rzekł Clay, górując nade mną. Drewniana łyżka pękła na dwoje, gdy zacisnął dłoń w pięść. — Już to przerabialiśmy. Spanikowałem i...

— Nie chcę słyszeć twoich wymówek.

— Jak zawsze, prawda? Wolisz raczej mówić o tym, czego nie zrobiłem, i wymawiać mi to przy byle okazji! Po co ja się w ogóle bronię? Przecież masz już wyrobione zdanie o wszystkim, co zrobiłem i czego nie zrobiłem, znasz też powody, jakie mną kierowały. Nic, co powiem, nie zdoła tego zmienić.

Obrócił się na pięcie i wrócił do kuchni. Ja odwróciłam się w drugą stronę, weszłam do gabinetu i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Gdy tak siedziałam w gabinecie, ze zdumieniem uświadomiłam sobie, że wcale nie chcę stąd wyjeżdżać. Mimo utarczki z Clayem nie przepełniło mnie pragnienie natychmiastowego opuszczenia Stonehaven, owszem, ostatnia noc była pomyłką, ale konstruktywną. Straciłam czujność, poddając się najbardziej podświadomemu pragnieniu bycia ponownie z Clayem, i do czego doszło? W parę godzin później znów mnie okłamał. Nawet gdy byliśmy razem w lesie, gdy spałam, on folgował mrocznej stronie swojej natury. Nie zmienił się. Ja nie umiałam go zmienić. Był brutalny, samolubny i absolutnie niegodny zaufania. Jeżeli potrzebowałam jednej pożałowania godnej nocy, by sobie o tym przypomnieć, to warto było.

W jakieś dwadzieścia minut później drzwi do gabinetu otworzyły się i do środka zajrzał Nick. Siedziałam skulona w fotelu Jeremy'ego. Kiedy Nick otworzył drzwi, wyprostowałam się i usiadłam wygodniej.

— Mogę wejść? — zapytał.

— Czuję jedzenie. Jeżeli zechcesz się podzielić, to zapraszam.

Wślizgnął się do pokoju i położył na podnóżku talerz z naleśnikami i szynką. Naleśniki były proste, świeżo przyrządzone od podstaw, bez masła i syropu. Wzięłam jeden i pochłonęłam zbyt szybko, aby poczuć smak; nie chciałam pamiętać, kto je zrobił i dlaczego.

— Na zewnątrz już po wszystkim? — spytałam.

Nick rozsiadł się na kanapie.

— W zasadzie tak. Zjawili się paru gliniarzy. Jeremy odesłał mnie i Petera z powrotem.

Do gabinetu wszedł Antonio.

— Prowadzą oględziny miejsca? — zapytał, spychając nogi syna z kanapy i siadając obok niego.

Nick wzruszył ramionami.

— Chyba tak. Sprowadzili kamery i masę sprzętu. Ktoś z kostnicy ma przyjechać po ciało.

— Myślisz, że coś znajdą? — zwrócił się do mnie Antonio.

Miejmy nadzieję, że nic, co łączyłoby to zabójstwo z dzikim psem — odrzekłam. — Jeżeli nic nie wzbudzi ich podejrzeń, zamkną dochodzenie w miarę szybko i zajmą się poszukiwaniem psów. Nie ma sensu gromadzić dowodów, skoro domniemany zabójca i tak nie trafi pod sąd.

— Ale za to bez ostrzeżenia zarobi w łeb ze śrutówki — rzekł Antonio. — Jeżeli ci ludzie zobaczą w lesie choćby błysk sierści, będą strzelać. Gdybyśmy chcieli biegać, będziemy musieli znaleźć jakieś inne miejsce, daleko stąd i daleko od Bear Valley.

— Cholera — mruknął Nick, kręcąc głową. — Kiedy dowiemy się, kto jest za to odpowiedzialny, zapłacą za to.

— Ale ja wiem doskonale, kto za tym stoi — wtrąciłam.

Wyjęłam z kieszeni kępkę sierści i rzuciłam na podnóżek.

Nick patrzył nań przez chwilę. Wybałuszył oczy i przeniósł wzrok na mnie. Unikałam jego spojrzenia, nie chcąc dostrzec malującego się w nim niedowierzania. Antonio tylko raz zerknął na kępę sierści i usadowił się wygodniej, nie powiedział ani słowa.

Mniej więcej godzinę później zostałam w gabinecie sama, a pozostali udali się poszukać jakiegoś zajęcia lub bardziej przyjacielskiego towarzystwa. Gdy tak siedziałam, mój wzrok skierował się ku biurku pod przeciwległą ścianą. Na blacie wciąż leżały sterty papierów i czasopism antropologicznych. To mi przypomniało, jak poznałam Claya i jak wpakowałam się w cały ten bajzel. Kiedy studiowałam na uniwersytecie w Toronto, zainteresowałam się antropologią. Na drugim roku napisałam rozprawkę na temat religii antropomorficznych, które były specjalnością Claya, i umieściłam w niej dość odsyłaczy do jego prac, by rozpoznać jego nazwisko, gdy ujrzałam je w grafiku cyklu wykładów gościnnych na mojej uczelni. Jego publiczne wystąpienia były tak rzadkie, że na wykładach sale pękały w szwach i musiałam nieźle się napocić, by dostać się do środka. To była największa pomyłka mojego życia.

Nie wiem, co ujrzał we mnie Clay, że potraktował mnie inaczej niż z pogardą, jaką żywił wobec reszty ludzi. Twierdził, że zobaczył we mnie odbicie czegoś, co dostrzegał w sobie samym. Oczywiście to bzdura. W niczym go nie przypominałam, a jeżeli nawet, to dopiero po tym, jak mnie ugryzł. Pozostawiona sama sobie dorosłabym, zasymilowała się ze światem ludzi i byłabym idealnie szczęśliwą, przystosowaną do życia osobą, która pozostawiła za sobą cały bagaż dzieciństwa i gniewu. Jestem o tym przekonana.

— Krew — rzekł Clay, otwierając drzwi do gabinetu tak mocno, że aż trzasnęły o ścianę, dodając kolejne wgłębienie do tych, jakie nabierały się tam przez całą dekadę. — Co z krwią?

— Jaką krwią?

— Gdybym zabił tego faceta, miałbym na sobie jego krew.

— Zmyłeś ją w stawie. Dlatego wymyśliłeś tę bajeczkę o sprawdzaniu ciepłoty wody i to tłumaczy, dlaczego byłeś mokry.

— Wymyśliłem? Dlaczego, do... — Przerwał, wziął głęboki oddech i zaczął od nowa: — Dobra, założmy, że umyłem się w stawie i uznałem, że łatwiej mi będzie znaleźć wyjaśnienie, że jestem mokry, niż się wytrzeć, ale i tak musiałabyś poczuć na mnie krew. Tego zapachu niełatwo się pozbyć. Ale byłby słaby. Musiałabym się postarać, aby go zwęszyć.

— To spróbuj teraz. No, zrób to. — Spojrzał mi prosto w oczy. — Potraktuj to jak wyzwanie.

— Miałeś mnóstwo czasu, żeby go z siebie zmyć.

— Więc zajrzyj do mnie pod prysznic. Zobacz, czy jest tam mokro. Sprawdź ręczniki. Przekonaj się, czy są wilgotne.

— Do tej pory pozacieraleś wszystkie ślady. Nie jesteś głupi.

— Ale jestem na tyle głupi, by pozostawić w lesie ciało, a wokół niego moje ślady i kępki sierści? Po co się w ogóle staram? Nic, co powiem, nie odmieni twojego zdania. Wiesz czemu? Bo ty chcesz wierzyć, że ja to zrobiłem. Dzięki temu możesz się tu zaszyć i zadrećcać się myślami, że źle postąpiłaś, idąc za mną wczorajszej nocy, przekonać samą siebie, że znów mi się oddałaś, bo zapomniałaś, jakim jestem potworem.

— Nie o tym...

— Czyżby? — Postąpił naprzód. — Spójrz mi w oczy i powiedz, że nie to robiłaś przez ostatnią godzinę.

Łypnęłam na niego gniewnie, ale nic nie powiedziałam. Clay stał tam jeszcze przez co najmniej minutę, po czym wyrzucił obie ręce w górę w dramatycznym geście i obróciwszy się na pięcie, wyszedł z gabinetu.

W chwilę później zjawiał się Jeremy. Bez słowa podszedł do podnóżka, wziął do ręki kępkę sierści Claya, spojrział na nią odłożył i usiadł w fotelu.

— Nie wierzysz, że to zrobił, prawda? — spytałam.

Jeżeli tak powiem, spróbujesz przekonać mnie do swojej opinii. Jeżeli zaprzeczę, wykorzystasz to jako broń przeciwko niemu. Moje zdanie jest nieistotne. Ważne jest to, co ty myślisz.

— Byłam kiedyś u terapeuty, który tak mówił. Opuściłam go sobie po dwóch sesjach.

— Nie wątpię.

Nie wiedziałam, co mogę na to odpowiedzieć, milczałam więc. Udałam, że zainteresowała mnie misterny wzorek na perskim dywanie. Jeremy rozsiadł się wygodniej w fotelu i przyglądał mi się przez chwilę, po czym rzekł:

— Dzwoniłaś do niego?

— Do kogo? — spytałam, choć dobrze wiedziałam, kogo miał na myśli.

— Do faceta w Toronto.

— On ma imię, nie wątpię, że już je znasz.

— Dzwoniłaś do niego?

— Owszem. Przedwczoraj. Wczorajszy dzień był dość burzliwy, o czym wiesz doskonale, a dziś rano ze zrozumiałych względów byłam zajęta.

— Musisz dzwonić do niego codziennie, Eleno. Niech wie, że z tobą wszystko w porządku. Nie dawaj mu wymówki, aby tu dzwonił czy, nie daj Boże, przyjechał.

— Ma tylko numer mojej komórki.

— Nieważne. Nie możesz ryzykować. Clay wie o jego istnieniu, choć stara się o tym zapomnieć. Nie daj mu powodu, by sobie o nim przypomniał. I nie próbuj mnie oskarżać, że bronię uczuć Claya. Bronię Watahy. Nie możemy dopuścić, aby Claya coś teraz rozpraszało. No i nie możemy dopuścić, aby ten człowiek zapukał do naszych drzwi. Dość już mieliśmy niespodziewanych gości.

— Zadzwoń do niego.

— Później. Wysłałem Nicka, by ściągnął wszystkich na zebranie.

— Możesz streścić mi wszystko później.

— Zebranie oznacza, że mają się na nim stawić wszyscy — rzekł Jeremy. — Zebranie grupy oznacza, że ma się na nim stawić cała grupa.

— A jeśli nie należę do grupy?

— Należysz, dopóki przebywasz w Stonehaven.

— To się może zmienić.

Jeremy położył stopy na podnóżku i złożył głowę na oparciu fotela.

— Piękną mamy pogodę, nieprawdaż?

— Czy kiedykolwiek zdarza ci się rozmawiać o czymś, o czym nie chcesz rozmawiać?

— To przywilej wynikający z mego wieku.

Parsknęłam.

— To przywilej wynikający z twojej pozycji.

— To też.

Usta Jeremy'ego wykrzywił cień uśmiechu, jego czarne oczy rozbłyły. Rozpoznałam to spojrzenie, ale nazwanie go zajęło mi dłuższą chwilę. Wyzwanie. Czekał, bym na nowo wszczęła dyskusję, którą toczyliśmy, odkąd trafiłam do Watahy. Jako ktoś, kto należał niegdyś do demokratycznego społeczeństwa, ideę wszechpotężnego, nieomylnego przywódcy traktowałam co najmniej z przymrużeniem oka. Ile nocy wyklócałam się o to z Jeremym, tu, w tym gabinecie, popijając brandy, aż byłam zbyt zmęczona i pijana, by móc o własnych siłach wrócić do swego pokoju, i zwyczajnie zasypiałam tutaj, lecz nieodmiennie budziłam się we własnym łóżku?

Brakowało mi go. Nawet teraz, mieszkając razem z nim w jednym domu, było mi go brak. Wszyscy inni członkowie Watahy powitali mnie serdecznie, bez uprzedzeń, o nic nie pytając. Ale nie Jeremy. Nie zachowywał się wrogo ani nie trzymał się na dystans, ale nie był sobą. Był zachowawczy, jakby nie chciał sobie pozwolić na wylewniejsze emocje, dopóki nie upewni się, że znów mu nie ucieknę.

Sęk w tym, że sama nie byłam tego pewna.

Zastanawiałam się nad ripostą, mój umysł nieco zardzewiał, ale wciąż usiłował przypomnieć sobie dawne potyczki słowne. Tak jak myślałam, powieki Jeremy'ego opadły, a jego uśmiech przygasł. Dostrzegłam okazję i postanowiłam ją wykorzystać. Kiedy otworzyłam usta, gotowa powiedzieć, co tylko przyjdzie mi akurat na myśl, uchyliły się drzwi. Zjawili się pozostali i szansa, by pobyć z Jeremym sam na sam, przepadła.

Na początku spotkania Jeremy zakomunikował nam, że dopóki cała afera z policją nie przycichnie, nie wolno nam biegać na terenie posiadłości. Jeśli mieliśmy chęć pobiegać, musieliśmy udawać się do puszczy, daleko na północ stąd. Nie miałam nic przeciwko bieganiu w grupie i w normalnych okolicznościach uwielbiałam biegi z Watahą ale bieg jako zorganizowana impreza tracił cały swój czar i urok. Jeszcze trochę i przyjdzie nam wynająć autokar wycieczkowy, zabrać prowiant i śpiewać razem przez całą drogę...

Drugim punktem zebrania było określenie dalszego planu działania. Clay także w tej kwestii miał własne zdanie. Nawiasem mówiąc, podobnie jak ja, ale jakoś nie poderwałam się z miejsca i nie weszłam Jeremy'emu w słowo.

— Nie możesz mnie tu zostawić — zawołał Clay.

Brwi Jeremy'ego uniosły się nieznacznie.

— Nie mogę?

— Nie powinienes. To idio... To bez sensu!

— Wręcz przeciwnie. To absolutnie sensowne. I nie tylko ty tu zostaniesz.

Mruknęłam pod nosem, ale zachowałam spokój, mimo że Jeremy natychmiast spojrzał na mnie znacząco.

— Nie pozwolę, abyście ty i Elena nam towarzyszyli — ciągnął dalej — gdy przy byle okazji rzucacie się sobie wzajemnie do gardeł.

— Ale ja nic nie zrobiłem! — zaprotestował Clay. — Nawet nie oskarżyłeś mnie o zabicie tego faceta. Wiesz, że tego nie zrobiłem. Czemu więc miałbym zostać ukarany...

— To nie kara. Nie ma znaczenia, czy to zrobiłeś, czy nie. Dopóki się kłócicie, chcę, żebyście zostali w domu, gdzie możecie narobić szkód jedynie w meblach albo sobie nawzajem.

— Czemu każesz zostać nam obojgu? — spytałam.

— Bo nie potrzebuję żadnego z was. Nie zamierzam nikogo tropić ani z nikim walczyć. Chodzi tylko o proste zbieranie informacji. Nie wziąłbym was, nawet gdybyście się nie kłócili. To niepotrzebne ryzyko. Chcę dowiedzieć się więcej o tych kundlach. Nie zamierzam opierać się na informacjach z trzeciej ręki, więc pójdę sam i wezmę ze sobą Tonia i Petera w charakterze wsparcia. Nick też nie idzie z nami, a nie słyszę, żeby się skarżył.

— Jakoś nie wydaje mi się to wielką frajdą—wtrącił Nick.

Jeremy uśmiechnął się.

— Dokładnie.

— Ale... — zaczęłam.

— Minęła już pora lunchu — zauważył Jeremy, wstając. — Powinniśmy coś zjeść przed wyjściem.

Opuścił gabinet, zanim zdążyliśmy zaoponować, i pewnie to właśnie było jego zamiarem. Kiedy wyszedł, podniosłam się powoli.

— Chyba pokażę, że się do czegoś nadaję i zrobię coś do jedzenia.

Nick zaproponował, że mi pomoże. Clay nie zgłosił się do pomocy. Nie poszedł nawet za nami do kuchni, by nadzorować przebieg prac.

Po lunchu Jeremy, Antonio i Peter udali się na rekonesans. W ten sposób Jeremy zamierzał podjąć rękawicę rzuconą mu przez kundle. Wataha przywykła do radzenia sobie z jednym kundlem naraz. Jak już wspomniałam, kundle nie działają w tandemach. Nigdy. To oznaczało, że Wataha nie była przygotowana na to zagrożenie. Jako że Jeremy nie miał doświadczenia z atakiem kilku kundli równocześnie, nie spieszył się i cierpliwie zbierał informacje przed podjęciem jakichkolwiek kroków. To było logiczne i sensowne. Ale pod względem emocjonalnym było piekielnie wkurzające. Gdybym ja stała na czele Watahy, zajęłabym się przygotowaniem natychmiastowych bezpośrednich działań przeciwko kundlom, niezależnie od ryzyka. To właśnie dlatego Jeremy był alfą a ja tylko szeregowym żołnierzem.

Gdy tylko odeszli, udałam się do mojego pokoju, skąd zadzwoniłam do Philipa. Powiedziałam mu, że spędzę tu jeszcze kilka dni.

Westchnął przeciągle.

— Dobra. — Po chwili ciszy dodał: — Tęsknię.

— Ja...

— Nie bierz tego do siebie, kochanie. Po prostu tęsknię za tobą. Wiem, że robisz co konieczne, i nie mógłbym prosić, byś opuściła swoich kuzynów. Tyle tylko, że nie spodziewałem się, że tak długo to potrwa. — Przerwał, po czym cmoknął. — Już wiem. Burza mózgow. Może cię odwiedzę? Co ty na to, żebym przyjechał już jutro?

Zacisnęłam dłonie na aparacie, w moim mózgu rozległ się okrzyk „O cholera!” i z trudem stłumiłam w sobie narastającą panikę.

— Miałbyś stracić dzień urlopu? — spytałam, siląc się na beztroski ton. — Obiecałeś mi tydzień na Karaibach. W modnym kurorcie. Pamiętasz? Bardzo chciałabym się z tobą zobaczyć, ale nie kosztem naszego wyjazdu... No wiesz, tydzień alkoholu bez umiaru, słońca i...

Zachichotał.

— Dzień pomocy w opiekowaniu się wraz z tobą trójką dzieci to raczej kiepska rozrywka, co? Tak. Już rozumiem. Może zamienię się z Jamesem i będę pracował w przyszłą sobotę... choć wszystko na to wskazuje, że przyjdzie mi harować nie tylko w sobotę, ale i w niedzielę.

— Uhm-hm. Żadnych zamian w pracy, bo skończy się na tym, że nie będę cię widziała przez dobrych parę tygodni, nawet już po powrocie do domu.

— Masz rację. Jakoś przetrwam jeszcze tych parę samotnych dni. Ale gdyby to miało potrwać dłużej...

— Nie potrwa.

Rozmawialiśmy jeszcze przez kilka minut, po czym rozłączyliśmy się. Tylko kilka dni więcej. Nie dłużej. Tym razem nie miałam wyboru. Jeśli już wkrótce nie pofatyguję się z powrotem do Toronto, Philip załatwi sobie dzień wolny i zjawi się w Nowym Jorku. To byłoby. .. Nie, wolałam nawet o tym nie myśleć.

Po rozmowie z Philipem wyciągnęłam się na łóżku i odpoczywałam, drzemiąc, by nadrobić dwie prawie nieprzespane noce. Bez powodzenia. Martwiło mnie, że Philip mógł pojawić się w Stonehaven i mój poziom stresu podniósł się o kilka kresek. I wtedy przypominałam sobie, dlaczego wciąż pozostawałam w Stonehaven i pomyślałam o Loganie. Poczułam smutek przepełniający moje wnętrze, tak dojmujący, że nie mogłam myśleć o niczym, zwłaszcza o śnie. Wreszcie z pomocą przyszedł mi Nick, wchodząc bez zapowiedzi do mojego pokoju.

— Nigdy nie pukasz? — spytałam, siadając na łóżku.

— Nigdy. W przeciwnym razie przegapiłbym to co najciekawsze.

Odgarniając zasłony, uśmiechnął się dwuznacznie.

— Coś mnie ominęło?

— Wszystko.

— Wobec tego będę musiał pewnie zacząć coś samemu — odparł, uwalając się obok mnie na łóżku i opuszczając zasłonę. — Miło tu. Miło, cicho i przytulnie.

— Idealnie, aby się trochę przespać.

— Jeszcze za wcześnie, by spać. Mam cudowną propozycję.

— Nie wątpię.

Uśmiechnął się i nachylił, aby mnie pocałować, po czym odsunął się, by nie zarobić w twarz. Właściwie to dla odmiany myślałem o czymś innym. Jako że nie wolno nam biegać na terenie posiadłości, pomyślałem, że może pojechalibyśmy gdzieś dalej, aby pobiegać we trójkę.

— Biegałam wczorajszej nocy.

— Ale ja nie, a już wkrótce będę musiał przejść Przemianę.

— To jedź z Clayem. Nie rozumiem, czemu mielibyśmy jechać gdzieś we trójkę.

— Już z nim rozmawiałem. Pojedzie, ale tylko jeśli i ty się zgodzisz. Nie chce, by ktokolwiek został tu sam, na wypadek gdyby kundle postanowiły złożyć nam niespodziewaną wizytę.

— Jestem pewna, że nie zrobiłyby... — Przerwałam, bo uświadomiłam sobie, że to nie było nic pewnego. Przeszedł mnie dreszcz.

— Musisz biegać już dziś, tej nocy? To był długi dzień i...

— Myślałem o polowaniu.

— Nie jestem pewna, czy...

— O polowaniu na jelenia.

— Na jelenia?

Zaśmiał się.

— Od razu się ożywiła! Ile czasu minęło, odkąd polowałeś na coś większego niż królik? I założę się, że nie byłaś sama.

— On ma rację. — Głos Claya dochodzący zza zasłony zaskoczył nas oboje. Kiedy się odwróciłam, dostrzegłam jego sylwetkę, ale nie odgarnął zasłon.

— Polowanie to dobry pomysł — ciągnął Clay. — Mielibyśmy zajęcie, czekając na powrót Jeremy'ego. Nick musi przejść Przemianę, a tu przecież tego nie robi. Nie zostawię cię samej, Eleno. Jestem pewien, że zniesiesz jakoś moje towarzystwo przez godzinę czy dwie.

Już miałam odpowiedzieć, ale Clay szybkim krokiem wyszedł z pokoju. Zawahałam się przez chwilę, po czym odwróciłam się do Nicka i skinęłam głową. Uśmiechnął się i wybiegł z pokoju, a mnie nie pozostało nic innego, jak pospieszyć za nim.



# TROPIENIE

Pojechaliśmy moim wozem. Nick prowadził, a Clay siedział obok niego z przodu. Ja usiadłam z tyłu i drzemałam, toteż nikt nie liczył, że włączę się do rozmowy. Nie musiałam się martwić, Clay nie zamierzał wciągać mnie w luźną pogawędkę, a Nick wypełniał pustkę, gadając do każdego, kto tylko zechciał go słuchać.

Nick opowiadał o swoich ostatnich przedsięwzięciach biznesowych, miały one coś wspólnego z Internetem i nową firmą z którą współpracował. Nie chodziło o to, czy jego nowy projekt się powiedzie, tylko ile na tym straci. Konkretnie kwoty nie miały znaczenia, jako że Sorrentino byli tak bogaci, że Jeremy wyglądał przy nich jak ubogi krewny. Antonio prowadził trzy międzynarodowe firmy. Nick nie odziedziczył po ojcu talentu przemieniania wszystkiego, czego się dotknął, w złoto. Nick był playboyem, ot i wszystko. Nieustannie próbował uruchomić własną firmę, zyskując z tego tytułu tylko nowych przyjaciół i kochanki, ale w sumie nie żądał od życia niczego więcej. Jak reagował Antonio, widząc, że syn roztrwania jego fortunę? Jeszcze go do tego zachęcał. Antonio wiedział, że Nick był stworzony tylko do takiego stylu życia, był dzięki niemu szczęśliwy, a skoro było ich na to stać, to czemu nie? Ja, która przez całe życie ciulałam grosz do grosza, nie potrafiłam zrozumieć tej filozofii. Zazdrościłam im — nie chodziło o fakt, że mieli tyle pieniędzy, że mogliby nimi palić w kominku, ale o samą ideę dorastania w świecie, gdzie komuś bardziej zależało na twoim szczęściu, niż na tym, co zdołałeś w życiu osiągnąć.

Nick zawiózł nas na skraj lasu, z którego już kiedyś korzystaliśmy. Minął zaporę i wjechał na opuszczoną drogę dla przewozu drewna, szorując podwoziem o wertepy częściej, niż mogłabym zliczyć. Mój wóz nie był w najlepszej formie i podejrzewałam, że podwozie to bardziej rdza niż stal, choć nigdy nie starczyło mi odwagi, by potwierdzić te przypuszczenia. Jeremy oferował, że zajmie się naprawą bądź, jeszcze lepiej, kupi mi nowy samochód. Zrobiłam taką awanturę, że odtąd już nie próbował mnie kusić nowym lub odremontowanym samochodem. Co prawda nie miałam nic przeciw temu, aby ktoś przeprowadził generalny remont mojego camaro, choćby po to, by przedłużyć jego użyteczność, ale bałam się, że jeśli pozwolę Jeremy'emu zbliżyć się do niego, polakieruje wóz na różowo.

W głębi lasu Nick zatrzymał samochód i wrzucił automatyczną skrzynię biegów na „parkowanie”. Silnik zgasł przy wtórze nieprzyjemnego kaszlnięcia. Wolałam o tym nie myśleć, głównie dlatego, że mogło to oznaczać, że już nie zapali, a utknięcie tu, w nowojorskich lasach, poza zasięgiem komórek, z nieczynnym autem i dwoma facetami, którzy nie odróżniali oleju silnikowego odrozmrażacza, nie wróżyło niczego dobrego.

Gdy szliśmy głębiej w las, Nick ciągle mówił.

— Kiedy już uporamy się z tym bałaganem, powinniśmy coś zrobić. Może gdzieś pojechać. Zrobić sobie wakacje. Choćby do Europy. Clayton mówił, że wybierze się ze mną tej zimy na narty do Szwajcarii, ale się z tego wycofał.

— Wcale się nie wycofałem — rzekł Clay. Szedł przed nami, przedzierając się przez gąszcz, może starał się nam pomóc, a może tylko nie chciał iść obok mnie. — Nigdy nie mówiłem, że pojedę.

— Owszem, mówiłeś. Na Boże Narodzenie. Musiałem cię przycisnąć, żeby o to zapytać. — Nick odwrócił się do mnie. — W ciągu tego tygodnia, kiedy Wataha była w Stonehaven, prawie się nie pokazywał. Zaszyl się wśród ksiąg i papierów. Liczył na to, że przyjedziesz, a gdy ty nie... — Nick urwał, gdy Clay spiorunował go wzrokiem. — Tak czy owak, mówiłeś, że wybierzesz się na narty. Zapytałem cię, a ty odburknąłeś „tak”.

Clay warknął pod nosem.

— Właśnie. Dokładnie tak. No dobrze, to nie było konkretne „tak”, ale i nie stanowcza odmowa. Wobec tego jesteś mi winien wyjazd. Pojedziemy we trójkę. Dokąd chciałabyś pojechać, kiedy to wszystko się skończy, Eleno?

W pierwszej chwili zamierzałam powiedzieć: „Do Toronto”, ale zmiękczyłam się. Zniweczenie w ten sposób planów Nicka byłoby jak powiedzenie dziecku, że nie ma Świętego Mikołaja i to tylko dlatego, że miałeś akurat kiepski dzień w pracy. To nieuczciwe, a on na to nie zasługiwał.

— Zobaczmy — odparłam.

Clay obejrzał się przez ramię i spojrzał mi prosto w oczy. Wiedział doskonale, co miałam na myśli. Skrzywił się, odsunął z drogi zwisającą nisko gałąź, po czym oddalił się, by znaleźć sobie odpowiednie miejsce do Przemiany.

— Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł — powiedziałam do Nicka, kiedy Clay już zniknął. — Może powinnam poczekać w samochodzie.

— Daj spokój. Nie rób tego. Będiesz mogła w ten sposób trochę się wyluzować. Po prostu go zignoruj.

Przyznałam mu rację. To znaczy właściwie tego nie zrobiłam, bo Nick zniknął, zanim zdążyłam zaproponować, a on miał kluczyki od mojego auta.

Zignoruj Claya. Dobra rada. Doskonała. Ale w praktyce równie przydatna jak powiedzenie osobie cierpiącej na lęk wysokości: „Nie patrz w dół”.

Kiedy po Przemianie wyłoniłam się z gęstwiny, Clay już tam był. Cofnął się, kręcąc nosem. Potem rozdziawił pysk i wywalił jęzor w wilczy uśmiechu, jakbyśmy w ogóle się nie kłócili. Szukałam w sobie gniewu, wiedziałam, że musi tam być, ale nie potrafiłam go znaleźć, jakby został za mną wśród krzewów wraz z porzuconym ubraniem.

Przez chwilę patrzyłam na Claya, po czym ostrożnie zaczęłam go obchodzić. Już prawie go minęłam, gdy odwrócił się i dał susa w bok, chwytając mnie za tylną łapę i powalając na ziemię. Upadłam, a on skoczył na mnie. Przeturlaliśmy się przez gąszcz, wpadliśmy na pień młodego drzewka i spłoszyliśmy wiewiórkę, która skrzecząc, pobiegła szukać spokojniejszego miejsca. Kiedy w końcu wyslizgnęłam się spod Claya, podźwignęłam się na nogi i pobiegłam. Słyszałam, jak przedziera się za mną przez chaszczę. Jakieś dziesięć metrów dalej usłyszałam pisk, a potem ziemia zatrzęsała się, kiedy Clay upadł. Obejrzałam się wstecz, by ujrzeć, jak szarpie i rozdziera pnące, które owinęło mu się wokół przedniej łapy. Zwolniłam, by wrócić do niego, on jednak już się uwolnił i pobiegł dalej. Uświadomiwszy sobie, że tracę przewagę, pognałam naprzód, wyrznęłam w coś twardego, wywinęłam kozła i wylądowałam w pokrzywach.

Uniosłam wzrok, by ujrzeć stojącego nade mną Nicka. Z warknięciem, chcąc zachować resztki godności, podniosłam się z ziemi. Nick cofnął się i patrzył z rozbawieniem w oczach, jak wyplątuje się z pokrzyw. Kątem oka dostrzegłam, jak podkrada się do niego Clay. Przywarował, unosząc lekko zad do góry. W chwilę potem skoczył, przewracając Nicka w pokrzywy. Gdy Nick zaczął gramolić się z ziemi, minęłam go z pogardliwym parsknięciem mówiącym:

„Masz za swoje”. Złapał mnie za przednią łapę i przewrócił. Mocowaliśmy się przez chwilę, ale w końcu mu się wyrwałam i pobiegłam za Clayem.

Podczas gdy Nick uwalniał się z pokrzyw, Clay potarł pyskiem o mój, jego gorący oddech rozczesywał sierść na mojej szyi. Zanim uświadomiłam sobie, że jestem na niego wściekła, odpowiedziałam tym samym pieśczośliwym gestem. Nick po chwili zaczął krążyć wokół nas, ocierając się i wężąc na powitanie. Gdy za długo obwąchiwał okolice mojego ogona, Clay warknął groźnie, a Nick zaraz się cofnął.

Po kilku minutach rozdzieliliśmy się i zaczęliśmy biec, Clay i ja z przodu, a Nick w pewnej odległości za nami. Las był pełen rozmaitych woni, włącznie z piżmowym zapachem jelenia, w większości jednak były to tylko wspomnienia dawnych tropów i zaschniętych od dawna odchodów. Przebiegliśmy prawie kilometr, zanim wychwyciłam woń, o którą mi chodziło. Świeży trop jelenia. Poczułam przypływ nowej energii i pognałam przed siebie. Nick i Clay biegli za mną przez las niemal w zupełnej ciszy. Zdradził ich tylko szelest zeschniętego poszycia pod ich łapami. Naraz wiatr się zmienił i przywiał woń jelenia bezpośrednio w naszą stronę. Nick zaskomlał i zrównał się ze mną, próbując mnie wyprzedzić. Kłapnęłam na niego zębami, wrywając kępkę ciemnej sierści, gdy uskoczył w bok.

Gdy uporałam się z Nickiem, zrozumiałam, że Claya nie było już za nami. Zwolniłam i zawróciłam. Stał jakieś pięć metrów dalej, poruszając nosem i wężąc intensywnie. Kiedy podbiegłam, wychwycił mój wzrok i zrozumiałam, czemu się zatrzymał. Byliśmy blisko. Nadszedł czas, by opracować plan. Mogło wydawać się głupie uważać jelenia za niebezpieczne zwierzę, ale nie byliśmy jak ludzcy myśliwi, którzy nie zbliżają się do ofiary na więcej niż dwadzieścia pięć metrów. Cios rogami może rozplątać wilkowi brzuch. Celne kopnięcie racicą może rozłupać czaszkę. Clay miał na udzie trzy- dziesiętcentymetrową bliznę, pamiątkę po kopnięciu jelenia. Nawet prawdziwe wilki wiedzą, że łowy na to zwierzę wymagają starannego zaplanowania i ostrożności.

Planowanie nie polegało rzecz jasna na dyskusji na ten temat, bo przecież w wilczej postaci komunikacja werbalna nie wchodziła w grę. W przeciwieństwie do ludzi mieliśmy coś lepszego: instynkt i mózg wypełniony sprawdzonymi od tysięcy pokoleń wzorcami. Mogliśmy oszacować sytuację, opracować plan, a do komunikowania się wystarczały nam spojrzenia. A przynajmniej mnie i Clayowi. Jak w przypadku wielu wilkołaków, Nick albo nie był dostrojony do informacji przesyłanych przez jego wilczy umysł, albo jego ludzki mózg im nie ufał. To bez znaczenia. Clay i ja byliśmy tu alfami, Nick miał jedynie wykonywać rozkazy.

Ruszyłam na wschód, wężąc, i znów wychwyciłam woń jelenia. Samotnego byka. To oznaczało, że nie musieliśmy martwić się o oddzielenie zwierzęcia od stada. A jednak byk był groźniejszy od łani, zwłaszcza taki, który miał rozłożyste poroże. Clay zbliżył się do mnie, pociągnął nosem i rzucił mi spojrzenie zdające się mówić: „Co tam, raz się żyje”. Parsknęłam, przyznając mu rację, i wróciłam do Nicka. Clay nie poszedł za mną. Znów pomknął w las i zniknął. Plan był opracowany.

Nick i ja krążyliśmy po lesie, przemieszczając się z wiatrem, zanim znów zaczęliśmy węszyć. Odnależliśmy byka skubiącego trawę przy gęstwinie krzewów. Nick, czekając na sygnał, szturchnął i ocierał się o mnie, skamląc zbyt cicho, by jelen mógł go usłyszeć. Zawarczałam gardłowo i przestał. Jeleń uniósł łeb i rozejrzał się dokoła. Gdy znów zaczął się pożywiać, skuliłam się w sobie i skoczyłam. Jeleń znieruchomiał tylko na ułamek sekundy, nim przeskoczył nad krzakami i zerwał się do galopu. Nick i ja rzuciliśmy się za nim, ale dystans między nami a bykiem rósł. Wilki nie są sprinterami, lecz długodystansowcami i aby dopaść uciekającego jelenia, musieliśmy go zmęczyć.

Jak to często bywa, jelen popełnił fatalny błąd, wykorzystując zbyt wiele energii w początkowym etapie ucieczki. Niebawem zaczął zwalniać, dyszeć, parskać, z trudem łapiąc oddech, zbyt

przerażony, by mógł się uspokoić. Ja też byłam zdyszana, sporo wysiłku kosztowało mnie odnalezienie byka i pościg za nim. Do dalszego biegu skłaniała mnie piźmowa, kusząca woń jelenia, od której aż burczało mi w brzuchu.

Wychwyciłam w powietrzu zapach Claya i nakierowałam jelenia na niego. Kiedy tak biegliśmy, przerażenie byka wciąż rosło. Zwierzę galopowało co sił, przeskakując nad zwalonymi drzewami i przedzierając się przez chaszczę. Gałęzie krzewów i szorstka kora drzew rozorywały mu boki, w powietrzu unosiła się woń posoki. Gdy skręciliśmy, Clay wyskoczył z gęstwiny i chwycił jelenia za nos. Byk zatrzymał się ślizgiem i mocno potrząsnął łbem, próbując uwolnić się od Claya. Tymczasem my zdążyliśmy do nich dobiec. Wślizgnęłam się pod jelenia i zatopiłam kły w jego brzuchu. Poczułam smak gorącej krwi pod warstwą tłuszczu i pociekła mi ślina. Nick zaatakował jelenia z boku kłami i pazurami, uskakując, zanim jeleni zdążył dotrzeć do rogami lub kopytami. Clayem rzuciło z boku na bok, ale nie puszczał ofiary. To był schemat wydobyty z najdalszych głębi pamięci — wgrzyźć się w pysk ofiary, a będzie za wszelką cenę próbować się uwolnić, nie zważając na zagrożenie ze strony innych napastników.

Gdy tak wczepiłam się w podbrzusze jelenia, rozrywając i wżerając się coraz głębiej, przez cały czas tańczyłam na tylnych łapach, by znaleźć się poza zasięgiem kopyt. Kiedy wygryzłam w brzuchu zwierzęcia strzępiastą dziurę, rozluźniłam na moment uchwyt i przesunęłam się nieco wyżej. Z pierwszego otworu zaczęły wypływać wnętrzności, ta woń nieomal doprowadziła mnie do szaleństwa. Krew lała się także z miejsc atakowanych przez Nicka, boki jelenia stały się śliskie i trudne do uchwycenia. Wgryzłam się mocniej, czując, moje kły przebijają się przez skórę, by dotrzeć do witalnych organów. W końcu przednie nogi jelenia ugięły się pod nim. Clay puścił nos zwierzęcia i rozszarpał mu gardło. Jeleń ciężko runął na ziemię.

Kiedy byk upadł, Nick cofnął się i znalazł obok miejsce, by się położyć. Clay opuścił łeb i spojrzął na mnie. Pysk miał cały unurzany we krwi. Oblizalam go i położyłam się przy nim, czując dreszcze wywołane przez krążącą w jego ciele adrenalinę. Pod nami kończyny jelenia wciąż jeszcze drżały nieznacznie, ale oczy patrzyły przed siebie bez życia. Gdy wgryźliśmy się w jego bok, w chłodne wieczorne powietrze wzbiły się kłęby pary. Zaczęliśmy się pożywiać, wrywając kawałki mięsa i pożerając je w całości. Kiedy najedliśmy się do syta, podszedł Nick i zaczął się posilać. Clay wyszedł na polanę i popatrzył na mnie. Podążyłam za nim i położyłam się obok niego. Clay nieco zmienił pozycję, położył jedną łapę na mojej szyi i zaczął oblizywać mój pysk. Zamknęłam oczy, gdy to robił. Kiedy oczyścił moją szyję i ramiona z krwi, ja zajęłam się nim. Nick skończył jeść i też położył się obok nas, a potem usnęliśmy razem w kłębowisku splecionych kończyn i różnobarwnej sierści.

Nie pospaliśmy długo, bo Clay nagle się poderwał, przewracając Nicka i mnie na ziemię. Obudziłam się, kiedy rąbnęłam głową o kamień. Podźwignęłam się spięta, wypatrując zagrożenia. Byliśmy na polanie zupełnie sami. Zapadła noc, przynosząc ze sobą odgłosy przyrody, zew polujących i krzyki ich ofiar. Warknęłam na Claya i położyłam się, by kontynuować drzemkę. Szturchnął mnie pyskiem w żebra i zaczął węszyć, nakazując mi zrobić to samo. Łypnęłam na niego, ale zrobiłam, mi kazał. W pierwszej chwili nic nie poczułam. Nagle zmienił się wiatr i zrozumiałam, co go tak gwałtownie obudziło. Ktoś tu był. Inny wilkołak. Zachary Cain.

Clay zniknął, gdy tylko zorientował się, że zrozumiałam. Leżący obok Nick wciąż jeszcze budził się ciężko ze snu. Łypnęłam na niego, po czym zaczęłam biec, przekonana, że podąży za mną nie wiedząc nawet dlaczego. Na skraju polany woń Caina była jeszcze silniejsza. Podążyłam za nosem do pobliskiego gąszczu. Zdeptana, wygnieciona trawa cuchnęła wonią Caina. Leżał tu, na tyle blisko, że mógł wychylić łeb spomiędzy jeżyn, obserwując, jak śpimy. Coś mi w tym schemacie nie grało, ale nie wiedziałam dlaczego. Ludzka część mnie chciała usiąść i rozważyć

ten problem, ale wilcza wyłączyła mój umysł i zmusiła do pracy nogi. W pobliżu był intruz, z którym należało się rozprawić.

Nawet jeśli zawahałam się w pobliżu jeżyn, Nick zachował się inaczej. Wsunął noc między krzewy, wziął głęboki oddech, wycofał się i pobiegł za Clayem. Po raz pierwszy to ja zostałam z tyłu. Tamci dwaj oddalili się na tyle, że nie widziałam ich ani nie słyszałam i musiałam podążać tropem Claya. Trop wił się przez las wśród drzew rosnących tak gęsto, że przesłaniały gwiazdy i księżyc. Choć mój wzrok w nocy spisywał się doskonale, potrzebowałam przynajmniej odrobiny światła, aby mógł funkcjonować. Tu było ciemno, choć oko wykol. Dostrzegałam tylko majaczące kształty pni drzew i krzewów, ciemne cienie na ciemniejszym tle. Zwalniając, opuściłam nos do ziemi i ruszyłam dalej, wyłapując trop Claya.

Po drugiej stronie gęsto porośniętej niecki drzewa rozstępowały się, dopuszczając nieco księżycowego blasku. Gdy przyspieszyłam, od północy dobiegł szelest wśród chaszczki, coś przedzierało się przez poszycie. To nie był Clay ani Nick. Nawet Nick przebijał się przez las z większą finezją. Porzucając trop Claya, skierowałam się na północ. Przebiegłam prawie pół kilometra, gdy gdzieś za sobą poczułam wibrację biegnących łap uderzających o ziemię. To byli Clay i Nick. Rozpoznałam ich, nawet nie widząc, więc nie zwolniłam. Jako że biegłam na przelaj, nie byłam tak szybka jak oni i wkrótce usłyszałam za sobą rytmiczny oddech Claya. Ominęliśmy wielki występ skalny. Gdzieś za nami rozlegał się trzask łamanych gałęzi. Odwróciwszy się, ujrzałam rudobrazowy cień wyłaniający się spoza skały i gnający w przeciwnym kierunku.

Wbiłam pazury w miękką glebę, aby się zatrzymać, zakręciłam i popędziłam za Cainem. Tylko jeden z moich towarzyszy zrobił to samo — Nick. Clay zniknął, wybierając inną drogę w nadziei, że zdoła przeciąć Cainowi drogę, jak wcześniej jeleniowi. Cain podążał dalej szlakiem, który pokonywałam na przelaj, zwracając w stronę, skąd nadbiegł. Pół kilometra dalej skręcił na wschód. Kierował się ku drodze, licząc, że nam ucieknie. Wystrzeliłam naprzód i zbliżyłam się do niego na tyle, że włosy z jego ogona musnęły mój nos. Wtem zahaczyłam łapą o jakąś nierówność terenu i poślizgnęłam się, a to wystarczyło, aby Cain zyskał nade mną kolejne pół metra przewagi. Nick mnie wyprzedził. Zwolniłam nieznacznie, by odzyskać choć trochę sił. Las przed nami kończył się, na jego skraju rozciągała się droga. Skręciłam w lewo, by odrobić kilka metrów, przewidując trasę ucieczki Caina. On jednak nie skręcił. Biegł coraz dalej w las.

Widząc, co robi Cain, spojrzałam przed siebie i ujrzałam na północnym wschodzie niewielką przecinkę. Kiedy Cain nie podążył w tę stronę, ja to zrobiłam. Nick siedział Cainowi na ogonie, nie tyle próbując go dogonić, co raczej usiłując zmęczyć. Ja skierowałam się ku kamienistemu pagórkowi. Gdy zaczęłam się nań wspinać, poczułam woń Claya. Teren stawał się coraz bardziej niedogodny i trudny, zwalniałam coraz bardziej i miałam coraz mniej możliwości potencjalnych skrótów. W połowie zbocza poślizgnęłam się na kamieniach i rozciąłam przednią łapę o krawędź jednego z nich. Stęknęłam, ale biegłam dalej. Dotarwszy na szczyt wzgórza, stwierdziłam, że wysiłek się opłacił. Mogłam stąd spojrzeć w dół i zlustrować całą okolicę. Od wschodu dostrzegłam złocisty błysk, gdy Clay przedzierał się wśród drzew. Jako niemal całkiem czarny wilk, Nick nocą był prawie niewidzialny, ale po chwili zauważyłam trzęsące się daleko w dole drzewa. Podążyłam za szlakiem kołyszących się drzew i krzewów. Zmierzały w tę stronę. Oszacowałam ich przybliżoną trasę biegu i zaczęłam się w miejscu, gdzie, jak sądziłam, powinni się pojawić. Zostałam wynagrodzona trzaskiem gałęzi dokładnie na wprost mnie. W kilka sekund później spomiędzy krzewów wystrzelił masywny kształt.

Ujrzawszy mnie na swojej drodze, Cain zatrzymał się. Warknął i opuścił głowę. Jego zielone oczy rozbłysły, a ciemnoblond sierść zjeżyła się, przez co wydawał się teraz o parę centymetrów wyższy. To było zbędne — Cain nie musiał posuwać się do takich sztuczek, aby wyglądać imponująco. W ludzkiej postaci mierzył ponad dwa metry, a do tego miał szeroką klatkę pier-

siową i bary zawodowego futbolisty. W wilczej postaci był ode mnie dwa razy większy. Rozchyliłam wargi i zawarczałam, ale wyglądałam równie groźnie jak szpic miniaturowy usiłujący zastraszyć pitbula. Jakaś część mego umysłu podsyczonego adrenaliną upierała się, że mogłabym pokonać Caina niezależnie od różnicy wielkości i wagi. Inna zastanawiała się, gdzie, u licha, podziewali się Nick i Clay. Najgłośniejsza krzyczała: „Uciekaj, kretynko, wiej!”.

Kiedy tak sobie myślałam, Cain nagle odwrócił się... i rzucił do ucieczki. Przez chwilę nie mogłam się poruszyć, nie wierzyłam własnym oczom. Cain uciekał? Przede mną? Niezależnie jak mile łechtało to moje próżne ego, zdrowy rozsądek podpowiadał coś innego. Czemu więc uciekał? Wilczy instynkt znów nie pozwolił na rozważenie tej kwestii. Kiedy Cain zniknął w dole zbocza, włączył się mój instynkt i pobiegłam za nim.

Pokonałam zaledwie kilka metrów, gdy coś spadło mi na plecy i zbiło z nóg. Odwróciłam się, by ujrzeć stojącego nade mną Claya. Próbowałam się podnieść, ale mnie przytrzymał. Oszalał? Cain uciekał. Kłapnęłam zębami, chwytając go za przednią łapę, i pociągnęłam, warcząc. Schwycił mnie za podgardle i przyszpilił do ziemi. Wyobrażałam sobie Caina, który z każdą chwilą coraz bardziej się oddalał. Szamotałam się, ale Clay okazał się silniejszy. Nie puścił. W końcu zrozumiałam, że było już za późno. Cain uciekł. Przez chwilę Clay się zawahał. I nagle pobiegł, nie za Cainem, tylko w przeciwną stronę. Kiedy podźwignęłam się z ziemi, popędziłam za nim. Podążyłam za jego tropem w poblizze polany, gdzie wyczułam zapach jego porzuconego ubrania. Właśnie tam się Przemieniliśmy. Wychyliłam łeb spomiędzy krzewów, by ujrzeć Claya w trakcie odwrotnej Przemiany, plecy miał wygięte w łuk, jego skóra pulsowała i falowała, był zbyt pochłonięty transformacją, aby mnie zauważyć. Znieruchomiałam zdezorientowana. W końcu poszukałam swoich rzeczy i też się Przemieniłam.

Gdy wyszłam z powrotem na polanę, Clay już na mnie czekał.

— Gdzie Nick? — zapytał Clay, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. — Cholera! On ma kluczyki! Przecież był tuż za tobą!

— O czym ty mówisz?

Clay wbiegł w gęstwiny, rozglądając się wokoło.

— Nie rozumiesz? On próbował nas zwozić, grał na czas, chciał nas zatrzymać.

— Nick?

— Cain. — Clay zniknął mi z oczu, tylko spomiędzy drzew płynęło echo jego grzmiącego głosu. — Spaliśmy, ale nas nie zaatakował. Goniliśmy go, ale nie próbował walczyć ani uciekać. Przez niego krążyliśmy w kółko. Nicholasie!

— Ale dlaczego...?

— Jeremy. Postanowili uderzyć w Jeremy'ego. Niech to szlag! Przypuszczalnie obserwowali dom, a my nawet... Tu jesteś!

— Chwila. — Z ciemności dobiegł głos Nicka. — Czy mogę przynajmniej wciągnąć spodnie?

Clay wyłonił się spomiędzy krzewów, ciągnąc Nicka za rękę.

— Do samochodu! Oboje! Biegiem!

Pobiegliśmy.

# ZASADZKA

W drodze do Bear Valley Clay prowadził, Nick siedział z tyłu, a ja na przednim fotelu, gdzie były lepsze pasy bezpieczeństwa. Tak jak się tego obawiałam, ca- maro nie miał ochoty ruszyć. Kiedy silnik się krztusił, Clay wcisnął gaz do dechy, podwyższył obroty do maksimum, po czym wrzucił wsteczny, nie zważając na podejrzone brzęczenie spod maski. Zmuszony do uległości samochód w końcu się poddał i posłusznie powiózł nas do Bear Valley.

— Nie ten zjazd. Następny — powiedziałam, gdy Clay chciał skorzystać z pierwszego zjazdu do Bear Valley. — Jedź na wschodni koniec miasta. Do hotelu.

— Do hotelu?

— Nie ma po co gonić za cieniem po całym Bear Valley, jeżeli kundle nawet nie opuściły hotelu. Może jeśli ich tam nie będzie, uda mi się wychwycić ich trop.

Clay mocniej zacisnął dłonie na kierownicy. Wiedziałam, że był pewien, iż kundle zamierzały zaatakować Jeremy'ego, a odwiedziny w hotelu były w jego mniemaniu tylko stratą cennego czasu. A jednak to miało sens. Zamiast odpowiedzieć, ostro wrócił na autostradę, zjeżdżając tuż przed ciężarówką wyładowaną drewnem. Przez resztę drogi nie otwierałam oczu.

Gdy dojechaliśmy do hotelu, Clay zatrzymał wóz na miejscu dla inwalidów obok wejścia i zerwał się z fotela, zanim jeszcze silnik zupełnie ucichł. Wyrwałam kluczyk ze stacyjki i pospieszyłam za nim. Tym razem nie trudził się, by zwieść recepcjonistę. Na szczęście w recepcji nie było nikogo. Clay wbiegł po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. Dopadł do drzwi pokoju LeBlanca, sforsował świeżo naprawiony zamek i wpadł do środka, nie zważając na to, czy wewnątrz ktoś był. Wyszedł z pokoju, zanim dotarłam na górę.

— Nie ma ich — powiedział, mijając mnie i zbiegając po schodach.

Mniej więcej w połowie drogi zorientował się, że wciąż wspinałam się na górę i odwrócił się.

— Mówiłem, że ich nie ma.

— To nie jest ich jedyny pokój — odrzekłam. — Marsten za żadne skarby nie nocowałby w jednym pokoju z innym kundlem.

Clay warknął coś, ale ja szłam już w głąb korytarza, przystając przy każdych drzwiach, by wychwycić zapach Caina albo Marstena. Clay wrócił po schodach na górę i podszedł do mnie.

— Nie mamy czasu...

— To idź — odparłam. — Po prostu idź.

Nie zrobił tego. Trzy pokoje od pokoju LeBlanca przystanąłam.

— Cain — rzekłam, sięgając dłonią do klamki.

— Czuję. Idź dalej i znajdź Marstena.

Marsten zajmował sąsiedni pokój. Podczas gdy Clay sprawdzał pokój Caina, ja włamałam się do pokoju Marstena. Jeżeli nie liczyć włoskiej walizki ze skóry leżącej w kącie, miejsce to wyglądało na niezamieszkałe. Łóżko było posłane, stoliki wyglądały nieskazitelnie, ręczniki wisiały na wieszakach. To był bez wątpienia pokój Karla Marstena. Jeżeli konieczność zmusiła

go do wynajęcia pokoju w podrzędnym hotelu, nie zamierzał spędzać tu więcej czasu niż to konieczne. Już miałam wyjść z pokoju, gdy wyczułam inny znajomy zapach.

— Jeremy — rzekł zza moich pleców Clay, wchodząc do pokoju.

Podszedł do okna balkonowego i rozsunął zasłony. Drzwi były lekko uchylone, jakby ktoś przymknął je od zewnątrz, gdzie nie było klamki.

— Nie ma go—powiedziałam. — Musiał sam się tu rozejrzeć.

Clay pokiwał głową mijając mnie w stronę drzwi. Wróciliśmy do samochodu. Clay zaczął krążyć po parkingu w poszukiwaniu mercedesa lub acury. Określenie krążyć może być nieco mylące — powinnam powiedzieć raczej, że miotał się jak szalony od jednego miejsca parkingowego do kolejnego. W końcu na tyłach sklepu odzieżowego odnaleźliśmy acurę Marstena.

Mogłam się tylko domyślać, że to jego wóz, ale prawdopodobieństwo było spore. Mieszkając w Chicago, LeBlanc mógł mieć stałe dochody, jednak sądząc po wyglądzie hotelowego pokoju, nie wyrzucał lekką ręką forsę na luksusowe auta. Marstenowi tymczasem nieźle się powodziło... o ile złodziejską karierę można uznać za sukces. Wśród kundli złodziejski fach był numerem jeden na liście zawodów. Styl życia nie zachęcał ich do pozostawiania w jednym mieście na tyle długo, by znaleźć stałą pracę. A nawet gdyby chcieli gdzieś zapaść korzenie, i tak nie trwało to długo. Wataha rutynowo przeganiała kundle, które sprawiały wrażenie, że chciałyby porzucić koczowniczy tryb życia. Znalezienie dla siebie domu oznaczało zagarnięcie terytorium, a to było domeną Watahy. Dlatego większość kundli krążyła od miasta do miasta, kradnąc, ile się da, by pozostać przy życiu. Niektórym wiodło się nieco lepiej. Marsten specjalizował się w klejnotach z szyj i sypialni samotnych starych panien w średnim wieku. Miał pieniądze i uważał się za lepszego od innych wilkołaków. Dla Watahy nie miało znaczenia, że posługiwał się pięcioma językami i nie pijał wina młodszego niż on sam. Kundel pozostawał kundlem.

Clay podjechał do acury, po czym wdepnął pedał gazu i wyjechał z parkingu.

— Nie śledzimy ich? — zapytał Nick, przechylając się nad fotelem.

— Nie obchodzi mnie, gdzie są tamci. Interesuje mnie, gdzie jest Jeremy.

Mercedesa Antonia znaleźliśmy na parkingu przy papierni kilka przecznic dalej. Ten trop był dla mnie łatwy do wyśledzenia, zapachy tak znajome, że mogłam pozwolić, by mój mózg działał sam, a ja koncentrowałam się tylko na tym, co znajdowało się przede mną, wypatrując kolejnych śladów.

Trop wiódł obok redakcji miejscowej gazety, magazynu, gdzie odbyła się impreza rave i baru country przy głównej ulicy. Mijając te miejsca, byłam w stanie podążać za logiką rozumowania Jeremy'ego: gazeta, by poznać najświeższe wieczorne wiadomości, kafejka, by posłuchać najnowszych plotek, i magazyn, by rozejrzeć się, czy niczego nie przeoczyliśmy. Sprawa knajpy pozostawała dla mnie niejasna, dopóki nie wychwytiłam kwaśnego odoru moczu, w miejscu gdzie Cain odlał się pod tylną ścianą budynku, zapewne po suto zakrapianym wieczorze. Stamtąd trop wiódł z powrotem w stronę papierni, gdzie stał wóz Antonia.

— Wracają — rzekł Nick. — Założę się, że właśnie się z nimi minęliśmy.

Przeszliśmy jeszcze z pięć kroków, gdy nagle ze sterty śmieci zasyczał na nas kot. Nick zawarczał na niego. Kot zmrugał ślepią, a jego ogon zwinął się w znak zapytania.

— Zostaw kota — rzuciłam. — Jest za chudy, żeby się nim najeść, a poza tym na pewno żyłasty.

Kiedy się odwróciłam, dostrzegłam coś, co wystawało spod worków ze śmieciami. W pierwszej chwili wyglądało to jak cztery blade kamyki wystające pomiędzy dwóch worków. Widok był tak zaskakujący, że podeszłam w tę stronę, ignorując odór odpadków zabijający wszystko inne. Gdy się zbliżyłam, zorientowałam się, że w rzeczywistości były to koniuszki czterech palców.



— Cholera — mruknełam. — Spójrzcie na to. Albo kundle stają się nieostrożne, jeżeli chodzi o zabijanie, albo celowo tak porzucają swoje ofiary.

— Stawiam dwadzieścia dolców na to drugie — rzucił Clay.

— Postąpił naprzód i szturchnął worek na górze, by móc lepiej się przyjrzeć. Palce przechodziły w dłoń, a ta z kolei w przedramię. Kiedy Clay zdjął worek, ten na dole zsunął się i ciało osunęło się na ziemię. Opadło na wznak. Głowa mężczyzny przechyliła się w bok pod nieprawdopodobnym kątem, kark był skrzywiony. Zmierzwiłone rude włosy lśniły nawet w ciemnościach. Peter — wyszeptałam.

— Nie! — rzucił Clay. — Jeremy! Nie!

Clay pognął w ciemność, w alejce rozległo się echo jego kroków. Nick odnalazł moje spojrzenie. Miał wybaluszone oczy. Wtem coś w jego wnętrzu zaskoczyło i przypomniał sobie, że oprócz Petera Jeremy'emu towarzyszył ktoś jeszcze. Pobiegł za Clayem. Przystanęłam, by ukryć zwłoki Petera, a potem popędziłam za nimi. Serce biło mi tak mocno, że nie mogłam oddychać, z trudem chwytałam powietrze. Pięć metrów dalej dostrzegłam kałużę ciemnej czerwieni skrzącą się w upiornym blasku na wpół wygasłej latarni. Od tego miejsca ślad krwi rozdzielał się, po czym łączył w jedną strużkę niknącą w dali. Podążyłam tym tropem. Przedemną w ciemności zamajaczyła biała koszula Nicka. Słyszałam kroki Claya, ale go nie widziałam. Krwawy ślad pokonywał kolejno dwa zakręty. Gdy skręciłam po raz drugi, ujrzałam tuż przed sobą Claya i Nicka, krążących wokół śladu krwi, który kończył się kałużą tuż za rogiem. Schyliłam się, umoczyłam palec we krwi i uniosłam palec do nosa.

— Czy to...? — zapytał Clay.

— Jeremy'ego — wyszeptałam.

— Tu jest więcej, jeżeli chcesz się lepiej przyjrzeć — rozległ się głęboki głos.

Clay energicznie uniosł głowę. Rozejrzeliśmy się dokoła i na prawo od nas zobaczyliśmy wnękę załadunkową. Clay wskoczył na znajdującą się metr nad ziemią rampę i zniknął w ciemnościach wejścia. Nick i ja pospieszaliśmy za nim. W głębi wnęki siedział Jeremy, opierając prawą nogę o rozbitą skrzynię, podczas gdy Antonio rwał swoją koszulę na pasy. Kiedy podeszliśmy, Jeremy uniosł lewą rękę, by odgarnąć z twarzy kosmyki włosów, po czym skrzywił się i zrobił to ostatecznie prawą ręką lewą opuszczając bezwładnie do boku.

— Nic ci nie jest? — spytałam.

— Peter nie żyje — odparł Jeremy. — Wpadliśmy w zasadzkę.

— Wracaliśmy do samochodu — wtrącił Antonio, starannie obandażowując nogę Jeremy'ego. — Oddaliłem się, by pójść do toalety. Pięć minut. Ledwie skręciłem za róg, kiedy... — Nie odrywał wzroku od tego, co robił, ale z jego słów przebijała posępna nuta. Dręczyły go wyrzuty sumienia. — Mniej niż pięć minut. Kiedy ja się odlewałem...

— Oni tylko czekali na dogodny moment — rzekł Jeremy. — Wystarczyło, że jeden z nas opuścił resztę i natychmiast zaatakowali.

Antonio obejrzał się przez ramię, robiąc dalej swoje.

— Ten nowy kundel, który zabił Logana, zaatakował Jeremy'ego nożem.

— Nożem? — Clay spojrzął na Jeremy'ego, szukając u niego potwierdzenia, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał, jakby Antonio powiedział właśnie, że Jeremy'ego zaatakowano za pomocą starodawnej haubicy. — Nożem?

Jeremy skinął głową.

Antonio mówił dalej:

— Rzucili się na Petera i Jeremy'ego. Żaden nie zdążył zareagować. Kiedy wróciłem, uciekli. Pobiegłem za nimi, ale Jeremy obficie krwawił.

— I tak nie pozwoliłbym ci ich ścigać — uciął Jeremy. — Nie czas teraz na rozpatrywanie tego, co się stało. Musimy posprzątać co trzeba i zabierać się stąd.

Zaczął się podnosić. Clay przeskoczył nad skrzynią i pomógł mu wstać.

— Zostawiliśmy Petera tam, gdzie zginął — rzekł Jeremy.

— Wiem — odparłam. — Znaleźliśmy go.

— W stercie śmieci — rzekł Antonio, ocierając twarz dłonią. — Tak się nie godzi. Przykro mi, ale Jeremy krwawił, a ja...

— Musiałeś znaleźć szybko dogodną kryjówkę — dokończył Jeremy. — Nikt cię za to nie wini. Teraz pójdziemy po niego i zabierzemy do domu.

Clay pomógł Jeremy'emu zejść z rampy. Podeszłam z drugiej strony, by ująć go pod drugie ramię, ale przypomniałam sobie, że był ranny, i ostatecznie tylko szłam obok niego gotowa go złapać, gdyby noga odmówiła mu posłuszeństwa i ugięła się pod nim. Dałam Nickowi kluczyki od mojego wozu i pobiegł przodem, aby przyprzewieźć camaro do wylotu alejki. Kiedy dotarliśmy do sterty śmieci, Antonio wyciągnął ciało Petera i oczyścił je z odpadków.

— Marsten za to zapłaci — wycedził Clay, spoglądając na zwłoki Petera i na przemian zaciskając i rozluźniając dłonie wzdłuż boków. — Słono za to zapłaci.

— To nie Marsten zabił Petera. Tylko Daniel.

— Dan... — Clay nie dokończył. — O cholera.

Wróciłam do Stonehaven mercedesem Antonia, siedząc na tylnej kanapie z Jeremym, na wypadek gdyby jego krwawienie przybrało na sile. Antonio prowadził w milczeniu. Jeremy wyglądał przez okno, mocno przytrzymując dłonią opatrunek na zranionej nodze. Próbowałam skupić się na czymś innym niż oglądanie mojego wozu przez szybę i myślenie o ciele Petera w bagażniku. Myślałam o kundlach.

A więc to jednak był Daniel. To oznaczało kłopoty. Spore kłopoty.

Daniel dużo lepiej niż Marsten i Cain znał zasady funkcjonowania Watahy, rolę w niej każdego z nas. Należał do Watahy, dorastał z Nickiem i Clayem... a raczej obok nich, bo „z nimi” oznaczałoby, że byli we trzech kumplami, a to nie do końca tak wyglądało. Przed pojawieniem się Claya Nick i Daniel poniekąd się przyjaźnili, byli w tym samym wieku, jak dwaj kuzyni, którzy bawią się razem na zjazdach rodzinnych, bo nikt inny nie chce się nimi zająć. A potem zjawił się Clay. Nie znam szczegółów, ale powiedziano mi, że Clay i Daniel znienawidzili się wzajemnie od samego początku. Kroplą która przepełniła czarę, był incydent, kiedy to Daniel podsłuchiwał rozmowę Nicka i Claya i pospieszył poinformować Watahę o wydaleniu Claya z zerówki. Miało to związek z przeprowadzeniem sekcji klasowej świnki morskiej — chciał rzekomo przekonać się, jak działa, ale wspominałam wcześniej, że nie znam wszystkich szczegółów. Kiedy spytałam o to Claya, odparł, że świnka już nie żyła, i to jego zdaniem miało wszystko tłumaczyć. Tak czy owak Jeremy znalazł się w trudnym położeniu, gdy musiał wytłumaczyć innym, dlaczego edukacja Claya trwała tylko miesiąc. Przez to, że zdenerwował Jeremy'ego, Daniel zyskał sobie w Clayu śmiertelnego wroga.

W następnych latach ich relacje jeszcze się pogorszyły, w miarę jak Daniel i Clay zaczęli walczyć o wyższą pozycję wśród młodszego pokolenia. A raczej powinnam powiedzieć, że to Daniel o nią walczył. Clay po prostu uznał, że mu się ona należy, i zmiażdżył w proch aspiracje Daniela z leniwą pogardą kogoś, kto przegania ruchem ręki uciążliwego komara. Kiedy ci trzej mieli po dwadzieścia kilka lat, Jeremy został samcem alfa. Odniosłam wrażenie, że było to bezkrwawe osiągnięcie. Nieprawda. Siedmiu członków Watahy poparło Jeremy'ego, a czterech nie, w tym Daniel i jego brat Stephen. Rozłam pogłębił się, kiedy Stephen próbował dokonać zamachu na Jeremy'ego. Clay go zabił. Daniel upierał się, że jego brat był niewinny, a Clay zabił go, by stłumić opozycję przeciwną przywództwu Jeremy'ego. Kiedy Jeremy został uznany za alfę, Daniel stwierdził, że w nowej Watasze nie ma dla niego miejsca.

Niestety na tym nie koniec. Mimo iż nie byli już braćmi z Watahy, Daniel i Clay od tamtej pory często się spotykali. Kiedy ja się pojawiłam, zrobiło się jeszcze gorzej. Daniel uznał, że bezwarunkowo musi mnie mieć, choćby tylko dlatego, że „należałam” do jego arcyrywala. Kiedy poznałam Daniela, wydawał się całkiem miły. Uwierzyłam w jego historie o tym, że Clay go prześladowa i upokarza, wtedy uwierzyłabym we wszystko, co przedstawiało Claya w złym świetle. Któregoś dnia byłam w San Diego z Antoniem, by przekazać ostrzeżenie innemu kundlowi, i wiedząc, że Daniel mieszkał tam od kilku miesięcy, odłączyłam się od Antonia, by odwiedzić Daniela. Kiedy dotarłam do jego mieszkania, przyłapałam go, jak próbował ukryć w szafie kobietę. To nie byłoby takie straszne, gdyby ta kobieta nadal żyła. Przypuszczalnie żyła, dopóki nie zadzwoniłam do drzwi, a wówczas Daniel skręcił jej kark i wcisnął do szafy, aby go z nikim nie przyłapano. Później byłam już bardziej skłonna uwierzyć w ostrzeżenia Claya na temat Daniela. Kobieta w szafie nie była pierwszą z jego ofiar. Kiedy porzucił Watahę, zerwał z jej zasadami i zaczął mordować ludzi. Jak wszystkie kundle cieszące się powodzeniem i długim życiem, Daniel nauczył się różnych sztuczek, by zabijać ludzi, tak jak wilk, gdy ma do czynienia z licznym stadem — atakować sztuki znajdujące się na obrzeżach stada. Jeżeli skupisz się na marginesie społeczeństwa, narkomanach, młodocianych uciekinierach z domów, prostytutkach, bezdomnych, jest spora szansa, że ci się upiecze. Dlaczego? Bo nikomu na nich nie zależy. To znaczy wszyscy mówią dokładnie na odwrót, policja, politycy i ci, co powinni bronić sprawiedliwości, ale tak naprawdę mają to gdzieś. Ludzie mogą zniknąć i dopóki nikt nie odnajdzie ich ciał, nikt się nimi nie przejmie. Nie mówię tu o dyktatorach z krajów Trzeciego Świata ani nawet amerykańskich metropoliach niesławnych z uwagi na wysoki poziom przestępczości. W jednej z dzielnic Vancouver zniknęło ponad dwadzieścia prostitutek, zanim władze uznały, że dzieje się tam coś złego. Bądźcie pewni, że gdyby te kobiety były studentkami z Uniwersytetu Kolumbii Brytyjskiej, ludzie zareagowaliby znacznie szybciej. Tu właśnie Thomas LeBlanc popełnił zasadniczy błąd, wybierając na swoje ofiary córki i żony z rodzin należących do klasy średniej. Gdyby skupił się na prostytutkach i giganciarach, wciąż działałby w Chicago w najlepsze. Podczas moich licznych kłótni z Jeremym o nieuczciwy, moim zdaniem, system hierarchii w Watasze przedstawiałam mu dla porównania model demokratyczny, gdzie wszyscy uważani byli za założenia za równych sobie. Oczywiście to bzdura. Chociaż Wataha miała ściśle sprecyzowaną hierarchię, nie dopuściłaby, aby śmierć choćby najmniej ważnego z jej członków pozostała niepomszczona.

Po powrocie do domu Jeremy poprosił mnie, bym pomogła mu w założeniu opatrunków. Może sądził, że będę delikatniejszą łagodniejszą pielęgniarką niż mężczyźni. Jasne. Jeremy mógł nie znać się na kobietach, ale o tej jednej wiedział dostatecznie dużo, by nie pomylić mnie z Betty Crocker, Marthą Stewart czy Florence Nightingale. Chyba uznał, że mając do wyboru opatrywanie ran albo kopanie grobu, poczuje się lepiej, mogąc założyć biały czepek i fartuch. Ostatni epizod z kopaniem grobu wolałam jak najszybciej zapomnieć. Zajmując się Jeremym, mogłam przynajmniej nie myśleć o tym, co działo się za domem.

Zazwyczaj to Jeremy zajmował się opatrywaniem ran. W Watasze pełnił funkcję lekarza. To nie była honorowa funkcja przechodząca u wilkołaków z pokolenia na pokolenie. Jeremy przyjął ją kiedy jako dziecko Clay zeskoczył pięć pięter w dół, w głąb szybu windy w wielkim centrum handlowym (nie pytajcie) i doznał wielokrotnego złamania ręki. Nie chcąc ryzykować utraty przez Claya władzy w ręce, po założeniu prowizorycznych łubków Jeremy zawiózł go do lekarza. Choć był ostrożny i powołując się na względy religijne, odmówił przeprowadzenia badań krwi i innych rutynowych testów laboratoryjnych, lekarz i tak je przeprowadził. Wyniki mogłyby zostać zignorowane, bo nie miały nic wspólnego ze złamaną ręką ale znużony technik laboratoryjny na nocnej zmianie wychwycił coś zaskakującego w wynikach badań i o drugiej w

nocy zadzwonił do Jeremy'ego. Krew wilkołaków jest inna niż ludzka. Nie pytajcie mnie o szczegóły — z trudem przebrnęłam egzamin z biologii na koniec dziesiątej klasy. Wiem tylko, że nie powinniśmy pozwolić, by ktokolwiek pobrał i zbadał naszą krew. Cokolwiek technik spostrzegł w karcie z wynikami badań Claya, musiał uznać, że życie Claya jest poważnie zagrożone, i polecił Jeremy'emu, by natychmiast przywiózł go do szpitala. Koniec końców cały ten bałagan zakończył się z nadejściem dziennej zmiany, kiedy okazało się, że zniknął zarówno technik, jak i karta Claya. Od tamtej pory Jeremy zakupił całą masę podręczników medycznych i zapoznał się z nimi. Parę lat temu popełniłam błąd, dając mu w prezencie egzemplarz *Podręcznika pierwszej pomocy w trudnych warunkach*. Spodobał mu się do tego stopnia, że poprosił, abym kupiła po książce dla każdego z nas, abyśmy mogli mieć egzemplarze w schowku na rękawiczki i w razie potrzeby umieć przeprowadzić bardziej lub mniej złożoną operację na miejscu. Możecie nazwać mnie tchórzem, ale gdybym kiedykolwiek straciła kończynę, a w pobliżu nie byłoby żywego ducha, byłoby po mnie, mimo że we wspomnianym podręczniku jest cała masa jasnych i precyzyjnych instrukcji (opatrzonych ilustracjami), jak należy zatamować krwotok za pomocą patyka i plastikowego worka na śmieci.

— Najpierw noga? — spytałam Jeremy'ego, gdy wyjął apteczkę z szafki w łazience.

— Ręka. Nastawię kość. Ty założysz łubki.

To nie brzmiało najgorzej. Jeremy usiadł na sedesie, a ja przykucnęłam obok niego, starając się mu pomóc.

To było proste złamanie, bez otwartych ran, toteż nie trzeba było wpychać na powrót pod skórę wystających fragmentów kości. Złamaniu uległa kość tuż powyżej nadgarstka. Kiedy już ją nastawił, ja umieściłam pod ją go ręką miękko wyściełane łubki. Potem założyłam bandaż. Zgodnie z zaleceniem Jeremy'ego zawiązałam bandaż najpierw poniżej łokcia, a potem powyżej przegubu. Następnie przygotowałam dla Jeremy'ego temblak, aby ręka pozostawała uniesiona. Trochę to trwało... ale było w sumie proste... w porównaniu z tym, co chciał, abym jeszcze dla niego zrobiła.

— Będiesz musiała zszyć moją nogę—powiedział.

— Zszyć?

— Jedną ręką nie dam rady. — Wstał i oparł się o toaletkę, rozpinając zdrową ręką dzinsy, po czym spróbował je zsunąć. — Z tym też mogłabyś mi pomóc, o ile nie jest to dla ciebie zbyt wiele.

— Jasne — odparłam. — Rozbieranie mężczyzn. Jestem w tym dobra. Ale jeżeli chodzi o zszywanie ran, nie mam zbyt wielkiego doświadczenia. Może rana nie jest aż tak poważna.

Rozwiązałam przesiąknięte krwią strzępy podartej na pasy koszuli Antonia na udzie Jeremy'ego. Skóra i mięśnie rozstały się jak Morze Czerwone, analogia była tym trafniejsza, że zaraz buchnęła pomiędzy nich krwawa struga. To, że ujrzałam Jeremy'ego bez spodni, nie stanowiło dla mnie problemu, ale nikogo, nawet jego, nie chciałam zobaczyć tak dogłębnie.

— Weź ścierkę — powiedział, siadając pospiesznie i przyciskając ręcznik do rany.

Zmoczyłam ścierkę, oczyściłam ranę, po czym użyłam środka antyseptycznego. Nie byłam tak szybka, jak sądziłam, i zanim skończyłam, między moimi palcami sączyła się krew.

— Weź taśmę — rzekł Jeremy. — Nie, nie tę. Tę drugą. Tak.

Używając taśmy, dzięki paru sprytnym sztuczkom udało się nam powstrzymać upływ krwi, zanim Jeremy stracił przytomność. Podał mi coś, co wyjął z apteczki, a przypominało igłę z nitką.

— Nie cofaj się, Eleno. To cię nie ugryzie. Weź igłę i do roboty. Nie myśl o tym. Tylko postaraj się, żeby ścieg był prosty.

— Łatwo powiedzieć, z geometrii zawsze byłam kiepska.

— Może, ale miałem okazję być przez ciebie ostrzyżonym. Jak powiedziałem, postaraj się, żeby ścieg był prosty.

— Zawsze strzygę cię równo.

— To prawda, jeżeli przekrzywiłem głowę pod właściwym kątem, wtedy było idealnie równo.

— Uważaj. Mam w ręku igłę.

— I może, jeśli cię zdenerwuję, wbijesz mi ją i weźmiesz się do roboty, zanim się wykrwawię.

Posłuchałam. Pomimo tego co powiedział Jeremy, nie chodziło tu o zszycie dwóch kawałków materiału. Materiał nie krwawi. Skupiłam się na tym, by zrobić swoje możliwie jak najlepiej, bo wiedziałam, że w przeciwnym razie Jeremy do końca życia będzie wymawiał mi krzywy ścieg. Prawie skończyłam, gdy ogarnęła mnie wściekłość, że jakiś kundel śmiał zrobić coś takiego Jeremy'emu, i pomyślałam, jak do tego doszło, a co za tym idzie, przypomniałam sobie, że Peter nie żyje.

Najpierw Logan. Teraz Peter. Z całej Watahy oni najmniej na to zasłużyli. Jeremy nigdy nie wysyłał ich, by pacyfikowali albo zabijali kundle, nie przekazywali nawet ostrzeżeń. Ich śmierć nie była wynikiem zemsty. Nie chodziło o zlikwidowanie najsilniejszych członków Watahy. Logan i Peter zginęli, bo ktoś chciał dać nam w ten sposób coś do zrozumienia. Tylko tyle. Dłonie zacisnęły mi się w pięści. W moim wnętrzu zaczął się więc stary wąż gniewu. Znieruchomiałam, wzięłam głęboki oddech i zaczęłam od nowa, ale nie mogłam powstrzymać drżenia palców.

— A więc mamy do czynienia z trzema doświadczonymi kundlami — rzekł Jeremy, wyrywając mnie z zamyślenia.

Przełknęłam ślinę i wróciłam do rzeczywistości.

— A także z co najmniej jednym nowym.

— Nie zapomniałem o nim, choć bardziej martwią mnie te doświadczone. Tak, są niezłe — dowodem tego moja ręka i noga — ale nie dorównują Danielowi.

Urwałam nitkę.

— To dlatego, że go znasz. A nawet gdybyś nie znał tak dobrze Marstena i Caina, wiesz, czego możesz się po nich spodziewać, bo są do ciebie podobni. Myślą jak ty, reagują jak ty, są tacy jak ty. Te nowe kundle są inne. Wilkołaki nie duszą ludzi. A w ten sposób LeBlanc zabił Logana i udało mu się, bo to ostatnia rzecz, jakiej Logan mógł się spodziewać. A potem rzucił się na ciebie z nożem. Mógłbyś się tego spodziewać tak jak samuraj kopniaka w klejnoty. To dlatego LeBlanc wciąż żyje. Wytrącił cię z równowagi. Gdyby...

— Grób wykopany — rzekł Antonio, wchodząc do łazienki. — Przepraszam. Przeszkodziłem w czymś?

— W niczym, czego nie można by dokończyć później — rzekł Jeremy, wstając i sprawdzając szwy. Kiedy nie popekały ani nie zaczęła saczyć się spomiędzy nich krew, pokiwał głową. — Doskonale. Ubiore się tylko i wychodzimy.

# Pewność

Poszłam z Jeremym na miejsce pochówku Petera. Nie miałam na to ochoty, zwłaszcza że ostatni raz stałam nad czyimś grobem niecałe trzydzieści sześć godzin temu. Z kolei Jeremy wcale nie potrzebował mojej pomocy, by upewnić się, że grób został dobrze ukryty. Potrzebował natomiast wsparcia w innej kwestii, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Ze świeżym szwem na nodze nie był w stanie iść bez pomocnego ramienia. Pomogłam mu wyjść na podwórze, choć na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że to Jeremy pomagał mnie. Miało to swój cel. Samiec alfa nie mógł okazać słabości nawet tuż po walce na śmierć i życie. Skądinąd nikt z nas nie wykorzystałby tej okazji, by odebrać Jeremy'emu przywództwo. Ponieważ jednak Wataha oddała alfie pełną władzę, sama myśl, że mógłby nie poddać temu zadaniu choćby tymczasowo, wytrąciłaby całą Watahę z równowagi. Chociaż Jeremy musiał potwornie cierpieć, nie okazywał tego. Przyjął moje ramię, aby wesprzeć się na nim, idąc do grobu Petera i z powrotem, ale nie opierał się zbyt mocno. Dopiero gdy wracaliśmy do domu, przystanął na chwilę, zapewne by złapać oddech, choć udawał, że sprawdza murszejący fragment ogrodowego muru.

— Chyba powinniśmy się teraz trochę przespać — powiedziałam, udając ziewnięcie. — Mnie na pewno dobrze to zrobi.

— Idź — rzucił Jeremy. — Masz za sobą kilka ciężkich dni. Chciałbym opowiedzieć o tym, co odkryliśmy w Bear Valley, zanim wpadliśmy w zasadzkę, ale mogę cię w to wprowadzić jutro.

— Wszyscy są skrajnie wyczerpani. Możemy spotkać się rano? Nie chciałabym niczego przegapić.

— Wolałbym zająć się tym jeszcze dziś. Jeżeli chcesz uczestniczyć w spotkaniu, połóż się na kanapie i zdrzemnij trochę, a my sobie porozmawiamy.

Dobra, dość tych subtelności. Czas na atak frontalny.

— To ty musisz się przespać. Noga na pewno nieźle ci dokucza, że o ręce nie wspomnę. Nikt nie będzie miał ci za złe, jeśli odłożysz zebranie do jutra.

— Dam radę. Nie zgrzytaj zębami, Eleno, nie jestem dentystą. Jeżeli chcesz pomóc, zwołaj pozostałych i zaprowadź do gabinetu, o ile jeszcze ich tam nie ma.

— Jeżeli naprawdę chcesz mojej pomocy, powinnam cię znokautować, żebyś nie wstał do rana.

Uśmiechnął się do mnie półgębkiem, co mogło sugerować, że moja propozycja wydała mu się bardziej kusząca, niż był gotów przyznać.

Co powiesz na kompromis? Możesz pomóc, zwołując pozostałych i przygotowując mi drinka, najlepiej podwójnego. Przed zasadzką zebrane przez Jeremy'ego informacje potwierdziły to, co wiedzieliśmy już ja i Clay, że w Bear Valley były trzy kundle. Ale to nie wszystko, czego się dowiedział. Marsten zjawił się jako pierwszy, przed Cainem i LeBlankiem. Zameldował się w hotelu trzy dni temu, czyli pojawił się w mieście przed śmiercią Brandona. Kilka dwudziestek

rozwiązało język właścicielowi i przypomniał sobie, że młody mężczyzna odpowiadający rysopisowi Brandona odwiedził Marstena kilkakrotnie w hotelu. Wszelkie wątpliwości, że Brandon był w zмовie z pozostałymi, prysły. Zastanawiałam się, czy Marsten był tej nocy w klubie, sącząc whisky z sodą i obserwując mnie i Brandona, a jego zapach i sylwetkę skrył jakiś ciemny, mocno zadymiony kąt wielkiego magazynu. Tak, teraz nie miałam już wątpliwości, że tam był. Zobaczył, jak Brandon się Przemienia, zrozumiał, co się zaraz stanie, i wymknął się, zanim rozpętało się piekło, opuszczając swego protegowanego i pozostawiając go jego losowi. Kundle mogły wchodzić między sobą w różne relacje, ale trwały one tylko dopóty, dopóki przynosiły obu stronom jakieś korzyści. Gdy Marsten zauważył, że Brandon ma kłopoty, zwał, zanim cały ten chaos zdążył go wchłonąć.

Cain i LeBlanc zameldowali się w Big Bear tego wieczoru, kiedy zginął Brandon. Przypuszczalnie śledzili Logana od Los Angeles albo spotkali go na lotnisku. Ściągnięcie go do Bear Valley i urządzenie tam na niego zasadzki graniczyło z niemożliwością. Podczas gdy my ścigaliśmy Brandona, Logan już nie żył i zapewne był przewożony w bagażniku jakiegoś auta do Bear Valley. Gdzieś po drodze tamci musieli dowiedzieć się od Marstena, że ja i Clay jesteśmy w mieście, więc zrobili nam kawał, porzucając ciało Logana przy naszym wozie. Domyślam się, że to był pomysł LeBlanca. Cain był za głupi, by wpaść na coś takiego, a dla Marstena taki psikus był poniżej jego godności.

Nie było jeszcze siódmej, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Wszyscy unieśliśmy wzrok, zaskoczeni tym dźwiękiem. Dzwonek w Stonehaven rozbrzmiewał rzadko, dom stał na uboczu i nie zaglądali tu obwoźni sprzedawcy czy świadkowie Jehowy. Przesyłki trafiały na pocztę w Bear Valley. Nawet Wataha nie używała dzwonka — z wyjątkiem Petera. Chyba wszyscy o tym pomyśleliśmy, kiedy rozległ się dzwonek. Nikt nawet nie drgnął, dopóki sygnał nie zabrzmiał ponownie, a wówczas Jeremy wstał i wyszedł z pokoju. Podążyłam za nim. Przez okno w jadalni dostrzeżliśmy stojący na podjeździe radiowóz.

— Tylko tego nam brakowało — wycedziłam. — Tylko tego nam trzeba.

Jeremy zdjął temblak i powiesił na wieszaku w holu, po czym zdjął z haczyka grubą bluzę dresową Claya. Pomogłam mu ją założyć. Luźna bluza ukryła skutecznie łubki, a spodnie zakryły bandaż na nodze. Ubranie miał czyste, nie pomięte, bo przebrał się zaledwie parę godzin temu. Tego samego nie mogłabym powiedzieć o pozostałych. Jedno spojrzenie w lustro w holu powiedziało mi, że wyglądam okropnie, moje ubranie było brudne i pokrwawione, na twarzy miałam rozmazane smugi, włosy zmierzwione i sterczące od leżenia na kanapie.

— Idź z pozostałymi na górę i przebierzcie się — rzekł Jeremy. — Powiedz Clayowi, Antoniowi i Nickowi, żeby tam zostali. Możesz dołączyć do mnie na tylnej werandzie.

— To może wyglądać podejrzanie, jeżeli znów spróbujesz ich spławić.

— Wiem.

— Zaproś ich i zaproponuj kawę. Nie ma tu nic, co mogliby chcieć zobaczyć.

— Wiem.

— Wobec tego zobaczymy się w gabinecie, tak?

Jeremy zawahał się. Świadomość, że powinien zaprosić policję do domu, to jedno, ale zrobienie tego, to całkiem co innego. Do Stonehaven zaglądali jedynie fachowcy od różnych napraw i to tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. W Stonehaven nie było nic, co mogłoby wzbudzić czyjeś podejrzenia, żadnych kawałków ciał w zamrażarce czy pentagramów wrytych w drewnie. Najbardziej przerażająca w całym domu była moja sypialnia, a ja nie zamierzałam zapraszać tam żadnego gliniarza, niezależnie jak atrakcyjnie mógł prezentować się w mundurze.

— W salonie — rzekł, gdy dzwonek zabrzmiał po raz trzeci. — Będziemy w salonie.

— Zaparzę kawę — powiedziałam i oddaliłam się, zanim zdążył zaproponować.

Kiedy wróciłam do salonu, był tam Jeremy i dwóch policjantów. Starszy, szef policji w miasteczku, krępy, ogorzały mężczyzna nazywał się Morgan. Widywałam go w mieście, choć nie było go dzień wcześniej w składzie grupy poszukiwawczej. Z przybyciem Morgana sprawy zaczęły nabierać tempa, choć w miasteczku takim jak Bear Valley wizyta szefa policji mogła stanowić powód do zaniepokojenia, ale nie do paniki. Drugi funkcjonariusz był młody, o pospolitej twarzy, kogoś takiego jak on musiałeś zobaczyć ze dwadzieścia razy, zanim go zapamiętałeś. Zgodnie z napisem na plakietce nazywał się O'Neil. Ani twarz, ani nazwisko nie kojarzyły mi się z wydarzeniami minionego dnia, ale zapewne był tam wtedy. Spojrzenie, jakie mi posłał, wskazywało, że mnie pamiętał, aczkolwiek wydawał się rozczarowany, że widział mnie ubraną. Przynajmniej przyniosłam kawę.

Jeremy i Morgan rozmawiali o roszczeniach do ziemi jakichś rdzennych mieszkańców. Jeremy rozsiadł się w fotelu, opierając stopy na otomanie, a złamane ramię na udzie w taki sposób, że nikt by się nie domyślił, że coś mu dolegało. Był rozluźniony, wzrok miał czujny i pełen przejęcia, jakby podejmował policję w swojej rezydencji niemal codziennie i nie tylko wiedział o roszczeniach do ziemi, ale wręcz się tym przejmował, naśladując zachowanie szefa policji z wprawą doświadczonego oszusta. Młodszy funkcjonariusz O'Neil beczelnie rozglądał się po salonie, by ogarnąć wszystkie szczegóły i opowiedzieć o nich później swym ciekawskim przyjaciółom.

Kiedy weszłam, rozmowa się urwała. Postawiłam tacę na końcu stołu i jak na dobrą hostesę przystało, zaczęłam nalewać kawę.

— Och, ja nie piję herbaty — rzekł Morgan, wpatrując się w srebrny imbryk, jakby mógł go ugryźć.

— To kawa — odparł z wymuszonym uśmiechem Jeremy. — Proszę nam wybaczyć. Nie miewamy wielu gości, więc Elena musi używać imbryka do herbaty.

O'Neil wychylił się, by wziąć ode mnie kawę.

— Elena. To ładne imię.

— Rosyjskie, czyż nie? — spytał Morgan, mrużąc lekko oczy.

— Możliwe — odparłam z promiennym uśmiechem. — Cukru i śmietanki?

— Trzy kostki cukru. Nie widziałem pani męża. Czyżby jeszcze spał?

Polałam sobie rękę gorącą kawą i stłumiłam krzyk. A więc małżeńskie oszustwo Clay'a dotarło w formie plotek do uszu samego szefa policji. Pięknie. Po prostu pięknie. Zdrowy rozsądek podpowiadał, bym tańczyła, jak mi zagrali. Bear Valley nie było miejscem, gdzie tolerowano nagą kobietę biegającą po lesie w towarzystwie mężczyzny nie będącego jej mężem. Pewnie nawet w ogóle nie tolerowano tu biegania nago po lesie, ale nie w tym rzecz. Chodziło o to, że „ułagodzenie miejscowych” posunęło się za daleko. Wpuszczanie ich do naszego domu, tolerowanie tego, że się na nas gapili, sugestie, że nie odróżniliśmy imbryka od ekspresu do kawy to jedno, ale oficjalne potwierdzenie plotek, że Clay jest moim mężem? Miałabym na zawsze zostać naznaczona jako żona Clay'a? Nie. Dziewczyna musi znać swoje granice.

— Tak. Jeszcze śpi — odparł Jeremy, zanim zdążyłam się odezwać. — Elena zawsze wcześniej wstaje, aby zrobić mu śniadanie.

Spiorunowałam go wzrokiem, aby dać do zrozumienia, że mi za to zapłaci. Udał, że tego nie zauważył, ale zauważyłam błysk rozbawienia w jego oczach. Wrzuciłam mu do kawy pięć kostek cukru. Będzie musiał ją wypić. Bądź co bądź nieuprzejmością byłoby nie wypić kawy w towarzystwie gości.

Jak już mówiłem — rzekł Morgan — przepraszam za wizytę o tak wczesnej porze, ale pomyślałem, że może chcielibyście wiedzieć. Mike'a Braxtona nie zabito na terenie waszej



posiadłości. Koroner jest tego stuprocentowo pewien. Ktoś zabił go gdzieś indziej i podrzucił ciało, pozostawiając je na waszej ziemi.

— Ktoś? — wtrącił Jeremy. — Chce pan powiedzieć, że to nie było zwierzę, ale człowiek?

— Ja nadal uważam, że to było zwierzę, ale należące do gatunku ludzkiego. To wszystko jest dla nas wciąż mocno zagmatwane. Dwa pozostałe zabójstwa to z pewnością dzieło zwierzęcia, ale koroner twierdzi, że Mike'owi rozplątano gardło nożem, a nie kłami.

— A co ze śladami łap? — spytałam trochę wbrew sobie, ale musieliśmy znać w tej kwestii zdanie policji.

— Sądzimy, że są sfabrykowane. Ten, kto podrzucił ciało, zrobił w ziemi kilka odcisków, aby wyglądało, że to kolejne zabójstwo dokonane przez dzikiego psa. Ale facet popełnił błąd. Ślady były za duże. To go zdradziło. Nie ma tak dużych psów. To znaczy mój syn mówi, że pewien gatunek psów, mastify czy jakoś tak, mógłby zostawić takie ślady, ale nie mamy tu takich zwierząt. Nasze ogary i owczarki nie osiągną takich rozmiarów, niezależnie jak byśmy je karmili. Na pewno pamiętacie, że wczoraj wspomniałem, iż Mike zostawił komuś wiadomość, jakoby się tu wybierał. Okazuje się, że zostawił ją żonie kolegi, która powiedziała, że głos Mike'a brzmiał „dziwnie”, jakby to nie był on, choć złożyła to na karb kiepskiego połączenia. Możemy przypuszczać, że Mike nie zostawił nikomu żadnej wiadomości. Ten, kto go zabił, musiał zadzwonić, chcąc skierować nas na teren pańskiej posiadłości, abyśmy znaleźli porzucone tam ciało. Gdy dodać to wszystko do siebie, nie pozostaje mi nic innego jak niezbita pewność, że mamy do czynienia z cholernym — wybacz pani — ludzkim zabójcą. A więc nie mamy w lesie dzikich psów — wtrącił Jeremy. — Ulżyło mi, choć perspektywa ludzkiego zabójcy grasującego w okolicy też niezbyt mi się podoba. Ma pan jakieś tropy?

— Pracujemy nad tym. To zapewne ktoś, kogo Mike znał. Mike był wspaniałym facetem i w ogóle, ale... — Morgan przerwał, jakby wolał się dwa razy zastanowić, zanim powie coś złego o zmarłym. — Wszyscy mamy swoje problemy, prawda? Wrogów i tak dalej. — Kolejna pauza. Kolejny łyk kawy. — A co z wami? Domyślcie się, dlaczego ktoś mógłby podrzucić na teren waszej posiadłości ciało Mike'a?

— Nie — odparł Jeremy niewzruszonym, stanowczym tonem. — Też się nad tym zastanawiałem.

— Nie macie wrogów w miasteczku? Może zaleźliście komuś za skórę?

Jeremy tylko się uśmiechnął.

— Jak pan zapewne wie, nie jesteśmy zbyt towarzyscy. Nie kontaktujemy się z naszymi sąsiadami do tego stopnia, by im zaleźć za skórę. Albo zabójca sądził, że wina zostanie zrzucana na „obcych”, albo nie chodziło mu o wmieszanie nas w tę sprawę, tylko uznał, że to dogodne miejsce do porzucenia zwłok.

— Na pewno nikogo nie wkurzyliście? — ciągnął Morgan, wychylając się do przodu. — Może ktoś uważa, że jest mu pan winien pieniądze? Może zazdrosny małżonek... — Morgan spojrzał na mnie —.. lub żona?

Nie i jeszcze raz nie. Nie uprawiamy hazardu ani nie bierzemy żadnych pożyczek. Co do tej drugiej kwestii, jestem pewien, że nikt nigdy nie widział mnie w żadnym barze dla samotnych, a Elena i Clayton nie mają ochoty ani siły, by szukać pozamałżeńskich uciech. Bear Valley to małe miasteczko. Gdyby na nasz temat krążyły jakieś plotki, zadawałby pan konkretniejsze pytania.

Morgan nie odpowiedział. Patrzył tylko na Jeremy'ego przez pełne dwie minuty. Ta taktyka mogłaby przynieść efekty w przypadku szesnastolatka podejrzanego o wandalizm, ale nie pięćdziesięciojednoletniego samca alfa. Jeremy spokojnie, bez cienia zażenowania patrzył mu prosto w oczy.

Po kilku minutach Jeremy rzekł:

— Przykro mi, że musieliście przyjeżdżać tu dwa dni z rzędu, ale doceniam, że zdecydowaliście się zjawić tu dziś rano, by nam to powiedzieć.

Jeremy odstawił kubek i wysunął się nieco do przodu na fotelu. Kiedy Morgan i O'Neil nie zrozumieli aluzji, wstał i rzekł:

— Jeżeli to już wszystko...

— Będziemy chcieli jeszcze przeprowadzić przeszukanie na terenie pana posiadłości — rzekł w końcu Morgan.

— Proszę bardzo.

— I może zechcemy przesłuchać pańskich gości. Sugerowałbym, aby na razie nigdzie nie wyjeżdżali.

— Nie wyjeżdżają.

Morgan przyglądał mu się jeszcze przez minutę. Kiedy Jeremy nawet nie mrugnął, podźwignął się na nogi.

— Zabójca porzucił to ciało na terenie pańskiej posiadłości — powiedział. — Na pana miejscu usilnie zacząłbym się zastanawiać, kto mógł to zrobić, i skontaktowałbym się z nami, gdyby przyszła mi do głowy jakaś sensowna odpowiedź.

Nie zawaham się — zapewnił Jeremy. — Mam nadzieję, że ten, kto podrzucił tu ciało pana Braxtona, nie żywi do nas urazy, ale gdyby tak było, nie chciałbym tego zignorować i czekać na jego kolejne posunięcie. Nikt tutaj nie ma ochoty mierzyć się z zabójcą. Z przyjemnością pozostawimy to policji.

Morgan stęknął i dopił kawę.

— Coś jeszcze? — spytał Jeremy.

— Przez pewien czas odpuściłbym sobie spacerować po lesie.

— Już z tym skończyliśmy — odparł Jeremy. — Ale dziękujemy za ostrzeżenie. Eleno, odprowadzisz naszych gości do drzwi?

Zrobiłam to. Żaden z policjantów nie odezwał się do mnie słowem, nie licząc zdawkowego „Do widzenia” Morgana. Najwyraźniej jako kobieta nie byłam warta, by mnie przesłuchiwać.

Kiedy policjanci odjechali, uświadomiliśmy sobie, że Clay, Nick i Antonio zniknęli. Gdyby chodziło tylko o Claya albo o Claya i Nicka, zaczęlibyśmy się martwić. Jako że Antonio zniknął razem z nimi, uznaliśmy, że raczej nie planowali wyprawy do Bear Valley w celu wzięcia odwetu.

Policja odjechała zaledwie przed pięcioma minutami, gdy na podjazd wjechał mercedes. Nick wyskoczył z auta, otwierając drzwiczki od strony pasażera. Nie zauważyłam, kto prowadził, moją uwagę przykuła pękata papierowa torba w jego dłoni. Śniadanie. Już nie gorące, bo przywiezione z przydrożnego baru, ale byłam zbyt głodna, by przejmować się jakimiś drobiazgami.

Piętnaście minut później torba była pusta, a po jej zawartości zostały tylko okruchy i tłuste plamy na talerzach rozstawionych na stole na werandzie. Po posiłku Jeremy opowiedział, czego dowiedział się od policji. Spodziewałam się, że Clay coś powie, będzie upierał się przy swej udowodnionej niewinności i czekał, aż go przeproszę. Nie zrobił tego. Wysłuchał Jeremy'ego, po czym pomógł Antoniowi sprzątnąć ze stołu, a ja uciekłam do gabinetu, by ostentacyjnie zająć się lekturą gazety, którą przywieźli z miasta.

Clay odnalazł mnie dokładnie po trzech minutach. Wszedł do gabinetu, zamknął za sobą drzwi, po czym zatrzymał się i przez kolejne dwie minuty przyglądał mi się, jak czytam gazetę. Gdy nie mogłam już tego dłużej znieść, głośno złożyłam gazetę i odłożyłam na bok.

— Dobra, nie zabiłeś tego faceta — rzekłam. — Od początku byłeś niewinny. Ale jeśli liczysz, że przeproszę cię, że pomyślałam, iż byłbyś do tego zdolny...

— Nie liczę na to.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem.

Clay mówił dalej:

— Nie spodziewam się, że przeprosisz za to, iż pomyślałaś, że mogłbym to zrobić. Oczywiście, że mogłbym. Gdyby ten facet zobaczył, jak biegamy, przechodzimy Przemianę albo zagroził nam, zabiłbym go. Ale powiedziałbym ci. To mnie właśnie wkurzyło. To że pomyślałaś, iż mogłem zrobić to za twoimi plecami, zatuszować dowody i skłamać ci w żywe oczy.

— Nie. Chyba nie wpadłbyś na to, że mogłabym nie chcieć wiedzieć, że to zrobiłaś. Myśl o oszczędzeniu mi tego raczej nie przysłaby ci do głowy.

Oszczędzeniu ci tego? — Clay zaśmiał się oschle. — Wiesz, czym jestem, Eleno. Gdybym udawał kogoś innego, oskarżyłabyś mnie, że próbuję cię oszukać. Nie chcę, byś wróciła do mnie, bo uważasz, że się zmieniłem. Chcę, byś wróciła, bo akceptujesz to, czym jestem. Myślisz, że gdybym mógł się zmienić, nie zrobiłbym tego już dawno? Chcę cię odzyskać. Nie na jedną noc, na kilka tygodni ani nawet na parę miesięcy. Chcę cię na stałe. Bez ciebie nie jestem nic wart...

— Nie jesteś nic wart, bo nie wiesz, czego chcesz. A nie dlatego, że chcesz mnie.

— Niech to szlag! — Clay zamachnął się pięścią, strącając z biurka mosiężny uchwyt na pióro. — W ogóle mnie nie słuchasz! Nie chcesz słuchać ani nie chcesz widzieć pewnych rzeczy! Wiesz, że cię kocham, wiesz, że pragnę ciebie. Do cholery, Eleno, gdybym chciał tylko partnerki, jakiegokolwiek partnerki, czy wydaje ci się, że czekałbym dziesięć lat, usiłując cię odzyskać? Myślisz, że nie poddałbym się i nie znalazłbym kogoś innego? Niby dlaczego?

— Bo jesteś uparty.

— Wcale nie. To nie ja jestem uparty. To ty nie potrafisz zapomnieć o tym, co zrobiłem, niezależnie jak bardzo...

— Nie chcę o tym mówić.

— Jasne, że nie chcesz. Uchowaj Boże, aby prawda rzuciła cień na twoje przekonania.

Clay odwrócił się i wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami.

Po wyjściu Claya postanowiłam zostać w gabinecie albo raczej, w zależności od interpretacji, ukryć się tam. Zajęłam się przeglądaniem zawartości półek. Nie zmieniła się przez ostatni rok. Właściwie nie zmieniła się przez ostatnią dekadę. Na regałach stała osobliwa mieszanka beletrystyki i prac naukowych. Tylko kilka z tych ostatnich należało do Claya. Kupował każdą książkę i pismo związane ze swoją profesją, ale wyrzucał je, gdy tylko przeczytał je od deski do deski. Nie miał pamięci fotograficznej, ale osobliwą zdolność pochłaniania wszystkiego, co czytał, przez co zachowywanie czegokolwiek w formie pisanej miało się z celem. Prawie wszystkie książki należały do Jeremy'ego. Ponad połowa z nich nie była w języku angielskim, pamiętka z dawnych czasów, gdy Jeremy robił karierę jako tłumacz.

Jeremy'ego nie zawsze było stać na luksusowe auta i antyczne łóżka dla swej przybranej rodziny. Kiedy Clay zjawił się w Stonehaven, Jeremy ledwie mógł opłacić rachunki za ogrzewanie, co wynikało z utracjuszowskiego stylu życia jego ojca, niechętnego podjęciu jakiegokolwiek pracy zarobkowej. Po dwudziestce Jeremy pracował jako tłumacz, co było doskonałym zajęciem dla kogoś, kto tak jak on posiadał talent do języków i wiódł żywot odludka. Później sytuacja finansowa w Stonehaven uległa znaczącej poprawie za sprawą dwóch uśmiechów losu — śmierci Malcolma Danversa i rozpoczęcia przez Jeremy'ego kariery malarskiej. Obecnie Jeremy sprzedawał niewiele obrazów, ale gdy już do tego doszło, otrzymywał za nie dość gotówki, by starczyło na utrzymanie Stonehaven przez kilka lat.

Gdy szukałam czegoś do czytania, zajrzał Jeremy, by przypomnieć, że miałam zadzwonić do Philipa. Nie zapomniałam. Zamierzałam to zrobić przed kolacją i nie spodobało mi się, że Jeremy uznał, iż należało mi o tym przypomnieć. Nie miałam pojęcia, ile Jeremy wiedział o

Philipie, i nie chciałam wiedzieć. Wołałam wierzyć, że opuszczając Stonehaven, uciekłam do obcego miejsca, o którym Wataha wiedziała tyle co nic. No dobrze, uroiłam to sobie, całe to przecież miła fantazja. Podejrzywałam, że Jeremy przeprowadził wywiad na temat Phi- lipa, ale nie próbowałam tego potwierdzić. Jeżeli nawet, powiedziałby tylko, że chciał ochronić mnie przed facetem, który miał trzy żony i słynął z tego, że bił swoje dziewczyny. Oczywiście Jeremy nie zrobiłby nic tak prostego jak wmieszanie się w moje życie. Precz, podstępne myśli.

Niezależnie ile Jeremy wiedział o Philipie, nie zdawał sobie sprawy, co do niego czułam. Także i w tej kwestii nie zamierzałam go oświecić. Wiedziałam, co by powiedział. Usiadłby, przyglądał mi się przez chwilę, a potem zacząłby mówić o tym, jak trudną mam sytuację, zwłaszcza z Clayem, no i że jestem jedyną kobietą wilkołakiem, samicą nie wini mnie, że jestem zdezorientowana, zagubiona i pragnę zgłębiać w życiu różne możliwości wyboru. Choć nigdy nie powiedział tego wprost, zasugerowałby, że dał mi dostatecznie dużo luzu, abym mogła popełniać błędy, a w końcu stwierdzić, że moje miejsce jest jednak w Watasze. Przez całą rozmowę zachowywałby spokój, byłby wyrozumiały, nie podniósłby głosu ani nie oburzał się niczym, co mogłabym powiedzieć. Czasami myślę, że wołałam wybuchy wściekłości Claya.

Prawda jest taka, że zależało mi na Philipie bardziej, niż Jeremy mógł podejrzewać. Chciałam do niego wrócić. Nie zapomniałam o nim. Zamierzałam do niego zadzwonić... później.

Wydawało się, że teraz jest idealny moment, aby Jeremy wtajemniczył nas w swoje plany. Kiedy tego nie zrobił, nikt prócz mnie nie zwrócił na to uwagi. A może raczej nikt o to nie dbał. Wilkołaki wychowywano w Watasze według pewnych wzorców. Jednym z nich było przekonanie, że alfa będzie o nich dbać. Pytanie Jeremy'ego o plany sugerowałoby, że wątpią, aby mógł jakiegokolwiek mieć. Nawet Clay, zawsze skory do działania, dałby Jeremy'emu sporo czasu na ich opracowanie, zanim ośmieliłby się zapytać o nie wprost. Ta przesadna ufność w przywódcę doprowadzała mnie do szaleństwa. Nie żebym podejrzewała, że Jeremy może nie mieć planu. Wiedziałam, że go ma. Ale chciałam go poznać. Chciałam pomóc. Gdy w końcu wymyśliłam subtelny sposób, by o to zapytać, zastałam go na zewnątrz z parą rewolwerów. Oczywiście nie zamierzał ruszyć na kundle uzbrojony jak Billy Kid. Nie rozważał też szybszego skrócenia swych mąk. Strzelał do celu, co często robił, gdy usilnie nad czymś rozmyślał — niezbyt to bezpieczna metoda zyskania wewnętrznego skupienia, ale kimże jestem, by go osądzać? Rewolwery były antykami, które otrzymał przed laty od Antonia. Oprócz broni Antonio dał także Jeremy'emu srebrną kulę z inicjałami Malcolma Danversa, żartobliwą sugestią, której rzecz jasna Jeremy nigdy nie zrealizował. Antonio sprezentował mu tę broń dla tego, czym zajmował się w wolnych chwilach Jeremy — strzelania precyzyjnego. Do tego czasu Jeremy do mistrzostwa opanował sztukę strzelania z łuku i kuszy i pragnął nowych wyzwań. Nie pytajcie mnie, dlaczego wybrał na swoje hobby akurat strzelanie precyzyjne. Na pewno nie korzystał z łuku ani broni palnej poza strzelnicą. Równie dobrze możecie mnie spytać, czemu malował. Żadna z tych rzeczy nie jest typowym hobby wilkołaka. Nikt jednak nie mógłby oskarżyć Jeremy'ego o to, że był typowym wilkołakiem. Tak czy siak, kiedy wyszłam na zewnątrz i zobaczyłam, że strzela do celu, uznałam, że to nieodpowiednia chwila, by wypytywać o jego plany. Zasada przetrwania w mieście numer dwadzieścia dwa — nigdy nie denerwuj mężczyzny, który ma w ręku nabyty rewolwer.

Opuściłam Jeremy'ego i poszłam na górę, aby się zdrzemnąć. Parę godzin później obudziłam się i zeszłam na dół na lunch. W domu panowała cisza, wszystkie drzwi na górze były pozamykane, jakby wszyscy inni także ucieli sobie drzemkę. Gdy skierowałam się do kuchni, z gabinetu wyszedł Clay. Oczy miał przekrwione i ciemne. Choć był wyczerpany, nie mógł zasnąć. Nie teraz, gdy dwóch braci z Watahy nie żyło, samiec alfa był ranny i żadnego z nich nie

pomszczono. Kiedy Jeremy zdradzi nam swoje plany, Clay odpocznie, choćby tylko po to, by się przygotować.

Zastąpił mi drogę. Gdy próbowałam precyzyjnie się obok niego, rozłożył ręce i oparł dłonie o ściany korytarza.

— Rozejm? — zapytał.

— A co mi tam.

— Uwielbiam te zdecydowane odpowiedzi. Przyjmuję to za „tak”. Nie żebyśmy uznali tę naszą małą dyskusję za zakończoną, ale powiedzmy, że odłożymy ją na później. Powiesz, kiedy będziesz chciała do tego wrócić.

— A ty mi powiesz, kiedy diabeł zechce w piekle porzucać się śnieżkami.

— Nie ma sprawy. Lunch?

Kiedy w końcu skinęłam głową, cofnął się i szarmanckim gestem zaprosił mnie do kuchni. Poczulałam, że wciąż jest wściekły, ale wysilił się na uśmiech, więc po stanowiłam to zignorować. W ciężkich chwilach oboje nas było stać na odrobinę dojrzałości i wiedzieliśmy, że nie możemy podkopywać morale Watahy naszymi ciągłymi sporami. A przynajmniej mogliśmy na pewien czas zakopać topór wojenny.

Przynieśliśmy z kuchni wędliny, chleb i owoce, napełniając półmiski. Wiedzieliśmy, że inni też obudzą się głodni. Potem usiadłam na werandzie i nałożyłam sobie wędlin na talerz. Clay zrobił to samo. Żadne z nas podczas jedzenia nie odezwało się słowem. Choć nie było to niczym niezwykłym, ta cisza sprawiała, że jadłam szybciej niż zazwyczaj, chciałam już skończyć i opuścić to miejsce. Kiedy spojrzałam na Claya, stwierdziłam, że on też pałaszował szybciej i z mniejszym entuzjazmem niż normalnie. Byliśmy w połowie posiłku, kiedy zjawili się Jeremy i Antonio.

— Przydałoby się zrobić zakupy — rzekłam. — To zapewne ostatnia rzecz, jaka zaprzęta wasze umysły, ale wkrótce skończą się nam zapasy. Pojadę do miasta i kupię co trzeba.

— Zamówię wszystko przez telefon — rzekł Jeremy. — O ile ta afera z policją nie zmienia dotychczasowych układów. Ale na wszelki wypadek weź gotówkę, bo może się okazać, że moje czeki nie są mile widziane. Oczywiście ktoś będzie ci musiał towarzyszyć. Nikt nie opuści domu w pojedynkę ani nie zostanie tu sam.

— Ja pojadę — rzekł Clay, przeżuając kawałek melona. — Mam do odebrania przesyłkę na poczcie.

— Nie wątpię — rzekłam.

— Naprawdę — zapewnił Jeremy. — Listonosz zostawił wczoraj awizo.

— Zamówiłam parę książek z Anglii — rzekł Clay.

— I potrzebujesz ich właśnie teraz — powiedziałam. — Aby poczytać w przerwach między okaleczaniem i zabijaniem.

— Nie powinny leżeć na poczcie — odparł Clay. — Ktoś mógłby zacząć coś podejrzewać.

— Z powodu paru książek o antropologii?

Antonio sięgnął ponad stołem po garść winogron.

— Ja muszę nadać kilka faksów. Pojadę z wami i załatwię przy okazji swoje sprawy.

Odsunęłam krzesło do tyłu.

— Wobec tego po co mam jechać z wami? Jestem pewna, że dacie sobie radę z zakupami.

— Ale przecież to ty sama chciałaś jechać — zauważył Clay.

— Zmieniłam zdanie.

— Pojedziesz — wtrącił Jeremy. — Pojedziecie wszyscy troje. Przyda się wam chwila odprężenia.

Antonio uśmiechnął się.

— A Jeremy'emu kilka godzin ciszy i spokoju.

Kiedy uniosłam wzrok, mogłabym przysiąc, że Jeremy wyrócił oczami, ale ruch był tak szybki, że nie miałam pewności, czy mi się nie przywidziało. Antonio zaśmiał się i zasiadł do lunchu. Już miałam zacząć dalej się wyklócać, gdy Antonio zaczął opowiadać anegdotę o tym, jak będąc ostatnim razem w San Francisco w interesach, spotkał tam jednego kundla. Zanim skończył, zapomniałam, co chciałam powiedzieć, i chyba o to właśnie chodziło.

W godzinę później, kiedy Antonio i Clay zawołali mnie do samochodu, przypomniałam sobie, że nie chciałam jechać, i próbowałam jakoś się z tego wymigać, kiedy przerwał mi Antonio. Teraz już było za późno. Jeremy'ego nigdzie nie było widać, Antonio czekał w mercedesie, a Nick szukał w kuchni czegoś do jedzenia, pochłaniając to, co zostało. Ktoś musiał zrobić zakupy i jeśli ja się tym nie zajmę, przed obiadem zacznę przeklinać swój upór. Dlatego ostatecznie pojechałam z nimi.

Bank znajdował się naprzeciwko poczty. Jako że Antonio zdołał znaleźć miejsce do zaparkowania tuż przed budynkiem, przekonałam ich, że mogę bezpiecznie pójść sama do banku, a w tym czasie Clay pójdzie na pocztę. Ze swego miejsca na ulicy Antonio mógł przez cały czas mieć na oku nas oboje. W ten sposób skróciłabym o parę minut ogólny czas, jaki musiałam spędzić na zakupach z Clayem.

Byłam upoważniona do korzystania z konta Jeremiego podobnie jak Clay, mogliśmy pobierać z niego pieniądze, gdy tylko było to konieczne. Miałam kartę do bankomatu, ale pozbyłam się jej rok temu, gdy opuściłam Stonehaven. Teraz tego żałowałam. Bear Valley było miejscem, gdzie klienci woleli korzystać z tradycyjnych kas. Gdy stałam w kolejce, przez piętnaście minut słuchając, jak jakiś staruszek opowiada kasjerce

— swoich wnukach, tęsknym wzrokiem popatrywałam na lśniący, nieużywany bankomat. Kiedy dziadek zaczął wyjmować fotografie, pomyślałam, ile czasu zajęłoby wyrobienie nowej karty. Z głośnym westchnieniem zrezygnowałam z tego pomysłu. Zapewne wymagałoby to wypełnienia dwóch formularzy w trzech egzemplarzach

— zaczekania, aż dyrektor banku wróci z godzinnej przerwy na kawę. Zresztą za parę dni opuszczę przecież Stonehaven i nie będę jej już potrzebować.

W końcu dotarłam do okienka i musiałam okazać trzy podpisane dokumenty ze zdjęciem, zanim kasjerka pozwoliła mi pobrać z konta kilkaset dolarów. Włożyłam pieniądze do kieszeni, ruszyłam w stronę drzwi i zauważyłam, że przed budynkiem parkuje brązowa półciężarówka. Pomyślawszy, że musiałam pomylić miejsce, gdzie zaparkował Antonio, wyszłam na zewnątrz i rozejrzałam się wokoło. Miejsce za półciężarówką było puste. Przed nim stał buick. Powiodłam wzrokiem wzdłuż ulicy w jedną i drugą stronę. Mercedes zniknął.

# JENIEC

W Bear Valley było tyle samo mercedesów co porsche, więc nie musiałam długo się rozglądać, by wiedzieć, że wozu Antonia tu nie było. Przychodziły mi do głowy tylko dwa powody, dlaczego mnie zostawili. Pierwszy

— kontrolerka opłat za parkowanie zaczęła właśnie obchód, a żaden nie miał drobnych do parkometru. Drugi

— nie byli w stanie zobaczyć mnie w banku, a że długo mnie nie było, pomyśleli, że uciekłam. Była też trzecia ewentualność — Clay naprawdę był na mnie wkurzony, pobił do nieprzytomności Antonia i odjechał, pozostawiając mnie samą. Dość dramatyczne rozwiązanie, ale nie całkiem nieprawdopodobne.

Za bankiem był niewielki parking dla pracowników i klientów, którzy nie chcieli tracić drobnych na parko- metr. Zajrzałam tam i zobaczyłam tylko furgonetkę i jeszcze jedną półciężarówkę. Przekrzywiłam głowę, nasłuchując. Nawet tak blisko ulicy było tu cicho, jakby budynki przy Main Street zbudowano specjalnie w taki sposób, by wygłuszyć wszystkie dźwięki i ograniczyć ich rozchodzenie się tylko do dzielnicy handlowej. Z oddali doszedł mnie warkot dobrze dostrojonego diesla. To na pewno nie była półciężarówka. Zamknęłam oczy i odcięłam się od wszystkiego innego. Mercedes był o parę przecznic stąd, dźwięk jego silnika to cichnął, to narastał, by znów przycichnąć, jakby auto zataczało powolne kręgi. Gdzie? Logika podpowiadała, że na sąsiednim parkingu. To zapewne tam Antonio jeździł w kółko, czekając na mnie. Czyżbym przeoczyła jakieś polecenia? Czy miałam spotkać się z nimi gdzie indziej? To nie miało sensu, skoro Clay nie chciał nawet, abym sama poszła do banku. Cóż, niezależnie od przyczyny, dalsze stanie tutaj i zastanawianie się nad tym było bezcelowe.

Wąskie ślady samochodu wiodły w głąb ulicy w stronę krążącego pojazdu. Droga była błotnista i szeroka na tyle, że mercedes z ledwością by się tędy precyzyjnie przemieszczał, nie tracąc bocznych lusterek, wiedziałam jednak, że Antonio nie przejąłby się błotem ani rysami na karoserii. Clay i Antonio lubili swoje drogie bryki, ale traktowali je wyłącznie jak przedmioty użytkowe przeznaczone do przewiezienia ich z punktu A do B szybko i w komfortowych warunkach. Wygląd był sprawą drugorzędą.

Ruszyłam uliczką omijając kałuże i głębokie koleiny. W pewnym momencie uliczka odgałęziała się w prawo. Nie musiałam patrzeć na ślady wozu, by wiedzieć, że prowadziły prosto. Skręt w tak wąskim zaułku oznaczałby stratę czegoś więcej niż paru warstw lakieru. Oddalałam się coraz bardziej od głównej ulicy, uliczka rozszerzała się i wiodła nieco bardziej pod górę, błotniste podłoże zamieniło się w żwirowe. Po prawej stronie stały kosze na śmieci, ale miejsca wciąż było dość, aby mercedes mógł swobodnie tędy przejechać. Suchsze podłoże tylko zwróciło moją uwagę na błotnistą wodę, która wsączyła się do moich butów. Z każdym krokiem słyszałam wilgotne plaśnięcia moich tramppek i mój nastrój coraz bardziej się pogarszał. Byłam gotowa wrócić do banku i zadzwonić do Jeremy'ego, by podał mi numer komórki Antonia, gdy dostrzegłam w oddali srebrny błysk.

Zatrzymałam się. Ponad trzydzieści metrów dalej uliczka kończyła się pustą, zarośniętą chwastami parcelą. Gdy tak patrzyłam, mercedes minął wylot zaułka. Pomachałam rękami, ale wóz zniknął za ceglanyymi murami.

— No dalej, chłopaki — mruknęłam. — Co to ma być, zabawa w chowanego?

Poczłapałam dalej w moich przemoczonych butach, machając za każdym razem, kiedy mercedes przejeżdżał obok wylotu zaułka i cedząc pod nosem przekleństwa za każdym razem, kiedy się zatrzymał. Gdy mijałam kolejną boczną uliczkę, usłyszałam cichy dźwięk, ale nie przystanęłam, moja ciekawość została chwilowo zepchnięta na dalszy plan. Po przejściu kilku metrów usłyszałam za sobą chrzęst stóp na żwirze i w zasięgu mojego wzroku po lewej pojawił się wielki cień. Clay. Szedł z wiatrem, ale nie musiałam go zwęszyć, by rozpoznać żart w jego stylu.

Kiedy się odwróciłam, silna ręka schwyciła mnie za koszulę na plecach i cisnęła twarzą do ziemi. Dobra. To nie Clay.

— Wstawaj — rzekł głos, gdy olbrzymi kształt mnie minął.

Uniosłam głowę, wypluwając żwir i krew.

— Co jest? Żadnej celnej riposty? Żadnego ciętego dowcipu?

— Wstawaj.

Cain ponownie złapał mnie za kołnierz i podźwignął, stawiając do pionu tak mocno, że aż nogi ugięły mi się w kostkach. Teatralnym gestem otarłam brud z twarzy i przeczesalam palcami włosy.

— Nie tak wita się dziewczynę, Zack — powiedziałam. — Nic dziwnego, że musisz za to płacić.

Cain stał tuż obok z rękoma założonymi na piersiach, nie mówiąc ani słowa. Jego bary przesłaniały połowę przejścia między budynkami. Ciemnoblonde włosy ozdabiały oblicze o rysach buldoga.

— Czekasz, że zacznę uciekać? — spytałam. — A może wciąż zastanawiasz się nad ripostą?

Ruszył naprzód. Odwróciłam się i pognałam w stronę wylotu zaułka. Kundel zawsze staje do walki, niezależnie o co miałby się bić. Wilkołak z Watahy wie, kiedy należy wziąć nogi za pas. Nawet w najlepszej formie nie mogłam się równać z Zacharym Cainem, a dziś z pewnością jej nie miałam. Byłam o połowę mniejsza od Caina, ale dwa razy szybsza od niego. Gdyby udało mi się dobiec do wylotu zaułka, byłabym bezpieczna. Było tam dwóch najlepszych wojowników z Watahy, a ja nie byłam ani zbyt uparta, ani zbyt głupia, by odmówić przyjęcia pomocy. Gdy znajdowałam się w połowie drogi, mercedes znów się pojawił. Uniosłam obie ręce, by pomachać, i moja lewa noga niebezpiecznie wygięła się w kostce, gdy stopa omsknęła mi się na żwirze. Kiedy upadłam, srebrny samochód powoli zniknął mi z pola widzenia.

Podniosłam się na nogi, ale już było za późno. Cain znów chwycił mnie za koszulę. Tym razem podźwignął mnie w górę. Rąbnęłam lewą stopą o kontener na śmieci i aż jęknęłam z bólu. Cain złapał mnie wolną ręką pod brodę i wyrznął mną o ścianę. Uderzyłam potylicą o ceglany mur, aż zobaczyłam przed oczyma wszystkie gwiazdy. Przytrzymał mnie z nogami jakiś metr nad ziemią. A potem rozerwał mi koszulę z przodu.

— Niewiele tu do oglądania, co nie? — wychrypiałam przez ściśnięte gardło. — Wiem, wiem, w tych czasach takie rzeczy łatwo poprawić. Możesz mnie nazwać feministką, ale uważam, że kobiety nie powinno się oceniać po rozmiarach biustu, lecz...

Wbiłam pięść w jego jabłko Adama. Stęknął i cofnął się o krok.

— ...po sile prawego sierpowego — dokończyłam, rzucając się na niego, zanim zdążył odzyskać równowagę.

Cain przewrócił się na ziemię. Kiedy upadł, wciąż na nim siedziałam, tłukąc otwartą dłońią w jego szyję i przyszpilając go za gardło.

— Owszem, mogę mówić i myśleć równocześnie —• powiedziałam. — Większość ludzi to potrafi, choć ty raczej tego nie doświadczyłeś.



Z głośnym rykiem Cain zamachnął się na mnie jedną ręką. Nagle w powietrzu przemknęła czyjaś noga i przyszpiliła jego ramię do ziemi.

— A-a — wycedził Clay. — Elena dostatecznie długo się z tobą bawiła. Teraz moja kolej.

Zaczekałam, aż Clay przeniesie stopę na gardło Caina i dopiero wtedy się wycofałam. Antonio stał z boku.

— Pułapka? — spytałam.

Antonio pokiwał głową.

— Clay zauważył go przyczajonego w zaułku. Domyśliliśmy się, że nas szukasz.

— I dlatego zostawiliście ślady i krążyliście po pustej parceli, czekając, aż złapię przynętę i aż złapie się na nią Cain.

— Mniej więcej.

Clay podźwiął Caina na nogi. Oczy Claya nie były już podkrążone i zaczerwienione. Wydawał się w pełni rozbudzony. Na to właśnie czekał.

Cain górował nad Clayem o dobrych piętnaście centymetrów i był od niego cięższy co najmniej o trzydzieści kilogramów. To była uczciwa walka.

Obaj cofnęli się i spojrzeli jeden na drugiego. Wreszcie Cain postąpił krok w lewo, w stronę Claya. Clay odzwierciedlił to samo posunięcie, ale przemieszczając się w prawo. Powtarzali kolejne ruchy jak kroki w tańcu, przez cały czas patrząc sobie w oczy i wypatrując dogodnego momentu do ataku. Wzorec tego zachowania mieli wdrukowany w swoich umysłach. Krok, zatoczyć krąg, spojrzeć. Aby zwyciężyć, musiałeś albo zaatakować bez ostrzeżenia, albo wychwycić moment, kiedy twój przeciwnik zaatakuje, i uskoczyć. Trwało to kilka minut. Wreszcie Cain stracił cierpliwość i rzucił się do ataku. Clay zszedł mu z drogi, schwycił za pas i cisnął o ścianę. Cain otrząsnął się w okamgnieniu i rąbnął Claya w pierś, powalając go na ziemię.

Nie będę przedstawiała tu całej walki w szczegółach, bo byłyby to nudna lista ciosów, chwytów i upadków, a poza tym nie przyglądałam się jej zbyt uważnie. Nie dlatego, żeby mnie nie interesowała, wręcz przeciwnie, byłam aż za bardzo zainteresowana. Stać z boku i patrzeć, jak Clay jest bity, kopany i ciskany o ścianę, tego było już dla mnie za wiele. Nie żebym sama nie miała czasem ochoty mu tego zrobić, ale to było co innego. Czułabym się tak samo, oglądając walkę któregośkolwiek innego z moich braci z Watahy. Nie chodziło tylko o Claya. Naprawdę.

Choć nie obserwowałam walki, nie powstrzymywało mnie to przed zwężeniem tego, co się działo. Najpierw poczułam woń krwi Caina, ale zaraz potem także Claya. Kiedy uniosłam wzrok, ujrzałam krew buchającą z ust i nosa Claya, który kasłał i krztusił się. Antonio i ja stanęliśmy z boku, obserwując. Tak właśnie walczyliśmy. Jeden na jednego, żadnej broni, żadnych sztuczek. To tkwiący w nas wilk dyktował zasady walki, ludzka strona zaś nakazywała zwyciężyć za wszelką cenę. Nie oznaczało to, że mielibyśmy stać z boku i patrzeć, jak Clay jest mordowany. W takim przypadku lojalność wobec jednego z naszych nakazywałaby nam złamać wszelkie reguły postępowania. Jednak granicę pomiędzy życiem a śmiercią wyznaczało wiele przelanej krwi i pogruchatanych kości i dopóki nie zostanie ona przekroczona, nie mogliśmy interweniować.

Ostatecznie Cain wylądował twarzą do dołu na żwirze. Kiedy nie wstał, pomyślałam, że nie żyje. Zaraz jednak spostrzegłam, jak jego grzbiet unosi się i opada w rytm nierównego oddechu.

— Jest nieprzytomny — wychrypiał Clay, ocierając koszulą zakrwawiony nos. — Już możesz spojrzeć.

— Patrzyłam — odparłam. — Odwróciłam się, bo wydawało mi się, że usłyszałam coś w głębi zaułka.

Clay uśmiechnął się i z jego rozciętej górnej wargi pociekła krew.

— Nie zaczynaj — rzucił Antonio. — Musimy dostarczyć tego kundla do Stonehaven, żeby Jeremy mógł go przesłuchać. Eleno, mogłabyś pofatygować się do samochodu i upewnić się, że nikogo nie ma w pobliżu? Clay, weź kluczyki i otwórz bagażnik. Ja się nim zajmę.

Tak jak sądziłam, zaułek kończył się pustą parcelą.

Niegdyś był tu przejazd w kierunku północnym, ale teraz blokowały go kontenery na śmieci, pozostawiając przejezdnią jedynie drogę na południe. Pomiędzy pojemnikami było dość miejsca, by przejść, podeszłam więc i zaczęłam wypatrywać potencjalnych przechodniów. Z tyłu Antonio i Clay zapakowali Caina do bagażnika. Wreszcie Clay podszedł do miejsca, gdzie stałam na czatach.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

— Poza zadrapaniem na policzku, skręconą kostką przypuszczalnym wstrząśnięciem mózgu, przemoczonymi trampkami i podartą koszulą? Tak. Wszystko gra. Możesz wykorzystywać mnie jako przynętę, kiedy tylko zechcesz.

— Cieszę się, że tak uważasz.

— Uważaj, bo nie skończy się tylko na rozkwaszonym nosie i rozciętej wardze. — Otaksowałam go wzrokiem. — Coś poza tym?

— Może parę poobijanych żeber. Nic trwałego.

Zakasłał i znów krew połała mu się z nosa. Rozerwał koszulę, zmiął kawałek materiału i przyłożył do krwawiącego nosa. Kiedy wróciliśmy do samochodu, Antonio właśnie zatrzasnął bagażnik. Ciało nieprzytomnego Caina wypełniło całą jego przestrzeń.

— Chyba jednak nici z zakupów — zauważyłam.

— Na to wygląda — mruknął Antonio. — Sam będę musiał się tym zająć. Kupi się coś po drodze.

Sądziłam, że żartuje. Powinna była znać go lepiej. Zanim wyjechaliśmy z miasta, zahaczyliśmy o centrum handlowe i Antonio poszedł, by kupić parę dużych kanapek i sałatek, pozostawiając Claya i mnie, półnagich i krwawiących, w samochodzie, a Caina nieprzytomnego w bagażniku. Nic dziwnego, że tak bardzo chciałam już wrócić do Toronto. Jeżeli spędzisz za dużo czasu w towarzystwie tych facetów, możesz przestać się przejmować zakrwawionymi ciuchami i ciałami z tyłu wozu.

W Stonehaven Antonio i Nick przenieśli wciąż nieprzytomnego Caina do klatki w piwnicy, podczas gdy Jeremy obejrzał i opatrzył obrażenia Claya i moje. Dostałam dwie aspiryny na bolącą głowę oraz jodynę i odrobinę współczucia na sińce i zadrapania. Clay dostał plaster na rozciętą wargę, bandaż na potłuczone żebra i parę szorstkich słów, że śmiało naraził moje życie, wykorzystując mnie w charakterze przynęty. Pomimo tego, co powiedziałam do Claya, nie miałam mu za złe, że tak mnie wykorzystał. Schwytanie Caina było warte potłuczenia głowy i podartej koszuli. Clay wiedział, że sobie poradzę, a ja w pewnym sensie byłam z tego zadowolona. Wkurzyłabym się, gdyby uznał, że jestem zbyt delikatna, by bawić się z dużymi chłopcami. Oczywiście nie wybaczyłam mu ani nie próbowałam bronić. A przynajmniej nie na głos. W przeciwnym razie Jeremy zaczęłby się jeszcze bardziej martwić o moją głowę.

Kiedy Cain znalazł się w klatce, a Jeremy zakończył badanie, musieliśmy coś przegryźć. Następnie Nick i Antonio wrócili do miasta po zakupy, podczas gdy Clay, Jeremy i ja rozmawialiśmy o tym, jakie informacje chcieliśmy uzyskać od Caina. Około szóstej krzyki i hałas z piwnicy upewniły nas, że jeniec się ocknął. Jeremy i Clay zeszli na dół.

Ja zostałam na górze. Mogłam pójść z nimi i pomóc, ale wiedziałam, co się święci, więc zostałam w gabinecie, skąd mogłam słyszeć, co mówił Cain, nie widząc, w jaki sposób zmuszano go do mówienia. Nie przepadam za torturami. Może to głupie, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jakiej przemocy byłam świadkiem i uczestniczką w całym moim życiu. Jednak w brutalnym zniewoleniu, gdy nie możesz się bronić, było coś, co wywoływało lodowe ciarki na moim grzbiecie i przepelniało moje noce koszmarami. Może to reperkusje po patologicznym dzieciństwie. Wiele lat temu byłam z Clayem na *Wściekłych psach*. Gdy dotarliśmy do niesławnej sceny tortur, zasłoniłam oczy, a Clay nadstawił uszu. Choć nie sądziłam, aby kiedykolwiek zdarzyło mu się kogoś związać i oblać benzyną

robił inne równie paskudne rzeczy. Wiedziałam, bo byłam przy tym. Widziałam, jak to robił, i najbardziej przerażał mnie wówczas wyraz jego oczu. Nie płonęły podnieceniem ani oczekiwaniem jak podczas polowania. Były zimne i nieprzeniknione jak dwie bryłki błękitnego lodu. Kiedy torturował kundla, zachowywał się metodycznie, nie okazując żadnych emocji. Oczywiście martwiłabym się bardziej, gdyby podchodził do swojej pracy z radością ale równie mocno przerażał mnie ktoś, kto potrafił robić takie rzeczy zgoła beznamiętnie. Większość ludzi stosowała tortury dla wydobycia informacji. Clay robił to dla przykładu. Za każdego kundla, którego okaleczył i pozostawił przy życiu, pięć innych dobrze przyswajało sobie daną w ten sposób naukę. Za jednego zabitego dwadzieścia innych kładło uszy po sobie. Te, które mogły myśleć o zaatakowaniu członka Watahy, musiały jedynie przypomnieć sobie pewne historie, by natychmiast zrezygnować ze swych zamiarów. Większość wilkołaków nie bała się śmierci, ale bywał los od śmierci gorszy, a Clay starał się dopilnować, by kundle o tym wiedziały.

Gdy siedziałam w gabinecie, słuchając tego, co działo się poniżej, musiałam przyznać, że metody Claya miały swoją dobrą stronę. Im bardziej zyskiwała jego reputacja, tym mniej musiał robić, by ją podtrzymać. Pomieszczenie nie rozbrzmiewało rozziewającymi wrzaskami Caina, gdy Jeremy go przesłuchiwał. W ciągu trwającego cztery godziny przesłuchania usłyszałam jedynie trzy głuche uderzenia, gdy, jak przypuszczałam, Clay zadał Cainowi parę ciosów, by wymusić na nim odpowiedź. Sama obecność Claya i świadomość tego, co mógł zrobić, wystarczyła, by skłonić Caina do mówienia. Spośród trzech doświadczonych kundli w Bear Valley Zachary Cain był najgorszym materiałem na informatora. Wszelkie szczegóły planów, jakimi mogli podzielić się z nim Daniel i Marsten, musiały dawno temu przepaść wśród niezmiernych pustkowi jego umysłu. Zdaniem Caina, do „rewolucji” należał także Jimmy Koenig, ale póki co jeszcze się nie pokazał. Cain dołączył do nich, ponieważ poszukiwał „wyzwolenia od tyranii”, które to sformułowanie przyswoił sobie zapewne, oglądając zbyt często *Braveheart— Waleczne Serce*. Jak to wymownie ujął Cain, miał już serdecznie dość oglądania mego pieprzonego tyłka za każdym razem, gdy odlewał się nie tak, jak trzeba. Jako że Wataha nigdy nie zwracała większej uwagi na sposoby oddawania moczu przez kundle, musiało to oznaczać, że walczyli o prawo do zabijania ludzi bez obawiania się o odwet, co, jak sądzę, zostało ujęte w specjalnej tajnej klauzuli dla wilkołaków dołączonej do Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Zdaniem Caina, Koenig pragnął logo samego — eksterminacji Watahy, tak jak przestępcy marzą o zgładzeniu policji. Ci dwaj, nie wiedząc czemu, sądzili, że gdy pozbędą się Watahy, będą mogli używać w najlepsze, dając upust mrocznej stronie swej natury, i nie poniosą z tego tytułu żadnych konsekwencji. Daniel jak zawsze miał nieco szersze plany. Chciał pozbyć się Watahy i założyć własną zapewne przypominającą strukturą wilkołaczą mafię. Cain nie wdawał się w szczegóły, a mnie one nie interesowały. Jeżeli chodzi o Marstena, Cain nie wiedział, dlaczego włączył się do walki. Ale w sumie nie dbał o to.

Daniel obmyślił nowy plan pozyskiwania rekrutów. Przeprowadził badania, odnalazł właściwych kandydatów i zagrał rolę ojca chrzestnego w wersji dla psychopatów — składając im propozycję nie do odrzucenia. Jeśli pomogą mu zlikwidować paru starych wrogów, obdarzy ich ciałem najlepszego zabójcy na świecie. Żaden nie odmówił. Następnie Daniel przydzielił każdemu ze swych towarzyszy nowego rekruta. Daniel ukąsił i wyszkolił Thomasa LeBlanca. Marsten Scotta Brandona. Protegowanego Caina jeszcze dotąd nie spotkaliśmy. Nazywał się Victor Olson i to właśnie on czekał w samochodzie tego dnia, kiedy Cain przegonił nas po lesie. Jeremy spytał Caina, co robił Olson, będąc człowiekiem. To było moje pytanie i chyba Jeremy zadał je dla mojej satysfakcji... poza tym wiedział, że słuchałam. Cain nie znał szczegółów, nie obchodziła go przeszłość Olsona ani nic, co go bezpośrednio dotyczyło. Wiedział tylko, że Olson siedział w więzieniu za „zabawianie się z paroma dziewczętami” i zabicie jednej z nich. Wyglądało na to, że mieliśmy do czynienia z gwałcicielem i zabójcą w typie Thomasa LeBlanca.

Ten pierwszy nie wydawał się doświadczonym mordercą, ale Daniel musiał w nim dostrzec ukryty potencjał, skoro wysłał Caina aż do Arizony, aby wy dostał Olsona z pudła.

Usunawszy z drogi Caina, pozostały nam już tylko dwa doświadczone i dwa nowe kundle. Zgadza się? Chciałabym. Jak już wspomniałam, Koenig jeszcze się nie zjawił. Jego rekrut wciąż dochodził do siebie po Przemienieniu, ale wkrótce zjadą do Bear Valley. Walka z tymi typami przypominała pojedynki z hydrą. Odcinaliśmy jedną głowę, a w jej miejsce pojawiały się dwie kolejne. Clay próbował wydobyć z Caina coś więcej, ale nie naciskał. Jak dotąd Cain niczego nie zatajał, więc teraz też raczej nie powinien. Chodziło o jego skórę. Powiedzieliby wszystko, byle uniknąć tortur, nawet jeśli miało to oznaczać wydanie na śmierć jego współkonspiratorów. Nie ma to jak lojalność między kundlami.

Minęła dziesiąta, kiedy Jeremy wszedł na górę. Wmaszerował do gabinetu, gdzie leżałam zwinięta w kłębek na fotelu.

— Coś jeszcze? — zapytał.

Pokręciłam głową, a on wrócił na dół. Rozległ się krzyk, zduszony dźwięk, pół gniewny, pół błagalny. A potem cisza. Parę sekund później drzwi do piwnicy otworzyły się i usłyszałam kroki Jeremy'ego zmierzającego w stronę tylnego patio. Wiedziałam, że chciał pobyć przez pewien czas sam. Kiedy drzwi otworzyły się ponownie, wyjrzałam z gabinetu. Clay ocierał twarz dłonią. Na koszuli miał drobne plamki krwi. Wyglądał na wyczerpanego, jakby torturował Caina przez ostatnie cztery godziny, a nie odgrywał rolę milczącego rozjemcy. Na mój widok wysilił się na uśmiech.

— Cześć.

— Po wszystkim? — spytałam.

— Tak. Nie żyje. Wywieziemy go nazajutrz. Jest teraz w schowku. — Potarł kark dłonią. — Jadł coś?

Pokręciłam głową.

— Tonio zrobił wcześniej gulasz. Chcesz trochę?

— Teraz chciałbym wziąć prysznic, ale gdybyś podgrzała, zejdę na dół, zanim będzie gotowy. Jeremy raczej nie będzie nic jadł, więc jesteś zdana tylko na moje towarzystwo. Co ty na to?

Pokiwałam głową a on pomaszerował na górę.

Godzinę później Clay i ja weszliśmy do gabinetu, by zastać tam Jeremy'ego siedzącego w fotelu z zamkniętymi oczami. Uniósł lekko jedną powiekę, gdy weszliśmy.

— Przepraszam—powiedziałam. — Mamy wyjść?

Zaprosił nas do środka machnięciem zdrowej ręki, po czym znów zamknął oczy. Usiadłam na kanapie, podczas gdy Clay przyrządził drinki. Postawił jednego obok łokcia Jeremy'ego, ale Jeremy nie zrobił nic, by wziąć go do ręki.

— A więc mamy w mieście aż cztery — powiedziałam do Claya, gdy usiadł obok mnie. — I dwa kolejne w drodze. Pytanie brzmi, co mamy z tym zrobić.

— Zabijemy je wszystkie.

— Niezły plan — mruknął Jeremy, nie otwierając oczu. — Bardzo konkretny.

— Hej, jeśli nie interesują cię moje plany, to nie podsłuchuj.

— Ja byłem tu pierwszy.

— Myśleliśmy, że śpisz — odparłam.

Jeremy uniósł jedną brew, po czym zamilkł, oczy miał nadal zamknięte. Clay sięgnął po swego drinka, wypił łyk, następnie przerzucił rękę za moją głowę, palce opuszczonej luźno dłoni muskały moje ramię.

— Powinniśmy najpierw pozbyć się Daniela — rzekł. — To ich prowodyr. Nikt inny nie ma pojęcia o założeniu watahy. Zniszczmy centrum, a reszta sama się rozsypie.

— Racja — powiedziałam. — To będzie proste. Daniel to cienias. Jedynym powodem, dlaczego go jeszcze nie zabiłeś, to ten, że jest twoim towarzyszem zabaw z dzieciństwa, zgadza się?

Clay parsknął.

— Dokładnie — rzekłam. — Nadal żyje, ponieważ wie, jak funkcjonujemy, i nie da się wciągnąć w pułapkę jak Cain. Uważam, że powinniśmy teraz zapolować na tych dwóch nowych. Są niewiadomymi. Pozbądźmy się ich, a będziemy wiedzieć dokładnie, z czym mamy do czynienia.

— Nie zamierzam marnować czasu na parę nowych kundli.

— Więc ja to zrobię. Bez ciebie.

— Niech to szlag. — Rąbnął potylicą o oparcie kanapy. — Jer, czy ty to słyszysz?

— Śpię — odparł Jeremy.

Milczał przez chwilę. Gdy nie podjęliśmy dalszej rozmowy, westchnął i otworzył oczy.

— Clay ma rację, powinniśmy zmierzyć się z Danielem — rzekł Jeremy. — Ale zabicie go nie będzie łatwe. Może z nim po negocjuję.

— Po negocjujesz?—wybuchnął Clay. — Ale po co?

Bo wiem, jaki on jest, i chyba łatwiej będzie z nim pomówić, niż ryzykować życiem, próbując z nim walczyć. Gdy pozbędziemy się Daniela, reszta, tak jak mówicie, pójdzie w rozsypkę. Później zaatakujemy po kolei i zniszczymy każde przyszłe zagrożenie. Jestem coś winien Danielowi, bo należał do Watahy, a jego ojciec był dobrym człowiekiem. Ale na tym koniec. Dogadamy się z nim jeden jedyny raz i będziemy mieć go na oku. Jeżeli znów zabije człowieka, choćby to było w Australii, umrze.

— Skąd przypuszczenie, że Daniel pójdzie na ugodę? — zapytałam. — Cain twierdził, że Daniel pragnie unicestwienia całej Watahy.

— Może i tak, ale powiedziałbym, że chodzi mu raczej o zemstę — odparł Jeremy. — Chce nas rzucić na kolana. Gdy zaproponuję mu układ, pomyśli, że mu się udało. Kiedy uświadomi sobie, że Zachary Cain nie żyje, zacznie się martwić. Jimmy Koenig jeszcze się nie pojawił. Został mu tylko Karl Marsten.

— I dwa nowe kundle.

— To nie ich walka — rzekł Jeremy. — Zostali zwerbowani na wojnę, która ich nie dotyczy. Walczą tylko dlatego, że dobili targu z Danielem. Dostali od niego to, czego chcieli. Gdy zobaczą że wszystko się wali, odejda. Co mogłoby ich zatrzymać? Nie mają żadnej motywacji. Nie mają zatargów z Watahą by mogli chcieć się zemścić. Nie są wilkołakami na tyle długo, by wyrobić w sobie pragnienie posiadania terytorium. Po co mieliby walczyć?

— Dla zabawy. — Odwróciłam się do Claya. — Widziałeś Brandona w tamtym klubie. Widziałeś, jak zabił tego faceta, ile sprawiło mu to uciechy. Czy widziałeś kiedykolwiek wilkołaka, który tak by się zachowywał?

— Nie zapomniałem o nich, kochanie — rzekł Clay. — LeBlanc umrze za to, co zrobił Loganowi i Jeremy'emu. Nie zapomnę mu tego.

Clay opuścił dłoń na moje ramię i zaczął bawić się moimi włosami. Oparłam się o niego, czując połączone działanie mocnych drinków i nieprzespanych nocy. Kiedy Jeremy znów zamknął oczy, zrobiłam to samo, pozwalając, by moja głowa opadła na ramię Claya. Odwrócił się do mnie i wyciągnął drugą rękę, by położyć ją na mojej nodze. Poczułam jej ciepło przez materiał dzinsów. Omiótł mnie jego oddech przesycony wonią whisky. Zaczęłam przysypiać, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem.

— Co to ma być? — spytał Nick. — Pospaliście się?

Nikt mu nie odpowiedział. Nie otworzyłam oczu.

— Wydajesz się dziwnie zadowolony, Clayton — ciągnął Nick, siadając na podłodze. — To chyba nie wynika z faktu, że Elena przytuliła się do ciebie, prawda?

— Zimno tu — wymamrotałam.  
— Jakoś nie czuję, żeby było zimno.  
— Jest zimno — warknął Clay.  
— Mogę rozpalić ogień.  
— Ja też — rzucił Clay. — Rozniecę go twoimi ciuchami. Zanim zdążysz je zdjąć.  
— To aluzja, Nicky — rzucił od progu Antonio. — Przyjmij ją do siebie. Nie zamierzam spędzić reszty moich dni jako bezdzietny starzec.

Usłyszałam, jak Antonio przechodzi przez pokój. Brzęknęło szkło, gdy przygotowywał dwa drinki. Następnie usadowił się w sąsiednim fotelu. Nick pozostał na podłodze, wyciągając się na niej i opierając o nasze nogi. Parę minut później znów zapadła cisza przerywana jedynie prowadzoną szeptem zdawkową rozmową.

Niebawem senność, jaka mnie ogarnęła, zaczęła również dosięgać swymi mackami pozostałych. Głosy zmieniły się w mamrotanie, rozmowy stały się coraz krótsze i rzadsze, aż w końcu w gabinecie zapanowała kompletna cisza. Położyłam rozwartą dłoń na piersi Claya, czując pod palcami regularny rytm jego serca, i w chwilę później usnęłam.

## OKREŻNA DROGA

Kiedy się obudziłam, jak przez mgłę pamiętałam, że usnęłam na kanapie, i zaczęłam przystosowywać się do tej sytuacji, unosząc ręce i opuszczając nogi, by nie spaść na podłogę. Nagle uświadomiłam sobie, że moje kończyny nie znajdowały się tam, gdzie się tego spodziewałam. Ręce miałam wsunięte pod poduszkę, a nogi przykryte narzutą. Pudrowy aromat płynu do zmiękczenia tkanin wypełnił moje nozdrza. Otworzyłam jedno oko, by ujrzeć cienie konarów drzewa tańczące na baldachimie mojego łóżka.

Wciąż nowe zaskoczenia. Nie tylko leżałam w łóżku, ale do tego w swoim. Zwykle gdy zasypiałam na dole z Clayem, zanosił mnie do swego pokoju jak jaskiniowiec kobietę do swojej jaskini. Przebudzenie we własnym pokoju było dla mnie sporym zaskoczeniem... dopóki nie poczułam na sobie ciężaru ramienia oplatającego mnie w talii i nie usłyszałam chrapania dochodzącego zza moich pleców. Gdy się poruszyłam, chrapanie ustało, a Clay przybliżył się do mnie.

— Miło zobaczyć, że pamiętasz, jak rozgościć się w moim łóżku — powiedziałam.  
— Byłem z tobą, gdy zasypiałeś — wymamrotał zaspanym głosem. — Co to za różnica, że zostałem dłużej.

Otaksowałam wzrokiem moje nagie ciało.

— O ile dobrze pamiętam, gdy zasypiałam, byłam ubrana.

— To żeby ci było wygodniej.

— Widzę, że o swoją wygodę też zadbałeś — zauważyłam, przesuając lekko nogi i czując dotyk jego nagiej skóry.

— Jeżeli chcesz zobaczyć, wystarczy, że się odwrócisz.

Parsknęłam.

— Raczej nie.

Otarł się o moje plecy. Przesunął dłoń z mojego biodra na brzuch. Znow zamknęłam oczy, umysł miałam zaspany, jakby spowity mgłą. Czułam obok siebie ciepło Claya odganiające poranny chłód. Baldachim sprawiał, że w łóżku było ciemno i przyjemnie. Nie trzeba było jeszcze wstawać, bo i po co? Tu było tak miło i przytulnie. Potrzebowaliśmy odpoczynku. Ta myśl i dotyk nagiego ciała Claya rozbudziło parę niesfornych obrazów i pomysłów, ale nie robił nic, by wywołać potrzebę ich przewalczenia. Oddychał głęboko, powoli, jakby znowu zasypiał. Jego nogi oplatały moje, ale były nieruchome, podobnie jak ręce. Po kilku minutach zaczął całować mnie w kark. To nadal nie powód do zaniepokojenia. Mój kark nie należał do stref erogennych, choć doznanie było przyjemne. Naprawdę przyjemne. Zwłaszcza kiedy przesunął rękę, by odgarnąć włosy z mojego ramienia, i powiódł koniuszkami palców wzdłuż mojej żuchwy do warg.

Rozchyliłam usta, wysuwając język, by polizać jego palec, i przesunęłam nim po szorstkim paznokciu. Gdy moje usta rozchyliły się, wsunął koniuszek palca między zęby. Zaczął wodzić ustami po moim karku. Jego oddech drażnił znajdujące się tam drobne włoski, aż poczułam przeszywające mnie dreszcze. Gdy tak skubałam jego palec, jego usta i druga ręka przesunęły się po moich plecach, wywołując tam gęsią skórę. Jego dłoń opadła do zagłębienia między moimi żebrami a biodrem i pogładziła tę krzywiznę. Gdy jego palce ześlizgnęły się na mój brzuch, odwróciłam się do niego. Obrócił mnie na bok, twarzą do siebie, i zaczął całować. Pocałunki były delikatne, powolne, współgrające z dłońmi, które badały moje ciało, przesuwały się po bokach, plecach, ramionach, barkach, udach i biodrach. Wciąż nie otwierałam oczu, balansując między snem a jawą. Przysuwając się do niego, pławiłam się w ciepłe jego skóry i gładkościach smukłego ciała. Gdy poczułam twardość członka dotykającego mojego brzucha, wiedziałam już, co się zaraz stanie. Moje ciało zareagowało bez instrukcji, unosząc lekko górną połowę, rozchylając uda i...

— Dzwoniłaś do niego wczoraj? — zapytał Jeremy.

— Hę? — Opróżniałam zmywarkę. Myślni wciąż byłam w łóżku z Clayem.

— Twój... przyjaciel dzwonił, zanim wstałaś. Zostawiłaś swoją komórkę w holu.

Uwolniłam się z pułapki sypialni.

— Odebrałaś?

— Chyba nie chciałem czekać, aż zrobi to Clay, prawda? Nie dzwoniłaś, zgadza się? — Nie czekał na odpowiedź. — Nie martw się, nic nie powiedziałem, więc historyjka, którą mu wciskasz, jest bezpieczna. Chyba liczy na to, że dzisiaj wrócisz.

— Zajmę się tym.

— Eleno...

— Powiedziałam, że się tym zajmę.

Odstawiłam ostatni talerz i ruszyłam w stronę drzwi.

Nie zadzwoniłam do Philipa, bo o nim zapomniałam. To może brzmieć okropnie, ale taka była prawda. Kochałam tego faceta. Wiedziałam, że go kocham, i to było właśnie najgorsze. Przynajmniej mogłam powiedzieć, że nie byłam zakochana w... Zakochana? Czy byłam zakochana w Philipie? Cholera, co za utarty frazes. Banał. Kochałam go. Nie było żadnego „zakochania”. Było pragnienie, pożądanie i zapamiętanie, trzy absolutnie niszczycielskie emocje, które nie miały nic wspólnego z prawdziwą trwałą miłością. Zapomniałam o Philipie, bo tak

właśnie radziłam sobie z tym bałaganem, rozdzielając moje życie na dwie sfery — ludzką i wilczą. Philip należał do świata ludzi i wydawało się, że nawet myśl o nim, gdy byłam z Watahą, mogłaby skalać to, co nas łączyło. A przynajmniej tak tłumaczyłam sobie to przeoczenie.

Gdy szłam, by zabrać z holu swoją komórkę, pojawił się Clay. Przecież nie mogłam przeprosić i pobiec z telefonem na górę. W tej sytuacji zostawiłam telefon tam, gdzie leżał, i poszłam z Clayem na spacer. Zamierzałam zadzwonić do Philipa, jak wrócę. Zostawił mi nagraną wiadomość, ale gdy wróciliśmy, Jeremy przypomniał, że mieliśmy pozbyć się ciała Caina. Potem sprawy się skomplikowały i w świetle tego, co się wydarzyło tego dnia, chyba można mi wybaczyć, że... znów zapomniałam zadzwonić do Philipa.

W dawnych dobrych czasach bezprawia i objazdowych sędziów Wataha mogła porzucać ciała, gdziekolwiek zapragnęła. Odkąd ludzie bardziej zaczęli przejmować się trupami i zaginionymi, Wataha musiała zacząć grzebać zabite kundle. Dziś, gdy mamy autopsję, połączone systemami komputerowymi jednostki dochodzeniowe i testy DNA, pozbycie się ciała stanowiło nie lada wyzwanie wymagające pół dnia przygotowań i ciężkiej pracy. Każdy członek Watahy ćwiczył kolejne etapy tego procesu, dopóki nie potrafiliśmy pozbyć się ciała lepiej niż ludzki zabójca, obeznany z procedurami działań policyjnych techników i laborantów sądowych.

Pojechaliśmy explorem godzinę drogi na północ, omijając tereny, na których porzucaliśmy zwłoki przez ostatnich kilka dekad. Po kolejnej godzinie drogi przez las zatrzymaliśmy się, wyciągnęliśmy ciało Caina i zawlekliśmy w ustronne miejsce, gdzie rozebraliśmy je, umyliśmy i zbadaliśmy wszystkie obrażenia. Jedynymi śladami na ciele były dwie wybroczyny pod szyją zasinienia od kciuków Claya pozostawione w miejscu, gdzie złamał Cainowi kręgosłup. Dla bezpieczeństwa Clay wyciął te zasinienia scyzorykiem. W końcu pogrzebaliśmy zwłoki. Następnie zamaskowałam miejsce jego pochówku ściółką a Clay przytoczył dwa głazy, zbyt ciężkie, by mógł je podnieść człowiek, i położył je na grobie. Wróciliśmy do explora, zacierając za sobą ślady, i udaliśmy się na miejsce numer dwa.

Wybraliśmy je równie starannie jak pierwsze, ale oba dzieliła godzina jazdy. Wykopaliśmy tu dół, do którego wrzuciliśmy ubranie Caina, jego dokumenty, worki i ubrania, w których podróżowaliśmy, przenosiliśmy i pozbywaliśmy się jego zwłok. Polaliśmy to wszystko naftą i podpaliśmy, starając się, by dymu było jak najmniej. Gdy zostały tylko popioły, Clay pogrzebał resztki i na tym zakończyliśmy nasze zadanie. Plan i realizacja nie były bezbłędne, ale nikt raczej nigdy nie będzie szukał Zachary'ego Caina. Kundle nie mają nikogo, kto by ich oplakiwał.

Znajdowaliśmy się o dwadzieścia minut od Stoneliaven, kiedy w lusterku wstecznym błysnął niebieski kogut. Uniosłam wzrok, rozglądając się po drodze, przekonana, że ten znak był przeznaczony dla kogoś innego. Wiedziałam, że nie złamałam żadnego przepisu. Najgłupszą rzeczą jaką możesz zrobić, pozbywszy się zwłok, to złamać kilka przepisów drogowych w drodze powrotnej, i dlatego to ja siedziałam za kółkiem, a nie Clay. Utrzymywałam prędkość na poziomie pięciu kilometrów powyżej dopuszczalnego limitu — bo jazda dokładnie z dozwoloną prędkością na pewno mogła wydać się równie podejrzana jak znaczne przekroczenie prędkości. Przez ostatnie pięćdziesiąt kilometrów jechałam idealnie prostą autostradą nie mogłam więc nigdzie wykonać niedozwolonego skrętu ani przegapić znaku stopu. Wypatrywałam innych pojazdów za i przed nami, ale byliśmy na drodze sami. Clay obejrzał się przez ramię na radiowóz.

- Czy tu się zmienia ograniczenie prędkości? — spytałam.
- Ograniczenie prędkości?
- Nieważne. Muszę stanąć.
- Nie ma sprawy. Wszystko jest tip-top.



Zjechałam na pobocze w nadziei, że gliny miną nas, pędząc do jakiejś interwencji. Gdy radiowóz zjechał na żwirowane pobocze za nami, zakląłam pod nosem.

— Nie mają się do czego przyczepić — rzekł Clay, — Nic się nie martw.

Jeden z funkcjonariuszy podszedł do drzwiczek od strony pasażera i zastukał w szybę. Clay odczekał na tyle długo, by okazać swe rozdrażnienie, ale nie brak szacunku, po czym wcisnął guzik, by opuścić szybę.

— Clayton Danvers? — spytał policjant.

Clay spojrział na niego, ale nic nie powiedział. Młody funkcjonariusz mówił dalej:

— Mój kolega rozpoznał ten wóz. Mieliśmy nadzieję, że właśnie pan nim jedzie. Dzięki temu nie będziemy musieli fatygować się do pańskiego domu.

Clay tylko na niego patrzył.

— Zechce pan wysiąść z auta, panie Danvers?

Clay znów zawahał się przez chwilę, zanim otworzył drzwiczki. Odpięłam pas bezpieczeństwa i też wysiadłam od mojej strony. Panika próbowała doszukiwać się w mojej pamięci jakichś odpowiedzi. Czy tył auta był czysty? Starannie umyliśmy i wyszorowaliśmy ręce i sprawdziliśmy nasze ubrania, tak? Pozbyliśmy się wszystkiego, co mogło okazać się obciążającym nas dowodem, tak? Jasne, że tak. O ile mi wiadomo. A jeśli coś przeoczyłam? Może z tyłu został jakiś strzęp materiału... cokolwiek. Czy nasze ubrania cuchnęły dymem tak mocno, że ludzki nos mógł to wyczuć tak jak mój? Drugi policjant, mocno zbudowany mężczyzna po trzydziestce, obszedł explorera, zajrzał przez tylną szybę, po czym przytknął nos do przyciemnionej szyby, osłaniając oczy z boku, aby móc zajrzeć do środka.

— Sporo miejsca na ładunek—powiedział. — Ile tu się mieści?

— Ile? — Zamrugalam. — Znaczy się bagażu? Dość, by starczyło na tygodniowy wyjazd na urlop.

Zaśmiał się.

— Jeżeli zabiera pani tyle rzeczy co moja żona, to całkiem sporo. — Znowu zajrzał do środka. — Jak tu porządnie i czysto. Nie macie dzieci, co? — Znowu się zaśmiał i ukląkł, oglądając opony i podwozie. — To jeden z tych nowych suburbanów, zgadza się? Pojazd z napędem na cztery koła, który jednak nie jest terenówką.

— Potrafi jeździć po trudniejszym terenie — odparłam, usiłując zachować spokój, podczas gdy tamten wciąż zaglądał pod spód explorera. — Ale jest zbyt masywny jak na rajdy terenowe. Mimo to na nowojorskie zimy jest w sam raz.

— Nie wątpię. — Przeniósł wzrok na Claya. — Ile potrafi poholować?

— Nie mam pojęcia — odparł Clay. Stał nieco z boku, pozwalając mi wymieniać uprzejmości. To jedna z jego sztuczek mająca na celu utrzymanie w ryzach wybuchowego charakteru. Unikanie konfrontacji.

— Nigdy niczego nim nie holowaliśmy — odrzekłam.

Starszy policjant nadal zaglądał pod explorera, może sprawdzał zawieszenie, a może szukał czegoś innego. Zaczekałam tak długo, jak byłam w stanie, po czym zapytałam:

— Przekroczyłam prędkość?

Dostaliśmy cynk — rzekł młodszy funkcjonariusz. Odwrócił się do Claya. — Anonimowy cynk, zgodnie z którym ma pan wiedzieć coś na temat zabójstwa Mike'a Braxtona. Chcemy, aby pojechał pan z nami na posterunek i odpowiedział na parę pytań...

Clay zacisnął mocno szczęki.

— Mam rzucić wszystko i...

Przerwał. Nic nie powiedziałam, ale wiedziałam, o czym myślał. Lepiej nie zadzierać z policją. Taktyka obronna mogła zmusić ich, by się wycofali, jeśli nie mieli podstaw, by go aresztować, ale to było zbyt ryzykowne. Jeśli ich wkurzy, mogą postanowić przeszukać explorera i Claya przy okazji. Małomiasteczkowi gliniarze mieli reputację stróżów prawa nie zawsze przestrzegających ustalonych procedur. Zgodnie z prawem nie mogli zmusić Claya, aby z nimi pomówił, ale zwykła rozmowa raczej nie ujawniłaby prawdy o naszych porannych poczynaniach.

Clay zdecydował, że może poświęcić im godzinę. Wsiadł do radiowozu i pojechali na posterunek. Pojechałam za nimi explorem. Anonimowy rozmówca musiał być jednym z kundli, który chciał w ten sposób zastawić na Claya pułapkę. Moja obecność powinna odebrać kundlom ochotę na zrealizowanie ich planu. Gdy dotrzemy na posterunek, będziemy bezpieczni. Nie odważą się zaatakować w budynku pełnym uzbrojonych ludzi.

Poczekalnia na posterunku była mniejsza niż moja sypialnia w Stonehaven, a jej wystrój kosztował zapewne mniej niż zawartość mojej srebrnej toaletki. Miała jakieś pięć metrów kwadratowych, jedno drzwi i dwoje okien. Właściwie okno od południa było lustrem weneckim z widokiem na sąsiednie, mniejsze pomieszczenie. Lustro weneckie wydawało się kompletnie nie na miejscu, dopóki nie uświadomiło się sobie, że budynek był pierwotnie domem mieszkalnym wybudowanym w czasach Wielkiego Kryzysu. Większość pomieszczeń pełniła podwójną funkcję. W mało prawdopodobnej sytuacji, kiedy policja musiała obserwować podejrzanego albo ważne przesłuchanie, korzystano zapewne z tej poczekalni jako pokoju do obserwacji. Clay nie dostał tego zaszczytu, gdy tylko przyjechaliśmy, został zaprowadzony do osobnego pokoju przesłuchań.

Drugie, okratowane okno prowadziło do pomieszczenia, gdzie na oko dwudziestoletnia recepcjonistka obsługiwała telefony, dyżurkę i poczekalnię, przyjmując niekończące się zlecenia od funkcjonariuszy na przepisanie jakichś papierów, umieszczenie ich w aktach spraw i zaparzenie świeżej kawy. Nie pytajcie, czemu to okienko było zakratowane. Może bali się, że ucieknę. Trzy krzesła w poczekalni z tapicerką z wyżartego przez mole złotego weluru poklejono dość nieudolnie odłóżką szarą taśmą. Wybrałam to, które wyglądało najlepiej, i usiadłam ostrożnie, uważając, by goła skóra nie dotykała materiału, i upominając się w duchu, by po powrocie do domu natychmiast uprać całe ubranie. Zaczęłam przeglądać czasopisma leżące na fornirowym stoliku. Mój wzrok przykuł napis „Kanada” na okładce „Time'a”. Wzięłam go do ręki, przekonałam się, że artykuł mówił o referendum w Quebecu, i odłożyłam pismo. Pomijając fakt, że ten temat był w stanie uspić dziewięćdziesiąt procent cierpiących na bezsenność Kanadyjczyków, to o ile przez ostatni tydzień w moich rodzinnych stronach nie wydarzyło się nic nieoczekiwanego, mogłam przypuszczać, że czasopismo pochodziło sprzed pięciu lat. Nie ma to jak być na bieżąco. Uniosłam wzrok, by stwierdzić, że recepcjonistka obserwowała mnie trwożliwym wzrokiem, jaki ludzie zwykle rezerwują dla żebraków i wściekłych psów. Przez okno zobaczyłam młodego funkcjonariusza, który odwiedził nas w Stonehaven, nachylającego się nad kontuarem i rozmawiającego z recepcjonistką. Jako że oboje patrzyli na mnie, domyśliłam się, że to ja byłam tematem ich rozmowy. Coś mi mówiło, że nie debatowali nad pożałowania godnym stanem moich znoszonych, poszarzałych reeboków. Bez wątplenia relacjonował jej szczegóły mojej leśnej eskapady. Tylko tego mi było trzeba. Dziesięć lat pracy nad wyrobieniem sobie odpowiedniej reputacji w Bear Valley przepadło w jeden dzień, gdy widziano mnie nagą biegającą po lesie w chłodny wiosenny poranek i odnaleziono moje ciuchy podarte jak w czasie jakiegoś rytuału sado-maso. Miasteczka takie jak Bear Valley miały dla kobiet takich jak ja zarezerwowane szczególne miejsce — gościa honorowego podczas do- rocznego letniego pikniku z dużym ogniskiem, pardon, stosem.

Gdy wertowałam kolejne pisma, drzwi do poczekalni otworzyły się. Uniosłam wzrok, by ujrzeć wchodzących do środka Karla Marstena i Thomasa LeBlanca. Marsten miał na sobie płócienne spodnie, skórzane mokasyny za tysiąc doliców i modną koszulkę polo. Nie zauważyłam, co nosił LeBlanc. Przy Marstenu nikt by tego nie zauważył. Marsten wszedł do środka w nonszalancki sposób, jak ktoś, kto przez lata ćwiczył właśnie takie zachowanie. Miał ręce w kieszeniach, przez co wyglądał na zrelaksowanego, ale nie na tyle, by jego spodnie wydawały się obwisłe albo nieeleganckie. Lekki uśmieszek na jego ustach stanowił idealne połączenie zaciekawienia, znudzenia i rozbawienia. Gdy posłał ten uśmiech recepcjonistce, wyprostowała się nieznacznie i poprawiła bluzkę. Szepnął do niej kilka słów. Zaczzerwieniła się i zaczęła wiercić na siedzeniu. Marsten nachylił się do krat i powiedział coś jeszcze. Potem odwrócił się do mnie i wywrócił oczami. Pokręciłam głową. Plusem Karla Marstena było to, że doskonale zdawał sobie sprawę, jak bardzo jest sztuczny.

— Eleno — rzekł, siadając obok mnie. Mówił cicho, nie szeptem, ale na tyle cicho, by recepcjonistka nie mogła go usłyszeć. — Świetnie wyglądasz.

— Nie ćwicz na mnie, Karl.

Zaśmiał się.

— Chciałem powiedzieć, że wyglądasz zdumiewająco dobrze jak na kogoś, kto miał bliskie spotkanie z Zacharym Cainem. Domyślam się, że to stąd to zadrapanie na twoim policzku. Przypuszczam też, że wypadł już z gry.

— Coś w tym rodzaju.

Marsten odchylił się do tyłu i skrzyżował nogi w kostkach, najwyraźniej bardzo przejęty zejściem kolegi.

— Nie widziałem cię od dłuższego czasu. Ile to już, dwa lata? Za długo. Nie patrz tak na mnie. Nie ćwiczę na tobie ani nie próbuję bajerować. Bóg dał mi parę uncji mózgu. Po prostu brakowało mi rozmów z tobą. Niezależnie od wszystkiego zawsze lubiłem twoje towarzystwo.

LeBlanc zajął miejsce po mojej drugiej stronie. Zignorowałam go. Mając do wyboru, wolałam raczej rozmawiać z Marstenem niż z człowiekiem, który zabił Logana.

— Czytałem kilka twoich artykułów — ciągnął Marsten. — Świetna robota. Wygląda na to, że robisz niezłą karierę.

— Nie taką jak niektórzy — odparłam, zerkając na jego roleksa. — Kupiony czy kradziony? Jego oczy rozbłysły.

— A jak myślisz?

Zamyśliłam się przez chwilę.

— Kupiony. Łatwiej i taniej byłoby go ukraść, ale ty nie nosiłbyś czyjejś biżuterii. Choć nie miałbyś nic przeciw temu, aby kupić go za pieniądze zarobione ze sprzedaży skradzionej komuś biżuterii.

— Strzał w dziesiątkę, jak zawsze.

— Interesy muszą iść naprawdę wyśmienicie.

Marsten znów się zaśmiał.

— Powodzi mi się niezłe, dziękuję, biorąc pod uwagę, że pod każdym innym względem jestem do niczego. A skoro o tym mowa, parę miesięcy temu wybrałem coś specjalnie z myślą o tobie. Platynowy naszyjnik z wisiosem w kształcie wilczego łba. Przepiękna robota. Łeb jest wykonany z przeplatane go platynowego filigranu ze ślepiami z okruchów szmaragdu. Bardzo eleganckie cacko. Myślałem, aby ci je wysłać, ale pomyślałem, że skończyłoby w najbliższym koszu na śmieci.

— Trafne rozumowanie.

— Mimo to nikomu go nie oddałem. Jeżeli go zechcesz, jest twój. Bez zobowiązań. Będzie do ciebie pasować, z lekką nutką ironii, którą jak mniemam, do- cenisz.

— Wiesz, dziwię się, że wmieszałeś się w to wszystko — rzekłam. — Sądziłam, że nie lubisz Daniela.

Marsten westchnął teatralnie.

— Czy musimy rozmawiać o pracy?

— Nigdy nie wyobrażałam sobie ciebie jako anarchisty.

— Anarchisty? — Zaśmiał się. — Bynajmniej. Inni mają swoje powody, by pragnąć śmierci Watahy, wynikające zazwyczaj z folgowania swym aspołecznym zachowaniom. Nigdy nie miałem z Watahą żadnych kłopotów. Co prawda ona też nigdy nic dla mnie nie zrobiła. Tak więc w rewanzu jest mi obojętne, co się stanie z Watahą. Chcę tylko własnego terytorium.

— Gdybyś je dostał, wycofałbyś się z tej walki?

— I miałbym porzucić moich braci anarchistów? Byłby to czyn godnego pogardy, pozbawionego skrupułów łotra, kogoś bez reszty pochłoniętego powiększaniem swej własnej fortuny kosztem innych. Czy to do mnie podobne?

LeBlanc obok mnie wydał odgłos zniecierpliwienia. Zanim zdążyłam powrócić do rozmowy z Marstenem, machnął ręką na drugiego mężczyznę.

— To on chciał się z tobą spotkać — rzekł Marsten. — Kiedy zobaczyliśmy, że jedziesz za radiowozem do miasta, uznał, że chce z tobą pomówić. Ja zjawiłem się tu tylko, by dokonać prezentacji. Jeśli zacznie cię zanudzać, krzycz. Ja poczytam któreś z pism. — Marsten wyjął jedno ze sterty. — „Magazyn Łowiecki”. Hmm. Może przyswoję sobie jakieś nowinki.

Rozsiadł się na krześle i otworzył czasopismo. LeBlanc posłał mu spojrzenie pełne pogardy. Najwyraźniej już wcześniej uznał, że Marsten był trzeciorzędnym wilkołakiem, który z ledwością zasługiwał na to miano. Mylił się. Gdybym miała wybierać najgroźniejszego kundla w kraju, wahałabym się między Marstenem a Danielem. Jak Marsten zyskał swą reputację? Zabijając więcej ludzi niż ktokolwiek inny? Nękając Watahę lub przysparzając nam kłopotów? Nie. Nic z tych rzeczy.

Marsten był jednym z nielicznych kundli, który nie zabijał ludzi. Jak wiele innych rzeczy, to było poniżej jego godności. Co się tyczy Watahy, kiedy nas spotkał, był równie otwarty i przyjazny jak przed chwilą wobec mnie. A jednak mieliśmy go na oku bardziej niż jakiegokolwiek innego kundla poza Danielem. Dlaczego? Bo kierował nim jasno sprecyzowany, z góry określony cel, w czym mógł równać się z Clayem. Kiedy Marsten wprowadzał się do nowego miasta, spotykał się z tamtejszymi wilkołakami, zapraszał na wystawną kolację, gawędził z nimi, dawał tylko jedno ostrzeżenie, aby wynieśli się z miasta, po czym zabijał je, o ile nie opuściły miasta przed północą. Gdy Marsten czegoś pragnął, brał to bez wyrzutów sumienia, skrupułów czy litości. A teraz pragnął terytorium. Od kilku lat zapowiadał, że chciałby osiąść gdzieś na stałe, żartując, że zamierza przejść na zasłużoną emeryturę. Wataha go zignorowała. Teraz zaś Marstena znudziło czekanie. Dziś siedział obok mnie, chwalał moje artykuły i proponując biżuterię. Jutro, jeśli wejdę mu w drogę, usunie mnie z gry.

To nic osobistego, tak po prostu było i już.

## WRAŻENIA

Przez co najmniej dziesięć minut LeBlanc przyglądał mi się jak entomolog studiujący nowy gatunek owada. Chciałam stąd wyjść. Może o to właśnie chodziło. Niech ten śmieć gapi się na mnie dostatecznie długo, a pobiegnę do łazienki, aby umyć ręce, a tam on i Marsten mnie dopadną. Próbowałam upominać siebie, że to LeBlanc zabił Logana i zaatakował Jeremy'ego, ale nie potrafiłam. Wciąż myślałam o kobietach, które zabił, o szczegółach, które wyczytałam w jego albumie. Za Logana chciałam go zabić. Za inne chciałam jego śmierci, ale nie z moich rąk, bo to wymagałoby fizycznego z nim kontaktu.

Zmusiłam się, by zapomnieć o tych rzeczach i skupić się na LeBlancu. Przez ostatnie kilka lat życie go nie pieściło. Nie przypominał już zadbanego mężczyzny z policyjnego zdjęcia. Nie chcę powiedzieć, że miał przetłuszczone włosy i był nieogolony, jak ludzie zwykle wyobrażają sobie psychopatycznego seryjnego zabójcę. Wyglądał jak trzydziestoparoletni robotnik ubrany w sprane dżinsy, wyblakłą koszulkę i tandetne trampki. Trochę też przybrał na wadze. Niestety nie był to tłuszcz, lecz mięśnie.

— Chciałeś ze mną rozmawiać?—zapytałam w końcu.

— Zastanawiałem się, o co ten cały hałas — rzekł, spoglądając na mnie, jakby ta kwestia wciąż nie dawała mu spokoju.

Znów zamilkł i tylko się na mnie gapił. Z całych sił powstrzymałam się, by zostać w pokoju. Staralam się spojrzeć na to z innej perspektywy — on był nowym wilkołakiem, ja byłam doświadczona. Nie ma się o co martwić. Ale w grę wchodziła jedna zasadnicza kwestia. On polował na kobiety; ja byłam kobietą. Niezależnie od tego, co próbowałam sobie wmówić i jak twardą zgrywałam, ten facet mnie przerażał. Budził we mnie dojmującą trwogę, mrozącą krew w żyłach i zabijającą wszelką logikę czy głos rozsądku.

Po kilku minutach jakiś cień przemknął za lustrem weneckim. Zadowolona z tego chwilowego rozproszenia wstałam i podeszłam do lustra. Clay był w drugim pokoju. Sam. Siedział przy stole rozparty na krześle i odchyłony do tyłu tak, że przednie nogi krzesła nie dotykały podłogi. Nie był skuty, pobity ani zakrwawiony. To dobrze. Na razie.

— To on? — spytał zza moich pleców LeBlanc. — Niesławny Clayton Danvers? Nie wygląda groźnie.

Wciąż patrzyłam na Claya.

Chryste Panie —jęknął LeBlanc. — Skąd Wataha wytrzasnęła was dwoje? Zgarnęli was z turnieju siatkówki plażowej? Piękna opalenizna. Uwielbiam te loki. — LeBlanc pokręcił głową.

— Nie dorównuje mi nawet wzrostem. Ile ma, metr osiemdziesiąt? Dziewięćdziesiąt kilogramów w butach z metalowymi czubami? Rany. Spodziewałem się jakiegoś szpetnego zakapiora większego niż Cain, a co widzę? Następną gwiazdę *Słonecznego patrolu*. Wygląda na to, że jego iloraz inteligencji jest dostatecznie niski. Nadawałby się. Umie równocześnie żuć gumę i zawiązać sznurowadła?

Clay przestał balansować na krześle i odwrócił się do lustra. Wstał, przeszedł przez pokój i zatrzymał się naprzeciwko mnie. Wychyliłam się do przodu, dotykając dłonią szkła. Clay przyłożył koniuszki palców do moich i uśmiechnął się. LeBlanc odskoczył w tył.

— Kurwa! — burknął. — Sądziłem, że to lustro weneckie.

— Zgadza się.

Clay odwrócił głowę w stronę LeBlanca i wycedził trzy słowa. Wówczas drzwi do jego pokoju otworzyły się i jeden z policjantów wywołał go na zewnątrz. Clay uśmiechnął się do mnie, po czym wyszedł z funkcjonariuszem. W tej samej chwili odzyskałam pewność siebie.

— Co powiedział? — spytał LeBlanc.

— „Zaczekaj na mnie”.

— Co takiego?

— To wyzwanie — rzucił z drugiego końca pokoju Marsten. Nie uniósł wzroku znad czasopisma. — Zaprasza cię, abyś został i spróbował go lepiej poznać.

— Zamierzasz to zrobić? — spytał LeBlanc.

Usta Marstena wykrzywiły się w uśmiechu.

— To nie mnie zaprosił.

LeBlanc parsknął.

— Jak na gromadę potworów i zabójców wydajecie się cholernie puści i nadęci. Papierowe tygrysy. Wszystkie te wasze zasady, wyzwania i fałszywa brawura. — Machnął na mnie ręką. — Choćby ty. Stoisz tam nonszalancko, udając, że ani trochę nie przejmujesz się obecnością nas dwóch w tym pokoju.

— Bo to prawda.

— A powinnaś. Wiesz, jak szybko mógłbym cię zabić? Stoisz o dwa kroki ode mnie. Gdybym miał w kieszeni nóż albo pistolet, byłabyś martwa, zanim zdążyłabyś krzyknąć.

— Naprawdę? Ciekawe.

Na policzku LeBlanca pojawił się nerwowy tik.

— Nie wierzysz, prawda? Skąd wiesz, że nie mam przy sobie broni? Przy wejściu nie ma wykrywacza metalu. Mógłbym wyjąć broń, rozwalić cię i uciec w pół minuty.

— Więc zrób to. Wiem, że nie lubisz naszych małych gier, więc rozbaw mnie. Jeżeli masz pistolet lub nóż, wyjmij go. Jeżeli nie, to przynajmniej udaj, że go masz. Udowodnij, że mógłbyś to zrobić.

— Niczego nie muszę udowadniać. A już na pewno nie wyszczekanej...

Zanim dokończył zdanie, jego pięść przecięła powietrze. Schwyciłam ją i jednym ruchem złamałam mu rękę w nadgarstku. W pokoju rozległ się trzask pękającej kości. Recepcjonistka spojrzała w naszą stronę, ale LeBlanc stał plecami do niej. Uśmiechnęłam się do niej i odwróciła wzrok.

— Ty... pieprzona... suko — wysapał LeBlanc, tuląc do piersi złamaną rękę. — Złamałaś mi nadgarstek.

— A zatem wygrałam.

Jego twarz zrobiła się purpurowa.

— Ty wredna...

— Trzeba nauczyć się znosić porażki — odparłam. — Zaciśnij zęby i pogódź się z tym. W grach wilkołaków nie ma udawania. Daniel cię tego nie nauczył?

— Myślę, że czas już na ciebie — powiedział Marsten, wstając i odkładając pismo na blat.

Kiedy LeBlanc nie poruszył się, Marsten podszedł do niego, wyciągając rękę. LeBlanc odsunął się, zanim Marsten zdążył go dotknąć, i rzuciwszy mi na odchodne mordercze spojrzenie, wyszedł z pokoju.

— Ot i cała radość z opieki nad dzieckiem — rzekł Marsten. — Cóż, chyba już pójdę. Pozdrów ode mnie Claytona. — Po chwili już go nie było.

Stałam tam z walącym sercem. Udało mi się, ukryłam strach pod maską fałszywej brawury, a LeBlanc nie wyczuł różnicy. Bułka z masłem. Bez trudu mogłam poradzić sobie z tym kundlem. Czemu więc moje serce biło tak szybko jak serduszko złapanego w sidła królika?

Dwadzieścia minut później wciąż byłam w poczekalni, usilnie próbując znaleźć coś do czytania. Moją uwagę przykuł artykuł w „Cosmo” zatytułowany: „Czy wzmacniasz relacje ze swoim kochankiem, czy próbujesz go od siebie odsunąć?”. To intrygujące, zwłaszcza ta część o odsuwaniu go od siebie, ale zmusiłam się, by odłożyć pismo. „Cosmo” nigdy do mnie nie przemawiał. Starał się bulwersować pytaniami w rodzaju: „Jak byś zareagowała, gdyby twój ukochany oznajmił, że przyjmuje pracę na Alasce?”. A skakanie z radości nigdy nie jest brane pod uwagę. Przeprowadzka na Alaskę? Cholera, mój ukochany miał trzydzieści siedem lat i jeszcze nawet nie wyprowadził się z domu. Co z pytaniami adekwatnymi do mojego życia? Na przykład: „Jak byś zareagowała, gdyby włosy i odciski stóp twego kochanka znaleziono przy zwłokach mężczyzny?”. Pokażcie mi taki artykuł w „Cosmo”, a zaraz zamówię sobie prenumeratę.

Wciąż szukałam czegoś do czytania, gdy do pokoju wszedł Clay. Recepcjonistka znów uniosła wzrok.

Uśmiechnęła się i szepnęła coś, czego nie dosłyszałam. W odpowiedzi otrzymała srogie spojrzenie i pogardliwe uniesienie górnej wargi. Kiedy wróciła do stukania w klawisze, nieomal zrobiło mi się jej żal. Clay potrafił być naprawdę czarujący.

— Kara śmierci?—spytałam, kiedy do mnie podszedł.

— Chyba śnisz. To jakaś bzdura, kochanie. Totalna bzdura, przez którą straciłem lunch.

— Powinieneś ich pozwać.

— Kto wie, może to zrobię. — Podszedł do drzwi i przytrzymał je dla mnie. — A więc miałaś gości?

— Marstena i LeBlanca.

— Czego chciał Marsten?

— Proponował mi naszyjnik.

— W zamian za...?

— Za nic. Karl to Karl. Urzekający jak zawsze i niezważający na drobny fakt, że w walce na śmierć i życie znalazł się w obozie strony przeciwnej. A skoro mowa o śmierci, LeBlanc chełpił się, że mógłby mnie zabić tu, w tej poczekalni. Złamałam mu przegub. Nie był zachwycony.

— Świetnie. Po co tu przylazł?

— Chyba żeby się na mnie pogapić. Ale to, co zobaczył, też go nie zachwycało.

Clay parsknął i wyszliśmy na parking.

Zatrzymaliśmy wóz na podjeździe przy Stonehaven. Jeremy wyszedł nam na spotkanie.

— Spóźniliście się na lunch — powiedział. — Coś się stało?

— Nie — odparł Clay. — Gliny zabrały mnie na posterunek na przesłuchanie.

— Już po tym, jak zajęliśmy się Cainem — dodałam, zanim Jeremy zaczął odczuwać pierwsze objawy palpacji serca.—Zadzwońabym z komendy, ale nie chciałam korzystać z publicznego aparatu. Gliny zatrzymały nas, gdy wracaliśmy po pozbyciu się ciała. Wygląda na

to, że Daniel dał im cynk, że Clay może wiedzieć coś na temat śmierci Mike'a Braxtona. Chyba miał nadzieję, że złapią nas, zanim pozbedziemy się ciała Caina. Cóż, nie udało się.

— Ile wie policja?

— Niewiele — odparł Clay. — Pytania były dość ogólne. Strzelali w ciemno.

— Przeszukali wóz?

— Trudno powiedzieć — odparłam. — Jeden z nich zaglądał przez szyby i sprawdzał podwozie. Zachowywał się, jakby interesował go sam explorer, ile się w nim mieści, ile jest w stanie poholować i takie tam. Z drugiej strony mógł to być rodzaj subtelnego przeszukania pod pozorem zwykłych oględzin.

— Cudownie — rzekł Jeremy, kręcąc głową. — Wejdźcie i zjedzcie coś raz-dwa. Musimy ruszać.

— Wymyśliłeś, w jaki sposób przekazać wiadomość Danielowi? — spytałam.

Jeremy machnął ręką.

— To nie problem. Już się tym zająłem.

— Odpowiedział?

— Tak, ale to nie jest związane z tym, co nas czeka obecnie. Pospieszcie się. Nie mamy czasu.

— Dokąd się wybieramy? — zapytał Clay, ale Jeremy zniknął już wewnątrz domu.

Niecałą godzinę później cała nasza piątka siedziała w explorerze. Po raz pierwszy Wataha nie potrzebowała kilku pojazdów, aby wspólnie podróżować. Zostało nas tylko pięcioro. Oczywiście zwróciłam na to już wcześniej uwagę, ale uświadomiłam to sobie dopiero, gdy jechaliśmy szosą w jednym samochodzie. Zostało nas pięcioro. Czterech mężczyzn i jedna kobieta, która nie była nawet pewna, czy należała do grupy. Czy gdybym została tylko ja, Wataha wciąż by istniała? Czy dwóch ojców i dwóch synów można nazwać Watahą? Odegnałam od siebie tę myśl. Ze mną czy beze mnie, Wataha przetrwa. Jak zawsze. Poza tym ani teraz, ani w najbliższej przyszłości nie musiałam deklorować swojej niezależności. Zamierzałam wrócić do Toronto, kiedy to wszystko się skończy, ale jak powiedział Jeremy, nie było potrzeby, abym podejmowała pochopne decyzje w związku z moim statusem w Watasze.

Pojechaliśmy na lotnisko, by spotkać się z Jimmym Koenigiem. Nazwijcie to niespodziewanym komitetem powitalnym. Jeremy dowiedział się, że Koenig miał przylecieć do Nowego Jorku dziś o dziewiętnastej dziesiąt z Seattle. Nie pytajcie, skąd o tym wiedział. Domyśliłam się, że informację tę uzyskał w wyniku kilku rozmów telefonicznych, paru kłamstw i całej masy dobrych manier. To była typowa dla Jeremy'ego metoda działania. Zdumiewające, ile można się dowiedzieć od pracowników linii lotniczych, moteli, firm telefonicznych zajmujących się obsługą kart kredytowych i innych firm usługowych, częstując ich zgrabną bajeczką i zachowując się przy tym nader uprzejmie.

Jak już wspomniałam, były to tylko moje przypuszczenia, ale domyślałam się, że to właśnie zrobił Jeremy. Nie wspominał, jak i skąd pozyskiwał informacje.

Nigdy tego nie mówił. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, podejrzewałabym, że się popisuje, jak iluzjonista wyjmujący królika z kapelusza, nie ujawniając tajników tej sztuczki. W przypadku Jeremy'ego wiedziałam, że nie powodowały nim takie motywy. Uznałby, że właśnie wszelkie wyjaśnienia mogłyby zostać uznane za popisywanie się, jakby naszą rolą było tylko podziwianie jego sprytu i bystrości umysłu.

Zgodnie z planem mieliśmy spotkać się z Koenigiem przy wyjściu, pomóc mu z bagażem i odeskortować do Bear Valley w wielkim stylu, wypiwszy uprzednio parę drinków w pobliskiej knajpce. Serio.



No dobra. Plan był zupełnie inny.

Plan polegał na tym, by uśmiercić nędznego kundla, zanim zdąży po raz pierwszy zobaczyć Empire State Building. Czas na staranne rozważenie problemu dobiegł końca. Nareszcie wzięliśmy się do działania.

## WRAŻENIA

Przez co najmniej dziesięć minut LeBlanc przyglądał mi się jak entomolog studiujący nowy gatunek owada. Chciałam stąd wyjść. Może o to właśnie chodziło. Niech ten śmieć gapi się na mnie dostatecznie długo, a pobiegnę do łazienki, aby umyć ręce, a tam on i Marsten mnie dopadną. Próbowałam upominać siebie, że to LeBlanc zabił Logana i zaatakował Jeremy'ego, ale nie potrafiłam. Wciąż myślałam o kobietach, które zabił, o szczegółach, które wyczytałam w jego albumie. Za Logana chciałam go zabić. Za inne chciałam jego śmierci, ale nie z moich rąk, bo to wymagałoby fizycznego z nim kontaktu.

Zmusiłam się, by zapomnieć o tych rzeczach i skupić się na LeBlancu. Przez ostatnie kilka lat życie go nie pieściło. Nie przypominał już zadbanego mężczyzny z policyjnego zdjęcia. Nie chcę powiedzieć, że miał przetłuszczone włosy i był nieogolony, jak ludzie zwykle wyobrażają sobie psychopatycznego seryjnego zabójcę. Wyglądał jak trzydziestoparoletni robotnik ubrany w sprane dżinsy, wyblakłą koszulkę i tandetne trampki. Trochę też przybrał na wadze. Niestety nie był to tłuszcz, lecz mięśnie.

— Chciałeś ze mną rozmawiać?—zapytałam w końcu.

— Zastanawiałem się, o co ten cały hałas — rzekł, spoglądając na mnie, jakby ta kwestia wciąż nie dawała mu spokoju.

Znów zamilkł i tylko się na mnie gapił. Z całych sił powstrzymywałam się, by zostać w pokoju. Staralam się spojrzeć na to z innej perspektywy — on był nowym wilkołakiem, ja byłam doświadczona. Nie ma się, o co martwić. Ale w grę wchodziła jedna zasadnicza kwestia. On polował na kobiety; ja byłam kobietą. Niezależnie od tego, co próbowałam sobie wmówić i jak twardą zgrywałam, ten facet mnie przerażał. Budził we mnie dojmującą trwogę, mrozącą krew w żyłach i zabijającą wszelką logikę czy głos rozsądku.

Po kilku minutach jakiś cień przemknął za lustrem weneckim. Zadowolona z tego chwilowego rozproszenia wstałam i podeszłam do lustra. Clay był w drugim pokoju. Sam. Siedział przy stole rozparty na krześle i odchylony do tyłu tak, że przednie nogi krzesła nie dotykały podłogi. Nie był skuty, pobity ani zakrwawiony. To dobrze. Na razie.

— To on? — spytał zza moich pleców LeBlanc. — Niesławny Clayton Danvers? Nie wygląda groźnie.

Wciąż patrzyłam na Claya.

Chryste Panie —jęknął LeBlanc. — Skąd Wataha wytrzasnęła was dwoje? Zgarnęli was z turnieju siatkówki plażowej? Piękna opalenizna. Uwielbiam te loki. — LeBlanc pokręcił głową. — Nie dorównuje mi nawet wzrostem. Ile ma, metr osiemdziesiąt? Dziewięćdziesiąt kilogramów w butach z

metalowymi czubami? Rany. Spodziewałem się jakiegoś szpetnego zakapiora większego niż Cain, a co widzę? Następną gwiazdę *Słonecznego patrolu*. Wygląda na to, że jego iloraz inteligencji jest dostatecznie niski. Nadawałby się. Umie równocześnie żuć gumę i zawiązać sznurowadła?

Clay przestał balansować na krześle i odwrócił się do lustra. Wstał, przeszedł przez pokój i zatrzymał się naprzeciwko mnie. Wychyliłam się do przodu, dotykając dłonią szkła. Clay przyłożył koniuszki palców do moich i uśmiechnął się. LeBlanc odskoczył w tył.

— Kurwa! — burknął. — Sądziłem, że to lustro weneckie.

— Zgadza się.

Clay odwrócił głowę w stronę LeBlanca i wycedził trzy słowa. Wówczas drzwi do jego pokoju otworzyły się i jeden z policjantów wywołał go na zewnątrz. Clay uśmiechnął się do mnie, po czym wyszedł z funkcjonariuszem. W tej samej chwili odzyskałam pewność siebie.

— Co powiedział? — spytał LeBlanc.

— „Zaczekaj na mnie”.

— Co takiego?

— To wyzwanie — rzucił z drugiego końca pokoju Marsten. Nie uniósł wzroku znad czasopisma. — Zaprasza cię, abys został i spróbował go lepiej poznać.

— Zamierzasz to zrobić? — spytał LeBlanc.

Usta Marstena wykrzywiły się w uśmiechu.

— To nie mnie zaprosił.

LeBlanc parsknął.

— Jak na gromadę potworów i zabójców wydajecie się cholernie puści i nadęci. Papierowe tygrysy. Wszystkie te wasze zasady, wyzwania i fałszywa brawura. — Machnął na mnie ręką. — Choćby ty. Stoisz tam nonszalancko, udając, że ani trochę nie przejmujesz się obecnością nas dwóch w tym pokoju.

— Bo to prawda.

— A powinnaś. Wiesz, jak szybko mógłbym cię zabić? Stoisz o dwa kroki ode mnie. Gdybym miał w kieszeni nóż albo pistolet, byłabyś martwa, zanim zdążyłabyś krzyknąć.

— Naprawdę? Ciekawe.

Na policzku LeBlanca pojawił się nerwowy tik.

— Nie wierzysz, prawda? Skąd wiesz, że nie mam przy sobie broni? Przy wejściu nie ma wykrywacza metalu. Mógłbym wyjąć broń, rozwalić cię i uciec w pół minuty.

— Więc zrób to. Wiem, że nie lubisz naszych małych gierek, więc rozbaw mnie. Jeżeli masz pistolet lub nóż, wyjmij go. Jeżeli nie, to przynajmniej udaj, że go masz. Udowodnij, że mógłbyś to zrobić.

— Niczego nie muszę udowadniać. A już na pewno nie wyszczekanej...

Zanim dokończył zdanie, jego pięść przecięła powietrze. Schwyciłam ją i jednym ruchem złamałam mu rękę w nadgarstku. W pokoju rozległ się trzask pękającej kości. Recepcjonistka spojrzała w naszą stronę, ale LeBlanc stał plecami do niej. Uśmiechnęłam się do niej i odwróciła wzrok.

— Ty... pieprzona... suko — wysapał LeBlanc, tuląc do piersi złamaną rękę. — Złamałaś mi nadgarstek.

— A zatem wygrałam.

Jego twarz zrobiła się purpurowa.

— Ty wredna...

— Trzeba nauczyć się znosić porażki — odparłam. — Zaciśnij zęby i pogódź się z tym. W grach wilkołaków nie ma udawania. Daniel cię tego nie nauczył? Myślę, że czas już na ciebie — powiedział Marsten, wstając i odkładając pismo na blat.

Kiedy LeBlanc nie poruszył się, Marsten podszedł do niego, wyciągając rękę. LeBlanc odsunął się, zanim Marsten zdążył go dotknąć, i rzuciwszy mi na odchodne mordercze spojrzenie, wyszedł z pokoju.

— Ot i cała radość z opieki nad dzieckiem — rzekł Marsten. — Cóż, chyba już pójdę. Pozdrów ode mnie Claytona. — Po chwili już go nie było.

Stałam tam z walącym sercem. Udało mi się, ukryłam strach pod maską fałszywej brawury, a LeBlanc nie wyczuł różnicy. Bułka z masłem. Bez trudu mogłam poradzić sobie z tym kundlem. Czemu więc moje serce biło tak szybko jak serduszko złapanego w sidła królika?

Dwadzieścia minut później wciąż byłam w poczekalni, usilnie próbując znaleźć coś do czytania. Moją uwagę przykuł artykuł w „Cosmo” zatytułowany: „Czy wzmacniasz relacje ze swoim kochankiem, czy próbujesz go od siebie odsunąć?”. To intrygujące, zwłaszcza ta część o odsuwaniu go od siebie, ale zmusiłam się, by odłożyć pismo. „Cosmo” nigdy do mnie nie przemawiał. Starał się bulwersować pytaniami w rodzaju: „Jak byś zareagowała, gdyby twój ukochany oznajmił, że przyjmuje pracę na Alasce?”. A skakanie z radości nigdy nie jest brane pod uwagę. Przeprowadzka na Alaskę? Cholera, mój ukochany miał trzydzieści siedem lat i jeszcze nawet nie wyprowadził się z domu. Co z pytaniami adekwatnymi do mojego życia? Na przykład: „Jak byś zareagowała, gdyby włosy i odciski stóp twego kochanka znaleziono przy zwłokach mężczyzny?”. Pokażcie mi taki artykuł w „Cosmo”, a zaraz zamówię sobie prenumeratę.

Wciąż szukałam czegoś do czytania, gdy do pokoju wszedł Clay. Recepcjonistka znów uniosła wzrok. Uśmiechnęła się i szepnęła coś, czego nie dosłyszałam. W odpowiedzi otrzymała srogie spojrzenie i pogardliwe uniesienie górnej wargi. Kiedy wróciła do stukania w klawisze, niemal zrobiło mi się jej żal. Clay potrafił być naprawdę czarujący.

— Kara śmierci?—spytałam, kiedy do mnie podszedł.

— Chyba śnisz. To jakaś bzdura, kochanie. Totalna bzdura, przez którą straciłem lunch.

— Powinieneś ich pozwać.

— Kto wie, może to zrobię. — Podszedł do drzwi i przytrzymał je dla mnie. — A więc miałaś gości?

— Marstena i LeBlanca.

— Czego chciał Marsten?

— Proponował mi naszyjnik.

— W zamian za...?

— Za nic. Karl to Karl. Urzekający jak zawsze i niezważający na drobny fakt, że w walce na śmierć i życie znalazł się w obozie strony przeciwnej. A skoro mowa o śmierci, LeBlanc chełpił się, że mógłby mnie zabić tu, w tej poczekalni. Złamałam mu przegub. Nie był zachwycony.

— Świetnie. Po co tu przylazł?

— Chyba żeby się na mnie pogapić. Ale to, co zobaczył, też go nie zachwycało.

Clay parsknął i wyszliśmy na parking.

Zatrzymaliśmy wóz na podjeździe przy Stonehaven. Jeremy wyszedł nam na spotkanie.

— Spóźniliście się na lunch — powiedział. — Co się stało?

— Nie — odparł Clay. — Gliny zabrały mnie na posterunek na przesłuchanie.

— Już po tym, jak zajęliśmy się Cainem — dodałam, zanim Jeremy zaczął odczuwać pierwsze objawy palpacji serca. — Zadzwońabym z komendy, ale nie chciałam korzystać z publicznego aparatu. Gliny zatrzymały nas, gdy wracaliśmy po pozbyciu się ciała. Wygląda na to, że Daniel dał im cynk, że Clay może wiedzieć coś na temat śmierci Mike'a Braxtona. Chyba miał nadzieję, że złapią nas, zanim pozbędziemy się ciała Caina. Cóż, nie udało się.

— Ile wie policja?

— Niewiele — odparł Clay. — Pytania były dość ogólne. Strzelali w ciemno.

— Przeszukali wóz?

— Trudno powiedzieć — odparłam. — Jeden z nich zaglądał przez szyby i sprawdzał podwozie. Zachowywał się, jakby interesował go sam explorer, ile się w nim mieści, ile jest w stanie poholować i takie tam. Z drugiej strony mógł to być rodzaj subtelnego przeszukania pod pozorem zwykłych oględzin.

— Cudownie — rzekł Jeremy, kręcąc głową. — Wejdźcie i zjedzcie coś raz-dwa. Musimy ruszać.

— Wymyśliłeś, w jaki sposób przekazać wiadomość Danielowi? — spytałam.

Jeremy machnął ręką.

— To nie problem. Już się tym zająłem.

— Odpowiedział?

— Tak, ale to nie jest związane z tym, co nas czeka obecnie. Pospieszcie się. Nie mamy czasu.

— Dokąd się wybieramy? — zapytał Clay, ale Jeremy zniknął już wewnątrz domu.

Niecałą godzinę później cała nasza piątka siedziała w explorerze. Po raz pierwszy Wataha nie potrzebowała kilku pojazdów, aby wspólnie podróżować. Zostało nas tylko pięcioro. Oczywiście zwróciłam na to już wcześniej uwagę, ale uświadomiłam to sobie dopiero, gdy jechaliśmy szosą w jednym samochodzie. Zostało nas pięcioro. Czterech mężczyzn i jedna kobieta, która nie była nawet pewna, czy należała do grupy. Czy gdybym została tylko ja, Wataha wciąż by istniała? Czy dwóch ojców i dwóch synów można nazwać Watahą? Odegnalam od siebie tę myśl. Ze mną czy beze mnie, Wataha przetrwa. Jak zawsze. Poza tym ani teraz, ani w najbliższej przyszłości nie musiałam deklarerować swojej niezależności. Zamierzałam wrócić do Toronto, kiedy to wszystko się skończy, ale jak powiedział Jeremy, nie było potrzeby, abym podejmowała pochopne decyzje w związku z moim statusem w Watasze.

Pojechaliśmy na lotnisko, by spotkać się z Jimmym Koenigiem. Nazwijcie to niespodziewanym komitetem powitalnym. Jeremy dowiedział się, że Koenig miał przylecieć do Nowego Jorku dziś o dziewiętnastej dziesiąt z Seattle. Nie pytajcie, skąd o tym wiedział. Domyśliłam się, że informację tę uzyskał w wyniku kilku rozmów telefonicznych, paru kłamstw i całej masy dobrych manier. To była typowa dla Jeremy'ego metoda działania. Zdumiewające, ile można się dowiedzieć od pracowników linii lotniczych, moteli, firm telefonicznych zajmujących się obsługą kart kredytowych i innych firm usługowych, częstując ich zgrabną bajeczką i zachowując się przy tym nader uprzejmie.

Jak już wspomniałam, były to tylko moje przypuszczenia, ale domyślałam się, że to właśnie zrobił Jeremy. Nie wspominał, jak i skąd pozyskiwał informacje. Nigdy tego nie mówił. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, podejrzewałabym, że się popisuje, jak iluzjonista wyjmujący królika z kapelusza, nie ujawniając tajników tej sztuczki. W przypadku Jeremy'ego wiedziałam, że nie powodowały nim takie motywy. Uznałby, że właśnie wszelkie wyjaśnienia mogłyby zostać uznane za popisywanie się, jakby naszą rolą było tylko podziwianie jego sprytu i bystrości umysłu.

Zgodnie z planem mieliśmy spotkać się z Koenigiem przy wyjściu, pomóc mu z bagażem i odeskortować do Bear Valley w wielkim stylu, wypić przy tym parę drinków w pobliskiej knajpce. Serio.

No dobra. Plan był zupełnie inny.

Plan polegał na tym, by uśmiercić nędznego kundla, zanim zdąży po raz pierwszy zobaczyć Empire State Building. Czas na staranne rozważenie problemu dobiegł końca. Nareszcie wzięliśmy się do działania.

# ZEMSTA

Lot z Seattle był opóźniony o czterdzieści minut, i bardzo dobrze, bo dojechaliśmy na miejsce dwadzieścia minut po planowanym przylocie. Ciężarówka z naczepą, która zablokowała szosę, spowodowała nasze blisko godzinne opóźnienie. Antonio z piskiem opon podjechał pod lotnisko o wpół do ósmej, lawirując jak nowojorski taksówkarz, i parę minut później wysadził nas przed drzwiami hali przylotów. Zanim znalazł miejsce parkingowe i dołączył do nas w terminalu, samolot Koeniga wylądował. Udało się nam dosłownie w ostatniej chwili. Nie byłam pewna, czy mam to potraktować jako dobry czy zły znak.

Staliśmy z dala od tłumu przyjaciół, krewnych i szoferów, obserwując wychodzących pasażerów. Jimmy'ego Koeniga nietrudno było zauważyć. Był wysoki, chudy jak tyka, a z twarzy przypominał Keitha Richard- sa, który miał kiepski dzień. Wyglądał na swoje sześćdziesiąt dwa lata, co było zemstą jego ciała za pięćdziesiąt lat poddawania go wszelkim próbom wytrzymałościowym znanym człowiekowi. Za dużo wody, prochów i poranków z budzeniem się w nieznanach pokojach hotelowych u boku równie nieznanach kobiet. Ludzie stojący za kampanią „Powiedz NIE” powinni wynajmować ludzi takich jak Jimmy Koenig. Wystarczyłoby pokazać w telewizji jego twarz, a wszystkie dzieciaki mające w sobie choć odrobinę próżności do końca życia nawet nie tknęłyby alkoholu czy narkotyków. Naprawdę.

Koenig nie podróżował sam. Wyszedł z samolotu w towarzystwie faceta, który wyglądał jak agent FBI — trzydzieści kilka lat, gładko ogolony, elegancki, w czarnym garniturze i okularach przeciwsłonecznych. Choć jego oczy były ukryte za ciemnymi szklami, kręcił głową z boku na bok, jakby przez cały czas lustrował otoczenie. Nieomal spodziewałam się zobaczyć, że był przykuty do Koeniga kajdankami. Kiedy dotarli do końca korytarza, zatrzymali się. Rozmawiali przez chwilę. Agent FBI wyglądał na wkurzonego, ale Koenig nie odpuszczał. Po kilku minutach agent udał się w stronę punktu odbioru bagażu. Koenig pomaszzerował do poczekalni i klapnął na najbliższe wolne krzesło.

— Clay, Eleno, zajmijcie się Koenigiem — rzekł Jeremy. — Tonio i ja pójdziemy za jego przyjacielem. Nick?

— Zostanę z Clayem — odparł Nick.

Jeremy skinął głową, po czym ruszyli z Antoniem w kierunku punktu odbioru bagażu. Kiedy Clay i ja rozważyliśmy taktykę działania, Clay i Nick wtopili się w tłum. Zaczekałam, aż znikną mi z oczu, po czym ominąwszy hałaśliwy zlot rodzinny, podeszłam z tyłu do Koeniga. Stałam za jego krzesłem i czekałam. Minęło parę minut, zanim uniósł głowę. Pociągnął nosem i odwrócił się powoli.

Bu! — powiedziałam.

Zareagował jak wszystkie kundle, gdy stawiałam im czoło. Poderwał się z krzesła i rzucił do najbliższego wyjścia rozdygotany z przerażenia. W moich snach. Spojrzał na mnie i zaczął

rozglądać się za Clayem. To zawsze skutkowało. Mój widok przerażał kundli tylko dlatego, że zazwyczaj w pobliżu zawsze był Clay. Ja pełniłam funkcję zwiastuna śmierci.

— Gdzie on jest? — spytał Koenig, mrużąc oczy i przepatrując tłum.

— Jestem sama — odparłam.

— Jasne.

Obeszłam rząd krzesełek i usiadłam obok Koeniga. Poczulałam w jego oddechu ledwie wyczuwalną woń whisky, co oznaczało, że w samolocie wypił tylko jednego drinka. Nie byłam pewna, czy to dobry, czy zły znak. Trzeźwy był jak bezzębny lew, paskudny, ale i tak nie mógł ugryźć. To jednak oznaczało, że jego umysł i refleks funkcjonowały doskonale.

— Clay poszedł, by zająć się twoim kumplem w ciemnych okularach — odparłam.

— Kump... — Koenig przerwał i chrząknął.

— Uznał, że z tobą poradzę sobie sama.

Ciemne oczy Koeniga rozbłysły, poczuł się urażony. Mruknął coś. Już miałam poprosić, by powtórzył, gdy ujrzałam podchodzącego z drugiej strony Nicka. Patrzyłam na niego, klnąc pod nosem. Koenig odwrócił głowę. Na widok Nicka odetchnął z ulgą. Zaczął się odprężyć i nagle znów się spiął. Nick nie był tak groźny jak Clay, ale z pewnością groźniejszy ode mnie.

— Niech to szlag — wycedziłam. — Nie powinien się mieszać.

Nick uśmiechnął się drapieżnie, jak myśliwy, który zwietrzył ofiarę. Wydłużył krok, podchodząc do nas. Nie odrywał wzroku od Koeniga.

— Nicholasi... — ostrzegłam cicho, wstając z miejsca.

Koenig dał się na to nabrać. Sądząc, że byłam zajęta spodziewaną konfrontacją z Nickiem, rzucił się do ucieczki. Nick uśmiechnął się do mnie triumfalnie i puściliśmy się za nim w pościg. Choć Koenig nas wyprzedził, nie uszedł daleko. To było jak bieg przez gęsty las. Musiał omijać ludzi i krzesała i jeśli nawet udało mu się uniknąć zderzenia z jedną przeszkodą, zaraz wpadał na kolejną. Nick i ja szliśmy za nim szybkim krokiem. W ten sposób nie tylko łatwiej było omijać przeszkody, ale nawet nikt by nie podejrzewał, że ścigaliśmy Koeniga. Biorąc pod uwagę jego wygląd, nikomu raczej nie wydało się dziwne, że biegł przez terminal, uciekając przed niewidzialnymi prześladowcami. Ludzie przypuszczali zapewne, że był pijany, naćpany albo nawiedziła go wizja z lat sześćdziesiątych. Klęli, gdy ich potrącał, ale nikt nie próbował go zatrzymać.

Nick i ja zachodziliśmy Koeniga z dwóch stron. Tej samej techniki użyliśmy, polując na jelenia. Niech biegnie i nieuchronnie zbliża się do mety. A zgadnijcie, kto tam na niego czekał? Prawie się zdziwiłam, że Koenig dał się na to złapać. Mówię prawie, bo w sumie nie zaskoczyło mnie to tak bardzo. Kundle nie polują na jelenie. Wzorec mógł być zakodowany w mózgu Koeniga, ale nigdy z niego nie korzystał, więc nie mógł wiedzieć, że wykorzystano go przeciw niemu.

Podążałam za zapachem Claya i zapędziliśmy Koeniga z zatłoczonego terminalu w głąb opustoszałego korytarza za wąskimi schodami. Clay wyskoczył ze swej kryjówki na schodach, chwycił Koeniga za gardło i skręcił mu kark. Przyznaję, mało w tym finezji, ale nie mogliśmy ryzykować przesłuchiwanie go na zatłoczonym lotnisku. Jeremy kazał go zabić, więc Clay zrobił to szybko i sprawnie. Zanim jeszcze ciało zwiotczało, Clay wcisnął je w ciemny kąt pod schodami.

— Zostawimy go tu? — spytałam.

— Nie. Tam jest wyjście awaryjne. Na zewnątrz widziałem pojemniki na śmieci. Jeżeli zostanieie tu na straży, przeniosę go.

— Jesteśmy potrzebni oboje? — spytałam. — Tonio i Jeremy mogą potrzebować pomocy.

— Dobra myśl. Biegnij. Nick stanie na czatach.

Pobiegłam.

Zanim dotarłam do punktu odbioru bagażu, większość pasażerów z lotu Koeniga już się ulotniła. Zostali tylko maruderzy stojący przy pasie transmisyjnym, wpatrzeni weń jak sroka w gnat. Z każdym kolejnym pojawiającym się stosem waliz ożywiali się, oglądali go, łudząc się wbrew nadziei, że to właśnie ich bagaż jest gdzieś tam ukryty, i nie chcieli uwierzyć, że został pochłonięty przez demonicznego pożeracza zagubionych walizek i toreb podróżnych. Agenta FBI tam nie było. Jeremy'ego i Antonia również. Rozejrzałam się raz jeszcze dokoła, po czym wróciłam tą samą drogą, którą tu przyszedłam.

Przy toaletach uchwyciłam wzrok agenta FBI. Próbowałam wyczuć woń wilkołaka, ale rozmył się wśród zapachów innych ludzi. Nie wyczułam też Jeremy'ego ani Antonia, ale to mnie nie zdziwiło. Przy tak wielkiej liczbie osób miałam szczęście, że w ogóle wychwyciłam jakiś zapach. Po drugie Jeremy zapewne podchodził tamtego z innej strony, nie w głowie mu były dziecięce psikusy z podchodzeniem do celu i mówieniem „Bu!”.

Ruszyłam tropem nowego wilkołaka, trzymając się na dystans, aby nie wpaść na niego i nie pokrzyżować planów Jeremy'emu — niezależnie jakie by one były. Spodziewałam się, że kundel wróci do holu, gdzie czekał Koenig. Tak się nie stało. Skierował się natomiast do bocznego wyjścia. Podążyłam za nim wąskim przejściem i dotarłam do miejsca, które wyglądało jak punkt załadunkowy. Stamtąd udał się na parking.

Jego marszruta ponownie mnie zaskoczyła. Zamiast na parking, skręcił w inne przejście. Gdy ruszyłam w tę stronę, ciszę rozdarł wysoki, przeciągły wizg i odwróciwszy się, ujrzałam jadący w moją stronę wózek widłowy. Uskoczyłam mu z drogi. Gdy pojazd przetoczył się obok, kierowca palcem wskazał na parking, ale nie zwolnił, najwyraźniej zbyt zajęty, by przejmować się turystami szwendającymi się w miejscach dla nich niedozwolonych. Od tej pory szłam blisko ściany, gotowa ukryć się, gdyby pojawił się ktoś jeszcze.

Dotarłam do końca alejki, ale kundel już zniknął. Próbowałam zwęszyć jego zapach. Wciąż go nie wyczuwałam, zabijały go teraz woń spalin i paliwa. Zaczęłam podejrzewać, że Jeremy'ego i Antonia nie było w pobliżu. Powietrze było gęste od oparów benzyny. Przypuszczalnie odeszli stąd dawno temu.

Już miałam zawrócić, kiedy skręciwszy za róg, ujrzałam kundla o niecałe pięć metrów ode mnie. Szybko się cofnęłam, przystanąłam, nasłuchując, i zaczęłam zastanawiać się nad możliwościami wyboru. Gdybym wiedziała na pewno, że Jeremy'ego i Antonia nie ma w pobliżu, wycofałabym się. Jeremy rozszarpałby mnie na strzępy, gdybym sama próbowała dopaść tego kundla, nawet gdyby to mi się udało. Wiedziałałam o tym doskonale, a mimo to pokusa była ogromna. Mówiąc sobie, że tylko się rozejrzę, nieznacznie wysunęłam się naprzód. Gdy znów wychyliłam się z za rogu, kundla już nie było. Trzymając się blisko budynku po lewej, przeszłam przez przejazd i odnalazłam go. Przeszliśmy jeszcze kilka metrów. W pewnej chwili zatrzymał się i rozejrzał, jakby chciał zorientować się w otoczeniu. Przyłgnęłam plecami do ściany i czekałam. Gdy ruszył dalej, pozostałam w ukryciu, pozwalając, by zwiększył dzielący nas dystans. Byłam tak skupiona na mojej zdobyczy, że nie usłyszałam kroków za sobą. Odwróciłam się zbyt późno. Czyjaś ręka chwyciła mnie za szyję i pchnęła na ścianę.

— Eleno—rzekł LeBlanc.—Miło znowu cię widzieć.

Odwróciłam głowę, by spojrzeć w głąb alejki, spodziewałam się, że agent FBI zawróci. Nie było go widać.

— Twój kumpel? — spytał LeBlanc.

— Nie mój, tylko twój.

Brwi LeBlanca uniosły się. Wybuchnął śmiechem.

Ach, rozumiem. Śledziłaś go, bo widziałaś, jak rozmawiał z Koenigiem, uznałaś więc, że to jeden z nas. Błędna dedukcja, dziewczyno. Bardzo błędna. Protegowany Koeniga nie przeżył. Nie poradził sobie z Przemianą. Zmarł wczoraj. Szkoda, to takie smutne. Daniel przysłał mnie po

tego starego pryka. Miałem go odebrać z lotniska. Widziałem, że się tu kręcicie, więc zacząłem, oglądając przedstawienie. Potem zobaczyłem, że wybierasz się na przechadzkę, i pomyślałem, że może jednak przyjazd tutaj mi się opłaci.

Sprężyłam się, przygotowując do ataku, ale zanim zdążyłam rzucić się na niego, wyjął coś z kieszeni. Pistolet. LeBlanc uniósł go w dłoni i przystawił mi do czoła. Ziemia zatrzęsła się pod mną. Kolana zrobiły się miękkie jak z waty. Przestań, powiedziałam sobie. On tylko z tobą pogrywa. Nie przywykłaś do takich gier, ale to przecież tylko gra. Owszem, miałam pistolet przystawiony do głowy, ale jakoś się z tego wywinę. Kundle bywały przewidywalne. LeBlanc nie zastrzeliłby mnie, bo byłam zbyt cenna, aby można mnie zabić tylko dla paru sekund morderczej przyjemności. Byłam jedyną kobietą wilkołakiem. Mógł próbować mnie zgwałcić, porwać albo trochę sponiewierać, ale na pewno nie zabije.

Przewalczyłam w sobie strach. Ostatnim razem fałszywa brawura się opłaciła. Trzeba trzymać się tego, co dobre i sprawdzone.

— Wilkołaki nie używają broni — powiedziałam.

— Broń jest dla mięczaków. Chyba zdajecie sobie z tego sprawę?

— Stul dziób — wycedził LeBlanc, przesuwając pistolet nieco niżej.

— Chyba miałaś rację, mówiąc, że nie jesteśmy zbyt bystry — zauważyłam. — Gdybym była mądrzejsza, złamałabym ci prawą rękę. A nawiasem mówiąc, jak tam twój przegub? Boli?

— Zamknij się.

— Tak tylko chciałam sobie pogawędzić.

— Jeżeli chcesz coś powiedzieć — odparł LeBlanc

— sugeruję, abyś zaczęła od przeprosin.

— Za co?

Jego twarz zrobiła się ciemnoczerwona, oczy przepełniło coś, czego przez chwilę nie potrafiłam nazwać.

Nienawiść. Czysta nienawiść, dziesięć razy silniejsza niż to, co widziałam dziś rano na komendzie. Czy był na mnie wściekły, że złamałam mu rękę? To było dla mnie swego rodzaju szokiem. Oczywiście większość ludzi mogłaby mieć mi coś takiego za złe, ale kundle zwykle nie robią o to wielkiego szumu, zwłaszcza jeśli to ja im coś zrobiłam. Raczej starają się obrócić to w żart, jakby w perwersyjny sposób cieszyli się, że miałam dość ikry, by tego dokonać. Wiele lat temu odgryzłam Danielowi ucho. Nie żywi o to do mnie urazy. Jest wręcz dumny, że stracił ucho, i każdemu kundlowi, który o to zapyta, z lubością opowiada, jak do tego doszło, jakby było to dowodem naszych bliskich, zażyłych relacji. Nic tak nie świadczy o miłości jak trwałe okaleczenie.

— Chodzi o ten przegub? — spytałam. — To ty chciałeś udowodnić, że możesz pchnąć mnie nożem. Ja pokazałam tylko, że potrafię się obronić.

— Pieprzysz. Uważałaś, że to zabawne. Upokorzyć nowego. Wiesz, co zrobił Marsten, gdy wróciliśmy do domu? Opowiedział o wszystkim Danielowi i Olsonowi. Śmiechu było co niemiara. — Przekrzywił głowę. — Domagam się przeprosin.

Zastanowiłam się nad tym. W sumie przeprosiny to nic wielkiego. Oczywiście nie było mi przykro, ale nie musiał tego wiedzieć. Tyle że przeprosiny nie chciały mi przejść przez gardło. Dlaczego miałabym go przeproszać? Cóż, może dlatego, że facet przyłożył ci pistolet do głowy, idiotko. Ale nie miałam pewności, że go użyje... Nieważne. Nie było sensu doprowadzać do dalszej eskalacji napięcia.

Przepraszam — rzekłam. — Nie chciałam cię upokorzyć.

— Na kolana.

— Co?

— Przeprós na kolanach.



— Za cholere, nie...

LeBlanc wbił mi lufę pistoletu w usta. Odruchowo zacisnęłam zęby. Pałace igły bólu przeszły moją szczękę, gdy zgrzytnęłam zębami o metal. Próbowałam się wyrwać, ale przyspilił mnie do ściany. I wepchnął mi lufę pistoletu do ust tak głęboko, że zaczęłam się dławić. Metal miał ostry, paskudny smak. Próbowałam cofnąć język, ale lufa zagłębiła się zbyt daleko. Serce biło mi szybciej, lecz nie popadałam w panikę. Cokolwiek powiedział LeBlanc, wiedziałam, że mnie nie zabije. Liczył, że groźba śmierci zmusi mnie, bym zrobiła to, czego pragnął. Już wkrótce zda sobie sprawę, że się pomylił. Kiedy tylko wymyślę sposób, aby wyjął mi spluwę z ust. Gdy się nad tym zastanowiłam, uznałam, że odpowiedź jest prosta. Nie chciałam tego zrobić, ale tak było najprościej.

Uniosłam jedną nogę, dając do zrozumienia, że jestem gotowa uklęknąć. Usta LeBlanca wykrzywił złośliwy uśmiech i wyjął pistolet z moich ust.

— Grzeczna dziewczynka — rzekł. — Wilkołak czy nie, widzę, że nadal jesteś kobietą. Wystarczy odpowiednio przycisnąć, a odnajdujesz swoje miejsce w szeregu.

Zgrzytnęłam zębami i spuściłam wzrok, co przyjął za wyraz mojej uległości.

— No więc? — rzucił.

Wychyliłam głowę do przodu, włosy opadły i przesłoniły moją twarz. Zaczęłam pochlipywać. LeBlanc zaśmiał się.

— Nie jesteś już taka pewna siebie, prawda?

W jego głosie pojawiła się nuta triumfu. Pochlipywałam jeszcze przez chwilę i uniosłam dłoń, by wytrzeć oczy. Przez zasłonę włosów widziałam jedynie dolną połowę ciała LeBlanca. To mi wystarczyło. Po kilku sekundach mojego szlochania opuścił dłoń z pistoletem do boku. Ukryłam twarz w dłoniach. Ale zaraz znowu je opuściłam, zaciskając lewą, otwartą dłoń na prawej, zacisniętej w pięść i uderzając nimi w krocze LeBlanca. Gdy zatoczył się w tył, skoczyłam. Przewróciłam go na ziemię i rzuciłam się do ucieczki. Byłam w połowie alejki, kiedy usłyszałam pierwszy strzał. Instynktownie padłam na ziemię. Poczułam palący ból w lewym barku. Przetoczyłam się po asfalcie, poderwałam na nogi i popędziłam dalej. Rozległy się dwa kolejne strzały, ale skręciłam już za róg.

Biegłam, a krew spływała mi po rękę, ale ból był minimalny, zwykle draśnięcie. Lewe ramię, pomyślałam. A piętnaście centymetrów poniżej lewego barku jest serce. Celował w moje serce. Odeгнаłam od siebie tę myśl i narastającą panikę. Z tyłu rozległ się tupot biegnących stóp. Skręciłam za kolejny róg i jeszcze jeden, i jeszcze, utrzymując proste odcinki możliwie jak najkrótsze, by nie miał możliwości oddać do mnie kolejnego strzału. Przez pięć minut ta taktyka się sprawdzała, ale w końcu znalazłam się w długiej alejce z jednym tylko bardzo odległym wylotem. Pochyliłam się i pobiegłam co sił w nogach. LeBlanc skręcił w tę uliczkę, gdy dotarłam do jej wylotu. Huknął strzał. Znow rozciągnęłam się płasko na ziemi. Tym razem albo strzał nie był celny, albo ja byłam szybsza. Kula wryła się w kontener na śmieci. Odbiłam w lewo i pognałam przed siebie. Na wprost mnie stał samochód, obok niego drugi i kolejne. Parking. Poczułam nagły przypływ radości. Miejsce publiczne. Bezpieczeństwo.

Wbiegłam za róg, aby znaleźć się poza zasięgiem strzału. Szukałam miejsca, gdzie byliby jacyś ludzie. To podstawa. Znaleźć się wśród ludzi, aby LeBlanc musiał schować pistolet. W przeciwnym razie mogłabym skierować na niego uwagę innych, głośno krzycząc — to kobieca sztuczka równie skuteczna jak płacz. Gdy rozejrzałam się dokoła, w pierwszej chwili nikogo nie dostrzegłam, ale biegnąc na oślep, trudno mi było odpowiednio się skupić. Przebiegłam wzdłuż rzędu samochodów i zwolniłam, aby ukryć się za minivanem. Rozejrzałam się wokoło. We wschodniej części parkingu nie było żywej duszy. Wyjrzałam ponad drzwiczkami od strony pasażera, by przez szybę zlustrować parking od zachodu. Też pusto. Nikogo nie było w pobliżu. Albo trafiłam na parking dla pracowników, albo na plac, gdzie pozostawiano auta na dłużej.

Wiatr przyniósł ze sobą zapach LeBlanca.

Opadłam na czworaki. Wzięłam głęboki oddech, by zapanować nad narastającą paniką, i opuściłam głowę, by zlustrować parking z poziomu gruntu. Jakies piętnaście metrów na prawo ode mnie zauważyłam trampki. LeBlanc. Wturlałam się pod minivana i wyciągnęłam szyję, by się lepiej rozejrzeć. Wydawało się, że rzędy opon ciągną się w nieskończoność we wszystkich kierunkach. Po chwili uznałam, że ciąg opon na prawo ode mnie wydawał się najkrótszy. Pełzną na brzuchu, podczołgałam się pod przód minivana, wychyliłam głowę i spojrzałam w lewo. Poza parkingiem nie widziałam zupełnie nic. W pewnej chwili w oddali dostrzegłam przejeżdżający samochód. I kolejny. Jakaś droga. Może wjazd dla aut służbowych, ale tam, gdzie są poruszające się samochody, muszą być ludzie. Wypełzałam spod minivana i zaczęłam przemieszczać się naprzód, kryjąc się za samochodami.

— No, nie chowaj się już, wyjdź stamtąd — zawołał LeBlanc. Krótka przerwa, a potem: — Nie lubię gierki, Eleno. Jeżeli zmusisz mnie, bym zaczął cię szukać, pożałujesz. Dopilnuję, że tego pożałujesz. Zabrałaś mój album. Wiesz, na co mnie stać.

Prześlizgnęłam się za sedanem i wyrzesałam z drugiej strony, zanim przemknęłam przez puste miejsce parkingowe. Jakies poruszenie zwróciło moją uwagę i cofnęłam głowę. Zobaczyłam buty LeBlanca. Zamarłam i sprawdziłam kierunek wiatru. Południowo-wschodni. Poruszałam się pod wiatr. Wstrzymałam oddech, ale wiedziałam, że to, czy będę wydawać jakies dźwięki, nie miało już znaczenia. Wyczuje mnie. Musiał wyczuć. Trampki minęły koniec sedana i poczęły dalej. LeBlanc nawet się nie zatrzymał. Zamknęłam oczy i powoli wypuściłam powietrze. Nie posługiwał się węchem. Jeden problem z głowy. Zaczekałam, aż jego trampki znikną, po czym ruszyłam wąskim przesmykiem między dwoma rzędami zaparkowanych aut. Za każdym razem, gdy docierałam do wolnego miejsca, starannie sprawdzałam, czy jest bezpiecznie, zanim je minęłam. Parę razy przesmyk był za wąski, by można się przezeń przecisnąć. Kierowcy zatrzymywali auta o kilka centymetrów jedno od drugiego. To było trudniejsze niż pokonywanie pustych przestrzeni. Mogłam przejść górą lub dołem. Za pierwszym razem poszłam górą i całe auto aż się zakołysało. Przez kolejnych kilka minut stałam, wstrzymując dech, by upewnić się, że LeBlanc niczego nie zauważył. Później w podobnej sytuacji i przeczołgiwałam się dołem. Wolniej, ale bezpieczniej.

Minęłam piętnaście samochodów i zostało mi jeszcze z dziesięć, gdy na lewo ode mnie usłyszałam kroki. Skuliłam się i znieruchomiałam, nasłuchując. Wiedziałam, że LeBlanc był na lewo ode mnie, a przynajmniej gdy ostatni raz sprawdzałam, znajdował się z tyłu po lewej. Te kroki rozlegały się na lewo i na wprost mnie. Nie przypominały kroków LeBlanca. Suchy odgłos butów na obcasie zbliżał się szybko w moim kierunku. Położyłam się na brzuchu i rozejrzałam się pod ciągiem aut. Brązowe kozaczki przesuwaly się po asfalcie na lewo ode mnie. Kobieta szła szybkim krokiem, wracając do swego auta. Już miałam wstać i pomachać rękami, by zwrócić jej uwagę. Czy jeden świadek powstrzymałby LeBlanca od użycia broni?

— Aha! — zawołał LeBlanc.

Gwałtownie uniosłam głowę i z hukiem wyrzesałam potylicą o podwozie. LeBlanc zaklął i zaczął biec. Rozejrzałam się dziko dokoła, próbując dostrzec jego nogi i obmyślić, w którą stronę miałabym uciekać. Kobieta. Musiałam zaryzykować i pobiec w jej kierunku. Tyle tylko, że już nie słyszałam jej kroków. Czy wsiadła już do samochodu?

— Kurwa! — wrzasnął LeBlanc. — Kurwa, nie do wiary! Eleno!

Znieruchomiałam. Dlaczego mnie wołał? Przecież wiedział, gdzie jestem, prawda? Nawet gdyby mnie nie zawołał, musiał usłyszeć, jak uderzyłam głową o podwozie. Dźwięk był tak donośny, że poniósł się po całym parkingu. LeBlanc wciąż kłął. Podążyłam za tym dźwiękiem i ujrzałam trampki LeBlanca jakies pięć metrów dalej. A obok butów ciało kobiety leżącej na asfalcie z otwartymi, patrzącymi na mnie oczami; w jej ciele ział buchający krwią otwór. Kiedy LeBlanc

krzyknął, zrobił to nie dlatego, że mnie zobaczył. Ten huk, który usłyszałam, nie był spowodowany przeze mnie uderzającą głową o podwozie. LeBlanc zobaczył jakieś poruszenie, szybko idącą kobietę, spostrzegł błysk jasnych włosów i strzelił. Gdy tak patrzyłam na martwą kobietę, zaczęłam się trząść. Powiedziałam sobie, że to reakcja wywołana tym, co ją spotkało, niewinną kobietę zastrzeloną na parkingu. Nieprawda. Ucisku w gardle i dudnienia w piersi nie wywołała ta kobieta. To coś innego. Patrzyłam na jej ciało, na niewidzące oczy wpatrujące się w wieczność i ujrzałam siebie leżącą zamiast niej. To powinnam być ja. To miałam być ja. Zabita w mgnieniu oka. W jedną krótką sekundę. W jednej chwili żywa i biegnąca. W następnej — martwa. Koniec pieśni. Po wszystkim. Czy usłyszałabym strzał? Czy bym go poczuła? Mogłam umrzeć dziś, tu, na tym parkingu. Wciąż mogłam. Dzisiejszy dzień mógł być ostatnim w moim życiu. Może zjadłam dziś ostatni lunch. Ostatni posiłek. Trzydzieści minut temu na lotnisku ostatni raz mogłam widzieć Antonia, Nicka, Jeremy'ego... Claya. Dreszcze przybrały na sile. Mogłam umrzeć. Naprawdę umrzeć. Pomimo stoczonych przeze mnie walk nigdy wcześniej o tym nie myślałam. Nigdy nie zastanawiałam się, co to oznacza. Koniec mógł nastąpić w mgnieniu oka. I dopiero teraz naprawdę zaczęłam się bać.

Poczułam ukłucia bólu w zaciśniętych kurczowo pięściach. Rozwarłam je i ból nieco zelżał, przechodząc w ćmiące pulsowanie, jakby coś przesuwano się pod skórą. Zignorowałam to. Miałam ważniejsze sprawy na głowie. Ale to odczucie nie ustało. Wręcz przeciwnie, jeszcze się pogłębiło. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że palce moich dłoni skurczyły się, a na grzbietach pojawiły się włosy. Nie zrobiłam niczego, by zainicjować Przemianę, nawet o tym nie pomyślałam. Mocno potrząsnęłam rękami i rozluźniłam je, aby przerwać transformację. Gdy poruszyłam palcami, moje ramiona przeszły palący ból. Po chwili poczułam świerzbiecie w nogach. Zamknęłam oczy i nakazałam mojemu ciału przestać. Plecy wygięły mi się w łuk. Koszula zaczęła pękać. Nie! — rozległ się głos w moim umyśle. Nie teraz! Przestań! Nic z tego. Moje nogi zaczęły dygotać spazmatycznie, chcąc wcisnąć się pode mnie, ale nie było miejsca. Leżałam pod nowym volkswagenem beetle, mając zaledwie parę centymetrów wolnej przestrzeni. Nie mogłam stanąć na czworakach. Nie mogłam przyjąć odpowiedniej pozycji. Zamknęłam oczy i skupiłam się. Nic się nie stało. Ogarnęło mnie nagłe zaniepokojenie. Równocześnie Przemiana przybrała na sile, nabierając prędkości, moje ubranie zaczęło pękać, a ciało przyjmować nowy kształt i proporcje. Strach przyspieszył przebieg transformacji. Strach wywołany świadomością, że byłam uwięziona na tym parkingu z mordercą, zapoczątkował Przemianę, a teraz strach przed uwięzieniem pod samochodem wzmocnił ten proces. Wiedziałam, co muszę zrobić. Musiałam się stamtąd wydostać. Kolejna iskierka strachu sprawiła, że mój tors rozrósł się, przez co uderzyłam plecami w podwozie auta. Tym razem huk był wyraźnie słyszalny. Jak przez mgłę dobiegło mnie skrzypienie butów LeBlanca na asfalcie. Czy coś powiedział, czy tylko mi się zdawało? Chyba się zaśmiał...

Wyskoczyłam spod volkswagena. Moje pazury zgrzytnęły o asfalt. W połowie tego susa moje nogi przeszły skurcz i upadłam twarzą na ziemię. Wszystkie mięśnie moich nóg i rąk zdawały się rozdierane skurczami równocześnie w jednej i tej samej chwili. Z mojego gardła dobył się skowyt agonii. Zaciśnęłam zęby. Z bólu oczy nieomal wyszły mi z orbit. Było już za późno, by powstrzymać Przemianę. Przekroczyłam granicę, cofnięcie procesu trwałoby dłużej niż jego dokończenie. Skupiłam się, podsycając transformację strachem. Wreszcie weszłam w ostatnią fazę z rozdygotaną falą cierpienia tak dojmującego, że aż zemdlałam. Doszłam do siebie w chwili, gdy uderzyłam nosem o chodnik, po czym położyłam się na brzuchu, dysząc i ciężko chwytając powietrze. Nie chciałam się poruszyć. Słyszałam dźwięk zbliżających się kroków. Usłyszał mnie. Wiedział w przybliżeniu, gdzie byłam, i zawęził obszar poszukiwań. Zbliżał się. Przez chwilę byłam zbyt wyczerpana, by się tym przejąć. I nagle odwróciłam głowę i zobaczyłam martwą kobietę. Dźwignąwszy się z ziemi, zaczęłam biec.

Wszelkie myśli o ostrożnym, rozważnym wycofaniu się prysły z mojego umysłu wyparte pragnieniem jak najszybszej ucieczki. Wybiegłam pomiędzy aut i popędziłam przed siebie. Nie

nasłuchiwałam odgłosów pogoni. Nie chciałam marnować energii. Wszystko wkładałam w ucieczkę. Z tyłu rozległ się krzyk. A potem strzał. Kula ze świstem przeleciała nad moją głową. Nie zwolniłam ani nie zmieniłam kierunku. Odcięłam się od wszystkiego i po prostu gnałam naprzód. Wreszcie dotarłam do końca rzędu aut. Znalazłam się na drodze. Usłyszałam klakson. Podmuch powietrza przejeżdżającej ciężarówki zmierzwił moją sierść. Wciąż nie zwalniałam. Po drugiej stronie szosy stały dwa budynki. Biegłam w ich stronę, nie wiedząc już, dokąd zmierzam, wiedziałam tylko, że muszę się tam dostać.

Gdy wyłoniłam się pomiędzy budynków, usłyszałam wołanie. Ktoś wołał mnie po imieniu. Dźwięk dochodził z tyłu. Skuliłam się w sobie i przyspieszyłam. Nagle na mojej drodze pojawiła się ceglana ściana. Próbowałam się zatrzymać, ale było już za późno. Wpadłam w poślizg, nogi mi się rozjechały i z głośnym łupnięciem wyrzuciłam w ścianę. Z tyłu LeBlanc wciąż biegł, powtarzając moje imię. Podniosłam się i odwróciłam, by ujrzeć zbliżającą się sylwetkę mego prześladowcy. Nie było czasu na ucieczkę. Jeszcze odwracając się, skoczyłam i rzuciłam się na niego. Gdy wybiłam się w powietrze, uniósł jedną rękę, by osłonić gardło. Uderzyłam go całym ciężarem mojego ciała w pierś i oboje wyładowaliśmy na ziemi. Rozchyliłam wargi. Gdy kłapnęłam zębami, czerwona mgła paniki, która mnie spowijała, rozproszyła się i zobaczyłam, kto leżał pode mną. To nie był LeBlanc, tylko Clay. Cofnęłam głowę w ostatniej chwili. Impet nagłej zmiany kierunku sprawił, że przewróciłam się na bok. Gdy próbowałam podźwignąć się z ziemi, Clay pochwycił mnie i przytrzymał. Wyszeptał coś, ale nie zrozumiałam słów. Nie dostrzegłszy wyrazu zrozumienia w moich oczach, odczekał jeszcze chwilę i powtórzył powoli:

— Już go nie ma. Nie martw się. Już go nie ma.

Zawahałam się i spojrzałam w stronę dwóch budynków, przekonana, że lada moment pojawi się tam LeBlanc z pistoletem w dłoni. Clay pokręcił głową.

Już go nie ma, kochanie. Uciekł, kiedy przebiegłaś przez szosę. Za dużo ludzi.

Wciąż czekałam rozdygotana. Clay zatopił dłonie w mojej sierści i próbował przytulić, ale nie pozwoliłam mu na to. Musieliśmy być gotowi, aby pobiec. Już miał coś powiedzieć, gdy gdzieś nieopodal rozległo się echo kroków. Poderwałam się z ziemi, ale Clay znów mnie przytrzymał. Zza budynku wyłonili się Jeremy, Antonio i Nick. Stałam tam przez chwilę na trzęsących się nogach, wężąc rozpaczliwie, by upewnić się, że oczy mnie nie mylą. Tak, byli tu. Byli tu wszyscy. Byłam bezpieczna. Stałam tak jeszcze przez chwilę, po czym osunęłam się na ziemię.

## OBIETNICA

Clay siedział obok mnie całą drogę do Stonehaven. Wciąż byłam rozdygotana, może nawet w szoku, ale nie próbował mnie przytulić. Za dobrze mnie znał. Trzymał mnie tylko za rękę i zerkał na mnie od czasu do czasu, sprawdzając, czy chcę o tym pomówić. Nie chciałam.

Dojechaliśmy prawie do domu, kiedy Clay przerwał milczenie, wychylając się do przodu, by zwrócić uwagę siedzącego na fotelu przed nim Jeremy'ego.

— Nie powiedziałaś, czego zażądał Daniel — rzekł. — Chce Eleny, prawda?

— Tak — odparł półgłosem Jeremy, nie odwracając się.

Antonio zjechał z autostrady.

— To jak w przypadku porwania samolotu żądającego dziesięciu miliardów dolarów. Wie, że nie bierzemy tego pod uwagę, więc w ten sposób chce dać do zrozumienia, że nie pójdzie na żadną ugodę.

— Nie tylko o to chodzi — rzekł Clay. — Daje nam ostrzeżenie. Wie, że nigdy nie oddamy Eleny. Zdradza nam swoje kolejne posunięcie. Spróbuje ją porwać.

— Jeremy pokiwał głową. Powinienem być się domyślić. Mogliśmy uniknąć poważnego zagrożenia. Tak jak Tonio uważam, że żądając Eleny, Daniel chce powiedzieć, że nie jest skłonny do ustępstw.

Nick zapytał:

— A więc ten kundel na lotnisku próbował uprowadzić Elenę?

— Nie — wtrąciłam. — Chciał mnie zabić.

— Kundel by tego nie zrobił, Eleno — zaczęła Jeremy. — Żywa jesteś dla nich zbyt cenna. Mogło się wydawać...

— Nie było cię tam. Przez parking biegła kobieta. LeBlanc wziął ją omyłkowo za mnie i wpakował jej kulkę między oczy. To nie był strzał ostrzegawczy, tylko egzekucja.

Dłoń Claya zacisnęła się na mojej. Jeremy rozsiadł się wygodniej na fotelu. Przez co najmniej pięć minut nikt się nie odzywał.

— Czemu miałby to zrobić? — zapytał Nick. — Skoro Daniel chce ciebie, to na pewno chce cię dostać żywcem.

— LeBlanc ma gdzieś, czego chce Daniel — odparłam. — Może to dlatego, że jest nowy, a może dlatego, że od dawna mordował na własną rękę, ale brak mu odruchu posłuszeństwa wobec silniejszego wilkołaka.

— Ale po co miałby cię zabijać? — nie ustępował Nick. — Jak mówił Jeremy, te nowe kundle nic dla siebie nie uszczkną w tej walce poza obietnicami ze strony Daniela. Skoro Daniel nie pragnie twojej śmierci, czemu zadał sobie tyle trudu, aby cię zabić?

Thomas LeBlanc poluje na kobiety. Torturuje je, gwałci, a potem zabija. Tacy jak on nienawidzą kobiet i łatwo im jest je zastraszyć. Zapomniałam o tym. Tyle razy mówiłam, że tych mężczyzn nie należy traktować jak innych kundli, a zachowałam się dokładnie na odwrót. Na komendzie upokorzyłam go, naigrawałam się z niego, obraziłam go i złamałam mu rękę, a to wszystko w obecności Marstena. Teraz chce mnie za to ukarać. Musi się na mnie odegrać.

Clay kciukiem pogładził mój przegub, ale nic nie powiedział. Podobnie pozostali.

Kiedy wróciliśmy do Stonehaven, udałam się do siebie. Wchodząc po schodach, słyszałam za sobą Claya, ale nic nie powiedziałam. Weszłam do swojego pokoju, zostawiając otwarte drzwi. Zamknął je za sobą. Zatrzymałam się w połowie drogi do łóżka. Stałam tam, a Clay w milczeniu tuż za mną. Zimny robak strachu wwiercał się w moje ciało. Zaczęłam dygotać. Nabrałam powietrza i zamknęłam oczy. Byłam cała. Byłam w domu, bezpieczna. I omal nie zginęłam. Przeszył mnie strach, mieszając się z gniewem i oburzeniem, płomień rozpałał się coraz jaśniej. Chciałam wskoczyć do łóżka i ukryć się pod narzutą. Chciałam cisnąć czymś o ścianę. Chciałam wrócić do tych kundli i zawołać: „Jak śmiecie!”.

Gdy spojrzałam na Claya, dostrzegłam w jego twarzy odzwierciedlenie moich emocji, gniew, oburzenie i coś, co widywałam tak rzadko, że prawie tego nie rozpoznałam, na wpół ukryte pod lekko opuszczonymi powiekami. Strach. Wyciągnął rękę i przyciągnął mnie ku sobie. Odwróciłam się do niego, odnalazłam jego usta i pocałowałam go. Jego wargi lekko się rozchyliły. Pocałowałam go mocniej, zamykając oczy i przywierając do niego. Iskierka rozpałała się na dobre, moje zmysły ożyły. Świat skurczył się i jedyne, czego doświadczałam, czego

chciałam doświadczać, to jego. Czułam jego smak, zapach, upajałam się jego widokiem, tym, że go słyszałam, jak ktoś, kto obudził się ze śpiączki.

Idąc tyłem w stronę łóżka, nogi nam się poplątały i wylądowaliśmy na dywanie. Już na podłodze, chwyciłam koszulę Claya i podciągnęłam ją do góry, ale on wciąż obejmował mnie ramionami i nie mogłam sprawić, żeby mnie puścił, jakbym bała się, że zerwanie kontaktu choćby na sekundę wprowi mnie w szok i przerażenie. Wplotłam palce w jego koszulę na plecach i szarpnęłam. Kiedy materiał pękł, przestałam ciągnąć. Za dużo zachodu i straconego czasu. Opuściłam ręce do jego dżinsów, rozerwałam rozporek i ściągnęłam spodnie z bioder. Wciąż mnie całując, zrzucił spodnie i zajął się moimi. Odepchnęłam jego dłonie i zrobiłam to sama. Gdy je ściągnęłam, Clay zdarł ze mnie majtki i odrzucił na bok. Jego dłoń dotknęła wewnętrznej strony mego uda. Wsunął we mnie palce.

— Nie—powiedziałam, uwalniając się od jego ręki.

Sięgnęłam i wprowadziłam go w siebie. Oczy nieomal wyszły mu z orbit. Zaczęłam poruszać się powoli. Gdy lekko się wycofał i wszedł głębiej, chwyciłam go za biodra i przytrzymałam, aż znieruchomiał.

— Nie — wysapałam. — Pozwól mi się tym zająć.

Unióś się i znieruchomiał nade mną. Wypchnęłam biodra i zaczęłam ocierać się o niego. Clay nade mną sapał miarowo. Przeszedł go dreszcz i unióś się jeszcze bardziej, abym mogła go widzieć. Kiedy się poruszałam, patrzył mi prosto w oczy, a koniuszek języka wysunął się spomiędzy jego zębów, gdy walczył o pozostanie w bezruchu. Przywarłam do niego i trwałam tak przez chwilę, chłonąc uczucie powrotu do pełnej kontroli, którą utraciłam przed paroma godzinami. Jedną ręką dotknęłam jego torsu i poczułam bicie serca. Poczułam pulsowanie życia pod palcami.

— Dobrze — szepnęłam.

Clay wszedł we mnie i jęknął. Wypchnięciem bioder wyszłam mu na spotkanie. Poruszaliśmy się równocześnie. Gdy kulminacja zaczęła się zbliżać, wycofałam się, nie chcąc, by tak szybko doszedł.

— Zaczekaj — wysapałam. — Zaczekaj chwilę.

Zamknęłam oczy i nabrałam powietrza. Jego zapach był oszałamiający, on sam był niemal w stanie doprowadzić mnie do orgazmu. Wtuliłam twarz w zagłębienie jego obojczyka i oddychałam łączywie. Kiedy chłonełam jego zapach, cały świat jakby zamarł, a emocje rozdzieliły się, pozwalając, bym doświadczała ich jednej za drugą każdą z osobna. Czułam to wszystko, drżenie bicepsów Claya pod moimi dłońmi, gdy się nade mną pochylał, krople potu skapującego z jego torsu na mój, szorstki dotyk jego skarpetki o moją łydkę i pulsowanie jego członka w moim wnętrzu. Chciałam zatrzymać to, aż zapisze się w mojej pamięci. To właśnie takie odczucia sprawiają że wiesz, że żyjesz.

Zacisnęłam się wokół niego, poczułam, jak stęknął w odpowiedzi, i mnie samą też przeszył dreszcz. Doskonałość tej chwili prysła w nagłej potrzebie zaznania innej perfekcji, innego idealnego wizerunku życia.

— Teraz — powiedziałam. — Proszę.

Clay nachylił się ku mnie i mocno pocałował, poruszając się we mnie. Poczułam narastające fale orgazmu, czułam to w jego pocałunku. Oplotłam go nogami i mocno przytuliłam do siebie ramionami. Już miałam się w nim zatracić, kiedy przerwał pocałunek i sięgnął w górę, zatapiając palce w moich włosach. Nie odchylił głowy, ale patrzył mi prosto w oczy, nie widziałam nic oprócz nich, tylko ten błękit.

— Nigdy więcej nie waż się tak mnie straszyć — wychrypiał. — Gdybym cię stracił... Nie mogę cię stracić.

Uniosłam dłonie do jego włosów i pocałowałam go. Znowu przerwał w połowie pocałunku.

— Obiecuj — powiedział. — Obiecuj, że już nigdy nie podejmiesz takiego ryzyka.

Skinęłam głową, a on nachylił się nade mną i resztki naszego opanowania i samokontroli przysły jak mydlana bańka.

Jeremy zapukał do drzwi, zanim promienie wschodzącego słońca zdążyły przesączyć się przez konary drzew za moim oknem. Clay otworzył oczy, ale nie wstał ani nie odpowiedział.

— Chcę, żebyście zeszli oboje na dół — rzekł Jeremy przez zamknięte drzwi.

Spojrzałam na Claya i czekałam, aż odpowie. Nie zrobił tego.

— Już! — wycedził Jeremy.

Clay milczał jeszcze przez pół minuty, po czym rzucił:

— Po co? — tonem, jakim wcześniej nigdy nie zwracał się do Jeremy'ego. Jeremy'ego też to zbiło z tropu i dopiero po chwili odpowiedział.

— Na dół — rzucił w końcu. — Teraz.

Kroki Jeremy'ego ucichły, gdy oddalił się w głąb korytarza.

Mam już tego dość — rzekł Clay, odgarniając narzutę. — Nic z tego nie wynika. Gonimy za własnym ogonem. Pościg, ucieczka, pościg, ucieczka. I co zyskailiśmy? Zginął Logan, zginął Peter, omal nie zginął Jeremy i omal nie zginęłaś ty. Teraz jesteś w niebezpieczeństwie i lepiej, żebyśmy opracowali w związku z tym jakiś plan.

— Mam plan — usłyszeliśmy od schodów głos Jeremy'ego. — Właśnie dlatego chcę, żebyście zeszli na dół.

Na policzkach Claya pojawiły się czerwone rumieńce. Zapomniał, że Jeremy mógł go usłyszeć od podnóża schodów równie dobrze, jak gdyby stał pod drzwiami. Wymamrotał coś, co zabrzmiało jak przeprosiny, i wstał z łóżka.

Antonio i Nick byli już w gabinecie, posilając się wędlinami i serami leżącymi na półmisku. Gdy weszliśmy, Jeremy postawił na stoliku przy kanapie kawę dla nas.

— Wiem, że martwisz się o Elenę, Claytonie — rzekł Jeremy, kiedy już się rozgościliśmy. — Tak jak my wszyscy. Właśnie dlatego zamierzam ją stąd odesłać. Jeszcze dziś.

— Co takiego? — Usiadłam gwałtownie. — Chwileczkę. Tylko dlatego, że wczoraj w nocy trochę się wystraszyłam, nie znaczy...

— Nie ty jedna wczoraj się wystraszyłaś, Eleno. Daniel wziął cię na cel i wygląda na to, że LeBlanc również. Jeden chce cię schwytać. Drugi zabić. Naprawdę sądzisz, że mogę siedzieć bezczynnie i obserwować, któremu z nich się uda? Straciłem już Logana i Petera. Nie zamierzam stracić nikogo więcej. Wczoraj popełniłem błąd, pozwalając ci iść z nami, skoro wiedziałem, że Danielowi na tobie zależy. Nie popełnię kolejnego, pozwalając ci zostać tutaj choćby dzień dłużej.

Spojrzałam na Claya, spodziewając się, że też zaprotestuje, ale on uniósł kubek z kawą do ust, wpatrując się w jego ciemną zawartość jak wróżka próbująca odczytać przyszłość z fusów. Po chwili odstawił kubek, nawet nie skosztowawszy kawy. Jeremy spojrzał na niego, jakby czekał na protest, który nie nastąpił.

— Świetnie — rzekłam. — Jeden atak paniki i staję się niedogodnością którą należy wywieźć w bezpieczne miejsce. Czy dowiem się, gdzie zamierzacie mnie ukryć? A może nie powinnam tego wiedzieć dla mojego własnego bezpieczeństwa?

Jeremy mówił dalej tym samym tonem:

— Udasz się w ostatnie miejsce, gdzie kundle mogłyby próbować cię znaleźć. Wrócisz do Toronto.

— I co mam tam robić? Zaszyć się gdzieś sama, podczas gdy mężczyźni staną do walki?

— Nie będziesz sama. Clay pojedzie z tobą.

— Ejże! — Poderwałam się na nogi. — Chyba żartujesz! — Odwróciłam się do Claya. Nawet nie drgnął. — Słyszałeś? Powiedz coś, do cholery.

Clay milczał.

— Co mielibyśmy robić w Toronto? — spytałam. — Ukryć się w jakimś hotelu?

— Nie. Robić to, co zazwyczaj robisz. Wrócisz do swego mieszkania, do pracy, jeżeli zechcesz, będziesz robić to co zwykle. To zapewni ci bezpieczeństwo. Znasz dom, w którym mieszkasz, trasy, którymi się poruszasz, restauracje i sklepy, które odwiedzasz. Łatwiej ci będzie dostrzec potencjalne zagrożenie tam niż w nieznanym otoczeniu. I będzie wam wygodniej. Wygodniej? — wybuchnęłam. — Nie mogę zabrać Claya do mojego mieszkania. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Clay uniósł głowę, jakby obudził się z głębokiego snu.

— A to czemu?

Gdy spojrzałam mu w oczy, zrozumiałam, że nie wiedział, iż mieszkalam z Philipem. Już chciałam coś powiedzieć, ale wyraz jego twarzy sprawił, że słowa uwięzły mi w gardle.

— Będziesz musiała się go pozbyć — rzekł Jeremy. — Zadzwoń do niego i każ mu się wynieść.

— Ale kogo? Do kogo ma...? — Clay przerwał. Na jego twarzy pojawił się zboląły grymas. Patrzył na mnie przez długą chwilę. Potem wstał i wyszedł z pokoju.

Jeremy miał więcej talentów niż ktokolwiek inny, kogo znałam, i potrafił z nich korzystać lepiej niż ktokolwiek. Mówił płynnie i dokonywał przekładów z tuzina różnych języków, potrafił założyć łubki na złamaną kość tak, że po zrośnięciu się była jak nowa, malował rzeczy, których ja nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, i był w stanie zatrzymać jednym spojrzeniem szarżującego dziewięćdziesięciokilogramowego wilka. Ale nie znał się za grosz na romantycznych relacjach damsko- -męskich.

— Dziękuję — powiedziałam, kiedy Nicholas i Antonio ulotnili się. — Wielkie dzięki.

— On wie o tym mężczyźnie — rzekł Jeremy. — Zakładałem, że wie również o tym, że z nim mieszkasz.

— A jeżeli nie wiedział? Postanowiłeś upokorzyć go na oczach Nicka i Tonią?

— Sądziłem, że wie.

Teraz już i tak musisz to jakoś załatwić. Nie pojedzie ze mną do Toronto, zakładając, że faktycznie tam wrócę.

— Wrócisz, a on z tobą. A co się tyczy tego faceta, on wprowadził się do ciebie, prawda? To było twoje mieszkanie.

Nie spytałam Jeremy'ego, skąd o tym wiedział. Ani nie odpowiedziałam.

— Wobec tego możesz zażądać, aby się wyprowadził — rzekł Jeremy.

— Tak po prostu mam zadzwonić i powiedzieć, że wracam dziś do domu i chcę, aby do tego czasu się stamtąd wyniósł?

— Czemu nie?

Zaśmiałam się ochryple.

— Nie rzuca się przez telefon kogoś, z kim się mieszka. Nie zrywa się pewnych więzów ot tak. Nie mogę dać mu paru godzin na wyprowadzenie się, nie podając powodu.

— Masz powód.

— To nie... — Przerwałam i pokręciłam głową.

— Pozwól, że wyłożę to tak, abyś mnie zrozumiał. Jeżeli do niego zadzwonię i powiem, że wszystko skończone, nie odejdzie. Będzie domagał się wyjaśnień i zostanie, dopóki moje wyjaśnienia go nie usatysfakcjonują. Innymi słowy narobi kłopotów. Czy to wystarczający powód?



— Więc z nim nie zrywaj. Wróć do niego.

— Z Clayem? Nigdy w życiu. Jeżeli chcesz wysłać ze mną niańkę, wybierz Nicka. On umie się zachować.

— Clay zna Toronto. I nic go nie powstrzyma przed ochronieniem ciebie. — Jeremy ruszył w stronę drzwi.

— Zarezerwowałem bilety na popołudniowy lot.

— Nie zamierzam...

Ale Jeremy już wyszedł.

Clay był następnym w kolejce do kłótni z Jeremym. Nie podsłuchiwałam, ale musiałabym wyjść z domu, aby ich nie słyszeć. A skoro rozmowa dotyczyła mojej przyszłości, mogłam równie dobrze posłuchać. Clayowi pomysł nie spodobał się nawet bardziej niż mnie. Instynkt nakazywał mu chronić samca alfa, a nie mógł tego zrobić, znalazłszy się setki kilometrów od niego. Niestety posłuszeństwo wobec Jeremy'ego miał w sobie zakodowane równie głęboko. Gdy tak słuchałam ich potyczki słownej — Claya protestującego na tyle głośno, by zagłuszył spokojne argumenty Jeremy'ego — modliłam się, by Clay zwyciężył i żebyśmy mogli tu zostać. Jeremy okazał się nieugięty. Miałam wrócić do Toronto, a skoro Clay był odpowiedzialny za wprowadzenie mnie w to życie, także on miał dopilnować, żebym wyszła z tego zamieszania cała.

Stałam w gabinecie z gniewną miną. W końcu podjęłam decyzję. Nie wrócę do Toronto i nie zabiorę ze sobą Claya. Nikt nie mógł mnie do tego zmusić.

Weszłam do pustego holu, zabrałam ze stolika moje kluczyki i portfel i wyszłam drzwiami od garażu. Już miałam podejść do mojego auta, ale się zatrzymałam. Dokąd się wybierałam? Dokąd mogłam pojechać? Jeżeli wyjadę, nie będę mogła udać się do Toronto, a powrót do Stonehaven też nie wchodziłby w grę. Zamiast wybierać pomiędzy jednym życiem a drugim, musiałabym porzucić oba. Ścisnęłam kluczyki w dłoni aż do bólu. Wzięłam głęboki oddech i zamknęłam oczy. Nie mogłam wyjechać, ale gdybym została, musiałabym podporządkować się Jeremy'emu. Nikt nie mógł mieć nade mną takiej władzy. Nie pozwoliłabym na to.

Gdy obeszłam samochód, usłyszałam skrzypnięcie gumowej podeszwy na betonie i podniósłszy wzrok, ujrzałam Jeremy'ego stojącego przy drzwiach od strony pasażera, z dłonią na klamce.

— Dokąd się wybieramy? — zapytał ze spokojem.

— Wyjeżdżam.

— Widzę. Pytam więc, dokąd się wybieramy?

— My się nigdzie... — Przerwałam i rozejrzałam się po garażu.

— Wóz Claya jest tam — rzekł Jeremy spokojnym, niewzruszonym głosem. — Masz kluczyki, ale nie masz pilota do alarmu. Explorer stoi na zewnątrz. Nie ma alarmu, ale dzieli cię od niego piętnaście metrów. Mercedes jest bliżej, ale nie masz kluczyków. Ścigamy się do explorera? A może spróbujesz pobiec i zobaczymy, które z nas jest szybsze?

— Nie możesz...

— Owszem, mogę. Nie wyjedziesz. Na dole jest klatka. Nie zawaham się jej użyć.

— To nie...

— Wiem, to wyjątkowo niesprawiedliwe. W świecie ludzi nikt by cię tak nie potraktował, prawda? Ludzie zrozumieliby, że masz prawo się zabić.

— Nie zamierzam...

— Jeżeli wyjedziesz stąd sama, będzie to równoznaczne z samobójstwem. Nie pozwolę ci na to. Albo pojedziesz z Clayem do Toronto, albo zamknę cię w klatce, dopóki się nie zgodzisz na moje rozwiązanie.

Cisnęłam kluczyki na beton i odwróciłam się do Jeremy'ego plecami. Po chwili ciszy powiedziałam:

Nie zmuszaj mnie, żebym zabrała go ze sobą. Wiesz, jak ciężko się starałam, aby ułożyć tam sobie życie. Zawsze mówiłeś, że będziesz mnie w tym wspierać, nawet jeśli się ze mną nie zgadzasz. Wyślij mnie gdzieś indziej albo z kimś innym. Nie zmuszaj mnie, abym zabrała Claya. On wszystko zniszczy.

— Wcale nie.

Głos Claya był równie łagodny jak Jeremy'ego, do tego stopnia, że w pierwszej chwili pomyliłam go z nim. Drzwi do domu wydały lekki trzask, kiedy Jeremy wszedł do środka. Nie odwróciłam się, by spojrzeć na Claya.

— W tej chwili najważniejszą rzeczą jest dla mnie ochranianie ciebie — rzekł Clay. — Niezależnie jak bardzo byłbym zły, to się nie zmieni. Potrafię się tam zachować, Eleno. Tylko dlatego, że tego nie robię, nie znaczy, że nie umiem. Uczyłem się przystosowywać, odkąd skończyłem osiem lat. Od piętnastu lat nie robię nic innego, jak studiuję ludzkie zachowania. Gdy je zgłębiłem i zrozumiałem, że potrafię się przystosować, przestałem próbować. Dlaczego? Bo nie ma takiej potrzeby. Dopóki jestem w stanie kontrolować swoje zachowanie wśród ludzi do tego stopnia, że nie muszę obawiać się, że zaczną na mnie polować gromada żądnych krwi myśliwych uzbrojonych w srebrne kule, to w zupełności wystarcza Jeremy'emu i reszcie Watahy. Gdybym robił coś więcej, postępowałbym wbrew sobie. Nie zamierzam robić tego bez powodu. Z tym że ochranianie ciebie to dla mnie dostateczny powód. Ten mężczyzna zapewne nie uzna mnie za najmilszego faceta na świecie, ale i nie powinien mieć o mnie złego zdania. Niczego nie zepsuję.

— Nie chcę cię tam.

Ja też wcale nie chcę tam być. Ale żadne z nas nie ma w tej kwestii wiele do gadania, prawda?

Znów trzasnęły drzwi. Kiedy się odwróciłam, Clay już wyszedł. Jeremy wrócił, przytrzymując dla mnie otwarte drzwi. Łypnęłam na niego gniewnie, po czym odwróciłam wzrok i weszłam bez słowa do domu.

Jeszcze tego popołudnia Clay i ja znaleźliśmy się na pokładzie samolotu do Toronto.

## LĄDOWANIE

To będzie katastrofa.

W miarę jak samolot nabierał wysokości, mój nastrój robił się coraz bardziej pośpny. Dlaczego pozwoliłam, aby Jeremy mi to zrobił? Czy wiedział, że zrujnuje mi życie? Czy się tym przejmował? Jak mogłam wprowadzić Claya do mieszkania, które dzieliłam z Philipem? Zamierzałam sprowadzić faceta, z którym sypiałam, do domu mężczyzny, z którym się związałam. Z oburzeniem słuchałam historii, które mi opowiadano o ludziach wprowadzających kochanków do swoich domów w charakterze stróża, niani, ogrodnika. Każdy, kto tak robił, był zepsutym do cna śmieciem... i dokładnie tak teraz o sobie myślałam.

Zadzwoiłam dziś rano do Philipa i powiedziałam mu, że przywiozę gościa. Wyjaśniłam, że Clay to mój kuzyn, brat Jeremy'ego, który chciał się przenieść do Toronto, więc zgodziłam się przyjąć go na tydzień czy dwa, dopóki nie znajdzie sobie jakiejś pracy. Philip zachował się nader szarmancko, choć gdy wspomniał kiedyś, że chciałby poznać moich kuzynów, myślał zapewne raczej o zaproszeniu ich na kolację, a nie dzieleniu z nimi naszego małego mieszkania.

A co z Clayem? Jeremy musiał wiedzieć, jak bardzo będzie przez to cierpiał. Czy tym też się nie przejmował? Jak Clay i ja mieliśmy funkcjonować w tych okolicznościach? Mieliśmy mieszkać razem pod jednym dachem bez bufora w postaci reszty Watahy. Odkąd Clay wyszedł dziś rano z garażu, nie zamieniliśmy ani słowa. Pół godziny od Toronto, a wciąż siedzieliśmy obok siebie jak nieznajomi.

— Gdzie mieszkasz? — spytał Clay.

Aż podskoczyłam na dźwięk jego głosu. Spojrzałam na niego, ale on patrzył przed siebie, jakby mówił do znajdującego się przed nim fotela.

— Gdzie mieszkasz? — powtórzył.

— Ee... nad jeziorem — odparłam. — Na południe od Front Street.

— A pracujesz?

— W dzielnicy Bay-Bloor.

To brzmiało jak luźna pogawędka, ale nią nie było. W mózgu Claya obracały się trybiki, określając topografię i odległości.

— Ochrona?

— Niezła. Budynek ma strzeżone wejście. Nic wymyślnego. Klucze i domofon. Na drzwiach mam łańcuch i zasuwkę.

Clay parsknął. Jeżeli kundel zdołałby minąć frontowe drzwi, wszystkie zamki świata nie powstrzymałyby go przed wejściem do mieszkania. Wspomniałam kiedyś Philipowi o systemie zabezpieczeń, ale on uznał, że wystarczy dobra polisa. Nie mogłam mu powiedzieć, że obawiam się napaści. To nie pasuje do profilu kobiety, która uwielbia samotne nocne spacerki.

W pracy jest ochroniarz na parterze — ciągnęłam. — Potrzeba karty magnetycznej, aby dostać się do mojego biura. Poza tym zawsze jest tam sporo ludzi. Jeżeli ograniczę się do pobytu w budynku tylko w godzinach pracy, raczej nikt nie spróbuje mnie tam zaatakować. Właściwie po co mam wracać do pracy, skoro...

— Masz zachowywać się, jak gdyby nigdy nic, zgodnie z zaleceniami Jeremy'ego. — Clay wyjrzał przez okno. — Kim wobec tego mam być?

— Moim kuzynem, który przyjechał do Toronto w poszukiwaniu pracy.

— Czy to konieczne?

— Brzmi przekonująco. Skoro jesteś moim kuzynem, moim obowiązkiem jest...

— Chodziło mi o to szukanie pracy. Nie zamierzam tego robić, Eleno, i wolałbym uniknąć zbyt złożonych scenariuszy. Powiedzmy, że przyjeżdżam do miasta, aby popracować trochę na uczelni — jak zwykle. Skontaktuję się tam z paroma ludźmi, odwiedzę wydział, może poszperam w bibliotece. Niech to zabrzmie prawdziwie.

— Dobrze, ale chyba łatwiej byłoby powiedzieć...

— Nie zamierzam odgrywać ról, Eleno. Nie bardziej niż to konieczne.

Skierował wzrok w stronę okna i przez resztę lotu już się nie odezwał.

Niezależnie jak bardzo zamartwiałam się podczas lotu, dopiero na lotnisku w pełni uświadomiłam sobie, co właściwie robiliśmy. Odebraliśmy bagaże i szliśmy na postój taksówek, kiedy zrozumiałam, że zabieram Claya do mieszkania, które dzielę z Philipem. Poczułam ucisk w piersiach, moje serce zaczęło bić jak szalone i zanim znaleźliśmy się przy wejściu, na dobre ogarnęła mnie panika.

Clay wyprzedzał mnie o krok. Postąpiłam naprzód i schwyciłam go za ramię.

— Nie musisz tego robić — rzekłam.

Nie spojrzął na mnie.

— Jeremy tego chce.

— Ale to nie znaczy, że musisz to robić. Chodzi o to, żebym była bezpieczna, tak? Musi być inny sposób.

Clay stał odwrócony do mnie plecami.

— Powiedział, że mam zostać z tobą. I tak właśnie będzie.

— Możesz to zrobić, nie przekraczając progu mojego mieszkania.

Odwrócił się na tyle, że dostrzegłam jego półprofil.

— Niby jak? Miałbym spać na ulicy przed twoim domem?

— Nie. Chciałam powiedzieć, że nie musimy iść do mnie. Możemy pójść gdzieś indziej.

Choćby do hotelu.

— I pójdziesz tam ze mną?

— Jasne. Oczywiście.

— I zostaniesz ze mną?

— Pewnie. Co tylko zechcesz.

Słyszałam desperację w moim głosie i gardziłam sobą za to, ale nie mogłam się pohamować. Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że ludzie wokół nas zaczęli się gapić.

— Co tylko zechcesz — powtórzyłam. — Jeremy się nie dowie. Powiedział, że nie będzie dzwonił, więc nie dowie się, czy jesteśmy u mnie. Będę bezpieczna, a ty ze mną. I o to właśnie chodzi, no nie?

Clay stał w bezruchu prawie przez minutę. Wreszcie powoli odwrócił się do mnie. Równocześnie dostrzegłam w jego oczach coś niczym błysk nadziei, który zniknął jednak, kiedy tylko zobaczył mój wyraz twarzy. Jego szczęki zacisnęły się, spojrzął mi prosto w oczy.

— Dobrze — powiedział. — Co tylko zechcę? — Przeniósł wzrok w stronę ciągu budek telefonicznych i sięgnął po słuchawkę w pierwszej z nich. — Zadzwoń do niego.

— Powiedział, że mamy do niego nie dzwonić. Żadnych telefonów.

— Nie do Jeremy'ego. Do tego faceta. Zadzwoń do niego i powiedz, że to koniec. Mieszkanie jest jego. Rzeczy odbierzesz później.

— To nie...

— Nie o to ci chodziło, tak? Domyślam się. Więc jaki jest plan? Będziesz krążyć między nami, aż w końcu podejmiesz decyzję?

— Już podjęłam. To, co się wydarzyło w Stonehaven, to była pomyłka, jak zawsze zresztą. Nigdy nie chciałam cię zwodzić. Wiedziałaś, że jest ktoś jeszcze. Ale to się dzieje za każdym razem, kiedy wracam do tego cholernego domu. Całkiem się zatracam. Gubię się.

— W czym? W domu? W stercie cegieł i zaprawy?

— W tym miejscu — odparłam przez zęby. — W tym świecie i wszystkim, co się z nim wiąże, łącznie z tobą. Nie chcę tego, ale gdy tam jestem, nie potrafię się oprzeć. On mnie zniewala.

Zaśmiał się ochryple.

Nie ma na tym świecie takiej rzeczy, z którą nie potrafiłabyś sobie poradzić, Eleno. Wiesz, jaki „urok” rzuca na ciebie ten dom? Czyni cię szczęśliwą. Ale nie chcesz się do tego przyznać, bo jedyne dopuszczalne szczęście łączy się dla ciebie z „normalnym” światem, „normalnymi” przyjaciółmi i „normalnym” facetem. Czujesz się zobowiązana i zdeterminowana, aby odnaleźć szczęście w takim właśnie życiu, nawet gdyby to miało cię zabić.

Ludzie jawnie się na nas gapili. W mojej głowie powinny rozbrzmiewać syreny alarmowe mówiące, że zachowywałam się niewłaściwie jak na świat ludzi. Ale tak się nie stało. O nic nie

dbałam. Obróciłam się na pięcie i łypnęłam na dwie starsze kobiety mamroczące z dezaprobatą tuż za mną. Cofnęły się zdeprymowane. Ruszyłam w stronę wyjścia.

— Kiedy ostatni raz do niego dzwoniłaś? — zawołał za mną Clay.

Zatrzymałam się.

Clay podszedł do mnie i zniżył głos, by nikt go nie mógł podsłuchać.

— Pomijając dzisiejszy dzień, kiedy powiadomiłaś go, że przyjeżdżamy. Kiedy dzwoniłaś do niego ostatnio?

Nie odpowiedziałam.

— W niedzielę — powiedział. — Trzy dni temu.

— Byłam zajęta — odparłam.

— Bzdura. Zapomniałaś o nim. Myślisz, że on daje ci szczęście? Uważasz, że to życie czyni cię szczęśliwą? No to teraz masz szansę. Zabierz mnie tam. Pokaż, jak bardzo cię to uszczęśliwia. Udowodnij.

— Wał się — warknęłam i ruszyłam w stronę drzwi.

Clay poszedł za mną ale spóźnił się. Opuściłam budynek terminalu i wskoczyłam do taksówki, zanim zdążył mnie dogonić. Trzasnęłam drzwiczkami, omal nie przycinając Clayowi palców, po czym podałam kierowcy adres. Kiedy ruszyliśmy, z pewną satysfakcją spojrzałam w boczne lustro i zobaczyłam Claya stojącego na chodniku. Szkoda, że nie byłam bardziej konkretna, gdy powiedziałam mu, gdzie mieszkam. „Nad jeziorem” to bardzo ogólne stwierdzenie — to duży obszar i jest tam sporo apartamentowców.

Kiedy dotarłam do swego mieszkania, nacisnęłam przycisk domofonu. Philip odebrał i gdy usłyszał mój głos, nieźle się zdziwił. Nie zgubiłam klucza. Nie pytajcie, dlaczego użyłam domofonu. Miałam nadzieję, że Philip też o to nie zapyta.

Kiedy dotarłam na górę, Philip czekał w korytarzu przy windzie. Uściskał mnie serdecznie. Instynktownie zeszytywniałam, ale też go objęłam.

— Trzeba było zadzwonić z lotniska — powiedział. — Czekałem, by po ciebie pojechać. — Spojrzał nad moim ramieniem. — A gdzie nasz gość?

— Spóźni się. Może w ogóle nie dojedzie.

— Nie dojedzie?

Wzruszyłam ramionami i udałam ziewnięcie.

— Ciężki lot. Liczne turbulencje. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że wreszcie jestem w domu.

— Nie tak bardzo jak ja, kochanie. — Philip wprowadził mnie do mieszkania. — Usiądź. Kupiłem w supermarkecie pieczonego kurczaka na kolację. Odgrzeję go.

— Dzięki.

Nie zdążyłam nawet zdjąć butów, kiedy ktoś zapukał do drzwi. W pierwszym odruchu chciałam to zignorować, ale nie byłby to dobry pomysł. Philip nie ma tak dobrego słuchu jak ja, ale nie jest głuchy.

Energicznie otworzyłam drzwi. Stał tam Clay z naszym bagażem.

Jak... — zaczęłam.

Podał mi moją torbę. Z rączki zwieszała się plakietka z moim nazwiskiem i adresem.

— Dzieciak z pizzerii otworzył mi drzwi — powiedział. — Niezła ochrona.

Wszedł do środka i rzucił nasze bagaże przy wieszaku. Za moimi plecami otworzyły się drzwi do kuchni. W napięciu nasłuchiwałam kroków zbliżającego się Philipa. Głos uwiązał mi w gardle. A jeśli Clay się zbuntuje? Czy było już za późno, by wyrzucić go za drzwi?

— Ty musisz być kuzynem Eleny — rzekł Philip, podchodząc i wyciągając rękę.

— Clay — wykrztusiłam. — Clayton.

Philip uśmiechnął się.

— Miło cię poznać. Jak wolisz? Clayton czy Clay?

Clay nie odpowiedział. Nawet nie spojrzął na Philipa, nie popatrzył na niego, odkąd tamten wszedł do pokoju. Nie odrywał wzroku ode mnie. Dostrzegłam w jego oczach gniew, wzburzenie i upokorzenie. Przygotowałam się na wybuch. Nie nastąpił. Zamiast tego ostentacyjnie zignorował Philipa, jego powitanie, pytanie, wyciągniętą rękę, i wmaszerował dziarsko do salonu.

Uśmiech na twarzy Philipa przygasł tylko na chwilę, zaraz odwrócił się do Claya, który stał przy oknie tyłem do nas.

— Kanapa jest tam — rzekł, wskazując ręką na mebel ze stertą świeżej pościeli. — Mam nadzieję, że będzie ci wygodnie. Nikt jeszcze na niej nie spał, prawda, kochanie?

Szczęki Claya zacisnęły się, wciąż wyglądał przez okno.

Tak — odparłam. Miałam dodać coś jeszcze, ale jakoś nic mi nie przyszło do głowy.

— Mieliśmy mieć stąd widok na jezioro — powiedział Philip z wymuszonym śmiechem. — Myślę, że gdybyś stanął trzy kroki na lewo od okna pomiędzy pierwszą a drugą po południu, odwrócił się w prawo, a potem lekko zmrużył oczy i spojrzął pod pewnym kątem, mógłbyś zobaczyć skrawek jeziora Ontario. A przynajmniej taka jest teoria.

Clay wciąż milczał. Ja również. W pokoju zapadła grobowa cisza, jakby Philip mówił w próżnię, a jego słowa nie wywołały żadnego skutku czy echa.

Philip mówił dalej.

— Z drugiej strony budynku jest lepszy widok na Toronto. To naprawdę cudowne miasto. Światowej klasy wygody za przyzwoitą cenę, niski poziom przestępczości, czyste ulice. Może urwę się jutro trochę wcześniej z pracy i pokażę ci miasto, zanim wróci Elena.

— Niekoniecznie — rzucił Clay. Powiedział to takim tonem, że całkiem stracił swój akcent i brzmiał jak ktoś obcy.

— Clay mieszkał w Toronto — powiedziałam. — Przez pewien czas... Ee... parę lat temu.

— I jak ci się podobało? — zapytał Philip. Kiedy Clay nie odpowiedział, znów zaśmiał się z przymusem. — Wróciłeś, więc pewnie nie było aż tak źle.

Clay odwrócił się i spojrzął na mnie.

— Mam parę miłych wspomnień.

Przez chwilę patrzył mi w oczy i w końcu poszedł do łazienki. Kilka sekund później usłyszałam szum odkręconego prysznicza.

— Śmiało, wskocz pod prysznic — mruknęłam, wywracając oczami. — Dusza towarzystwa, co nie?

Philip uśmiechnął się.

— A więc to nie zmęczenie lotem?

— Dobrze by było. Powinam cię była ostrzec. Bliżej nieokreślone tendencje do zachowań społecznych. Nie zwracaj na niego uwagi. Ignoruj go albo każ mu spadać.

Philip uniósł brwi. W pierwszej chwili sądziłam, że to reakcja na to, co powiedziałam o Clayu, ale gdy Philip tak na mnie patrzył, odtworzyłam swoją wypowiedź i usłyszałam w niej złośliwość i sarkazm. To nie była Elena, do jakiej przywykł Philip.

— Tak tylko żartowałam — mruknęłam. — Lot z nim był naprawdę długi. Zanim dotarliśmy na lotnisko, puściły mi nerwy i trochę się pozarliśmy.

— Puściły ci nerwy? — zapytał Philip, podchodząc, by pocałować mnie w czoło. — Nie sądziłem, że w twoim przypadku to w ogóle możliwe.

— Clayton wydobywa ze mnie to co najgorsze. Przy odrobinie szczęścia nie zabawi tu długo. Należy do rodziny, więc do tego czasu muszę go jakoś znosić. — Odwróciłam się w stronę kuchni i zaczęłam przesadnie wyraziście pociągać nosem.

- Sądząc po zapachu, kurczak jest już gotowy.
- Czy powinniśmy poczekać na twojego kuzyna?
- On by na nas nie poczekał — odparłam i pomaszero wałam do kuchni.

Jedyne, co mogłam powiedzieć dobrego o tym wieczorze, to że był krótki. Clay wyszedł spod prysznic (na szczęście ubrany), wszedł do salonu i wziął z półki jedną z moich książek. Wciąż jeszcze jedliśmy. Poszłam do salonu, aby mu to powiedzieć. Mruknął, że przekąsi coś później, i na tym zakończyliśmy temat. Zanim zjedliśmy i pozmywaliśmy, było już na tyle późno, że mogłam stwierdzić, iż jestem zmęczona, i położyć się. Philip dołączył do mnie i niebawem uświadomiłam sobie, że zapomniałam o jednym drobiazgu łączącym się z naszym wspólnym mieszkaniem. O seksie.

Właśnie zakładałam koszulę nocną kiedy Philip wszedł do sypialni. Nie byłam ich zwolenniczką odkąd rozstałam się z ostatnią rodziną zastępczą sypiałam w majtkach, ale kiedy wprowadził się Philip i stwierdziłam, że sypiał w spodniach od piżamy, uznałam, że może liczyć na to, że ja też coś na siebie nałożę. Próbowalam seksownej bielizny, tych fikuśnych ciuszków, od których roi się w pismach dla kobiet. Ale te cholerne koronki wywoływały swędzenie w miejscach, gdzie wcześniej tego nie czułam, gumki wrzynały się w ciało, a ramiączka przekrzywiały i stwierdziłam, że może takie rzeczy zakłada się przed seksem, a już po wkładaniu coś wygodniejszego. Jako że Philipa i tak nie kręciły czarne koronki i czerwona satyna, wrzuciłam te rzeczy na dno szuflady i przerzuciłam się na przyduże podkoszulki. Wreszcie na Gwiazdkę Philip kupił mi białą koszulę nocną do kolan. Była bardzo kobieca, staroświecka i trochę zbyt dziewicza jak na mój gust, ale Philipowi się podobała, więc ją nosiłam.

Philip poczekał, aż zacznę rozczesywać włosy, po czym podszedł do mnie z tyłu, nachylił się i pocałował mnie w szyję.

— Tęskniłem — szepnął z ustami tuż przy mojej skórze. — Nie chcę się skarżyć, ale to była dłuższa rozłąka, niż się spodziewałem. Jeszcze parę dni i miałabyś w Nowym Jorku gościa. Stłumiłam wybuch kaszlu, udając ochryply śmiech. Philip w Bear Valley. To był jeszcze bardziej piekielny scenariusz niż ten, który realizowaliśmy obecnie.

Usta Philipa dotknęły mojego karku. Przywarł do mnie. Wsunął mi rękę pod koszulę i zadarł ją powyżej bioder. Zesztywniałam. Bezwiednie spojrziałam na drzwi sypialni. Spojrzenie Philipa podążyło za moim poprzez lustro.

— Ach — rzekł, chichocząc. — Zapomniałem o naszym gościu. Moglibyśmy zrobić to po cichu, ale jeżeli wolisz poczekać, aż nadarzy się dogodniejsza okazja...

Pokiwałam głową. Philip znów pocałował mnie w kark, westchnął drwiąco i poszedł do łóżka. Wiedziałam, że powinnam położyć się obok niego, przytulić i porozmawiać. Ale nie mogłam. Po prostu nie mogłam.

To będzie katastrofa.

# KLAROWANIE

Następnego ranka obudził mnie aromat tostów i bekonu. Spojrzałam na zegarek. Prawie dziewiąta. Philip zwykle wychodził o siódmej. Musiał zostać dłużej, aby zrobić śniadanie. Cóż za miła niespodzianka.

Przeszłam z sypialni do kuchni. Clay stał przy kuchence, przewracając szpatułką całą górę bekonu. Odwrócił się, gdy weszłam. Otaksował wzrokiem moją koszulę nocną.

— Co to jest, u licha? — zapytał.

— Koszula nocna.

— Śpisz w tym?

— W przeciwnym razie nazywałaby się koszula dzienna, prawda? — ucięłam.

Usta Claya zadrżały, gdy tłumił w sobie śmiech.

— Jest bardzo... słodka, kochanie. Wygląda jak coś, co mogłabyś dostać od Jeremy'ego. A, nawiasem mówiąc. Przysłał ci kwiaty.

— Jeremy?

Clay pokręcił głową.

— Są przy drzwiach frontowych.

Weszłam do holu, by ujrzeć tuzin czerwonych róż w srebrnym wazonie. Do kwiatów dołączono liścik „Pomyślałem, że pozwolę ci trochę pospać. Witaj w ilu mu. Tęskniłem. Philip”. Widzicie? Nic się nie zmieniło Philip był jak zawsze pomysłowy i czuły. Z uśmiechem podniosłam wazon i rozejrzałam się, gdzie można by ją postawić. Na stole w salonie? Nie, kwiaty były za długie. Zostawić je w holu? Za mało miejsca. W kuchni? Otworzyłam drzwi. Też nie ma miejsca.

— Sypialnia — mruknęłam, cofając się.

— Woda — zawołał za mną Clay.

— Co?

— Potrzebują wody.

— Wiem.

— I światła słonecznego — dodał.

Nie odpowiedziałam. Pamiętałam o wodzie i świetle słonecznym... ponieważ. Muszę przyznać, że nigdy nic rozumiałam zwyczaju przysyłania kwiatów. Fakt, wyglądały ślicznie, ale niczemu nie służyły. Nie żebym tego nie doceniała. Naprawdę. Jeremy zawsze ścinał w ogrodzie świeże kwiaty i wstawiał do mojego pokoju, a ja je podziwiałam. Oczywiście gdyby im nie zmieniał wody i nie ustawiał w nasłonecznionym miejscu, podziwiałabym je krócej. Byłam lepsza w zabijaniu rzeczy niż w utrzymywaniu ich przy życiu. Dobrze, że nigdy nie planowałam mieć dzieci.

Po wlaniu wody i postawieniu róż w wybranym miejscu wróciłam do kuchni. Clay położył na moim talerzu dwa tosty i sięgnął po trzeci.

— Wystarczy — rzekłam, przysuwając do siebie talerz.

— Uniósł brwi. Wystarczy na razie — dodałam. — Jak zjem te, poproszę o jeszcze.



— To wszystko, co jesz, kiedy tu jesteś? Dziwię się, że udaje ci się dotrzeć do pracy i nie zemdleć. Musisz jeść więcej, Eleno. Twój metabolizm wymaga...

Odsunęłam krzesło. Clay zamilkł i nałożył dla mnie porcję bekonu, obsłużył się i usiadł.

— O której zaczynasz pracę? — zapytał.

— Zadzwońłam wczoraj i powiedziałam, że przyjdę na wpół do jedenastej.

— Wobec tego lepiej się pospieszmy. To daleko? Ile się idzie? Pół godziny?

— Pojadę metrem.

— Metrem? Nie cierpisz metra. Ci wszyscy ludzie stłoczeni w małym wagoniku, ciągle obijanie się o nieznanomych i ten smród...

— Przywykłam.

— Ale po co? Nie ma to jak spacer, a do Bloor jest prosta droga.

— Ludzie nie chodzą do pracy pieszo — odparłam. — Jeżdżą na rowerach, rolkach albo biegają. Nie mam roweru ani rolek, a biegać w spódnicy nie mogę.

— Chodzisz do pracy w spódnicy? Nie znosisz spódnic.

Odsunęłam od siebie talerz i wstałam od stołu.

Próbowałam przekonać Claya, że może pójść do mojej pracy pieszo, a ja sama pojadę metrem. Nie chciał się na to zgodzić. Dla mojego bezpieczeństwa i egzekwując wolę swego przywódcy, musiał znieść torturę jazdy metrem. Przyznaję, że z dziką rozkoszą patrzyłam, jak przestępuje z nogi na nogę i krzywi się przez całe siedem minut naszej podróży. Nieomal wił się w wagonie. Co prawda wszyscy, którzy go widzieli, powiedzieliby, że wyglądał jak zwykły pasażer, który zniecierpliwiony obserwuje przebieg jazdy na mapie powyżej. Ale ja w jego oczach dostrzegałam emocje jak u zamkniętego w klatce zwierzęcia, klaustrofobię zmieszaną na równi z odrazą i narastającą paniką. Za każdym razem, gdy ktoś się o niego ocierał, ścisnął słupek nieco mocniej. Oddychał przez usta i nie odrywał wzroku od mapy, sprawdzając tylko nazwy kolejnych stacji, gdy skład zaczynał zwalniać. Raz popatrzył na mnie. Uśmiechnęłam się i teatralnie rozsiadłam się na siedzeniu. Spojrzał na mnie spode łba, odwrócił się i przez resztę podróży ostentacyjnie mnie ignorował.

Zjadłam lunch z kolegami z pracy. Gdy wróciliśmy, ujrzałam znajomą postać siedzącą na ławeczce pod biurowcem. Przeprosiłam, że nie wejdę jeszcze do środka, i wróciłam do Claya.

— Co się stało? — spytałam, podchodząc do niego od tyłu.

Odwrócił się i uśmiechnął.

— Cześć, kochanie. Jak lunch?

— Co ty tu robisz?

— Pilnuję cię, pamiętasz?

Zamurowało mnie.

— Nie mów mi, że siedzisz tu od rana.

— Oczywiście. Pomyślałem, że w twoim biurze nie będę mile widziany.

— Nie możesz tak tu siedzieć.

Dlaczego? Och, niech zgadnę. Normalni ludzie nie przesiadują na ławkach. Bez obawy, kochanie. Jeśli zobaczę jakiegoś gliniarza, przesiadę się na ławkę po drugiej stronie ulicy.

Spojrzałam w stronę budynku, aby upewnić się, że nie wychodzi stamtąd nikt znajomy.

— Wiesz, że nie pracuję w biurze cały dzień. Po południu idę na wiec w Queen's Park.

— Pójdę z tobą. Oczywiście zachowując bezpieczny dystans, abyś nie musiała przeżywać koszmaru, jakim byłoby pokazanie się w moim towarzystwie w miejscu publicznym.

— Chcesz powiedzieć, że będziesz mnie śledził.

Clay uśmiechnął się.

— To umiejętność, którą staram się szlifować przy każdej nadarzającej się okazji.  
— Nie możesz tak tu siedzieć.  
— Wracamy do punktu wyjścia...  
— Przynajmniej rób coś. Poczytaj książkę, gazetę, jakieś pismo.  
— Jasne, a jakiś kundel prześlizgnie się obok, gdy będę rozwiązywał krzyżówkę.  
Uniosłam obie ręce w górę i wróciłam do budynku. Pięć minut później wróciłam na zewnątrz.  
— Już się stęskniłaś? — spytał.  
Rzuciłam mu na podolek czasopismo. Wziął je do ręki, zerknął na okładkę i zmarszczył brwi.  
— „Cztery Kółka”?  
— To o samochodach. Pismo dla facetów. Przynajmniej udawaj, że je czytasz.  
— Przerzucał strony, by zatrzymać się na rozkładówce przedstawiającej rudowłosą dziewczynę w bikini wyciągniętą na masce corvetty stingray. Spojrzał na podpis, a potem obejrzał zdjęcie. Co tu robi ta kobieta? — zapytał.  
— Zasłania rysę na masce. Była tańsza niż nałożenie nowej warstwy lakieru.  
Przerzucał kolejne strony pełne skąpo odzianych kobiet i klasycznych aut.  
— Nick miewał takie pisma, kiedy byliśmy dziećmi. Ale bez samochodów. — Odwrócił zdjęcie bokiem. — I bez strojów kąpielowych.  
— Po prostu udawaj, że czytasz, jasne? — spytałam, odwracając się w stronę drzwi. — Nigdy nie wiadomo. Może dopisze ci szczęście i natrafisz na coś, co ci się spodoba.  
— Sądziłem, że podoba ci się mój samochód.  
Powoli zaczęłam się oddalać.  
— Nie mówiłam o samochodach.

Po kolacji Clay i ja zostaliśmy w mieszkaniu i graliśmy w karty. Zanim wrócił Philip, byłam do przodu trzydzieści dolców i pięćdziesiąt centów. Właśnie wygrałam czwarte rozdanie z rzędu i cieszyłam się z tego jak dziecko, gdy Philip wszedł do mieszkania. Kiedy tylko Philip zapytał, czy może do nas dołączyć, Clay uznał, że już czas, aby znowu wziąć prysznic. Jeszcze trochę i będzie najczystszym facetem w Toronto. Philip i ja zagraliśmy parę rozdań, ale to nie było to samo. Philip nie grał na pieniądze. I co gorsza, liczył, że nie będę oszukiwać.

Tej nocy Jeremy skontaktował się ze mną, aby sprawdzić, czy wszystko gra. Choć zabronił nam dzwonić, nie oznaczało to, że był niedostępny. Jak już wcześniej wspomniałam, Jeremy miał własny sposób nocnego łączenia się z nami za pomocą telepatii. Wszystkie wilkołaki do pewnego stopnia posiadają tę zdolność. Większość ją ignoruje, uważając mentalne moce za zbyt mistyczne jak dla istot przywykłych do rozwiązywania dyskusji za pomocą kłów i pazurów.

Claya i mnie łączyła mentalna więź, może dlatego, że to on mnie ugryzł. Nie żebyśmy mogli czytać sobie nawzajem w myślach ani nic równie dramatycznego. Było to raczej jak podwyższona świadomość, jakiej rzekomo doświadczają często bliźnięta, drobiazgi w rodzaju skurczu, gdy Clay się zranił, albo świadomość, że był w pobliżu, mimo iż go nie słyszałam, nie czułam ani nie widziałam. Czułam się przez to nieswojo, więc nie rozwijałam tej umiejętności ani nawet się do niej nie przyznawałam.

Zdolności Jeremy'ego były inne. Potrafił kontaktować się z nami, gdy spaliśmy. To nie było jak głosy w głowie, nic równie ekscytującego. Zasypiałam i śniło mi się, że z nim rozmawiam, ale podświadomie czułam, że to coś więcej niż sen, mogłam więc słuchać i odpowiadać racjonalnie. To było w sumie całkiem fajne, choć nigdy nie powiedziałam tego Jeremy'emu.

Obudził mnie zapach naleśników. Tym razem wiedziałam doskonale, kto szykował śniadanie, i nie miałam nic przeciwko temu. Żarcie to żarcie. Jak dla mnie nie było nic lepszego niż gotowe

śniadanie. Nie znosiłam siedzieć rano przy garach. Zanim wstałam, byłam zbyt głodna, by użerać się z kuchenką i patelniami, niekiedy nawet toster zajmował zbyt wiele czasu. Lepsze niż to, że ktoś przyszykował dla mnie śniadanie, było wygramolenie się z łóżka i od razu zajęcie miejsca przy stole bez brania prysznic, ubierania się, czesania i mycia zębów, tych wszystkich rzeczy, które czyniły mnie odpowiednią towarzyszką do posiłku. Przy Clayu to nie miało znaczenia. Widywał gorsze rzeczy.

Zakopałam się pod kocem. Kiedy śniadanie będzie gotowe, Clay przyniesie mi kawę. Musiałam jedynie poczekać.

— To naprawdę cudowne. Rzadko jadamy naleśniki. Elena nie przepada za śniadaniem. Głównie owsianka na zimno i tost. Nie wiem nawet, czy zechce skosztować, ale ja zjem na pewno.

Usiadłam na łóżku. To nie był głos Claya.

— Jak na nie mówią na Południu? — ciągnął Philip.

— Na naleśniki znaczy się. Tam, skąd pochodzisz. To znaczy tam, gdzie się urodziłeś. Sądząc po akcencie, musisz być z Georgii albo z Tennessee.

Clay stęknął. Wskoczyłam z łóżka i podbiegłam do drzwi. Nagle zobaczyłam w lustrze błysk mojej nocnej koszuli. Podomka. Potrzebowałam podomki.

— Twój brat Jeremy nie ma akcentu — rzekł Philip.

— A w każdym razie nie zwróciłem na to uwagi, gdy rozmawiałem z nim przez telefon.

Cholera. Zaczęłam grzebać w szafie. Gdzie ta podomka? Czy jaw ogóle miałam podomkę?

— Mój przyrodni brat — rzekł Clay.

— Och? Aa, no tak. To całkiem zrozumiałe.

Narzuciłam coś na siebie i wypadłam z sypialni do kuchni. Zatrzymałam się gwałtownie pomiędzy Clayem a Philipem.

— Głodna? — zapytał Clay, wciąż stojąc przy kuchence.

Philip nachylił się, cmoknął mnie w policzek i próbował pogłodzić moje sterczące włosy.

— Pamiętaj, żeby zadzwonić dziś do mamy, kochanie. Nie chciałaby ustalać bez ciebie planów na wieczór panieński Becky. — Przeniósł wzrok na Claya. — Moja rodzina przepada za Eleną. Jeżeli wkrótce jej nie poślubię, adoptują ją.

Wciąż patrzył na Claya. Ten dorzucił trzy naleśniki na rosnącą stertę i przyniósł je do stołu z twarzą pozbawioną wyrazu. Na ustach Philipa pojawił się znużony grymas. Pewnie miał dość próby zagajenia rozmowy bez jakiegokolwiek odzewu.

— Masło jest w... — zaczął Philip, ale Clay już otworzył lodówkę. — A syrop jest w szafce nad...

Clay wyjął z lodówki szklaną butelkę syropu klonowego, jaki sprzedają w sklepach dla turystów po zawyżonych cenach.

— To coś nowego — powiedziałam, uśmiechając się do Philipa. — Kiedy kupiłeś?

— Ee... to nie ja...

Spojrzałam na Claya.

— Wczoraj — odparł.

— Nie wiedziałem, że Elena lubi... — Philip przerwał, wodząc wzrokiem ode mnie do Claya i z powrotem. - Cóż, to bardzo miło...

Zadzwonił telefon, uwalniając mnie od bezowocnych prób wykrztuszenia z siebie słowa.

— Odbiorę — rzekł Philip i zniknął w salonie.

— Dzięki — syknęłam do Claya. — Musiałeś to zrobić, prawda? Najpierw śniadanie, teraz syrop. Dajesz jasno do zrozumienia, że wiesz, co lubię, i wprawiasz go w zakłopotanie.

— Daję jasno do zrozumienia? Przecież nie powiedziałem ani słowa. To ty wspomniałaś o syropie. A ty byś nie wspomniał?

— Jasne, że nie. Niby po co? To nie zawody, Eleno. Kiedy robiłem wczoraj tosty, zauważyłem, że nie masz prawdziwego syropu. Wiem, jak się skarżysz na te substytuty, więc poszedłem i kupiłem butelkę prawdziwego.

— A śniadanie? Powiedz, że nie chciałeś nic dać do zrozumienia, przygotowując śniadanie.

— Jasne. Chciałem powiedzieć, że martwi mnie, że źle się odżywasz, i postanowiłem przyrządzić ci choć jeden porządny posiłek. Jestem pewien, że on sądzi, iż jako gość staram się być zwyczajnie pomocny. Zrobiłem dość i dla niego.

— Zrobiłeś dość dla całego blo... — przerwałam, rozglądając się, i stwierdziłam, że naleśników było akurat tyle, by mogły się najeść trzy osoby.

— Reszta jest w piekarniku — rzekł Clay. — Schowałem je, kiedy usłyszałem, że się obudził. Zapakuję ci trochę do pracy. Gdyby ktoś coś mówił, zawsze możesz powiedzieć, że nie jadłaś śniadania.

Chciałam coś powiedzieć, ale znów szczęśliwie uniknęłam tego, tym razem za sprawą Philipa, który właśnie wrócił do kuchni.

— Robota — rzekł, krzywiąc się. — Raz chcę przyjść trochę później i od razu do mnie dzwonią. Nie martw się, kochanie. Powiedziałem, że jem z tobą śniadanie, ale zaraz potem przyjadę. — Przystawił sobie krzesło, usiadł i odwrócił się do Claya. — I jak ci idzie szukanie pracy?

Zgodziłam się spotkać z Clayem na lunchu. Kupił kosz piknikowy w pobliskich delikatesach i poszliśmy na kampus, aby zjeść. To nie był mój pomysł. Nawet nie wiedziałam, dokąd idziemy, dopóki nie dotarliśmy na miejsce. Choć pracowałam tylko o kilka przecznic od Uniwersytetu Toronto, od miesiący, odkąd pracowałam w redakcji, nie byłam na kampusie. Nie bywałam tam również w ciągu ubiegłych dziesięciu lat, kiedy odwiedzałam Toronto. Poznałam Claya na uniwersytecie i tam się w nim zakochałam. Tam również zostałam oszukana, okłamana i ostatecznie zdradzona. Kiedy zrozumiałam, dokąd prowadził mnie Clay, spanikowałam. Mogłam wymyślić tuzin wymówek i tuzin innych miejsc, dokąd moglibyśmy pójść. Ale nie wypowiedziałam tego na głos. Pamiętając, co powiedział o Stonehaven, byłam zbyt zakłopotana, by przyznać, że nie chcę pójść na uczelnię. To było tylko miejsce, „sterta cegieł i zaprawy”. A może chodziło o coś więcej niż tylko zakłopotanie. Może nie chciałam przyznać, jak silną reakcję emocjonalną wzbudziła we mnie ta konkretna sterta cegieł i zaprawy. Może nie chciałam, żeby wiedział, ile pamiętałam i jak bardzo mi zależało. Dlatego nic nie powiedziałam.

Usiedliśmy na ławkach przy University College. Sesja egzaminacyjna dobiegała końca i na King's College Circle była tylko garstka studentów, hałas i gwar, jakie rozbrzmiewały tu w czasie semestru, były już tylko wspomnieniem. Grupa młodzieży grała w piłkę wewnątrz kręgu, ich wiatrówki i plecaki leżały rzucone na stertę obok bramki. Gdy jedliśmy, Clay opowiadał o swojej pracy na temat kultu jaguara w Ameryce Południowej, a ja powróciłam myślami do naszych dawnych rozmów pod tymi drzewami i wśród tych budynków. Mogłam wyobrazić sobie tamtego Claya z przeszłości siedzącego przy piknikowym stoliku w Queen's Park po drugiej stronie szosy, jedzącego lunch i mówiącego, tak bardzo skupionego na nas dwojgu, że tuż nad głową mogłyby mu latać frisbee, a on nawet by tego nie zauważył. Zawsze siedział w tej samej pozycji, z wyciągniętymi nogami, tak że dotykał pod stołem moich, a jego dłonie poruszały się bezustannie jak dla podkreślenia słów albo jakby jakaś część jego ciała stale musiała się poruszać. Jego głos brzmiał tak samo, taki znajomy, że mogłam odtwarzać go w myślach, przewidując każdą zmianę tonacji i akcentu.

Już wtedy chciał znać moje myśli i zdanie na każdy temat. Żadne moje przemyślenie nie było dla niego zbyt trywialne ani nudne. Z czasem opowiedziałam mu o swojej przeszłości, aspiracjach, obawach i nadziejach, o tym wszystkim, czym nie spodziewałam się nigdy z nikim

dzielić. Zawsze bałam się otworzyć przed kimkolwiek. Chciałam być silną niezależną kobietą nie jakąś nieszczęsną sierotą jakby żywcem wyjętą z powieści Dickensa. Ukrywałam moje pochodzenie, a gdyby nawet ktoś poznał mój sekret, mogłam udawać, że to bez różnicy, że to nie ma dla mnie znaczenia. Z Clayem to wszystko się zmieniło. Chciałam, by wiedział o mnie wszystko, abym miała pewność, że wiedział, kim jestem, i mimo to mnie pokochał. Wysłuchał mnie i został. Co więcej, odwzajemnił mi się tym samym. Opowiedział mi o swoim dzieciństwie, utracie rodziców w jakimś traumatycznym wydarzeniu, którego nie pamiętał, o adopcji, o tym, że nie umiał znaleźć się w szkole, że był wyśmiewany i unikany przez kolegów, często pakował się w kłopoty i był wyrzucany z kolejnych szkół tyle razy, że zmieniał je chyba równie często jak ja rodziny zastępcze. Opowiedział mi tyle, że byłam pewna, iż wiedziałam o nim wszystko. I wtedy okazało się, jak bardzo się myliłam. Czasami oszustwo boli bardziej niż ugryzienie.

## ZAWIROWANIA

Kiedy Philip wrócił z pracy, było już po północy. Clay i ja oglądaliśmy kino nocne. Wyciągnęłam się na kanapie. Clay na fotelu wcinał popcorn. Philip wszedł do pokoju, stanął za kanapą i przez chwilę wpatrywał się w ekran.

— Horror? — zapytał. — Nie oglądałem żadnego od czasu studiów. — Usiadł obok mnie. — Co to za film?

— *Martwe zło II* — odparłam, sięgając po pilota. — Na innym kanale na pewno jest coś ciekawszego.

— Nie, nie, zostaw. — Spojrzał na Claya. — Lubisz horrory?

Clay milczał przez chwilę, po czym burknął coś niezrozumiale.

— Clay nie przepada za horrorami — odparłam. — Za dużo przemocy. Jest bardzo wrażliwy. Gdy jakaś scena jest zbyt krwawa, muszę zmienić kanał.

Clay parsknął.

— To bardziej komedia niż horror — zwróciłam się do Philipa. — Bo to kontynuacja. Wszystkie kontynuacje horrorów są do bani.

*Krzyk 2* — rzekł Clay.

— To wyjątek, ale tylko dlatego, że scenarzyści wiedzieli, iż kontynuacje są do bani, i to podkreślili.

— A-a — odparł Clay. — Ten pomysł... — Przerwał, spojrzał na Philipa, który obserwował naszą rozmowę jak rozgrywkę ping-ponga, i włożył do ust garść popcornu.

— Podaj go.

— Ja go kupiłem.

— I przygotowałeś w mojej mikrofalówce. Podawaj.

— W kuchni są jeszcze dwie torebki.

— Chcę ten. Dawaj.

Postawił miskę na stoliku i stopą popchnął w moją stronę.

— Pusta! — powiedziałam.

Philip zaśmiał się.

— Od razu widać, że znacie się od dzieciństwa.

Cisza przedłużała się. Wreszcie Clay podniósł się z fotela.

— Idę pod prysznic — oznajmił.

Następnego dnia była sobota. Philip poszedł zagrać w golfa, wyszedł, zanim jeszcze się obudziłam. Golf należał do sportów, których unikałam. Wymagał ode mnie za mało fizycznie i za dużo pod względem zachowania. Ubiegłej jesieni zgodziłam się spróbować, więc Philip dał mi dwie listy zasad. Jedna zawierała podstawy gry w golfa. Druga wymieniała, jak należy być ubranym i jak się trzeba zachowywać podczas rozgrywki. Wiedziałam, że pewne sporty wymagały pewnego rodzaju ubioru dla ochrony, ale nie potrafiłam pojąć, czemu bluzka bez rękawów mogłaby zostać uznana za zagrożenie bezpieczeństwa. Wątpliwe, aby widok moich gołych ramion mógł sprawić, że golfiarze zaczną posyłać małe twarde piłki we wszystkie strony. Miałam w życiu dość kłopotów, aby przejmować się długością szortów i zastanawiać się, czy odpowiadały przyjętym standardom. Poza tym po paru rundkach z Philipem stwierdziłam, że golf to nie sport dla mnie. Walenie w piłkę jest świetnym sposobem na wyładowanie agresji, ale najwyraźniej nie o to chodzi w tej grze. Tak więc Philip grywał w golfa. Ja nie.

Po golfie cała nasza trójka poszła na lunch i chyba po raz pierwszy od dziesięciu lat posiłek nie był dla mnie przyjemnością. Przez dwadzieścia męczących minut Philip próbował wciągnąć Claya do rozmowy. Lepiej by mu poszło, gdyby spróbował pogadać ze swoją sałatką. Aby go uratować, rozpoczęłam monolog-rzekę, który uporczywie podtrzymywałam, dopóki nie przyniesiono nam rachunku trzydzieści osiem minut i dwadzieścia sekund później. W tym momencie Clay w cudowny sposób odzyskał głos i zaproponował, abyśmy wrócili do domu pieszo, choć doskonale pamiętał, że przyjechaliśmy tu autem Philipa, a co za tym idzie, Philip musiałby pojechać sam. Zanim zdążyłam zaproponować, Philip przypomniał sobie, że miał coś do załatwienia w biurze, więc jeśli nie mamy nic przeciwko spacerowi, od razu by tam pojechał. To ustaliwszy, obaj mężczyźni pognali w stronę wyjścia jak uciekający więźniowie, a ja zostałam, by wysupłać drobne na napiwek.

W sobotę rano, podczas gdy Philip grał w golfa, ja i Clay zajmowaliśmy się nudnymi zajęciami w rodzaju prania, sprzątanania i robienia zakupów. Kiedy wróciliśmy ze sklepu, na automatycznej sekretarce czekała na nas wiadomość od Philipa. Oddzwoniłam do niego.

— Jak tam rozgrywka? — zapytałam, kiedy odebrał.

— Nie za dobrze. Dzwoniłem w sprawie kolacji.

— Nie dasz rady?

— Właściwie chciałem wyciągnąć ciebie na kolację. W jakieś miłe miejsce. Tylko we dwoje.

— Świetnie.

— To nie będzie problemem?

— Bynajmniej. Clay umie o siebie zadbać. Nie cierpi wystawnych posiłków. Poza tym nie przywiózł żadnych eleganckich ciuchów.

— A co zakłada na rozmowę kwalifikacyjną?

Ups.

— To akademicy — odparłam. — Bardzo luźno traktują takie sprawy.

— Świetnie. — Kolejna pauza. — Pomyślałem, że po kolacji moglibyśmy skoczyć do kina albo gdzieś. Może udałoby się trafić bilety zniżkowe na coś fajnego.

— W świąteczny weekend to raczej wątpliwe, ale może się uda.

— Pomyślałem, że... — odchrząknął — moglibyśmy pójść sami. Tylko we dwoje.

— Tak myślałam. Chcesz, żebym zrobiła rezerwację? Załatwiła jakieś bilety?

— Nie, ja się tym zajmę. Powinienem wrócić około szóstej. Może powinnaś powiedzieć Claytonowi, że dziś wrócimy raczej późno. Kolacja, kino, a potem kawa albo coś mocniejszego.

— Brzmi wybornie.

Philip milczał przez chwilę, jakby oczekiwał, że powiem coś jeszcze. Gdy tego nie zrobiłam, pożegnał się i rozłączyliśmy się.

Kolacja była kolejnym koszmarem. Nie żeby coś poszło nie tak, właściwie nawet chciałam, aby tak się stało. Gdyby anulowano naszą rezerwację albo podano nam zimny posiłek, mielibyśmy przynajmniej o czym rozmawiać. Zamiast tego przez ponad godzinę siedzieliśmy, zachowując się jak dwoje ludzi na pierwszej randce, którzy właśnie sobie uświadomili, że drugiego spotkania nie będzie. Zupełnie jakbyśmy nie wiedzieli, co mamy sobie nawzajem powiedzieć. Och, rozmawialiśmy, a jakże. Philip opowiadał mi o kampanii osiedla willowego nad jeziorem, nad którą pracował. Ja opowiedziałam zabawną historię o gafie premiera podczas ostatniego wystąpienia. Rozmawialiśmy o projektach odnowienia nabrzeża w Toronto. Skarżyliśmy się na planowane podwyżki opłat za przejazdy komunikacją miejską. Rozważaliśmy szanse drużyny Blue Jays na zdobycie tytułu mistrzowskiego. Innymi słowy rozmawialiśmy o wszystkim, o czym mogło rozmawiać przy kolacji dwoje obcych sobie osób. Co gorsza rozprawialiśmy na te tematy z desperacją nieznajomych lękających się grobowej ciszy. Do deseru zabrakło nam tematów. Przy sąsiednim stoliku trzech pryszczatych młodzików upajało się sukcesami na giełdzie internetowej tak hałaśliwie, że nawet przechodnie na ulicy nie mogli mieć wątpliwości, że się im poszczęściło. Już miałam rzucić jakiś cięty komentarz na ich temat, ale pohamowałam się. Nie byłam pewna, jak zareagowałby Philip. Czy odebrałby go negatywnie? Jako przejaw cynizmu? Clayowi to by się spodobało. Ale Philipowi? Nie byłam pewna, więc nic nie powiedziałam.

Kiedy zjawiała się kelnerka, by dolać nam kawy, Philip odchrząknął.

— A więc — zaczął. — Jak sądzisz, ile jeszcze twój kuzyn pozostanie u nas?

— Sądzę, że kilka dni. To jakiś kłopot? Wiem, że bywa upier...

— Nie o to chodzi. — Uśmiechnął się słabo. — Przyznaję, jego towarzystwo nie jest zbyt miłe, ale jakoś przeżyję. Tyle tylko, że to trochę... dziwne.

— Dziwne?

Philip wzruszył ramionami.

— Pewnie dlatego, że znacie się od tak dawna. Wyczuwa się... Bo ja wiem. Mam wrażenie... — Pokręcił głową. — Mam wrażenie... czuję się odsunięty na bok. To tylko takie moje odczucie, kochanie. Zapewne nie jest to zbyt dojrzała reakcja. Sam nie wiem... — Postukał palcami o brzeg filiżanki i odnalazł moje spojrzenie. — Czy było coś...? — Nie dokończył.

— Co takiego?

— Nieważne. — Upił łyk kawy. — Udało mu się znaleźć pracę?

— Uruchomił swoje kontakty na uniwersytecie. Gdy ruszy z tym projektem, wyprowadzi się.

— A więc zostanie w Toronto?

— Przez pewien czas.

Philip otworzył usta, zawahał się i znów napił się kawy.

— No więc — powiedział. — Słyszałaś ostatnie wystąpienie burmistrza Mela?

Nie udało nam się zdobyć biletów na żadną ciekawą sztukę, więc ostatecznie poszliśmy do kina, a potem do knajpki jazzowej na drinka. Zanim wróciliśmy do domu, była już prawie druga. Claya nie było. Gdy Philip poszedł do sypialni po komórkę, żeby sprawdzić wiadomości, Clay pojawił się w drzwiach z rumieńcami na policzkach.

— Hej — rzekł, spoglądając nad moim ramieniem i rozglądając się za Philipem.

— Jest w sypialni — odparłam. — Poszedłeś biegać?

— Bez ciebie?

Clay wszedł do kuchni. W chwilę później wrócił z butelką wody, odkręcił ją wypił połowę i poczęstował mnie. Podziękowałam potrząśnięciem głowy.

— Powiedz, proszę, że ćwiczyłeś na siłowni na dole

— rzekłam.

Clay znów napił się wody.

— Niech cię cholera — wycodziłam, siadając na kanapie. — Obiecałeś, że dziś nie będziesz mnie śledził.

— Nie, to ty zabroniłaś mi, abym cię śledził. Ja nic nie powiedziałem. Moim zadaniem jest cię ochraniać. I to właśnie zamierzam robić, kochanie.

— Nie potrzebuję...

Z sypialni wyszedł Philip.

— Złe wieści. — Przeniósł wzrok z Claya na mnie.

— Och, czyżbym w czymś przeszkodził? Clay dopił wodę i ruszył w stronę kuchni.

— Jakie znowu złe wieści?

— Mamy jutro nadzwyczajne zebranie. — Westchnął. — Tak, wiem, jutro Dzień Królowej Wiktorii\*.

\* Dzień Królowej Wiktorii — święto narodowe Kanady przypadające w ostatni poniedziałek przed lub 24 maja dla uczczenia urodzin królowej Wiktorii. Jest to jednocześnie dzień oficjalnych urodzin każdego kolejnego monarchy oraz początek sezonu letniego (przyp. tłum.).

Wiem. Naprawdę mi przykro, kochanie. Zadzwoiłem za to do Blake'a i przesunąłem naszą grę w golfa na ósmą, tak że będę miał czas, żeby zagrać i zabrać cię na lunch przed zebraniem. Naprawdę liczyłem, że będziemy mogli spędzić w ten weekend więcej czasu razem.

Wzruszyłam ramionami.

— Nic się nie stało. Clay i ja znajdziemy sobie jakieś zajęcie.

Philip zawahał się, już miał coś powiedzieć, ale spojrzał w stronę kuchni i nie odezwał się ani słowem.

W poniedziałek w południe, gdy czekałam, aż Philip po mnie przyjedzie, zadzwonił, że na polu golfowym doszło do jakiejś pomyłki i jego rozgrywkę przesunięto o godzinę. Dopiero co skończyli. Tak więc nici ze wspólnego lunchu.

Po telefonie od Philipa Clay i ja postanowiliśmy wybrać się na lunch do Chinatown. Resztę dnia spędziliśmy, włączając się, odkrywając nieznane miejsca, krążąc po uliczkach willowych dzielnic, a potem biegając po plaży, zanim wróciliśmy do mieszkania z zakupami na kolację. Około siódmej ktoś zadzwonił do drzwi. Byłam w łazience, więc zawołałam do Claya, aby otworzył i sprawdził, kto to. Kiedy wyszłam, trzymał w dłoni drugi wazon z kwiatami, tym razem gliniany, z piękną mieszanką irysów.

— Przeprasza, że nie mógł zdążyć na lunch — rzekł Clay. — Mam je wstawić do sypialni obok tamtych?

Przez chwilę patrzyłam, jak stał z kwiatami w dłoni i czekał.

Powiedz to — rzekłam.

— Ale co?



Wyrwałam mu kwiaty z ręki.

— Wiem, co sobie myślisz. Gdyby naprawdę mu zależało, skróciłby tego cholernego golfa.

— Nie to chciałem powiedzieć.

— Ale tak pomyślałeś.

— Nie ja. Ty. Ty to powiedziałaś.

Ruszyłam w stronę sypialni.

— Woda! — zawołał w ślad za mną.

Z warknięciem poczłapałam do łazienki. Nalałam wody do wazonu, urywając z niego kilka zielonych szklanych kulek. Trzy wpadły do zlewu, parę spadło na podłogę. Wyjęłam te z umywalki, pobieżnie rozejrzałam się za innymi i postanowiłam, że poszukam ich przy najbliższym sprzątaniu.

— W przeciwieństwie do niektórych — powiedziałam, wracając do holu — Philip nie czuje potrzeby, żeby dwoje ludzi było nierozłącznych jak bliźnięta syjamskie. Mnie to pasuje. Przynajmniej przysyła kwiaty.

Z salonu odpowiedziała mi cisza. Postawiłam wazon na nocnym stoliku obok róż i podkrađłam się z tyłu do Claya. Znow siedział na kanapie, przeglądając notatki, które w piątek przyniosłam z pracy do domu.

— Powiedz to — rzekłam.

Uniósł wzrok znad notatek.

— Ale co?

— Cały tydzień czekałeś, by powiedzieć mi, co myślisz o Philipie. Wyrzuć to z siebie.

— Moja szczerą opinią na jego temat?

Zgrzytnęłam zębami.

— Tak.

— Jesteś pewna?

Zacisnęłam zęby.

— Tak.

— Myślę, że to przyzwoity facet.

Zęby zaczęły mnie boleć.

— Co to niby ma znaczyć?

— Dokładnie to, co powiedziałem, kochanie. Uważam, że to przyzwoity facet. Nie idealny, ale przecież nikt nie jest doskonały. Wyraźnie zależy mu na tobie. Stara się być ostrożny i taktowny. Jest bardzo cierpliwy. Gdybym był na jego miejscu, już dawno wykopałbym uciążliwego gościa za drzwi. A on jest wobec mnie uprzejmy. To miły gość.

— Ale...?

— Ale to się nie uda. — Uniósł dłoń, by powstrzymać mój protest. — Daj spokój, Eleno. Wiesz dobrze, dlaczego go wybrałaś, prawda? Nie dlatego, że pragnęłaś mieć dom, rodzinę i w ogóle. Myślisz, że nie wiem, czego pragniesz. Wiem doskonale. Powiem ci tylko, że masz to pod samym nosem, ale nie chcesz tego dostrzec. I nie słuchasz, co się do ciebie mówi. Pytanie brzmi, dlaczego wybrałaś właśnie tego faceta, aby zrealizować swoje fantazje? Wiesz czemu, prawda, kochanie?

— Bo to dobry człowiek. On...

— Dobry, cierpliwy i opiekuńczy. Nikogo ci nie przypomina?

— Na pewno nie siebie.

Clay zsunął się z kanapy, zanosząc się śmiechem.

Zdecydowanie nie mnie. — Odłożył papiery na stół i spojrzał na mnie. — Naprawdę tego nie rozumiesz, prawda, kochanie? Cóż, kiedy to pojmiesz, zrozumiesz, dlaczego to nie może się udać. Może ci na nim zależeć, ale to nigdy nie dorówna temu, co łączy nas dwoje.

ma szans. Choć to przyzwoity facet, wybrałaś go z niewłaściwych powodów.

— Mylisz się.

Wzruszył ramionami.

— Musi być kiedyś ten pierwszy raz. Co z tymi stekami? Grill powinien już być gotowy. Podaj mi je, a ty możesz się zająć gotowaniem warzyw.

Po kolacji wybraliśmy się na długi spacer. Kiedy wróciliśmy do mieszkania, okazało się, że Philip tam zajrzał i zostawił na stole wiadomość, że partnerzy zaprosili go na zebranie w Montrealu nazajutrz rano. Przyjechał tylko, aby spakować niezbędne rzeczy i jechał właśnie pociągiem do Quebecu.

— A więc nie będzie go całą noc? — zapytał Clay, zerkając nad moim ramieniem, aby przeczytać liścik.

— Na to wygląda.

— Wielka szkoda. Chyba będziemy musieli znaleźć sobie jakieś zajęcie. — Podeszedł do kalendarza. — Popatrzmy. Od twojej Przemiany minęło sześć dni. Od mojej osiem. Wiesz, co to oznacza.

Czas pobiegać.

## **FAJERWERKI**

Zastanawialiśmy się, czy pojechać, czy pójść do wozu pieszo. Choć to było daleko, żadne z nas nie miało nic przeciwko temu, żeby tam iść, to perspektywa marszu z powrotem po wyczerpującym biegu nas nie zachwycała. Już prawie zdecydowaliśmy się, by pojechać tam samochodem, gdy popełniłam błąd, mówiąc, że wóz należał do Philipa, a Clay stwierdził, że w taką mu w grę wchodzi jedynie spacer. Korzystanie z auta Philipa często przysparzało więcej kłopotów niż pożył ku Znalezienie miejsca parkingowego w pobliżu wąwozu nie było łatwe i zawsze martwiłam się, że zarobię mandat albo wóz zostanie odholowany i będę musiała tłumaczyć się Philipowi, co robiłam w tej części miasta w środku nocy.

Była północ, kiedy dotarliśmy do wąwozu. Rozdzieliliśmy się. Znalazłam gęstwinę krzewów i rozebrałam się. Gdy przykucnęłam, by rozpocząć Przemianę, zdumiało mnie coś, czego nigdy wcześniej nie poczułam a w każdym razie nie w Toronto. Byłam mentalnie gotowa do Przemiany, jakby nie było to trudniejsze od co dziennego mycia zębów. Podczas gdy mój umysł zaprzętały inne sprawy, ciało przyjęło pozycję, jakbym robiła najbardziej naturalną rzecz na świecie. Po dziesięciu latach rutynowa czynność powinna stać się dla mnie czymś, co wykonuje się automatycznie i faktycznie tak było... gdy przebywałam z Watahą albo w Stonehaven. Nie żeby ból był przez to mniejszy, ale mentalnie przeistoczenie szło gładko. W jednej chwili byłam człowiekiem, a minutę później wilkiem. Nic wielkiego, jestem przecież wilkołakiem, prawda? Jednak Przemiana w Toronto to coś innego. Przez dziewięćdziesiąt pięć procent czasu wiodłam tam żywot zwykłej śmiertelniczki. Budziłam się, szłam do pracy, wracałam metrem do domu,

spędzałam wieczory z chłopakiem i szłam do łóżka. Doskonała rutyna przerywana od czasu do czasu pragnieniem, by zmienić się w wilka, biegać po lesie, zapolować na królika i powycć do księżycy. Kontrast był tak silny, że często gdy docierałam do wąwozu, tylko rozbierałam się i stałam nago, zastanawiając się, co mam robić dalej. Po części liczyłam na to, że opadnę na czworaki, skupię się na Przemianie i... nic się nie wydarzy... no, najwyżej obudzę się w kaftanie bezpieczeństwa, a jakiś miły lekarz po raz nie wiadomo który będzie zapewniał mnie, że ludzie nie zmieniają się w wilki.

Kiedy tej nocy przyjąłam pozycję, stwierdziłam, że przyszło mi to całkiem naturalnie. Przypuszczalnie wpłynęła na to obecność Claya. Był niczym pomost między światami. Żadna niespodzianka. Największym wstrząsem była dla mnie świadomość, że nie miałam nic przeciwko temu, wręcz tego chciałam. Tak długo próbowałam tłumić tę stronę mojej natury, przekonana, że muszę być kimś innym, by przystosować się do życia w świecie ludzi. Teraz zaczęłam dostrzegać inną możliwość. Może Clay miał rację. Może za bardzo się starałam, utrudniając sobie wszystko bardziej, niż to było konieczne. Mając obok siebie Claya, było prawie niemożliwe utrzymać przez dłuższy czas „ludzką” osobowość Eleny. Byłam po prostu sobą — zbuntowaną niepokorną kłótniwą. A świat jakoś się nie zawalił. Może nie musiałam być „dobrą” Eleną miłą pokorną i cichą. Nie żebym miała się wściekać, gdy Philip nie opuści deski sedesowej albo rzucić się z piętami na nieznanomych w metrze, którzy nadepną mi na nogę, ale nie musiałam wycofywać się za każdym razem, gdy groziła mi konfrontacja. Gdybym pozwoliła, aby więcej aspektów mojej prawdziwej osobowości przeniknęło do mojej „ludzkiej” osoby, życie w świecie ludzi mogłoby się okazać łatwiejsze, może nawet poczułabym się swobodniej. Może na tym to wszystko polegało.

Zarośla zaszeleściły, przywracając mnie do rzeczywistości. Dostrzegłam błysk sierści Claya przemykającego wśród krzewów. Zawarczał ze zniecierpliwieniem. Zaśmiałam się i znów przyjąłam pozycję, by zapoczątkować Przemianę, myśląc, jakie to dziwne, że ktoś, kto tak nienawidził świata ludzi bardziej niż ktokolwiek inny, potrafił mi pomóc w nim żyć.

Clay znów zawarczał i wyjrzał na polanę.

— Zaczekaj — powiedziałam.

Potrząsnęłam głową by oczyścić umysł, i przygotowałam się do Przemiany.

Po biegu odbyliśmy ponowną Przemianę i leżeliśmy na trawiastej równinie, odpoczywając i rozmawiając. To była najciemniejsza i najcichsza część nocy, długo po zapadnięciu zmierzchu i nadal na długo przed świtem.

Pomimo chłodu żadne z nas nie było ubrane. Bieg tak rozpałił krew w naszych żyłach, że zapewne mogliśmy leżeć do rana w śnieżnej zaspie i nawet nie zwrócilibyśmy na to uwagi. Leżałam na wznak, rozkoszując się chłodnym wiatrem omiatającym moją skórę. Drzewa nad nami przesłaniały gwiazdy i księżyc. Pomiedzy konarami przesączała się zaledwie odrobina światła, które sprawiało, że ciemność nie była absolutna.

— Mam coś dla ciebie — rzekł Clay, kiedy trochę odpoczęliśmy. Sięgnął za siebie w mrok, wyjął z kieszeni kurtki dwa długie druty i uniośł je nad głową.

Usiadłam.

— Przyniosłeś sztuczne ognie?

— To weekend fajerwerków, zgadza się? Myślałaś, że o tym zapomnę?

Uwielbiałam sztuczne ognie. No dobrze, byłam zapewne jedyną trzydziestolatką na świecie, która uwielbiała pokryte siarką druty, ale co mi tam. W każdym razie przy Clayu było mi to obojętne. Nie wiedział, że dorośli nie bawili się zazwyczaj zimnymi ogniami i nie zamierzałam go oświecić. Jedno ze wspomnień o rodzicach łączyło się z przyjęciem z okazji Dnia Kanady\*. 1 Dzień Kanady — święto narodowe Kanady przypadające 1 lipca, w rocznicę zawarcia Konfederacji Kanady w 1867 roku (przyp. tłum).

Wiedziałam, że był to Dzień Kanady, bo pamiętam, że tort miał kształt flagi. Widziałam też fajerwerki, mnóstwo fajerwerków. Słyszałam muzykę i śmiech. Czułam woń siarki i starych koców. Pamiętałam, jak ojciec dał mi pierwszy raz w życiu potrzymać sztuczne ognie. Pamiętałam, jak mama i ja tańczyłyśmy boso na wilgotnej trawie, wymachując sztucznymi ogniami jak czarodziejskimi różdżkami, chichocząc i kręcąc się w koło, obserwując pozostawiony w powietrzu ognisty ślad.

Clay wyjął z kieszeni kurtki paczkę zapalek i zapalił pierwszy sztuczny ogień. Podniosłam się z ziemi i wzięłam go do ręki. Buchnęła fontanna pomarańczowych iskier, rozpryskując się wokoło przy wtórze głośniego skwierczenia. Unosząc go, na próbę zatoczyłam krąg w powietrzu. Za wolno. Zrobiłam to szybciej i obraz pozostał w powietrzu przez kilka sekund, smugi ognia w ciemnościach. Zatoczyłam krąg, patrząc, jak iskry migają i ulatują w mrok. Napisałam w powietrzu moje imię. E znikło, zanim skończyłam A. Spróbowałam raz jeszcze, nieco szybciej. Tym razem moje imię trwało w powietrzu przez mgnienie oka.

— Już prawie zgasło — zawołał do mnie Clay. — Wyrzuć go i pomyśl życzenie.

— Tak się robi ze świeczkami urodzinowymi — odparłam. — Ale się je zdmuchuje, a nie wyrzuca.

— Raz je wyrzuciłaś. Razem z tortem i całą resztą.

— Rzuciłam nim w ciebie. A jedyne go życzenia, jakie wtedy pomyślałam, nie mogę powtórzyć.

Clay zaśmiał się.

— Skoro jednak zawsze wyrzucasz sztuczne ognie, możesz pomyśleć życzenie. To taki nowy przesąd wilkołaków.

— Kiedy się zamachnęłam, fajerwerk zgasł. Clay zapalił drugi i podał mi. Uniosłam go nad głowę i zatoczyłam w powietrzu ósemkę, a potem opuściłam rękę i obróciłam się wokół osi tak szybko, że prawie potknęłam się o Claya. Zaśmiał się i przytrzymał mnie, podpierając mnie za łydkę. Kiedy odzyskałam równowagę, nie cofnął dłoni. Spojrzałam na niego, leżącego na wznak pode mną. Kocham cię — powiedział.

Zamrugalam i znieruchomiałam.

— Nie w porę? — zapytał z lekkim uśmieszkiem. Zdjął rękę z mojej nogi. — Lepiej?

— Ja... — zaczęłam i zaraz zamilkłam. Nie wiedziałam, co mogłabym powiedzieć... ani co chciałabym rzec.

— Nie próbuję cię uwieść, Eleno. Bieg, sztuczne ognie, to wszystko nie ma do niczego prowadzić. Przez ostatnich parę dni starałem się zachowywać wobec ciebie z dystansem. Żadnych sztuczek. Żadnych nacisków. Chcę, żebyś sama przejrzała na oczy. A wtedy świadomie sama dokonasz wyboru. Właściwego wyboru.

— I wybiorę ciebie.

Machnął ręką w stronę sztucznego ognia.

— Lepiej się pospiesz. Już prawie zgasł. To ostatni do następnego dnia fajerwerków.

Spuściłam wzrok, by stwierdzić, że sztuczny ogień już ledwie się żarzył. Spojrzałam w górę na konary drzew, zamachnęłam się i cisnęłam dogasający fajerwerk wysoko. Żarzyący się pomarańczowy drucik wystrzelił w niebo i zatoczywszy łuk, zanurkował, wirując niczym tańcząca spadająca gwiazda. Spojrzałam na Claya. Patrzył na fajerwerk, uśmiechając się jak dziecko, z taką samą radością jak ja, gdy tańczyłam w zagajniku ze skwiercząca czarodziejską różdżką w dłoni. Przeniosłam wzrok na spadający sztuczny ogień, zamknęłam oczy i pomyślałam życzenie.

Życzyłam sobie, abym wiedziała na pewno, czego chcę.

# MOŻLIWOŚCI

Spaliśmy w lesie do świtu, po czym ubraliśmy się i ruszyliśmy, zanim poranni spacerowicze i miłośnicy joggingu nawiedzili naszą domenę. Znaleźliśmy małe bistro w pobliżu Yonge i zjedliśmy śniadanie na patio. Klientów było sporo, ale wszyscy zamawiali na wynos albo wpadali tylko na podwójne espresso i biscotti w drodze do biura. Nikt nie miał czasu, żeby na chwilę usiąść. Mieliliśmy dla siebie całe patio, a personel zostawił nas w spokoju, mimo że siedzieliśmy tam przeszło godzinę. Rozsiadłam się wygodnie na krzeselku, zamknęłam oczy, ujęłam w dłonie ciepłą filiżankę, słuchając, jak Clay mówi bez przerwy na temat porannego ruchu ulicznego i mijających nas ludzi.

— Wyglądasz na szczęśliwą— rzekł nagle.

— Bo jestem — odparłam, nie otwierając oczu. Odchyliłam głowę do tyłu i poczułam na twarzy promienie słońca. — Wiesz, nie wyobrażam sobie życia gdzieś, gdzie nie odczuwa się zmian pór roku.

— Tak?

— Naprawdę. Brakowałoby mi zmian, różnorodności. Zwłaszcza wiosny. Nie mogłabym żyć bez wiosny.

Dni takie jak dzisiejszy są warte każdej śnieżycy i pluchy. Do marca wydaje się, że zima nigdy się nie skończy. Cały ten śnieg i lód, które w grudniu wydają się takie piękne, przyprawiają cię o obłąd. Ale ty wiesz, że wiosna nadchodzi. Co roku czekasz na pierwszy ciepły dzień, a potem następny i jeszcze jeden, a każdy z nich jest lepszy od poprzedniego. Mimowolnie jesteś szczęśliwy. Zapominasz o zimie i wykorzystujesz szansę, by zacząć wszystko od nowa. Nowe możliwości.

— Nowy początek.

— Dokładnie.

Clay zawahał się, pochylił do przodu, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmitygował się i cofnął bez słowa.

Wróciliśmy do mieszkania po dziewiątej. Byłam spóźniona do pracy, ale miałam zbyt dobry humor, by się tym przejąć. Zawsze mogłam popracować w porze lunchu albo zostać dłużej. Nie ma sprawy.

Gdy jechaliśmy windą, Clay opowiedział mi, jak paru gnojzków próbowało ukraść mu samochód w drodze do Nowego Jorku ubiegłej zimy. Zanim dotarłam do mieszkania, niemal pękałam ze śmiechu.

— Naprawdę? — spytałam, zamykając drzwi.

Clay nie odpowiedział. Kiedy na niego spojrzałam, nie śmiał się. Nawet na mnie nie patrzył. Spoglądał na coś ponad moim ramieniem. Odwróciłam się, by ujrzeć Philipa siedzącego na fotelu ze skrzyżowanymi ramionami, jak rodzic czekający całą noc na nieposłuszne dziecko. Otworzyłam usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Mój

umysł zaczął pracować jak szalony. Zastanawiałam się, od jak dawna był w domu, jaka wymówka byłaby adekwatna. Czy wrócił dziś rano? Jeśli tak, mogłabym powiedzieć, że poszliśmy na śniadanie. Gdy podeszliśmy bliżej, Philip wstał.

— Chciałbym pomówić z Eleną — powiedział.

Clay pomaszerował do łazienki. Philip zastąpił mu drogę. Clay zatrzymał się, napinając ramiona. Już miał skierować wzrok na Philipa, ale w końcu spojrzał gdzieś poza niego. Próbował go obejść, jakby nie widział nikogo przed sobą.

— Powiedziałem, że chcę pomówić z Eleną — rzeki Philip. — Chciałbym, żebyś wyszedł.

Clay odwrócił się i ruszył w stronę kanapy. Philip znów zastąpił mu drogę, a Clay ponownie cały się sprężył. Jego dłonie zacisnęły się w pięści i rozluźniły. Philip rzucał mu wyzwanie i zignorowanie go kosztowało Claya niewyobrażalnie dużo. Z trudem się powstrzymywał. Już miałam interweniować, gdy Clay odwrócił się i spojrzał na mnie.

— Proszę — powiedziałam.

Skinął głową i poczłapał ku drzwiom, mamrocząc: — Będę na dole — kiedy mnie mijają. Gdy drzwi się zamknęły, odwróciłam się do Philipa.

— Kiedy wróciłeś? — spytałam.

— Nigdzie nie wyjeżdżałem.

— A więc...

— Byłem tu całą noc.

Zatkało mnie, rozpaczliwie szukałam jakiejś wymówki.

— Spotkanie zostało odwołane?

— Nie było żadnego spotkania.

Uniosłam wzrok.

— Tak, Eleno, skłamałem — odparł. — Musiałem udowodnić samemu sobie, że moje podejrzenia są mylne.

Sądzisz, że Clay i ja...

— Nie. Myślałem o tym, ale nie musiałabyś po to opuszczać mieszkania. Coś jest na rzeczy, ale to nic oczywistego. — Philip przerwał. — Wiesz, że on jest w tobie zakochany, prawda?

Kiedy otworzyłam usta, uniosł prawą dłoń.

— Nic nie mów — ciągnął. — To nieważne, czy

— tym wiesz ani czy się z tym zgadzasz. Taka jest prawda. Każdy by to zauważył po tym, jak się do ciebie zwraca, jak na ciebie patrzy. Nie wiem, co do niego czujesz. Nie potrafię tego stwierdzić. Za każdym razem, kiedy wchodzę do pokoju, kłócicie się, śmiejecie albo jedno i drugie. Nie rozumiem tego. Nie rozumiem wielu rzeczy, odkąd wróciłaś.

— On niedługo wyjedzie.

— Nie niedługo. Już. Jeszcze dziś.

Odwrócił się i poszedł do sypialni. Kiedy zastanawiałam się, czy iść za nim, wrócił z plikiem papierów. Podał mi je. Spojrzałam na pierwszą kartkę. To był informator o domu dostępnym na sprzedaż w Mississauga. Przejrzałam papiery i znalazłam jeszcze trzy informatory o domach na przedmieściach.

— W niedzielę nie pojechałem na golfa — powiedział. — Oglądałem domy. Dla nas.

— Chcesz wprowadzić się do nowego domu?

— Nie... tak. Chcę wprowadzić się do domu, ale... — Przerwał, rozluźniając i na powrót krzyżując ręce. — Chodzi mi o to, że chcę cię poślubić. To właśnie oznacza dla mnie dom. Związek, małżeństwo, kiedyś także dzieci. To wszystko razem. Tego właśnie chcę.

Spojrzałam na niego. Postąpił krok w moją stronę i zatrzymał się, ponownie rozluźniając i krzyżując ręce, jakby nie wiedział, co ma z nimi zrobić.

— Tak cię to dziwi? — zapytał półgłosem.

Pokręciłam głową.

— To się stało... tak nagle. Clay i ja popiliśmy wczorajszej nocy i wciąż jestem trochę... nie jestem pewna, czy...

— Wobec tego nie odpowiadaj. Daj mi czas, abym kupił pierścionek i zrobił wszystko jak należy.

Włożył ręce do kieszeni i stał w bezruchu. Wbrew temu co powiedział, wyglądał, jakby jednak czekał na odpowiedź. Milczałam.

— Idź do pracy — powiedział. — Przemyśl to.

Staliśmy tak jeszcze przez długą niezręczną chwilę, aż w końcu przerwałam to. Ruszyłam w stronę drzwi, zawahałam się, zawróciłam i uściskałam Philipa. On też mnie objął i przytrzymał przez parę sekund, zanim mnie puścił. Pocałowałam go, wymamrotałam, że będę koło siódmej, i dałam nogę.

Pojechałam do pracy w stanie takiego oszołomienia, że aż trudno uwierzyć, że wysiadłam na właściwej stacji. Usiadłam przy biurku, kiedy przypominałam sobie o Clayu. Nie było go przed domem, kiedy wyszłam, i nie próbowałam go szukać. Na pewno domyśli się, że pojechałam do pracy, i dotrze tu za mną. Co bym zrobiła, gdyby się tu zjawił? Co bym powiedziała? Odeгнаłam od siebie te pytania. Nie chciałam teraz myśleć o Clayu.

Philip mi się oświadczył.

Małżeństwo.

Ta myśl ożywiła nadzieje i marzenia, które, jak sądziłam, umarły we mnie dziesięć lat temu. Wiedziałam, że nie mogę wyjść za mąż, ale od tak dawna nie brałam tego pod uwagę, że zapomniałam, jak bardzo tego pragnęłam. Czy wciąż tego chciałam? Ból w piersi był jasną odpowiedzią na to pytanie. Powiedziałam sobie, że jestem głupia i staroświecka. Małżeństwo było dla kobiet, które pragnęły mieć kogoś, kto by się nimi opiekował. Ja tego nie potrzebowałam. Nie chciałam. Były jednak rzeczy, na których mi zależało. Stabilizacja. Normalność. Rodzina. Stałe miejsce w świecie ludzi. Małżeństwo mogło mi to dać. Philip mógł mi to dać. Ale przecież nie mogłam wyjść za mąż. Chociaż czy aby na pewno? Tak długo już mieszkałam z Philipem. Czy to mogło trwać wiecznie? Głos w mojej głowie pytał, czy chciałam być z Philipem na zawsze, ale uciszyłam go. Kochałam Philipa. Pytanie nie brzmiało, czy chciałam go poślubić, tylko czy to było możliwe.

Czy to możliwe?

Może.

Gdybyśmy mieli dom, mogłabym lepiej się przystosować. Mogłabym dopilnować, abyśmy kupili domek w pobliżu lasu albo chatę na wsi ze sporą ilością gruntów. Mogłabym pracować w domu i dokonywać Przemiany za dnia, żebym nie musiała znikać z naszego łóżka w środku nocy. Głos znów się pojawił, tym razem pytając, czy wyobrażam sobie Przemiany za dnia już do końca życia, pospieszne i ukradkowe, bez możliwości biegania, polowania czy czegokolwiek, co mogłoby być dla mnie niebezpieczne. Znów uciszyłam ten głos. Rozważałam tylko możliwości, nie podejmowałam jeszcze decyzji.

Może byłam w stanie w dalszym ciągu ukrywać swój sekret przed Philipem, tylko czy tego chciałam? Choć nigdy wcześniej nie czułam potrzeby wyjawienia mu prawdy, może któregoś dnia ten brak szczerości okaże się dla mnie brzemieniem nie do udźwignięcia i zechcę się go pozbyć. Przypominałam sobie Claya. Kiedy się spotykaliśmy, jak drobniaczko przekłamywał swoją historię i jak musiało mu być wtedy z tym ciężko. Jak bym zareagowała, gdyby Clay wyznał mi prawdę? Przyjęłabym ją. Kochałam go na tyle, że nie dbałabym o to. Philip powiedział, że mnie kocha, ale czy kochał mnie dostatecznie mocno? Nawet gdyby zaakceptował, kim byłam, czy to pozwoliłoby nam pozbyć się wszelkich kłamstw, które nas

dzieliły? Na swoją obronę mogłam powiedzieć, że nie było innego sposobu. Choć bardzo mi zależało na Philipie, nie mogłam powiedzieć mu prawdy. Czemu więc do dziś obwiniałam Claya za jego kłamstwa? Odegnąłem od siebie to pytanie. Chodziło o Philipa, nie o Claya. To nie to samo. Ja nigdy nie ugryzłabym Philipa. Ta myśl była dla mnie niewyobrażalna. A gdyby tego chciał, gdyby zapragnął do mnie dołączyć? Przeszedł mnie lodowaty dreszcz. Nie. Nigdy. Nawet gdyby tego chciał. W tę część swojego życia nie mogłam go wciągnąć.

Zadzwonił telefon na moim biurku. Nim podniosłam słuchawkę, wiedziałam, kto jest na drugim końcu łącza. Wiedziałam, ale i tak odebrałam.

— Gdzie jesteś? — spytał na powitanie Clay.

— W pracy.

Pauza.

— Głupie pytanie, prawda? Skoro dzwonię do ciebie do pracy, a ty odbierasz, to wiadomo, gdzie jesteś. Dziwię się, że obydwoje się bez docinków.

Milczałam.

— Co się stało? — zapytał.

— Nic.

— Kochanie, za każdym razem, gdy odpuszczasz sobie okazję, aby mi dopiec, wiem, że stało się coś złego.

— Nie, nic.

Kolejna pauza.

— To te papiery. Informatory z biur nieruchomości. Widziałem je na stole, kiedy poszedłem cię szukać. Miałem nadzieję... To koniec, prawda?

Nie odpowiedziałam. Clay odsunął słuchawkę od ust i zaklął. Na linii rozległy się trzaski, jakby ktoś szarpnął za słuchawkę. Potem cisza. Już miałam się rozłączyć, gdy znów usłyszałam zrazu stłumiony, ale potem wyraźny głos Claya.

— Dobra — powiedział. — Dobra. — Wziął głęboki oddech, echo tego dźwięku rozbrzmiało w słuchawce. — Musimy pogadać. Zaraz do ciebie przyjdę i porozmawiamy.

Wciąż nie odpowiadałam.

— Musimy pogadać — powtórzył. — Żadnych sztuczek. Obiecałem i dotrzymam słowa, Eleno. Żadnych sztuczek. Nie chcę już wygrywać w ten sposób. Udamy się w jakieś publiczne miejsce, gdzie poczujesz się swobodnie i porozmawiamy. Wysłuchasz mnie, a potem będziesz mogła odejść, kiedy tylko zechcesz.

— Dobrze.

— Mówię serio. Wiem... — Przerwał. — Dobra?

— Przecież powiedziałam, że tak.

Po chwili wahania dodał:

— Daj mi dziesięć, góra piętnaście minut. Pojadę metrem i spotkamy się przed wejściem do tego twojego biurowca.

Odwiesił słuchawkę, nie czekając na moją odpowiedź.

Kiedy tylko się rozłączył, zbiegłam na dół. Zastanawiałam się, co robię. Dlaczego zgodziłam się na spotkanie z Clayem? Czy liczyłam, że powie: „Philip poprosił cię o rękę, to cudowne, kochanie. Tak się cieszę!”? Mimo to nie zwróciłam do budynku. To nic by nie dało. Nie mogłam się ukryć. Nie chciałam. Nie powinnam.

Żołądek zaczął mi się wywracać. Strach. Zamknęłam oczy, próbowałam się rozluźnić, ale mdłości tylko przybrały na sile. Ziemia pod mną stała się grząska, niestabilna. Przechyliłam się w bok, ale zaraz odzyskałam pion, rozglądając się dokoła, by upewnić się, że nikt nie zwrócił uwagi. Moje ciało drgnęło konwulsyjnie, spięte, zaniepokojone. Rozejrzałam się raz jeszcze, ale



nie zauważyłam niczego niepokojącego. Gdy obejrzałam się za siebie, zakreśliło mi się w głowie. Wszystko pociemniało.

Jakiś mężczyzna w średnim wieku chwycił mnie, gdy upadłam. Tak mi się w każdym razie wydawało. W jednej chwili stałam na chodniku, czując zawroty głowy, w następnej leżałam na wznak, wpatrując się w oblicze nieznanego. Mój wybawca i jego żona podprowadzili mnie do ławeczki i posadzili. Wymamrotałam coś, że nie zjadłam śniadania. Upewnili się, że nic mi nie będzie, wymogli na mnie zapewnienie, że coś zjem, a potem z ociąganiem oddalili się. Wróciłam do budynku, stanęłam w drzwiach i spojrzałam na zegarek. Od telefonu Claya minęło piętnaście minut. Powinien tu być lada chwila. Wciąż czułam harce mego żołądka. To bez wątplenia strach, ale nie potrafiłam go wytłumaczyć. To jasne, że po oświadczeniach Philipa czułam się zdezorientowana i nie chciałam rozmawiać z Clayem, ale z jakiegoś powodu mój niepokój nie wiązał się z żadną z tych dwóch rzeczy. Unosił się we mnie, dziwnie odległy i oderwany.

Znów skupiłam się na Clayu. Obiecał mnie nie oszukiwać. Ta obietnica byłaby ważna co najwyżej, dopóki nie dostałby tego, czego chce. Gdybym poślubiła Philipa czy w ogóle z nim została, Clay dostałby szalę, zapomniał o wszelkich obietnicach i zachowywaniu się zgodnie z regułami. Po tylu latach znałam jego sztuczki na tyle, że nie były dla mnie zaskakujące. Potrafiłam przewidywać jego posunięcia. Umiałam się na nie przygotować. Zeszłej nocy powiedział, że muszę dokonać wyboru. Miał rację. Musiałam wybrać. Nie dopuszczę, aby zrobił to za mnie.

Zegar gdzieś niedaleko wybił jedenastą. Spojrzałam na zegarek. Tak, już jedenasta. Clay dzwonił o dziesiątej trzydzieści pięć. Strach znów zaczął przybierać na sile. Nie bądź głupia, powiedziała sobie. Dwadzieścia pięć minut to nie powód do paniki. Może jednak nie potrafił zmusić się, by zejść do metra, i poszedł piechotą. Coś jest nie tak, wyszeptał we mnie ten sam głos co wcześniej. Nie, powiedziała mu. Nie stało się nic złego.

Zaczekałam jeszcze dziesięć minut. Strach pogłębiał się, w moim brzuchu szalał dziki wir. Musiałam iść. Musiałam wrócić do mieszkania. **ODKRYCIE**

Gdy szarpnięciem otworzyłam drzwi do mieszkania, uderzyły o coś i odbiły się z powrotem do mnie. Pchnęłam je ponownie. Uchyliły się na kilka centymetrów i zatrzymały. Pchnęłam mocniej. Cokolwiek je blokowało, było ciężkie, ale przesunęło się z szelestem po dywanie. Spoglądając w dół, zobaczyłam leżącą na podłodze nogę. Precisnęłam się przez wąskie przejście, nieomal potykając się o nogę, tak się spieszyłam, by dostać się do środka. To był Philip. Leżał jak długi na podłodze. Kiedy na niego spojrzałam, mój mózg odmówił przyjęcia tego, co widziałam. Stałam tam, patrząc w dół i z uporem nie myśląc: „O Boże”, ale: „Jak on się tu dostał?”. Nawet gdy zobaczyłam krew rozlewającą się w kałużę przy jego boku, sączącą się z jego ust i tworzącą rozmazany ślad na dywanie, mój mózg był w stanie przyjąć jedynie proste i absurdalne wyjaśnienia. Czy zasłabł? Stracił przytomność? Miał atak serca? Udar? Wciąż otepiała przykucnęłam obok niego i zaczęłam wykonywać kolejne czynności

zgodnie z zasadami pierwszej pomocy. Jest przytomny? Nie. Oddycha? Tak. Czy puls jest wyczuwalny? Tak, ani silny, ani słaby. Uniosłam jego powieki, ale nie wiedziałam, na co mam zwracać uwagę. Podniosłam mu koszulę, a moje palce przesunęły się po jego boku i zagłębiły w zieżącej ranie. Cofnęłam dłoń i spojrzałam na swoje okrwawione palce.

Clay.

Zakrztusiłam się, odsunęłam od Philipa, jakbym bała się, że mogę go zbrukać, i zwymiotowałam cienką strużką żółci na dywan. Szok minął w jednej chwili i zaczęłam dygotać, balansując na przemian pomiędzy strachem a wściekłością. Clay to zrobił. Nie. Nie mógłby. To znaczy mógłby, ale nie zrobiłby tego. Prawda? Bo niby po co? A w sumie czemu nie? Co mogłoby go powstrzymać? Nie było mnie tam, abym go powstrzymała. Ale nie, nie zrobiłby czegoś takiego. Dlaczego nie? Bo przez kilka dni zachowywał się słodko i uprzejmie? Czy zapomniałam, do czego był zdolny? Nie do tego. Nigdy do tego. Clay nie atakował ludzi. Chyba że stanowili zagrożenie. Ale Philip nie wiedział, czym byliśmy, więc nie stanowił zagrożenia, nie zagrażał Watasze ani naszemu stylowi życia. Może nie stylowi życia Watahy, ale... Claya? Philip poruszył się. Poderwałam się na nogi, przypominając sobie nagle o podstawowym sposobie udzielenia pierwszej pomocy. Pobiegłam do telefonu i wybrałam numer ratunkowy. Dopiero po kilku sekundach uświadomiłam sobie, że nie ma sygnału. Kilka razy nacisnęłam na widełki i spróbowałam ponownie. Wciąż nic. Spuściłam wzrok. Kabel telefoniczny był owinięty wokół nogi od stołu. Końcówka leżała pół metra dalej, kolorowe przewody wystawały na zewnątrz. Przecięty. Ktoś celowo przeciął kabel od telefonu. Wiedziałam już, że to nie Clay tak urządził Philipa. On nie pozostawiłby go przy życiu, wykrwawiającego się na śmierć, i nie przeciąłby kabla od telefonu. O Clayu można było powiedzieć wiele, ale nie że jest sadystą.

Podbiegłam do szafy w holu i otworzyłam ją. Aktówka Philipa wisiała na haczyku, a w kieszonce była jego komórka. Wybrałam numer ratunkowy i powiedziałam operatorce, że mój chłopak jest ranny i nieprzytomny, że właśnie wróciłam do domu i tak go zastałam, że nie mam pojęcia, czy jest ciężko ranny ani jak to się stało. Nie wiem, czy mi uwierzyła, ale było mi to obojętne. Przyjęła zgłoszenie, zapisała adres i obiecała, że przyśle karetkę. To mi wystarczyło. Kiedy się rozłączyłam, podbiegłam do szafy, wyjęłam prześcieradło i porwałam je na pasy. Kiedy bandażowałam bok Philipa, nachyliłam się na tyle blisko, by poczuć, kto go zranił, kto mu to zrobił. Zapach na jego ubraniu nie należał do Claya, lecz do kogoś, kogo znałam i czyj zapach zidentyfikowałam bez odrobiny zaskoczenia. Thomas LeBlanc. Zastanawiałam się w duchu, jak mnie znalazł, gdzie był teraz i kiedy wróci, ale nie marnowałam czasu na dłuższe rozważania czy szukanie odpowiedzi. Na pierwszym miejscu był Philip. Na drugim odnalezienie Claya, aby go ostrzec.

Znów sprawdziłam oddech i tętno Philipa. Bez zmian. Nachyliłam się nad nim, objęłam go jedną ręką za szyję i podniosłam, by sprawdzić, czy nie miał innych niewidocznych ran. Gdy uklękłam, dostrzegłam coś, co leżało pod stolikiem w holu. Strzykawka. Znów ogarnął mnie strach. Czy LeBlanc wstrzyknął coś Philipowi? Otruł go? Puściłam Philipa i podeszłam do stolika. Już miałam się schylić, aby podnieść strzykawkę, kiedy dostrzegłam leżącą na blacie obrączkę. Złotą i na tyle znajomą że rozpoznałam ją na pierwszy rzut oka. To była obrączka Claya. Pod nią leżała kartka papieru, na której było coś napisane. Przez moment sądziłam, że Clay sam zdjął obrączkę, napisał parę słów i odszedł, zostawiając mnie. Ale to nie było pismo Claya, co stwierdziłam z coraz większym zaniepokojeniem. Ręce zaczęły mi się trząść. Sięgnęłam po kartkę. Obrączka ześlizgnęła się z niej i spadła na dywan. Złapałam ją jeszcze w powietrzu. Zaciśnęłam dłoń na chłodnym metalu i przeczytałam liścik.

Eleno,  
hotel Big Bear, pokój 211. Jutro, 10 rano.

D.

Zrobiło mi się niedobrze. Już kiedy schylałam się, by podnieść strzykawkę, wiedziałam, co na niej poczuje. Zapach Daniela na tłoczku. I Claya na igle.

— Nie — wyszeptalam.

Wyciągnęłam tłoczek i powąchałam go. Wnętrze strzykawki cuchnęło jakimś silnym preparatem, ale nie potrafiłam go rozpoznać. To nie trucizna, zapewniłam samą siebie. Daniel nie użyłby trucizny. LeBlanc owszem, ale nie Daniel. Gdyby to była trucizna, zostawiliby Claya, a nie tylko jego obrączkę. Obrączka i list to wiadomość. Clay nadal żyje. Nadal żyje? Ta myśl przeszła mnie na wskroś jak lodowate ostrze, nie że żył, ale że mogłam brać pod uwagę inną ewentualność.

— O Boże — wyszeptalam i zachwiałam się. Aby nie upaść, przytrzymałam się stolika.

Weź się w garść, powiedziałam sobie. Clayowi nic nie jest. Daniel czymś go odurzył. To dlatego wcześniej zasłabłam, w ten sposób uaktywniła się łącząca nas mentalna więź. Daniel odurzył Claya i wywiózł go, ale nic mu nie zrobił. Wiedziałabym, gdyby było inaczej.

Boże, miałam nadzieję, że wyczulabym to. Znowu spojrzałam na liścik. Spotkanie. Daniel miał Claya i chciał, bym spotkała się z nim jutro o dziesiątej w Bear Valley. A jeśli się tam nie pojawię...

Upuściłam kartkę i odwróciłam się, by wybiec z mieszkania. Ciało Philipa wciąż tarasowało przejście.

— Przepraszam — wyszeptalam. — Tak bardzo mi przykro.

Schyliłam się, by odsunąć go od drzwi. Kiedy go dotknęłam, otworzył oczy i zacisnął dłoń na moim nadgarstku.

— Elena? — wymamrotał, rozglądając się wokół mętnym wzrokiem.

— Nic ci nie będzie — odpowiedziałam. — Wezwałam karetkę.

— Był tu mężczyzna... dwóch mężczyzn.

— Wiem. Jesteś ranny, ale wylizesz się. Karetka już jedzie.

— Pytali, gdzie jesteś... Nie powiedziałem im... Wtedy Clayton... Walczyli...

— Wiem. — W moim głosie pojawiła się panika. Musiałam już iść. Natychmiast. — Zaczekaj tu. Zejdę na dół i poczekam na karetkę.

— Nie... Mogą wciąż tu być... Szukali ciebie...

— Będę ostrożna.

Próbowałam uwolnić się od uścisku Philipa, ale on tylko mocniej zacisnął palce wokół mojego nadgarstka. Najłagodniej, jak potrafiłam, uwolniłam się i wstałam. Próbował się podnieść, ale nie dał rady i znowu osunął się na podłogę, blokując drzwi. Zacisnął dłoń na mojej nodze.

— Nie — powtórzył. — Nie możesz odejść.

— Muszę.

— Nie!

Jego oczy płonęły gorączką i bólem. Poczulałam narastającą rozpacz. Ja to zrobiłam. Ja to na niego sprowadziłam. Musiałam zostać i pomóc. Gdyby się zdenerwował, tylko pogorszyłby swój stan. Kolejnych parę minut niczego nie zmieni. Opuściłam ręce do boków. Obrączka Claya wrzynała mi się w wewnętrzną stronę dłoni. Uniosłam wzrok.

Dziesiąta. Musiałam tam być na dziesiątą.

Philip powiedział coś, ale go nie słyszałam. Ogarnęła mnie panika.

Musiałam wyjść. I to zaraz.

Próbowałam przemówić samej sobie do rozsądku, uspokoić się, ale było za późno. Moje ciało zareagowało na strach. Nagła fala cierpienia sprawiła, że zgięłam się wpół. Jak przez mgłę widziałam obrączkę Claya spadającą na podłogę i słyszałam, że Philip coś mówi. Gwałtownie opuściłam głowę, wtulając ją w ramiona i przyciskając do piersi. Ciszę rozdarł skowyt, od które-

go rozbolało mnie gardło. Zaczęłam się krztusić i dławić, z trudem chwytając powietrze. Gdy poleciałam do przodu, wyciągnęłam ręce, aby złagodzić impet upadku. Próbowałam skulić się w sobie, nie podnosić głowy, ale moje nogi zdrząły spazmatycznie i targnęłam głową w tył. Przez mgłę bólu ujrzałam twarz Philipa, zobaczyłam jego oczy i malującą się w nich odrazę oraz zgrozę. Upadłam na czworaki, kuląc się. Wyprężyłam grzbiet. Moja bluzka pękła. Znów zawylałam, tym razem był to przeciągły, zawodzący, nieziemski jęk. Przemiana zachodziła tak szybko i tak gwałtownie, że nawet nie byłam w stanie pomyśleć o jej powstrzymaniu. Mój umysł stał się pusty, były w nim tylko strach i cierpienie. Moim ciałem wstrząsnęły konwulsyjne skurcze, tak potężne, że obawiałam się, iż rozerwą mnie na dwoje, ale nie dbałam o to, bo wiedziałam, że to powstrzymałoby ból. I wreszcie było po wszystkim.

Uniosłam głowę i wiedziałam, że byłam wilkiem. Nastąpił moment kompletnego wyczerpania, który minął równie szybko, jak się pojawił. Jego miejsce zajęły panika i trwoga. Uniosłam wzrok. Philip leżał na podłodze jakiś metr ode mnie. Widziałam tylko jego oczy patrzące na mnie z bezradnością i przerażeniem.

Odwróciłam się, przebiegłam przez pokój, zamknęłam oczy i skoczyłam w drzwi balkonowe. Szyba eksplodowała. Odłamki szkła rozcinały moją skórę, ale prawie tego nie czułam. Bez wahania przeskoczyłam nad poręczą balkonu. Przez chwilę byłam w powietrzu, by zaraz wylądować na trawniku cztery piętra niżej. Moja lewa przednia łapa wykręciła się nienaturalnie. Poczulałam palący ból. Ktoś krzyknął.

Pobiegłam.

Okrzyżylałam budynek i wpadłam do podziemnego garażu. Ukrywszy się za pierwszym autem, nasłuchiwałam zbliżających się kroków. Gdy nic się nie stało, otrząsnęłam się i spróbowałam rozluźnić się i skoncentrować. Nawet jeśli nikt mnie nie ścigał, byłam w potrzasku. Dopóki byłam przerażona i spanikowana, nie było mowy o powrotnej Przemianie. A gdyby nawet, zostałabym naga w podziemnym garażu. Mogłabym znaleźć gdzieś ubranie, ale co potem? Mój portfel z pieniędzmi, kartami kredytowymi i dokumentami został w mieszkaniu. Bez nich nie mogłam opuścić Toronto. Nie tylko musiałabym znaleźć ubranie, ale przydałoby się też wrócić do mieszkania. Nie mogłam tego zrobić. Philip mnie widział, a karetka zjawi się lada chwila. Może gdybym zaczekała... Ale jak długo? Kiedy, jeżeli w ogóle, mogłabym bezpiecznie tam wrócić? W myślach znów zobaczyłam liścik od Daniela. Jutro rano o dziesiątej. Termin. Strach powrócił, wypierając z mojego umysłu wszystkie racjonalne myśli.

Biegnij.

Biegnij natychmiast.

Zawahałam się tylko przez chwilę, po czym usłuchałam wewnętrznego głosu.

O ile tylko mogłam, biegłam ciemnymi zaułkami albo przynajmniej bocznymi drogami. Ludzie mnie widzieli. Nie dbałam o to. Po prostu biegłam. Gdy opuściłam Toronto, biegłam przez pola, lasy i rozległe pastwiska. Z logicznego punktu widzenia mój bieg nie miał sensu. Byłoby lepiej, gdybym zaczekała w podziemnym garażu, po godzinie-dwóch wróciła do mieszkania i złapała samolot. Ale to mi nawet nie przyszło do głowy. Wszystkie komórki mojego ciała buntowały się na myśl o czekaniu. Instynkt kazał mi działać i zrobiłam to.

Mój umysł wyłączył się, gdy biegłam, pozwalając, by to instynkt kontrolował mięśnie. Parę godzin później dotarłam do przeszkody, której instynkt nie był w stanie sam pokonać — przejścia granicznego w Niagara Falls. Spędziłam prawie godzinę, kręcąc się za magazynem, a myśli w mojej głowie kłębiły się dziko jedna przez drugą. W końcu odzyskałam nad sobą kontrolę na tyle, że mogłam skupić się na problemie i znaleźć rozwiązanie. Dzięki wszechobecnej biurokracji miałam czas, by znaleźć ciężarówkę z naczepą z plandeką i wślizgnęłam się na pakę. Na szczęście na granicy nie sprawdzano ładunku i ciężarówka bez

przeszkód przejechała z Niagara Falls w Ontario do Niagara Falls w Nowym Jorku. Następnie opuściła miasto i skierowała się na południe do Buffalo. Instynkt podpowiadał mi, że to niewłaściwy kierunek, i zeskoczyłam z naczepy, zanim mój umysł zdążył zaprotestować. Ciężko uderzyłam o pobocze i sturlałam się do rowu. Gdy podniosłam się z ziemi, łapa, którą skręciłam przy skoku z balkonu, ugięła się pode mną. Burczało mi w brzuchu, bo od rana nic nie jadłam. Już miałam zwolnić, pobiec w las i coś upolować, ale znów odezwała się we mnie panika, ucinając wszelkie próby przemówienia mi do rozsądku. Biegnij, nakazywał mi wewnętrzny głos. Biegłam więc.

Do zmięzchu kierował mną już tylko czysty strach i rozpęd. Niezależnie jak byłam głodna, czułam, że jeśli się zatrzymam, już nie ruszę z miejsca. Dziesiąta, wył głos w moich trzewiach za każdym razem, gdy myślałam o odpoczynku i jedzeniu. Dziesiąta. Zatrzymaj się choćby na chwilę, a nie zdążysz. A jeśli się spóźnisz... Nie chciałam nawet o tym myśleć. Łatwiej było biec.

Dochodziła północ, gdy grzmiał, ryk w mojej głowie powalił mnie na trawę. Kiedy się podniosłam, łoskot znów się powtórzył. Zaskomlałam, opuszczając łeb, kręcąc nim i drapiąc się w ucho prawą przednią łapą. Musiałam biec. Nie mogłam się zatrzymać. Chwiejnie ruszyłam naprzód.

— Eleno! — Ryk w mojej głowie zmienił się w głos rozsadzający mi czaszkę. — Eleno? Gdzie jesteś?

Znów pochyliłam łeb i zaskomlałam. Odejdź, Jeremy. Odejdź. Zmuszasz mnie, abym się zatrzymała. Nie mogę się zatrzymać. — Gdzie jesteś, Eleno? Nie mogę się skontaktować z Clayem. Gdzie się podziewacie, u licha?

Próbowałam odpowiedzieć, choćby tylko po to, by go uciszyć, ale mój mózg nie potrafił tworzyć słów, a jedynie obrazy. Jeremy zamilkł, a ja stałam oszołomiona, zastanawiając się, czy faktycznie go usłyszałam. A może miałam halucynacje? Nie spałam, prawda? Jeremy nie mógł kontaktować się z nami na jawie. Spałam więc, czy może traciłam zmysły? Nieważne. Dziesiąta, dziesiąta, dziesiąta. Nie dasz rady. Biegnij, bo nie zdążysz.

Pobiegłam, zataczając się. Wkrótce zaczęło robić mi się ciemno przed oczami. Wciąż biegłam, ale wszystko wokół mnie rozpląwało się i nikało w ciemnościach. Nogi miałam odrętwiałe. Czułam woń krwi sączącej się z moich poharatanych łap. W jednej chwili grunt pod moimi łapami wydawał się ponabijany gwoździami, w następnej wydawał się miękki jak wata, a ja unosiłam się nad ziemią, mknąc szybciej niż wiatr. W jednej chwili był dzień, zaraz potem noc. Biegłam przez miasto. Nie, biegłam przez Toronto, w oddali majaczyła CN Tower. Usłyszałam głosy. Krzyk. Śmiech. Śmiech Claya. Wyteżyłam wzrok, by przeniknąć noc. Znad jeziora Ontario nadciągała mgła, ale ja wciąż słyszałam jego śmiech. Beton zmienił się w trawę. Mgła nie napływała od jeziora, ale od stawu. Naszego stawu. Byłam w Stonehaven, gnając przez tamtejsze łąki. Clay biegł przede mną. Widziałam przebliski złocistej sierści między drzewami. Wbijając pazury w ziemię, przyspieszyłam jeszcze bardziej. Nagle grunt się skończył. Biegłam w powietrzu. Potem zaczęłam spadać. Próbowałam się czegoś uchwycić, ale wokół mnie była tylko atramentowa czerń.

A potem nie było już nic.

# KLATKA

Obudził mnie chłód. Gdy się wzdygnęłam, poczułam mokrą trawę dotykającą mojej skóry. Otworzyłam jedno oko. Drzewa. Wysoka trawa. Łąka. Próbowałam podnieść głowę, nie mogłam. Clay. To była moja pierwsza myśl, nie wiem, dlaczego. Czy z nim biegałam? Nie czułam jego zapachu. Dlaczego nie mogłam unieść głowy? Nic mnie nie przytrzymało. Moje mięśnie nie reagowały. Czy byłam martwa? Martwa. Clay. Przypomniałam sobie i moja głowa wystrzeliła w górę. Oślepiający ból przeszył moją czaszkę.

Coś ciepłego i miękkiego opadło na moje ramiona. Szarpnęłam się, stękając z bólu. Kurtka okrywająca moje nagie ciało, zapach był znajomy, ale to przecież niemożliwe. Czyżbym śniła? A może miałam omamy? Poczułam dłoń wślizgującą się pode mnie, aby mnie podnieść, i dotyk tak znajomy jak zapach kurtki.

— Eleno?

Twarcz nade mną. Jeremy, ciemne włosy opadające na czoło, odgarnięte ze zniecierpliwieniem. Niemożliwe. Nie tutaj. Zamknęłam oczy.

Eleno? — Tym razem głośniej, z przejęciem.

Próbowałam się poruszyć, ale za bardzo bolało. Postanowiwszy poddać się urojeniom, uniosłam jedną powiekę.

— J... — wychrypiałam, chcąc zapytać, jak tu dotarł.— J...

Nic więcej nie mogłam z siebie wykrztusić.

— Nie próbuj nic mówić — szepnął. — I nie ruszaj się. Zaniosę cię do samochodu. Stoi niedaleko.

— C-Cl...

— Mają go, prawda? — Jego ramiona zacisnęły się wokół mnie.

— Dzie-dzie-dziesiąta — wybełkotałam, a potem znów wszystko spowila ciemność.

Tym razem obudziło mnie ciepło, a konkretnie, strumień sztucznie napędzanego ciepłego powietrza omiatający moją twarz. Usłyszałam warkot silnika, poczułam wibracje i lekkie drżenie auta toczącego się po gładkiej drodze. Poczułam woń starej skóry i poruszyłam się pod narzuconą na mnie kurtką. Wyciągnęłam nogi, ale ból był tak silny, że jęknęłam i odruchowo je podkuliłam.

— Za gorąco? — Głos Nicka. Poczułam, jak wyciąga nade mną rękę i sięga do wentylatora. Odwrócił wylot od mojej twarzy.

— Ocknęła się? — zapytał gdzieś obok Jeremy. Przede mną. Z przedniego siedzenia.

— Nie jestem pewien — odparł Nick. — Ma zamknięte oczy. Chyba można przykręcić ogrzewanie. Odzyskała kolorki.

Trzask przełącznika. Silny szum nieco przycichł. Otworzyłam jedno oko, potem drugie. Na wpół leżałam na tylnej kanapie eksplorera, opierając głowę o boczną szybę, nogi miałam podkulone na

siedzeniu. Antonio siedział na fotelu kierowcy przede mną. Patrzył na mnie, zerkając w lusterko wsteczne.

— Ocknęła się — oznajmił.

Szczęknął odpinany pas bezpieczeństwa. Potem usłyszałam szelest dzinsu o materiał, którym wyłożono fotele. Nick nachylił się nade mną.

— Czy jest ci dostatecznie ciepło? — zapytał. — Chcesz czegoś?

— Cz-cz...

— Nic nie mów, Eleno — rzekł Jeremy. — Nick, wyjmij butelkę wody z chłodziarki. Jest odwodniona. Niech się napije, ale nie za dużo.

Nick zaczął grzebać w przenośnej lodówce. Po chwili moich ust dotknął zimny plastik. Cofnęłam się i pokręciłam głową, co sprawiło, że pod moją czaszką eksplodowały pioruny.

— Kt...—wychrypiałam. — Któ... ra... go... dzi...na.

— Która godzina? — Nick nachylił się nade mną. — Chcesz wiedzieć, która jest godzina?

Skinęłam głową a pod moją czaszką tym razem buchnęły snopy iskier. Nick wciąż wyglądał na dezorientowanego, ale zerknął na zegarek.

— Wpół do dwunastej... dochodzi wpół do dwunastej.

— Nie! — Poderwałam się do pozycji siedzącej. — Nie!

Nick cofnął się. Explorerem zarzuciło, Antonio zaklął, ale zaraz odzyskał panowanie nad wozem. Próbowalam wydostać się spod kurtki Jeremy'ego.

Eleno — głos Jeremy'ego był spokojny, ale stanowczy. — Już dobrze, Eleno. Uspokój ją, Nick, zanim twój ojciec dostanie przez nią zawału serca.

— Zaskoczyła mnie — odparł Antonio. — Nicky, upewnij się...

Reszty nie słyszałam. Uwolniłam się od kurtki i odrzuciłam ją na bok, po czym zaczęłam odpinać pas bezpieczeństwa. Każdy ruch sprawiał mi nieopisany ból. Ręce miałam posiniaczone i pokrwawione. Nie dbałam

— to. Byłam spóźniona. Musiałam biec. Musiałam tam dotrzeć. Teraz.

Nick próbował mnie powstrzymać, ale ja już odpięłam pas i teraz zdejmowałam go z siebie. Nick schwycił mnie za ramiona.

— Nie! — krzyknęłam i odepchnęłam go.

Znów mnie chwycił, tym razem mocniej. Walczyłam, obnażając zęby i drapiąc paznokciami każdą część jego ciała, której zdołałam dosięgnąć.

— Zatrzymaj samochód! — krzyknęłam. Explorer zwolnił nieznacznie, ale nie stanął, jakby Antonio zastanawiał się, co robić dalej.

— Jedź — rzucił Jeremy. — Ona majaczy. Jedź. Nick usiłował unieruchomić mnie na siedzeniu, na

jego twarzy malowały się wysiłek i stanowczość. Usłyszałam jakiś dźwięk z przodu. Ponad ramieniem Nicka zobaczyłam, jak Jeremy wychyla się ze swego fotela

sięga, by mnie przytrzymać. Zebrałam w sobie wszystkie siły i opanowanie, po czym zdzieliłam Jeremy'ego pięścią w brzuch. Oczy wyszły mu z orbit i zgiął się wpół. Jakaś część mnie była przerażona, ale nie dbałam o to. Gorączka w moim mózgu wypalała wyrzut sumienia. Musiałam się stąd wydostać, byłam spóźniona. Nic więcej się nie liczyło. Odepchnęłam Nicka i rzuciłam się obok niego w stronę drugich drzwiczek. Chwyciłam za klamkę, pchnięciem otworzyłam drzwiczki i spojrzałam w dół. Żwir pobocza mknął jako jednolita szara plama. Nick krzyknął. Rozległ się pisk opon. Explorerem zarzuciło w prawo. Napięłam mięśnie do skoku. Dwie pary rąk pochwyciły mnie, jedna za ramiona, druga z tyłu, i przytrzymały mnie w aucie. Poczułam na szyi dłonie Jeremy'ego, silne palce nacisnęły z boku na moje gardło i znów pograżyłam się w ciemności.

Obudziłam się we wspomnieniu. Bolało całe ciało. Ubiegłej nocy przeszłam Przemianę. Wspomnienie było mgliste, seria obrazów i odczuć — bólu, strachu, gniewu, niedowierzania. Przecież nie biegłam przez stan Nowy Jork. Przeszłam Przemianę w celi dwa na dwa i pół metra, kostkę i nadgarstek miałam zakute w kajdany. Moja siódma Przemiana. Minęło siedem tygodni, odkąd trafiłam w to miejsce. Nie miałam pojęcia, jaki jest dzień, ale wiedziałam, ile razy przechodziłam przez piekło i w ten sposób określałam upływ czasu. Kiedy się obudziłam, wciąż znajdowałam się w celi. Tkwiłam w niej już od pięciu tygodni, pięć Przemian, odkąd ten mężczyzna zaprzestał prób zatrzymania mnie w sypialni na piętrze. Znałam jego imię, Jeremy, ale nigdy go nie używałam, nie wobec niego, nie kiedy o nim myślałam. Przy nim nijak go nie nazywałam. Nie odzywałam się do niego. Myślałam o nim jako o „tym mężczyźnie”, bez jakiegokolwiek odczuć czy wrażeń związanych z tym określeniem.

Obudziłam się, czując pod sobą szorstkie włókna materaca. Miałam kiedyś prześcieradła, miękkie, flanelowe, i koc. Ale przyłapał ranie, gdy darłam je na pasy, i pomyślał, że chcę się powiesić. Nie o to mi chodziło. Nie dałabym mu tej satysfakcji, aby ujrzał mnie martwą. Podarłam prześcieradła z tego samego powodu co pisma i ubrania, które mi przyniósł, a także piękne obrazy, które zawiesił na kamiennych ścianach. Niczego od niego nie chciałam. Ta klatka miała wyglądać surowo i posepnie, jak na klatkę przystało. Przyjmowałam tylko jedzenie, a jadłam wyłącznie po to, by mieć siły na planowaną ucieczkę. Myśl o niej utrzymywała mnie przy życiu. Wkrótce stąd zwieję, wrócę do miasta, do ludzi, którzy mogli mi pomóc, uleczyć mnie.

Otworzyłam oczy, by ujrzeć postać siedzącą na krześle przed klatką. W pierwszej chwili myślałam, że to on. Siedział tam przez większą część dnia, obserwując i mówiąc do mnie, próbując zrobić mi pranie mózgu szalonymi teoriami, które sączyły się z jego ust. Kiedy odzyskałam ostrość widzenia, postać stała się wyraźniejsza, pochylona, z łokciami opartymi o kolana i złotymi lokami lśniącymi w sztucznym świetle. Jedyna osoba, której nienawidziłam bardziej niż tamtego mężczyzny. Szybko zamknęłam oczy i udałam, że śpię, ale już było za późno. Zobaczył mnie. Wstał i zaczął mówić. Chciałam zatkać uszy, ale to nic by nie dało. Słyszałam teraz aż za dobrze. Nawet gdybym uciszyła jego słowa, wiedziałam, co mówił. Powtarzał te same słowa co zawsze, zakradając się tu, gdy tamten mężczyzna wychodził. Próbował wytłumaczyć, co i dlaczego mi zrobił. Przepraszał. Błagał, bym podporządkowała się tamtemu, bym mogła opuścić klatkę. Chciał, abym pomówiła z tamtym, poprosiła o cofnięcie kary wygnania, aby mógł wrócić i pomóc mi. Ale mógł mi pomóc tylko w jeden sposób. Za każdym razem, kiedy się zjawiał, za każdym razem, kiedy zaklinał się, że zrobi wszystko, aby zrekompensować to, co mi zrobił, powtarzałam mu to samo. Jedyne słowa, jakie wypowiadałam pod jego adresem, to: „Ulecz mnie. Odwróć to, co zrobiłeś”.

— Clay.

Dźwięk mojego głosu wyrwał mnie z krainy wspomnień. Leżałam na wznak, wpatrując się w gołą żarówkę wiszącą pod betonowym sufitem. Odwróciłam głowę i ujrzałam solidne kamienne ściany. Żadnych okien. Żadnych dekoracji. Pode mną znajdował się szorstki materac. Klatka.

— Nie — wyszeptałam. — Nie.

Odwróciłam głowę i zobaczyłam kraty. Za nimi na krześle ktoś siedział. Serce zabiło mi żywiej. Nagle postać wstała i czarne oczy odnalazły moje spojrzenie.

— Nie— powtórzyłam, siadając.—Niech cię diabli, nie.

— Musiałem, Eleno — rzekł Jeremy. — Bałem się, że zrobisz sobie krzywdę. A teraz, jeżeli już czujesz się lepiej...

Rzuciłam się na kraty. Jeremy cofnął się poza zasięg moich ramion, ale było widać, że wcale go to nie zaskoczyło.

— Wypuść mnie! — krzyknęłam.

— Eleno, gdybyś tylko...



— Nic nie rozumiesz!

— Owszem, rozumiem. Daniel ma Claya. Dopadł go w Toronto. Chciał, abyś pojawiła się dziś rano o dziesiątej w hotelu. W drodze powrotnej tutaj mówiłaś przez sen.

— Ty... — Przerwałam i przełknęłam ślinę. — Wiesz?

— Tak...

— Wiesz, a mimo to trzymasz mnie tutaj? Jak możesz! — Chwyciłam kraty i szarpnęłam nimi. — Wiedziałaś, że życie Claya jest w niebezpieczeństwie, i zamknęłaś mnie tutaj?

— Jak sądzisz, co zamierzał Daniel? Myślisz, że puściłby ciebie i Claya wolno? Oczywiście, że nie. Gdybyś tam poszła, stracilibyśmy was oboje.

— Nie dbam o to!

Jeremy przetarł twarz dłonią.

— Ależ dbasz, Eleno. Tylko jesteś zbyt wzburzona, by myśleć logicznie.

— Logicznie? Logicznie? Naprawdę jesteś taki zimny i wyrachowany? Wychowałeś go. Jesteś dla niego całym światem. Przez całe życie cię chronił. Ryzykował życiem, by cię ochraniać, stale dla ciebie ryzykując. Mógłbyś siedzieć beczynn timer, rozważając sytuację, i uznać, że ratowanie go nie jest warte ryzyka?

— Eleno...

— Jeżeli umrze, to z twojej winy.

— Eleno!

— To moja wina. Jeżeli umrze, to przeze mnie, bo nie zdążyłam na czas.

Jeremy przez kraty chwycił mnie za rękę, palce wpiły się aż do kości.

— Przestań, Eleno! On nie umarł. Wiem, że się denerwujesz, ale uspokój się...

— Uspokoić się? Chcesz powiedzieć, że histeryzuję?

Uspokój się i zastanów, a zrozumiesz, że Clay żyje. Pomyśl tylko. Daniel wie, jak ważny jest Clayton dla Watahy. Dla ciebie. Dla mnie. Jest zbyt cennym zakładnikiem.

— Ale Daniel nie wie, dlaczego nie przyszłam. Może uznał, że nam nie zależy, że opuściliśmy Claya i pozostawiliśmy go na śmierć.

— Daniel zrozumie. Domyśli się. A poza tym dla pewności wysłałem mu wiadomość. W zeszłym tygodniu podał mi numer skrytki pocztowej, dzięki której mogę się z nim kontaktować. Antonio i Nick wysłali list stwierdzający, że nie mogliśmy pozwolić, abyś dotarła na to spotkanie, ale jestem gotów do negocjacji, o ile Clay owi nic się nie stało. Jestem pewien, że Daniel już o tym wie, ale chciałem, aby miał pewność. Nie zamierzam szafować życiem Claya, Eleno.

Podświadomie widziałam, że Jeremy miał rację. I co z tego? A co, jeśli się myli? Jeżeli Clay nie dotarł z powrotem do Nowego Jorku? Jeżeli ocknął się gdzieś po drodze, zaczął walczyć i leżał teraz w jakimś kontenerze na śmieci w Toronto? A jeżeli Daniel nie mógł oprzeć się pokusie, by zgładzić swego odwiecznego wroga, gdy ten był odurzony i bezbronny? Nawet jeśli Daniel zdołał się pohamować, co z LeBlankiem? Gdyby Clay rozwścieczył LeBlanca, ten zabiłby go. Udowodnił już, że nie obchodziło go, czego chciał Daniel. Nawet gdyby Clay nic nie zrobił LeBlancowi, ten mógłby go zabić ot tak, dla zabawy. W miarę jak rozważałam te możliwości, bolące nogi odmówiły mi posłuszeństwa i osunęłam się na ziemię, trzymając się krat.

— Nie ostrzegłeś mnie — powiedziałam.

Jeremy przykucnął, kładąc swoją dłoń na mojej.

— Przed czym, moja droga? — zapytał delikatnie.

— Nie spodziewałam się. Powinnam była wiedzieć.

— O czym?

— Że jemu też groziło niebezpieczeństwo. Ochraniał mnie. Ale ja nie chroniłam jego.

Opuściłam głowę i poczułam pieczenie, gdy do moich oczu napłynęły łzy, palące łzy.

Jeremy zostawił mnie na noc w klatce. Choć starałam się wmówić sobie, że jest inaczej, wiedziałam, że nie jest nieczuły ani bez serca. Kiedy już się wyplakałam, ktoś mógłby spodziewać się, że zaprzestanę walki i pokornie poddam się woli Jeremy'ego. A przynajmniej tak pomyślałby ktoś, kto mnie nie znał. Jeremy znał mnie doskonale. Kiedy szlochałam na podłodze, sięgnął ręką przez kraty, by mnie pocieszyć, ale nie otworzył drzwi. Gdy już się wyplakałam i otarłam łzy, ogarnęła mnie wściekłość. Rozwaliłam materac, jedyną rzecz w celi, którą można było zniszczyć. Kopnęłam w sedes, ale nie pękł, w przeciwieństwie do co najmniej dwóch kości palców mojej stopy. Rozrzuciłam jedzenie po podłodze. Przeklinałam Jeremy'ego na całe gardło. Kiedy już było po wszystkim, powinnam była poczuć się lepiej, prawda? Wcale nie. Zrobiło mi się głupio. Miałam wrażenie, że dałam się ponieść histerii i zrobiłam z siebie idiotkę. Musiałam wziąć się w garść i opanować. Napady wściekłości nie mogły pomóc Clayowi.

Oczywiście tylko dlatego, że byłam gotowa opuścić klatkę, nie oznaczało, że Jeremy zamierzał mnie uwolnić. Zostawił mnie w niej na cały ranek, zaglądając co pewien czas, by upewnić się, że nie próbowałam znów odgrywać scen z *Egzorcysty*. Kiedy ponownie zszedł na dół, przyniósł dużą szarą kopertę. Zanim podał mi tacę zjedzeniem, bez słowa wręczył mi kopertę. Wewnątrz znajdowało się zrobione polaroidem zdjęcie Claya. Siedział na podłodze z kolanami pod brodą, związany, z rękoma z tyłu. Nie widziałam jego dłoni, ale musiały być skrepowane lub skute kajdankami. Oczy miał półprzymknięte i tak mętne od podanych mu środków odurzających, że wydawały się nie niebieskie, lecz szare. Choć nie widziałam krat, wiedziałam, że znajdował się w jakiejś klatce. Żaden wilkołak nie pojmałby Claya, nie dopilnowawszy, że ten nie zdoła dokonać Przemiany i uwolnić się. Musieli utrzymywać go w stanie permanentnego odurzenia, związanego albo w klatce. Daniel zapewne użył wszystkich tych środków zapobiegawczych równocześnie. Walczył już wcześniej z Clayem i raczej nie chciał ryzykować choćby przypadkowego rewanzu.

Znów spojrzałam na zdjęcie. Ramiona i nagi tors Claya pokrywały sińce, na lewym policzku widniała paskudna rana cięta, wargi były spuchnięte i porozcinane, jedno oko podbite. Pomimo tego stanu patrzył w obiektyw z wyrazem znużonego rozdrażnienia, jak super modelka, której próbował tego dnia zrobić zdjęcie o jeden fotograf za dużo. Okazywanie zuchwałości rozjuszyło by Daniela. Clay musiał to wiedzieć.

Sięgnęłam do koperty i okazało się, że jest pusta. Spojrzałam na Jeremy'ego. Przyjrzałam mu się po raz pierwszy, odkąd znów mnie tu sprowadził. Oczy miał podkrążone, a kosmyki włosów opadające na czoło wydawały się przetłuszczone, jakby nie spał i nie kapał się od paru dni. Wokół jego oczu i ust pojawiły się lekkie zmarszczki. Wyglądał niemal na swój wiek.

— Gdzie list? — spytałam łagodniej, niż zamierzałam. — Wiem, że Daniel musiał przysłać list. Gdzie on jest? Mogę go zobaczyć?

— Napisali w nim, że mają Claya, co jest oczywiste, oraz że nie jest w najlepszym stanie, ale żyje — jedno i drugie nie ulega wątpliwości. Jeżeli przyjrzesz się zdjęciu, zobaczysz wiszącą na ścianie gazetę. To dzisiejszy egzemplarz „New York Timesa”, przypuszczalnie po to, by podkreślić, że zdjęcie zrobiono dzisiaj.

— Czego chce Daniel?

— Clayowi nie grozi na razie żadne niebezpieczeństwo.

— Mógłbyś odpowiedzieć wprost na moje pytanie?

— Odesłałem list i na czas trwania negocjacji zażądałem codziennych zdjęć.

Skrzywiłam się i odsunęłam się w głąb celi, upominając się, że muszę zachowywać się spokojnie. Kolejny wybuch wściekłości sprawiłby, że dłużej pozostałabym za kratami.

— Wiem, że wczoraj mnie poniosło — rzekłam. — Ale już ze mną w porządku. Chcę pomoc. Mogę już wyjść?

— Zjedz lunch. Wrócę niebawem, by sprawdzić, czy jesteś jeszcze głodna. Jeremy wsunął tacę przez otwór tuż nad podłogą po czym wrócił na górę. Ugryzłam się w język, by nie powiedzieć czegoś, czego mogłabym pożałować... przynajmniej dopóki mógł mnie usłyszeć.

## PLANY

Jeremy wypuścił mnie jeszcze tego popołudnia. Zanim weszliśmy na górę, zapytałam, jakie miał plany. Kazał mi poczekać aż do kolacji, zapewne sprawdzał, ile jestem w stanie wytrzymać, zanim znów się załamie. Przyznaję, że do wieczora moja cierpliwość była na wyczerpaniu, ale jakoś to zniosłam. Podczas gdy Antonio i Nick sprząтали bałagan po posiłku, Jeremy zaprowadził mnie do gabinetu na rozmowę. W skrócie było tak: Jeremy obmyślił plan odbicia Claya, ale nie chciał nikomu zdradzać szczegółów ani nie pozwalał, by ktokolwiek pomógł w jego realizacji. Jak można się było spodziewać, przyjąłam tę wiadomość ze spokojem i wyrozumiałością.

— To najgłupsze, co kiedykolwiek słyszałam! — warknęłam po raz nie wiadomo który w ciągu minionej godziny. — Nie zamierzam tu siedzieć beczynninie.

— Wolisz siedzieć beczynninie w klatce?

— Nie groź mi.

— Więc ty nie próbuj grozić mnie.

Coś w głosie Jeremy'ego nakazało mi zamilknąć i skoncentrować się na krążeniu po pokoju.

— Mogę pomóc — rzekłam cicho i, miałam nadzieję, ze spokojem. — Proszę, Jer, nie wyłączaj mnie z tego. Może winisz mnie za to, co się stało w Toronto, ale nie karz mnie w ten sposób.

— W Toronto nie zrobiłaś nic złego. Jeżeli ktoś ponosi za to winę, to tylko ja. Sądziłem, że w Toronto będzie bezpiecznie. Dopiero we wtorek rano zorientowałem się, że Daniel zniknął, a do tego czasu on był już na miejscu. Nie powiem ci, jak zamierzam odzyskać Claya, bo będziesz chciała pomóc, a jeśli ci nie pozwolę, i tak spróbujesz to zrobić po swojemu.

— Ale...

Pochylił się do przodu.

— Jestem wobec ciebie szczerzy, Eleno. Bardziej, niż mógłbym być wobec kogokolwiek innego. Wszystko się wali. Nie jestem przygotowany, by sobie z tym poradzić. Jeżeli przez tyle lat byłem dobrym alfą to dlatego, że nigdy nie stanąłem w obliczu poważnego wyzwania. Takiego jak to. Zacząłem powoli, od sprawdzania sytuacji i zbierania informacji. Peter i Logan zostali zabici. Zmieniłem tryb postępowania i postanowiłem dopaść Jimmy'ego Koeniga. Wtedy ty omal nie zginęłaś. Odesłałem was dwoje tam, gdzie moim zdaniem powinniście być bezpieczni. Niecały tydzień później Daniel was odnalazł. A teraz ma Claya.

— Ale...

Jeremy wstał i spróbował się uśmiechnąć, odgarniając przy tym kosmyk włosów z mego ramienia.

— Przykro mi, moja droga. Naprawdę. Ale tak musi być.

Zanim zdażyłam odpowiedzieć, już go nie było. Wbrew zaleceniom Jeremy'ego nie zamierzałam siedzieć beczynn timer. W końcu nie zakazał mi robienia czegokolwiek. Dlatego zaczęłam od opracowania planu.

Krok pierwszy: znaleźć sojusznika. Wybór był niewielki, ale gdybym musiała się zdecydować, postawiłabym na Nicka. Nie tylko był najlepszym przyjacielem Claya, ale w dodatku jego również nie dopuszczono do udziału w operacji ratunkowej. Jeremy stwierdził, że chce, aby Nick mnie ochraniał, ale nawet Nick był na tyle bystry, by wiedzieć, że Jeremy nic mu nie mówił w obawie, aby nie wypaplał wszystkiego mnie. Przekonałam Nicka, że chodzi mi tylko o zebranie informacji, abyśmy okazali się pomocni Jeremy'emu. To nie było kłamstwo. Zamierzałam podzielić się z nim wszystkimi zebranymi informacjami. A gdyby wciąż odmawiał mi udziału w akcji ratunkowej? Nie przejmowałam się tym. Zawsze mogłam później renegecować mój układ z Nickiem.

Krok drugi: opracować plan działania. Jeremy będzie próbował odkryć, gdzie kundler przetrzymywały Claya. Negocjacje z Danielem były tylko zasłoną dymną do czasu, gdy Jeremy nie odnajdzie ich kryjówek. Nick to potwierdził. Wczoraj, zanim wykluczono go z dalszych działań, Jeremy posłał jego i Antonia do hotelu Big Bear. Wszyscy prócz Daniela wyprowadzili się z hotelu w poniedziałek, a sam Daniel w środę. Wysłana z tego wniosek, zapewne tak samo jak Jeremy, że kundler musiały znaleźć sobie inną kryjówek i przewiozły tam Claya po powrocie z Toronto. Jako że nie chciałam pokrzyżować planów Jeremy'ego, a raczej, szczerze mówiąc, nie chciałam, by mnie na tym przyłapał, musiałam pozostawić tropienie kundli jemu i znaleźć inny sposób na odkrycie, gdzie jest przetrzymywany Clay.

Krok trzeci: odwrócić uwagę od mojej działalności. Gdyby to był ktoś inny, a nie Jeremy, odegrałabym rolę pokornej, potulnej dziewczynki. Jeremy jednak potraktowałby to bez wątpienia jako sygnał, że coś kombinuję. Burzyłam się więc, utyskiwałam i uczyniłam z jego życia piekło. Nie oczekiwał niczego innego. Przy każdej okazji prosiłam i błagałam, by uwzględnił mnie w swoich planach. W końcu po tym, jak przez cały wieczór i następny poranek suszyłam mu o to głowę, dałam mu ultimatum. Jeżeli nie znajdzie Claya w ciągu trzech dni, zacznę go szukać sama, za zgodą Jeremy'ego lub bez niej. W tej sytuacji uznał, że ma jeszcze trzy dni, zanim znów zacznę urządzać mu piekło, i trochę się rozluźnił. To był genialny wybieg z mojej strony, nie ma co.

Choć Nick zgodził się mi pomóc, nie chciał złamać zaleceń Jeremy'ego o aresztowaniu domowym, toteż nie mogłam nigdzie wychodzić. Co prawda mogłabym dać Nickowi po łbie i nawiać z domu, ale nie potrafiłam się na to zdobyć. Poza tym Jeremy i tak by mnie znalazł i ściągnął z powrotem, a dochodząc do siebie po wstrząśnieniu mózgu, Nick nie byłby już tak chętny, aby mi pomagać.

Najpierw zadzwoniłam do szpitala. Nie do miejscowego, rzecz jasna, w nadziei, że mogliby mieć u siebie Claya albo wiedzieć, gdzie przebywał. Zadzwoniłam do szpitala Świętego Michała w Toronto. Nie zapomniałam, że zostawiłam Philipa w kałuży krwi na podłodze naszego mieszkania. Przyznaję, że może nie zastanawiałam się nad tym tak długo, jak powinnam, ale wiedziałam, że jego obrażenia nie były bardzo groźne, w każdym razie odkąd zatamowałam krwawienie i wezwałam pomoc, a sytuacja Claya była o wiele poważniejsza, toteż można mi wybaczyć, że moja uwaga nie była podzielona między tych dwóch mężczyzn po równo. Philipa nie było w szpitalu Świętego Michała. Izba przyjęć była od wtorkowego popołudnia zamknięta dla nowych pacjentów, w sumie nic dziwnego po trwających od lat cięciach budżetowych. Przewieziono go do Toronto East General, gdzie nadal przebywał. Rozmawiałam z pielęgniarką z jego piętra, przedstawiając się jako jego siostra. Dowiedziałam się, że miał pewne obrażenia wewnętrzne i czekał na operację, ale powoli dochodził do zdrowia i spodziewano się, że zostanie wypuszczony w przyszłą środę lub czwartek. Znowu przez cięcia budżetowe. Zaproponowała, że połączy mnie z jego pokojem, ale odmówiłam pod pretekstem, że nie chcę zakłócać jego spokoju. Prawda była taka, że za bardzo się bałam, żebym mogła z nim mówić. Nawet gdyby wybaczył mi, że go opuściłam, pozostawał pewien drobiazg — widział, jak zmieniam się w wilka. Poprzestałam na przesłaniu mu kwiatów i liściku z zapewnieniem, że wkrótce się z nim zobaczę. Pozostało mi mieć nadzieję, że nie trafi przez to z powrotem na OIOM. Później zadzwoniłam do miejscowego biura handlu nieruchomościami. Nie dlatego, że zamierzałam się wyprowadzić i szukałam dla siebie nowego miejsca. Kuszący pomysł, ale wiedziałam, że nie zdołałabym uciec. Skoro Jeremy był w stanie odnaleźć mnie na polu gdzieś w stanie Nowy Jork i nadal nie chciał wyjaśnić mi, jak tego dokonał, to na pewno namierzyłby mnie bez trudu w Bear Valley, i to zarówno przed tym, jak i po tym, jak znalazłyby mnie tam kundle. Tak czy owak nie miałam skłonności samobójczych. Zadzwoniłam do biura nieruchomości, by zapytać o domy wynajęte lub zakupione w ciągu paru ostatnich tygodni, zwłaszcza leżące na wsi, możliwie na odludziu. W okręgu Bear Valley sprzedano w ostatnim czasie tylko trzy domy. Dwa nabyły młode rodziny, a trzeci para starszych. Wynajętych było więcej, ale podnajmowali je długoletni mieszkańcy Bear Valley.

Gdy pomysł z domem nie wypalił, zaczęłam rozglądać się za domkami letniskowymi do wynajęcia. Problemem było to, że roilo się tu od takich domów. Sprawę ułatwiał fakt, że sezon dopiero się zaczynał, a okolice Bear Valley nie należały do ulubionych, jeżeli chodziło — zwolenników wypoczynku w letnich domkach — za mało tu było jezior, a za dużo drzew. Zadzwoniłam do stowarzyszenia właścicieli domków letniskowych w Bear Valley. Dzięki odrobinie sprytu, paru zmyślnym kłamstewkom i sporej dozie uprzejmości — Jeremy dobrze mnie wyszkolił — odkryłam, że wynajęte były zaledwie cztery domki letniskowe — trzy przez nowożeńców, a czwarty przez kilku mężczyzn w średnim wieku pochodzących z Nowego Jorku, którzy przyjeżdżali tu co roku w maju, aby odpocząć na łonie przyrody. Kolejna ślepa uliczka. Musiałam spróbować czegoś innego. Tyle tylko, że nie wiedziałam czego.

Celowe działanie sprawiło, że czas płynął szybciej nie miałam okazji, by zastanawiać się nad sytuacją Claya. Wieczorem pozostałam jednak sam na sam z moimi myślami. Pilnowałam ognia w kominku w gabinecie. Wcale nie trzeba było go pilnować. Nie trzeba go było nawet rozpalać, na zewnątrz wciąż było ponad dwadzieścia stopni Celsjusza. Miło było jednak posiedzieć przy kominku, przerzucając drwa i obserwując tańczące płomienie. Zbędne działanie było lepsze niż bezczynność. Poza tym wpatrywanie się w ogień miało na mnie hipnotyczny wpływ, pozwalało skupić się na czymś innym niż myśli i obawy, które forsowały bariery w mojej głowie, poustawiane przeze mnie w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin.

Nie byłam w gabinecie sama. Towarzyszył mi Nick przysypiający na kanapie. Co pewien czas otwierał oczy i mówił coś. Rozmawialiśmy przez kilka minut, a gdy rozmowa niebezpiecznie schodziła na temat Claya, nabieraliśmy wody w usta. Kiedy zegar na kominku wybił północ, Nick znów się obudził. Odchylił głowę do tyłu nad podłokietnikiem kanapy i wyrztał przez okno.

— Nadchodzi pełnia — powiedział. — Jeszcze ze dwa, trzy dni.

— Dwa.

— Muszę pobiec. A ty?

Uśmiechnęłam się słabo.

— Wiesz doskonale, że nie muszę biec, odkąd trzy dni temu wybiegałam się za wszystkie czasy. Chodzi ci raczej o to, czy pobiegłabym z tobą i uchroniła przed okrutną perspektywą biegania w samotności.

— Nie wiem, jak ci się to udawało w Toronto przez te wszystkie miesiące — rzekł i wzdrygnął się. — Musiałem to zrobić kilka razy zeszłej zimy. Tonio wyjechał w interesach, Logan prowadził jakąś sprawę w sądzie, a Clay... w każdym razie musiałem odbyć Przemianę sam.

— Biedaczysko.

— To było okropne. Pójść do lasu, Przemienić się, zaczekać, aż upłynie dość czasu, i przejść ponowną Przemianę. Ubaw jak cholera, nie ma co.

— Rzeczywiście.

— No dalej. Powiedz to, Eleno. Tak właśnie jest, gdy robi się to samemu. Pamiętam, jak byłem jeszcze dzieckiem, przed moją pierwszą Przemianą a Clay często...

Przerwał. Już nie podjął tego tematu. Zapadła cisza, a ja odwróciłam się do kominka, przegarniając kłody i patrząc, jak buchają z nich fontanny iskier. Drzwi się otworzyły. Usłyszałam, że Jeremy wszedł do pokoju, ale nie odwróciłam się. W chwilę potem skrzypnęły sprężyny kanapy, kiedy Nick wstał. Przeszedł przez pokój i drzwi znów się zamknęły. Jeremy usiadł obok mnie przy kominku. Jego dłoń niepewnie dotknęła mojej głowy i pogładziła po włosach.

— Wiem, jakie to dla ciebie trudne, Eleno. Wiem, jak bardzo się boisz, że mogłabyś go utracić.

— To nie tak. To znaczy owszem, boję się go stracić. Ale jeżeli sądzisz, że nagle uświadomiłam sobie, jak bardzo go kocham i że jeśli — a raczej kiedy — go odzyskamy, wróć do domu i wszystko będzie idealnie, to się mylisz. Przykro mi. Wiem, że tego chcesz, że tak byłoby łatwiej dla ciebie i dla wszystkich innych, ale tak się nie stanie. Owszem, zależy mi na nim. Bardzo. I tak, chcę go odzyskać. Chcę, żeby wrócił do ciebie, do Nicka, do Watahy. Martwię się, bo czuję się za to odpowiedzialna.

Jeremy milczał.

Obejrzałam się na niego przez ramię.

Więc ty też uważasz, że jestem za to odpowiedzialna?

— Nie, w żadnym razie. Nie odpowiedziałem, bo pomyślałem, że w tej sytuacji lepiej będzie milczeć. Skoro uważasz, że dlatego się martwisz...

— Tak.

Milczał przez chwilę, po czym zaczął rozmasowywać moje ramiona i barki, jego palce wprawnie uciskały zbite mięśnie między łopatkami.

— Cokolwiek jest powodem twego niepokoju, nie możesz obwiniać się za to, co się stało. Już to wcześniej przerabialiśmy. Powinienem był wysłać was gdzieś indziej. Wydawało mi się, że postępuję mądrze, ale nawet nie zdawałem sobie sprawy, że coś się stało, dopóki nie spróbowałem skontaktować się z Clayem tamtego wieczoru.

— Robiłeś to jeszcze później? — spytałam, prostując się i odwracając ku niemu. — Kontaktowałeś się z Clayem, odkąd został uprowadzony? Próbowaleś, prawda? Co mówił...? Czy...?

Jeremy przyłożył palec do moich ust.

— Tak. Próbowalem. Wiele razy. Ale nie mogę do niego dotrzeć. To przez te prochy, którymi go odurzili.

Była jeszcze inna możliwość, dlaczego Jeremy nie mógł nawiązać kontaktu z Clayem, ale nie powiedziałam tego. Nie odważyłam się. Jeremy chyba wyczytał coś w mojej twarzy, bo pokręcił głową.

— Nawet o tym nie myśl. Widziałas dzisiejsze zdjęcie. Wygląda kiepsko, ale żyje.

Wydawał się bardzo zmęczony. Wataha stała się celem ataku, a kundłe przedzierały się przez zapory ochronne niemal równie szybko, jak Jeremy je wznosił. To go wykańczało. Wolałabym tego nie dostrzegać. Wolałabym wierzyć, jak Nick i Antonio, że samiec alfa, przywódca Watahy, był niezniszczalny. Tak są wychowywane wilkołaki, wpaja się im, że niezależnie co by się stało, ich alfa je ochroni. Ale to był błąd. Poważny błąd. W normalnych okolicznościach to się może sprawdzało, kiedy Watahę atakował nie więcej niż jeden kundel naraz, a zadaniem alfy było rozstrzygnięcie wewnętrznych konfliktów i jednoczenie sił przeciwko wrogowi zewnętrznemu, jakim były kundłe. Jednakże w obliczu tak poważnego kryzysu alfa potrzebował wsparcia nie tylko do bezpośredniej walki z zagrożeniem, ale również do opracowania planu nadchodzącej nieuchronnie konfrontacji. Taka współpraca nie wchodziła w rachubę. Jeremy mógł wymieniać się pomysłami z Antoniem, ale nigdy nawet nie pomyślałby, aby poprosić go o radę, a żadnemu z członków Watahy nie śniłoby się, że mógłby mu jej udzielić. Mnie owszem. Chciałam powiedzieć Jeremy'emu, co wymyśliłam, i spróbować mu jakoś pomóc, wiedziałam jednak, że nie mogę. Jeżeli czuł się tym wszystkim przytłoczony, fakt, że podważałam skuteczność jego planów, tylko pogorszyłby sprawę. Podobnie jak Antonio i Nick, Jeremy był ograniczony tą samą mylnie pojmowaną koncepcją przywództwa. Odpowiedzialność za ocalenie Watahy spadała wyłącznie na jego barki i było to brzemię, którego mógł w tej sytuacji nie udźwignąć. Jedyнным sposobem, aby pomóc, było opracowanie przeze mnie własnego, odrębnego planu.

## PRZEBUDZENIE

Następnego ranka Jeremy i Antonio znowu wyjechali. Wróciłam do pracy. A przynajmniej przygotowałam się do powrotu do pracy. Zadzwoiłam do szpitala, żeby sprawdzić, co z Philipem, a potem usiadłam za biurkiem w gabinecie, odpaliłam laptopa Claya i siedziałam, spoglądając to na telefon, to na laptopa. To były moje jedyne narzędzia mogące pomóc w odnalezieniu Claya i nie bardzo wiedziałam, jak miałabym się nimi posłużyć. Wyjęłam kartkę papieru i spisałam to, co wiedziałam, w nadziei, że przyjdzie mi do głowy jakiś nowy, olśniewający pomysł.

Zostały nam dwa doświadczone kundle, o połowę mniej niż na początku. To było pocieszające, dopóki nie uświadomiłam sobie, że wyeliminowaliśmy te mniej groźne, a przy życiu zostały te groźniejsze. Niedobrze. Były też dwa nowe kundle. LeBlanca znałam i wiedziałam, jak działał. Znów odetchnęłam z ulgą dopóki nie przypomniałam sobie, że dotąd nie poznałam protegowanego Caina, Victora Olsona. Zatem to musiał być mój następny krok — dowiedzieć się czegoś więcej o Olsonie. Naturalnie stwierdzenie, co miałam teraz zrobić, nie było równoznaczne z tym, jak tego dokonam. Z dwóch narzędzi, jakimi dysponowałam, Internet wydawał się pewniejszy, głównie dlatego, że jeżeli chodziło o telefon, nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć.

Cain powiedział, że jego protegowany nazywał się Victor Olson i że wy dostał go z więzienia w Arizonie, gdzie tamten odsiadywał wyrok za przestępstwa na tle seksualnym. Skoro Daniel odnalazł Olsona, jego przestępstwa musiały być na tyle poważne, że wspomniano

— nich w mediach. Zwykle wpisanie nazwiska i nazwy miasta zaowocowało siedmioma odnalezionymi odnośnikami. Pierwszy dotyczył nieżyjącego od wielu lat ojca miasta nazwiskiem Victor Olson. Następne cztery były związane z Vikiem „Szalonym Psem” Olsonem, co zabrzmiało obiecująco, dopóki, kliknąwszy myszką, nie weszłam na stronę wojującego adwokata od trudnych

kontrowersyjnych spraw. Przy ostatnich dwóch odnośnikach trafiłam w dziesiątkę. Victor Olson prysnął z więzienia cztery miesiące temu, skracając sobie wyrok dożywocia za gwałt i zabójstwo dziesięcioletki. Przeczytałam kilka razy, ile lat miała ofiara. Cain powiedział, że Olson siedział za „zabawianie się z paroma dziewczynkami”. Sądziłam, że mówiąc o dziewczynkach, miał na myśli kobiety. Widać nie. Tłumiąc w sobie odrazę, przeczytałam artykuł. Olson był odsiadującym dożywocie pedofilem, którego wcześniej kilkakrotnie oskarżano o nieobyčajne zachowanie, ale oskarżenia upadały, gdy sędzia oddalał zeznania świadków, uznając je za „nieprzekonujące”. W przypadku ostatniej ofiary sędzia musiał uznać dowód w postaci martwego dziecka za przekonujący. Zajrzałam na inną stronę i przeczytawszy artykuł prasowy, odkryłam, dlaczego Daniel wybrał Olsona. Był prześladowcą i tropicielem. Dobierał starannie swoje ofiary i śledził je przez wiele tygodni, zanim zaatakował. Jeden z detektywów powiedział, że nigdy dotąd nie spotkał nikogo, kto byłby tak dobry w „sztuce polowania”. To jego słowa, nie moje.

Przez następną godzinę układałam posiadane informacje. Gdy do niczego mnie to nie doprowadziło, odnalazłam Nicka w sali treningowej i powtórzyłam mu wszystko w nadziei, że zdoła coś wymyślić albo samo powtórzenie na głos tego, co wiem, pomoże mi w określeniu dalszego kierunku działań. Nick wysłuchał mnie, ale nie podsunął żadnego pomysłu. Nie miał pomysłów. To nie było w jego stylu. Zabrzmiało gorzej, niż zamierzałam. Chodziło mi o to, że był przyzwyczajony do realizowania planów innych. Był entuzjastycznym adiutantem i lojalnym przyjacielem, ale nie należał do... jakby to powiedzieć w miarę delikatnie — do mózgowców. Rozmowa z nim też niewiele mi dała. W tej sytuacji odłożyłam swoje zapiski, wyłączyłam laptopa i zajęłam się najbardziej otepiającą nudną i prozaiczną czynnością jaką znałam.

Zrobiłam pranie.

Nikt nie robił prania, odkąd wyjechaliśmy do Toronto, przypuszczalnie dlatego, że to ostatnia rzecz, o której ktokolwiek mógłby pomyśleć. Nie zdawałam sobie sprawy, co to oznaczało, dopóki przy składaniu pierwszej partii rzeczy nie natknęłam się na koszulkę Claya. Stałam w pralni, trzymając w dłoniach koszulkę. Clay nosił ją na dzień przed naszym wyjazdem. Nie wiem, czemu to zapamiętałam. To była ciemnozielona koszulka polo, jedna z niewielu, jakie posiadał, pomijając całe mnóstwo białych i czarnych bawełnianych podkoszulków. Pewnie dostał ją w prezencie od Logana, który bez większego powodzenia starał się wzbogacić nieco gust Claya, jeżeli chodziło o ubiór. Spojrzałam na koszulkę, myśląc o Loganie, i żal powrócił ze zdwojoną siłą. A potem pomyślałam o Peterze, przypominając sobie, jak podrwiwał z Claya i



jego monochromatycznego ubioru, grożąc, że sprawi mu kolekcję najbardziej krzykliwych kolorystycznie podkoszulków, jakie tylko zdoła znaleźć. Mrugając energicznie, wcisnęłam koszulkę pod stertę bokserów Nicka i robiłam swoje.

Kiedy poskładałam pierwszą partię, zaniiosłam ją na górę, aby rozdzielić odzież. Rzeczy Claya zostawiłam na koniec. Przez kilka minut stałam przed jego zamkniętą sypialnią i zbierałam się na odwagę, by wejść do środka. Zrobiłam, co musiałam, jak najszybciej, upychając koszule, bieliznę i skarpety do szuflad. Dżinsy trafiły do szafy. Tak, wieształ tam dżinsy, przypuszczalnie dlatego, że gdyby tego nie robił, szafa byłaby pusta. Wieształam właśnie dżinsy, kiedy na podłodze szafy ujrzałam stosik zapakowanych prezentów. Nie spoglądając na przywieszki, wiedziałam, dla kogo były przeznaczone. Jakaś część mnie chciała trzasnąć drzwiami i uciec. Nie chciałam ich oglądać. Nie mogłam jednak się oprzeć. Sięgnęłam i podniosłam pierwszy z prezentów. Był opakowany w świąteczny papier w choinki i świece. Na przywieszce skreślono napisy „od” i „dla” i napisano tylko „Elena”.

Nick powiedział, że Clay czekał na mój powrót. W poprzednie święta sama niemal spodziewałam się, że się tu zjawię, nie z własnej woli, ale za sprawą czarów, jakbym miała zasnąć w Wigilię w Toronto i obudzić się w Boże Narodzenie w Stonehaven. Wielkanoc, Święto Dziękczynienia, urodziny, to wszystko mijało niepostrzeżenie, nieprzepełnione pragnieniem powrotu. Z Bożym Narodzeniem było inaczej.

Dorastając, nienawidziłam świąt. Ze wszystkich możliwych to właśnie na Boże Narodzenie mówiło się najwięcej o rodzinie, te wszystkie filmy, reklamy, zdjęcia na okładkach czasopism ukazywały szczęśliwe rodziny podczas przygotowań do nadchodzących świąt. Nie mogę powiedzieć, że mnie to ominęło. Moje rodziny zastępcze nie były aż tak prymitywne. Dostawałam prezenty i indyka na kolację. Chodziliśmy na przyjęcia i na pasterkę. Siadałam na kolanach Mikołaja i uczyłam się kolęd, by zaśpiewać je później w szkole. Jednak bez prawdziwych więzów rodzinnych wszystkie ceremonie tego szczególnego okresu były fałszywe jak sztuczny śnieg. Kiedy więc w wieku osiemnastu lat wyprowadziłam się i zamieszkałam sama, przestałam obchodzić święta. A potem poznałam Claya. Podczas tego pierwszego wspólnego roku poczułam, że można naprawdę przeżyć prawdziwe Boże Narodzenie. Co prawda nie otaczali mnie rodzice, dziadkowie, ciocie i wujkowie, ale miałam kogoś. Pierwsze ogniwo do całej reszty, której tak pragnęłam.

Powinłam powiedzieć, że Clay nie miał pojęcia, jak się obchodzi Boże Narodzenie. To nie było oficjalne święto wilkołaków. No dobra, wilkołaki nie miały oficjalnych świąt, ale nie w tym rzecz. Wataha uważała Boże Narodzenie za okazję do wspólnego spotkania, co czyniono wiele razy w roku. Wręczano sobie nawzajem prezenty jak na urodziny, ale na tym kończyło się świętowanie. Co zatem zrobił Clay, kiedy napomknęłam, że chciałabym mieć prawdziwe Boże Narodzenie? Urządził mi je.

Choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam, Clay przez wiele tygodni gromadził informacje na temat świąt Bożego Narodzenia. A potem urządził je z pełną pompą. Poszliśmy i ścięliśmy choinkę, po czym okazało się, że nie mamy rady przewieźć jej z powrotem jego motocyklem. Zamówiliśmy dostarczenie choinki do domu i przystroiliśmy ją. Zrobiliśmy kruche ciasto, pierniki i ciasteczka, odkrywając też, jak ciężko jest uformować piernikowe ludziki bez foremek. Zrobiliśmy tort owocowy, który zapewne stał dalej na balkonie w jego starym mieszkaniu, gdzie ostatecznie służył nam do przytrzymywania uchylonych drzwi. Kupiliśmy lampki na balkon, wróciliśmy do sklepu po przedłużacz, a potem jeszcze po nożyce do cięcia drutu, aby wyciąć otwór w płycie i przeciągnąć przezeń przewód. Słuchaliśmy kolęd, obejrzelśmy *Grinch: Świąt nie będzie* i wypożyczyliśmy *To cudowne życie*, choć Clay na drugim filmie zasnął, no dobrze, zasnęliśmy oboje. Piliśmy eggnog\* Eggnog — popularny w USA i Kanadzie napój podobny do kogla-mogla. Pije się go głównie w czasie świąt Bożego Narodzenia (przyp. tłum.).

przy kominku, a raczej przy wyciętym z czasopisma zdjęciu kominka, które Clay powiesił na ścianie. Żadna z tradycji nie została pominięta. To było idealne Boże Narodzenie. Nie dotrwaliśmy do Wielkanocy.

W następnym roku świąt nie było. To znaczy poza Stonehaven na pewno były, ale tu przeszły niezauważone. Do zimy w ogóle nie wychodziłam z klatki. Clay wciąż przebywał na wygnaniu. Logan przyjechał, by się ze mną zobaczyć, ale spławiłam go jak parę razy wcześniej, kiedy próbował mnie odwiedzić. Nick przysłał prezent. Wyrzuciłam go, nawet nie otwierając. Zanim Clay mnie ugryzł, poznałam Logana i Nicka i nawet zaczęłam uważać ich za swoich przyjaciół. Później miałam im za złe, że mnie nie ostrzegli. Tak więc święta nadeszły i minęły, a ja właściwie tego nie zauważyłam.

W następnym roku Clay wciąż był na wygnaniu. Do tego czasu prawie stanęłam już na nogi. Wybaczyłam Loganowi i Nickowi, a nawet Jeremy'emu. Zaczynałam poznawać Antonia i Petera. Byłam bliska zaakceptowania życia jako wilkołak. A potem nadeszły święta. Spodziewałam się, że znów miną bez wielkich ceregieli jak rok wcześniej. Zamiast tego mieliśmy święta na całego, z prezentami pod choinką kolorowymi lampkami, których blask rozświetlał śnieg, i z indykiem na stole. Cała Wataha zjechała do Stonehaven na tydzień i po raz pierwszy zrozumiałam, jak szalone, stresujące, hałaśliwe i cudowne może być Boże Narodzenie w gronie rodzinnym. Sądziłam, że Wataha zawsze spędzała tak święta, gdy nie było wśród nich zbuntowanej młodej wilkołaczki. Dopiero w styczniu dowiedziałam się prawdy. To Clay skontaktował się z Jeremym i poprosił, aby zrobił to dla mnie. Moim prezentem dla niego było poproszenie Jeremy'ego o cofnięcie kary i zniesienie wygnania.

Od tamtej pory co roku urządzaliśmy w Stonehaven huczne Boże Narodzenie. Wataha realizowała moje fantazje bez szemrania, ale nie miałam przy tym wrażenia, że robią to tylko po to, by sprawić mi frajdę. Nie mogę powiedzieć, że wszystkie święta były udane. Czasami między Clayem a mną było dobrze, choć częściej się kłóciliśmy, ale zawsze byliśmy razem. Jeżeli te ostatnie święta z dala od Claya były trudne, jedno pozwoliło mi je jakoś przetrwać — świadomość, że on gdzieś tam jest. Gdy tak patrzyłam na stos prezentów w jego szafie, rozumiałam, że to odnosiło się do każdego dnia tego roku, nie tylko do świąt. W jakiś sposób świadomość, że Clay gdzieś tam jest i czeka na mój powrót, przynosiła mi pocieszenie. Na swój pokretny sposób był najbardziej stabilnym elementem mojego życia. Niezależnie co bym zrobiła, on i tak tam będzie. A jeżeli nie? Ta myśl sprawiła, że przeszły mnie ciarki tak lodowate, że odniosłam wrażenie, iż powietrze zamarzło mi w płucach, i zaczęłam walczyć o kolejny oddech. Poprzedniej nocy w rozmowie z Jeremym wcale nie skłamałam. To nie był jeden z tych baśniowych romansów, w którym bohaterka uświadamia sobie, że kocha bohatera, gdy ten znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. W tej historii nie było bohaterów ani bohaterek, żadnego „i żyli długo i szczęśliwie”, nawet gdybyśmy odzyskali Claya. Wciąż nie wyobrażałam sobie, abym mogła z nim żyć, choć nie wyobrażałam też sobie życia bez niego. Może to było nieludzko egoistyczne podejście. Na pewno tak. Ale przynajmniej uczciwe. Potrzebowałam Claya i musiałam go odzyskać. Znów spojrzałam na prezenty i zrozumiałam, że muszę się bardziej postarać.

— Wybieram się do Bear Yalley — oznajmiłam.

— To było następnego dnia. Nick i ja wylegiwaliśmy się na fotelach na patio z talerzami przekąsek na podólkach. Jeremy i Antonio wyjechali godzinę temu. Od tego czasu starałam się wymyślić, w jaki sposób mam opowiedzieć Nickowi o swoich planach. Po kilkunastu falstartach postanowiłam powiedzieć mu to wprost. Powiedziałam Danielowi, że chcę się z nim spotkać — rzekłam.

— To było w liście?

Kiedy Antonio i Nick pojechali, by dostarczyć kolejną wiadomość od Jeremy'ego na adres skrytki pocztowej Daniela, podałam Nickowi liścik, by dołączył go do listu Jeremy'ego. Nick wcześniej o to nie zapytał, zapewne dlatego, że nie chciał nic wiedzieć.

— Tak — odparłam. — Spotkam się z nim o drugiej.

— Jak przekaże ci odpowiedź?

— Nie przekaże. Napisałam, że spotkam się z nim o drugiej. Będzie tam.

— Jeremy się na to zgodził?

Po tonie głosu Nicka domyśliłam się, że wiedział, iż nie powiedziałam o tym Jeremy'emu. Pytanie miało na celu poruszenie tego tematu. A może wbrew nadziei ludził się, że było to coś, co zaplanowałam wspólnie z Jeremym, ale jakoś oboje zapomnieliśmy mu o tym powiedzieć.

— Nie zamierzam tu dłużej siedzieć bezczynnie — powiedziałam. — Mam dość. Próbowałam, ale nie mogę.

Nick zwiesił nogi i usiadł na brzegu fotela.

— Wiem, jakie to dla ciebie trudne, Eleno. Wiem, jak bardzo go kochasz.

— Nie o to chodzi. Już to przerabiałam z Jeremym. Musimy odzyskać Claya. Czy mi pomożesz, czy nie, to zależy od ciebie.

— Chcę pomóc go odzyskać, ale nie pomogę ci się przy tym zabić.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To co powiedziałem. Widziałem cię parę dni temu...

— O to chodzi? Bo parę dni temu trochę mnie poniosło? Spójrz na mnie teraz. Wyglądam, jakbym nad sobą nie panowała?

— Nie, i to właśnie przeraża mnie bardziej, niż gdyby było inaczej.

— Jadę tam.

— Nie pojedziesz beze mnie.

— Dobrze.

— Ale ja nigdzie nie jadę. Więc ty też nie.

Wstałam i ruszyłam w stronę tylnych drzwi. Nick poderwał się na nogi i zastąpił mi drogę.

— Co chcesz zrobić? — spytałam. — Przyłożyć mi i zamknąć w klatce?

Odwrócił się, ale nie usunął z drogi. Wiedziałam, że nic nie zrobi. Gdyby przyszło co do czego, Nick nie posunąłby się do użycia siły, aby mnie zatrzymać. To nie było w jego stylu.

— Gdzie ma być to spotkanie? — zapytał w końcu. — W miejscu publicznym? Bo jak nie...

— W cukierni Donut Hole. Bardziej publicznego miejsca nie można sobie chyba wyobrazić. Niezależnie co możesz o mnie myśleć, nie zamierzam zrobić nic, co mogłoby narazić moje życie na niebezpieczeństwo. Ani nie naraziłabym ciebie. Jedyne ryzyko, jakie podejmuję, to złamanie zaleceń Jeremy'ego. A robię to tylko dlatego, bo źle postąpił, wykluczając mnie ze swoich planów.

— A więc masz spotkać się z Danielem w cukierni i ja też tam będę. Zaparkujemy od frontu. Nigdzie z nim nie pójdziemy, nawet na krótki spacer po ulicy.

— Otóż to.

Nick odwrócił się i wszedł do domu. Nie był zadowolony, ale zamierzał to zrobić. Kiedyś mu się za to odwdzięczę.

Gdy zajęłam na parking przed cukiernią, mogłam zobaczyć Daniela przez szybę. Siedział przy stoliku. Długie do ramion kasztanowe włosy miał odgarnięte za lewe ucho — jedyne po naszej małej sprzeczce sprzed lat. Miał ostry profil, wysokie kości policzkowe, spiczasty podbródek, wąski nos, całkiem przystojny na swój dziki, zwierzęcy sposób, ale przypominał raczej lisa niż wilka, co lepiej odzwierciedlało jego osobowość.

Kiedy wysiadłam z samochodu, jego zielone oczy podążały za mną. Ciało miał szczupłe i silne. Gdy stał, nasze oczy były na równym poziomie, co oznaczało, że nie miał więcej niż metr siedemdziesiąt siedem wzrostu. Raz, kiedy miałam dostarczyć Danielowi ostrzeżenie od Jeremy'ego, założyłam pięciocentymetrowe szpilki i z niekłamaną rozkoszą patrzyłam na Daniela z góry, dopóki nie powiedział, jak seksownie w nich wyglądam. Od tamtej pory widywał mnie tylko w znoszonych trampkach.

Dziś Daniel miał na sobie prosty czarny podkoszulek i dzinsy, czyli to samo co zwykle. Naśladował styl ubierania się Claya, jakby sądził, że to przyda mu klasy. Bez powodzenia. Marsten siedział naprzeciwko Daniela. Jak zawsze był ubrany jak ze stronic „GQ”, przez co Daniel sprawiał przy nim wrażenie nieokrzesanego prostaka. No dobrze, przy Karlu Marstenie wszyscy tak wyglądali.

Kiedy Nick i ja weszliśmy, Marsten wstał i podszedł do drzwi, by nas powitać.

— Jesteś — rzekł do mnie. — Dziwię się, że Jeremy pozwolił ci przyjechać. Czy on w ogóle o tym wie? Wymierzyłam sobie w myślach kopniaka. Nie pomyślałam, jak to będzie wyglądało, jeśli pokażę się tu wbrew zaleceniom Jeremy'ego. Rozłam w Watasze. Cudownie. Mogłam się domyślić, że Marsten natychmiast podejmie ten temat.

— Świetnie wyglądasz, Eleno — ciągnął Marsten, nie czekając na moją odpowiedź. — Zmęczona, ale można się było tego spodziewać. Miejmy nadzieję, że to wszystko niebawem się skończy.

— To zależy od was — odparłam.

— Po części. — Odwrócił się do sprzedawczyni za kontuarem. — Dwie kawy. Dla pani czarna, a dla pana... — spojrzał na Nicka — jedna śmietanka, dwie saszetki cukru, zgadza się?

Nick popatrzył na niego spode łba.

— Jedna czarna. Druga z jedną śmietanką i dwiema saszetkami cukru — powtórzył Marsten. — Proszę to doliczyć do mojego rachunku. — Przerwał i odwrócił się do mnie z drwiącym uśmiechem. — Nie do wiary, że mogłem powiedzieć coś takiego w cukierni. Muszę wynieść się z tego miasta.

Odwróciłam wzrok.

— Kopę łat, Nicholasie — ciągnął Marsten. — Co u twego ojca? W zeszłym roku zainwestowałem w jedną z jego spółek. Trzydzieści procent zysku. Nie stracił swego talentu.

Ignorując go, Nick usiadł na stołku przy kontuarze i spojrzał na pączkowe menu. Marsten zajął miejsce obok niego. Spojrzał na mnie i ręką wskazał na Daniela.

— Dotrzymam towarzystwa Nicholasowi — powiedział.

Daniel nie uniósł wzroku, kiedy podeszłam. Zamieszał kawę i przywitał mnie lekkim skinieniem głowy. Kelnerka podała mi kawę. Odstawiłam filiżankę na bok i usiadłam naprzeciwko Daniela. Wciąż mieszał kawę. Siedziałam przez kilka sekund w milczeniu. W innych okolicznościach sprawdziłabym, jak długo mógł udawać obojętność, mieszając kawę, zanim pęknie i na mnie spojrzy. Ale czas na gierki dobiegł końca.

— Czego chcesz? — spytałam.

Wciąż mieszał kawę, nie odrywając wzroku od filiżanki, jakby ta mogła uciec, gdyby spuścił ją z oczu.

— A czego zazwyczaj chcesz?

— Zemsty.

Uniósł wzrok i spojrzał mi w oczy, ale zaraz przerwał kontakt i niespiesznie otaksował mnie od stóp do głów. Zgrzytnęłam zębami i czekałam. Po kilku sekundach miałam chęć pstryknąć palcami przed jego twarzą i powiedzieć, że nie ma mnie aż tyle, by się tak długo wpatrywać.

— Chcesz zemsty — powtórzyłam, by przywrócić jego mózg na właściwy tor.

Daniel rozsiadł się wygodniej, zakładając nogę na nogę, wyglądał na rozluźnionego.

— Nie. Nigdy tego nie chciałem. Zapomniałem już o tym, co mi zrobiła Wataha. Oni nie są warci mojego czasu. Ty owszem.

— Zaczyna się — mruknęłam.

Daniel mnie zignorował.

Wiem, dlaczego z nimi trzymasz, Eleno. Bo boisz się odejść, boisz się tego, co mogliby zrobić, i tego, co stałoby się z tobą gdyby cię nie chronili. Próbuję ci uświadomić, że nie mogą cię skrzywdzić ani nie są w stanie cię ochronić. Gdybyś chciała partnera, prawdziwego partnera, zasługujesz na kogoś lepszego niż ja — ktoś dziwoląg, który musi trzy razy obrócić się w koło, zanim się położy. Mogę dać ci coś znacznie lepszego.

— A więc tu chodzi tylko o mnie? Pieprzenie.

— Myślisz, że nie jesteś tego warta? Sądziłem, że masz o sobie wyższe mniemanie.

— Mam wyższy iloraz inteligencji. Nie chodzi o mnie. Nigdy nie chodziło. Tu chodzi o ciebie i Claya. Sądzisz, że należę do niego, więc chcesz mnie mieć. Twoja motywacja jest równie złożona jak u dwulatka, który wypatrzył nową lśniącą zabawkę u innego dzieciaka. Chcesz ją mieć.

— Nie doceniasz swojej wartości.

— Nie, raczej nie doceniłam tego, jak bardzo go nienawidzisz. Co się stało? Dostawał większy kawałek tortu niż ty?

— Zmienił moje życie w piekło. On i jego kumpel. — Daniel łypnął na Nicka. — Biedny mały Clay. Ma problemy. Miał ciężkie życie. Musisz być dla niego miły. Powinieneś się z nim zaprzyjaźnić. Stale mi to powtarzano. Wszyscy widzieli tylko miłe, małe wilcze szczenię. Wyszczrzył zęby, a wszyscy pomyśleli, jaki on milutki. Dyrygował nami jak mały Napoleon, a oni uważali, że jest uroczy. Z mojego punktu widzenia wcale nie był uroczy. To było...

Uniosłam rękę.

— Bredzisz.

— Co takiego?

Chciałam, żebyś to wiedział. Bredzisz. To nie zwiastuje niczego dobrego. Jeszcze trochę, a zaczniesz snuć plany przejęcia władzy nad światem. To właśnie robią wszystkie czarne charaktery, gdy już ujawnią motywy, jakie nimi kierują. Miałam nadzieję, że z tobą będzie inaczej. Daniel upił łyk kawy, pokręcił głową i zaśmiał się lekko.

— Cóż, pokazałaś mi moje miejsce w szeregu. Zawsze byłaś w tym niezła. Ty każesz mi szczekać, a ja pytam, jak głośno.

— Mówię, uwolnij Claya...

Daniel skrzywił się.

— A ja pytam, po co? No dobrze, moje posłuszeństwo ma pewne granice. Nie puszcę go tylko dlatego, że ty tak chcesz, Eleno. Możesz wywracać oczami, dąsać się i błagać, ale choć mnie to cholernie kręci, i tak go nie uwolnię. Usłyszysz ode mnie tę samą propozycję co Jeremy. Ty za Claya.

— Dlaczego?

— Już mówiłem.

— Bo jestem tak cholernie pociągająca. Jasne. Podaj mi lepszy powód albo wychodzę.

Daniel milczał przez chwilę, po czym pochylił się do przodu.

— Myślałaś kiedyś o założeniu własnej Watahy? Nie mówię o zwerbowaniu bandy przygłupich kundli, ale stworzeniu dynastii. Nie jesteśmy nieśmiertelni, Eleno, ale to sposób na zapewnienie nam nieśmiertelności.

— Naprawdę mam nadzieję, że nie sugerujesz tego, co myślę, że sugerujesz.

— Dzieci, Eleno. Nowy miot wilkołaków dziedziczących geny obojga rodziców. Wilkołaki idealne.

— Rany. Naprawdę chcesz przejąć władzę nad światem.

— Mówię poważnie.

Poważnie ci odbiło. Wybacz, ale moje łono nie jest na sprzedaż ani do wynajęcia.

— Nawet za cenę życia? Życia Claya?

Udałam, że się nad tym zastanawiam. Pora na blef.

— A więc jeśli zgodzę się pójść z tobą, uwolnisz go?

— Tak. Ale nie ufam ci na tyle, by wierzyć, że pójdziesz ze mną i zostaniesz, więc postawmy sprawę jasno. Zamierzam zabrać cię w pewne miejsce, odpowiednio odludne i zabezpieczone. Zostaniesz uwięziona. Trochę tak jak w klatce w Stonehaven, ale w bardziej luksusowych warunkach. Dasz mi, czego chcę, wszystko, czego chcę, a nie posiedzisz tam długo. Kiedy już przekonam cię, że stanowią lepszą partię, wypuszczę cię. Jeżeli spróbujesz uciec, znów cię tam zamknę.

— No nie wiem, nie brzmi to zbyt kusząco.

— Mówię szczerze, Eleno. To wymiana. Jego wolność za twoją.

Udałam, że się nad tym zastanawiam, wyglądając przez szybę. Nagle odwróciłam się do Daniela.

— Oto moje warunki. Chcę widzieć, że go wypuszczasz. Zrobisz to w biały dzień, w miejscu publicznym. Będę tam z tobą, aby zobaczyć to na własne oczy. Kiedy on będzie wolny, pojedę z tobą.

— Nic z tego. Najpierw pojedziesz ze mną, a dopiero wtedy go uwolnię.

— Nie zamierzasz go uwolnić — rzuciłam. — Tak ja to widzę.

Wstałam, odwróciłam się i wyszłam z cukierni. Nick i Daniel wybiegli za mną. Kiedy podeszłam do samochodu, Daniel wyciągnął rękę i zatrzasnął przede mną drzwiczki.

— Widziałaś zdjęcia, prawda? — zapytał.

Zatrzymałam się, ale nie odwróciłam.

Wiem, że je widziałaś — ciągnął Daniel. — Widziałaś, w jakim jest stanie. Wiesz, że będzie tylko gorzej. Jak sądzisz, ile jeszcze wytrzyma?

Odwróciłam się powoli. Ujrzałam oblicze Daniela, wyraz satysfakcji w jego oczach i nie wytrzymałam. Przez ostatnie pół godziny starałam się nie myśleć o Clayu. Kiedy rozmawiałam z Danielem, starałam się zapomnieć, że to on uwięził Claya, odurzył go i pobił tak, że na całym ciele nie było nawet kawałka nienaruszonej skóry. Skupiłam się, by rozmawiać z Danielem tak jak setki razy wcześniej, jakbym przekazywała mu kolejne ostrzeżenie od Jeremy'ego nakazujące, aby przestał robić to, co robi, albo spotka go kara. Naprawdę bardzo się starałam zapomnieć o tym, co się działo. Ale kiedy otwarcie zagroził, że zabije Claya, nie mogłam już dłużej udawać. Wściekłość eksplodowała we mnie, zanim zdążyłam się pohamować.

Chwyciłam go za koszulę i cisnęłam o mój wóz z takim impetem, że przednia szyba rozprysnęła się w drobny mak.

— Ty parszywa hieno — wycodziłam mu prosto w twarz. — Porwałś go, bo udało ci się go odurzyć. Zrobiłeś to za pomocą strzykawki. Zakułeś go w kajdany, aby móc go katować. Musiałeś mieć absolutną pewność, że nie będzie miał dość sił, żeby choć na ciebie splunąć. A potem go skatowałeś. I jak, miło było? Czuleś się jak prawdziwy mężczyzna, masakrując wroga, który nie może nawet kiwnąć palcem, by się bronić? Nie jesteś ani mężczyzną, ani wilkiem. Jesteś hieną, podłym padlinożercą i ostatnim tchórzem. Jeżeli tkniesz go jeszcze raz, zrobię z tobą coś takiego, że utrata ucha będzie w porównaniu z tym jak zwykle zadrapanie. A jeżeli go zabijesz, to knę się na Boga, Szatana czy kto tylko ze chce mnie wysłuchać, że cię dopadnę. Znajdę cię i poddam wszystkim możliwym torturom, jakie tylko mi przyjdą na myśl. Oślepię cię, wykastruję i spalę. Ale cię nie zabiję. Nie pozwolę ci umrzeć. Wtrącę cię do piekła i każę ci w nim gnić przez resztę twoich dni.

Odepchnęłam Daniela na bok. Zatoczył się, odzyskał równowagę i odwrócił do mnie. Jego usta otworzyły się, zamknęły i znów się otworzyły, ale nie był w stanie wykrztusić z siebie odpowiedniej riposty, więc tylko obrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do cukierni, gdzie, jak się wydawało, wszyscy klienci zajęli, nie wiedzieć czemu, miejsca przy oknie. Kiedy odwróciłam wzrok, usłyszałam cichy gwizd i obróciwszy się, zobaczyłam Marstena opierającego się o samochód.

— Suka wróciła — rzekł Marsten. — No proszę, proszę. To może być nawet interesujące.

— Idź do diabła — warknęłam.

Silnym szarpnięciem otworzyłam drzwiczki, wsiadłam i uruchomiłam silnik, podczas gdy Nick wskoczył na siedzenie pasażera. Camaro z głośnym rykiem i piskiem opon ruszył z miejsca. Przez całą drogę powrotną do Stonehaven nawet nie spojrzałam na prędkościomierz.

Miałam rację co do jednego. Czas na gierki się skończył.

## REGRESJA

Opuściłam Stonehaven, kiedy już wszyscy położyli się spać. Ubrałam się po ciemku, wyskoczyłam przez okno i pchałam mój samochód kilometr, zanim odpaliłam silnik. Nie zdradziłam Nickowi swoich planów. Lepiej żeby ich nie znał.

Poszłam do swego pokoju wcześniej i przeleżałam cały wieczór na łóżku, rozmyślając. Moje spotkanie z Danielem było pomyłką. Odrzucając jego propozycję, tylko pogorszyłam sprawę. Jeremy chciał zyskać na czasie. Ja to zniweczyłam. Aby wszystko naprawić, musiałam zacząć działać.

Przez kilka godzin tego wieczoru próbowałam mentalnie skontaktować się z Clayem. Oczywiście bez powodzenia. Nie wiedziałam nawet, jak to zrobić, ale ludziłam się, że nasza więź może okazać się wystarczająca. Może faktycznie tak by było, ale chyba oczekiwałam zbyt wiele od czegoś, co od dawna ignorowałam. Nic się nie wydarzyło. Kiedy nie zdołałam wejrzeć do umysłu Claya, postanowiłam zajrzeć do umysłów kundli, które go przetrzymywały. Oczywiście mówię w przenośni. Postawiłam się na ich miejscu, próbując wyobrazić sobie, co czuły, co myślały, i może odkryć ich słabe punkty. Daniela i Marstena nietrudno było zrozumieć. Wiedziałam, czego chcieli i jak działali. Marsten nie zostawiłby mi żadnych „furtek”, przez które mogłabym się wślizgnąć. Słabością Daniela była jego obsesja na punkcie Claya i moim. Mogłam to wykorzystać, znów się z nim skontaktować i spróbować go zbajerować kłamstwami i uśmiechami, ale to wymagałoby czasu, a ja go nie miałam. Pozostawały nowe kundle. To było jak stąpanie po nieznanym gruncie. To nie wilkołaki, upomniałam samą siebie. Nie te prawdziwe. Jak wobec tego mogłam je zrozumieć? Przez długi czas leżałam na łóżku, gapiąc się w sufit, przygnębiona niemożnością zrozumienia tamtych dwóch. I wtedy to do mnie dotarło. Nie byli wilkołakami, ale byli ludźmi. Ja też byłam człowiekiem. Wciąż próbowałam nim być. Dlaczego nie mogłam wejść do ich umysłów? Wystarczyło pozbyć się mojej wilczej strony, co

próbowałam uczynić już od wielu lat. Jednak by zrozumieć tych zabójców, potrzebowałam czegoś więcej. Nie mogłam być człowiekiem, za jakiego pragnęłam uchodzić — pasywnym, troskliwym i zrównoważonym. Musiałam stać się taka, jaka byłam wcześniej.

Na tę myśl uruchomiły się wszystkie systemy obronne w moim mózgu. Miałam stać się taka, jaka byłam, zanim ugryzł mnie Clay? Ale przecież byłam pasywna, troskliwa i zrównoważona. Clay to odmienił. Wcześniej, przed nim, byłam inna. Nie taka. Chciałam w to wierzyć, ale wiedziałam, że to nieprawda. Zawsze miałam w sobie skłonność do przemocy. Clay to dostrzegł. Dziecko wilkołak dostrzegło dziecko ofiarę i ujrzało bratnią duszę, kogoś, kto rozumiał, co oznaczało dorastanie w wyobcowaniu, gdy nasze dziwne zachowania były przedmiotem zaniepokojenia dorosłych i drwin ze strony dzieci. W wieku siedmiu lat Clay był już w pełni wilkołakiem, zdolnym do przemocy i niepohamowanym. Mnie w tym samym wieku przybrani rodzice nauczyli, co znaczy nienawidzić, odkryłam w sobie skłonność do przemocy, jednak potrafiłam ją lepiej ukryć, kierując ją do wnętrza i ukazując światu oblicze małej, pasywnej dziewczynki, którą wszyscy chcieli we mnie widzieć. Nadszedł czas, abym się z tym zmierzyła. To nie Clay uczynił mnie tym, kim byłam. On tylko dał mi możliwość wyładowania mojego gniewu i nienawiści. Musiałam tam wrócić, do nieufności, nienawiści, bezsilności i gniewu, przede wszystkim gniewu wobec wszystkich, którzy mnie skrzywdzili. Tam znajdę umysł zabójcy, ludzkiego zabójcy.

LeBlanc nienawidził kobiet. Może był maltretowany przez matkę, wyśmiewany przez koleżanki w szkole albo miał tak niskie mniemanie o sobie, że musiał czuć się lepszy od jakiejś grupy ludzi i wybrał kobiety zamiast Murzynów lub Żydów. Jeżeli chodziło o niską samoocenę, mogłam z tym sobie poradzić. Ale żeby odkryć prawdę, musiałam poznać jego życie, dokopać się do korzeni jego psychopatologii. Niestety na to również nie miałam czasu.

A co z Victorem Olsonem? Odrzuciłam go bez namysłu. W sumie nigdy nawet go nie widziałam. Ale czy musiałam? Wyjęłam z szuflady dwa wydrukowane artykuły z Internetu i zaczęłam je uważnie czytać. Czego dowiedziałam się z nich o Olsonie? Był prześladowcą. Tropicielem. Cierpiał na zaburzenia kompulsywne. W jednym artykule przyznał, że wychodził co noc, by popatrzeć, jak jego ofiary śpią. Mówił, że widok ich spokojnych, pogrążonych we śnie twarzy odprężał go i pomagał w walce z bezsennością. Czy to, że stał się wilkołakiem, pomogło mu zwalczyć bezsenność albo te zaburzenia? Oczywiście, że nie. To oznaczało, że Olson zapewne nie wyzbył się starych nawyków i wciąż obserwował śpiące dziewczęta, tylko że teraz robił to tutaj, w Bear Valley.

Opuściłam Stonehaven, by odnaleźć Olsona. W artykułach napisano, że wybierał na ofiary dziewczęta ze średnio zamożnych rodzin. Zapewne będzie szukał parterowych domków, aby móc zajrzeć do środka przez okno. W Bear Valley były tylko dwie takie dzielnice. Wystarczy, że pokręcę się po ulicach, a powinnam go zwęszyć.

Jeżdżąc przez ponad godzinę po Bear Valley, zrozumiałam, jak żmudne było to zadanie. Owszem, dzielnice były tylko dwie, ale na każdą składało się ponad tuzin ulic z ponad setką domów. Do świtu zostało już tylko parę godzin.

Aby spenetrować możliwie jak największy teren, jechałam wolno z opuszczonymi wszystkimi szybami, nie licząc przedniej wybitej, której w ogóle nie było. Wiatr niekiedy mi sprzyjał. W większości jednak był przeciwko mnie i czułam jedynie gryzącą woń mojego rzadko używanego auta. Co gorsza, policja zwiększyła liczbę patroli, wciąż poszukując zabójcy. Zatrzymywali wszystkie auta poruszające się po mieście o tak późnej porze i tyle samo czasu, co na tropienie Olsona, straciłam na wymykanie się glinom. Po dwóch godzinach zakończyłam kontrolę obu dzielnic. Ani śladu Olsona. Może nawet tej nocy w ogóle nie wybrał się do miasta.

Robiłam ostatnią rundkę bocznymi uliczkami, kiedy na parkingu przed sklepem, o tej porze już od dawna zamkniętym, zobaczyłam samotny samochód. Mijając go, zwróciłam uwagę na



nalepkę z wypożyczalni aut naklejoną na tylnym zderzaku. No jasne. Jeżeli kundle nie ukrywały się gdzieś za miastem, Olson potrzebował środka transportu, by dotrzeć do Bear Valley. Skręciłam w najbliższą uliczkę, zaparkowałam i wysiadłam. Już w połowie drogi do sklepu wyczułam woń nieznanego wilkołaka.

Wybiegłam zza rogu i zatrzymałam się. Chodnikiem szedł krępy mężczyzna w średnim wieku, ubrany w wiatrówkę. Dzielilo nas zaledwie pięć metrów. Na szczęście Olson był odwrócony do mnie tyłem. Szedł do swego auta. Wróciłam za róg i pobiegłam do swego samochodu. Minął mnie, akurat gdy wykręcałam na podjeździe. Nie zapalając światła, pojechałam za nim.

Gdy wyjechaliśmy z Bear Valley, moje serce zabiło żywiej. Miałam rację. Zatrzymali się gdzieś na wsi. Olson mnie do nich doprowadzi. Jechaliśmy na północny zachód przez dwadzieścia minut, kiedy nagle Olson zjechał na zarośniętą polną drogę wiodącą w głąb lasu. Zatrzymał wóz na jego skraju. Już miałam zrealizować drugą część mojego planu, gdy uświadomiłam sobie, że Olson nie wysiadł z samochodu. Zatrzymałam samochód w pewnej odległości od niego, zgasiłam silnik i czekałam. Upłynęło dziesięć minut. Widziałam zarys jego głowy w aucie. Nachyliłam się, ostrożnie otworzyłam drzwiczki od strony pasażera i wślizgnęłam się do rowu.

Podkrałam się do końca polnej drogi. Las był czarny. Nawet gdy mój wzrok przywykł do ciemności, nigdzie nie widziałam żadnego domu. Kiedy znów spojrzałam w stronę wozu Olsona, stwierdziłam, że droga wiodła donikąd. To był tylko zjazd, miejsce parkingowe dla jednego auta i dojazd do szlaku turystycznego, który tu się zaczynał. Weszłam w las i podkrałam się bliżej auta. Gdy zbliżyłam się do drzwiczek od strony kierowcy, znieruchomiałam i spróbowałam przeniknąć wzrokiem ciemność. Olson opierał się potylicą o zagłówek. Oczy miał zamknięte. Spał. Przez chwilę zastanawiałam się dlaczego, ale pytanie było nieistotne. Może nie mógł spać razem z innymi. A może po swoich nocnych wypadach lubił być sam. Nieważne. Victor Olson nie doprowadzi mnie do Claya. A przynajmniej nie dziś. Ale nie mogłam czekać do rana. Rano Jeremy zorientuje się, że wyjechałam. Wataha zacznie mnie szukać. Nawet gdyby udawało mi się zwozić ich przez następny dzień, Daniel będzie miał kolejną dobę, aby zabić Claya. A co jeżeli Olson nie przyjechał tu tylko na chwilę? Co jeśli nie zamierzał więcej wracać do tamtych kundli?

Kiedy tak patrzyłam na śpiącego Olsona, w mojej głowie zaczął tworzyć się plan. Nawet gdy dopiero zaczął się formułować, miałam już pewne opory. Zawahałam się, ale w końcu zmusiłam się, aby wypełznąć pomiędzy drzew, zanim zmienię zdanie. Podkrałam się do drzwiczek od strony kierowcy. Olson obudził się, ale ja już sięgnęłam ręką do wnętrza samochodu. Szarpnęłam za pas bezpieczeństwa. Prześlizgnął się między moimi palcami, gdy zaciskałam go wokół niego. Odchylił głowę do tyłu, odsuwając się od mojej ręki, ale udało mi się sięgnąć za niego. Nachylając się do auta, szybkim ruchem zmiażdżyłam uchwyt zapięcia pasów bezpieczeństwa, blokując je. Następnie cofnęłam głowę na zewnątrz.

Olson odwrócił głowę, podążając wzrokiem za moją ręką która przesunęła się tuż przed nim. Potem spojrzał na mnie. Przez chwilę tylko patrzył z wybaluszonymi oczami, jakby oczekując pierwszego ciosu. Nawet gdy się cofnęłam, drgnął gwałtownie i skulił się w sobie. Kiedy zorientował się, że się wycofałam, zmarszczył brwi, a w jego oczach rozbłysły złowrogie iskierki. Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Nie odrywając ode mnie wzroku, opuścił prawą rękę do zatrzasku pasów bezpieczeństwa. Nacisnął przycisk, ale nic się nie wydarzyło. Uświadomiwszy sobie, co zrobiłam, szarpnęłam mocno za pas, ale ten był zablokowany i wrzynał mu się w pierś. Wiedziałam, co muszę zrobić, i znów się zawahałam. Czy mogłam to zrobić? Przypomniał mi się Jose Carter. To co innego, powiedziałam sobie. To nie zwykły drobny oszust i naciągacz, ale zabójca. A jednak zamierzałam teraz posunąć się dalej niż w przypadku Cartera.

Znacznie dalej. To była domena Claya. Czy dam radę? Czy zdołam odciąć się od wszelkich odczuć i zrobić to? Olson to zabójca, powiedziałam sobie. Więcej niż zabójca. To chory zwyrodnialec, który polował na małe dziewczynki. Ja też byłam kiedyś małą dziewczynką dawno, bardzo dawno temu. W innym życiu. Zamknęłam oczy i skoncentrowałam się, czując, jak wąż gniewu szaleje w moim ciele.

Olson zaczął szamotać się i szarpać za pas bezpieczeństwa, ale materiał był tak skonstruowany, by wytrzymać więcej niż atak rozszalałego wilkołaka. Zignorowałam go i skupiłam całą swą energię na lewej ręce. Zaczęła pulsować, a potem skręcać się, ból przeszył moje ramię aż do łokcia. Otworzyłam oczy i patrzyłam. Kiedy moja dłoń uległa połowicznej Przemianie, zatrzymałam proces. Prawą ręką sięgnęłam do samochodu i chwyciłam Olsona za prawy przegub, po czym rozplatałam go pazurami lewej. Wrzasnął piskliwie jak zraniony królik. Po wewnętrznej stronie jego przegubu pojawiła się czerwona, rozszerzająca się szrama. Trysnęła krew. Chwyciłam go za lewą rękę i zrobiłam to samo. Znów krzyknął i zaczął się dziko szarpać. Krew opryskała kierownicę i deskę rozdzielczą.

— Poruszając się, tylko pogorszysz swój stan — powiedziałam ze spokojem, przywracając mojej dłoni zwyczajny wygląd. — Jeżeli chcesz spowolnić upływ krwi, unieś ręce do góry.

— Dla... dla...

— Dlaczego? Czemu to robię? Czy dlaczego mówię ci, jak spowolnić upływ krwi? Na pierwsze pytanie chyba nie muszę odpowiadać. To jasne, że wiesz, kim jestem. Niech to ci wystarczy za odpowiedź. Co do drugiego pytania, nie chcę cię zabić. Chodzi mi tylko o informację. Jeżeli mi jej udzielisz, uwolnię cię z pasów. Opatrzę twoje nadgarstki i zapewne dotrzesz do szpitala na czas. Ale jeśli nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć, sam się zabijesz.

— *C... C...* — *wychrypiał Olson.* — *Co chcesz wie... wiedzieć?*

— Na to pytanie też chyba nie muszę odpowiadać. Ale może jesteś w szoku i nie myślisz zbyt trzeźwo, więc co mi tam, zrobię ci tę frajdę. Gdzie jest Clayton?

Resztę tej rozmowy pozwolę sobie pominąć. Olson nie miał argumentów do przetargu czy stawiania warunków i doskonale o tym wiedział. Tak jak się spodziewałam, miał gdzieś pozostałych. Dla niego liczyło się tylko jego życie. Powiedział mi wszystko, co chciałam wiedzieć, a nawet więcej, belkocząc jak oszalały, jakby każde wypowiedziane słowo zwiększało jego szanse na przeżycie.

Kiedy skończył, zostawiłam go siedzącego w aucie. Zastanawiałam się nad uwolnieniem go z pasów i daniem realnej szansy na ucieczkę. Bądź co bądź obiecałam mu to. Nigdy wcześniej nie łamałam raz danego słowa. Ale pomyślałam o dziewczynkach, które padły jego ofiarą, i wyobraziłam sobie obietnice, jakie musiał im składać, zapewnienia, że ich nie skrzywdzi, że nigdy więcej tego nie zrobi. On nie dotrzymywał swoich obietnic. Czemu ja miałabym to zrobić? Odeszłam, pozostawiając Victora Olsona, by wykrwawił się w lesie na śmierć.

# KONFRONTACJA

Zatrzymałam się na stacji benzynowej i zadzwoniłam do Stonehaven. Przy pierwszych dwóch próbach włączyła się automatyczna sekretarka. Za trzecim razem odebrał Nick. Był zaspany i musiałam dwa razy powtórzyć, zanim pojął, że dzwonię spoza rezydencji. Nikt jeszcze nie zorientował się, że mnie nie ma. Przekazałam mu konkretne instrukcje i kazałam je zapisać, a potem przeczytać raz jeszcze na głos. Do tego czasu zrozumiał, co mówię i co zamierzałam zrobić. Przerwałam połączenie, kiedy zaczął krzyczeć.

Dziesięć minut później pukałam już do drzwi kryjówki kundli. Był to zapuszczony domek letniskowy stojący w głębi lasu tak daleko, że światło nie przebijało się przez gruby baldachim liści powyżej. Stojąc przed drzwiami, nasłuchiwałam szumu wiatru czy grania świerszczy, ale wokoło nie było nic słyhać. Cisza i ciemność były absolutne.

Przez kilka minut czekałam na jakąkolwiek reakcję. Znów zapukałam do drzwi. Mijały kolejne minuty, nie wątpiłam jednak w informacje Olsona. To było to miejsce. Czulałam tu zapach Claya.

Zaczęłam się dobijać do drzwi. Wreszcie pomiędzy ciężkich frontowych zasłon przebiło się słabe światło. Na drewnianej podłodze rozległy się ciężkie kroki. Spojrzałam na klamkę i zauważyłam, że została wyłamana. Powyżej ział poszarpany otwór ze sterczącymi drzazgami w miejscu, gdzie znajdowała się zasuwka. Czy naprawdę spodziewałam się, że kundle wynajmają domek, skoro mogły się do niego włamać? Ależ byłam głupia. Ile czasu zmarnowałam.

Drzwi się otworzyły. Uniosłam wzrok. Parę sekund zajęło mi rozpoznanie stojącego przede mną mężczyzny jako Karla Marstena, po części z uwagi na kiepskie oświetlenie, po części zaś przez jego ubiór. Miał na sobie tylko spodnie od piżamy, a jego muskularny nagi tors był poorany bliznami, pamiątkami po stoczonych walkach, zwykle skrytymi pod drogimi, eleganckimi koszulami. Zmrużył oczy, zamrugął, zaklął pod nosem i wyszedł na zewnątrz, zamykając drzwi za sobą.

— Co ty tu robisz, u licha?—zapytał niemal szeptem.

Spojrzałam na zamknięte drzwi.

— Boisz się, że obudzę twoją żonę?

— Moją... ? — Obejrzał się przez ramię na drzwi, po czym znów spojrzał na mnie, przyjmując dawną nonszalancką postawę.

— Jestem pewien, że to wyśmienity plan, Eleno, ale radziłbym ci z niego zrezygnować. Jeżeli tam wejdiesz, skończysz w łańcuchach albo w worku na zwłoki. Ani w jednym, ani w drugim raczej ci nie do twarzy.

Chcesz mnie ostrzec? Rany, a więc jednak rycerskość nie całkiem wymarła.

— Znasz mnie dobrze. Gdy widzę nadarzącą się okazję, staram się ją wykorzystać.

— A zatem pozwolisz mi odejść w zamian za...

— Za to, o co mi chodzi. — Jego oczy rozbłysły lodowatym chłodem zmieszonym z bezlitosną beznamiętnością. — Terytorium. Obiecaj mi to, a pozwolę ci odejść. Ja też odejdę. Jeden „kundel” mniej to jeden kłopot mniej dla Watahy.

— Do diabła z innymi?

— Daniel postąpiłby tak samo, gdyby był na moim miejscu. Jakoś nie słyszałem, aby w cukierni w rozmowie z tobą stawiając warunki, wymienił moje imię.

Pokręciłam głową.

— Nieważne. Nie odejdę stąd.

Sięgnęłam dłonią do klamki. Marsten chwycił mnie za nadgarstek i ścisnął boleśnie.

— Nie bądź głupia, Eleno. Nie wydostaniesz go w ten sposób.

— W jaki sposób? — Głos Daniela był chłodny i spokojny, gdy otworzył drzwi na oścież. Odnalazł spojrzenie Marstena. — W jaki sposób, Karl?

— Smacznie ci się spało, Danielku? Rany, cała Wataha mogłaby wyć na progu przez pół nocy, zanim byś się obudził. — Marsten rzucił Danielowi pogardliwe spojrzenie i pchnął mnie do wnętrza domku. — To zasadzka, kretynie. Elena nie zjawiłaby się tu sama. Każ swemu sługusowi przeszukać las. Niech choć raz się na coś przyda.

Nie wiem, czy Daniel próbował oponować. Byłam zbyt pochłonięta podnoszeniem się z podłogi po tym, jak Marsten pchnął mnie na drugi koniec pokoju. Zanim doszłam do siebie, Marsten oparł kolano na moim grzbiecie i przyszpilił mnie do podłogi. Spodziewałam się, że mnie zwiążą. Tak się nie stało. Może Marsten nie sądził, żebym stanowiła poważniejsze zagrożenie. Po dłuższej chwili usłyszałam za sobą kroki. Poczulałam, że do Daniela i Marstena dołączył LeBlanc.

— Olson zniknął — rzekł Daniel.

— Przypuszczam, że już nie wróci — mruknął Marsten. — Niby jak inaczej mogła nas tu znaleźć? To wielka strata dla naszej sprawy, niestety. Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać stary pedofil.

— Miał inne... — zaczął Daniel, ale zaraz zamilkł.

— Thomasie, wyjdź na zewnątrz. Poszukaj innych.

Drzwi frontowe zamknęły się za LeBlancem.

— Masz naprawdę oddanego szczeniaka — powiedziałam, unosząc głowę nad podłogę. — Wiesz, że na lotnisku próbował mnie zabić? Zanim wyjechałam do Toronto.

Chwila ciszy. Wreszcie Daniel wybuchnął śmiechem.

— Nieźle, Elle. Próbujesz nas skłócić?

— Chyba nie muszę.

— Starczy, Eleno — rzekł Marsten, mocniej przyciskając mnie kolanem do podłogi. — Choć wszyscy uwielbiamy twój cięty język, nie czas teraz na twoje popisy.

— Nie zapominaj, kto jest na dole — wtrącił Daniel.

— Teraz już nie masz go jak bronić.

Zamilkłam, zastanawiając się, ile czasu zajmie Jeremy'emu, Antoniowi i Nickowi dotarcie tutaj. Przynajmniej piętnaście minut, aby się obudzić, ubrać, wsiąść do samochodu, i kolejne pół godziny, aby tu dojechać. Kiedy LeBlanc zjawił się dziesięć minut później, wiedziałam, że nikogo nie znalazł. Pozostali jeszcze nie dojechali.

— Nikogo tam nie ma — rzekł, otrzepując buty z grudek ziemi.

— Weź wóz — rzekł Daniel. — Pokręć się w pobliżu dla pewności. Wypatruj auta na poboczu. Na pewno przyjechali tu samochodem.

Przez chwilę LeBlanc się nie poruszył. Wydawało mi się, że powie Danielowi, żeby się wypchał. On jednak zabrał swoją kurtkę i kluczyki, po czym wyszedł. Tym razem nie było go

dobrych dwadzieścia minut, a przez ten czas ani Daniel, ani Marsten nie odezwali się słowem. Kiedy LeBlanc w końcu wrócił, odwróciłam głowę w bok i zauważyłam, że się uśmiechał.

— Co jest? — spytał Daniel.

— To ci się spodoba. Kawaleria została chwilowo zatrzymana. — Wyszczerył się do mnie jak wygłodzony rekin. — Są na Pinecrest, przy zjeździe z autostrady, w towarzystwie miejscowej policji. Gliny ich zatrzymały. Nie wiem za co, ale rozbierają całe auto na części pierwsze. Co ty na to?

— Pieprzysz — wycodziłam.

Jego uśmiech poszerzył się.

— Zielony ford explorer? Trzech facetów? Wszyscy ciemnowłosi. Dwóch szczupłych, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu? Starszy jest niższy ode mnie, ale ma bary jak zawodowy piłkarz? Kiedy przejeżdżałem obok, młodszy próbował prysnąć do lasu. Gliny go dorwały i rozciągnęły na ziemi, zanim zawróciłem.

— Pieprzysz — powtórzyłam.

LeBlanc zaśmiał się.

— Nie jesteś już tak bardzo pewna siebie

— Wystarczy — rzekł Marsten, podnosząc mnie z podłogi. — Policja nie będzie ich tam trzymać w nieskończoność.

— Wykreślił mi ręce do tyłu i jedną ręką przytrzymał mnie za przeguby. — Tommy, przyprowadź naszego drugiego gościa na górę. Czas się zwijać.

LeBlanc tylko na niego spojrział.

— Zwijać się? Przecież tego właśnie chcieliście, prawda? Unicestwić całą tę Watahę. Dwoje z nich już mamy. Trzech pozostałych jest w drodze. Będzie trzech na trzech, a my przecież się ich spodziewamy. Mamy nad nimi przewagę.

— Przyprowadź Claytona na górę — rzekł Daniel.

— Co jest, do cholery? — LeBlanc przeniósł wzrok z Marstena na Daniela. — To jest to, na co czekaliście. Strzelanina w O.K. Corral. Czas zabijania. Nie mówcie, że nie macie dość ikry, żeby...

— Mamy więcej rozumu niż ikry — uciął Marsten. — I dlatego nadal żyjemy. A teraz przyprowadź Claytona. Mamy jego i Elenę. To gwarantuje, że już wkrótce będziesz miał swoją walkę, ale na naszych warunkach.

LeBlanc posłał Marstenowi spojrzenie pełne skrajnej pogardy i zniknął w bocznym korytarzu.

Zgrzytnęłam zębami i skupiłam się na moim planie. Czy pozostałych rzeczywiście zatrzymała policja? Nie wierzyłam w to. Nie chciałam uwierzyć. Ale w okolicy faktycznie roilo się od glin. Jeżeli jechali z nadmierną prędkością wozem, którym gliny już się wcześniej interesowały. ...? Czemu nie ostrzegłam Nicka?

Dobra. Wyluzuj. Czas na plan B. Gdybym go tylko miała. Gdy rozpaczliwie zastanawiałam się nad alternatywnym scenariuszem, Marsten obrócił mnie gwałtownie. Daniel usiadł na podłokietniku starego, cuchnącego pleśnią fotela. Z sąsiedniego pokoju wyłoniły się dwie postaci. Jedna zataczała się i potykała. W słabym świetle dostrzegłam błysk złotych włosów.

— Clay!

Bez namysłu rzuciłam się w jego stronę. Wciąż trzymając mnie za przeguby, Marsten szarpnął mnie w tył tak mocno, że aż jęknęłam. Clay klęczał z rękoma skutymi z tyłu. Próbował unieść głowę. Odnalazł moje spojrzenie. Patrzył przez chwilę, usiłując odzyskać ostrość widzenia. Wreszcie mimo mętnego wzroku zrozumiałam, że mnie rozpoznał.

— Nie — wyszeptał prawie niesłyszalnym głosem. — Nie.

Zrobił ruch tak delikatny, że prawie go nie dostrzegłam. Za nim pojawiła się stopa LeBlanca i kopnięciem w plecy powaliła go twarzą do ziemi.

— Nie! — krzyknęłam.

Rzuciłam się na LeBlanca. Marsten znów szarpnął mnie w tył, omal nie wyłamując mi stawów barkowych. Nie dbałam o to. Wciąż się wyrywałam. LeBlanc złapał Claya za kajdanki i podźwignął w górę.

— Zostaw go — warknął Marsten.

Gdy LeBlanc nonszalanckim krokiem przechodził obok, Marsten sięgnął wolną ręką i wyszarpnął coś, co tamten miał zatknięte za paskiem spodni. Pistolet.

— Nigdy nie dorośniesz? Chyba już czas, żebyś pozbył się swego kocyka bezpieczeństwa?

LeBlanc próbował odebrać mu pistolet. Marsten usunął się z nim poza zasięg jego ramion. Wilkołak z bronią? — mruknął Marsten. — Co za smutny dzień. Doskonały pomysł, Danielu. Zmienić ludzkich zabójców w wilkołaki. Czemu ja o tym nie pomyślałam? Może dlatego, że... to głupie? Nigdy nie zmusisz go, żeby rozstał się ze swoimi zabawkami, Danielku.

Na lewo ode mnie słyszałam oddech Claya. Zmusiłam się, by na niego nie spojrzeć. Podczas gdy Marsten i Daniel zastanawiali się co dalej, ukradkiem zerknęłam na zegarek. Piąta pięćdziesiąt. Jeżeli policja zatrzymała Jeremy'ego, to na jak długo? Ile jeszcze miałam czekać? To był mój jedyny plan awaryjny? Czekać, aż nadejdzie pomoc? Niedobrze. To za mało. Przecież gliny mogły ich zabrać na komendę i przetrzymywać tam przez wiele godzin. Jeremy będzie się denerwował, ale jedyną jego alternatywą byłoby zabicie policjantów, a nie zrobiłby tego, o ile nie było to absolutnie konieczne. Wiedział, że Daniel nie zabije Claya ani mnie, lecz zatrzyma jako zakładników. Nie zabiłby nas... a przynajmniej jeszcze nie teraz. Jako że nie istniało bezpośrednie zagrożenie, Jeremy będzie słuchał się gliniarzy. Ale zanim tu dotrze, nas mogło już tu nie być. Nie, wróć. Na pewno nas tu nie będzie. Daniel poszedł właśnie po swój portfel i kluczyki.

Spojrzałam na Claya. Wciąż leżał twarzą do podłogi. Jego plecy wyglądały jak patchwork fioletowych, żółtych oraz czarnych sińców połączonych czerwonymi pręgami i nacięciami. Jego lewa noga była lekko wygięta w bok, jakby została złamana, a mimo to musiał na niej chodzić. Jego grzbiet unosił się i opadał w rytm płytkich oddechów. Spojrzałam na niego i wiedziałam, co muszę zrobić.

— Mieliśmy umowę — zwróciłam się do Daniela. — Przyjechałam. Teraz go wypuść.

Nikt nie odpowiedział. Marsten i Daniel patrzyli na mnie, jakbym postradała rozum. Godzinę temu liczyłam właśnie na taką reakcję. Zamierzałam pojawić się w ich domu i oddać w ręce Daniela. Byliby wstrząśnięci, to oczywiste. A gdzieś pomiędzy zaskoczeniem a upojną satysfakcją zjawiłaby się Wataha. Moja wersja numeru z koniem trojańskim. Tyle że wojownicy nie nadejdą. Podarunek trafił do obozu wroga i nie można już było go odzyskać.

— Ani-się-waż — dobiegł mnie szept Claya.

Uniósł głowę na tyle, by lypnąć na mnie ze złością.

Odwrociłam wzrok. Wszyscy inni go zlekceważyli. Po raz pierwszy w życiu Clay znajdował się wśród kundli, które nie zwracały na niego uwagi. Odebrały mu nie tylko siłę, lecz również godność. To moja wina. Powinnam była zostać z nim w Toronto, lecz tego nie zrobiłam. Co zaprzątnęło mnie na tyle, że poszłam do pracy, pozostawiając Claya samego? Oświadczyły innego mężczyzny. Na to wspomnienie poczułam ucisk w dołku.

Odwrociłam się do Daniela.

— Chciałeś mnie, to masz. Chciałeś widzieć Claya na kolanach, to patrz. A teraz wypełnij swoją część układu. Puść go, a pójde z tobą dobrowolnie. Teraz. — Spojrzałam na Marstena. — Dopilnuj, żeby zostawił tu Claya, a dostaniesz własne terytorium. Kiedy zjawi się Jeremy, Clay powie mu, że poszłam na układ. Uszanuje to.

Znów cisza. Marsten i Daniel zastanawiali się. Oferowałam im dokładnie to, czego chcieli — terytorium dla Marstena i siebie samą dla Daniela, co miało przypieczętować jego odwet na Clayu i Watasze. Czy to wystarczy? Nie chcieli walki. Czas mijał, każda sekunda zwiększała prawdopodobieństwo, że Jeremy, Antonio i Nick zjawią się tutaj. Będę walczyć, zanim pozwolę, by mnie stąd wywieźli. Wiedzieli o tym. Będą musieli mnie obezwładnić, unieruchomić, a potem zawlec Clay'a i mnie do samochodu.

— Nic z tego.

Uniosłam wzrok. Głos dochodził od strony Daniela, ale brzmiał inaczej. Stojący za Danielem LeBlanc postąpił naprzód, trzymając ręce w kieszeniach.

— Nic z tego — powtórzył. Jego głos, choć niezbyt głośny, ciął ciszę niczym brzytwa.

Marsten zachichotał.

— Oho, bunt pospólstwa. Chyba...

Zanim zdążył dokończyć, ręka LeBlanca wystrzeliła z kieszeni. W świetle lampy pojawił się srebrzysty błysk. Jego dłoń przemknęła tuż przy gardle Daniela, by rozplatać je z boku na bok. Przez ułamek sekundy wydawało się, że nic się nie stało. Daniel stał, wyglądając na lekko zdezorientowanego. I nagle na jego szyi pojawiła się buchająca szkarłatem rana. Trysnęła krew. Daniel uniósł obie dłonie do gardła. Oczy wyszły mu z orbit w wyrazie niedowierzania. Krew wylewała się pomiędzy jego palców i spływała po ramionach. Otworzył usta. Spomiędzy jego warg wypłynęły różowe bąble, wyglądające jak makabryczne balony z gumy do żucia, i po chwili Daniel osunął się na podłogę.

Spojrzałam na Daniela, nie mogąc, podobnie jak on, uwierzyć w jego śmierć. Daniel konał. Kundel, który nękał Watahę od ponad dziesięciu lat, który niweczył Clay'a i moje plany do tego stopnia, by zasłużyć sobie na wyrok śmierci, umierał. Dogorywał. Nie zginął w jakiejś długiej, zaciętej walce. Nie zabił go Clay. Nie zginął nawet z mojej ręki. Został zabity przez nowego kundla z nożem. Zginął natychmiast. Zabity w sposób tak tchórzliwy i na wskroś ludzki, że Marsten i ja mogliśmy tylko patrzeć z rozdziawionymi ustami.

Kiedy Daniel rzeził, dogorywając na podłodze, LeBlanc przestąpił nad nim jak nad zwalonym pniem. Uniósł w dłoni nóż sprężynowy. Był prawie czysty, na ostrzu zostało tylko kilka kropel szkarłatu.

— Nic z tego — rzekł, zbliżając się do Marstena.

Marsten sięgnął po pistolet leżący na stole i wymierzył w LeBlanca.

— Tak, wiem. Powiedziałem, że prawdziwe wilkołaki nie używają broni. Ale przekonasz się, że jestem dość elastyczny, zwłaszcza gdy chodzi o ratowanie własnej skóry. — Marsten uśmiechnął się, jego usta wykrzywiły się, oczy były zimne jak lód. — To twój pojedynek w O.K. Corral? Nóż przeciwko pistoletowi? Jaki wynik obstawiasz?

LeBlanc podrzucał nóż w dłoni, jakby rozważał możliwość ciśnięcia nim w Marstena. Po chwili przestał.

— Bystrzak — mruknął Marsten. — Co byś powiedział, gdybyśmy postarali się uniknąć rozlewu krwi i zawarli własny układ? Dzielimy się po równo. Ja wezmę Claytona. Ty Elenę. I każde z nas pójdzie w swoją stronę. — Kiedy LeBlanc nie odpowiedział, Marsten mówił dalej: — Tego właśnie chcesz, prawda? Dlatego zabiłeś Daniela, bo Elena cię upokorzyła i chcesz się za to zemścić.

Po wyrazie twarzy LeBlanca zrozumiałam, że nie zabił Daniela, aby mnie dostać. Nie zabił go, bo chciał czegośkolwiek. LeBlanc przyłączył się do tej rozgrywki tylko dlatego, że lubił zabijać. Teraz, gdy zbliżało się zawieszenie broni, zwrócił się przeciwko swoim towarzyszom nie z gniewu czy chciwości, ale dlatego, że po pro stu tam byli, dzięki nim mógł zabić jeszcze parę osób, zanim ta zabawa dobiegnie końca. Teraz rozważał swoje możliwości. Czy powinien wziąć mnie i się zmywać? A może mógł jeszcze ponegocjować z Marstenem odnośnie do Clay'a?

— Nie chcesz jej? — spytał LeBlanc. — Sądziłem, że wszyscy jej pragniecie.

— Nigdy nie podzielałem gustów ogółu — rzekł Marsten. — Choć Elena ma niewątpliwy urok, nie pasowałaby do mojego stylu życia. Pragnę terytorium. Clay- ton to lepszy element przetargowy. A nie wątpię, że ty będziesz miał z Eleną większy ubaw.

— Ty sukinsynu — wycedziłam.

Obróciłam się błyskawicznie, uwalniając się z uchwytu Marstena. Chciałam trafić go pięścią w brzuch, ale w ostatniej chwili się uchylił i tylko otarłam się o jego bok. Podciął mi nogi, powalając na podłogę. Uderzyłam głową w kant pustego stojaka na strzelby. Na chwilę straciłam przytomność. Kiedy doszłam do siebie, szare oczy Marstena wpatrywały się we mnie intensywnie. Zamrugałam i próbowałam wstać, ale nie pozwolił mi na to. Odwrócił mnie tak, że brodą prawie dotykałam ściany.

— Jest nieprzytomna — powiedział, podnosząc się na kolana.

— Tym lepiej. Nie trzeba jej będzie odurzać.

Nieprzytomna? Znów zamrugałam, czując, jak moje powieki powoli unoszą się i opadają. Patrzyłam na mysie bobki w kącie pod ścianą. Byłam absolutnie przytomna. Czy Marsten nie widział, że mam otwarte oczy? Zaczęłam unosić głowę, ale zmiygowałam się i znieruchomiałam. Niech myślą że jestem nieprzytomna. Każda przewaga, jaką mogłam zyskać, była na wagę zwycięstwa.

Marsten wstał. Usłyszałam, jak odchodzi gdzieś obok.

— Co ty wyprawiasz? — spytał ostro LeBlanc.

— Zabieram moją część nagrody i zmykam stąd, i tobie radzę zrobić to samo. Jeżeli Elena ci nie wystarczy, możesz sobie wziąć wszystkie pieniądze, jakie znajdziesz wśród rzeczy Daniela i Vica.

— Nie rozwiązuj go — rzekł LeBlanc.

Marsten westchnął.

— Nie mów, że i tobie udzieliła się paranoja Daniela. Clayton ledwie dycha. Nie byłby w stanie poradzić sobie nawet z ratlerkiem. Spiesz mi się. Jeżeli może iść, chcę, żeby poszedł ze mną o własnych siłach.

— Nie powiedziałem jeszcze, że zgadzam się na twój układ.

Przymknęłam oczy, opuściłam nisko podbródek, po czym zerknęłam z ukosa. Marsten nachylał się nad Clayem. Dźwignął go na kolana. Clay zachwiał się. Spod półprzymkniętych powiek wyzierały błękitne tęczówki. Pistolet leżał trzy metry dalej, porzucony. Wątpiłam zresztą aby Marsten wiedział, jak go użyć.

— Powiedziałem, żebyś go nie rozwiązywał — warknął LeBlanc.

— Och, na miłość boską — jęknął Marsten. — Niech ci będzie.

— Wyprostował się. I zanim jeszcze w pełni wrócił do pionu, rzucił się na LeBlanca. Obaj wyładowali na podłodze. Podczas gdy tamci dwaj walczyli, podniosłam się na czworakach i podpełzłam do Claya. Gdy dotknęłam jego kajdanek, uniósł głowę. Obejrzał się na mnie przez ramię. Uciekaj — wychrypiał.

Ujęłam za ogniwa kajdanek i szarpnęłam z całej siły. Ogniwa naprężyły się, ale nie pękły.

— Nie ma czasu — wysapał, próbując odwrócić się do mnie. — Uciekaj.

Gdy odnalazłam jego spojrzenie, zrozumiałam, jak bardzo się pomyliłam. Nie przyjechałam tu, by go odzyskać dla Jeremy'ego czy dla Watahy. Zjawiłam się tu, by odzyskać go dla siebie. Ponieważ kochałam go do tego stopnia, że byłam gotowa zaryzykować wszystko nawet dla nikłej nadziei, że zdołam go ocalić. Nawet teraz, kiedy zdałam sobie sprawę, że miał rację, że nie zdołam go stąd wyprowadzić, wiedziałam, że go tu nie zostawię. Prędzej umrę.



Rozejrzałam się rozpaczliwie w poszukiwaniu jakiejś broni i nagle znieruchomiałam. Broń? Ja szukałam broni? Czy do reszty mi odbiło? Przecież sama byłam najlepszą żywą bronią. Gdybym tylko miała czas ją przygotować.

Opadłam na czworaki i skoncentrowałam się. Jak przez mgłę słyszałam, że Clay wypowiada moje imię. Odsunęłam się. Przemiana rozpoczęła się w normalnym tempie. Niedobrze. Za mało czasu! Przez chwilę miałam w głowie mętlik. Już chciałam się opanować, gdy zorientowałam się, że moja Przemiana zachodzi znacznie szybciej. Odrzuciłam samokontrolę, pozwalając, by ogarnął mnie strach. Jeśli mi się nie uda, zginę. Jeżeli mi się nie uda, zginie Clay. Wszystko zawaliłam, zawiodłam na całej linii. Przepelnił mnie strach i ból. Zgięłam się wzdłuż i poddałam się temu. Oślepiający błysk potwornej agonii. I zwycięstwo.

Wstałam. Przed sobą widziałam, jak LeBlanc pochyła się nad leżącym Marstenem. Uniósł lewą rękę. Błysnął nóż sprężynowy. Warknęłam. LeBlanc zatrzymał rękę, nie zadając ciosu, i odwrócił się. Rzuciłam się na niego. Upuścił nóż i odturlał się w bok. Trochę przesadziłam ze skokiem, odbiłam się od podłogi i wpadłam na ścianę. Zanim doszłam do siebie, LeBlanc już zniknął.

Usłyszałam głos i uniosłam głowę w tę stronę. Marsten usiadł, dysząc ciężko. Wskazywał na otwarte drzwi, zakasłał i splunął krwią. Krew sączyła się też z ran na jego piersi i ramionach. Zerknęłam na tylne drzwi. Nie mogłam pozwolić LeBlancowi uciec. Kobieta zmusiła go do ucieczki. Nie spocząłby, dopóki nie zemściłby się za to. Marsten coś powiedział, ale nie zrozumiałam go. Krew dudniła mi w uszach, zmuszając do ruszenia w pościg za LeBlankiem. Pobiegłam w stronę drzwi. Z tyłu Clay stęknął i usłyszałam, że niezdarnie próbuje się podnieść. Przypominając sobie o nim, odwróciłam się do Marstena. Nie mogłam zostawić go z Clayem. Wtuliłam łeb między łopatki i zawarczałam. Marsten znieruchomiał. Jego usta poruszyły się. Do moich uszu doszła jedynie zbitka niezrozumiałych dźwięków. Skuliłam się do skoku.

— Eleno! — wysapał Clay.

Zrozumiałam go. Zastygłam w bezruchu. Clay zdołał wstać.

— Nie. Trać. Czasu — powiedział.

Spojrzałam na Marstena. Powiedział jedno słowo.

Wciąż go nie rozumiałam, ale potrafiłam czytać z ruchów jego warg. Terytorium. Tylko tego chciał. Tylko o to mu chodziło. Doskonale wiedział, że byłam przytomna. Odegrałam swoją rolę doskonale. Był zdradzieckim, myślącym tylko o sobie łajdakiem, ale nie skrzywdziłby Claya. Clay nie mógł dać Marstenowi terytorium. Ale zdobędzie je, jeśli utrzyma Claya przy życiu.

Raz jeszcze warknęłam do Marstena, po czym rzuciłam się w pościg za LeBlankiem.

Nietrudno było odnaleźć jego trop. Nie musiałam nawet posługiwać się węchem. Słyszałam, jak przedzierał się przez gąszcz. Głupiec. Wbiegłam w las i pognałam za nim. Zmrużyłam lekko oczy, by je ochronić, i popędziłam ile sił. LeBlanc zostawiał za sobą wyraźny ślad wśród zarośli. Podążyłam tym tropem. W kilka minut później w lesie zapadła cisza. LeBlanc się zatrzymał. Musiał sobie uświadomić, że jego jedyną szansą była Przemiana. Uniosłam nos i zaczęłam węszyć. Wiatr od wschodu niósł jego słaby zapach, ale silniejszy napłynął z podmuchami od południa. Uniosłam przednią łapę i opuściłam ją na zeszlą ściółkę. Była wilgotna od porannej rosy i prawie nie zaszeleściła pod moim ciężarem. Doskonale. Skręciłam na południowy wschód i zaczęłam przekradać się naprzód.

Noc już minęła. Świt rozjaśniał konary drzew powyżej, pierwsze promienie słońca docierały już nawet do leśnego poszycia. Gdy znalazłam się w zasięgu tych promieni, poczułam ich ciepło i obietnicę nadchodzącego późnowiosennego dnia. Ponad trawami i krzewami unosiła się mgła, to chłód nocy wychodził na spotkanie ciepłego poranka. Wzięłam głęboki wdech, chłonąc mgłę i zamykając oczy, by nasycić się jej czystą rześką wonią. Na lewo ode mnie rozległ się nagle śpiew sójki. Cudowny poranek. Znów nabrałam powietrza, upajając się nim, czując, jak lęki

nocy ustępują przed słodką perspektywą polowania. To skończy się tutaj. Tu i teraz, w ten piękny wiosenny poranek. Kiedy usłyszałam oddech LeBlanca, znieruchomiałam. Przekrzywiłam głowę, nasłuchując. Przykucnął za gęstwiną krzewów i oddychał ciężko, usiłując pobudzić Przemianę. Centymetr po centymetrze przesuwałam się naprzód, aż ominęłam krzewy i wsunęłam łeb pomiędzy paprocie. Tak jak się domyśliłam po tempie oddechów, przykucnął. Ale co do jednego się pomyliłam. Wcale nie próbował się Przemienić. Nawet się nie rozebrał. Ogarnęło mnie podniecenie. Poczułam dreszcze przenikające całe moje ciało. Bał się, ale zamiast poddać się lękowi, próbował pohamowywać Przemianę. Wychyliłam nos spomiędzy paproci i spijałam nektar jego przerażenia. To mnie ogrzało, rozpałiło podniecenie niemal do czerwoności. LeBlanc mógł wystraszyć mnie na parkingu, ale tu byliśmy na moim podwórku.

LeBlanc pochylił się do przodu, by wyrzeć spoza gęstwiny. Użyj węchu, pomyślałam. Jedno pociągnięcie nosem i znałbyś prawdę. Ale nie zrobił tego. Wyciągnął jedną nogę do tyłu. W jego kolanie głośno strzyknęło i znieruchomiał, oddychając płytko, gwałtownie. Poruszył głową z boku na bok, nasłuchując i wypatrując. Unosząc w dłoni nóż sprężynowy, przyciskiem uwolnił ostrze i czekał, czy dźwięk sprowadzi mnie do niego. Coś przemknęło z tyłu w gęstwinie, kot, lis albo coś równie małego i bezszelestnego. LeBlanc sprężył ca leciało, unosząc nóż. Głupiec, głupiec, głupiec. Byłam już tym zmęczona. Chciałam biec. Cofnęłam się kilka kroków. W pewnej chwili uniosłam łeb w górę i zawylałam przeciągle. LeBlanc wybiegł spomiędzy krzewów i rzucił się do ucieczki. Puściłam się za nim w pościg.

LeBlanc miał nade mną przewagę na starcie. Pozwoliłam mu ją zachować. Biegł, omijając chaszcze drzewa, przeskakując nad kłodami, deptając dzikie kwiaty i płosząc dwa bażanty, które wzbiły się w górę. Biegł coraz głębiej w las. Wreszcie się zatrzymał. Kiedy zorientowałam się, że już go nie słyszę, wypadłam na polanę. Coś chlasnęło mnie po tylnej łapie. Przewróciłam się do przodu w wysoką trawę. Gdy upadałam, obróciłam się, by ujrzeć LeBlanca stojącego za mną na szeroko rozstawionych nogach, z nożem w ręku, jak bokser szykujący się do kolejnej rundy. Uśmiechnął się drwiąco i powiedział coś. Nie musiałam rozumieć słów, by wiedzieć, co powiedział. „Chcesz mnie dopaść, to chodź”. Poczułam dreszczyk rozkoszy. On naprawdę był idiotą. Przywarowałam i skoczyłam na niego. Nie zastanawiałam się, jak uniknę ciosu nożem. To nie miało znaczenia. Poczułam, że ostrze muska moją szyję i prześlizguje się po barku. Pojawiła się krew, gorąca posoka spływająca po mojej skórze. Ale nie buchnęła szkarłatną fontanną. Ból był niewielki, ot, zwykle draśnięcie, nic więcej. Miałam zbyt gęstą sierść. Nóż tylko mnie drasnął. LeBlanc cofnął rękę, by zadać kolejne pchnięcie, ale już było za późno. Spadłam na niego. Runął do tyłu, nóż wypadł mu z ręki i zniknął między drzewami. Gdy pochyliłam się nad nim, oczy niemal wyszły mu z orbit. Był przerażony. Dostrzegłam w jego oczach szok. Niedowierzanie. Strach. Pozwoliłam sobie jeszcze przez chwilę upajać się jego porażką. A potem rozszarpałam mu gardło.

# GOTOWOŚĆ

Jeremy, Antonio i Nick pojawili się w końcu w domku letniskowym. Weszli do środka w chwili, gdy wykorzystując sznury, jakimi spętany był Clay, krępowałam Marstena. Rzecz jasna Jeremy był pod wielkim wrażeniem, jak sprawnie zdołałam poradzić sobie w pojedynkę, i obiecał, że już nigdy nie wykluczy mnie z udziału w swoich planach. Akurat. Jego pierwsze słowa nie nadawały się do powtórzenia. Potem powiedział, że jeśli jeszcze kiedyś, kiedykolwiek, zrobię coś równie głupiego, to... tu znów padło kilka niecenzuralnych określeń, które Clay, Antonio i Nick czym prędzej podchwycili, dodając każdy od siebie po parę własnych gróźb. I tak oto dzielna bohaterka, która ocaliła ukochanego, została zdjęta z piedestału zwyciężczyni i zmuszona do zajęcia miejsca na tylnym siedzeniu samochodu. Mogło być gorzej. Mogli mnie wrzucić do bagażnika. Właściwie Nick nawet to zaproponował, ale na pewno żartował... Tak sądzę.

Jeremy podarował Marstenowi terytorium, którego tak pragnął. Konkretnie Wyoming. Kiedy Marsten próbował protestować, Jeremy zaproponował dla odmiany Utah. Marsten odszedł, mamrocząc coś pod nosem

— kowbojskich kapeluszach i spodniach z cekinami. Oczywiście nie przejdzie na emeryturę i nie osiadzie na jakimś ranczu. Wróci, by poszukać sobie terytorium bardziej odpowiadającego jego gustom i stylowi życia, ale póki co wiedział, kiedy należy nabrać wody w usta

— przyjąć to, co mu zaproponowano.

Trochę trwało, zanim Clay wrócił do zdrowia. Powiedziałabym nawet, że dość długo. Miał złamaną nogę, cztery złamane żebra i wybity bark. Był tak poobijany i posiniaczony, że cierpiał, siedząc, stojąc czy leżąc, praktycznie przez cały czas, kiedy był przytomny. Był wyczerpany, wygłodniały, odwodniony i tak napompowany prochami, że powaliłyby nosorożca na wiele dni. Przez tydzień prawie nie wstawałam z krzesła przy jego łóżku, wychodziłam z jego pokoju jedynie, by zrobić coś do jedzenia, i tylko dlatego, że uznałam, iż propozycje kulinarne Jeremy'ego bardziej Clayowi zaszkodzą niż pomogą.

Musiałam wrócić do Toronto. Wiedziałam o tym od tamtego dnia w domku letniskowym, ale odkładałam to na później, powtarzając sobie, że Clay jest w zbyt ciężkim stanie, Jeremy potrzebuje mojej pomocy w rezydencji, a w baku camaro było za mało paliwa—w sumie każdy pretekst był dobry. Mimo to musiałam wrócić. Philip czekał. Musiałam stanąć z nim twarzą w twarz, dowiedzieć się, co zobaczył, ile z tego pamiętał i jak zamierzał się z tym uporać. Później będę mogła wrócić do Stonehaven. Nie miałam już wątpliwości, który dom wybiorę. Może zawsze to wiedziałam. Przynależałam do Stonehaven. Tu było moje miejsce. Choć wciąż trudno mi było się z tym pogodzić. Może nigdy nie umiałam pogodzić się z tym życiem, ponieważ nie wybrałam go sobie sama, lecz uczyniono to za mnie. Jednak Clay miał rację. Tu byłam

szcześliwa. Ludzka część mnie zawsze będzie dostrzegać mankamenty takiego życia, ludzka moralność będzie oburzona nieodłącznie towarzyszącą mu przemocą i brutalnością a szczątkowa, purytańska cząstka mojej natury będzie utyskiwać nad bezwstydnym zaspokajaniem podstawowych, pierwotnych potrzeb. A jednak nawet gdy nie byłam w Stonehave szczęśliwa, gdy wściekałam się na Jeremy'ego, Claya czy samą siebie, w pewien przewrotny, perwersyjny sposób czułam się, jeśli nie szczęśliwa, to przynajmniej zadowolona i spełniona.

Wszystko, za czym goniłam w świecie ludzi, miałam właśnie tutaj. Pragnęłam stabilizacji? Tu ją miałam, podobnie jak ludzi, którzy zawsze, niezależnie co bym zrobiła, witali mnie z otwartymi ramionami. Wataha zapewniała mi oddanie i miłość wykraczające poza etykiety w rodzaju ojciec, matka, brat czy siostra. Czy zatem uświadomiwszy sobie, że wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam, było tutaj, miałam w sobie dość sił, by odrzucić moje ludzkie aspiracje i pozostać w Stonehaven na zawsze? Oczywiście, że nie. Zawsze będę czuć potrzebę odnalezienia swego miejsca w wielkim świecie. Żadna terapia czy psychoanaliza tego nie zmienią. Wciąż będę pracowała w świecie ludzi i wymykała się na parę tygodni na urlop czy wakacje, kiedy atmosfera Stonehaven za bardzo mnie przytłoczy. Ale tu był mój dom. Nie zamierzałam dłużej przed tym uciekać.

Nie zamierzałam też uciekać przed sobą samą. Nie mam na myśli wilkołaka we mnie. Z tym chyba pogodziłam się już przed laty, może nawet to przyjąłam, bo dzięki temu miałam okazję doświadczyć w moim życiu tak wielu rzeczy i tak wiele rzeczy sobie wytłumaczyć. W sumie była to całkiem niezła wymówka. Byłam agresywna i kłótniwa — to na pewno przez tę wilczą krew. Wszczyłałam bójkę — tak samo. Podobnie w przypadku innych agresywnych zachowań i reakcji. Chimeryczna? Zagniewana? Wybuchowa? Cóż, do cholery, miałam chyba uzasadniony powód, aby być taka, a nie inna, zgadza się? Byłam potworem. Ten stan raczej nie odkrywa pokładów spokoju i wewnętrznej harmonii nawet u najlepszych ludzi. Musiałam jednak stawić czoło prawdzie. Byłam taka nie dlatego, że stałam się wilkołakiem. Spójrzcie na Jeremy'ego, Antonia, Nicka, Logana, Petera. Każdy z nich mógł przynajmniej po trosze pasować do mojej pobieżnej charakterystyki, podobnie jak byle przechodzień, pierwszy lepszy nieznajomy, którego mijamy co dzień na ulicy. To, że byłam wilkołakiem, uczyniło mnie zdolną do lepszego, bardziej konstruktywnego wykorzystywania gniewu, a życie z Watahą uczyniło takie zachowania łatwiejszymi do przyjęcia, ale taka, jaka byłam, musiałam być już wcześniej, jeszcze zanim zostałam ugryziona przez Claya. Oczywiście mieć tego świadomość i zaakceptować to, to dwie różne rzeczy. Musiałam popracować nad kwestią akceptacji.

Minął prawie miesiąc od tamtego dnia w Toronoto, nim zrozumiałam, o co chodziło Clayowi, kiedy powiedział, że wie, dlaczego wybrałam Philipa i czemu to nie mogło się udać. Pierwsze dwa tygodnie po odzyskaniu Claya były prawdziwym piekłem, bywały dni, że nie wiedzieliśmy, czy dożyje do rana. Tak przynajmniej ja to odbierałam. Patrzyłam, jak leżał w łóżku nieprzytomny, i spodziewałam się, że jego klatka piersiowa lada chwila przestanie się unosić. Wołałam wtedy Jeremiego. Nie, wróć. Zaczynałam krzyczeć, by przywołać Jeremy'ego, a on zjawiał się w te pędy. Oczywiście Clay oddychał bez przeszkód, ale Jeremy nigdy nie dał mi odczuć, że moje reakcje były przesadzone. Wspominał coś o tymczasowym spłyceniu oddechu, może o chwilowym bezdechu, a potem starannie badał Claya, by ostatecznie usiąść przy jego łóżku w oczekiwaniu na „ustabilizowanie się” jego stanu. Na trzeci tydzień Clay zaczął odzyskiwać przytomność na nieco dłużej i nawet ja musiałam przyznać, że największe zagrożenie już minęło. Nie żebym przestała przesiadywać przy jego łóżku. Bynajmniej. Nie mogłabym. I jak długo nalegałam, że będę tam siedzieć, Jeremy oferował, że mnie zastąpi, na czas gdy pójdę się przespać czy pobiegać, choć oboje wiedzieliśmy, że takie ciągłe czuwanie było konieczne wyłącznie dla zachowania przeze mnie spokoju ducha.

Pod koniec trzeciego tygodnia wróciłam spod prysznic, by odnaleźć Jeremy'ego czuwającego przy łóżku Claya w tej samej pozycji, w jakiej zostawiłam go dwadzieścia minut wcześniej. Stałam w drzwiach, obserwując go, dostrzegając podkrążone oczy i mocniej uwydatnione kości policzkowe. Wtedy zrozumiałam, że muszę przestać, wziąć się w garść i przyznać przed samą sobą że Clay wracał do zdrowia, że nic mu nie będzie i że potrafił obejść się — i zdrowieć — bez mojego ciągłego nadzoru. W przeciwnym razie wpędzę się do grobu, a Jeremy trafi tam za mną bez słowa skargi.

— Lepiej się czujesz?—zapytał, nie odwracając się.

— O wiele lepiej.

Gdy podeszłam, ujął mnie za rękę i mocno ścisnął.

— Wkrótce się przebudzi. Burczy mu w brzuchu.

— Boże broń, aby przegapił kolację.

— A skoro o tym mowa, wychodzimy dziś wieczorem. Ty i ja. Gdzieś, gdzie wymagany jest garnitur, krawat i gładko ogolona twarz — przynajmniej jeżeli chodzi o mnie. Antonio przyjedzie tu z Nickiem. Popilnują Claya.

— To nie jest konieczne...

— To jest konieczne. Nawet bardzo. Musisz stąd wyjść, choć na chwilę się od tego oderwać. Clayowi nic nie będzie. Na wszelki wypadek weźmiemy twoją komórkę.

Kiedy pokiwałam głową i usiadłam na krześle obok Jeremy'ego, odpowiedź na zagadkę Claya spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Jak mogłam wcześniej na to nie wpaść? Dlaczego wybrałam Philipa? Odpowiedź miałam przed sobą odkąd wróciłam do Stonehaven. Kogo przypominał mi Philip? Naturalnie Jeremy'ego.

Na swoją obronę powiem tylko, że Jeremy i Philip, przynajmniej zewnątrz, diametralnie się różnili. Nie wyglądali podobnie. Mieli różne gesty. Nawet ich zachowania się różniły. Philipowi brakowało opanowania Jeremy'ego, jego władczości i pełnej wyciszenia rezerwy. Ale nie to najbardziej podziwiałam w Jeremym. To, co dostrzegłam w Philipie, było nieco płytszym odbiciem tego, co ceniłam w Jeremym, jego niewymuszonej, niewyczerpanej cierpliwości, rozwagi i wewnętrznej dobroci. Czy podświadomie szukałam kogoś, kto przypominał Jeremy'ego? Bo w Jeremym widziałam jakąś dziewczęcą apoteozę księcia z bajki, kogoś, kto przynosiłby mi kwiaty i troszczył się o mnie, niezależnie jak bardzo bym nabroila. Kłopot z tą fantazją był taki, że wobec Jeremy'ego nie miałam żadnych romantycznych odczuć. Kochałam go jak przyjaciela, przywódcę i uosobienie ojca. Nic więcej. Kiedy zatem odnalazłam ludzką wersję mojego ideału, odnalazłam mężczyznę, którego mogłam obdarzyć uczuciem, ale nigdy z taką pasją jak mojego kochanka.

Czy poczułam się przez to lepiej? Jasne, że nie. Dla usprawiedliwienia faktu, że nie potrafiłam zakochać się w Philipie, chciałam móc powiedzieć, że to z powodu jakiegoś problemu, który w nim tkwił, że czegoś mu brakowało. Prawda jest taka, że wina leżała wyłącznie po mojej stronie. To ja popełniłam błąd, a Philip, ten miły, przyzwoity mężczyzna musiał z tego powodu cierpieć.

Po pięciu tygodniach odkładania powrotu do Toronto postanowiłam to w końcu zrobić. Clay uciął sobie popołudniową drzemkę. Leżałam przy nim, przysypiając, gdy uświadomiłam sobie, że muszę wyjechać natychmiast, zanim zmienię zdanie. Wstałam i napisałam liścik do Claya. Jeremy był na tyłach, naprawiając kamienny mur. Nie powiedziałam mu, dokąd jadę. Bałam się, że mógłby chcieć, abym wcześniej zjadła kolację, zaczęła, aż będzie mógł odwieźć mnie na lotnisko, albo wymyśliłby jakiś inny powód, aby mnie tu zatrzymać, dopóki nie zmięknie i nie zmienię zdania.

Nie zadzwoniłam do Philipa, że przyjeżdżam. Sam dźwięk jego głosu mógłby sprawić, że zrezygnowałabym z mojego pomysłu. Pojechałam prosto do mieszkania i weszłam do środka. Nie było go tam. Usiadłam na kanapie i czekałam. Godzinę później wrócił. Zdyszany po biegu w ten upalny lipcowy dzień. Wszedł do mieszkania, zobaczył mnie i stanął jak wryty.

— Cześć — powiedziałam, siląc się na uśmiech.

Dostrzegłam strach w jego oczach i zrozumiałam, że nigdy by się nam nie udało. Niezależnie jak bardzo zbliżyłabym się do jakiegoś człowieka, prawda o tym, kim i czym byłam, nieodmiennie wzbudzała w nich przerażenie. Nie sposób tego pokonać.

— Cześć — wykrztusił w końcu. Zawahał się, ale zamknął drzwi do mieszkania i wytarł spoconą twarz. Chwilę doprowadzał się do porządku, po czym położył ręcznik na stoliku w holu i wszedł do pokoju. — Kiedy wróciłaś?

— Przed chwilą. Jak się czujesz?

— Świetnie. Dostałem od ciebie kwiaty. Dziękuję.

Wzięłam głęboki oddech. Boże, ależ niezręcznie się czułam. Czy zawsze tak było? Nie pamiętałam nawet, jak rozmawialiśmy. Wszystko, co wcześniej wydawało się znajome, gdzieś przysło.

— Z twoim... ee... bokiem jest już chyba lepiej — powiedziałam. — Skoro znów biegasz.

Usiadł w fotelu naprzeciw mnie. Znów odetchnęłam głębiej. Nic z tego. Nie będzie łatwo.

— A co się tyczy tego, co widziałeś tamtego dnia... — zaczęłam.

Nie odpowiedział.

— Tego, no wiesz... co zrobiłam.

— Nic nie widziałem. — Głos miał cichy, prawie niesłyszalny.

— Wiem, że widziałeś, i musimy o tym pomówić.

Odnalazł moje spojrzenie.

— Nic nie widziałem.

— Philipie, wiem...

— Nie — rzucił, po czym zamilkł i pokręcił głową.

— Nic nie pamiętam z tamtego dnia, Eleno. Pojechałaś do pracy. Zjawił się twój kuzyn. Szukał cię. Potem przyszło dwóch innych mężczyzn. Dostałem nożem. To wszystko, co pamiętam. Nic więcej.

Wiedziałałam, że kłamał. Dla bezpieczeństwa Watahy powinnam dalej drażnić ten temat, zmusić go, aby powiedział, co wtedy widział, i wymyślić sposób, jak to wszystko wyjaśnić. Jednak coś mi mówiło, że tak będzie lepiej dla Philipa. Niech wytłumaczy to sobie na swój sposób. Byłam mu to winna. Chociaż tyle.

— Powinnam już iść.

Wstałam. Nie powiedział ani słowa. Zobaczyłam moje torby stojące w holu obok kilku pudeł z jego rzeczami.

— Podnająłem mieszkanie — powiedział. — Ja...

— Potarł nos. — Miałem do ciebie zadzwonić na komórkę. Próbowałem się na to zdobyć.

— Przykro mi.

— Wiem. — Spojrzał mi w oczy po raz pierwszy, odkąd się zjawiłam, i na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. — Było nam dobrze razem. To była pomyłka, ale jedna z tych pozytywnych. Jeżeli wrócisz kiedyś do Toronto, może mnie odwiedzisz. Pójdziemy razem na drinka czy coś.

Pokiwałam głową. Kiedy wzięłam swoje torby podróżne, mój wzrok padł na stolik w holu.

Jest w szufladzie — rzekł półgłosem Philip.

Chciałam coś powiedzieć, ale on odwrócił się do mnie tyłem i poszedł do sypialni. Zamknął za sobą drzwi.

— Wybacz mi — szepnęłam.

Otworzyłam drzwi do holu i wyszłam, dźwigając dwie nieduże torby. Zostawiłam Philipowi kartkę z informacją, aby resztę oddał jakiejś instytucji charytatywnej albo wyrzucił do śmieci. Nie było tu nic, czego mogłam potrzebować. Zabrałam tylko dwie torby, aby nie pomyślał, że porzuciłam wszystkie moje rzeczy w przypiływie wściekłości. W tym mieszkaniu była tylko jedna rzecz, na której mi naprawdę zależało i którą chciałam odzyskać, to co zabrałam z szuflady stolika w holu. Wciąż trzymałam ją w ręku. Gdy tak stałam w westybulu, postawiłam bagaże na ziemi i rozwarłam dłoń. W świetle latarni ulicznych obrączka Claya zabłysła złociście.

Clay.

Co miałam począć z Clayem?

Pomimo tego co przeszliśmy, nadal nie mogłam dać mu tego, co chciał. Nie mogłam przyobieczać mu swego życia, przysiąc, że będę u jego boku dniem i nocą, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Ale go kochałam. Bezgranicznie go kochałam. W moim życiu nie będzie innych mężczyzn ani innych kochanków. To mogłam mu obiecać. Co się tyczy reszty, musiałam mu zaoferować to, co mogłam, i mieć nadzieję, że to wystarczy.

— Jesteś tu.

Gwałtownie uniosłam wzrok. Clay stał w słabym żółtym świetle latarni ulicznej. Przez chwilę wydawało mi się, że mam halucynacje.

Wtedy postąpił naprzód, ciągnąc za sobą lewą nogę, która wciąż jeszcze nie zagoiła się po niedawnych przejściach.

— Nie znalazłeś mojego liściku?

— Liściku?

Pokręciłam głową.

— Nie powinno cię tu być. Powinieneś leżeć w łóżku.

— Nie mogłem pozwolić ci odejść. Nie, dopóki z tobą nie porozmawiam.

Spojrzałam na torby stojące na ziemi u moich stóp i zrozumiałam, że myślał, iż zamierzam wejść do budynku, a nie że z niego wychodzę. Cóż, nie powiem, że nie przeszło mi przez myśl, aby jakoś wykorzystać tę okazję na swoją korzyść. Tak, niekiedy potrafię być okrutna, powiedziałabym nawet, że sadystyczna.

— I co chciałeś mi powiedzieć? — spytałam.

Postąpił naprzód, dotykając jedną ręką mojego łokcia i podchodząc tak blisko, że poczułam przez koszulę bicie jego serca. Dudniło, ale może to z wysiłku, jakim musiała być dla niego ta niespodziewana wyprawa.

— Kocham cię. Tak, słyszałaś to już wcześniej, słyszałaś to milion razy, ale nie wiem, co mógłbym powiedzieć innego. — Uniósł dłoń i dotknął mojego policzka. — Potrzebuję cię. Ten ostatni rok, kiedy wyjechałaś, był dla mnie prawdziwym piekłem. Obiecałem sobie, że kiedy wrócisz, uczynię co w mojej mocy, aby cię odzyskać. Żadnych sztuczek. Żadnego wściekania się. Wiem, że za słabo się starałem. Pewnie nawet nie zauważyłaś różnicy. Ale starałem się. Wciąż będę się starał. Proszę, wróć ze mną do domu.

Uniosłam wzrok i spojrzałam mu w oczy.

Po co wróciłeś tamtego dnia do mieszkania?

Zamrugnął.

— Co takiego?

— Tamtego dnia, kiedy zostałeś zaatakowany. Widziałeś, że Daniel i LeBlanc wchodzą do mieszkania, mam rację?

— No... tak.

— Wiedziałaś, że mnie tam nie ma. Bo przecież właśnie rozmawiałaś ze mną przez telefon.

— No... tak.

— A więc wiedziałaś, że w mieszkaniu jest tylko Philip. A jednak poszedłaś tam i próbowałaś go bronić. Dlaczego?

Clay zawahał się, po czym powiedział:

— Bo wiedziałem, że tego właśnie byś sobie życzyła. — Przesunął kciukiem po moim policzku. — Wiem, że to nie jest odpowiedź, którą chciałabyś usłyszeć. Chciałabyś, abym powiedział, że nagle obudziło się we mnie sumienie i poszedłem tam, by ratować Philipa. Ale nie będę kłamał. Nie czuję tego, co chciałabyś, abym czuł. Było mi obojętne, czy Philip przeżyje, czy umrze. Ocaliłem go, bo wiedziałem, że tego byś chciała, bo wiedziałem, że gdyby coś mu się stało, byłby to dla ciebie duży cios.

— Dziękuję — powiedziałam i pocałowałam go.

— To była właściwa odpowiedź? — W jego oczach znów pojawiły się łobuzerskie iskierki, a na ustach dostrzegłam cień uśmiechu.

— Najlepsza, na jaką mogłam liczyć. Teraz już to wiem.

— A więc zostaniesz?

Uśmiechnęłam się do niego.

— Nigdy nie zamierzałam wyjeżdżać, o czym byś wiedział, gdybyś zechciał przeczytać mój liścik, zanim dotarłeś aż tutaj jak wariat, by mnie zatrzymać.

— Nie zamierzałaś... — Przerwał, odchylił głowę do tyłu i zaśmiał się, po czym uściskał mnie, aż zatrzeszczały kości, i mocno ucałował. — Chyba na to zasłużyłem.

— Na to, a nawet na więcej. — Uśmiechnęłam się i odwzajemniłam pocałunek, po czym odsunęłam się i przez chwilę tylko na niego patrzyłam.

— O co chodzi? — zapytał.

— Kiedy cię nie było, sądziłam, że w tej historii raczej nie będzie szczęśliwego zakończenia. No wiesz... „i żyli długo i szczęśliwie”. Ale może się pomyliłam.

— Żyli długo i szczęśliwie? — Uśmiechnął się. — Znaczy na zawsze?

— No, może nie „na zawsze”. Może żyli długo i szczęśliwie przez jakiś czas.

— To mi wystarczy.

— Żyli długo i szczęśliwie przynajmniej przez dzień lub dwa.

— Dzień lub dwa? — Skrzywił się. — Myślałem, że trochę dłużej. Może nie na zawsze, ale przynajmniej przez jakieś osiem, dziewięć dekad.

— Nie przeginaj.

Zaśmiał się i znów mnie uściskał.

— Popracujemy nad tym.

— Tak — powiedziałam, uśmiechając się do niego. — Jestem gotowa, aby nad tym popracować.



# PODZIĘKOWANIA

Ponieważ to moja pierwsza powieść, jest wiele osób, którym należą się podziękowania, nie tylko za pomoc przy tej książce, ale za wsparcie przy wszystkich opowiadaniach, wierszach i wprawkach literackich, nad którymi pracowałam wcześniej. Dziękuję mojej rodzinie, przyjaciołom, instruktorom, znajomym pisarzom, wszystkim, którzy zechcieli podzielić się ze mną miłym słowem lub konstruktywną krytyką. Dziękuję zwłaszcza mojej dawnej grupie literackiej (Anonimowym Pisarzom Londyńskim). Ta powieść zrodziła się w tej grupie i bez jej zachęty tam też zakończyłaby swój żywot. Co się tyczy tych, którzy pomagali przy tej książce od jej pierwotnej wersji aż do wydania. Dziękuję Brianowi Henry'emu, instruktorowi pisania, który uznał, że historia ma potencjał i zarekomendował ją mojej zdumiewającej agentce. Helen Heller, wspomnianej „zdumiewającej agentce”, która, jak się okazało, potrafi zdziałać cuda. Sarah Manges i Carol DeSanti z amerykańskiej filii wydawnictwa Viking za ich entuzjazm i celne uwagi redakcyjne. Antonii Hodgson z brytyjskiego wydawnictwa Little, Brown and Co. za to, że jako pierwsza zechciała dać mi szansę. Anne Collins z kanadyjskiej filii Random House za jej pomoc i zachętę. A na sam koniec memu mężowi Jeffowi za to, że wiedział, iż zamknięte drzwi do gabinetu oznaczają, że to jego kolej, aby zrobić kolację, oraz mojej córce Julii, która dorastała, wiedząc, że zamknięte drzwi do gabinetu oznaczają, że może zjeść tyle chrupek, ile tylko zdoła.

